

222.653.

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

DOKTOR ŻIWAGO

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Przełożył z rosyjskiego
Paweł HOSTOWIEC

Wiersze w przekładzie
Józefa ŁOBODOWSKIEGO

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XLIV



1222653



Chr.

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : *Edition et Librairie „Libella”*,
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

1960 W 656

Dziękujemy wszystkim, którzy dopomogli nam do wydania „Doktora Żiwago” w języku polskim, a w szczególności p. Giangiacomo Feltrinelli, wydawcy w Mediolanie, który udzielił nam bezpłatnie praw autorskich na wydanie polskie, Kongresowi Wolności Kultury w Paryżu, który sfinansował tłumaczenie, p. Charles E. Merrilowi, jr. z Bostonu (USA) za pomoc materialną, oraz wszystkim tym, którzy zasubskrybowali łącznie 2.500 egz. książki.

Redakcja KULTURY

TOM I



R o z d z i a ł I

POŚPIESZNY O PIĄTEJ

I

Szli, szli i śpiewali *Wiecznaja pamiat'*, a gdy milkł śpiew, zdawało się, że same nogi, konie i powiewy wiatru zachowują rytm żałobnej pieśni.

Przechodnie ustępowali z drogi, liczyli wianki, żegnali się znakiem krzyża. Ciekawi przyłączali się do konduktu, pytając: „Czyj to pogrzeb?” Odpowiadano: „Żiwaga”. — „Ach tak. Teraz rozumiemy”. — „Nie jego, ale jej”. — „Niech i tak będzie. Wieczny odpoczynek... Bogaty pogrzeb”.

Mijały ostatnie minuty, liczone, niepowrotne. „Ziemia Pana i wszystko co w niej jest, cały świat i ci co w nim żyją...”. Pop wziął garść ziemi i robiąc nią znak krzyża rzucił na Marię Nikołajewną. Zaśpiewano: „Z duszami sprawiedliwych”. Zaczął się straszny pośpiech. Trumnę zamknięto, zabito gwoździami i zaczęto opuszczać w grób. Zadudniły grudy ziemi, rzucane szybko przez cztery łopaty. Nad mogiłą wyrósł mały pagórek, na który wstąpił dziesięcioletni chłopiec.

Tylko w stanie otępienia i zamroczenia, ogarniającego uczestników w końcu wielkich pogrzebów, obecnym mogło się wydać, że chłopiec chciał coś powiedzieć na mogile matki.

Chłopiec podniósł głowę i rzucił z wzniesienia roztargnione spojrzenia na jesienne pustkowia i banie monasteru. Twarz jego z zadartym nosem skrzywiła się, szyja wydłużyła. U wilczęcia taki ruch głowy oznaczałby, że zaraz zacznie wyć. Chłopiec

zakrył twarz rękami i zaczął szlochać. Nadlatująca chmura chłostała jego ręce i twarz różgami chłodnej tulewy. Do mogiły zbliżył się człowiek czarno ubrany, ze zmarszczkami na wąskich rękawach. Był to brat zmarłej i wuj płaczącego, pozbawiony na własne życzenie święceń kapłańskich Nikołaj Nikołajewicz Wiedieniapin, który podszedł do chłopca i wyprowadził go z cmentarza.

2

Noc spędzili w celi monasteru, oddanej do dyspozycji wuja po starej znajomości. Było to w przeddzień Pokrowu¹. Naza jutrz mieli odjechać daleko na południe, do miasta gubernialnego nad Wołgą, gdzie ojciec Nikołaj pracował u wydawcy miejscowej gazety postępowej. Bilety mieli kupione, gotowe do drogi bagaże stały w celi. Z sąsiedniej stacji kolejowej słychać było, niesione wiatrem, lamentujące gwizdki manewrujących parowozów.

Wieczorem ochłodziło się bardzo. Dwa okna celi, na poziomie gruntu, wychodziły na skromny ogród, otoczony krzewami akacji, na zmarzłe kałuże drogi i na część cmentarza, na której tegoż dnia pochowano Marię Nikołajewnę. Ogród był pusty, prócz kilku grzęd błyszczącej i posiniałej od chłodu kapusty. Bezlistne krzaki akacji szamotały się jak szalone z uderzeniami wiatru, kładąc się chwilami na drogę.

Stukanie do okna obudziło w nocy Jurę. Ciemna cela oświetlona była niesamowicie białym, drżącym blaskiem. Jura w koszuli podbiegł do okna i przytulił twarz do zimnej szyby.

Za oknem nie było ani drogi, ani cmentarza, ani ogrodu. Szalała zamieć, w powietrzu dymił się śnieg. Zdawało się, że burza spostrzegła Jurę i, świadoma swej potęgi, cieszyła się z wywieranego wrażenia : syczała i wyła, przykuwając do siebie jego uwagę. Z nieba, motek za motkiem, sypała się biała przędza, okrywając ziemię fałdami całunu. Burza zdawała się być sama jedna w świecie ; nic nie mogło z nią współzawodniczyć.

Pierwszym odruchem Jury było : ubrać się, wyjść, coś przedsięwziąć. Z trwogą myślał to o tym, że monasterskiej kapusty nie będzie można odkopać spod śniegu, to o tym, że pod brzemieniem zasp matka jego zsunie się głębiej w głąb ziemi, dalej od niego.

1. Święto Matki Boskiej Pośredniczki Łask, przypadające na 1 października starego stylu.

Zaczął znów płakać. Wuj obudził się, mówił mu o Chrystusie, pocieszał, potem ziewał, spoglądał w okno i zamyślał się. Obaj zaczęli się ubierać. Dniało.

3

Jak długo żyła jego matka, Jura nie wiedział, że ojciec opuścił ich już dawno, że włóczy się po różnych miastach Syberii i zagranicy, pijąc i hulając, i że dawno już roztrwonił ich milionowy majątek. Jurze mówiono, że ojciec jest bądź w Petersburgu, bądź na jakimś jarmarku, najczęściej w Irbicie.

Potem matka, zawsze chorowita, zapadła na gruźlicę. Zaczęła jeździć na kurację do południowej Francji i północnych Włoch; Jura dwukrotnie jej towarzyszył. Dzieciństwo jego minęło w pełnym zagadek nieładzie; matka zostawiała go często u obcych, za każdym razem innych. Jura przywykł do zmian, i w atmosferze ciągłego zamętu nieobecność ojca nie zwracała jego uwagi.

Najwcześniejsze dzieciństwo Jury przypadło na czas, gdy nazwisko „Żiwago” służyło do oznaczania rzeczy najbardziej różnorodnych.

Była więc fabryka Żiwaga, bank Żiwaga, kamienice Żiwaga, sposób wiązania krawatu i wpinania weń szpilki à la Jivago i nawet strucla czy baba Żiwago. W latach tych wystarczyło zawołać dorożkarzowi: „Do Żiwaga!” — tak samo prosto, jak by się mówiło: „Do diabła na wesele!” — aby sanie ruszyły z miejsca i, za dziesiątą górą, zatrzymały się w cichym parku. Wrony, strącając szron, siedziały tam na świerkach. Rozlegało się krakanie, podobne do trzasku suchego drzewa. Za przerębą stały nowe budynki, z których na drogę wybiegały rasowe psy. W oknach zapalały się światła. Nadchodził wieczór.

Nagle wszystko to znikło. Żiwagowie zbiednieli.

4

Latem 1903 Jura z wujem jechali zaprzężoną w parę koni bryczką do Duplanki, majątku Kołogriwowa, właściciela przedal-ni jedwabiu i znanego protektora sztuk. Jechali w odwiedzinę do mieszkającego tam pedagoga i popularyzatora użytecznych ga-łęzi wiedzy Iwana Iwanowicza Woskobojnikowa.



Był to dzień Matki Boskiej kazańskiej, sam środek żniw. Z powodu święta czy też przerwy obiadowej na polach nie było żywej duszy. Słońce prażyło niedokoszone łany, podobne do na pół ogolonych głów katorżników. Ptaki krążyły nad polami. Kłosa pszenicy zwisały w nieruchomym powietrzu lub jeżyły się na odległych od drogi kopach. Patrząc długo na te ostatnie, odnosiło się wrażenie, że poruszają się zwolna, niby geometrzy idący skrajem horyzontu i zapisujący coś do notatników.

— A te pola — zapytał Nikołaj Nikołajewicz Pawła, stróża wydawnictwa, siedzącego na koźle bokiem, z nogą na nodze, na znak, że nie służy za furmana — są pańskie czy chłopskie?

— Te są pańskie — odpowiedział Paweł, zapalając papierosa — a te tutaj — w tym miejscu zgasił zapalną, zaciągnął się dymem i po przerwie, wskazując biczyskiem na drugą stronę drogi — te tutaj są swoje. — Ej, znów śpicie! — zwrócił się do koni, obserwując z ukosa ich zady i ogony, jak maszynista wskazówkę manometru.

Konie tymczasem szły jak wszystkie konie na świecie: koń w chomacie kłusował z prostotą właściwą naturom lojalnym, biegnącego zaś na przyprzążkę niewtajemniczony obserwator mógłby wziąć za zdeklarowanego próżniaka, umiającego tylko wyginać szyję jak łabędź i tańczyć w prysudy przy dźwięku dzwonek, którymi sam potrzasał w swych skokach.

Nikołaj Nikołajewicz wiozł dla Woskobjownikowa korektę swej książki o kwestii agrarnej, którą wydawnictwo poleciło mu przejrzeć w związku z zaostreniem się cenzury.

— Lud swawoli w naszym powiecie — mówił Nikołaj Nikołajewicz. — W pańkowskiej gminie zarżnęli kupca, u naczelnika ziemstwa spalili stajnię rozplodową. Co ty o tym myślisz? Co mówią u was na wsi?

Okazało się jednak, że Paweł widzi sytuację w czarniejszych barwach niż sam nawet cenzor, studzący agrarne zapęły Woskobjownikowa.

— Co mówią? Rozpuścili lud. Rozwydrzenie, mówią. Ale co z naszą bracią zrobić? Daj chłopom swobodę, a jedni drugich wyduszą, Bóg świadkiem. Ej, znów śpicie?

Wuj i synowiec jechali już po raz drugi do Duplanki. Jura myślał, że pamięta drogę; ilekroć pola rozszerzały się w odległej obwódce lasów, zdawało mu się, że poznaje miejsce, w którym droga skręca na prawo, i że zaraz roztoczy się przed nim dziesięciowiorstwowa panorama majątków Kołogriwowa, z połyskującą w oddali rzeką i plantem kolei na przeciwnym brzegu. Za każdym razem jednak się mylił. Pola mijały jedne za drugimi, otoczone nowymi lasami. Widok zmieniających się wciąż szero-

kich obszarów skłania do nastrojów rozlewnych ; chce się marzyć i myśleć o przyszłości.

Nikołaj Nikołajewicz nie napisał jeszcze ani jednej z książek, które miały mu później przynieść sławę, ale myśli jego były już jasno sformułowane ; nie wiedział tylko, że czas jego jest tak bliski.

Wśród pisarzy, profesorów i filozofów rewolucji miał się wkrótce pojawić człowiek, który przemyślał wszystkie zajmujące ich zagadnienia, lecz prócz terminologii nie miał z nimi nic wspólnego. Wszyscy trzymali się pewnych dogmatów, zadawałając się słowami i pozorami, gdy ojciec Nikołaj był duchownym, który przeszedł szkołę tołstojowską i rewolucyjną, dążąc wciąż naprzód. Marzył o myśli skrzydlatej i trzeźwej zarazem, wyznaczającej jasno drogę naprzód i dynamizmem swym zmieniającej coś w świecie na lepsze, myśli uderzająco jasnej nawet dla dziecka i ignoranta, jak błyskawica lub echo pioruna. Nikołaj Nikołajewicz pragnął nowego.

Jura czuł się dobrze w towarzystwie wuja, przypominającego mu matkę i będącego również człowiekiem wolnym, pozbawionym uprzedzeń wobec rzeczy nowych i niezwykłych. Jak ona, posiadał szlacheckie poczucie równości z wszystkim co żyje i pojmował wszystko od pierwszego spojrzenia, umiając wyrażać swe myśli bezpośrednio, zanim straciły swą świeżość i sens.

Jura był rad, że wuj wziął go z sobą do Duplanki, gdzie malowniczość okolic przypominała mu też matkę, która lubiła przyrodę i brała go często z sobą na przechadzki. Myślał też z przyjemnością, że spotka tam mieszkającego u Woskobjnikowa gimnazystę, Nikę Dudorowa. Jako starszy o dwa lata, Nika pogardzał zapewne Jurą. Witając się, potrząsał energicznie jego rękę, ciągnąc ją w dół, i pochylał głowę tak nisko, że włosy spadały mu na czoło, zasłaniając pół twarzy.

5

— Nerwem zagadnienia pauperyzmu — czytał Nikołaj Nikołajewicz z poprawionego rękopisu.

— Myślę, że lepiej będzie „istotą” — mówił Iwan Iwanowicz, notując poprawkę na korekcie.

Pracowali w półmroku oszklonej werandy. Wzrok odróżniał niejasno stojące dokoła konewki i narzędzia ogrodnicze. Przez poręcz kulawego krzesła przerzucony był nieprzemakalny płaszcz.

W kącie stała para gumowych butów, pokryta wyschlým błotem, z zgietymi, dotykającymi ziemi cholewami.

— Tymczasem statystyka urodzeń i śmierci wykazuje — dyktował Nikołaj Nikołajewicz.

— Trzeba tu wstawić : za ostatni rok — mówił notując Iwan Iwanowicz.

Weranda była przewiewna. Aby wiatr nie zniósł luźnych kartek broszury, leżały na nich kawałki granitu.

Gdy korekta została skończona, Nikołaj Nikołajewicz zaczął śpieszyć do domu.

— Burza się zbliża. Trzeba się zbierać.

— Nie ma mowy. Nie puszczę. Zaraz będzie herbata.

— Wieczorem muszę koniecznie być w mieście.

— Nic nie pomoże. Nie chcę nawet o tym słyszeć.

Z ogrodu dolatywał dym samowara, głuszając zapach tytoniu i heliotropów. Z kuchni niesiono tam właśnie śmietanę, jagody i pierożki z serem. Jednocześnie przyszła wiadomość, że Paweł poszedł kąpać konie. Nikołaj Nikołajewicz musiał skapitulować.

— Chodźmy nad parów. Posiedzimy tam na ławce zanim nakryją do herbaty — zaproponował Iwan Iwanowicz.

Jako przyjaciel bogatego Kołogriwowa, Iwan Iwanowicz mieszkał w domu administratora, gdzie zajmował dwa pokoje. Dom ten stał w zaniedbanej części parku, przy biegnącej półkolem starej alei, przez którą niegdyś wjeżdżano do dworu. Z czasem aleja porosła gęstą trawą. Jeździły nią tylko wozy z ziemią, odpadkami budowlanymi i śmieciem, które zrzucano do pobliskiego parowu. Milioner o przekonaniach postępowych i sympatyk rewolucji, Kołogriwow z żoną przebywał w tej chwili za granicą. W majątku mieszkali tylko córki, Nadia i Lipa, z nauczycielką i nieliczną służbą.

Gęsty żywopłot z dzikiego bzu oddzielał ogród administratora od parku z jego stawami, łąkami i wielkopańskim domem. Iwan Iwanowicz i Nikołaj Nikołajewicz szli wzdłuż żywopłotu, płosząc co kilka kroków małe stada wróbli, wypełniających krzaki bzu gwarem podobnym do szumu wody w rynn timer.

Minęli szklarnię, dom ogrodnika i ruiny murowanego budynku o niejasnym przeznaczeniu. Rozmowa potoczyła się o nowych, młodych siłach w nauce i literaturze.

— Zdarzają się wśród nich ludzie utalentowani, — mówił Nikołaj Nikołajewicz — ale dziś modne są kółka i kapliczki. Wszystkie te twory stadnego instynktu są schroniskami beztalentów, bez względu na to czy chodzi w nich o wierność doktrynie Sołowjowa, Kanta czy Marksa. Prawdy szukają tylko samotnicy, którzy zerwali z wszystkimi, komu mniej na niej zależy. Bo co

w ogóle zasługuje na wierność? Takich rzeczy jest niewiele. Myślę, że trzeba być wiernym nieśmiertelności, będącej tylko trochę silniejszą nazwą życia. Trzeba być wiernym nieśmiertelności, wiernym Chrystusowi! Ach, wy się, nieszczęśni, krzywicie! Znów nic, ale to nic nie zrozumieliście.

— Hm — mruzczał Iwan Iwanowicz, bystry i gładki blondyn z filuterną bródką, przypominającą Amerykanów z czasów Lincolna (bródkę tę przeginał co chwila dłonią ku górze, starając się schwytać ustami jej koniec). — Ja nic, oczywiście nie mówię. Sami rozumiecie, że widzę te rzeczy zupełnie inaczej. Ale, à propos, opowiedzcie, jak zdjęto z was duchowną sukienkę? Od dawna już chcę was o to zapytać. Pewnie napędzili wam strachu. Anatemą was obkładali? He?

— Czemu uciekacie od tematu? Zresztą, jeżeli chcecie... Anatemą? Nie, teraz już nie wyklinają. Były przykrości, zostały także pewne następstwa. Przez długi czas, na przykład, nie wolno mi być państwowym urzędnikiem, ani mieszkać w stolicach. Ale to są głupstwa. Wróćmy do tematu. Mówiłem więc, że trzeba być wiernym Chrystusowi. Zaraz to objaśnię. Wy nie rozumiecie, że można być ateistą, można nie wiedzieć czy i po co jest Bóg, a jednocześnie zdawać sobie sprawę, że człowiek żyje nie w przyrodzie, ale w historii, i że według obecnych pojęć ta ostatnia zaczyna się od Chrystusa i opiera na Ewangelii. Czym zaś jest historia? Jest to podjęcie wielkich prac, mających na celu stopniowe przeniknięcie sensu śmierci i przewyciężenie jej. W tym celu odkryto nieskończoność matematyczną i fale elektromagnetyczne, w tym celu komponują symfonie. Drogą tą nie można iść naprzód bez pewnego rozmachu, bez duchowych narzędzi pracy. Znajdujemy je w Ewangelii. Jest to przede wszystkim miłość bliźniego, będąca wyższą formą energii życiowej, wypełniającej serce człowieka i szukającej ujścia i ekspansji. Następnie są to dwa pojęcia, bez których człowiek współczesny nie byłby do pomyślenia, a mianowicie pojęcie wolności osobistej i życia jako ofiary. Weźcie pod uwagę, że wszystko to jest i teraz jeszcze nowością. Historia w tym sensie była nieznaną w starożytności. Było tam jurne świństwo okrutnych, ospowatych Kaligulów, nie podejrzewających nawet, jak nieudolni są wszyscy ciemniacy. Była tam chełpliwa i martwa wieczność brązowych pomników i marmurowych kolumn. Dopiero po przyjsciu Chrystusa wieki i pokolenia odetchnęły swobodnie. Odtąd człowiek żyje w potomości, nie umiera pod płotem, ale u siebie w historii, w pełni prac nad przewyciężeniem śmierci, poświęcając się dobrowolnie temu zadaniu. Uf, ażem spotniał. Ale do was mówić — to grochem o ścianę rzucać.

— Metafizyka, ojciec duchowny. Rzecz zakazana mi przez lekarzy ; mój żołądek tego nie trawi.

— No to Bóg z wami. Dajmy pokój. Ale z was szczęściarz ! Co za widok ! Nie można się napatrzeć. A ten tu żyje i nic nie czuje.

Rzeka raziła oczy. Skrzyła się, mieniła, falowała jak arkusz blachy. Nagle pokryła się zmarszczkami. Od brzegu odbił ciężki prom, naładowany końmi, wozami, babami i chłopami, przeprowadzającymi się na przeciwległy brzeg.

— Nie ma jeszcze szóstej — zauważył Iwan Iwanowicz. To pośpieszny z Syzrania. Przejeżdża tu o piątej z minutami.

Z dała po równinie sunął się z prawa na lewo czyściutki, żółto granatowy pociąg, mocno zmniejszony przez odległość. Wtem obaj zauważyli, że zatrzymał się. Nad parowozem ukazał się biały kłęb pary, i w chwilę potem dał się słyszeć gwizd.

— Dziwne — powiedział Woskobożnikow. Widocznie jakiś wypadek. Inaczej nie zatrzymywałby się na tym bagnisku. Coś się musiało stać. Chodźmy na herbatę.

6

Niki nie było w ogrodzie ani w domu. Jura domyślał się, że chował się przed gośćmi, bo nudził się z nimi ; Jura nie był dlań towarzystwem. Wuj i Iwan Iwanowicz poszli pracować na werandę, i Jura snuł się bez celu dokoła domu.

Było tam tak pięknie ! Co chwila słyhać było czysty, trytonowy śpiew wilgi, i jej wyczekujące przerwy, aby wilgotny, wychodzący jak z fujarki głos mógł przeniknąć całą okolicę. W upale zapach kwiatów trwał zawieszony nieruchomo nad klombami. Przypominało mu to Antibes i Bordigherę ! Jura oglądał się co chwila na prawo i lewo. W melodyjnym śpiewie ptaków i brzęczeniu pszczoł słyszał, ulegając halucynacji słuchowej, unoszący się nad trawnikami głos matki. Przebiegały go dreszcze ; wciąż zdawało się mu, że słyszy odległe nawoływanie matki, która dokądś go wzywa.

Jura zbliżył się do parowu i zaczął schodzić w dół. Minawszy drzewa rozrzucone po stoku parowu, wszedł w olszynę zaścieiającą jego dno.

Panował tam wilgotny mrok, pełen wiatrołomu, gnijących roślin i rzadkich kwiatów ; stawiaste lodygi skrzypu przypominały mu berła i pastorały, które widział w ilustrowanym Piśmie Świętym.

Jurze było coraz smutniej. Chciało mu się płakać. Wreszcie ukląkł i zalał się łzami.

— Aniele Boży, stróżu mój — modlił się — daj mi siły do wytrwania na drodze prawdy i powiedz mamie, że mi tu jest dobrze, i żeby się o mnie nie niepokoiła. Jeżeli jest życie wieczne, weź, Panie, mamę do raju, gdzie święci i sprawiedliwi świecą jak gwiazdy. Mama była tak dobra, nie może być, aby była grzesznicą. Zlituj się nad nią, Panie, i spraw, aby się nie męczyła. Mamo ! — w paroksyzmie rozdzierającego smutku wzywał ją z nieba niby nowokanonizowaną świętą. Wreszcie siły go opuściły i upadł, tracąc przytomność.

Zemdlenie nie trwało długo. Gdy się ocknął, posłyszał głos wuja, wołającego go z brzegu parowu. Odezwał się i zaczął się wspinać w górę. Nagle przypomniał sobie, że zapomniał pomodlić się za zaginionego ojca, jak go uczyła Maria Nikołajewna.

Po zemdleńiu było mu tak dobrze i lekko, że bał się rozstać z tym uczuciem. Pomyślał, że nie stanie się nic złego, jeżeli modlitwę za ojca odłoży na inny raz.

— Może poczekać — przemknęło mu przez myśl. Ojca zupełnie sobie nie przypominał.

7

Misza Gordon, uczeń drugiej klasy gimnazjalnej, jedenastoletni chłopiec o zamyślanej twarzy i wielkich, ciemnych oczach, jechał w przedziale drugiej klasy z ojcem, adwokatem z Orenburga. Ojciec otrzymał posadę w Moskwie i przenosił syna do tamtejszego gimnazjum. Matka i siostry były już od dawna w Moskwie, zajęte urządzaniem mieszkania.

Misza z ojcem byli już trzeci dzień w drodze.

Za oknem wagonu, w obłokach gorącego kurzu, wybielona słońcem niby wapnem, leciała Rosja, jej pola i stępy, miasta i wsie. Drogami ciągnęły wozy, zawracające mozolnie w kierunku przejazdów kolejowych ; z pędzącego z zawrotną szybkością pociągu wydawało się, że wozy stoją nieruchomo, a konie przebiegają nogami na miejscu.

Na większych stacjach pasażerowie rzucali się, jak szaleni, biegiem do bufetu ; zza drzew kolejowego ogródka zachodzące słońce oświeślało ich nogi i zaglądało pod koła wagonów.

Ruchy poszczególnych ludzi wynikają w całym świecie z trzeźwego obliczenia, w sumie zaś unoszone są łączącym je nieświadomościem, opianiającym potokiem życia. Ludzie pracują,

zabiegają, wprawiani w ruch przez mechanizm swych trosk, lecz mechanizm ten nie działałby, gdyby nie regulował go najwyższy czynnik zasadniczej i powszechnej beztroski. Źródłem jej jest poczucie wspólnoty wszystkich istnień ludzkich, radosne upojenie myślą, że wszystko co nas spotyka spełnia się nie tylko na ziemi, w której grzebią zmarłych, lecz także w tym, co jedni nazywają królestwem Bożym, inni historią, inni wreszcie jeszcze inaczej.

Z reguły tej Misza był nieszczęśliwym wyjątkiem. Główną jego sprężyną było zmartwienie, którego brak bezpośrednich trosk nie łagodził i nie uszlachetniał. Miał świadomość posiadania tej odziedziczonej po przodkach cechy i z podejrzliwą uwagą śledził w sobie jej obecność. Cecha ta była mu przykra. Obecność jej w nim samym upokarzała go.

Jak daleko sięgał pamięcią wstecz, nie przestawał się dziwić, że mając ręce i nogi jak inni i mówiąc tym samym językiem, można jednocześnie być czymś innym niż wszyscy i przy tym czymś, co niewielu tylko może się podobać i czego na ogół nie lubią. Nie mógł zrozumieć położenia, w którym, będąc gorszym, nie można było, nawet drogą największych wysiłków, poprawić się i stać się lepszym. Co znaczy być Żydem? Dlaczego taka rzecz w ogóle jest? Czym usprawiedliwić lub wyrównać to wyzwanie na bój bez broni, nie przynoszące nic prócz smutku?

Gdy zadawał te pytania ojcu, ten ostatni odpowiadał, że samo założenie ich jest niedorzeczne, że tak rozumować nie można, ale nie proponował w zamian nic, co by miało dla Miszy głębszy sens i zmuszało go do pogodzenia się z nieuniknionym.

Robiąc wyjątek dla ojca i matki, Misza czuł wzrastającą pogardę dla dorosłych, którzy stworzyli tę sytuację i sami nie znajdują z niej wyjścia. Był zresztą pewny, że, gdy dorośnie, potrafi to wszystko naprawić.

Oto i teraz nikt nie mógłby twierdzić, że jego ojciec postąpił niewłaściwie, pędząc za tym wariatem aż na platformę, ani że nie należało zatrzymać pociągu, gdy samobójca, odpychając z siłą Grigorija Osipowicza, rzucił się z pośpiesznego pociągu na nasyp, głową naprzód, jak pływak skaczący do wody.

Rączkę hamulca pociągnął jednak nikt inny jak właśnie Grigorij Osipowicz, wynikało więc stąd, że pociąg stoi tak długo w polu z jego łaski.

Nikt nie znał dobrze przyczyny tego długiego postoju. Jedni mówili, że nagłe zahamowanie zepsuło coś w hamulcu pneumatycznym, inni że pociąg zatrzymał się na pochyłości, i parowóz nie może go ruszyć z miejsca, inni wreszcie byli zdania, że sa-

mobójca był wybitną osobistością, i że adwokat jego, towarzyszący mu w podróży, zażądał z najbliższej stacji, Kołogriwowki, świadków w celu spisania protokołu. Dlatego właśnie pomocnik maszynisty wdrapywał się na słup telegraficzny. Drezyna była już zapewne w drodze.

Wewnątrz wagonu pachniało trochę klozetem, którego woń starano się odeprzeć wodą kolońską, i nieświeżymi już, pieczonymi kurczętami, zawiniętymi w zatłuszczony papier. Starsze panie z Petersburga, które sadza parowozu i tłuste kosmetyki upodobniły do gorąco krwistych Cyganek, nadal pudrowały się, wycierały ręce w chustki do nosa i rozmawiały niskimi, skrzypiącymi głosami. Gdy przechodziły koło przedziału Gordonów, otulając ramiona narzutkami i znajdując w ciasnocie korytarza nowy pretekst do kokieterii, Miszy zdawało się, że syczą lub, sądząc z ich zaciśniętych ust, powinny syczeć: „Ach, powiedźcie sami, co za subtelność uczuć! My jesteśmy inne, jesteśmy inteligentki! My nie możemy znieść!”

Ciało samobójcy leżało na trawie u stóp nasypu. Struga skrzepłej krwi czerniała na czole i oczach, przekreślając twarz jak gdyby znakiem krzyża. Krew zdawała się być nie własną krwią zmarłego, lecz czymś obcym, przylepionym jak plaster, zeschniętym błoto lub mokry, brzozy liść.

Ciekawi i współczujący zmieniali się wciąż w grupie otaczającej zwłoki. Pochmurny bez wyrazu, stał nad nimi przyjaciel i sąsiad zmarłego z przedziału, tęgi i wyniosły adwokat, rasowe zwierzę w mokrej od potu koszuli. Cierpiąc od upału, wachlował się miękkim kapeluszem. Na wszystkie pytania wzruszał ramionami i nieuprzejmie, nie odwracając się nawet do rozmówcy, cedził: „Alkoholik. Nie rozumiecie? Typowe następstwo delirium tremens”.

Szczupła kobieta w wełnianej sukni i koronkowej chustce na głowie zbliżała się dwa lub trzy razy do zwłok. Była to Tiwierzinowa, wdowa i matka dwóch maszynistów, jadąca z dwiema synowymi w wagonie trzeciej klasy za bezpłatnym biletem służbowym. Dwie ciche kobiety, z nisko zawiązanymi na głowach chustkami, szły za nią w milczeniu, niby dwie mniszki za przeoryszą. Grupa ta budziła szacunek. Ustępowano jej z drogi.

Mąż Tiwierzinowej spalił się był żywcem w katastrofie kolejowej. Wdowa zatrzymywała się o kilka kroków od zwłok, patrzyła na nie poprzez tłum i wdychała, jak gdyby robiąc porównanie. „Jak komu sędzono — zdawała się mówić. Jeden ginie z dopustu Bożego, a ten tu z zbytkownego życia i zamrozenia rozsądku”.

Wszyscy pasażerowie byli kolejno koło zwłok, i tylko obawa, aby nie ukradziono ich bagaży, skłaniała ich do powrotu do wagonu.

Zeskakując na plant, podróżni przeciągali się, zrywali kwiaty, próbowali biegać. Wszyscy mieli wrażenie, że okolica ta zawdzięcza swe istnienie zatrzymaniu się pociągu, i że gdyby nie tragiczny wypadek, błotnistej łąki z kępami traw, szerokiej rzeki i stojącego na przeciwnym, wysokim brzegu pięknego domu z cerkwią nie byłoby w ogóle na świecie.

Nawet wieczorne słońce zdawało się być częścią miejscowego krajobrazu, patrzące na scenę przy plancie kolejowym z daleka, nieśmiało, jak patrzyłaby na nią krowa z pasącego się w sąsiedztwie stada.

Misza był wstrząśnięty wypadkiem i w pierwszej chwili płakał z żalu i strachu. W ciągu długiej podróży zmarły kilkakrotnie zachodził do ich przedziału i godzinami rozmawiał z ojcem Miszy. Mówił, że doznaje ulgi w czystej moralnie i spokojnej atmosferze ich świata. Wypytywał Grigoria Osipowicza o różne subtelności i szyskany prawne, dotyczące weksli, darowizn, upadłości i fałszerstw. „Ach, tak? — dziwił się wyjaśnieniom Gordona. Wam znane są jakieś łaskawsze przepisy prawne. Mój adwokat ma inne informacje i widzi te rzeczy w nierównie ciemniejszych barwach”.

Gdy uspakajał się, z pierwszej klasy przychodził jego doradca prawny i sąsiad z przedziału, aby zabrać go do wagonu restauracyjnego na szampana. Był to ten sam tęgi, beczelny, gładko ogolony i elegancki adwokat, który stał teraz nad zwłokami, nie dziwiąc się niczemu. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że nieustanne podniecenie jego klienta było mu w jakiś sposób na rękę.

Według ojca Miszy nieznamy był sławnym bogaczem, pocziwym niedołęgą, obecnie prawie nieodpowiedzialnym. Nie krępując się obecnością chłopca, opowiadał o swym synu, rówieśniku Miszy, o zmarłej żonie, potem zaś o swej drugiej rodzinie, którą także porzucił. Nagle przypominał sobie coś innego, bladł ze strachu, zaczynał mówić beładnie i zapominać się.

Miszy okazywał niewytłumaczoną serdeczność, przeniesioną być może z innej osoby i nie dla niego przeznaczoną. Co chwila ofiarowywał mu jakiś prezent, wysiadając w tym celu na większych stacjach, gdzie w poczekalniach pierwszej klasy znajdowały się kioski z książkami, zabawkami i pamiątkami regionalnymi.

Pił przy tym wciąż, skarżąc się, że nie śpi już od trzech miesięcy, i że gdy tylko trzeźwieje, chociażby na chwilę, cierpi męki, o których człowiek normalny nie ma pojęcia.

Na minutę przed śmiercią wbiegł do ich przedziału, chwycił Grigoria Osipowicza za rękę, chciał mu coś powiedzieć, lecz nie znalazł słów i, wybiegłszy na platformę, wyskoczył z pociągu.

Misza oglądał ostatni upominek zmarłego — małą kolekcję minerałów uralskich w drewnianym pudełku — gdy wszczął się ogólny ruch. Na sąsiednim torze ukazała się drezyna, z której wyskoczyli: urzędnik policji śledczej z metalowym znaczkiem na czapce, lekarz i dwóch stójkowych. Słyszać było chłodną, rzeczową rozmowę. Przybyli zadawali pytania i robili notatki. Konduktorzy i stójkowi, ślizgając się na piaszczystej pochyłości, wciągali na nasyp zwłoki zmarłego. Pasażerów poproszono o zajęcie miejsc. Dał się słyszeć gwizd parowozu, i pociąg ruszył.

8

„Znów ten katabas!” — pomyślał gniewnie Nika i zaczął biegać tam i z powrotem po pokoju. Głosy zbliżały się, odwrót był odcięty. W pokoju stały dwa łóżka: Woskobijnikowa i jego, Niki. Nie wiele myśląc, schował się pod swym łóżkiem.

Słyszał jak starsi wołali go i szukali w innych pokojach, zanim weszli do sypialni.

— Cóż robić? — powiedział Wiedieniapin. — Idź się przejść, Jura. Być może odnajdziesz później twego towarzysza i będziecie się bawili razem. — Przez pewien czas mówili potem o zaburzeniach uniwersyteckich w Petersburgu i Moskwie, trzymając Nikę przez dwadzieścia minut w jego głupim i upokarzającym ukryciu. Wreszcie wyszli na werandę. Nika ostrożnie otworzył okno, wyskoczył przez nie i poszedł do parku.

Przez całą poprzednią noc nie spał i czuł się tego dnia nieswojo. Miał czternasty rok i sprzykrzyło się mu być małym chłopcem. Po bezsennej nocy wyszedł o świcie przed dom. Słońce wschodziło, i ziemię pokrywały w parku długie, mokre od rosy, wzorzyste cienie drzew. Cienie te nie były czarne, lecz miały ciemno-szarą barwę mokrego filcu. Zdawało się, że odurzający zapach poranka paruje z tych właśnie cieni na ziemi, między które słońce kładło poprzez drzewa jasne plamy, wydłużone jak palce dziewczyny.

Wtem, o kilka kroków od Niki, srebrzysta strużka rtęci pociekła w trawie, błyszcząca jak krople rosy. Ciekła, ciekła, nie wsiąkając w ziemię. Wreszcie kilku szybkimi ruchami rzuciła się w bok i znikła. Była to miedzianka. Nikę przeszedł dreszcz.

Nika był dziwnym chłopcem. W stanie podniecenia rozmawiał głośno z sobą samym. Naśladował matkę i miał jej skłonność do podniosłych rozważań i paradoksów.

— „Jak dobrze jest na świecie !” — myślał. „Ale czemu to tak zawsze boli ? Bóg, oczywiście, jest, ale jeżeli jest, to jestem nim ja. Oto rozkażę jej” — pomyślał, spojrzawszy na osinę drżącą od góry do dołu (jej mokre, mieniające się liście zdawały się wycięte z blachy) — „oto rozkażę jej” — i w szalonym wzlocie ponad granicę swych sił, nie szepnął nawet, ale całym swym jestestwem, ciałem i krwią zapragnął i pomyślał : „przestań !” — i drzewo posłusznie zastygło natychmiast w bezruchu. Nika zaśmiał się z radości i pobiegł kąpać się do rzeki.

Ojciec jego, terrorysta Diemientij Dudorow, odbywał karę ciężkich robót, na którą cesarz zmienił mu w drodze łaski pierwotny wyrok — karę śmierci przez powieszenie. Matka, Nina Gałaktionowna, pochodząca z gruzińskiej rodziny książąt Eristowów, była młoda i piękna, niezrównoważona, zawsze czymś entuzjastycznie przejęta — buntami, buntownikami, skrajnymi teoriami, sławnymi artystami czy nieszczęśliwymi wykolejeńcami.

Syna uwielbiała ; imię jego — Innokientij — przeznaczała na niemożliwie tkliwe i głupie zdrobnienia, jak „Inoczek” lub „Noczeńka”, i woziła go pokazywać swej rodzinie do Tyflisu. Najbardziej uderzyło go tam rosochate drzewo, rosnące na podwórzu domu, w którym się zatrzymali. Był to jakiś niezgrabny olbrzym podzwrotnikowy. Liście jego, podobne do uszu słonia, chroniły podwórze od upału, spływającego z południowego nieba. Nika nie mógł oswoić się z myślą, że drzewo to nie jest zwierzęciem lecz rośliną.

Straszne nazwisko ojca groziło chłopcu różnymi niebezpieczeństwami. Z upoważnienia matki Iwan Iwanowicz miał złożyć do cesarza podanie o pozwolenie Nice noszenia nazwiska matki.

Leżąc pod łóżkiem, pełen oburzenia na porządek tego świata, Nika myślał i o tym. Czym też jest taki Woskobjownikow, aby pozwalać sobie wtrącać się do takich rzeczy ? On im wszystkim pokaże !

Albo taka Nadia ! Czy dlatego, że skończyła piętnaście lat, ma prawo zadzierać nos i mówić z nim jak z małym chłopcem ? On ją nauczy ! „Nienawidzę jej — powtarzał kilkakrotnie w myśli. — Zabiję ją ! Zaproszę na przejażdżkę łódką i utopię”.

Dobra jest też i mama. Odjeżdżając, wyprowadziła oczywiście w pole jego i Woskobjownikowa. Nie pojechała na żaden Kaukaz, ale z pierwszej węzłowej stacji zawróciła na północ i w Petersburgu strzelała sobie najspokojniej z studentami do policyj. A on tymczasem musi żywcem gnić w tej głupiej norze. Ale on

ich wszystkich przechytrzy : utopi Nadię, porzuci gimnazjum, ucieknie do ojca na Syberię i zrobi tam powstanie.

Brzeg stawu był gęsto zarosły grzybieniem. Z suchym szelestem łódka wciniała się w tę gęstwinę. Wśród rozstępujących się liści woda ukazywała się jak sok arbuza w trójkątnym wycięciu.

Chłopiec i dziewczyna zaczęli zrywać kwiaty grzybienia. Oboje chwycili dwie nierwące się, mocne jak gumowy wąż łodygi tej samej rośliny. Ciągnąc je, zbliżyli się do siebie. Głowy ich zderzyły się. Łódka, jak gdyby szarpnięta bosakiem, zbliżyła się do brzegu. Łodygi grzybienia ciągnęły się, płątały, i białe kwiaty z jaskrawym jak żółtko z krwią sercem znikwały i wynurzały się znów, ociekające wodą.

Nadia i Nika zrywali dalej kwiaty, przechylając coraz bardziej łódkę i leżąc niemal na burcie.

— Sprzykrzyło mi się uczyć — powiedział Nika. Czas zacząć żyć, zarabiać, zostać kimś.

— A ja właśnie chciałam cię prosić o objaśnienie mi równań drugiego stopnia. Jestem tak słaba w algebrze, że omal nie dostałam poprawki.

Nika wyczuł w tych słowach coś jak ukłucie szpilki. Oczywiście, ona chce mnie przywołać do porządku, przypomnieć, że jestem jeszcze małym chłopcem. Równania drugiego stopnia ! Gdy oni nawet nie powąchaliby algebry.

Nie zdradzając urazy, zapytał z udaną obojętnością i w tejże chwili zrozumiał, jak bardzo pytanie to było głupie :

— Gdy dorosisz, za kogo wyjdiesz za mąż ?

— O, to jeszcze tak daleko. Pewnie za nikogo. Dotąd jeszcze o tym nie myślałam.

— Nie wyobrażaj sobie, proszę, że mnie to bardzo interesuje.

— To czemu pytasz ?

— Idiotka.

Zaczęli się kłócić. Nika przypomniawszy sobie swą poranną nawiść do kobiet i zagroził Nadi, że jeżeli nie przestanie mu mówić impertynencji, to ją utopi. „Spróbuj” — odpowiedziała Nadia. Zaczęła się bójka. Oboje stracili równowagę i wpadli do wody.

Oboje umieli pływać, ale grzybień chwycił ich za ręce i nogi, a dna pod stopami nie czuli. Wreszcie, grzęznąc w błocie, wybrnęli na brzeg. Woda strumieniami ciekła z ich butów i kieszeni. Z dwojga Nika był bardziej zmęczony.

Gdyby coś podobnego zdarzyło się im przedtem, chociażby ostatniej wiosny, siedzieliby na brzegu, mokrzy jak rude myszy, zachowując się hałaśliwie, kłócąc się lub śmiejąc.

Teraz milczeli, przygnębieni nonsensem tego co się stało. Nadia była oburzona i gniewała się w milczeniu. Nika czuł się obolały, jak gdyby obito go kijem i pognieciono mu żebra.

Wreszcie spokojnie, jak dorosła, Nadia powiedziała : „Jesteś wariat”, i Nika, również jak dorosły, odpowiedział „Przebacz mi”.

Oboje zaczęli iść w górę do domu, zostawiając za sobą mokry ślad, jak beczka woziwody. Szli po zakurzonego zboczu, rojącym się od węży, koło miejsca, gdzie rankiem Nika widział miedziankę.

Nika przypominał sobie czarowną podniosłość nocy, świt i swą poranną wszechmoc, gdy mógł dowolnie rozkazywać przyrodzie. Co jej rozkazać teraz ? — pomyślał. Czego pragnąłby najwięcej ? Wydało mu się, że najwięcej pragnąłby wpaść raz jeszcze do stawu z Nadią, i że dałby wiele, aby móc wiedzieć, czy się to jeszcze kiedyś zdarzy czy nie.

R o z d z i a ł I I

DZIEWCZYNA Z INNEJ SFERY

I

Wojna z Japonią nie była jeszcze skończona. Nieoczekiwanie inne wypadki odwróciły od niej uwagę. Przez Rosję zaczęły się toczyć fale rewolucji, jedna wyższa i niezwyklejsza od drugiej.

W tym czasie do Moskwy przyjechała z Uralu wdowa po belgijskim inżynierze, zrusyfikowana Francuzka Amalia Karłowna Guichard z dwojgiem dzieci : synem Rodionem i córką Łarisą. Syna oddała do szkoły kadetów, córkę zaś do żeńskiego gimnazjum, gdzie ta ostatnia trafiła przypadkiem do tej samej klasy, w której uczyła się Nadia Kołogriwowa.

Madame Guichard odziedziczyła po mężu oszczędności, ulokowane w papierach, których kurs zrazu podnosił się, teraz zaś zaczął spadać. Aby ocalić resztki topniejącej jak śnieg fortuny i nie siedzieć ze złożonymi rękami, Madame Guichard kupiła od spadkobierców krawcowej Lewickiej, koło Triumfalnego Łuku, niewielki zakład krawiecki, z prawem zachowania starej firmy, przejmując dawnych klientów, szwaczki i praktykantki.

Madame Guichard powzięła tę decyzję za poradą adwokata Komarowskiego, przyjaciela jej męża, obecnie zaś jej głównego opiekuna, wyrachowanego człowieka interesu, znającego na wylot życie gospodarcze Rosji. Komarowski, z którym korespondowała uprzednio na temat swych przenosin, czekał na nią w Moskwie na dworcu i, poprzez całe miasto, zawiózł ją do hotelu „Czarnogórze” w Arsenalskim zaułku, gdzie zamówił dla niej pokój.

On też namówił ją zaraz do zapisania Rodi do szkoły kadetów i Łary do poleconego przez siebie gimnazjum, żartując od niechcenia z chłopcem i rzucając na dziewczynę spojrzenia, od których ta ostatnia rumieniała się.

2

Przed przeprowadzką do trzypokojowego mieszkania przy zakładzie krawieckim, rodzina Guichardów spędziła blisko miesiąc w „Czarnogórze”.

Hotel ten stał w jednym z najokropniejszych zakątków Moskwy, pełnym dorożkarzy, spelunek i całych ulic oddanych w posiadanie nierządu i „istot upadłych”.

Dzieci nie dziwiły się brudnym pokojom, pluskwom i ubóstwu umeblowania. Po śmierci ojca matka ich żyła w wiecznym strachu przed niedostatkiem. Rodia i Łara słyszeli wciąż, że znajdują się na skraju przepaści. Oboje mieli świadomość, że nie są dziećmi ulicy, ale, jak wychowawcy sierocińców, byli głęboko nieśmiali wobec bogatych.

Matka ich była żywym przykładem tej lęklivosti. Amalia Karłowna, trzydziestopięcioletnia zażywna blondynka, cierpiała na przemian na ataki serca i głupoty. Była bardzo trwożliwa i śmiertelnie bała się mężczyzn. Dlatego właśnie, ze strachu i zażenowania, wpadała wciąż w ich objęcia.

W „Czarnogórze” Guichardowa mieszkała z dziećmi w pokoju numer 23, pod 24-tym natomiast od dnia otwarcia hotelu mieszkał wiolonczelista Tyszkiewicz, pocący się i łysy pocziwiec w peruce, który, gdy chciał kogoś przekonać, składał ręce jak do modlitwy i, grając w towarzystwie lub na koncertach, zarzucał w tył głowę z natchnionym wyrazem oczu. Tyszkiewicz rzadko bywał w domu, wychodząc na cały dzień do Wielkiego Teatru lub do Konserwatorium. Sąsiedzi poznali go z Guichardową, i wzajemne usługi zbliżyły ich.

Ponieważ obecność dzieci krępowała czasami Madame Guichard podczas wizyt Komarowskiego, Tyszkiewicz zostawiał jej wychodząc klucz od swego pokoju, aby mogła tam przyjmować swego przyjaciela. Wkrótce Madame Guichard tak przywykła do ofiarności wiolonczelisty, że kilka razy ze łzami w oczach stuknęła do jego drzwi, prosząc o obronę przed swym protektorem.

Był to dom parterowy, niedaleko od rogu Twerskiej. Odczuwało się tam bliskość brzeskiej linii kolejowej. Tereny kolejowe zaczynały się obok : mieszkania służbowe kolejarzy, parowozownia, składy.

Tędy wracała do domu Ola Diemina, rozsądna dziewczyna i siostrzenica urzędnika ze stacji towarowej. Ola była zdolną uczennicą. Dawna właścicielka zakładu wyróżniała ją, nowa starała się oswoić i zbliżyć do siebie. Łara podobała się Oli bardzo.

W zakładzie krawieckim wszystko pozostało jak za czasów Lewickiej. Maszyny do szycia kręciły się jak szalone, wśród opuszczających się miarowo stóp i fruwających rąk znużonych szwaczek. Jedna z nich siedziała na stole i spokojnie szyła, szerokim gestem wyciągając igłę z długą nitką. Podłoga była usiana skrawkami. Mówić trzeba było głośno, aby przekrzyczeć stukot maszyn i błyskotliwe tryle Kirilla Modestowicza czyli kanarka, wiszącego w klatce w framudze okiennej, którego nazwa była tajemnicą, zabraną do grobu przez poprzednią właścicielkę.

W poczekalni malownicza grupa pań otaczała stół z żurnalami. Jedne z nich stały, drugie siedziały oparte na łokciach w pozach, jakie widziały na ilustracjach, naradzając się nad fasonami. Za innym stołem siedziała na dyrektorskim posterunku starsza kroczyni i pomocnica Amalii Karłowny, Faina Siłantjewna Fietisowa, koścista kobieta z brodawkami w zagłębieniach wychudłych policzków.

Fietisowa trzymała w poślódkich zębach kościaną fajeczkę z papierosem, mrużyła oczy z żółtawymi białkami i, wypuszczając dym przez usta i nos, zapisywała w zeszycie miary, numery pokwitowań, adresy i życzenia tłoczących się klientek.

W pracowni Amalia Karłowna była niedoświadczoną nowicjuską. Nie czuła się też właścicielką zakładu w pełnym słowa znaczeniu. Pracownice były jednak uczciwe ; do Fietisowej można było mieć całkowite zaufanie. Niemniej przeto czasy były niepewne. Amalia Karłowna bała się myśleć o przyszłości. Chwilami wpadała w rozpacz. Wszystko wówczas leciało jej z rąk.

Komarowski odwiedzał ich często. Przechodząc do ich mieszkania przez całą pracownię, Wiktor Ippolitowicz ploszył przebiegające się elegantki, które chowały się za parawan i odpowiadały stamtąd filuternie na jego jowialne żarty. Szwaczki szeptały po jego wyjściu kpiąco i niezyczliwie : „Jaśnie pan był łaskaw”, „jej adorator”, „fatygant Amelki”, „bawół”, „pożeracz serc”.

Bardziej jeszcze znienawidzony był jego buldog Jack, którego czasami przyprowadzał na smyczy. Jack tak silnie szarpał i ciągnął smyczę, że Komarowski potykał się, rzucał się naprzód i z wyciągniętymi rękami szedł za psem, jak niewidomy za przewodnikiem.

Pewnego dnia, wiosną, Jack chwycił Łarę za nogę i rozerwał jej pończochę.

— Ja go zamorduję, tę nieczystą siłę — zaskrzeczała po dziecinnemu Ola do ucha Łary.

— Wstrętny, doprawdy, pies. Ale jak ty to, głupiutka, zrobisz ?

— Cicho, nie krzycz, ja was nauczę. Na Wielkanoc robią kamienne pisanki, jak ta na komodzie u waszej mamy...

— Tak, marmurowe, kryształowe.

— Właśnie. Nachyl się, powiem ci na ucho. Trzeba ją wziąć, namoczyć w łoju. Łój na niej przyschnie i pies ją zeżre. Napcha sobie kałdun, diabelskie zwierzę, i skończone. Łapki do góry ! Już !

Łara śmiała się i myślała z zazdrością : dziewczynka żyje w biedzie, pracuje ; dzieci ludu wcześniej rozwijają się, a ta, patrzajcie, jest tak dziecinna i czysta. Pisanki, Jack — skąd to się u niej bierze ? „I czemu taki mój los — myślała Łara — że wszystko widzę i wszystkim się wzruszam ?”

4

Mama jest przecież jego — jak się to nazywa... On jest mamy... To paskudne słowa, nie chcę ich powtarzać. Ale czemu w takim razie on patrzy na mnie takimi oczami ? Jestem przecież jej córką.

Łara miała niewiele ponad szesnaście lat, ale fizycznie była dobrze rozwiniętą dziewczyną. Dawano jej osiemnaście lat, nawet więcej. Umysł jej był jasny, charakter pogodny. Była bardzo przystojna.

Łara i Rodia wiedzieli, że mogą liczyć tylko na własne siły. W przeciwieństwie do młodzieży próżnującej i zabezpieczonej materialnie, nie mieli czasu na wybieganie myślą naprzód i teoretyczne snucie domysłów o sprawach, które ich jeszcze nie dotyczyły. Brudne są tylko rzeczy zbędne. Łara była najczystsza istotą na świecie.

Brat i siostra znali wartość rzeczy i cenili sobie to, co potrafili osiągnąć sami. Aby wybić się — trzeba być dobrze noto-

wanym. Łara uczyła się dobrze nie z oderwanego pociągu do wiedzy, lecz dlatego, że tylko dobre uczennice mogły się zwolnić od wpisowego, i, aby być dobrą uczenicą, należało się dobrze uczyć. Z taką samą łatwością, z jaką przychodziła jej nauka, Łara myła statki, pomagała w pracowni i załatwiała polecenia mamy. Ruchy jej były spokojne i płynne, i wszystko w niej — dyskretna szybkość ruchów, wzrost, głos, szare oczy i jasne włosy — wszystko składało się na harmonijną całość.

Była to połowa lipca, niedziela. W dniu świąteczne można było rankiem poleżeć dłużej w łóżku. Łara leżała na wznak, z głową opartą na skrzyżowanych pod nią rękach.

W pracowni panowała niezwykle cisza. Okno na ulicę było otwarte. Łara słyszała, jak grzmiąca po bruku dorożka wjechała na szyny konnego tramwaju, i głośny turkot zmienił się w płynny szmer kół ślizgających się po szynach. — Trzeba by jeszcze trochę pospać — pomyślała Łara. Gwar miasta usypiał ją jak kołysanka.

Długość i położenie swego ciała na łóżku Łara wyczuwała dwoma punktami skóry — wierzchołkiem lewego ramienia i wielkim palcem prawej nogi. To było ramię i noga, reszta — była to mniej więcej ona sama, jej dusza czy istota, ułożona w zgrabne kształty i z ufnością dążąca w przyszłość.

Trzeba zasnąć — pomyślała Łara i wywołała w pamięci Karietnyj Riad i jego słoneczną stronę o tej godzinie : stoiska karetників z wystawionymi na sprzedaż ciężkimi landarami na czysto zamiecionych podłogach, rżnięte szkło latarń, wypchane niedźwiedzie, wystawne życie. Niżej nieco stawiała Łara w swej wyobraźni ćwiczenia dragonów w podwórzu koszar na Znamienie : pełne godności pozy biegających w kółko koni, wskakiwanie z rozbiegu na siodło, jazdę stępa, klusem, galopem i otwarte usta nianiek i mamek z dziećmi, przywartych gęstym szeregiem do ogrodzenia koszar.

I jeszcze niżej — myślała Łara — Pietrowka z jej uliczkami. „Co wam, Łara ? Skąd takie myśli ? Chcę wam po prostu pokazać moje mieszkanie, zwłaszcza, że jest to tuż obok”.

Był to dzień św. Olgi i córeczka jego znajomych obchodziła imieniny. Przy tej okazji bawili się dorośli, tańczyli, pili szampana. Zrazu zapraszał mamę, ale mama czuła się niedobrze i powiedziała : „Weźcie Łarę. Ostrzegaliście mnie zawsze : „Amalio, pilnuj Łary”. Teraz sami jej popilnujcie”. I on jej dopilnował, nie ma co mówić. Ha, ha, ha !

Obłądana rzecz — walc. Wiruje się, wiruje, nie myśląc o niczym. Dopóki muzyka gra, mija cała wieczność, jak życie w powieściach. Lecz zaledwie przestanie grać — uczucie skandalu,

jak u kogoś, kogo oblano zimną wodą lub zastano nieubranego. I wszystkie te poufałości, na które się pozwala przez próżność, dla pokazania, jaka to ja jestem dorosła.

Łara nigdy nie przypuszczała, że on może tak dobrze tańczyć, że ma tak mądre ręce, z taką pewnością obejmujące talię! Ale całować siebie w ten sposób nikomu więcej nie pozwoli. Nie wyobrażała sobie nawet, że tyle bezwstydu może się skupić w cudzych ustach, gdy długo przywierają do jej własnych.

Porzucić te głupstwa. Raz na zawsze. Nie grać naiwnej, nie rozczulać się, nie opuszczać wstydliwie oczu. To może się kiedyś źle skończyć. Tuż obok jest straszna krawędź. Jeden krok i leci się w przepaść. Zapomnieć, nie myśleć o tańcach. Całe zło w nich. Nie krępować się, odmawiać. Kłamać, że nie umiem tańczyć lub że zламаłam nogę.

5

Jesienią zaburzenia ogarnęły moskiewski węzeł kolejowy. Kolej moskiewsko-kazańska zastrajkowała. Moskiewsko-brzeska miała się do niej przyłączyć. Strajk był już postanowiony, ale w komitecie nie było zgody co do daty jego ogłoszenia. Wszyscy kolejarze wiedzieli już o strajku, i pierwszy lepszy incydent mógł wywołać samorzutne zaprzestanie pracy.

Był to zimny, pochmurny poranek w początku października. Na całej linii miano tego dnia wypłacać pensje, ale przez długi czas księgowość zwlekała z obrachunkiem. Wreszcie do kantoru wszedł chłopiec z listą płac i kupą książeczek, odebranych pracownikom w celu potrącenia kar. Wypłata rozpoczęła się. Przez szeroki, niezabudowany pas, oddzielający drewniane budynki administracji od dworca, warsztatów, parowozowni, składów i torów, szli do kasy konduktorzy, zwrotniczy, ślusarze, ich pomocnicy i pomywaczki, szorujące podłogi w parku wagonowym.

Pachniało początkiem miejskiej zimy: podeptanymi liśćmi klonu, tającym śniegiem, dymem parowozów i ciepłym żytnim chlebem, wypiekanym w suterenie dworcowego bufetu i w tej chwili właśnie wyjętym z pieca. Przyjeżdżały i odjeżdżały pociągi. Rozsortowywano je i składano na nowo, machając zwiniętymi i rozwiniętymi chorągiewkami. Trąbki budników, świstki spinaczy i basowe gwizdki parowozów odzywały się na różne tony. Kłęby dymu w kształcie nieskończonych schodów wznosiły się ku niebu. Lokomotywy pod parą, gotowe do odjazdu, prażyły kłębami kipiącej pary w niskie, zimowe obłoki.

Naczelnik linii, inżynier komunikacji Fufłygin, i majster drogowy odcinka stacyjnego, Paweł Fierapontowicz Antipow, przechadzali się tam i z powrotem wzdłuż torów. Antipow dokuczał przełożonym skargami na materiał, dostarczany mu dla odnowienia metalowej nawierzchni torów. Stal nie posiadała dostatecznej odporności, wykazując przy próbach nadmierną kruchość i łamliwość ; szyny takie według Antipowa powinny pękać na mrozie. Zarząd pozostawał obojętny na skargi Antipowa. Ktoś musiał stąd czerpać zyski.

Fufłygin miał na sobie drogie, rozpięte futro z wypustkami kolejarza, pod nim zaś nowe, szewiotowe ubranie cywilne. Kroczył ostrożnie po plancie, głęboko zadowolony z kroju klap u swej marynarki, z wzorowo zaprasowanych spodni i szlachetnej formy obuwia.

Słowa Antipowa wpadały mu w jedno ucho i wylatywały drugim. Fufłygin myślał o jakichś swoich sprawach, co chwila wyjmował zegarek i sprawdzał godzinę ; dokąds się śpieszył.

— Prawda, prawda, mój drogi — przerywał niecierpliwie Antipowowi — ale tylko gdzieś na głównych torach lub na odcinkach między stacjami, przy wielkim ruchu. A co ty masz u siebie ? Przypomnij sobie : tory zapasowe, ślepe, słowem łopuch i pokrzywy. Jako ruch — w najlepszym razie sortowanie wagonów i rozjazdy manewrującego samowarka. I jeszcze jesteś niezadowolony ! Tu można by kłaść nawet drewniane szyny, nie tylko takie.

Fufłygin spojrzał na zegarek, zamknął przykrywkę i zaczął wpatrywać się w dal, w miejsce, gdzie szosa zbliżała się do plantu kolei. Na zakręcie szosy ukazał się powóz. Był to własny pojazd Fufłygina, po którego przyjechała żona. Stangret zatrzymał konie koło samego toru, wciąż wstrzymując je i wołając : „prrr...” cienkim, babim głosem, jakim niańki przemawiają do dzieci ; konie bowiem bały się kolei. W kącie powozu, niedbale oparta o poduszki, siedziała piękna kobieta.

— No, bracie, może innym razem — powiedział naczelnik linii i machnął ręką, jak gdyby mówił : Co tam twoje szyny ! Są ważniejsze sprawy. — Małżonkowie odjechali.

W trzy lub cztery godziny później, niedługo przed zmierzchem, dwie niewidoczne przedtem postacie wyrosły nagle jak

spod ziemi w polu koło szosy i zaczęły się szybko oddalać. Byli to Antipow i Tiwierzin.

— Chodźmy prędzej — mówił Tiwierzin. — Nie szpicli boję się, którzy mogliby nas wyśledzić, ale zaraz skończy się ten bałagan, wyjdą z ziemianki i dopędzą nas, a ja nie mogę na nich patrzeć. Jeżeli mają tak marudzić, nie trzeba było zaczynać. Nie ma w takim razie po co tworzyć komitetu, igrać z ogniem i chować się pod ziemię ! I ty też ładnie wyglądasz z całą tą partacką robotą z Koleją Mikołajowską.

— Moja Daria ma tyfus. Chciałbym umieścić ją w szpitalu. Dopóki jej nie odwiozę, nie będę miał głowy do niczego.

— Słyszałem, że dziś wypłacają pensje. Zajdę do kantoru. Gdyby to nie był dzień wypłat, plunąłbym, jak Bóg na niebie, na was wszystkich i nie czekając minuty, na własną rękę skończyłbym z bałaganem.

— A w jaki, jeżeli można zapytać, sposób ?

— Bardzo prosto. Zszedłbym do kotłowni, puścił w ruch syrenę alarmową i już.

Pożegnali się i rozeszli w różne strony.

Tiwierzin szedł teraz w kierunku miasta. Naprzeciw zdążali wychodzący z kantoru po otrzymaniu wypłaty. Było ich wielu. Na oko Tiwierzin ocenił, że na terenie stacji wszyscy prawie byli już po wypłacie.

Zaczynał się zmierzch. Na podwórzu przed kantorem, w świetle latarni tłoczyli się ospale robotnicy. U wjazdu na podwórze stał powóz Fufłygina. Fufłyginowa siedziała w nim w tej samej pozie, jak gdyby od rana nie wysiadała z powozu. Czekala na męża, otrzymującego pensję w kantorze.

Niespodzianie zaczął padać mokry śnieg z deszczem. Stangret zszedł z kozła i zaczął podnosić skórzaną budę. Gdy, oparty nogą o tylną część powozu, mocował się z metalowymi prętami, Fufłyginowa patrzyła z zachwytem na lecącą z nieba perłowo-srebrną kaszę, migoczącą w świetle latarni. Swe marzące spojrzenia rzucała ponad głowy tłoczących się robotników z taką miną, jak gdyby wzrok jej mógł, w razie potrzeby, przenikać ich na wylot, jak mgłę czy opar.

Tiwierzin dostrzegł przypadkowo jej wyraz twarzy i poczuł żywą urazę. Przeszedł nie kłaniając się Fufłyginowej i postanowił podjąć pensję później, aby nie spotykać się w kantorze z jej mężem. Poszedł dalej, w kierunku mniej oświetlonych warsztatów, gdzie czerniała obrotnica, z gwiazdą rozchodzących się torów, i remiza parowozów.

— Tiwierzin ! Kiprian ! — doszło go z ciemności kilka głosów. Przed warsztatami stała grupka ludzi. Wewnątrz ktoś krzy-

czał, i słyhać było płacz dziecka. — Kiprian Sawieljewicz, wstawcie się za chłopcem — powiedziała z tłumu jakaś kobieta.

Stary majster Piotr Chudolejew znów dawał szkołę swej ofierze, małoletniemu uczniowi Jusupce.

Chudolejew nie zawsze był katem podmajstrzych, pijakiem i kłótnikiem, stale gotowym do bójki. Niegdyś nawet kupieckie córki i popówny z podmoskiewskich osad fabrycznych oglądały się za tym dzielnym rzemieślnikiem, lecz kończąca wówczas eparchialną szkołę późniejsza matka Tiwierzina, o której rękę się starał, odmówiła mu i wyszła za mąż za jego kolegę, maszynistę Sawielja Nikitycza Tiwierzina.

W szóstym roku jej wdowieństwa, po okropnej śmierci Sawielja Nikitycza, (który w 1888 spalił się podczas głośnego wówczas zderzenia pociągów) Piotr Pietrowicz ponowił oświadczenia, i Maria Gawriłowna po raz drugi mu odmówiła. Chudolejew zaczął wówczas pić i awanturować się, załatwiając porachunki z całym światem, będącym w jego przekonaniu winowajcą jego obecnych niepowodzeń.

Jusupka był synem Hamazetdina, dozorca domu, w którym mieszkał Tiwierzin. Ten ostatni opiekował się Jusupką w warsztatach kolejowych, co podniecało jeszcze nienawiść Chudolejewa do chłopca.

— Jak trzymasz pilnik, Azjato — ryczał Chudolejew, ciągnąc Jusupkę za włosy i bijąc go po szyi. — Tak się opitowuje odlew? Ja cię pytam, czy będziesz mi dalej partaczył, ty Dulcynejo z Kasimowa, ałła-mułła z kosymi oczami?

— Aj, nie będę, majstruniu, aj, nie będę, aj, boli!

— Tysiąc razy mówię mu, naprzód ustaw kleszczak, a potem przykręcaj śrubę, a on po swojemu, po swojemu. O mały włos szpindla nie złamał, sukin syn.

— Ja szpindla nie ruszałem, majstruniu, jak Boga kocham, nie ruszałem.

— Za co chłopca gnębisz? — zapytał Tiwierzin, przeciskając się przez tłum.

— Swoje psy gryzą się, obcy niech nie podchodzi — odciął się Chudolejew.

— Pytam się, za co chłopca gnębisz?

— A ja ci mówię: idź z Bogiem, socjal-komendancie. Takiego mało zabić. Omal mi szpindla nie złamał w obrabiarce. Niech mi ręce całuje, że żyje, diabeł kosooki. Uszu mu tylko natarłem i zmyłem głowę.

— Według ciebie trzeba mu było za to głowę oderwać, ojcze Chudolejew? Wstydziłbyś się. Stary majster, głowa siwa, a rozumu w niej nie ma.

— Idź, idź, mówię, dopókiś cały. Ducha wpierv wyzioniesz, zanim mnie będziesz uczył, psi zadku ! Ciebie na podkładach kolejowych robili, rybi synu, u ojca pod samym nosem. A matkę twoją, mokrycę, ot jak znam, kotkę wyleniała, zdartą kieckę !

To co nastąpiło trwało nie dłużej niż minutę. Obaj chwycili pierwszy lepszy przedmiot ze stołu warsztatu, gdzie leżały ciężkie narzędzia i kawały żelaza, i byliby zabili się nawzajem, gdyby obecni nie rzucili się kupą, aby ich rozdzielić. Chudolejew i Tiwierzin stali naprzeciw siebie z pochylonymi głowami — czoła ich niemal się dotykały — bladzi, o oczach nabiegłych krwią. Z wzburzenia nie mogli wymówić ani słowa. Trzymano ich z tyłu mocno za ręce. Chwilami, zebrawszy siły, obaj zaczęli wyrwać się, szarpać się całym ciałem, wlokąc za sobą wiszących na nich towarzyszy. Guziki i haftki sypały się z ich ubrania, kurtki i koszule zsuwały się z obnażonych ramion. Zgiełk dokoła nich nie ustawał.

— Siekacz ! Siekacz mu odbierz, bo rozbije głowę. — Wolnego, wolnego, ojczu Piotrze, bo zwichnięsz rękę ! — Czy mamy się tu z nimi wiecznie cackać ? Rozdzielmy, zamknijmy na klucz i koniec.

Nagle Tiwierzin nadludzkim wysiłkiem strząsnął z siebie kłęb zwalonych na niego ciał i, wyrwawszy się, z rozpędu potoczył się aż do drzwi. Rzucono się za nim, lecz widząc, że ma co innego na myśli, dano mu spokój. Tiwierzin trzasnął drzwiami i poszedł nie oglądając się za siebie. Jesienna wilgoć i mrok otoczyły go. — Ty do nich z chlebem, a oni do ciebie z kamieniem — pomyślał nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie.

Cały ten podły i fałszywy świat, gdzie dobrze wykarmiona panusia śmie tak patrzeć na głuptasów-robotników, gdzie rozpita ofiara tych stosunków znajduje przyjemność w znęcaniu się nad bliźnimi, cały ten świat był mu w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek nienawistny. Szedł szybko, jak gdyby pośpiech mógł przybliżyć chwilę, gdy na świecie zapanuje taki sam porządek i rozum, jak w jego rozpalonej głowie. Był pewien, że nurtujące ich w ostatnich dniach prądy, zaburzenia na kolejach, mowy na wiecach, postanowienie o strajku, nie wykonane wprawdzie, lecz i nie odwołane, że wszystko to są pierwsze etapy otwierającej się przed nim drogi.

W tej chwili wzburzenie było w nim tak wielkie, że stracił cierpliwość i chciał przebiec całą tę drogę od razu, nie zatrzymując się nawet dla nabrania tchu. Nie zdawał sobie wprawdzie sprawy dokąd idzie wielkimi krokami, ale nogi jego wiedziały, dokąd go niosą.

Przez długi czas Tiwierzin nie domyślał się, że po jego i Antipowa wyjściu z ziemianki postanowiono rozpocząć strajk tegoż wieczora. Członkowie komitetu podzielili między siebie odcinki, które mieli obejść, zatrzymując na nich pracę. Gdy z warsztatu remontu parowozów wyrwał się, niby z głębi duszy Tiwierzina, gwizd syreny alarmowej, zrazu chrapliwy, potem coraz czystszy, tłum robotników, którzy porzucili pracę w składach i na stacji towarowej, zdążył już od semaforu wjazdowego do miasta, mieszając się po drodze z inną grupą, która porzuciła pracę na skutek sygnału, danego z kotłowni przez Tiwierzina.

Przez długie lata Tiwierzin był przekonany, że sam jeden wstrzymał tej nocy pracę i ruch na kolei. Dopiero późniejsze procesy, podczas których oskarżano go łącznie o różne przestępstwa oprócz podżegania do strajku, wyprowadziły go z błędu.

— Dokąd wołają nas? — pytali wybiegający z warsztatów. Z ciemności odpowiadano: — Tyś głuchy? Słyszysz sam: alarm. Wołają na pożar. — A gdzie się pali? — Gdzieś, widać się pali, skoro świszczą.

Trzaskały drzwi. Coraz liczniejsi porzucali pracę. Słysząc było też inne głosy. — Zawracasz głowę, — pożar! To mi dopiero wieśniak! Nie słuchajcie krety. To nie pożar, ale strajk, rozumiesz? Oto chomąt i duga, ja ci więcej nie sługa. Do domu, chłopcy.

Tłum wciąż wzrastał. Kolej zastrajkowała.

7

Tiwierzin wrócił do domu na trzeci dzień, zziębnięty, niewyspany i nieogolony. Poprzedniego dnia chwycił mróz, niezwykły jak na tę porę, Tiwierzin zaś miał jesienne ubranie. W bramie spotkał go dozorca Himazetdin.

— Dziękuję, panie Tiwierzin — zaczął — że pan nie dał skrzywdzić Jusupa. Będę się za pana zawsze modlił.

— Czyś ty oszalał? Himazetdin, jaki ja dla ciebie pan? Zostaw to, proszę. Mów prędzej, widzisz jaki mróz.

— Po co mróz? Tobie, Sawieljicz, ciepło. Wczoraj z Moskwy Towarowej przywieźli dla twojej mamy całą szopę drew, samych brzoźowych, dobrych, suchych.

— Dziękuję, Himazetdin. Chciałeś, zdaje się, powiedzieć coś jeszcze. Mów prędko, bo, widzisz, zziębłem.

— Chciałem powiedzieć: nie nocuj w domu, Sawieljicz, trzeba się chować. Stójkowy pytał, rewirowy pytał: kto, powiada,

tu chodzi. Ja mówię, że nikt nie chodzi. Pomocnik, mówię, chodzi, parowozowa brygada chodzi, kolej żelazna chodzi, ale żeby ktoś obcy — nie.

Dom, w którym Tiwierzin, będący kawalerem, mieszkał z matką i żonatym młodszym bratem, należał do sąsiedniej cerkwi Świętej Trójcy. Mieszkała w nim część personelu parafii i dwa artele owocarzy i rzeźników, handlujących w mieście na straganach, ale przeważną część mieszkańców stanowili drobni urzędnicy kolei Moskiewsko-Brzeskiej.

Dom był murowany, z drewnianymi galeriami, otaczającymi z czterech stron brudne, niebrukowane podwórze. Z galerii na galerię wiodły drewniane schody, brudne i śliskie. Czuć je było kotami i kiszoną kapustą. Na półpiętrach mieściły się budki klozetów i zamknięte na kłódki śpiżarnie.

Brat Tiwierzina, zmobilizowany podczas wojny jako szeregowy, został ranny pod Wafangou i znajdował się w szpitalu w Krasnojarsku. Żona i córki pojechały tam właśnie odwiedzić go i zabrać do domu. Kolejarze od kilku pokoleń, Tiwierzinowie byli ruchliwi i jeździli po całej Rosji za darmowymi biletami służbowymi. Mieszkanie było w tej chwili ciche i puste; znajdowała się w nim tylko matka z synem.

Mieszkanie to było na pierwszym piętrze. Przed drzwiami jego stała beczka, napełniana wodą przez wozowodów. Wszedłszy na swoje piętro, Kiprian Sawieljewicz spostrzegł, że pokrywa beczki była zsunięta na bok, i na tafli lodu pokrywającego wodę stał przymarznięty do lodowej powłoki blaszany kubek.

— Nikt inny jak Prow — pomyślał uśmiechając się Tiwierzin.
— Pije jak smok, ma ogień w brzuchu.

Prow Afanasjewicz Sokołow, psalterzysta, okazały i niestary mężczyzna, był dalekim krewnym Marfy Gawriłowny.

Kiprian Sawieljewicz oderwał przymarzły kubek, położył na beczce pokrywę i pociągnął sznurek od dzwonka. Wionęło nań ciepło zamieszkałego domu i smakowity zapach kuchni.

— Porządnie napaliliście, mamuniu. Ciepło u was, dobrze.

Matka rzuciła mu się na szyję, objęła go i zapałała.

On gładził ją po głowie, chwilę czekał, potem łagodnie odsunął.

— Odwaga zdobywa twierdze, mamuniu — powiedział półgłosem. — Stoi moja kolej od Moskwy do samej Warszawy.

— Wiem. Dlatego płaczę. Nie ujdzie ci to na sucho. Musisz stąd uciekać, Kiprianu, gdzieś daleko.

— Mało mi głowy nie rozbił wasz przyjaciel, wasz miły pastuszek Piotr Pietrowicz — próbował rozśmieszyć matkę, lecz ta nie zrozumiała żartu i odpowiedziała poważnie :

— Grzech żartować z niego, Kiprianku. Trzeba go żałować, biedaka wykończonego, przepadłą duszę.

— Wzięli Antipowa, Pawła Fierapontowicza. Przyszli w nocy, przewrócili wszystko do góry nogami i rankiem zabrali. Jego żona ma tyfus, leży w szpitalu. Pawłusza mały — chodzi do szkoły realnej — został sam jeden w domu z głuchą ciotką. Do tego jeszcze wypędzają ich z mieszkania. Zdaje mi się, że chłopca powinniśmy wziąć do nas. Po co Prow przychodził tu ?

— Skąd wiesz ?

— Beczka, widzę, nie domknęta i kubek stoi koło niej. Oczywiście myślę, Prow bezdennej wodę tu chleptał.

— Jakiś ty domyślny, Kiprianku, masz rację. Prow, Prow, Prow Afanasjewicz. Wpadł pożyczyć drew, które mu dałam. Ale głupia jestem. Co tu mówić o drwach ! Zapomniałam powiedzieć, jaką wiadomość Prow tu przyniósł. Cesarz, uważasz, podpisał manifest, że wszystko ma być inaczej, że nie wolno nikogo krzywdzić, że ziemia ma być dla chłopów i wszyscy mają być zrównani z szlachtą. Ukaz, pomyśl, jest podpisany, trzeba go tylko ogłosić. Z synodu przysłali błagalną prośbę do wstawienia do liturgii czy do modlitwy za cesarza, nie chcę mówić głupstw. Prow opowiadał, ale zapomniałam.

8

Patula ² Antipow, syn aresztowanego Pawła Fierapontowicza i leżącej w szpitalu Darii Filimonowny, przeniósł się do Tiwierzinnów. Był to schludny chłopiec o regularnych rysach i jasnych włosach, rozdzielonych po środku przedziałem. Patula co chwila przyczesywał je szczotką, poprawiał na sobie kurtkę i pasek mundurowy z sprzączką szkoły realnej. Dawał się łatwo rozśmieszać do łez i był bardzo spostrzegawczy. Z wielkim podobieństwem i zmysłem komicznym umiał naśladować wszystkich, kogo widział i słyszał.

Wkrótce po manifestie z 17 października ³ miała się odbyć wielka demonstracja między rogatką Twerską i Kałużską. Inicjatywa ta podjęta została w duchu przysłowia : „Gdzie siedem nianiek, tam dziecko jednookie”. Kilka organizacji rewolucyjnych wzięło udział w projektowaniu tego przedsięwzięcia, lecz, pokłóciwszy się, wycofały się zeń jedna za drugą ; dowiadując się

2. Paweł, Pasza, Pawłusza.

3. Manifest z 1905, którym car Mikołaj II nadał Rosji konstytucję.

jednak później, że wyznaczonego ranka tłum wyszedł mimo wszystko na ulicę, pośpieszyły wysłać na demonstrację swych przedstawicieli.

Mimo tłumaczeń i sprzeciwów Kipriana Sawieljewicza, Marfa Gawrilowna, razem z wesołym i towarzyskim Patulą, poszła na demonstrację.

Był to suchy, mroźny dzień w początku listopada. Z szarołowianego nieba padały rzadkie — można je było niemal policzyć — płatki śniegu, które długo wirowały w powietrzu i jak gdyby niechętnie spadały na ziemię, osiadając w formie szarego puchu w wybojach bruku.

Ulicą walił tłum, istny koniec świata : twarze, twarze, twarze, zimowe watowane płaszcze, barankowe czapki, starcy, studentki, dzieci, kolejarze w mundurach, tramwajarze i robotnicy z centrali telefonicznej w długich butach i skórzanych kurtkach, gimnaziści, studenci.

Przez pewien czas śpiewano *Warszawiankę*, *Wy żertwoju pali* i *Marsyliankę*, gdy nagle człowiek idący tyłem na czele pochodu i zaciśniętą w ręce papachą dyrygujący śpiewem nakrył głowę, przestał śpiewać i obróciwszy się plecami do pochodu zaczął przysłuchiwać się temu, co mówili idący obok kierownicy demonstracji. Śpiew zaczął utykać i urwał się. Słychać było tylko chrzęst kroków niezliczonego tłumu po zmarzłym bruku.

Osoby życzliwe zawiadomiły inicjatorów demonstracji, że na tę ostatnią czatują kozacy. O przygotowanej zasadzce telefonowano do pobliskiej apteki.

— Cóż robić ? — mówili przywódcy. — Główna rzecz zachować zimną krew i nie stracić głowy. Trzeba natychmiast zająć pierwszy z rzędu gmach publiczny, zawiadomić ludzi o grożącym niebezpieczeństwie i rozejść się po jednemu.

Spieran o wybór budynku. Jedni proponowali gmach Związku pracowników handlowych, inni Wyższą Szkołę Techniczną, inni wreszcie Szkołę korespondentów zagranicznych.

Podczas tej dyskusji przed idącymi ukazał się róg budynku rządowego. Była to też szkoła, będąca również dobrym schronieniem, jak wszystkie wyliczone wyżej.

Gdy czoło pochodu doszło do szkoły, przywódcy stanęli na półkolistym peronie głównego wejścia i znakami zatrzymali idących. Wieloskrzydłowe drzwi budynku otworzyły się, i pochód w pełnym składzie, futro za futrem i czapka za czapką, wypełnił przedsionek i zaczął wchodzić na główne schody.

— Do sali aktowej, do sali aktowej ! — wołały z tyłu odosobnione głosy, ale tłum szedł dalej, rozpraszając się po korytarzach i klasach.

Gdy udało się wreszcie zawrócić publiczność do sali aktowej, i gdy wszyscy rozsiedli się w niej na krzesłach, przywódcy usiłowali kilkakrotnie zawiadomić zebranych o zastawionej na nich pułapce. Nikt jednak ich nie słuchał. Zatrzymanie pochodu w zamkniętym budynku zrozumiano jako zaproszenie do improvizowanego wiecu, który też niezwłocznie się rozpoczął.

Po długim marszu ze śpiewem, wszyscy chcieli posiedzieć trochę w milczeniu. Niech teraz tyrają inni, niech zdzierają sobie gardła. W porównaniu z przyjemnością odpoczynku, niewielkie różnice zdań między mówcami, na ogół zresztą z sobą zgodnymi, nie miały znaczenia.

Dlatego największe powodzenie przypadło w udziale najgorszemu mówcy, który nie nużył słuchaczy nie budząc w nich najmniejszej chęci śledzenia jego wywodów. Po każdym jego słowie odzywał się ryk aprobaty. Nikt nie żałował, że nie słyszy słów mówcy, zagłuszonych wrzawą solidaryzujących się z nim. Potakiwano mu z niecierpliwością, krzyczano „hańba!”, układano protestacyjną depeszę, wreszcie, znudzeni jednostajnością jego głosu, wszyscy jak jeden mąż nagle wstali i, zapominając o mówcy, szereg za szeregiem, czapka za czapką, zeszli ze schodów i wysypali się na ulicę. Pochód rozpoczął się na nowo.

Gdy w szkole wiecowano, na ulicy zaczął padać śnieg. Jezdnie były teraz białe. Śnieg walił coraz gęstszy.

Kiedy dragoni zaczęli szarżować, nikt w tylnych szeregach pochodu w pierwszej chwili tego nie zrozumiał. Nad czołem pochodu przeleciała nagle narastająca fala zgietku, przypominająca „ura!”, wołane przez cały tłum. Krzyki „ratunku!”, „zabili go” i inne zlewały się w niezrozumiałą całość. W tejże chwili, jak gdyby niesione falą zgietku, w wąskim przejściu wśród uciekającego na obie strony tłumu, przemknęły szybko i milcząco końskie głowy, grzywy i wymachujący szablami jeźdźcy.

Półpluton przegalopował, zawrócił, sformował się na nowo i wciął się w tylne szeregi pochodu. Zaczęła się rzeź.

Po kilku minutach ulica opustoszała. Tłum rozproszył się w przecnicach. Śnieg padał teraz rzadki. Wieczór był suchy jak rysunek węglem. Zachodzące gdzieś za domami słońce wyjrzało nagle zza węgła i oświetliło jaskrawo, jak gdyby wskazując na nie palcem, wszystkie przedmioty czerwone: czerwone denka czapek dragonów, płótno leżące na ziemi czerwonego sztandaru i ślady krwi, tworzące nitki i punkty na śniegu.

Jęczący człowiek z rozplataną głową czołgał się na rękach brzegiem chodnika. Kilku dragonów, wracających z pościgu z drugiego końca ulicy, jechało w szeregu, stępa, środkiem jezdni.

Niemal pod nogami koni, z zsuniętą na kark chustką, miotła się Marfa Gawriłowna i krzyczała na całą ulicę: „Pasza! Pasza!”

Młody chłopiec towarzyszył jej przez cały czas, zabawiając ją z wielkim talentem naśladowaniem ostatniego mówcy, i znikł nagle w zamieszaniu podczas szarży dragonów.

W przygodzie tej Marię Gawriłownę udzielono też nahażką po plecach. Grubo watowany staroświecki płaszcz sprawił, że nie poczuła prawie wcale uderzenia, niemniej przeto rzuciła kilka przekleństw i pogroziła pięścią oddalającej się kawalerii, oburzona, że ją, starą kobietę, ośmielają się smagać batem w obecności tyłu porządných ludzi.

Marfa Gawriłowna rzucała niespokojne spojrzenia na obie strony jezdni, gdy przypadkiem dostrzegła chłopca na przeciwnym chodniku. Niewielka grupa przypadkowych gapiów stała tam stłoczona w zagłębieniu muru między sklepem kolonialnym i wysuniętą naprzód fasadą pałacyku.

Dragon, wjechawszy na chodnik, wpędził ich do tej wężki, nacierając na nich bokiem i zadem konia. Bawiąc się ich przerażeniem, zamknął im ucieczkę i wykonywał przed samym ich nosem wolty i piruety, cofał i powoli, jak w cyrku, wspinał konia. Wtem spostrzegł przed sobą wracających stępą towarzyszy, dał koniowi ostrogę i w kilku skokach znalazł się w szeregu.

Stłoczona we wnące grupa rozproszyła się. Pasza, który dotąd nie śmiał się odezwać, rzucił się teraz do babci.

Oboje poszli do domu. Marfa Gawriłowna mruczała przez całą drogę. — Mordercy przekłeci, oprawcy bezbożni! Ludzie cieszą się, car im dał wolność, ale ci tego nie mogą znieść. Wszystko chcieliby zepsuć, każde słowo przeinaczyć.

Zła była na dragonów, na cały świat, a w tej chwili nawet na własnego syna. Unosiła się gniewem, i zdawało się jej, że wszystkie te wydarzenia były dziełem kręcących się dokoła Kipriana opętańców, pomyleńców, rozcinaczy włosa na czworo, jak ich nazywała.

— Zmije jadowite! Czego im, bezbożnym, trzeba? Pojęcia o niczym nie mają. Tylko pyskować i kłócić się. A ten wygadany? Jak ty go robisz, Paszeńka? No, pokaż, kochany, pokaż go. Oj, zginę, zginę ze śmiechu. Wykapany, jak ulał. Tra-ta-ta, tra-ta-ta. Ach, ty świerzbie, komarze brzęczący, mucho natrętna!

W domu zasypała wyrzutami syna. Nie w jej wieku, mówiła, jakiś kosmaty bałwan na koniu będzie ją uczył nahażką po zadku.

— Co wam się stało, mamuniu? Jak gdybym ja był setnikiem kozaków czy szeikiem żandarmerii!

Nikołaj Nikołajewicz stał przy oknie, gdy ukazali się pierwsi uciekający. Zrozumiał, że są to demonstranci, i przez pewien czas wpatrywał się w dal, czy wśród rozchodzących się nie zobaczy Jury lub kogoś z znajomych. Nikogo z nich jednak nie było. Raz tylko wydało mu się, że syn Dudorowa (Nikołaj Nikołajewicz zapomniał, jak mu na imię) przebiegł szybko ulicę, zuchwały chłopiec, któremu niedawno musiano wyjmować kulę z lewego ramienia, i który wciąż pęta się tam, gdzie nie powinien.

Nikołaj Nikołajewicz przyjechał tu jesienią z Petersburga. W Moskwie nie miał własnego kąta, nie chciał zaś mieszkać w hotelu. Zatrzymał się więc u Swientickich, swoich dalekich krewnych, którzy oddali do jego dyspozycji narożny gabinet pierwszego piętra.

Piętrowy pawilon był zbyt obszerny dla bezdzietnej pary Swientickich. Rodzice ich wynajęli w niepamiętnych czasach to mieszkanie od ks. Dołgorukich. Posesja Dołgorukich, obejmująca trzy podwórza i ogród z rozrzuconymi w nim bezładnie budynkami w różnym stylu, wychodziła na trzy ulice i nosiła wciąż starą nazwę Młynarskiego Gródka.

Mimo czterech okien, gabinet był ciemnawy, przeładowany książkami, papierami, dywanami i sztychami. Przylegał doń półkolista balkon, otaczający róg budynku. Podwójne, oszklone drzwi wychodzące na balkon były opatrzone na zimę i szczelnie zamknięte.

Przez dwa okna i oszklone drzwi gabinetu widać było całą długość uliczki, uciekającą w dal senną drogę i krzywo stojące domki i płoty.

Z ogrodu padały w głąb gabinetu liliowe cienie. Drzewa zaglądały doń tak, jak gdyby chciały złożyć na podłodze swe gałęzie pokryte ciężkim szronem, podobnym do zastygłych, liliiowych strug stearyny.

Nikołaj Nikołajewicz patrzył na ulicę i przypominał sobie swą zesłoroczną zimę w Petersburgu, Gaponą, Gorkiego, wizytę Wittego i modnych pisarzy współczesnych. Uciekł z tego zamętu, aby w spokoju starej stolicy pisać zamierzoną książkę. Gdzie tam! Wpadł z deszczu pod rynną. Co dzień odczyty, sprawozdania; nie dawano mu nawet zebrać myśli. To na wyższych żeńskich kursach, to w Religijno-Filozoficznym Towarzystwie, to na rzecz Czerwonego Krzyża, to Funduszu pomocy dla strajkujących. Ach, gdyby tak wyjechać do Szwajcarii, do zapadłego kąta jakiegoś leśnego kantonu! Spokój jasnego jeziora, niebo

i góry i dźwięczne, budzące echo i zaostrzające czujność powietrze.

Nikołaj Nikołajewicz odwrócił się od okna. Chciał wyjść z domu, odwiedzić znajomych lub po prostu znaleźć się, chociażby bez celu, na ulicy. Przypomniał sobie jednak, że tołstojowiec Wywołocznow miał się doń zgłosić w jakiejś sprawie, i że nie powinien opuszczać domu. Zaczął więc chodzić tam i z powrotem po pokoju. Myślał teraz o siostrzeńcu.

Jadąc z nadwożańskiego partykularza do Petersburga, Nikołaj Nikołajewicz przywiózł Jurę do Moskwy i zostawił go tam w kole spokrewnionych z nim rodzin Wiedieniapińów, Ostromyslenskich, Sieljawinów, Michaëlisów, Swientickich i Gromeków. Zrazu zostawił go u starego niedojdy i gaduły Ostromyslenskiego, którego rodzina nazwała po prostu Fed'ką. Fed'ka żył w wolnym związku z swą wychowaną Motią i z tego tytułu uważał się za buntownika, zagrażającego porządkowi świata, i za bojownika idei. Fed'ka zawiódł pokładane w nim zaufanie i okazał się nawet niesumienny, obracając na własny użytek część pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie Jury. Tego ostatniego umieszczono więc w profesorskiej rodzinie Gromeków, gdzie się też w tej chwili znajdował.

U Gromeków Jura znalazł niezwykle sprzyjającą atmosferę.

— Wytworzył się tam — myślał Nikołaj Nikołajewicz — rodzaj triumwiratu: Jura, jego kolega z tejże klasy gimnazjum Gordon i córka gospodarzy, Tonia Gromeko. Trójka ta naczytała się *Sensu miłości*⁴ i *Kreuzerowskiej Sonaty*⁵ i oszalała na punkcie czystości.

Wiekowi chłopięcym trzeba przejść taką pasję czystości, ale oni doprawdy przesadzają, pomieszało się im w głowach.

Dzieciństwo łączy się u nich z dziwactwem. Całą sferę zmysłów, która ich tak niepokoi, nazywają czemuś „plugastwem” i używają tego słowa do rzeczy i od rzeczy. Określenie bardzo nieszczęśliwe! „Plugastwem” jest dla nich i głos instynktu i literatura pornograficzna i wyzysk kobiet i bez mała cały świat zmysłów. Gdy słyszą to słowo, bledną i czerwienią się.

— Gdybym mieszkał w Moskwie — myślał Nikołaj Nikołajewicz — nie dopuściłbym, aby rzeczy te zaszły tak daleko. Wstydlivość jest niezbędna, ale w pewnych granicach... Ale oto Nił Fieoktistowicz! Prosimy bardzo — zawołał i poszedł na spotkanie gościa.

4. W. Sołowiewa.

5. L.N. Tołstoja.

Do pokoju wszedł tęgi mężczyzna w szarej koszuli, przepasany szerokim rzemieniem. Na nogach miał walonki, spodnie były wypchane na kolanach. Robił wrażenie pocziwca bujającego w obłokach. Na nosie skakało mu złośliwie małe *pince-nez* na szerokiej, czarnej tasiemce.

Rozbierając się w przedpokoju, przybyły nie dokończył tej czynności. Nie zdjął szalika, który włókł się za nim po ziemi, w rękę zaś trzymał okrągły, filcowy kapelusz. Wszystko to krępowało jego ruchy, nie pozwalając nie tylko uścisnąć ręki Nikołaja Nikołajewicza, lecz nawet odpowiedzieć na jego powitanie.

— Ee... mm... — mrucał zmieszany, oglądając się po kątach.

— Kładźcie, gdzie chcecie — powiedział Nikołaj Nikołajewicz, przywracając gościowi dar słowa i przytomność umysłu.

Był to jeden z tych wyznawców Lwa Tołstoja, w których głowach myśli geniusza, nie znającego nigdy spokoju, zażywały długiego i pogodnego odpoczynku, malejąc przy tym niepowrotnie.

Wywołocznów przyszedł prosić Nikołaja Nikołajewicza o wygłoszenie w jakiejś szkole odczytu na rzecz więźniów politycznych.

— Raz już miałem tam odczyt.

— Na rzecz politycznych?

— Tak.

— Trzeba będzie raz jeszcze.

Nikołaj Nikołajewicz zrazu opierał się, lecz wreszcie zgodził się.

Przedmiot rozmowy został wyczerpany. Nikołaj Nikołajewicz nie zatrzymywał Niła Fieoktistowicza, który mógł wstać i wyjść. Wywołocznów uważał jednak, że nie wypada mu wyjść tak przedko. Na pożegnanie należało powiedzieć jeszcze coś dowcipnego, nieprzymuszonego. Zawiązała się rozmowa, sztuczna i przykra.

— Dekadentyzujecie? Wpadliście w mistycyzm?

— Niby dlaczego?

— Zginął człowiek. Ziemstwo pamiętacie?

— I jak! Razem przecież pracowaliśmy podczas wyborów.

— Walczyliśmy o szkoły wiejskie, o seminaria nauczycielskie.

Pamiętacie?

— Oczywiście. Gorące to były walki. Wy potem, zdaje się, zajmowaliście się służbą zdrowia i opieką społeczną. Czy tak?

— Tak, przez pewien czas. Tak to... A teraz fauny i nenu-

fary, efeby i „bądźmy jak słońce”⁶. Zabijcie mnie, a nie uwierzę, aby człowiek tak mądry, z takim poczuciem humoru i znajomością ludu... Zostawcie to innym... Być może wtrącam się... Jest w tym może jakiś sekret?

— Po co rzucacie na chybił trafił słowa, nie zastanowiwszy się przed tym? O co się spieramy? Nie znacie przecież moich myśli.

— Rosji trzeba szkół i szpitali, a nie faunów i nenufarów.

— Nikt temu nie przeczy.

— Chłopi chodzą boso i puchną z głodu...

Rozmowa posuwała się naprzód takimi skokami. Zdając sobie sprawę z beznadziejności swego przedsięwzięcia, Nikołaj Nikołajewicz zaczął wyjaśniać, co go łączy z pewnymi pisarzami z szkoły symbolistów, potem zaś przeszedł do Tolstoja.

— Do pewnego stopnia jestem z wami, Lew Nikołajewicz mówi jednak, że im bardziej ktoś oddaje się pięknu, tym więcej oddala się od dobra.

— A wy myślicie, że jest odwrotnie? Że świat zostanie zbawiony przez piękno, misteria itd., przez Rozanowa i Dostojewskiego?

— Zaczekajcie, sam powiem co myślę. Myślę, że gdyby drzemiące w człowieku zwierzę można było opanować obawą więzienia czy groźbą kar zagrobowych, co na jedno wychodzi, najwyższym symbolem ludzkości byłby cyrkowy poskromiciel z batem w ręku, nie zaś prorok pełen poświęcenia. Ale w tym właśnie rzecz, że przez długie wieki nie pałka podnosiła człowieka wzwyż, lecz muzyka, nieodparta siła bezbronnej prawdy, zaraźliwość dobrego przykładu. Uważano dotąd, że główną rzeczą w Ewangelii są pouczenia moralne i reguły zawarte w przykazaniach, dla mnie zaś najważniejsze jest to, że Chrystus mówi przypowieściami, objaśniając prawdę światłem codzienności. U podstawy tego leży myśl, że obcowanie śmiertelnych jest nieśmiertelne, i że życie jest symboliczne ponieważ jest znaczące.

— Nic nie zrozumiałem. Napiszcie o tym książkę.

Po wyjściu Wywołocznowa Nikołaja Nikołajewicza ogarnęła okropna irytacja. Był zły na siebie, że wygadał takiemu bałwanowi jak Wywołocznow część swych najszybszych myśli, które zresztą nie wywarły nań najmniejszego wrażenia. Jak to czasem bywa, rozdrażnienie Nikołaja Nikołajewicza zmieniło po chwili kierunek. Zapominając Wywołocznowa, jak gdyby go w ogóle nigdy nie było, przypomniał sobie inny wypadek. Nikołaj Nikołajewicz nie prowadził dziennika, lecz raz lub dwa do roku notował

6. Tytuł głośnego wówczas zbioru wierszy K. Balmonta.

w grubym, szkolnym zeszycie najbardziej frapujące go myśli. Otworzył teraz ten zeszyt i zaczął w nim pisać szerokim, czytelnym pismem. Oto co napisał :

„Cały dzień nie posiadam się ze złości przez tę głupią Schlesingerową. Przychodzi taka do mnie z rana, siedzi do obiadu i przez dwie bite godziny męczy czytaniem galimatiasu : wierszowanego tekstu symbolisty A do symfonii kosmogonicznej kompozytora B, z duchami planet, głosami czterech elementów itd. itd. Słuchałem, słuchałem cierpliwie, wreszcie nie wytrzymałem i zacząłem błagać, aby mi darowała resztę, bo więcej nie mogę.

„Nagle zrozumiałem wszystko. Zrozumiałem, dlaczego te rzeczy są tak zabójczo nieznosne i fałszywe nawet w *Fauście*. Zainteresowanie dla nich jest sztuczne, udane. Człowiekowi współczesnemu to niepotrzebne. Gdy dręczą go zagadki wszechświata, zagłębia się w fizykę, a nie w heksametry Hezjoda.

„Chodzi jednak nie tylko o przestarzałość tych form, o anachronizm. Rzecz w tym, że wszystkie te duchy ognia i wody zaciemniają tylko to, co zostało świetnie wyjaśnione przez naukę. Rzecz w tym, że cały ten rodzaj literacki sprzeczny jest z duchem, z istotą i motywacją sztuki współczesnej.

„Kosmogonie te były dobre na starej ziemi, zaludnionej tak rzadko, że człowiek nie zasłaniał sobą przyrody. Mamuty przechadzały się jeszcze po niej swobodnie, a wspomnienia dinozaurów i smoków były jeszcze świeże. Przyroda tak rzucała się człowiekowi w oczy i z taką drapieżnością chwytala go za gardło, że istotnie być może świat ten był pełen bogów. Były to zaledwie pierwsze stronicie rozpoczętej dopiero kroniki ludzkości.

„Świat starożytny skończył się na Rzymie na skutek przełudnienia.

„Rzym był rynkiem starzyzny, na którym tłoczyły się zapożyczone bóstwa i podbite narody, z ścisaniem w obu kondygnacjach na ziemi i na niebie, był świństwem duszającym się w zaciśniętym trzykrotnie, jak skręt kiszek, węźle : Dakowie, Herulowie, Scyci, Sarmaci, Hyperborejczycy, ciężkie koła bez szprych, zarosłe tłuszczem oczy, sodomia, podwójne podbródki, karmienie ryb ciałem wykształconych niewolników, niepiśmienni cesarze. Ludzi było więcej niż kiedykolwiek później ; tłoczyli się w korytarzach Kolizeum i cierpieli.

„I oto pomiędzy te niesmaczne zwały marmuru i złota wszedł ktoś lekki, odziany w jasność, jaskrawo ludzki, umyślnie prowincjonalny, galilejski, i od tej chwili przestały istnieć narody i bogowie ; zaczął się czas człowieka, człowieka-cieśli, człowieka-oracza, człowieka pasterza z stadem owiec o zachodzie słońca,

człowieka, którego imię nie dźwięczy bynajmniej dumnie⁷, człowieka wspominanego wdzięcznie we wszystkich kołysankach matek i we wszystkich galeriach obrazów świata”.

II

Pietrowka robiła wrażenie petersburskiego zakątka, przeniesionego do Moskwy: symetria budynków po obu stronach ulicy, ozdobne i w dobrym stylu bramy, księgarnia, czytelnia, instytut kartograficzny, przyzwoity sklep tytoniowy i porządna restauracja, przed którą na masywnych konsolach stały dwie gazowe lampy o matowych kloszach.

Zimą miejsce to było posępne i nieprzystępne. Mieszkali tu ludzie poważni, szanujący się i czerpiący znaczne dochody z wykonywania wolnych zawodów.

Wiktor Ippolitowicz Komarowski wynajmował tu na pierwszym piętrze wystawne mieszkanie kawalerskie, do którego prowadziły szerokie schody z szerokimi, dębowymi poręczami. Emma Ernestowna, jego gospodyni lub raczej zarządzająca jego ustroniam, wnikająca we wszystko, lecz na pozór nie wtrącająca się do niczego, prowadziła jego gospodarstwo, on zaś odpłacał jej za to rycerską wdzięcznością, wrodzoną u takiego gentlemana, nie tolerując w swym mieszkaniu żadnych gości lub odwiedzających, których obecność nie pasowałaby do jej cichego, staropanieńskiego świata. Cisza panowała tam klasztorna, story były spuszczone, nigdzie plam ani śladów kurzu, jak w sali operacyjnej.

W niedzielę przed obiadem Wiktor Ippolitowicz przechadzał się zwykle po Pietrowce i po Kuźnieckim Moście z swym buldożem. Na jednym z rogów przyłączał się do nich Konstantin Iljarionowicz Satanidi, aktor i karciarz.

Szli razem szlifować bruki, przerzucając się krótkimi anegdotami i uwagami tak zwięzłymi, nieznacznymi i pełnymi pogardy dla całego świata, że mogliby zastąpić słowa prostym porykiwaniem, aby nappełnić oba chodniki Kuźnieckiego swymi grzmiącymi bezwstydnie basami, duszącymi się jak gdyby od własnych wibracji.

7. Aluzja do słów Gorkiego z *Na dnie*: „Człowiek — to brzmi dumnie”.

Pogoda przesilała się. „Kap-kap-kap” dzwoniły krople po blasze rynien i gzymsów. Jeden dach dzwonił tak do drugiego, jak wiosną. Była odwilż.

Łara była przez całą drogę jak nieprzytomna i dopiero po powrocie do domu zrozumiała co się stało.

W domu wszyscy spali. Zdrętwienie ogarnęło ją znowu. Roztargniona usiadła przed matczyną toaletą w jasno liliowej, prawie białej, ozdobionej koronkami sukni, którą wypożyczyła na jeden wieczór z pracowni, niby na maskaradę. Siedziała przed własnym odbiciem w lustrze, lecz nie widziała nic. Potem skrzyżowała ręce na stoliku i złożyła na nich głowę.

Jeżeli mama dowie się, zabije ją. Zabije i odbierze sobie życie.

Jak to się stało? Jak to się mogło stać? Teraz za późno. Trzeba było myśleć przedtem.

Teraz jest — jak to się nazywa? — teraz jest kobietą upadłą. Jest kobietą z francuskiej powieści i jutro w gimnazjum siądzie na jednej ławce z dziewczętami, które w porównaniu z nią są niemowlętami. Boże, Boże, jak to się mogło stać?

Kiedys, po wielu latach, kiedy to będzie wolno, Łara opowie to Oli Dieminej. Ola obejmie jej głowę i rozplacze się.

Za oknem szemrały krople, majączyła odwilż. Na ulicy ktoś głośno stukał do drzwi sąsiadów. Ramiona jej drgały. Łara płakała.

Ach, Emma Ernestowna, to nie ma, moja droga, znaczenia. To mi po prostu dokuczyło.

Komarowski rozrucił po dywanie różne części garderoby, mankiety i półkoszulki, wysuwał i wsuwał z powrotem szuflady, nie wiedząc sam dobrze czego chce.

Chciał ją zobaczyć za wszelką cenę, tej niedzieli zaś było to niemożliwe. Miotał się więc jak zwierz po pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

Urok jej uduchowienia był bezprzykładny. Ręce jej zadziały jak wzniosła myśl. Cień jej na ścianie hotelowej zdawał się być obrazem jej czystości. Koszula na jej piersi naciągała się mocno i prosto, jak płótno na krosnach.

Komarowski bębnił palcami po szybie w takt nieśpiesznego klaskania kopyt dorożkarskiego konia po asfalcie ulicy. „Łara”,

szeptał i zamykał oczy, a w wyobraźni widział w swych rękach jej głowę objętą snem, z opuszczonymi rzęsami, nieświadomą że ktoś na nią patrzy i godzinami nie odrywa od niej wzroku. Dym jej rozrzuconych po poduszce włosów gryzł go w oczy i przenikał w głąb duszy.

Niedzielną przechadzką nie udała mu się. Komarowski zrobił z Jackiem kilka kroków i zatrzymał się. Wyobraził sobie Kuźniecki Most, żarty Satanidiego i idący naprzeciw tłum znajomych. Nie, to było ponad jego siły! Wszystko to było teraz wstrętne. Komarowski zawrócił. Pies zdziwił się, patrzył nań przez chwilę z wyrzutem, wreszcie niechętnie poszedł za panem.

— Co za czary! — myślał. — Co to wszystko znaczy? Czy jest to przebudzenie się sumienia, uczucie litości, żalu? Czy tylko niepokój? Wie przecież, że Łara jest teraz w domu, poza wszelkim niebezpieczeństwem. Cemu więc nie może przestać o niej myśleć?

Komarowski wszedł do bramy. Wchodząc na schody, na półpiętrze zatrzymał się i odwrócił. Półpiętrze oświetlone było weneckim oknem, z stylizowanymi herbami w rogach szyb. Kolorowe refleksy padały przez nie na podłogę i na framugi okna. W połowie schodów Komarowski zatrzymał się znów.

— Nie poddawać się temu dręczącemu, ssącemu uczuciu! Nie jest więcej dzieckiem i powinien rozumieć, co się z nim stanie, jeżeli z przedmiotu rozrywki dziewczyna ta, córka zmarłego przyjaciela, niemal dziecko, stanie się jego szaleństwem. Oprzytomnieć! Pozostać wiernym sobie, nie zmieniać przyzwyczajień, bo wszystko pójdzie w ruinę.

Ręką ścisnął aż do bólu szeroką poręcz schodów, zamknął na chwilę oczy, zawrócił i zdecydowanym krokiem zaczął schodzić ze schodów. Na półpiętrze z barwnymi refleksami dostrzegł pełne uwielbienia spojrzenie buldoga. Jack patrzył nań z dołu, podnosząc głowę jak stary, zaśliniony karzeł z obwisłymi policzkami.

Pies nie lubił Łary, rozrywał jej pończochy, warczał na nią i szczyrzył zęby. Był zazdrosny o Łarę, jak gdyby w obawie, że Komarowski może zarazić się od niej czymś ludzkim.

— Ach, tak? Postanowiłeś, że wszystko zostanie po dawnemu: Satanidi, łajdactwa, anegdoty? Masz za to, masz, masz!

I zaczął bić buldoga trzcina, kopać nogami. Skomląc i wyjąc, Jack wyrwał się mu i z trzęsącym się zadem pobiegł na pierwsze piętro skrobać do drzwi i skarżyć się Emmie Ernestownie.

Mijały dni i tygodnie.

Było to zaczarowane koło! Gdyby wtargnięcie Komarowskiego w jej życie budziło w niej tylko odrazę, Łara zbuntowałaby się i wyrwała mu. Ale sprawa nie była tak prosta.

Dziewczynnie pochlebiało, że siwiejący, mogący być jej ojcem, mężczyzna, oklaskiwany na zebraniach i wymieniany w gazetach, traci na nią czas i pieniądze, nazywa bóstwem, wozi do teatrów i na koncerty i — jak się to mówi — „rozwija umysłowo”.

Łara była młodą gimnazistką, uczestniczą niewinnych szkolnych spisków i figli. Poufałości Komarowskiego, w karecie pod nosem dorożkarza, czy w łożu proscenium w oczach całego teatru, czarowały ją nowym dla niej zuchwalstwem i zachęcały do naśladownictwa budzącego się w niej chochlika.

Chwile wyzywającej, uczniowskiej swawoli szybko jednak mijały. Pozostawało po nich na długo tępe uczucie wewnętrznej rozterki i obrzydzenia do samej siebie. Od nieprzespanych nocy, od łez i ciągłej migreny, od uczenia się lekcji i ogólnego znużenia Łara była wciąż senna.

Komarowski był jej przekleństwem, nienawidziła go. Myśli te snuła na nowo każdego dnia.

Stała się na całe życie jego niewolnicą. Jak doprowadził ją on do tego stanu? Czym zmusza do posłuszeństwa, do uległości, do delektowania go drżeniem jej nagiego wstydu? Przewagą wieku, zależnością finansową matki, finezją szantażu? Nie, nie i nie. Wszystko to nieprawda.

Nie ona jest zależna od niego, ale on od niej! Czyż nie widzi jak on za nią tęskni? Nie ma się czego bać, sumienie jej jest czyste. To on będzie bał się i wstydził, jeżeli ona go zde-maskuje. W tym jednak rzecz, że ona tego nigdy nie robi. Brak jej do tego podłości, głównej siły Komarowskiego wobec zależnych i słabych.

Na tym polega między nimi różnica. Przez to otaczające życie jest tak straszne. Czy ogłusza grzmotem i błyskawicą? Nie, krzywym spojrzeniem i szeptem obmowy. Wszystko w życiu jest podstępne i dwuznaczne. Podobne do pajęczyny: oddzielne nici

rwą się łatwo — wystarczy pociągnąć — ale spróbuj wypłatać się z sieci a uwikłasz się jeszcze bardziej.

Tak nad silnym panuje podły i słaby.

16

Mówiła sobie : — A gdybym była zamężna ? Czym by się to różniło ? Uciekała się do sofistyki. Chwilami jednak ogarniał ją beznadziejny smutek.

Jak on się nie wstydzi tarzać się u jej stóp i błagać : „Tak dłużej być nie może. Pomyśl, co ja z tobą zrobiłem. Toczysz się po równi pochyłej. Wyznajmy wszystko mamie. Ja się z tobą ożenię”.

Plakał i nalegał, jak gdyby sprzeczała się z nim i odmawiała. Wszystko to były tylko frazesy i Łara nie słuchała nawet tych tragicznych i pustych słów.

Tymczasem nadal prowadzał ją, z twarzą zasłoniętą długą woalką do gabinetów tej okropnej restauracji, gdzie lokaje i posilający się goście zdawali się rozbierać ją spojrzeniami. Łara zadawała sobie pytanie : czy kochając musi się poniżać ?

Pewnego razu miała taki sen : leżała pod ziemią, został z niej tylko lewy bok z ramieniem i prawa stopa. Z lewej piersi rósł jej pęk trawy, na ziemi zaś śpiewano *Czarne oczy i biała pierś* oraz *Zakazano Maszy chodzić za rzekę*.

17

Łara nie była wierząca. Nie przywiązywała wagi do obrzędów. Chwilami jednak nie mogłaby znieść życia, gdyby nie towarzyszyła jej krokom pewnego rodzaju muzyka wewnętrzna. Muzyki takiej nie mogła wymyśleć na każdy wypadek sama. Było nią dla Łary słowo Boże o życiu ; chodziła płakać nad tym ostatnim do cerkwi.

Raz, w początku grudnia, czując się jak Katierina z *Burzy*⁸, poszła do cerkwi w takim nastroju, jak gdyby ziemia miała się pod nią rozstąpić, a strop cerkwi upaść na jej głowę. Zasłużyła na to. Tak byłoby wszystko skończone. Szkoda tylko, że wzięła z sobą tę terkotkę Olę Dieminę.

8..Dramat A.N. Ostrowskiego.

— Prow Afanasjewicz — szepnęła jej na ucho Ola.
— Pst. Zostaw mnie, proszę. Jaki Prow Afanasjewicz?
— Prow Afanasjewicz Sokołow. Ten co czyta.
— Aha, ona o psalterzyście. Rodzina Tiwierzinów. Pst. Nic nie mów. Nie przeszkadzaj mi, proszę.

Przyszły do cerkwi w początku nabożeństwa. Śpiewano właśnie: „Dziękuj, duszo moja, Panu, i całe jestestwo moje niech chwali jego imię”.

Cerkiew była bardzo akustyczna i prawie pusta. Tylko na przodzie niewielka grupa modlących się tłoczyła się koło ikonostasu. Cerkiew była świeżo zbudowana. Przez niepomalowane jeszcze szyby okna widać było szarą ulicę i brodzących w śniegu przechodniów. Pod oknem tym stał starosta cerkiewny i, nie zwracając uwagi na nabożeństwo, głośno strofował jakąś opętaną dewotkę w łachmanach. Głos jego był tak samo kazionny i powszedni jak okno i ulica. Zanim Łara, okrążając modlących się, z zaciśniętymi w ręce miedziakami, zdążyła kupić przy wejściu świece dla siebie i Oli i tak samo ostrożnie wrócić na miejsce, Prow Afanasjewicz zdążył już odbębnić dziewięć wersetów Ewangelii, jak gdyby chodziło o coś, co i bez jego czytania jest wszystkim znane.

Błogosławieni ubodzy duchem... Błogosławieni którzy płaczą... Błogosławieni łaknący prawdy...

Łara drgnęła. To o niej. Los podeptanych jest godny zazdrości. Ci mają coś o sobie do opowiedzenia. Tak myślał On. Takie jest zdanie Chrystusa.

18

Były to dni Priesni⁹. Guichardowie znaleźli się w pasie objętym powstaniem. Na Twierskiej, o kilka kroków od ich domu, wznoszono barykadę widoczną z okien salonu. Z podwórza ich brano wodę, którą polewano barykadę, aby spoić żelaznym pancernem kamienie i żelazny złom, z jakiego była zbudowana.

W sąsiednim podwórzu znajdował się zborny punkt bojowców, coś w rodzaju punktu sanitarnego i aprowizacyjnego.

Przychodzili tam dwaj chłopcy. Łara знаła ich obu. Jednym był Nika Dudorow, przyjaciel Nadi, u której Łara poznała go. Prosty i dumny, małowówny, był zbyt podobny do Łary, aby mógł ją interesować.

9. Dzielnica Moskwy, która broniła się długo podczas grudniowego powstania w 1905.

Drugim był uczeń szkoły realnej Antipow, mieszkający u starej Tiwierzinowej, babki Oli Dieminej. Bywając u Marfy Gawriłowny, Łara spostrzegła, że wywiera na tym chłopcu głębokie wrażenie. Pasza Antipow był jeszcze tak chłopięcy, że nie mógł ukryć radości, jaką sprawiały mu jej odwiedziny. Łara była dlań jak brzozowy gaj w upalny dzień, z czystą trawą i obłokami, gdzie można bez przeszkód wyrażać swój cielecy zachwyty, nie obawiając się śmieszności.

Zauważywszy to, Łara zaczęła bezwiednie wpływ swój na chłopca pogłębiać i rozszerzać. Zresztą oswojeniem tego łagodnego i uległego charakteru miała zająć się poważniej w kilka lat później, w nowej fazie ich przyjaźni, gdy Patula miał już świadomość, że kocha ją bez pamięci, i że nie ma dlań więcej odwrotu.

Chłopcy bawili się w najniebezpieczniejszą z wszystkich gier dorosłych, mianowicie w wojnę, przy tym taką, za udział, w której wieszano i zsyłano. Baszłyki ich były jednak związane z tyłu na węzły zdradzające od razu dzieci i wskazujące, że dzieci te miały jeszcze tatę i mamę. Łara patrzyła na nich jak dorosła na nieletnich. Ich niebezpieczne zabawy miały odcień niewinności. Odcień ten udzielał się wszystkiemu co ich otaczało. Mroźnemu wieczorowi, porastającemu szronem tak ciężkim, że wskutek gęstości swej wydawał się nie biały lecz czarny. Niebieskawym cieniom w podwórzu. Przeciwniegiemu domowi, służącemu chłopcom za schronienie. I nawet wystrzałom z rewolweru, dochodzącym wciąż z tego domu. „Chłopcy strzelają” — myślała Łara. Myślała tak nie tylko o Nice i Patuli, ale o całym strzelającym mieście. „Zacni, porządni chłopcy” — mówiła sobie. „Porządni, dlatego strzelają”.

19

Dowiedziano się, że barykada może być ostrzeliwana przez artylerię, i że dom jest w niebezpieczeństwie. O przeniesieniu się do znajomych w innej części Moskwy nie było mowy, bo cała dzielnica była otoczona. Należało szukać jakiegoś schronienia bliżej, wewnątrz linii okrążenia. Przypomniano sobie „Czarnogórze”.

Jak się okazało, nie byli tam pierwsi. Cały hotel był zajęty. Wielu znalazło się w tym samym położeniu. Jako dawnych klientów, obiecano umieścić ich w komorze na bieliznę.

Guichardowie związali najpotrzebniejsze rzeczy w trzy tobołki, aby nie zwracać uwagi kufram, i odkładali z dnia na dzień przenosiny do hotelu.

Dzięki panującym w nim patriachalnym obyczajom, zakład krawiecki, mimo strajku, pozostawał nadal czynny. Wreszcie, pewnego zimnego wieczora o zmroku, od ulicy odezwał się dzwonek. Przyszedł ktoś z skargami i wyrzutami. Z frontowych schodów wywołano właścicielkę zakładu. Dla załagodzenia sprawy, do przedpokoju wyszła Faina Siłantjewna. — Chodźcie, dziewczęta! — zawołała po chwili i przedstawiła je, jedną po drugiej, przybyłemu. Ten ostatni uściśnął każdej rękę, serdecznie i niezgrabnie, i, omówiwszy sprawę z Fietisową, wyszedł.

Wróciwszy do warsztatu, szwaczki zaczęły zawiązywać na głowach chustki i, podnosząc wysoko ramiona, wciągać na nie ciasne rękawy swoich futerek.

— Co się stało? — zapytała wchodząc Amalia Karłowna.

— Musimy zaprzestać pracy, Madame. Strajkujemy.

— Czyż ja... Czy wam zrobiłam coś złego? — Madame Guichard rozplakała się.

— Nie denerwujcie się, Amelio Karłowno. Nie mamy do was żadnej pretensji. Jesteśmy wam bardzo wdzięczne. Nie chodzi tu o was ani o nas. Teraz tak wszędzie, strajkuje cały świat. A czy przeciw całemu światu można coś zrobić?

Wyszły wszystkie, nawet Ola Diemina i Faina Siłantjewna, która na pożegnanie szepnęła Amalii Karłownie, że cały ten strajk zainscenizowała dla dobra zakładu i właścicielki. Ale ta ostatnia nie panowała więcej nad sobą.

— Co za czarna niewdzięczność! Pomyśl tylko, jak łatwo mylić się co do ludzi! Ta dziewczyna, dla której miałam tyle serca! Ta, powiedzmy, jest jeszcze dzieckiem, ale ta stara wiedźma!

— Zrozum, mamó — pocieszała ją Łara — że nie mogą dla was robić wyjątku. Nikt nie ma wam nic do zarzucenia. Przeciwnie. Wszystko, co się teraz dokoła dzieje, robi się w imię człowieka, dla obrony słabych, dla dobra kobiet i dzieci. Tak, tak, nie trzęście tak nieufnie głową. Być może potem będzie lepiej wam i mnie.

Matka jednak nie rozumiała. — Bo ty tak zawsze — mówiła szlochając. — Gdy myśli i bez tego się płaczą, ty palniesz zawsze coś takiego, że oczy kołem stają ze zdumienia. Paskudzą mi na głowę, a według ciebie to ma być w moim interesie. Nie, widocznie zdzieciniałam naprawdę.

Rodia był w szkole kadetów. Łara i matka błękały się same po pustym domu. Nieoświetlona ulica patrzyła w okna pustymi oczodołami. Dom odpowiadał jej tym samym spojrzeniem.

— Chodźmy do hotelu, mamó, zanim się ściemni. Słyszysz, mamó ? Zaraz, nie odkładając.

— Filat, Filat ! — zawołały dozorcę. — Filat, odprowadź nas, kochanku, do „Czarnogórze”.

— Słucham panią.

— Weź te tobołki i pilnuj póki co mieszkania. Nie zapominaj o ziarenkach i wodzie dla Kirilla Modestowicza. Wszystko zamykaj na klucz. I zaglądaj do nas, prosimy bardzo.

— Słucham panią.

— Dziękujemy ci. Niech cię Pan Bóg błogosławi. Usiądźmy jeszcze na chwilę na pożegnanie i z Bogiem.

Gdy znaleźli się na ulicy, powietrze wydało się im, jak wstającym z długiej choroby, niezwykle. Mroźna, czysta jak po wielkim sprzątaniu przestrzeń niosła lekko na wszystkie strony okrągłe, gładkie, niby wypolerowane na tokarni dźwięki. Salwy i wystrzały robiły co mogły : mlaskały, klaskały, szczękały.

Mimo zapewnień Filata, Łara i Amalia Karłowna były pewne, że strzelano ślepymi nabojami.

— Niemądry jesteś, Filatku. Pomyśl sam, czy mogą być ostre, jeśli nie widać, kto strzela. Któż to, według ciebie, strzela ? Duch święty ? Oczywiście, że to ślepe naboje.

Na skrzyżowaniu ulic zatrzymał je stojący na straży patrol. Uśmiechający się kozacy obszukali je, obmacując beczelnie od stóp do głów. Czapki z podpinkami mieli tak zawadiacko zsunięte na ucho, że wyglądali jak jednoocy.

— Co za szczęście ! — mówiła sobie Łara, myśląc, że jak długo będą odcięte od miasta, nie będzie widziała Komarowskiego. Zerwać nie mogła z nim z powodu matki. Nie mogła jej przecież powiedzieć : mamó, nie przyjmujcie go, bo wszystko by się wydało. A zresztą cóż ? Czemu się tego bać ? Ach, Boże, niech będzie co chce, byle się to raz skończyło. Boże, Boże, Boże ! Łarze wydało się, że zaraz zemdleje na ulicy z obrzydzenia. Przypomniła sobie coś takiego ! Jak się nazywał ten straszny obraz z grubym Rzymianinem, w gabinecie restauracji, gdzie się to wszystko zaczęło ? „Kobieta czy amfora” ? Tak, oczywiście tak, znany obraz „Kobieta czy amfora”. Łara nie była jeszcze wówczas kobietą, mogącą się równać z taką kosztownością. Przyszło to dopiero później. Stół był nakryty z takim przepychem...

— Dokąd tak pędzisz jak oszalała ? Nie mogę za tobą nadążyć — skarżyła się z tyłu Amalia Karłowna, ciężko dysząc

i z trudem dotrzymując córce kroku. Łara szła szybko. Niosła ją jakaś siła ; zdawało się jej, że płynie dumnie w powietrzu.

— Jak czupurnie dźwięczą wystrzały — myślała. — Błogosławieni shańbieni, błogosławieni oszukani. Daj wam Boże zdrowia, wystrzały, jesteście jednej myśli ze mną.

Dom braci Gromeko stał w miejscu, gdzie ulica Siwcew Wrażok zbiegała się z jakąś inną ulicą. Aleksander i Nikołaj Aleksandrowicz Gromeko byli profesorami chemii, pierwszy w Pietrowskiej Akademii, drugi na uniwersytecie. Nikołaj Aleksandrowicz był kawalerem, zaś Aleksander Aleksandrowicz żonaty był z Anną Iwanowną z domu Krüger, córką właściciela huty żelaznej i opuszczonej, nierentownej kopalni rudy, mieszczącej się w należącym doń ogromnym majątku leśnym w okolicy Jurjatina na Uralu.

Dom był piętrowy. Na pierwszym piętrze znajdowały się sypialnie, pokój służący dzieciom do nauki, gabinet Aleksandra Aleksandrowicza z biblioteką, buduar Anny Iwanowny oraz pokoje Jury i Toni ; na parterze przyjmowano gości. Dzięki szarozielonym firankom, zwierciadlanym refleksom na fortepianie, oliwkowym meblom i roślinom podobnym do wodorostów, parter robił wrażenie zielonego, sennie kołyszącego się morskiego dna.

Gromekowie byli wykształceni, towarzyscy, wielcy znawcy i miłośnicy muzyki. Dla zaproszonych gości odbywały się w ich domu koncerty muzyki kameralnej. Wykonywano na nich tria fortepianowe, sonaty skrzypcowe i kwartety.

W styczniu 1906, wkrótce po wyjeździe Nikołaja Nikołajewicza zagranicę, w domu ich miał się odbyć jeden z tych koncertów. W programie znajdowała się sonata skrzypcowa pewnego początkującego kompozytora z szkoły Taniejewa i trio Czajkowskiego.

Przygotowania rozpoczęły się już dnia poprzedniego. Przesuwano meble, opróżniano salę. W kącie stroiciel po sto razy uderzał ten sam klawisz lub przebiegał klawiaturę w perłowych arpeggiach. W kuchni oskubywano ptaki, skrobano warzywa i rozcierano musztardę z oliwą do sosów i sałat.

Szura Schlesinger, serdeczna przyjaciółka i powiernica Anny Iwanowny, przysłała ją nudzić już od rana.

Była to wysoka, szczupła kobieta o rysach regularnych, nieco męskich, przypominających trochę cesarza, zwłaszcza gdy

nosiła na bakier szarą, karakułową czapkę, której nie zdejmowała podczas wizyt, podnosząc tylko przyszpiloną do niej woalkę.

W okresach smutków i trosk przyjaciółki znajdowały w wspólnych rozmowach pocieszenie. To ostatnie polegało na tym, że Szura Schlesinger i Anna Iwanowna mówiły sobie coraz dotkliwsze złośliwości. Następowała burzliwa scena, kończąca się szybko łzami i pojednaniem. Regularnie powtarzające się kłótnie uspakajały przyjaciółki, jak pijawki uspakajają nadmierny napływ krwi.

Szura Schlesinger była kilkakrotnie zamężna, lecz zapomniała swych mężów natychmiast po rozwodzie i przypisywała im tak małe znaczenie, że przyzwyczajania jej zachowały w sobie coś z chłodnej ruchliwości kobiet samotnych.

Szura Schlesinger była teozofką, lecz jednocześnie знаła liturgię prawosławną tak dobrze, że nawet w stanie pobożnej ekstazy, *toute transportée*, nie mogła powstrzymać się od podpowiadania celebransowi, co ma mówić lub śpiewać. „Usłysz, Panie”, „Ten, który o każdej godzinie”, „Czystsza od cherubinów” — przez cały czas nabożeństwa słyhać było jej ochryply, prędkiego szeptu.

Szura Schlesinger znała matematykę, indyjską wiedzę tajemną, adresy wybitniejszych profesorów moskiewskiego konserwatorium, wiedziała kto z kim żyje; wiedziała, Bóg świadkiem, wszystko. Z tych przyczyn powoływano ją na sędziego i rozjemcę przy poważniejszych konfliktach życiowych.

O wyznaczonej godzinie goście zaczęli się zjeżdżać. Przyjechali: Adelaida Filippowna, Hinz, Małżonkowie Fufkow, pan i pani Basurmanow, Wierżiczcy, pułkownik Kawkazcew. Padał śnieg, i gdy otwierano frontowe drzwi, widać było jak wiatr unosi w powietrzu coś w rodzaju poplątanej sieci z małych i wielkich płatków śniegu. Wchodzący z mrozu mężczyźni, w swych wielkich kaloszach robili z siebie roztargnionych i niezgrabnych bęcwałów, żony ich natomiast, odświeżone przez chłód, w rozpiętych pod szyją futrach i zsuniętych na tył chustkach na oszronionych włosach, wyglądały na przewrotne, lekkomyślne i zblazowane lwice. „Siostrzeniec Cezara Cui” — rozległ się szept, gdy przyjechał nowy, po raz pierwszy zaproszony pianista.

Przez otwarte boczne drzwi sali widać było w jadalni nakryty stół, długi jak sanna droga. W oczy rzuciła się gra światła w rżniętych karafkach jarzębinówki. Zachwyciły miniaturowe srebrne menażki z flakonami octu i oliwy, malowniczość zwierzyny i zakąsek i nawet sztywność białych stożków serwet, zdołbiących każde nakrycie. Pachnące migdałami liliowe cenerarie w koszykach podniecały, zdawało się, apetyt. Aby nie odkładać

upragnionej chwili zapoznania się z strawą ziemską, wszyscy zaczęli śpieszyć do strawy duchowej. Zaproszeni siedli na ustawione rzędami krzesła. „Siostrzeniec Cui”, dał się znów słyszeć szept, gdy pianista usiadł przy swoim instrumencie.

O sonacie było wiadomo, że będzie nudna, wymęczona, cerebralna. Wykonanie jej potwierdziło te przewidywania. Sonata okazała się nadto bardzo długa.

Podczas przerwy zawiązała się na ten temat dyskusja między krytykiem Kerimbekowem, który ganił sonatę, i Aleksandrem Aleksandrowiczem, który jej bronił. Dokoła palono papierosy i hałasowano przesuwanymi krzesłami.

Spojrzenia obecnych padły znów na zastawiony stół, i wszyscy zgodnie wypowiedzieli się za przystąpieniem bez zwłoki do drugiej części koncertu.

Pianista spojrzał z ukosa na publiczność i skinął głową partnerom na znak, że można zaczynać. Skrzypek i Tyszkiewicz podnieśli smyczki. Popłynęły łkające tony tria.

Jura, Tonia i Misza Gordon, który spędzał połowę swego czasu u Gromeków, siedzieli w trzecim rzędzie.

— Jegorowna daje wam znaki — szepnęła Jura Aleksandrowi Aleksandrowiczowi, który siedział przed nim.

Na progu sali stała Agrafienna Jegorowna, stara, siwa służąca rodziny Gromeków, i zrozpaczonymi spojrzeniami w stronę Jury oraz równie zdecydowanymi ruchami głowy w stronę Aleksandra Aleksandrowicza dawała do zrozumienia, że ma gospodarzowi coś bardzo pilnego do powiedzenia.

Aleksander Aleksandrowicz odwrócił głowę, spojrzał z wyrzutem na Jegorownę i wzruszył ramionami. Jegorowna jednak nie dawała za wygraną. Poprzez całą salę zawiązało się między nimi coś w rodzaju rozmowy głuchoniemych. Anna Iwanowna rzucała na męża piorunujące spojrzenia.

Widząc, że musi powziąć jakąś decyzję, Aleksander Aleksandrowicz wstał, poczerwieniał i obchodząc bez szmeru całą salę zbliżył się do Jegorowny.

— Jak wam nie wstyd, Jegorowna ! Co za giez was ugryzł ? No, prędko, co się stało ?

Jegorowna szepnęła mu coś do ucha.

— W jakim Czarnogórze ?

— W umeblowanych pokojach.

— No więc co ?

— Żądają, żeby przyjechał niezwłocznie. Ktoś z jego bliskich umiera.

— Zaraz umiera ! Wyobrażam to sobie. Kiedy skończą ten kawałek, powiem. Przed tym nie można.

— Numerowy czeka. I dorożka też. Mówię wam, że ktoś umiera, rozumiecie? Jakaś ważna pani.

— Nie i nie. Jeszcze pięć minut. Wielka rzecz!

Tak samo ostrożnie, idąc pod ścianą, Aleksander Aleksandrowicz wrócił na miejsce i usiadł, pocierając palcami grzbiet nosa.

Po zakończeniu pierwszej części podszedł do artystów i, gdy rozległy się oklaski, zawiadomił Fadię Kazimirowicza, że przyjechano po niego z powodu jakiegoś przykrego wypadku, i że trzeba będzie przerwać koncert. Zwracając się potem do sali, gestem uciszył oklaski i głośno powiedział:

— Szanowni państwo, trio trzeba będzie przerwać. Wyrażmy nasze współczucie Fadielowi Kazimirowiczowi. Spotkała go wielka przykreść i będzie musiał nas opuścić. W tym położeniu nie chciałbym zostawić go samego. Moja obecność może mu być potrzebna. Pojadę z nim. Jura, pójdź, mój drogi, powiedzieć Siemionowi, aby podjechał pod ganek. Konie są już zaprzężone. Nie żegnam się z państwem. Proszę wszystkich pozostać tu. Moja nieobecność będzie niedługa.

Chłopcy poprosili Aleksandra Aleksandrowicza, aby pozwolił im przejechać się z nim saniami.

21

Jakkolwiek po grudniowych wypadkach życie wróciło do normalnego trybu, na ulicach wciąż jeszcze słychać było wystrzały, i nowe pożary, bez których nigdy się nie obywa, zdawały się być dopalającymi się resztkami powstania.

Nigdy jeszcze droga nie wydawała się równie długa jak tej nocy. Właściwie nie było to daleko. Trzeba było jechać wzdłuż bulwarów Smoleńskiego i Nowikowskiego, potem zaś do połowy Sadowej, lecz siarczysty mróz i mgła rozbiły tę przestrzeń na niepodobne do siebie odcinki. Kosmaty, szarpany wiatrem dym ognisk, skrzypienie kroków i zgrzyt płóz sprawiały wrażenie, że podróż trwa już Bóg wie jak długo i zaprowadziła gdzieś strasznie daleko.

Przed hotelem stał koń przykryty derką, z obwiązanymi pęciami, zaprzężony do wąskich, eleganckich sanek, w których siedział dorożkarz, usiłujący ogrzać uszy rękami w wielkich rękawicach.

W przedśionku było ciepło. Za przepierzeniem dzielącym wejście od wieszadeł chrapał głośno budzony co chwila własnym

chrapaniem portier, którego usypiał znów szum wentylatora, huk palącego się pieca i świst gotującego się samowaru.

Na lewo koło lustra stała kobieta upudrowana i umalowana, o pulchnej, białej jak mąka twarzy. Miała na sobie futrzany żakiet, zbyt wiatrem podszyty na taką pogodę. Czekając na kogoś, kto miał zejść z góry, stała tyłem do lustra, rzucając w nie spojrzenia to przez prawe to przez lewe ramię, aby zobaczyć jak wygląda z pleców.

Przez drzwi z ulicy wszedł zziębnięty dorożkarz. Formą swego kożucha przypominał malowany na szyldzie precel, i buchająca zeń para zwiększała jeszcze to podobieństwo.

— Prędko oni tam, mamzelle? — zapytał damę przed lustrem. — Z takimi zadawać się, można konia przeziębic.

Wypadek pod numerem 24 był tylko drobnym szczegółem wśród codziennych przyczyn irytacji służby. Co chwila odzywał się dzwonek, i nowy numer ukazywał się w oszklonym pudełku na ścianie, wskazując, w jakim pokoju ktoś szaleje i, nie wiedząc sam czego chce, nie daje spokoju numerowym.

Teraz tę starą wariatkę Guichardową pojono lekami pod 24-tym, dawano jej na wymioty, płukano żołądek i kiszkę. Pokojówka Głasza sterała nogi, wycierając tam podłogę, wynosząc brudne i wnosząc czyste wiadra. Ale szalejąca dziś wśród służby burza zaczęła się na długo przed tym epizodem, zanim posłano dorożką Tereszkę po doktora i po tego rzepołę, zanim przyjechał Komarowski i zanim w korytarzu zebrała się przed drzwiami kupa pętających się ludzi, którzy tamowali tylko ruch.

Dzisiejsza burza w czeladnej zaczęła się od tego, że ktoś niezręcznie odwrócił się w wąskim przejściu do bufetu, potrącając kelnera Sysoja, właśnie w chwili, gdy ten, pochylony naprzód, pędził przez korytarz z pełną tacą na wysoko podniesionej dłoni. Sysoj wypuścił tacę, rozlał zupę i rozbił trzy głębokie talerze i jeden deserowy.

Sysoj twierdził, że potrąciła go pomywaczka, i że trzeba to jej potrącić z pensji. Był już późny wieczór, jedenasta, połowa służby miała niedługo zejść z roboty, ale kłótnia trwała nadal.

— Ręce i nogi tobie się trzęsą, o tym tylko myślisz, jak z butelką niby z żoną dzień i noc się obejmować, spieś się jak stary kaczor, a potem: potrącili go, skorupy potłukli, zupę rozleli! Kto cię trącał, czorcie zezowaty, nieczysta siła? Kto cię trącał, przepuklino astrachańska, gało bezwstydna?

— Mówiłem już wam, Matriono Stiepanowna, proszę wyrażać się delikatnie.

— Gdyby przynajmniej było o co się kłócić i statki tłuc, ale taka rzadka flanca, madam-sprzedam, uliczna obraźska, za

grzechy swoje arszeniku się nażarła, niewinność emerytowana. W czarnogórskich numerach mieszka i psiego wesela nie widziała.

Misza i Jura przechadzali się po korytarzu przed drzwiami numeru. Wszystko było nie tak, jak wyobrażał sobie Aleksander Aleksandrowicz. Myślał: wiolonczelista, tragedia, coś czystego i wzniosłego. A tu diabli wiedzą co. Coś brudnego, skandalicznego, absolutnie nie dla dzieci.

Chłopcy kręcili się po korytarzu.

— Wejdźcie do tej pani, młodzi panowie — po raz drugi cierpliwie przekonywał ich numerowy. — Wejdźcie, nie bójcie się. Nic jej nie jest, bądźcie spokojni. Jest już poza wszelkim niebezpieczeństwem. A tu stać nie można. Dziś się tu już zdarzyło nieszczęście: potłuczono drogie naczynie. Widzicie jak tu ciasno, a my tu biegamy, usługujemy. Wejdźcie, proszę.

Chłopcy usłuchali.

W numerze paliła się lampa naftowa, wyjęta z wiszącej nad stołem czaszy i przeniesiona za cuchnące pluskwami przepierzenie, do drugiej części pokoju.

Znajdowała się tam alkowa, zasłonięta zazwyczaj od niedyskretnych spojrzeń zakurzoną firanką. W zamieszaniu zapomniano ją zasłonić, i część jej przerzucona była przez górny brzeg przepierzenia. Lampa stała w alkwie na ławce. Cały ten kąt pokoju był jaskrawo oświetlony z dołu, jak gdyby rampą teatru.

Guichardowa truła się jodyną, nie zaś arszenikiem, jak uszczypliwie pomawiała ją o to pomywaczka. Cały pokój był pełen cierpkiego, ściągającego zapachu młodych włoskich orzechów w zielonej łupinie, czerniejącej przy dotknięciu.

Za przepierzeniem pokojówka wycierała podłogę. Głośno płacząc, zwiesiwszy nad miednicą głowę oblepioną kosmykami włosów, leżała w łóżku na pół naga kobieta, mokra od wody, potu i łez. Chłopcy odwrócili wzrok, wstydząc się patrzeć w tę stronę. Jura zdążył jednak zauważyć, że w pewnych niewygodnych pozach, pod wpływem wytężonego wysiłku, kobieta przestaje być taka, jaką ją widzą rzeźbiarze, i przypomina zapaśnika w szortach, z wdętymi bryłami mięśni, gotowego do rozgrywki.

Ktoś wreszcie domyślił się, że należy alkowę zasłonić firanką.

— Fadij Kazimirowicz, drogi, gdzie wasza ręka? Dajcie mi rękę — mówiła kobieta, dusząc się od łez i mdłości. — Ach, co ja wycierpiałam! Miałam takie podejrzenia! Wyobrażałam sobie... Na szczęście okazało się, że wszystko to były głupstwa, tylko moja chora wyobraźnia... Pomyśl teraz, co za ulga! I ostatecznie... ostatecznie jestem żywa.

— Uspokójcie się, Amalio Karłowno, błagam was, uspokójcie się. Wszystko to wyszło tak niedobrze, słowo daję, niedobrze.

— Zaraz pojedziemy do domu, mruknął Aleksander Aleksandrowicz do chłopców. Ci ostatni, bardzo zażenowani, stali w ciemnym przedpokoju i, nie wiedząc dokąd zwrócić oczy, patrzyli z progu w głąb numeru, skąd zabrano oświetlającą go dawniej lampę. Ściany tej części pokoju były zawieszone fotografiami; stała tam etażerka z nutami i stół, przykryty haftowaną serwetą i zavalony papierami i albumami. Po drugiej stronie stołu, obejmując ramionami oparcie i przyciskając doń twarz, spała w fotelu młoda dziewczyna. Musiała być śmiertelnie znużona, jeżeli hałas i ruch w pokoju nie przeszkadzały jej spać.

Przyjazd ich był bezsensowny, dalsze pozostawanie tu nieprzyzwoite. — Zaraz pojedziemy — powtórzył raz jeszcze Aleksander Aleksandrowicz. — Kiedy tylko Fadięj Kazimirowicz wyjdzie. Chciałbym się z nim pożegnać.

Lecz zamiast niego zza przepierzenia wyszedł ktoś inny. Był to tęgi, gładko ogolony, postawny i pewny siebie mężczyzna. Nad głową trzymał lampę. Podeszedł do stołu, za którym spała dziewczyna, i wstawił lampę w wiszącą nad stołem czaszę. Światło zbudziło dziewczynę, która uśmiechnęła się do przybyłego, zmrużyła oczy i przeciągnęła się.

Na widok nieznanego Misza wzdrygnął się i wpił się weń wzrokiem. Szarpnął za rękaw Jurę, chcąc mu coś powiedzieć.

— Nie wstyd ci szeptać przy obcych? Co o tobie pomyślą? — wstrzymał go Jura i nie chciał słuchać.

Niema scena rozgrywała się tymczasem między nieznanym i dziewczyną. Oboje nie powiedzieli sobie ani słowa, zamieniając jedynie spojrzenia. Stopień ich wzajemnego zrozumienia miał w sobie coś czarodziejskiego i strasznego, jak gdyby dziewczyna była marionetką, posłuszną każdemu ruchowi ręki nieznanego.

Z znużonym uśmiechem dziewczyna przymknęła oczy i rozchyliła usta. Na drwiące spojrzenie mężczyzny odpowiedziała przewrotnym mrugnięciem współniczki. Oboje byli zadowoleni, że wszystko skończyło się tak dobrze, że tajemnica ich nie wydała się, i że otruta została przy życiu.

Jura pochłaniał ich wzrokiem. Z półmroku, w którym nikt nie mógł go widzieć, patrzył nie odrywając oczu w krąg światła rzucanego przez lampę. Uległość dziewczyny była niewymownie tajemnicza i wyzywająco jasna. Sprzeczne uczucia kłębiły się w piersi Jury i ścisnęły mu serce z nieznaną dotąd siłą.

Było to właśnie to, o czym przegadali tyle czasu z Miszą i Tonią i co nazywali plugastwem, to strasne i pociągające, co

tak łatwo potępiali w słowach, z przezornej odległości. Siła ta była teraz przed nim, zarazem oczywista, zmaterializowana, niejasna, majacząca, bezlitośnie niszczycielska, skarżąca się i wołająca o pomoc. Gdzie jest teraz jego dziecinna filozofia, i co ma w tej chwili począć?

— Czy wiesz, kim jest ten człowiek? — spytał Misza, gdy wyszli na ulicę. Jura był tak pogrążony w swe myśli, że nie odpowiadał.

— To ten, który spajał i zgubił twego ojca. Pamiętasz — w wagonie — opowiadałem ci.

Jura myślał o dziewczynie i przyszłości, nie zaś o ojcu i rzeczach minionych. W pierwszej chwili nie zrozumiał nawet słów Miszy. Na mrozie trudno było mówić.

— Zmarzłeś, Siemionie? — spytał Aleksander Aleksandrowicz. Sanie ruszyły.

R o z d z i a ł I I I

CHOINKA U SWIENTICKICH

I

Pewnego dnia, zimą, Aleksander Aleksandrowicz podarował Annie Iwanownie kupioną okazynie starą szafę. Szafa ta, z czarnego drzewa, była ogromnych rozmiarów. Nie wchodziła w żadne drzwi. Musiano ją rozebrać i wnieść do domu po kawałku. Potem zaczęto szukać dla niej stosownego miejsca. Parter, gdzie było przestronniej, nie odpowiadał przeznaczeniu szafy, na piętrze brakło miejsca. Wreszcie opróżniono dla niej kąt na pierwszym piętrze, koło wewnętrznych schodów, przy wejściu do sypialni.

Dozorca Markiel przyszedł ustawiać szafę i przyprowadził z sobą sześćioletnią córkę Marynkę. Dano jej karmelek, który wzięła oślinionymi palcami i zaczęła lizać, sapiąc przez nos i ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się robocie ojca.

Przez pewien czas wszystko szło gładko. Szafa rosła powoli w oczach Anny Iwanowny. Nagle, gdy chodziło już tylko o przykrycie szafy wierzchem, Annie Iwanownie przyszło na myśl pomóc Markielowi. Stanęła na wysokim dnie szafy i tracąc równowagę oparła się o boczną ścianę, luźno tylko wstawioną w fugę. Pętla sznura, którym Markiel ściągnął tymczasowo ściany szafy, rozwiązała się. Lecąc z łoskotem na ziemię, deski pociągnęły z sobą Annę Iwanownę, która upadła na wznak i potłukła się boleśnie. Markiel skoczył jej na ratunek.

— Ech, matuszka-barynia, i po co wam było do tego się brać, serdeczna? Czy aby tylko kości całe? Pomacajcie sami.

Główna rzecz kość. Ciało — głupstwo. Ciało odkarmi się i jest w ogóle, jak się mówi, dla damskiego pleziru. — Nie rycz, Herodzie — zwrócił się do płaczącej Marynki. — Utrzymaj nos i idź do mamy. — Ech, matuszka-barynia, czy bym ja i bez was tego antyku na ubrania nie złożył? Myślicie na pewno, i na pozór to prawda, że jestem dozorca, ale, myśląc prawidłowo, nasz przyrodzony fach jest stolarski, i nastolarzyliśmy się też niemało. Nie uwierzylibyście, ile tych szaf i bufetów przeszło przez moje ręce względem politory i fladru, hebanowego czy orzechowego. Albo ile partii w sensie bogatych narzeczonych nam za przeproszeniem przed samym nosem przefrunęło. A wszystko przez knajpy i przez mocne trunki.

Z pomocą Markiela Anna Iwanowna usiadła w przyniesionym przezeń fotelu, jęcząc i rozcierając stłuczone miejsce. Markiel wziął się do odbudowy ruiny, i gdy wreszcie przykrył szafę wierzbem, rzekł: — No, teraz tylko drzwi wstawić i można ją posłać na wystawę.

Anna Iwanowna nie lubiła tej szafy, która wyglądem i rozmiarem przypominała katafalk lub carskie mazoleum. Szafa napełniała ją przesadnym strachem. Nazywała ją mogiłą Askolda, rozumiejąc przez to coś w rodzaju konia Olega ¹⁰, przedmiotu przynoszącego śmierć posiadaczowi. Czytając bezładnie, Anna Iwanowna mieszała często bliskoznaczne pojęcia.

Od wypadku z szafą Anna Iwanowna zaczęła zdradzać skłonność do chorób płucnych.

2

Cały listopad 1911 Anna Iwanowna przeleżała w łóżku, chora na zapalenie płuc.

Wiosną roku następnego Jura, Misza Gordon i Tonia mieli ukończyć studia na uniwersytecie i wyższych żeńskich kursach. Jura był medykiem, Tonia — prawniczką, Misza zaś studiował filozofię na wydziale historyczno-filologicznym.

W duszy Jury wszystko było bezładne, chaotyczne a jednocześnie uderzająco samodzielne: poglądy, przyzwyczajenia, skłonności. Był przy tym niezwykle wrażliwy; wrażenia nowe narzucały mu się z nieopisaną siłą.

10. Z ballady Puszkina o koniu, mającym według wróżb przynieść śmierć księciu i trzymanym z dala od dworu. Księżę ginie wreszcie od ukąszenia żmiji, ukrytej w kościach tego konia.

Mimo silnego pociągu do sztuki i historii, Jura nie miał kłopotu z wyborem zawodu. Sądził, że sztuka nie jest powołaniem, jak wrodzona wesołość lub skłonność do melancholii nie jest zawodem. Interesował się fizyką i naukami przyrodniczymi i sądził, że w życiu praktycznym trzeba mieć jakiś zawód o bezspornej użyteczności. Dlatego wybrał medycynę.

Przed czterema laty, jako student pierwszego roku, Jura zajmował się przez cały semestr sekcją zwłok w podziemiach uniwersytetu. Kręcone schody prowadziły do teatru anatomicznego, w głębi którego rozczochrani studenci pracowali grupami lub pojedynczo. Jedni, obłożeni kośćmi, obkrywali się, przerzucając wystrzępione i zbutwiałe stronicy podręczników, drudzy anatomizowali w milczeniu, inni wreszcie baraszkowali, płatali figle i uganiali się za szczurami, biegającymi po kamiennej podłodze kostnicy. Fosforycznym blaskiem świeciły w półmroku uderzające swą nagością ciała nieznanych: młodych samobójców o nieustalonych nazwiskach i dobrze zachowane, nietknięte jeszcze ciała topielic. Wstrzykiwane w nie sole glinu odmładzały ciała, zaokrąglając złudnie ich kształty. Zwłoki krajano, dzielono na części, preparowano. Piękno ludzkiego ciała, nawet pokrajanego na drobne kawałki, pozostawało jednak nietknięte, wierne sobie. Zdziwienie na widok niedbale rzuconej na cynkową blachę stołu rusałki przenosiło się również na jej odcięte ramię czy odrąbaną rękę. Woń formaliny i karbolu przenikała całą suterrenę. Wszędzie czuć było obecność tajemnicy, począwszy od nieznanych losów wszystkich tych leżących ciał i kończąc na tajemnicy życia i śmierci, tajemnicy będącej tu u siebie w domu i mającej w tym podziemiu główną kwaterę.

Tajemnica ta ścigała Jurę, przysłańiała mu wszystko inne i przeszkadzała w pracy. Samo życie było jednak pełne spraw odrywających od pracy. Jura przywykł do tych przeszkód i nie odczuwał z ich powodu żadnego niepokoju.

Jura myślał jasno i bardzo dobrze pisał. Już w gimnazjum zaczął myśleć o prozie, o biografii, w których chciałby ukryć, niby ładunki dynamitu, swe najbardziej wstrząsające przeżycia i myśli. Do pisania takiej książki był jednak zbyt młody i na razie pisał wiersze, jak artysta malujący przez całe życie studia do wielkiej kompozycji.

Wierszom tym Jura wybaczał tymczasowość, gdy mogły ją okupić energią i oryginalnością. Te dwie cechy uważał za jedyną rzeczywistość sztuki, poza tym pozbawionej przedmiotu, próżnej i zbytecznej.

Jura miał świadomość, że swą ogólną formację duchową zawdzięcza w znacznym stopniu wujowi.

Nikołaj Nikołajewicz mieszkał w Lozannie. W ogłoszonych tam po rosyjsku i w przekładach książkach rozwijał swą dawną myśl o historii jako świecie, stworzonym z czasu i pamięci przez człowieka w odpowiedzi na zjawisko śmierci. Wychodząc z nowego pojmowania chrześcijaństwa, książki te prowadziły do nowej koncepcji sztuki.

Teorie te oddziaływały jeszcze silniej na przyjaciela Jury. Pod ich wpływem Misza Gordon postanowił studiować filozofię. Na uniwersytecie słuchał wykładów teologicznych i myślał nawet chwilami o przeniesieniu się później do Duchownej Akademii.

Wpływ wuja oddziaływał na Jurę pobudzająco, wyzwalająco, na Miszę natomiast hamująco, wiążąco. Jura rozumiał, jaką rolę pochodzenie Miszy grało w skrajności jego entuzjazzmów, lecz przez ostrożność taktyczną nie odmawiał przyjaciela od jego dziwacznych planów. Często jednak chciałby go widzieć jako bliższego życiu empiryka.

3

Pewnego wieczora, w końcu listopada, Jura wrócił z uniwersytetu późno, bardzo zmęczony i głodny. Przez cały dzień nic nie jadł. W domu dowiedział się, że był to dzień wielkiego popłochu. Anna Iwanowna dostała mianowicie konwulsji. Przyjechało kilku lekarzy, którzy zrazu radzili wezwać popa, ale później rozmyślili się. Chora czuła się lepiej, była przytomna i kazała zawołać do siebie Jurę, gdy tylko wróci do domu.

Jura, nie zmieniając ubrania, poszedł natychmiast do sypialni.

Pokój nosił ślady niedawnego alarmu. Pielęgniarka ostrożnymi ruchami przestawiała coś na nocnym stoliku. Dokoła leżały zmięte serwetki i mokre ręczniki, które służyły do okładów. Woda w umywalni była różowa od krwi odpływanej przez chorą. Pływały w niej ampułki z odłamanymi szyjkami i napęczniałe od wody kawałki waty.

Chora ociekała potem i końcem języka zwilżała wyschłe usta. Zmizerniała znacznie od rana, kiedy Jura widział ją po raz ostatni.

— Czy nie omyłka diagnozy? — pomyślał. — Wszystkie oznaki krupowego zapalenia płuc. Zdaje się, że to krzys. — Przywitawszy się z Anną Iwanowną, Jura powiedział jej coś pokrępijącego, błahego, coś co się w takich wypadkach mówi,

i odesłał pielęgniarkę. Wziąwszy chorą za rękę, aby policzyć puls, drugą ręką sięgnął do kieszeni marynarki po stetoskop. Anna Iwanowna dała mu jednak ruchem głowy do poznania, że jest to zbyteczne. Jura zrozumiał, że chora oczekuje odeń czegoś innego. Zebrawszy siły, Anna Iwanowna zaczęła mówić :

— Ot i chcieli mnie spowiadać... Śmierć wisi nade mną... Być może w każdej chwili... Gdy trzeba wyrwać ząb, ludzie boją się, bo boli, przygotowują się... A tu nie ząb, ale całego człowieka, całe życie biorą jak szczypcami... chrup i nie ma... A co to jest ? Nikt nie wie... Ciężko mi i straszno.

Anna Iwanowna zamilkła. Łzy płynęły po jej policzkach. Jura nie mówił nic. Po chwili Anna Iwanowna ciągnęła dalej :

— Ty jesteś utalentowany. A kto ma talent, ten jest inny, nie taki jak wszyscy. Ty powinienes coś wiedzieć... Powiedz mi coś. Uspokój mnie.

— Co mam wam powiedzieć ? — Jura kręcił się przez chwilę niespokojnie na krześle, potem wstał, przeszedł się po pokoju i usiadł znów. — Po pierwsze jutro będzie wam lepiej. Są oznaki poprawy. Za to głowę dam. A potem : śmierć, świadomość, wiara, zmartwychwstanie... Czy chcecie wiedzieć, co o tym myślę jako przyrodnik ? Może kiedyś innym razem ? Nie ? Natychmiast ? No, jak chcecie. Tylko to trudno, tak od razu. — I Jura wygłosił *ex promptu* cały odczyt, dziwiąc się sam, że mu to tak gładko idzie.

— Zmartwychwstanie. W formie najgrubszej, w jakiej mówi się o nim dla pocieszenia słabych, rzecz ta jest mi obca. Słowa Chrystusa o żywych i umarłych rozumiałem zawsze inaczej. Gdzie pomieścić to całe nieprzebrane mrowie, które nagromadziło się w ciągu tysiącleci ? Świat na to za mały. Sam Bóg musiałby go opuścić, i dobro i zdrowy rozsądek, aby nie zgniotła ich ta chciwa, zwierzęca tłuszcz.

Tymczasem wiecznie to samo nieskończone święto życia trwa i wypełnia cały świat, odnawiając się co chwila w nieustannych przemianach. Macie obawy, czy będziecie wskrzeszeni, ale raz zostaliście już wskrzeszeni przychodząc na świat i nie spostrzeżliście tego.

Czy będziecie cierpieli ? Czy wasze tkanki będą czuły swój rozkład ? Innymi słowy : co będzie z waszą świadomością ? Ale czym jest świadomość ? Przyjrzyjmy się temu bliżej. Chcieć świadomie zasnąć — to pewna bezsenność, chcieć świadomie wczuć się w pracę własnych organów trawienia — to pewny rozstrój unerwienia tych organów. Świadomość jest trucizną dla tego, kto ją zwraca do siebie. Świadomość jest światłem promie-

niującym na zewnątrz, oświetlającym nam drogę, abyśmy się nie potknęli, jest latarnią na przodzie jadącej lokomotywy. Odwracając latarnię, spowodujemy katastrofę.

Co więc stanie się z waszą świadomością ? Z waszą, waszą świadomością ? A czym jesteście wy sami ? W tym całe pytanie. Zastanówmy się. Co pamiętacie o sobie, jaką część waszego organizmu odnajdujecie w waszej świadomości ? Nerki, wątrobę, naczynia krwionośne ? Nie. Jak daleko sięga wasza pamięć. zawsze odnajdujecie siebie w waszej postawie czynnej, w dziełach rąk waszych, w rodzinie, w waszych bliźnich. A teraz uwaga ! Duszą człowieka jest to, co jest zeń obecne w innych ludziach. Oto czym jesteście, czym oddychała, żyła i upajała się wasza świadomość. Więc cóż ? Żyliście w innych i w nich pozostaniecie. Co za różnica, że potem to się będzie nazywało pamięcią. To będziecie wciąż wy, przemienieni w składową część przyszłości.

I wreszcie ostatni punkt. Nie ma się czym niepokoić. Śmierci nie ma. Śmierć nie jest nam sądzona. Przed chwilą mówiliście o talencie. To co innego, to — nasze odkrycie. Talent zaś w najszerszym zrozumieniu tego słowa — to dar życia.

Śmierci nie będzie, mówi św. Jan. Posłuchajcie jego rozumowania : śmierci nie będzie dlatego, że to już wszyscy widzieli, że to się już sprzykrzyło. Pragniemy czegoś nowego, i tą nowością jest życie wieczne.

Mówiąc, Jura chodził po pokoju. Wreszcie, podchodząc do łóżka i kładąc ręce na głowę Anny Iwanowny, powiedział : „Zaśnijcie”. Minęło kilka minut. Anna Iwanowna zasnęła.

Jura wyszedł na palcach z pokoju i polecił Jegorownie posłać do chorej pielęgniarkę. — Diabli wiedzą co — myślał. — Staję się szarlatanem. Zamawiam choroby i leczę nałożeniem rąk.

Następnego dnia Annie Iwanownie zrobiło się lepiej.

4

Annie Iwanownie było coraz lepiej. W połowie grudnia próbowała wstać, lecz była jeszcze bardzo osłabiona. Radzono jej porządnie się wyleżeć.

Anna Iwanowna wzywała do siebie często Jurę i Tonię i całymi godzinami opowiadała im o swym dzieciństwie, spędzonym w Warykinie, majątku dziadka nad uralską rzeką Ryńwą. Jura i Tonia nigdy tam nie byli, lecz z opowiadań Anny Iwanowny Jura mógł sobie łatwo wyobrazić te pięć tysięcy hektarów dzi-

kiego i ciemnego jak noc lasu z wcinającymi się w majątek Krügerów jak nóż zakrętami rwącej rzeki o skalistym dnie i stromych, urwistych brzegach.

Dla Jury i Toni szyto właśnie w tym czasie ich pierwsze w życiu stroje wizytowe : dla Jury — czarny surdut, dla Toni — wieczorową suknię z jasnego atłasu, dyskretnie wyciętą koło szyi. Po raz pierwszy mieli wystąpić w tych strojach 27 grudnia, na tradycyjnej choince u Swientickich.

Męski zakład krawiecki i szwaczka przysłali zamówione ubrania tego samego dnia. Jura i Tonia przymierzili swe stroje ; byli z nich zadowoleni. Nie zdążyli jeszcze ich zdjąć, gdy przyszła Jegorowna, oznajmiając, że Anna Iwanowna wzywa ich do siebie. W nowych ubraniach, jak stali, Jura i Tonia poszli do Anny Iwanowny.

Na widok ich Anna Iwanowna podniosła się i, oparta na łokciach, przyjrzała się im i kazała się obrócić :

— Bardzo dobre. Wprost zachwycające. Nie wiedziałam, że są już gotowe. Obróć się, Tońko, jeszcze raz. Nie, wszystko w porządku. Wydawało mi się, że wstawka się marszczy. Wiecie, po co was wołałam ? Ale naprzód kilka słów dla Jury.

— Wiem już, Anno Iwanowna. Sam kazałem wam pokazać ten list. Razem z Nikołajem Nikołajewiczem uważacie, że nie powinienem był się zrzekać. Chwila cierpliwości. Mówienie wam szkodzi. Sam więc zaraz wszystko wyjaśnię, choć zapewne cała ta sprawa jest wam doskonale znana.

A więc, po pierwsze. Jest wprawdzie proces o spadek po Żiwagu, źródło kosztów sądowych i zarobku dla adwokatów, ale żadnego spadku w rzeczywistości nie ma : same długi i płatanina, nie mówiąc o brudach, które przy tej okazji wypłyną. Gdyby można było z tego wyciągnąć pieniądze, czyż podarowałbym je sądowi i nie skorzystał z nich ? Lecz w tym właśnie rzecz, że cały ten proces jest fikcją. Zamiast się w tym wszystkim grzebać, lepiej było zrzec się swych praw do nieistniejącego majątku, odstępując je kilku podstawionym pretendantom i zawistnym samozwańcom. O pretensjach niejakiej Madame Alice, mieszkającej z dziećmi pod nazwiskiem Żiwaga w Paryżu, słyszałem już dawniej. Pojawiły się też nowe pretensje, być może wam już znane, o których dowiedziałem się niedawno.

Okazało się, że jeszcze za życia mamy ojciec kochał się w pewnej marzycielce i wariatce, księżnej Stołbunowej-Enrici, z którą miał syna, obecnie dziesięcioletniego chłopca imieniem Jewgraf.

Księżna jest odludkiem. Mieszka stale z synem w swej willi na przedmieściach Omska, żyjąc nie wiadomo z czego. Pokazy-

wano mi fotografię tej willi. Piękny budynek : fasada, ozdobiona stiukowymi medalionami, ma pięć okien, każde z jednej szyby. Od pewnego czasu zdaje mi się, że dom ten, poprzez tysiące kilometrów dzielących Rosję od Syberii, patrzy na mnie nieżyczliwie swymi pięciu oknami i prędeż czy później gotów jest rzucić na mnie jakiś urok. Po co mi to wszystko ? Nieistniejące kapitały, fikcyjni przeciwnicy, ich nieżyczliwość i zazdrość. I do tego adwokaci.

— A jednak nie należało się zrzekać — odpowiedziała Anna Iwanowna. — Wiecie, po co was wołałam ? — powtórzyła i ciągnęła dalej. — Przypomniałam sobie jego imię. Pamiętacie leśniczego, o którym wam wczoraj opowiadałam ? Miał na imię Wakch. Niezrównane, nieprawdaż ? Czarne leśne straszidło, porosłe aż do oczu brodą i — Wakch ¹¹ ! Twarz miał zeszpeconą. Niedźwiedź mu ją poszarpał, ale Wakch mu umknął. Tam wszyscy mają takie imiona. Jednosylabowe, żeby było dźwięczniej i wyraziściej. Wakch, Łapp albo, powiedzmy, Fawst. Słuchajcie, słuchajcie ! Zgłaszali się czasami tacy : Awkt i Froł, imiona niby dwa wystrzały z dziadkowej dubeltówki. Biegliśmy zaraz do kuchni, a tam, możecie sobie wyobrazić, leśny węglarz z żywym niedźwiadkiem albo leśniczy z próbką minerałów. Dziadek dawał każdemu kartkę. Do kantoru. Jednemu na pieniądze, drugiemu na kaszę, trzeciemu na amunicję. A przed oknami las. I śnieg, śnieg, powyżej domu. — Anna Iwanowna zaczęła kaszleć.

— Nie mów więcej, mamu. Tobie to szkodzi — ostrzegała Tonia. Jura podtrzymał ją.

— To nic. Głupstwo. A propos. Jegerowna naplotkała, że niby to wy macie wątpliwości, czy wypada wam pojutrze jechać do Swientickich. Żebym tych głupstw więcej nie słyszała ! Jak wam nie wstyd ? Co z ciebie za doktor, Jura ? Rzecz więc postanowiona. Jedziecie bez żadnego gadania. Wróćmy teraz do Wakcha. W młodości był on kowalem. W jakiejś bójce uszkodzono mu wnętrzności, i Wakch zrobił sobie nowe wnętrzności z żelaza. Jakiś ty niemądry, Jura ! Myślisz, że ja nie rozumiem ? Nie biorę przecież tego dosłownie. Tak tam mówiono.

Anna Iwanowna znów zaniosła się kaszlem, tym razem na dłużej. Kaszel dusił ją. Nie mogła złapać oddechu.

Jura i Tonia zbliżyli się i nachylili się razem nad łóżkiem. Ramiona ich dotykały się. Kaszląc wciąż, Anna Iwanowna wzięła ich ręce i trzymała przez chwilę w swojej. Potem, gdy kaszel uspokoił się i gdy odzyskała głos, powiedziała :

11. Wakch po rosyjsku oznacza Bachusa.

— Jeżeli umrę, nie rozstawajcie się. Jesteście dla siebie stworzeni. Pobierzcie się. Ot, i wyswatałam was — dodała i zaczęła płakać.

5

Wiosną 1906, gdy Łara miała przejść do ostatniej klasy gimnazjum, cierpliwość jej, po sześciu miesiącach romansu z Komarowskim wyczerpała się. Komarowski wykorzystywał zrzęcznie jej przynęcenie i, gdy to mu było potrzebne, umiał dyskretnie, jak gdyby tego sam nie dostrzegał, przypomnieć jej hańbę. Aluzje te wprawiały Łarę w stan paniki, sprzyjającej zamiarom uwodziciela. Popłoch oddawał ją coraz bardziej we władzę zmysłowego koszmaru, od którego, po otrzeźwieniu, włosy stawały jej na głowie. Sprzeczności wewnętrzne tego nocnego szału były niewytłumaczone jak czarna magia. Wszystko było tu na opak, wbrew logice : ostry ból wyrażał się w kaskadach srebrzystego śmiechu, sprzeciw i odmowa oznaczały zgodę, i pocałunki wdzięczności okrywały ręce dręczyciela.

Zdawało się, że nie ma temu końca, gdy wiosną, na jednej z ostatnich lekcji, myśląc że po zakończeniu roku szkolnego zabraknie jej ostatniego pretekstu do unikania zbyt częstych spotkań z Komarowskim, Łara powzięła nagle postanowienie, które miało na długo zmienić jej tryb życia.

Ranek był upalny. Zbliżała się burza. Lekcja odbywała się przy otwartych oknach. W oddali huczało miasto, wciąż na jedną nutę, jak pszczoły w ulu. Z podwórza dolatywały głosy bawiących się dzieci. Od zapachu ziemi i młodej zieleni bolała głowa, jak w ostatnim dniu karnawału od wódki i czadu blinów.

Nauczyciel historii mówił o wyprawie Napoleona do Egiptu. Doszedł właśnie do lądowania w Fréjus, gdy niebo poczerwieniało, trzasło i pękło, rozdarło piorunem i grzmotem. Wraz z powiewem świeżego powietrza, przez okna wdarł się obłok piasku i kurzu. Dwie lizuski wybiegły na korytarz wołać woźnego, aby zamknął okna, i gdy otwarły drzwi, powstał przeciąg, od którego z wszystkich ławek sfrunęły kartki bibuły.

Wreszcie zamknięto okna. Padał ulewny, miejski, brudny deszcz pomieszany z kurzem, Łara wyrwała z notatnika kartkę i napisała do swej sąsiadki, Nadi Kołogriwowej :

„Nadia, muszę urządzić się samodzielnie, niezależnie od mamy. Pomóż mi znaleźć kilka dobrych lekcji. Macie wielu bogatych znajomych”.

Nadia odpowiedziała w ten sam sposób :

„Dla Lipy szukają nauczycielki. Chodź do nas. To dopiero byłoby świetne ! Wiesz przecież, jak tata i mama cię lubią”.

6

Łara spędziła przeszło trzy lata u Kołogriwowów, jak za ochronnym murem. Nikt jej nie napastował. Nawet matka i brat, którzy zdawali jej się teraz obcy, nie odzywali się.

Ławrientij Michajłowicz Kołogriwow był wielkim przemysłowcem, człowiekiem praktycznym w najnowszym stylu. Obu mierającego reżymu nienawidził podwójnie : jako bajecznie bogaty człowiek, mogący sam wykupić z długów skarb państwa, i jako człowiek wychodzący z ludu, który zrobił zawrotną karierę. Kołogriwow ukrywał nielegalnych i opłacał adwokatów w procesach politycznych. Żartem mówiono, że, finansując rewolucję, sam podważa swe prawa właściciela i że organizuje strajki w własnej fabryce. Ławrientij Michajłowicz był świetnym strzelcem i zapalonym myśliwym. Zimą 1905 jeździł w niedzielę do miejscowości Sieriebrianij Bor i Łosinyj Ostrow, gdzie ćwiczył w strzelaniu członków organizacji bojowych.

Był wybitną osobistością i w żonie, Sierafimie Filippownie, miał godną siebie towarzyszkę. Łara żywiła dla nich pełen zachwyty szacunek. Oboje lubili ją jak rodzoną córkę.

W czwartym roku jej beztrudnej egzystencji przyszedł do niej jej brat, Rodia. Kołysząc się z miną światowca na swych długich nogach, mówiąc przez nos i rozciągając słowa niepomieranie dla podkreślenia ich wagi, Rodia opowiedział, że kadeci kończący z nim razem naukę zebrali pieniądze na pożegnalny prezent dla komendanta szkoły i wręczyli je jemu, Rodi, z poleceniem wybrania i kupienia czegoś odpowiedniego. Te właśnie pieniądze Rodia przegrał przed dwoma dniami do ostatniego grosza. Powiedziawszy to, rzucił się całym swym długim ciałem na fotel i rozplakał się.

Łarę oblał zimny pot. Łkając Rodia ciągnął dalej :

— Wczoraj byłem u Wiktora Ippolitowicza. Nie chciał ze mną w ogóle mówić na ten temat, ale powiedział, że gdybyś ty zechciała... Mówi, że chociaż nie chcesz nas wszystkich znać, władza twoja nad nim jest jeszcze tak wielka... Łaroczka... Wystarczy twego jednego słowa... Czy rozumiesz, jaka to hańba, jaka plama na honorze kadeckiego munduru ? Pójdź do niego,

co cię to kosztuje, poproś... Nie pozwolisz chyba, abym musiał zmywać tę lekkomyślność własną krwią.

Zmywać krwią... Honor kadeckiego munduru — powtarzała z gniewem Łara, chodząc wzburzona tam i z powrotem po pokoju. — A ja nie jestem mundurem, nie mam honoru, i można ze mną robić co się chce. Czy rozumiesz, o co mnie prosisz? Czy zastanowiłeś się nad tym, co mi on proponuje? Rok za rokiem, syzyfową pracą, nie śpiąc po nocach budowałam coś, a ten tu przyszedł, gwizdnął, plunął i zburzył. Jemu wszystko jedno. Idźże sobie do diabła! Zastrzel się, bardzo proszę. Co mnie to obchodzi. Ile ci trzeba?

— Sześćset dziewięćdziesiąt kilka rubli. Powiedzmy, dla równego rachunku, siedemset — rzekł po chwili wahania Rodia.

— Rodia! Nie, ty zwariowałeś! Czy ty rozumiesz co mówisz? Rodia! Rodia! Czy zdajesz sobie sprawę, ile trzeba czasu, aby zwykły człowiek, jak ja, mógł uczciwą pracą zdobyć taką sumę?

Po chwili milczenia dodała chłodno i obco:

— Dobrze. Spróbuję. Przyjdź jutro. I przynieś z sobą rewolwer, z którego chciałeś się zastrzelić. Oddasz mi go na własność. Z porządnym zapasem nabojów, pamiętaj.

Pieniądze otrzymała od Kołogriwowa.

7

Posada u Kołogriwowa nie przeszkodziła Łarze ukończyć gimnazjum, wstąpić na wyższe żeńskie kursy i zbliżyć się do ich ukończenia, co miało mieć miejsce w następnym, 1912-tym roku.

Uczenica jej, Lipa, ukończyła gimnazjum wiosną 1911. Miała już narzeczonego, młodego inżyniera nazwiskiem Frizendank, z dobrej, zamożnej rodziny. Rodzice aprobowali wybór Lipy, lecz byli przeciwni tak wczesnemu małżeństwu i radzili jej czekać. Na tym tle dochodziło do dramatycznych scen. Lipa, rozpieszczona i kapryśna ulubienica rodziców, krzyczała na ojca i matkę, płakała i tupała nogami.

W bogatym domu, gdzie Łarę uważano za członka rodziny, zapomniano o zaciągniętym przez nią dla Rodi długu; nikt go jej nie przypominał.

Łara byłaby już dawno swój dług spłaciła, gdyby nie miała innych stałych wydatków, o których nie mówiła nikomu.

W tajemnicy przed Paszą posyłała pieniądze jego zesłanemu ojcu i często pomagała chorowitej i swarliwej starej Antipowej. Prócz tego, robiąc z tego jeszcze większy sekret, pomagała Paszy, dopłacając do jego komornego i wiktury, o czym Pasza nie wiedział.

Pasza, trochę młodszy od Łary, kochał ją do szaleństwa i był jej ślepo posłuszny. Za jej radą, po ukończeniu szkoły realnej, nauczył się dodatkowo łaciny i greki, aby wstąpić na wydział filologiczny uniwersytetu. Łara marzyła, że za rok, gdy oboje zdadzą państwowe egzaminy, pobiorą się i wyjadą, jako nauczyciele gimnazjalni, do jakiegoś gubernialnego miasta na Uralu.

Pasza mieszkał na Kamerherskim, koło Teatru Artystycznego, w pokoju znalezionym dlań przez Łarę u spokojnych ludzi.

Latem 1911 Łara pojechała po raz ostatni z rodziną Kołogriwowów do Duplanki. Miejsce to Łara lubiła ponad wszystko, więcej niż samych nawet gospodarzy. Było to ogólnie wiadome, i przyjazd Łary odbywał się według milcząco ustalonej umowy. Gdy pociąg ich, rozpalony i czarny od sadzy, odjeżdżał ze stacji, którą ogarniała odurzająco pachnąca cisza, Łara traciła ze wzruszenia dar słowa. Pozwalano jej iść pieszo do Duplanki. Na stacji tymczasem ładowano na wóz bagaże, i duplański stangret w kaftanie bez rękawów i czerwonej koszuli opowiadał siadającym do powozu państwu miejscowe nowiny z ostatniego sezonu.

Łara szła zrazu ścieżką wydeptaną wzdłuż planty przez włóczęgów i pątników, potem skręcała na ścieżkę wiodącą przez łąkę do lasu. Tu zatrzymywała się i zamknąwszy oczy wdychała niejasny zapach otaczającej ją szerokiej przestrzeni. Zapach ten był jej bliższy od ojca i matki, droższy od ukochanego, mądrzejszy od książek. Przez chwilę zdawało się jej, że rozumie sens swej egzystencji. Jest tu — myślała — aby przeniknąć niesamowity urok ziemi, aby nazwać każdą rzecz po imieniu, a jeżeli to przekroczy jej siły — aby z miłości do życia wychować następców, którzy podejmą to zadanie.

Tym razem Łara przyjechała bardzo znużona nadmierną pracą, którą wzięła na swoje barki. Łatwo wpadała teraz w zdemoralizowanie. Stała się nawet podejrzliwa, do czego dotąd nie zdradzała skłonności. Rys ten wypaczał jej charakter, wyróżniający się pogodą i równowagą.

Kołogriwowie nie pozwalali jej odejść i otaczali ją wciąż tą samą życzliwością. Od usamodzielnienia się Lipy Łara czuła się jednak w ich domu zbyt ciężka. Zrzekała się płacy, lecz nie chciano o tym słyszeć. Pieniądze były jej potrzebne, lecz, jak długo była w położeniu gościa, zajmowanie się pracą zarobkową było niezręczne i praktycznie nawet niemożliwe.

Sytuację swą Łara uważała za fałszywą i nieznośną. Zdawało się jej, że jest dla wszystkich ciężarem, i że to się przed nią ukrywa. Stała się wreszcie ciężarem dla siebie samej. Chciała uciekać gdzie pieprz rośnie, od siebie i od Kołogriwowów, ale w jej pojęciu powinna była zwrócić im przed tym dług, a na razie nie znajdowała pieniędzy. Przez tę głupią historię z Rodią czuła się jak zakładnica, i uczucie bezsilnego buntu nie pozwalało jej znaleźć sobie miejsca.

Napady hipochondrii nie przeszkadzały Łarze brać udziału w rozrywkach licznych gości bawiących w Duplance. Kąpała się, pływała, wiosłowała, jeździła łódką na nocne pikniki za rzeką, puszczała fajewerki i tańczyła. Grała w amatorskim teatrze i ze szczególnym zapałem uczestniczyła w strzelaniu do celu z krótkich mauzerowskich karabinków, od których jednak wolała lekki rewolwer Rodi. Nauczyła się zeń strzelać bardzo celnie i żartobliwie wyrażała żal, że jest kobietą, i że kariera zawodniak-pojedynkowicza jest dla niej zamknięta. Im więcej jednak bawiła się, tym czuła się gorzej. Sama nie wiedziała, czego chce.

Stan ten pogorszył się po powrocie do miasta. Do jej własnych zmartwień dołączyły się lekkie sprzeczki z Paszą (Łara obawiała się kłócenia się z nim na serio, uważając go za swą ostatnią deskę ratunku). Pasza zaczął ostatnio zdradzać wielką pewność siebie, i pouczający ton, jaki zaczął pojawiać się w jego słowach, śmieszył zarazem i irytował Łarę.

Pasza, Lipa, Kołogriwow i sprawa pieniędzy — wszystko to nie dawało jej chwili spokoju. Życie napełniało ją wstrętem. Stała na progu szaleństwa. Chciała porzucić wszystko, co było znane i wypróbowane, i zacząć jakieś nowe życie. W tym nastroju, na Boże Narodzenie 1911, powzięła fatalną decyzję. Postanowiła rozstać się natychmiast z domem Kołogriwowów, urządzić się samodzielnie i niezależnie, a o potrzebne do tego pieniądze zwrócić się do Komarowskiego. Łarze zdawało się, że po wszystkim co zaszło między nimi i po latach wywalczonej przez nią wolności Komarowski powinien pomóc jej po rycersku, bezinteresownie, bez nieczystych myśli i nie żądając żadnych wyjaśnień.

W tym celu, wieczorem 27 grudnia, poszła na Pietrowkę. Wychodząc z domu, włożyła do mufki nabity i zabezpieczony rewolwer Rodi, z zamiarem strzelania do Wiktora Ippolitowicza w razie gdyby jej odmówił, źle ją zrozumiał lub w jakiś sposób obraził.

W stanie strasznego wzburzenia Łara szła przez świąteczne ulice, nic nie widząc. Zamierzony wystrzał rozległ się już w jej duszy, i cel jego był teraz nawet obojętny. Wystrzał był jedyną rzeczą, z której jasno zdawała sobie sprawę. Słyszała go przez

całą drogę, skierowany bądź do Komarowskiego, bądź do niej samej, do jej losu, bądź wreszcie do dębu na duplańskiej łące, na którego korze wycięta była tarcza.

8

— Proszę nie ruszać mufki — powiedziała Emmie Ernestownie, która wśród liczny „och” i „ach” wyciągnęła ręce, aby pomóc jej rozebrać się. Wiktora Ippolitowicza nie było w domu, ale Emma Ernestowna namawiała nadal Łarę na zdjęcie płaszcza.

— Nie mogę. Śpieszę się. Gdzie go szukać?

Emma Ernestowa powiedziała, że Komarowski jest u znajomych na wili. Z adresem w ręku Łara zbiegła po ciemnych, napastujących ją wspomnieniami schodach z barwnymi herbami na szybach i poszła w kierunku domu Swientickich.

Teraz dopiero, znalazłszy się po raz drugi na ulicy, zaczęła się rozglądać. Była zima. Było miasto. Był wieczór.

Mróz był przejmujący. Czarny lód, gruby jak dno stłuczonej butelki od piwa, pokrywał ulicę. Zimno tamowało oddech. Powietrze przesycone było szronem, który zdawał się łechtać i kłuć swą kosmatą szczecina, jak futrzany kołnierz Łary, który drażnił jej skórę i cisnął się do ust oszronionymi kosmykami. Łara z bijącym sercem szła pustymi ulicami. Dymił się wejścia do herbaciarni i garkuchni. Z mgły wynurzały się zmarznięte twarze przechodniów, czerwone jak serdelki, i łby koni i psów, obwieszane soplami lodu. Pokryte grubą warstwą lodu i śniegu szyby zdawały się zamazane wapnem. Po ich matowej powierzchni ślizgały się barwne refleksy palących się choinek i cienie świętujących, jak gdyby przechodniom pokazywano obrazy rzucane na ekran przez czarnoksiężską latarnię. Na Kamerherskim Łara zatrzymała się. — Nie mogę dłużej, nie wytrzymam — wyrwało się głośno z jej ust. — Pójdę na górę i opowiem mu wszystko — pomyślała i, znów opanowana, otworzyła ciężkie drzwi frontowego wejścia.

9

Podpierając językiem policzek, Pasza golił się przed lustrem, potem, czerwieniąc się z wysiłku, starał się wepchnąć oporną spinkę w dziurkę nakrochmalonego kołnierza koszuli. Wybierał się z wizytą i był jeszcze tak czysty i niedoświadczony,

że zmieszał się, gdy Łara, wchodząc bez stukania, zastała go niezupełnie ubranego. Pasza zauważył od razu jej wzburzenie. Nogi uginały się pod nią, spódnica falowała jak woda przy przechodzeniu w bród rzeki.

— Co się z tobą dzieje ? Co się stało ? — pytał niespokojnie, biegnąc na jej spotkanie.

— Siądź koło mnie. Siadaj tak, jak jesteś. Nie ubieraj się. Ja się śpieszę. Będę musiała zaraz wyjść. Nie ruszaj mufki. Poczekaj. Odwróć się na chwilę.

Pasza posłusznie odwrócił się. Łara miała na sobie kostium. Zdjęła żakiet, powiesiła go na gwoździu i przełożyła rewolwer Rodi z mufki do kieszeni żakietu. Potem, wracając na kanapę, powiedziała :

— Teraz możesz patrzeć. Zapal świecę i zgaś elektryczność.

Łara lubiła rozmawiać w półmroku, i Pasza miał dla niej zawsze nienapoczętą paczkę świec. Wyjął teraz z lichtarza ogarek, wstawił nową świecę i, postawiwszy lichtarz na oknie, zapalił ją. Płomień zachłysnął się zrazu stearyną, przez chwilę strzelał na wszystkie strony gwiazdkami iskier, wreszcie przybrał formę strzały. Pokój wypełnił się łagodnym światłem. Na lodzie pokrywającym szybę ukazało się na wysokości płomienia ciemne oko.

— Posłuchaj, Patula — mówiła Łara. — Mam wielkie kłopoty. Musisz mi pomóc z nich wyjść. Nie bój się i nie pytaj o nic. Musisz rozstać się z myślą, że jesteśmy jak wszyscy inni. Nie licz na spokój, bo grozi mi nieustanne niebezpieczeństwo. Jeżeli mnie kochasz i chcesz uchronić mnie od zguby, ożeń się ze mną jak najprędzej, nie zwlekając.

— Jest to moim stałym życzeniem — przerwał jej Pasza. — Wyznacz dzień, jaki chcesz, dla mnie każdy będzie dobry. I powiedz mi wreszcie jasno i prosto, co się z tobą dzieje. Nie męcz mnie zagadkami.

Ale Łara skierowała rozmowę na inne tory, niepostrzeżenie uchylając się od odpowiedzi. Oboje długo jeszcze rozmawiali o różnych rzeczach, nie mających nic wspólnego z przyczyną smutku Łary.

Zimy tej Jura, ubiegając się o złoty medal uniwersytetu, pisał naukową rozprawę o unerwieniu siatkówki. Jakkolwiek ukończył studia jako internista, znał oko z dokładnością przyszłego okulisty.

W rozprawie o fizjologii wzroku znajdowały wyraz także inne zainteresowania i uzdolnienia Jury : jego zamiłowania literackie i rozważania o istocie widzenia artystycznego i budowie logicznej pojęć.

Tonia i Jura jechali saniami na wilię do Swientickich. Spędzili obok siebie sześć lat — ostatnią część dzieciństwa i początek młodości — i znali się wzajemnie do najdrobniejszych szczegółów. Mieli wspólne przyzwyczajenia, własny sposób wymieniania krótkich dowcipów i parskania śmiechem w odpowiedzi. Tak było i teraz. Jechali w milczeniu, z zaciśniętymi od mrozu ustami, rzucając od czasu do czasu krótkie uwagi. Myśli ich biegly własnymi drogami.

Jura przypominał sobie, że termin konkursu jest bliski, i że powinien śpieszyć z robotą, lecz w świątecznym nastroju kończącego się roku myśli jego przeskakiwały z jednego przedmiotu na drugi.

Na wydziale Miszy studenci wydawali hektografowaną gazetę, której Misza Gordon był redaktorem. Jura obiecał mu już dawno artykuł o Błoku. Błokiem egzaltowała się młodzież obu stolic, a Jura i Misza więcej być może od innych.

Lecz i te myśli nie zaprzętały długo jego uwagi. Tonia i Jura jechali dalej, chowając dolną część twarzy w futrzany kołnierz, rozcierając marznące uszy i myśląc, każde z osobna, o swoich sprawach. Na jednym wszakże punkcie myśli ich zbiegały się.

Niedawna scena u Anny Iwanowny wywołała u obojga głębokie przeobrażenia. Oboje przejeździ i zaczęli patrzeć na siebie nowymi oczyma.

Tonia, stara koleżanka, w której wszystko zdawało się oczywiste i nie wymagające żadnych wyjaśnień, stała się czymś najbardziej nieprzeniknionym i niezrozumiałym z wszystkiego, co Jura mógł sobie wyobrazić, mianowicie kobietą. Przy pewnym wysiłku imaginacji Jura mógł sobie wyobrazić siebie w roli bohatera wchodzącego na szczyt Araratu, w roli proroka, zwycięzcy, lecz nie mógł się zobaczyć w roli kobiety.

I tę właśnie najtrudniejszą, najwyższą rolę Tonia wzięła na swe szczupłe i słabe plecy (od tej chwili Tonia, w istocie zupełnie zdrowa dziewczyna, zaczęła mu się wydawać chuda i słaba). Jura poczuł dla niej gorącą sympatię i nieśmiały podziw, będący początkiem miłości.

Uczucia Toni dla Jury uległy podobnym przemianom.

Jura czuł, że nie powinni byli wyjeżdżać z domu. Oby tylko nic się nie stało podczas ich nieobecności ! Jura zaczął przypominać sobie okoliczności, które poprzedziły ich wyjazd. Dowiedziawszy się, że Anna Iwanowna czuje się gorzej, oboje, ubrani

już do wyjścia, poszli do niej, proponując, że zostaną w domu. Chora raz jeszcze energicznie zaprotestowała, każąc im jechać na wilię. Jura i Tonia zbliżyli się do okna i odsunęli firankę, aby rozpoznać stan pogody. Gdy wychodzili z niszy, tiul firanki przylgnął do ich nowych ubrań. Lekka tkanina wlokła się za Tonia, podobna do welonu ślubnego. Wszyscy obecni w sypialni roześmieli się, uderzeni jednocześnie tym podobieństwem.

Na ulicy Jura widział te same obrazy, które przed chwilą zwróciły na siebie uwagę Łary. Sanie ich wydawały niezwykle chrzęst, na który oblodzone drzewa parków i bulwarów odpowiadały równie niezwykle echem. Oszronione i oświetlone od wewnątrz okna podobne były do drogocennych szkatulek z mętnego, fladrowatego topazu. We wnętrzu ich tliło się świąteczne życie Moskwy: płonęły choinki, odświeżenie przebrani goście tłoczyli się, swawolili, bawili się w kółeczko i w chowanego.

Jurze przyszło nagle na myśl, że Błok jest świętem Bożego Narodzenia, ogarniającym wszystkie dziedziny rosyjskiego życia: codzienność północnych miast, najnowszą literaturę, ulice, rozpostarte nad nimi gwiazdziste niebo i oświetlone choinkami salony naszego stulecia. Wydało mu się, że pisanie artykułu o Błoku jest rzeczą zbędną, że wystarczyłoby, wzorem mistrzów holenderskich, namalować rosyjski pokłon trzech króli, z mrozem, wilkami i ciemnym, jodłowym borem.

Jechali teraz przez Kemerherski. Uwagę Jury zwrócił ciemny, odtajały otwór w lodowej powłoce jednego z okien. Przez otwór ten patrzył na ulicę płomień świecy, jak gdyby obserwował przejeżdżających lub kogoś oczekiwał.

„Świeca paliła się na stole. Świeca paliła się...” szeptał do siebie Jura. Słowa te były początkiem czegoś niejasnego, szukającego swej formy. Jura powtarzał je w nadziei, że dalszy ciąg przyjdzie mu na myśl sam, bez wysiłku. Nic jednak nie przychodziło.

II

Od niepamiętnych czasów wilia u Swientickich odbywała się w sposób następujący. O dziesiątej, gdy dzieci rozjeżdżały się do domów, zapalano na nowo choinkę dla młodzieży i dorosłych i bawiono się do rana. Starsi przez całą noc rżnęli w karty w pokoju pompejańskim, będącym przedłużeniem sali i oddzielonym od tej ostatniej ciężką kotarą, zawieszoną na brązowych pierścieniach. O świcie wszyscy siadali razem do kolacji.

— Czemu tak późno? — zapytał ich w przedpokoju Georges, siostrzeniec Swientickich, biegnąc w głąb mieszkania do wuja i ciotki. Jura i Tonia postanowili pójść za nim, aby przywitać się z gospodarzami, i po drodze, zdejmując płaszcz, rzucili okiem na salę.

Od dyszącej upałem i otoczonej aureolą światła choinki dzieliła ich żywa ściana gości szeleszczących sukniami, tłoczących się, depczących sobie po nogach, przechadzających się i rozmawiających.

Za nimi w zawrotnym tempie wirowali tańczący. Tworząc pary, kółeczka i łańcuszki, wprowadzał ich w ruch syn pomocnika prokuratora, uczeń liceum imieniem Koka Kornakow, który dyrygował tańcami, krzycząc na całe gardło z jednego końca sali w drugi: *Grand rond! Chaîne chinoise!* Wszyscy byli mu posłuszni. *Une valse s'il vous plait!* — wołał donośnym głosem do pianisty i w pierwszej parze posuwał się z swą tancerką *à trois temps, à deux temps*, zwalniając wreszcie tempo i skracając krok aż do deptania na miejscu, które przestawało być walcem i stawało się tylko jego słabnącym echem. Wszyscy oklaskiwali. W poruszającym się, szurgającym nogami i krzyczącym tłumie obnoszono lody i chłodzące napoje. Rozgorączkowane dziewczęta i chłopcy przerywali na chwilę rozmowę, przestawali śmiać się i krzyczeć, aby w pośpiechu wypić chciwie szklankę soku owocowego lub lemoniady, zaledwie jednak odstawili szklankę na tacę zaczynali krzyczeć i śmiać się ze zdwojoną siłą, jak gdyby napili się jakiejś rozweselającej mikstury.

Nie wchodząc do sali, Tonia i Jura poszli w głąb mieszkania do gospodarzy.

12

Pokoje mieszkalne Swientickich były zavalone meblami, wyniesionymi z salonu i sali balowej dla zrobienia tam luzu. W tej części mieszkania znajdowała się czarodziejska kuchnia gospodarzy i skład akcesoriów świątecznych. Pachniało tam klejem i farbą; wszędzie leżały zwitki kolorowych papierów oraz pudełka z kotylionowymi gwiazdami i zapasowymi świecami na choinkę.

Starzy Swienticcy pisali nazwiska na prezentach, kartki wyznaczające miejsca przy stole i bilety projektowanej loterii. Georges pomagał im w tej pracy, ale mylił się wciąż w numerach, wywołując niezadowolone pomruki wuja i ciotki. Swienticcy ucieszyli się bardzo z przybycia Jury i Toni. Znali ich od dziecka,

nie robili z nimi żadnych ceremonii i bez gadania posadzili do roboty.

— Felicata Siemionowna zapomina zawsze, że o wszystkim tym trzeba myśleć zawczasu, a nie w chwili największej gorączki, gdy goście są już w domu. Ach ty, błędna Paraskiewo, Żorżu, coś ty znów zbroił z numerami? Bombonierki z drażetkami miałeś kłaść na stół, a puste — na kanapę, a ty wszystko na odwrót!

— Bardzo się cieszę, że Anetce jest lepiej. Pierre i ja byliśmy o nią bardzo niespokojni.

— Tak, kochaneczko, jest jej właśnie gorzej, rozumiesz? Ale u ciebie w głowie wszystko jest *devant-derrrière*.

Jura i Tonia spędzili połowę wieczoru z Georges'em i starymi Swientickimi za kulisami wili.

13

Przez cały ten czas Łara znajdowała się na sali. Nie miała balowej sukni i nikogo tu nie знаła. Tańczyła bezwolnie, jak we śnie, z Koką Kornakowem lub bezczynnie, dając się nieść prądowi, włączyła się z jednego końca sali w drugi.

Raz czy dwa stawiała niezdecydowana na progu salonu, w nadziei, że siedzący właśnie naprzeciw Komarowski ją zobaczy. Ale Komarowski patrzył w karty, które trzymał jak tarczę w lewej ręce, i bądź istotnie jej nie widział, bądź też udawał, że nie widzi. Uczucie doznanej zniewagi tamowało jej oddech. W pewnej chwili do salonu weszła nieznana Łarze dziewczyna. Komarowski rzucił jej spojrzenie, które Łara tak dobrze знаła. Wyróżniona nim dziewczyna uśmiechnęła się do Komarowskiego, poczerwieniała i rozpromieniła się. Łara omal nie krzyknęła. Wstyd pokrył ciemnym rumieńcem jej czoło i szyję. „Nowa ofiara” — pomyślała i jak w zwierciadle zobaczyła nagle siebie i swoją historię. Nie rezygnowała jednak z rozmowy z Komarowskim i, odkładając ją na stosowniejszą chwilę, uspokoiła się i wróciła na salę.

Prócz Komarowskiego, za tym samym stołem siedziało jeszcze trzech graczy. Partner siedzący obok niego był ojcem eleganckiego liceisty, który zaprosił był Łarę do tańca. Dowiedziała się o tym z kilku słów zamienionych z swym tancerzem. Wysoka brunetka w czarnej sukni, z nieprzytomnie palającymi oczami i wyprężoną jak żmija szyją, wychodząca co chwila na salę, gdzie popisywał się jej syn, i wracająca do grającego w karty męża, była matką Koki Kornakowa. Wyjaśniło się

wreszcie też, że dziewczyna, która wywołała u Łary tyle sprzecznych uczuć, była siostrą Koki, i że podejrzenia Łary nie miały najmniejszych podstaw.

— Kornakow — powiedział jej Koka prosząc do tańca, ale Łara nie zwróciła na to uwagi. — Kornakow — powtórzył kłaniając się, po ostatnim okrażeniu sali i odprowadzeniu jej na miejsce. Tym razem Łara posłyszała wyraźnie jego nazwisko. Kornakow, Kornakow — powtarzała i zamyśliła się. Coś znanego, coś nieprzyjemnego. Wreszcie przypomniała sobie wszystko. Kornakow — zastępca prokuratora przy moskiewskim sądzie okręgowym. On to oskarżał grupę kolejarzy, do której należał Tiwierzin. Na prośbę Łary, Ławrientij Michajłowicz jeździł doń i próbował go udobruchać, ale nie udało mu się złagodzić jego furii. — Tak to jest. Tak. Tak. Ciekawe. Kornakow. Kornakow.

14

Była już pierwsza lub druga po północy. Jurze szumiało w uszach. Po przerwie, podczas której podawano herbatę z ciastkami, tańce zaczęto na nowo. Świece na choince dogasały, ale nikt ich więcej nie zmieniał.

Jura stał roztargniony po środku sali i patrzył na Tonię, tańczącą z kimś nieznanym. Przepluwając koło Jury, Tonia odrzucała nogą tren swej zbyt długiej ałasowej sukni i, plusnąwszy nim jak ryba, znikła w tłumie tańczących.

Tonia była rozpalona. Podczas przerwy, za stołem, odmówiła herbaty i gasiła pragnienie mandarynkami, obierając je z pachnącej, lekko oddzielającej się skórki. Co chwili wyjmowała zza paska lub z rękawa malutką chusteczkę batystową podobną do płotka kwiatu i ocierała nim pot z brzegów ust i lepkich od soku palców. Śmiejąc się i nie przerywając ożywionej rozmowy, wtykała ją mechanicznie za pasek lub brzeg stanika.

Tańcząc teraz z nieznanym kawalerem, Tonia za każdym okrażeniem sali potraçała niemal usuwającego się i chmurzącego się Jurę. W przelocie ścisnęła mu rękę i rzuciła znaczący uśmiech. Podczas jednego z tych spotkań chusteczka, którą trzymała w palcach, została w ręku Jury. Jura przycisnął ją do ust i zamknął oczy. Chusteczka miała zapach skórki z mandarynki i rozgrzanej dłoni Toni, oba jednakowo urzekające. Jurę przenikało od stóp do głów uczucie, jakiego nigdy dotąd nie doznawał. Ten dziecinnie naiwny zapach miał w sobie coś intymnie rozsądnego, jak słowa powiedziane szeptem w mroku. Jura stał z zamkniętymi

oczyma, wdychając zapach trzymanej w ręku chusteczki. Wtem rozległ się wystrzał.

Wszyscy odwrócili głowy w kierunku kotary, oddzielającej salon od sali balowej. Przez chwilę trwało milczenie. Potem zaczął się popłoch. Wszyscy zaczęli biegać i krzyczeć. Część obecnych z Koką Kornakowem na czele rzuciła się w kierunku, z którego dał się słyszeć wystrzał. Stamtąd wychodzili właśnie inni, grożąc sobie, płacząc, sprzecząc się i przerywając jedni drugim.

— Co ona zrobiła, co ona zrobiła — powtarzał w rozpacz Komarowski.

— Boria, jesteś żywy? Boria, jesteś żywy? — krzyczała histerycznie pani Kornakowa. — Mówiono, że wśród gości jest doktor Drokow. Gdzie on jest? Gdzie on jest? Ach, dajcie pokój, proszę! Dla was to zadraśnięcie, a dla mnie sens całego mego życia. O, mój biedny męczenniku, demaskatorze tych wszystkich zbrodniarzy! Oto ona, oto ta szelma, ja ci oczy wydrapię, kanalio! Teraz nie wyjdiesz stąd! Co mówicie, panie Komarowski, Do was? Ona strzelała do was? Nie, tego za wiele! Panie Komarowski, opamiętajcie się, mam ciężkie zmartwienie i teraz mi nie do żartów. Koka, Koka, co ty na to mówisz? Na twego ojca... Ale ręka Boska... Koka! Koka!

Goście tłumnie wychodzili z salonu do sali balowej. Po środku, żartując i zapewniając wszystkich głośno, że nic mu nie jest, szedł Kornakow i czystą serwetą przyciskał lekko krwawiące draśnięcie. O kilka kroków z tyłu inna grupa otaczała Łarę którą prowadzono pod ręce.

Jura zdrewniał na jej widok. Ta sama! I znów w takich niezwykłych okolicznościach. I znów ten sam siwiejący pan. Tym razem Jura go zna. Jest to znany adwokat Komarowski, grający jakąś rolę w procesie spadkowym Żiwagów. Może się z nim nie witać. Obaj zachowują się jak nieznajomi. A ona... Czy to ona strzelała? Do prokuratora? Na pewno przestępstwo polityczne. Biedna. Nie wyjdzie to jej na dobre. Jest tak piękna i dumna! A ci tam? Wloką ją, wykręcając ręce, jak złapaną złodziejkę.

Zaraz jednak spostrzegł, że się myli. Pod Łarą ugiwały się nogi. Trzymano ją pod ręce, by nie upadła. Z trudem doprowadzono ją do fotela, w który zsunęła się bezwładnie.

Jura zbliżył się, aby ją przywrócić do przytomności, lecz po drodze uznał, że lepiej będzie okazać naprzód zainteresowanie dla domniemanej ofiary zamachu. Podeszedł więc do Kornakowa i powiedział:

— Proszono tu o pomoc lekarską. Mogę nią służyć. Pokażcie mi rękę. No, Bóg był łaskaw. Tego nie warto nawet przewiązywać.

Zresztą trochę jodyny nie zaszkodzi. Oto Fielicata Siemionowna, będziemy ją mogli o to poprosić.

Swienticka i Tonia podeszły szybko do Jury, obie bardzo blade. Powiedziały, że ma rzucić wszystko i ubierać się. W domu coś się stało, i przysłano po nich konie. Jura, pełen najgorszych przypuszczeń, zapomniał o wszystkim i pobiegł się ubierać.

15

Zanim Jura i Tonia dojechali na ulicę Siwcew Wrażok i wbiegli na schody, Anna Iwanowna już nie żyła. Zmarła przed dziesięciu minutami, po długim napadzie dusznicy, wywołanym przez nierozpoznany na czas wysięk płuc.

Przez pierwszych kilka godzin Tonia krzyczała, wyła, wiała się w konwulsjach i nie poznawała nikogo. Następnego dnia ścichła, słuchała cierpliwie tego, co jej mówili ojciec i Jura, ale odpowiadała tylko skinieniem głowy, bo gdy otwierała usta, rozpacz ogarniała ją znów, i krzyk wyrywał się jej z gardła jak opętanej.

W przerwach między żałobnymi obrzędami klęczała przez całe godziny koło zmarłej, obejmując swymi dużymi, pięknymi rękami brzeg trumny i pokrytego wieńcami katafalku. Nie zwracała na nikogo uwagi, lecz gdy spojrzenie jej spotykało się z spojrzeniem kogoś z bliskich, pośpiesznie wstawała i, powstrzymując łkanie, szybkim krokiem biegła po schodach do swego pokoju, rzucała się na łóżko i, wciskając głowę w poduszki, tłumiła wybuchy rozpacz.

Od zgryzoty, długiego stania, braku snu, głębokich tonów żałobnych pień, blasku gromnic i przeziębienia, na które wówczas cierpiał, w duszy Jury powstał mdły zamęt, na przemian słodko majaczący i boleśnie podniosły.

Przed dziesięciu laty, gdy grzebano jego matkę, Jura był jeszcze dzieckiem. Pamiętał dotąd, jak gorzko płakał wówczas z rozpacz i przerażenia. Główna część dramatu nie rozgrywała się w nim samym. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że istnieje jakiś Jura, mający własną egzystencję, własną wartość. Główną rzeczą było dlań to, co otaczało go z zewnątrz. Świat zewnętrzny obstał go był ze wszystkich stron, widoczny i namacalny jak las. Wstrząs wywołany śmiercią matki był tak gwałtowny dlatego, że Jura zabłądził z matką w tym lesie i nagle znalazł się w nim sam jeden. Na las ten składało się wszystko co widział: obłoki, szylidy sklepów, wieże straży ogniowej i słudzy klasztorni, jadący

konno przed karetą z Matką Boską, w nausznikach zamiast czapek, aby nie nakrywać głowy w obliczu świętości. Wystawy sklepowe w pasażach, wysokie, gwiaździste niebo, Bóg i święci byli też częścią tego boru.

W dzieciennym pokoju, gdy niania opowiadała coś z historii świętej, to wysokie i niedostępne niebo zbliżało się doń, zniżało niemal do kraju sukni niani; stawało się swojskie i bliskie jak wierzchołek leszczyny, przegięty w dół podczas orzechobrania; kąpało się w jego pozłacanej miednicy, aby po tej złotej i ognistej kąpieli przybrać postać nabożeństwa w małej cerkiewce, do której prowadziła go niania. Tam gwiazdy zmieniały się w lampy, Bóg w popa, a wszyscy inni zajmowali stanowiska mniej lub więcej odpowiadające ich zdolnościom. Główną częścią boru był jednak świat dorosłych i miasto, otaczające go ciemną ścianą drzew. Całą swą na pół zwierzęcą wiarą Jura wierzył w Boga jak w leśniczego.

Teraz wszystko było inaczej. W szkole średniej i wyższej Jura zajmował się przez 12 lat starożytnością i religią, legendami i poezją, historią i naukami przyrodniczymi; wszystko to było dlań kroniką rodzinnego domu, jego własnym drzewem genealogicznym. Nie bał się teraz niczego, ani życia, ani śmierci, ani niczego w świecie; wszystko to były wyrazy z jego słownika. Czuł się na równej stopie z resztą świata, i nabożeństwa żałobnego słuchał po śmierci Anny Iwanowny zupełnie inaczej niż po śmierci matki. Wówczas zapominał się z bólu i modlił się przerażony. Teraz słuchał nabożeństwa jak wiadomości dla niego przeznaczonej i odnoszącego się do jego osoby. Wsłuchiwał się w słowa liturgii, szukając w nich, jak w wszystkich poważnych sprawach ludzkich, zrozumiałego, jasno określonego sensu. Uczucie łączące go z wyższymi potęgami nieba i ziemi nie miało nic wspólnego z pobożnością. Uważał się za spadkobiercę tych potęg i szanował je jako wielkich poprzedników.

„Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zlituj się nad nami”. Co to jest? Gdzie jestem? Wyprowadzenie zwłok. Wynoszą je. Trzeba się zbudzić. O szóstej rano Jura położył się w ubraniu na tej sofie. Na pewno miał gorączkę. Szukają go po całym domu, i nikt nie domyśla się, że śpi kamiennym snem w kącie biblioteki, za sięgającymi sufitu półkami.

— Jura, Jura! — woła go gdzieś niedaleko dozorca Markiel. Wyprowadzanie zwłok zaczęło się, Markiel ma znosić wieńce i nie może doszukać się Jury. Na domiar złego nie może wydostać się z sypialni, gdzie złożone były wieńce, bo stojąca przed wejściem do niej szafa otworzyła się i przytrzymuje klamkę u drzwi.

Markiel! Markiel! Jura! — wołają z parteru. Markiel silnym pchnięciem przewycięża wreszcie przeszkodę i z kilku wieńcami zbiega na dół.

„Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny” — płynęły ulicą tony tak łagodne, jak gdyby ktoś musnął powietrze strusim piórem, i wszystko zaczęło się kołysać: wieńce, przechodnie, końskie głowy z pióropuszcami, kadzielnica na łańcuszku w rękę popa i biała ziemia pod stopami.

— Jura! Boże, no nareszcie! Obudź się, proszę — szarpie go za ramię Szura Schlesinger, która go odnalazła. — Co ci jest? Wyprowadzają zwłoki. Idziesz z nami?

— Oczywiście.

17

Msza żałobna skończyła się. Zebracy, którzy marzli przestępując z nogi na nogę, zbliżyli się i ustawili w dwa rzędy. Karawan, dwukółka z wieńcami i kareta Krügerów drgnęły i przesunęły się o pół kroku. Dorożki podjechały bliżej. Z cerkwi wyszła zapłakana Szura Schlesinger i, podniósłszy mokrą od łez woalkę, rzuciła baczne spojrzenie na rząd dorożek. Spostrzegłszy tragarzy z biura pogrzebowego zawołała ich gestem i znikła z nimi w cerkwi. Coraz więcej osób wychodziło.

— Przyszła kolej i na biedną Annę Iwanownę. Wyciągnęła bilet z daleką podróżą.

— Naskakała się, biedna, jak konik polny. Czas jej odpocząć.

— Macie dorożkę, czy jedziecie jedenastką?

— Zdętniały mi nogi. Przejdźmy parę kroków i potem pojedziemy.

— Zauważyliście, jak Fufkow to przeżywał? Pożerał zmarłą oczyma, lzy ciekły mu ciurkiem, co chwila musiał ucierać nos. I wszystko to stojąc obok męża.

— On całe życie zapuszczał żurawia w tę stronę.

Tak rozmawiając, obecni szli na drugi koniec miasta, ku cmentarzowi. Mróz tego dnia zelżał. Powietrze było ciężkie, nieruchome. Był to dzień odchodzącego mrozu, odchodzącego życia, przez samą przyrodę przeznaczony na pogrzeby. Brudny

śnieg przeświecał jak przez krepe. Nawet czarno-srebrne świerki za murem cmentarnym zdawały się być w żałobie.

Był to ten sam pamiętny cmentarz, na którym pochowana była Maria Nikołajewna. W ciągu ostatnich lat Jura nie odwiedzał mogiły matki. Patrząc teraz w tamtą stronę, wyszeptał „mamo”, jak wówczas.

Kondukt rozdzielił się teraz na kilka strumieni, posuwając się uroczyście i nawet malowniczo kilku różnymi ścieżkami, których zakręty nie licowały z solennym krokiem żałobników. Aleksander Aleksandrowicz prowadził pod rękę Tonię. Krügerowie szli za nimi. W żałobie było Toni bardzo do twarzy.

Kosmaty jak pleśń szron lepił się do kopuł cerkiewnych i do różowych murów monasteru. W trochę dalszym kącie monasterskiego podwórza przeciągnięte były od muru do muru sznury, na których suszyła się wyprana bielizna: koszule z ciężkimi od wody rękawami, obrusy brzoskwiniowego koloru i krzywo powieszzone, źle wyżęte prześcieradła. Wpatrując się w tę stronę, Jura uświadomił sobie, że w tej właśnie części monasterskiego obejścia, zmienionej teraz przez nowe zabudowania, szalała widziana przezeń niegdyś zamieć.

Jura szedł samotnie, bądź wyprzedzając szybkim krokiem kondukt, bądź zatrzymując się i czekając na innych. W odpowiedzi na wyrwę, zrobioną przez śmierć w idącej za nim grupie, Jura odczuwał nieodpartą — jak pęd pokrytej lejami wirów wody — chęć marzenia i rozmyślenia, szlifowania formy, poszukiwania piękna. Jaśniej niż kiedykolwiek widział teraz, że sztukę zaprzątają nieustannie dwie rzeczy: rozważanie śmierci i tworzenie przez to nowego życia. Wielka, prawdziwa sztuka — to Apokalipsa i to, co ją uzupełnia.

Z upragnieniem czekał chwili, gdy będzie mógł na jeden lub dwa dni zniknąć z rodzinnego i uniwersyteckiego horyzontu i wziąć się do pisania wiersza, poświęconego pamięci Anny Iwanowny. W wierszu tym umieści wszystko, co mu wówczas przyjdzie na myśl: spostrzeżenia przypadkowe, przynoszone przez samo życie, kilka najcharakterystyczniejszych rysów zmarłej, obraz Toni w żałobie, kilka szczegółów spostrzeżonych na ulicy w drodze na cmentarz, i wypraną bielizną w miejscu, gdzie, jako dziecko, widział kiedyś szalejącą w nocy zamieć, i płakał.

R o z d z i a ł I V

NADCHODZĄ NIEUNIKNIONE WYPADKI

I

Na pół przytomna, Łara leżała w sypialni na łóżku Fielicaty Siemionowny. Dookoła niej szeptem mówili Swienticcy, doktor Drokow i służba.

Pusty dom Swientickich pogrążony był w mroku. Tylko w małym saloniku, leżącym w środku długiej amfilady paliła się przyćmiona lampa, rzucająca snop światła w obie strony ustawionych w jedną linię pokoiów.

Po tej świetlnej smudze przechadzał się Wiktor Ippolitowicz krokiem zdecydowanym i gniewnym, jak gdyby znajdował się nie u obcych, lecz u siebie w domu. Zaglądał do sypialni, aby dowiedzieć się, co się tam dzieje, to znów szedł na drugi koniec domu, mijał choinkę pokrytą srebrnymi błyskotkami i wchodził do jadalni, gdzie stół ugiął się pod brzemieniem nietkniętych potraw, i gdzie zielonkawę kieliszki do wina brzęczały z cicha, gdy ulicą jechała jakaś karetka lub gdy mysz przebiegała po stole wśród talerzy.

Komarowskijsz szalał. Miotają nim sprzeczne uczucia. Co za skandal, co za awantura! Ogarniała go wściekłość. Jego własna pozycja była zagrożona. Ten wypadek groził jego reputacji. Należało za wszelką cenę, dopóki czas, przeszkodzić plotkom, jeżeli zaś wiadomość już się rozeszła, zatuszować jak najprędzej całą sprawę. Jednocześnie ulegał nieodpartemu urokowi tej zuchwałej, zwariowanej dziewczyny. Była inna od wszystkich. Było w niej

wciąż coś niezwykłego. Lecz jakże dotkliwie i niepowrotnie on, Komarowski, zrujnował jej życie! Jak ona się szarpie i miota, chcąc odmienić swój los i rozpocząć nową egzystencję!

Trzeba jej będzie pod każdym względem pomóc, być może wynająć pokój, byle jej tylko nie tykać. Przeciwnie, należy oddalić się, odejść, uważać, aby jej w niczym nie uchybić, bo ona już jest taka, i nie wiadomo, co jeszcze gotowa zrobić.

Ile kłopotów! Chwalić jej za to nie będą. Sprawiedliwość nie śpi. Nie minęły jeszcze od tej historii dwie godziny, a już dwukrotnie przychodzili w nocy z policji, i Komarowski musiał wychodzić do kuchni, rozmawiać z rewirowym i załagadzać sprawę.

Im dalej, tym trudniej. Trzeba będzie dowodów na to, że Łara strzelała do niego, a nie do Kornakowa. Ale na tym się nie skończy. Część odpowiedzialności w ten sposób z Łary spadnie, ale i za resztę będzie musiała odpowiadać przed sądem.

Będzie się, oczywiście, starał do tego nie dopuścić, a jeżeli śledztwo zostanie wdrożone, przedłoży orzeczenie psychiatrów, że Łara w chwili zamachu była niepoczytalna, i spowoduje umorzenie sprawy.

Rozważania te uspokoiły go. Noc minęła. Światło dzienne zaczęło błdzić po pokojach, zaglądając pod stoły i kanapy, jak złodzieje i komornicy.

Dowiedziawszy się w sypialni, że stan Łary nie uległ poprawie, Komarowski pojechał wprost od Swientickich do swej znajomej, Rufiny Onisimowny Wojt-Wojtkowskiej, prawniczki i żony emigranta politycznego. Wojtkowska miała ośmiopokojowe mieszkanie, przechodzące jej potrzeby i środki. Dwa pokoje odnajmowała. Jeden z nich niedawno zwolnił się, i Komarowski wynajął go dla Łary. W kilka godzin później przywieziono ją tam na pół przytomną, z wysoką temperaturą. Łara miała nerwową gorączkę.

Rufina Onisimowna była kobietą postępową, odrzucała przesady i odnosiła się życzliwie do wszystkiego, co według jej słów było „pozytywne i zdolne do życia”.

Na komodzie jej leżał egzemplarz *Programu erfurckiego* z dedykacją autora. Jedna z wiszących na ścianie fotografii

przedstawiała jej męża — „mego pocziwego Wojta” — na święcie ludowym w Szwajcarii, przechadzającego się z Plechanowem. Obaj byli w lustrynowych marynarkach i panamach.

Od pierwszego wejrzenia Rufina Onisimowna poczuła antypatię do swej nowej lokatorki. Uważała ją za symulantkę, udającą delirium. Była głęboko przekonana, że Łara gra rolę obłąkanej Gretchen w ciemnicy.

Pogardę dla Łary Rufina Onisimowna wyrażała przez ożywioną działalność gospodarską: trzaskała drzwiami, głośno śpiewała, biegała wciąż po swojej części mieszkania i przez cały dzień wietrzyła pokoje.

Mieszkanie jej znajdowało się na najwyższym piętrze wielkiego domu na Arbacie. Zimą, gdy tylko dzień zaczynał się przedłużać, okna tego piętra wypełniało błękitne światło nieba szerokiego jak wezbrana rzeka. Przez pół zimy mieszkanie było pełne zapowiedzi zbliżającej się wiosny.

Przez lufcik wiał ciepły, południowy wiatr, na dworcach rozlegały się gwizdki parowozów, i chora pogrążona była w odległe wspomnienia.

Często przypominała sobie swój pierwszy wieczór w Moskwie, po przyjeździe z Uralu przed siedmiu czy ośmiu laty, w niezapomnianych czasach dzieciństwa.

Jechali z dworca do hotelu dorożką poprzez całą Moskwę, na pół ciemnymi ulicami. Przybliżające się i oddalające latarnie uliczne rzucały na ściany domów cień ich zgarbionego woźnicy. Cień rósł, rósł do olbrzymich rozmiarów, pokrywał bruk ulicy, dochodził do dachów domów i znikał. Po chwili wszystko zaczynało się na nowo.

Górą rozlegały się dzwony „czterdziestu czterdziestek” moskiewskich cerkwi, dołem na ziemi dzwoniły konne tramwaje, i nawet jaskrawo oświetlone witryny sklepów, jak zdawało się Łarze, wydawały jakiś dźwięk podobnie jak dzwony i tramwaje.

W numerze zdumiał ją leżący na stole niezwyklej wielkości arbuz, powitalny prezent Komarowskiego. Arbuz ten wydał się jej symbolem władzy i bogactwa tego ostatniego. Z przerażeniem patrzyła, jak Wiktor Ippolitowicz rozcinał nożem to chrzęszczące, ciemnozielone cudzo, z chłodnym, słodkim miąższem. Nie śmiała odmawiać i z wysiłkiem połykała różowe, pachnące kąski, zatrzymujące się w jej ściśniętym ze wzruszenia gardle.

Jej onieśmienie wobec kosztownych potraw i nocnej stolicy było bardzo podobne do późniejszego onieśmienia wobec Komarowskiego; w tym być może leżał sekret wszystkiego, co

potem nastąpiło. Komarowskiego trudno teraz było poznać. Niczego nie żądał, nie przypominał jej siebie i nawet nie pokazywał się, lecz z oddali, w najszlachetniejszy sposób ofiarowywał jej wciąż swą pomoc.

Czymś zupełnie innym była wizyta Kołogriwowa. Łara ucieszyła się bardzo z widoku Ławrientja Michajłowicza. Nie tyle wzrostem i tuszą, ile żywotnością i talentem, iskrzącymi się spojrzeniami i mądrym uśmiechem Kołogriwow wypełniał połowę pokoju. Zrobiło się w nim nawet trochę ciasnawo.

Kołogriwow siedział przed łóżkiem Łary, zacierając ręce. Gdy rada ministrów wzywała go do Petersburga, zwracał się do wiekowych dygnitarzy jak do swawolnych uczniów wstępnej klasy. Teraz leżał przed nim ktoś z rodziny, niemal córka, z którą jak z wszystkimi w domu, porozumiewał się przy pomocy wymienianych mimochodem spojrzeń i uwag. (Ten sposób bycia, pełen wyrazistych skrótów, posiadał zresztą swój urok, z którego obie strony zdawały sobie sprawę). W stosunku do Łary nie mógł być wymagający ani obojętny, jak wobec dorosłych. Nie wiedział więc, jak z nią mówić, aby jej nie dotknąć, i, uśmiechnąwszy się do niej jak do dziecka, powiedział :

— Co wy, matuszka, wyprawiacie? Na co wam te melodramaty? — Na chwilę zamilkł, patrząc na ślady wilgoci na ścianach i na suficie. Potem pokiwał z wyrzutem głową i ciągnął dalej : — W Düsseldorfie odbędzie się niedługo wystawa międzynarodowa malarstwa, rzeźby i sztuki ogrodniczej. Wybieram się tam. Wilgotno tu. Czy długo jeszcze chcecie tak bujać między niebem i ziemią? Zresztą tu też wielkiej swobody nie zażywacie. Ta Wojtessa, między nami mówiąc — to nic ciekawego. Ja ją znam. Zmieńcie mieszkanie. Dość już wylegiwania się. Przechorowaliście się i dosyć. Czas wstawać. Zmieńcie mieszkanie, wróćcie do nauki, kończcie kursy. Mam tu znajomego malarza, który wyjeżdża na dwa lata do Turkiestanu. Jego pracownia podzielona jest przepierzeniami w ten sposób, że tworzy małe mieszkanie. O ile wiem, gotów jest oddać je w dobre ręce razem z umeblowaniem. Chcecie? — załatwię. Wreszcie jeszcze jedna sprawa. Pozwólcie, że przystąpię od raz do rzeczy. Dawno już chciałem, uważając to za mój święty obowiązek... Z chwilą gdy Lipa... Oto niewielka suma, gratyfikacja za dobre przygotowanie jej do ostatecznego egzaminu... Nie, pozwólcie, pozwólcie... Proszę was bardzo, nie bądźcie uparci... Proszę mi wybaczyć...

I wychodząc zmusił ją, mimo sprzeciwów, leż i nawet czegoś w rodzaju czynnego oporu, do przyjęcia czeku na dziesięć tysięcy.

Po wyzdrowieniu Łara przeniosła się w okolice Smoleńskiego Rynku, do zachwalanego przez Kołogriwowa mieszkania. To

ostatnie znajdowało się na pierwszym piętrze starego domu. Parter zajmowały składy towarów. W domu tym mieszkali poza tym furmani. Wybrukowane kocimi łbami podwórze zasłane było porozsypywanym owsem i resztkami siana. Przechadzały się po nim gruchające gołębie, które czasami fruwały do wysokości okien Łary. W murowanym rynsztoku ukazywały się stada szczurów.

3

Wiele kłopotu było z Paszą. Dopóki Łara była chora, nie pozwalano mu jej widzieć. Co mógł ten chłopiec myśleć? Łara chciała zabić człowieka, który w pojęciu Paszy musiał jej być obojętny, a potem znalazła się pod opieką tegoż człowieka, ofiary nieudanego zamachu. I wszystko to zdarzyło się zaraz po ich pamiętnej rozmowie przy świecy, w dzień świąt. Gdyby nie zabiegi tego człowieka, Łarę aresztowano by i postawiono przed sądem. Dzięki niemu Łara mogła zostać na kursach, zdrowa i cała. Pasza dręczył się i nie wiedział co myśleć.

Gdy stan jej polepszył się, Łara wezwała Paszę i powiedziała mu :

— Jestem zła. Nie znasz mnie, kiedyś ci to opowiem. Teraz trudno mi mówić, duszą mnie łzy, sam widzisz to. Odejdź, zapomnij mnie. Nie jestem ciebie warta.

Nastąpiły rozdzierające sceny, jedna przykrzejsza od drugiej. Wojtkowska — Łara mieszkała wówczas jeszcze na Arbacie — widząc w korytarzu zapłakanego Paszę, biegła do swego mieszkania i rzuciła się ze śmiechu na kanapę: „Oj, nie mogę, nie mogę! Doprawdy, można powiedzieć... Cha-cha-cha! Bohater! Cha-cha-cha! Prawdziwy Jeruszan Łazarewicz”¹².

Aby wyleczyć radykalnie Paszę z poniżającego go uczucia i położyć koniec jego mękom, Łara oświadczyła, że go nie chce, bo go nie kocha, ale mówiąc to szlochala tak, że trudno jej było uwierzyć. Pasza podejrzewał ją o wszystkie śmiertelne grzechy, nie wierzył niczemu co mówiła i gotów był przeklinać ją i nienawidzić, kochając ją jednocześnie do szaleństwa, zazdroszcząc kubkowi, z którego piła, i poduszce, na której leżała. Aby nie zwariować, trzeba było działać szybko i z decyzją. Oboje postanowili więc pobrać się niezwłocznie, przed ostatecznymi egzaminami. Ślub wyznaczono zrazu na Przewodnią Niedzielę, lecz na prośbę Łary, odroczone go.

12. Bohater rosyjskich „bylin”.

Ślub odbył się w drugi dzień Zielonych Świątek, gdy pomysłny wynik egzaminów nie budził już żadnych wątpliwości. Wszystkim zarządzała Ludmiła Kapitonowna Czepurko, matka Tusi Czepurko, która ukończyła kursy razem z Łarą. Ludmiła Kapitonowna była piękną kobietą z wysoką piersią i niskim głosem, dobrą śpiewaczką. Miała bujną wyobraźnię; do znanych jej przesądów i interpretacji znaków wróżebnych dodawała nowe, własnego pomysłu.

W mieście panował okropny upał, gdy Łarę „wiedli pod złoty wieniec”, jak nuciła, ubierając ją w ślubną suknię, Ludmiła Kapitonowna swym głębokim, cygańskim głosem, naśladującym Paninę¹³. Kopuły cerkwi i posypane świeżym piaskiem ścieżki wydawały się jaskrawo żółte. Zakurzone gałązki brzoź, przywieszzone na Zielone Świątki, wisiały smutnie na cerkiewnych parkanach. Liście ich zwijały się w trąbki, jak opalone. Trudno było oddychać; w oczach migotały ciemne plamy od zbytku światła. Zdawało się, że tysiące par szły tego dnia do ślubu, bo dziewczyny były świeżo ufryzowane i ubrane w jasne suknie jak narzeczone, a młodzi ludzie mieli napomadowane włosy i nosili, z okazji świąt, ciemne, wcięte ubrania. Wszyscy byli wzruszeni, i wszystkim było gorąco.

Gdy Łara stanęła na ślubnym kobiercu, Łagodina, matka innej koleżanki Łary, rzuciła jej pod nogi, na dobrą wróżbę, garść srebrnych monet. W tej samej intencji Ludmiła Kapitonowna radziła Łarze przeżegnać się nie nagą ręką, lecz na pół owiniętą rąbkim welonu. Potem dodała, że aby przewodzić w domu, powinna trzymać wysoką swą świecę. Rezygnując z tej przewagi na rzecz Paszy, Łara trzymała swą świecę jak najniżej, lecz bez skutku, bo mimo wszystkich jej starań świeca jej wciąż górowała nad świecą Paszy.

Z cerkwi wszyscy pojechali na wesele do pracowni malarza, dokąd młoda para miała się tego dnia przenieść. Goście wołali: „Gorzkie, nie pije się”, z drugiego zaś końca pracowni odpowiadano im chórem: „Trzeba osłodzić”, i młodzi z wstydliwym uśmiechem całowali się¹⁴. Ludmiła Kapitonowna zaśpiewała na ich cześć „Winograd” z refrenem: „Daj wam Bóg miłość i zgodę” oraz pieśń „Niech się rozplecie ciężki warkocz, niech się rozsypią jasne włosy”.

Gdy goście rozeszli się i nowożeńcy zostali sami, Paszy od nagłej ciszy zrobiło się markotno. Na podwórzu, naprzeciw okna

13. Waria Panina, znana w początku stulecia śpiewaczka cygańskich romansów o kontraltowym głosie.

14. Rosyjski obyczaj weselny.

pracowni, paliła się latarnia, i nieszczelna firanka, mimo wszystkich zabiegów Łary, przepuszczała smugę światła, leżącą na podłodze niby świeżo odpiłowana deska. Ta smuga światła, sprawiająca wrażenie, że ktoś ich podgląda, nie dawała spokoju Paszy, który z przerażeniem stwierdził, że jest bardziej zajęty latarnią niż sobą samym, Łarą i swoją miłością.

Nocy tej, długiej jak wieczność, były student Antipow czyli „Stiepanida” lub „piękna dziewczyna”, jak go nazywali koledzy, był kolejno na szczycie upojenia i na dnie rozpacz. Podejrzliwe domysły jego krzyżowały się z wyznaniami Łary. Pasza zadawał pytania, i po każdej odpowiedzi serce jego ścisnęło się, jak gdyby spadał w przepaść. Jego boleśnie podniecona wyobraźnia nie nadążała za odkryciami.

Tak rozmawiali do rana. Nocy tej dokonała się w Antipowie najbardziej nagła i głęboka przemiana jego całego życia. Wstając następnego rana, dziwił się niemal, że nosi wciąż to samo nazwisko.

4

W dziesięć dni później przyjaciele żegnali ich w tym samym pokoju. Pasza i Łara ukończyli, oboje ze świetnym wynikiem, studia i otrzymali propozycje pracy w tym samym mieście na Uralu, dokąd mieli wyjechać następnego ranka.

Znów jedli, pili i hałasowali, tym razem jednak w towarzystwie młodzieży, bez starszych.

Za przepierzeniem oddzielającym część mieszkalną od obszernej pracowni, gdzie zebrali się goście, stały dwa kosze podróżne Łary, jeden wielki, drugi średni, kufer i skrzynia na naczynie. W kącie stało kilka worków. Pakunków było wiele. Część ich miała być wysłana następnego ranka koleją. Pakowanie było na ukończeniu. Kosze i skrzynia stały otwarte. Łara co chwila niosła jakiś zapomniany przedmiot za przepierzenie, kładła go do kosza i wyrównywała ułożone w nim rzeczy.

Pasza był już w domu z gośćmi, gdy Łara, która jeździła do kancelarii kursów po metrykę i papiery, wróciła w towarzystwie dozorczy, niosącego wielką rogożę i sznur do obwiązywania bagażów. Odprawiwszy dozorcę, Łara obeszła gości, witając jednych podaniem ręki i całując się z drugimi, po czym poszła przebierać się za przepierzenie. Gdy wyszła stamtąd przebrana, goście powitali ją oklaskami, zaczęli siadać za stół, i po chwili podniosła się wrzawa jak przed dziesięciu dniami na weselu. Bardziej przedsiębiorczy nalewali wódkę sąsiadom i, zbrojni w wi-

delce, wyciągali ręce do chleba, zakąsek i półmisków. Improwizowali przemówienia, chrząkali po wypiciu kieliszka i jeden przez drugiego dowcipkowali. Po krótkiej chwili część gości była pijana.

— Jestem śmiertelnie znużona — rzekła Łara, siedząca obok męża. — A ty? Czy załatwiłeś wszystko, jak chciałeś?

— Tak.

— Mimo to czuję się doskonale. Jestem szczęśliwa. A ty?

— Ja też. Czuję się świetnie. Ale o tym długo by mówić.

W drodze wyjątku na wieczorynkę dla młodzieży dopuszczony został Komarowski. W końcu wieczora ten ostatni chciał powiedzieć, że po odjeździe młodych przyjaciół będzie się czuł osierocony, że Moskwa stanie się dlań pustynią, Saharą, i roztkliwił się tak, że łyzy ścisnęły mu gardło i musiał raz jeszcze powtórzyć przerwane przez wzruszenie zdanie. Prosił Antipowów o pozwolenie korespondowania z nimi i odwiedzenia ich w Jurjatinie, ich nowym miejscu pobytu, jeżeli nie będzie mógł znieść dłuższej rozłąki.

— Jest to zupełnie zbyteczne — powiedziała głośno i szorstko Łara. — Korespondencja, Sahara i wszystkie takie rzeczy nie mają w ogóle sensu. O odwiedzaniu nas nie ma nawet mowy. Da Bóg, obejdziecie się bez nas. Nie jesteśmy znów taką rzadkością, nieprawdaż, Pasza? A nuż znajdzie się ktoś, kto zastąpi wam młodych przyjaciół.

I zapominając nagle, co i do kogo mówiła, Łara pośpiesznie wstała i poszła za przepierzenie do kuchni. Tam rozebrała maszynę do mielenia mięsa i zaczęła układać jej części w skrzyni, przytykając je sianem. Przy tej okazji omal nie wbiła sobie w rękę drzazgi, która odszczepiła się od brzegu skrzyni.

Przy tym zajęciu zapomniła o gościach i przestała ich nawet słyszeć, gdy ci ostatni przypomnieli jej o sobie głośnym wybuchem wrzawy. Łara uświadomiła sobie, z jakim zamilowaniem pijani grają rolę pijanych, robiąc to w sposób tym bardziej nieudolny i amatorski, im bardziej są nietrzeźwi.

W tym miejscu inny dźwięk, dochodzący przez otwarte na podwórze okno, zwrócił na siebie jej uwagę. Łara odsunęła firankę i wychyliła się przez okno.

Przez podwórze, podrywając się i utykając, posuwał się powoli spętany koń. Nie wiadomo do kogo należał i trafił na podwórze zapewne przez omyłkę. Dniało już, ale do wschodu słońca było daleko. Śpiące i jak gdyby wymarłe miasto tonęło w szaro-liliowym chłodzie poranka. Łara zamknęła oczy. Charakterystyczny, nie podobny do niczego innego dźwięk podkutych kopyt przenosił ją w wyobraźni na Bóg wie jaką, głuchą i czarną wieś.

Na schodach rozległ się dzwonek. Łara wyteżyła słuch. Ktoś z gości wstał od stołu i otworzył drzwi. Była to Nadia! Łara pobiegła na jej spotkanie. Nadia przyjechała wprost z dworca, świeża, uroczą, pachnąca, zdawało się, konwaliami z Duplanki. Obie przyjaciółki ścisnęły się płacząc i nie mogąc wymówić ani słowa.

Nadia przywiozła Łarze pozdrowienia i życzenia od całej rodziny oraz cenny upominek od rodziców. Wyjęła z sakwojaża zawiniętą w papier paczkę, rozwinęła ją, otworzyła znajdującą się wewnątrz szkatułkę i wręczyła Łarze niezwykle piękną kolie.

Rozległy się okrzyki zachwytu. Jeden z otrzeźwiałych nieco gości powiedział:

— Różowy hiacynt. Tak, różowy, A cóżeście myśleli? Kamień nie ustępujący brylantowi.

Nadia przerwała mu, że są to żółte szafiry.

Posadziwszy ją obok siebie i przysuwając jej półmiski, Łara nie spuszczała oczu z kolii, którą położyła obok swego nakrycia. Zwinięta na fioletowej poduszce futerału kolia mieniła się i skrzyła jak krople rosy lub małe winogrona.

Część gości tymczasem otrzeźwiała. Przytomniejsi wypili zaraz po czarce, dotrzymując towarzystwa Nadi, którą spojono w krótkim czasie.

Cały dom był teraz we władzy Morfeusza. Większość gości, pragnąc odprowadzić młodą parę na dworzec, została na noc. Połowa ich chrapała już po kątach. Łara, nie pamiętając jak to się stało, znalazła się ubrana na kanapie, obok śpiącej już Iry Łagodiny.

Obudziła ją głośna rozmowa. Byli to obcy, którzy z ulicy weszli na podwórze w poszukiwaniu zaginionego konia. Łara otworzyła oczy i patrzyła zdumiona. „Co za niespokojny duch mieszka w tym Paszy? Stoi jak słup po środku pokoju i wciąż czegoś szuka”. W tej samej chwili rzekomy Pasza odwrócił się, i Łara zobaczyła, że nie jest to wcale Pasza, ale jakieś ospowate straszidło z twarzą przeoraną od skroni do brody długą blizną. Zrozumiała, że to mieszkania ich zakradł się złodziej. Chciała krzyknąć, lecz żaden dźwięk nie wychodził z jej krtani. Nagle przypomniała sobie naszyjnik i podnosząc się na łokciu rzuciła okiem na stół.

Kolia leżała na dawnym miejscu wśród okruchów chleba i karmelków. Złodziej nie zauważył jej wśród resztek jedzenia i przerzucił spakowaną przez Łarę bieliznę. Pijana i senna, Łara nie zdawała sobie jasno sprawy z sytuacji, lecz żał się jej zrobiło pracy włożonej w pakowanie. Oburzona, chciała znów krzyknąć i znów nie mogła otworzyć ust. Wówczas z siłą uderzyła kolanem

w żołądek śpiącą obok Irę Łagodinę. Ira krzyknęła z bólu nie swoim głosem, i Łara zaczęła krzyczeć z nią razem. Złodziej upuścił tobolek z zebranymi przez siebie rzeczami i rzucił się do ucieczki. Kilku zbudzonych mężczyzn, z trudem zorientowawszy się o co chodzi, rzuciło się za nim, ale złodzieja nie było już ani śladu.

Popłoch wywołany przez ten wypadek i wynikłe stąd rozmowy stały się sygnałem do wstawania. Łara otrzeźwiała całkowicie. Głucha na prośby gości, którzy chcieli jeszcze się zdrzemnąć, obudziła wszystkich, napoiła zgotowaną na prędkę kawą i odesłała do domu, nie chcąc ich widzieć aż do spotkania na dworcu, przy pociągu.

Gdy wszyscy wyszli, praca zakipiała na nowo. Z właściwą sobie żywością Łara biegła od tłumoka do tłumoka, wypychała poduszki i ściągała rzemienie, błagając Paszę i dozorcę, aby nie pomagali jej, bo to jej tylko przeszkadza.

Wszystko zostało spakowane na czas, jak należy. Młoda para nie spóźniła się. Pociąg ruszył powoli, w takt podnoszących się kapeluszy, którymi powiewano na pożegnanie. Gdy przestano nimi powiewać, i gdy rozległ się trzykrotny okrzyk (zapewne „ura”), pociąg przyspieszył biegu.

5

Od trzech dni panowała wstrętna pogoda. Była to druga jesień od wybuchu wojny. Po powodzeniach pierwszego roku przyszły porażki. Ósma armia Brusilowa, skoncentrowana w Karpatach i gotowa do zejścia z przełęczy w nizinę węgierską, zaczęła się cofać na skutek ogólnego odwrotu. Wycofywaliśmy się z Galicji, zajętej w pierwszych miesiącach wojny.

Doktor Żiwago, dawny „Jura”, dziś znany bardziej jako „Jurij Andrejewicz”, stał na korytarzu oddziału położniczego kliniki ginekologicznej, gdzie umieszczono przywiezioną właśnie przezeń żonę, Antoninę Aleksandrownę. Żiwago pożegnał się już z nią i czekał na akuszerkę, aby omówić z nią, gdzie należy go szukać w razie potrzeby, i w jaki sposób mógłby informować się u niej o zdrowiu żony.

Doktor Żiwago miał mało czasu. Spieszył do swego szpitala i miał jeszcze po drodze odwiedzić w domu dwóch pacjentów. Tymczasem tracił bezcenne chwile, patrząc przez okno na ukośne strugi deszczu, szarpane, jak kłosa podczas burzy, przez porywy jesiennego wiatru.

Nie było jeszcze zupełnie ciemno, i Jurij Andrejewicz widział podwórze kliniki, oszklone tarasy domów na Dziewiczym Polu i odnogę linii tramwajowej, prowadzącą na tyły jednej z klinik.

Deszcz padał beznadziejny, wciąż jednakowy mimo porywów wiatru, nasilającego się jak gdyby wobec niezmaconego oporu lejącej się z nieba wody. Wiatr targał pędy **dzikiego wina** pnącego się po tarasach, jak gdyby chciał je wyrwać z korzeniem, podnosił je w górę, potrząsał nimi i z pogardą rzucał jak dziurawe łachmany.

Tramwaj z dwoma przyczepkami przejechał koło tarasu i zatrzymał się przed kliniką. Z wagonów zaczęto przenosić do kliniki rannych.

W szpitalach moskiewskich, niemożliwie przepełnionych, zwłaszcza od bitwy pod Łuckiem, ranni leżeli na korytarzach i półpiętrzach schodów. Ogromne przepełnienie dawało się odczuwać także w oddziałach dla kobiet.

Jurij Andrejewicz odwrócił się od okna i ziewał ze znużenia. Nie myślał o niczym, gdy nagle przypomniał sobie chorobę, zmarłą ostatnio w klinice chirurgicznej Kriestowozdwiżeńskiego szpitala, w którym pracował. Jurij Andrejewicz twierdził, że przyczyną zgonu był echinokok wątroby. Wszyscy się z nim o to sprzeczcali. Dziś miano przeprowadzić sekcję zwłok i stwierdzić przyczynę zgonu. Prosektor ich szpitala był jednak beznadziejnym pijakiem. Kto wie, jak się do tego weźmie?

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Za oknem wszystko tonęło w mroku. Jak na skinienie magicznej różdżki, we wszystkich oknach zapaliło się światło elektryczne.

Z sali, gdzie leżała Tonia, wyszedł przez obrotowe drzwi na korytarz naczelny lekarz oddziału, ginekolog o wyglądzie mastodonta, który na wszystkie pytania odpowiadał spojrzeniem na sufit i wzruszeniem ramion. W jego języku mimicznym gesty te mówiły, że postępy wiedzy są wprawdzie wielkie, nie brak jednak zagadek, przed którymi, przyjacielu Horatio, nauka czuje się bezsilna.

Przechodząc koło Jurja Andrejewicza, skinął mu z uśmiechem głową i swymi pulchnymi rękami zrobił kilka płynnych ruchów, oznaczających, że niby to wszyscy musimy cierpliwie czekać, po czym poszedł do poczekalni na papierosa.

Do doktora Żiwago wyszła teraz asystentka małomównego ginekologa, będąca pod względem rozmowności jego pełnym przeciwieństwem.

— Na waszym miejscu wróciłabym do domu. Jutro zadzwonię wam do Kriestowozdwiżeńskiego szpitala. To się wcześniej nie zacznie. Jestem przekonana, że poród odbędzie się normalnie, bez

interwencji, jakkolwiek wąskość miednicy, pozycja płodu, brak bólów i słabość skurczów mogą budzić pewne obawy. Zresztą nie bawmy się w przepowiednie. Wszystko zależy od tego, jak położnica będzie „pracowała” podczas porodu. O tym dowiemy się w swoim czasie.

Gdy następnego dnia zadzwonił do szpitala, do aparatu podszedł stróż szpitalny, kazał mu nie odwieszać słuchawki, poszedł poinformować się, przetrzymał go dziesięć minut i przyniósł niedorzecznie sformułowaną i bezsensowną wiadomość: „Kazano powiedzieć, że przywiózł żonę za wcześnie, i że trzeba ją wziąć z powrotem”. Jurij Andrejewicz, wściekły, kazał zawołać kogoś bardziej kompetentnego. — „Symptomy były złudne — powiedziała mu siostra. Niech się doktor nie niepokoi, trzeba będzie zaczekać dzień lub dwa”.

W dzień później dowiedział się, że poród zaczął się w nocy, o świcie spłynęła woda, i silne skurcze trwają bez przerwy.

Na łeb na szyję popędził do szpitala i na korytarzu, przez uchylone przypadkowo drzwi, posłyszał rozdzierający krzyk Toni; tak krzyczą nieszczęśliwi, których z odciętymi członkami wydobywają spod kół wagonów.

Nie wolno mu było wejść. Gryząc do krwi zaciśnięte palce, doktor Żiwago podszedł do okna, za którym skośnymi smugami padał wciąż deszcz, jak wczoraj i pozawczoraj.

Z pokoju wyszła pielęgniarka. Przez drzwi dał się słyszeć pisk nowonarodzonego.

— Uratowana, uratowana — powtarzał radośnie Jurij Andrejewicz.

— Synek. Chłopiec. Z pomyślnym rozwiązaniem — mówiła śpiwnie pielęgniarka. — W tej chwili nie można. Później pokazemy. Teraz trzeba pomyśleć o pięknym prezencie dla położnicy. Namęczyła się bardzo. Pierwszy poród. Z pierwszym jest zawsze męka.

— Uratowana, uratowana — cieszył się Jurij Andrejewicz, nie rozumiejąc wcale, co mówiła pielęgniarka i dlaczego traktowała go jak uczestnika tego co się stało, gdy w rzeczy samej co on ma z tym wspólnego? Ojciec, syn — nie widział powodu do dumy z tego niezasłużonego ojcostwa i spadłego mu z nieba potomka. Wszystko to działo się poza jego świadomością. Główną rzeczą była Tonia. Tonia, wystawiona na śmiertelne niebezpieczeństwo i szczęśliwie uratowana.

Niedaleko od szpitala mieszkał jeden z jego pacjentów. Jurij Andrejewicz odwiedził go i po pół godzinie był z powrotem. Drzwi

korytarza i drzwi do pokoju położnicy były znów uchylone. Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, Jurij Andrejewicz przecisnął się przez obrotowe drzwi.

Rozkładając ręce, mastodont-ginekolog w białym fartuchu wyrósł przed nim jak spod ziemi.

— Dokąd? — zatrzymał go szeptem, aby położnica nie posłyszała go. — Czyście zwariowali? Rany, krew, antyseptyka, nie mówiąc o wstrząsie psychicznym. Dobry sobie! I przy tym lekarz.

— Ale czyż ja. Tylko jednym okiem. Z tego miejsca. Przez szczelinę.

— Tak to inna sprawa. Niech będzie. Ale nie ważcie się! Uważajcie! Jeżeli zauważy, zabiję, całego miejsca nie zostawię!

W pokoju, plecami do drzwi, stały dwie kobiety w białych fartuchach: akuszerka i pielęgniarka. Na rękach pielęgniarki poruszał się z trudem piskliwy i delikatny kawałek człowieka, kurczący się i rozkurczający jak ciemno-czerwona guma. Akuszerka zakładała właśnie ligaturę na pępowinę, aby oddzielić noworodka od łóżyska. Tonia leżała po środku pokoju na chirurgicznym stole z ruchomą podpórką pod głową. Leżała dość wysoko. Doktorowi Żiwago, który z wzruszenia widział wszystko w powiększeniu, wydało się, że położnica leżała na wysokości kantorka, przy którym pisze się stojąc.

Bliższa sufitu, podniesiona wyżej od reszty śmiertelników, Tonia tonęła w oparach przebytego cierpienia, dymiała ze znużenia. Wznosiła się po środku pokoju, jak wznosiłaby się w zatoce świeżo przybyła i rozładowana barka, która płynęła do łądu życia przez morze śmierci z ładunkiem nowych dusz, przesiedlanych nie wiadomo skąd. Po wyjściu z niej na ląd jednej z takich dusz, barka stała na kotwicy, odpoczywając całą pustką swych lekkich teraz boków. Razem z nią odpoczywały jej sfatygowany takelunek, poszycie i jej słabnąca pamięć o tym, gdzie niedawno była, którędy płynęła i jak dostała się tutaj. I ponieważ nikt nie znał geografii kraju, pod którego flagą stała tu na kotwicy, nie wiadomo było, w jakim języku należy się do niej zwracać.

W Kriestowozdwiżenskim szpitalu wszyscy składali mu gratulacje. — Jak szybko się dowiedzieli! — dziwił się Jurij Andrejewicz.

Wszedł teraz do gabinetu naczelnego lekarza, który nazywano karczmą lub śmietnikiem, bo wskutek ciasnoty powstałej z przedludnienia szpitala wchodzono tam w kaloszach z ulicy, rozbierano się, składano różne przedmioty, rzucano na podłogę papierki i niedopałki.

Przy oknie stał nalany prosektor. Trzymał w wysoko podniesionych rękach probówkę z mętną cieczą i, patrząc powyżej okularów, przyglądał się jej zawartości.

— Gratuluję — powiedział, nie przerywając swego zajęcia i nie spojrzawszy nawet na Jurja Andrejewicza.

— Dziękuję. Szczerze wzruszony.

— Nie ma za co. Nie moja zasługa. Sekcję robił Piczużkin. Ale wszyscy są zdumieni. Echinokok. To dopiero, powiadają, diagnosta! Wszyscy tylko o tym mówią.

W tej chwili wszedł naczelný lekarz szpitala i, przywitawszy obu obecnych, powiedział:

— Czort wie co! To nie gabinet lekarski, ale podwórko. Straszne porządki! Wyobraźcie sobie, Żiwago, że to był echinokok! Myliliśmy się wszyscy. Gratuluję. A teraz — przykra wiadomość. Superrewizja waszej kategorii. Tym razem nie uda się was obronić. W armii panuje straszny brak personelu lekarskiego. Będziecie musieli powąchać prochu.

6

Małżonkom Antipowym udało się nadszpiezanie dobrze urządzić w Jurjatinie. Guichardowie zostawili tam dobre wspomnienia, co pomogło Łarze przezwyciężyć trudności związane z osiedleniem się w nowym mieście.

Łara była pogrążona w pracy i kłopotach. Na niej spoczywało utrzymanie domu i wychowanie trzyletniej córki Kati. Ruda Marfa, służąca, starała się bardzo, ale pomoc jej była niedostateczna. Łarisa Fiodorowna interesowała się wszystkimi sprawami Pawła Pawłowicza i wykladała sama w żeńskim gimnazjum. Pracowała bez wytchnienia i była szczęśliwa. O takim życiu właśnie marzyła.

Jurjatin podobał się jej. Było to jej rodzinne miasto. Leżało na jednej z uralskich linii kolejowych, nad wielką rzeką Ryńwą, żeglowną w swym średnim i niższym biegu.

Zbliżanie się zimy można było poznać w Jurjatinie po tym, że posiadacze łódek przywozili je na wozach do miasta, gdzie zimowały w podwórzach pod gołym niebem. Obrócone do góry dnem łódki, bielejące w głębi podwórzy, oznaczały w Jurjatinie to samo, co w innych miejscowościach przelot żurawi lub pierwszy śnieg.

Jedna z tych łódek, pod którą Katia bawiła się jak pod dachem ogrodowej altany, leżała do góry dnem, malowanym na biało, w podwórzu domu wynajętego przez Antipowów.

Łara lubiła prowincjonalne obyczaje miejscowej inteligencji, jej północną wymowę podkreślającą „o”, jej walonki, ciepłe kacabajki z szarej flaneli i jej naiwne zaufanie. Wieś i lud pociągały ją.

Jakkolwiek może się wydać dziwne, że właśnie on, syn moskiewskiego robotnika kolejowego, okazał się niepoprawnym synem stolicy, lecz Paweł Pawłowicz oceniał mieszkańców Jurjatina znacznie surowiej niż jego żona. Ich nieokrzesanie i ignorancja irytowały go.

Wyjaśniło się teraz, że Antipow posiadał niezwykłą zdolność przyswajania sobie i zachowywania w pamięci wiadomości zaczerpniętych z szybkiej lektury. Wiele przeczytał już przedtem, częściowo przy pomocy Łary. W latach spędzonych samotnie w powiatowym miasteczku czytanie jego wzrosło tak, że nawet Łara wydawała mu się teraz niedostatecznie wykształcona. Przerastał o głowę miejscowe środowisko nauczycielskie i skarżył się, że dusi się w tym otoczeniu. Był to czas wojenny, i banalny patriotyzm jego kolegów, kazonny i krzykliwy nie odpowiadał jego własnej, bardziej subtelnej odmianie tego uczucia.

Paweł Pawłowicz ukończył studia jako filolog klasyczny. W gimnazjum wykładał łacinę i historię starożytną. W byłym realisście obudziła się jednak uśpiona pasja do matematyki, fizyki i nauk ścisłych. Drogą samokształcenia Antipow opanował te dyscypliny na poziomie uniwersyteckim. Przy pierwszej sposobności zamierzał zdać z nich egzamin przy okręgu naukowym, zostać nauczycielem jednego z tych przedmiotów i przenieść się z rodziną do Petersburga. Intensywna praca nocna nadwyrężyła zdrowie Pawła Pawłowicza, który zaczął cierpieć na bezsenność.

Z żoną łączyły go dobre lecz zbyt skomplikowane stosunki. Łara przygniatała go swą dobrocią i troskliwością. Paweł Pawłowicz nie śmiał jej krytykować. Wystrzegał się nawet najniewinniejszych uwag, w których Łara mogłaby dostrzec ukryty wyrzut, że należała do innego mężczyzny, lub aluzję do czegoś, co mogłoby oddzielać syna robotnika od córki inżyniera. Obawa, aby Łara nie dostrzegła w jego słowach czegoś krzywdzącego ją lub obrażającego, wносиła do ich stosunków pewną sztuczność. Oboje rywalizowali z sobą w szlachetności i komplikowali tym wszystkie sprawy.

Do Antipowów przyszli goście: kilku nauczycieli, kolegów Pawła Pawłowicza, dyrektorka gimnazjum Łary, członek sądu polubownego, w którym Paweł Pawłowicz był arbitrem, i kilka

innych osób. Antipow uważał ich wszystkich za kretyńców. Dziwił się, że Łara była tak dla nich wszystkich uprzejma, bo nie wierzył, aby ktokolwiek z nich mógł się jej naprawdę podobać.

Po wyjściu gości Łara długo wietrzyła i zamiatała mieszkanie oraz myła z Marfą naczynia w kuchni. Potem, sprawdziwszy, że Katia jest ciepło okryta, a Paweł śpi, zgasiła lampę i położyła się obok męża z prostotą dziecka, które matka bierze do swego łóżka.

Lecz Antipow udawał tylko, że śpi. W istocie nie spał; cierpiał na zwykłą w ostatnich czasach bezsenność. Wiedział, że będzie tak leżał jeszcze przez trzy lub cztery godziny. Aby przełamać ten stan i uciec od tytoniowego dymu pozostałego po gościach, wstał po cichu, na bieliznę włożył futro i wyszedł na ulicę.

Noc była jesienna, jasna, mroźna. Kruche blaszki lodu chrzęściły pod jego stopami. Gwiazdziste niebo rzucało niebieskawą jak płomień spirytusu poświatę na czarną ziemię i grudy zmarzłego błota.

Dzielnica, w której mieszkał Antipow, leżała naprzeciw przystani. Dom jego był ostatnim na tej ulicy. Dalej rozciągało się pole przecięte linią kolejową. Koło przejazdu stała stróżówka dróżnika.

Antipow usiadł na przewróconej łódce i spojrzał na gwiazdy. Myśli, z którymi żył się w ciągu ostatnich lat, opanowały go z niepokonaną siłą. Zdawało mu się, że prędzej lub później będzie musiał przemyśleć swą sytuację do końca, i że najlepiej będzie zrobić to dziś.

— Tak dłużej być nie może — myślał. — Mógł być to wszystko przewidzieć, ale spostrzegł się za późno. Po co Łara pozwalała mu, gdy był jeszcze dzieckiem, wpatrywać się w siebie, po co robiła z nim co chciała? Czemu, jak nakazywał zdrowy rozsądek, nie wyrzekł się jej, gdy ona sama na to nalegała, zimą przed ich ślubem? Czyż nie jest jasne, że Łara kocha nie jego, lecz szlachetną misję, jakiej się wobec niego podjęła, i że on sam jest tylko uosobieniem jej szczytnego zadania? Co ta natchniona i chwalebna misja ma wspólnego z życiem rodzinnym? Najgorsze w tym wszystkim jest to, że kocha ją wciąż tak samo. Łara jest urzekająco piękna. Być może jednak nie jest to miłość, lecz wdzięczność i zmieszanie przed jej urodą i wspaniałomyślnością. Kto to zrozumie? Sam diabeł by się w tym zgubił.

Co wobec tego robić? Uwolnić Łarę i Katię od tej fałszywej sytuacji? To ważniejsze niż uwolnienie się od niej samemu. Ale jak? Rozwieść się? Utopić się? Co za ohyda — oburzył

się. — Przecież ja tego nigdy nie zrobię. Po co więc bawić się, chociażby w myśli, tymi efektownymi gestami.

Antipow spojrzał na gwiazdy, jak gdyby pytał je o radę. Gwiazdy skrzyły się, wielkie i małe, rozsiane rzadko i gęsto, sinawe i mieniące się tęczowo. Nagle blask ich zbladł, a podwórze, dom, łódka i siedzący na niej Antipow zostali oświetleni jaskrawym, ruchomym światłem, jak gdyby ktoś biegł w ich kierunku z pochodnią w ręku. Był to pociąg wojskowy, jeden z niezliczonych, jakie od roku jechały dniem i nocą na zachód. Mijając przejazd, parowóz wyrzucał z siebie kłęby żółtego, przetykanego ogniem dymu.

Paweł Pawłowicz uśmiechnął się, wstał z łódki i poszedł spać. Wyjście, którego szukał, zostało znalezione.

7

Łarisa Fiodorowna zdrętwiała i nie wierzyła własnym uszom, gdy dowiedziała się o postanowieniu Paszy. — Nonsens. Jeszcze jeden kaprys — pomyślała. — Jeżeli nie zwracać nań uwagi, sam być może o nim zapomni.

Okazało się jednak, że mąż jej rozpoczął starania już przed dwoma tygodniami, że papiery jego znajdowały się w urzędzie wojskowym, że w gimnazjum miał już zastępcę, i że z Omska przyszło zawiadomienie o przyjęciu go do tamtejszej szkoły wojskowej. Termin wyjazdu się zbliża.

Łara zawodziła jak prosta baba, chwytając Antipowa za ręce, padała przed nim na kolana. — Pasza, Paszeńka — krzyczała — czemu mnie i Katię porzucasz? Nie rób tego, nie rób! Nic nie jest za późno. Ja to już wszystko naprawię. Tyś nie był nawet u lekarza. Z twoim sercem. Mówisz, że wstyd? A porzucać rodzinę dla jakiejś fantazji nie wstyd? Ochotnik. Całe życie żartowałeś z głupiego Rodi a teraz pozazdrościłeś mu laurów? Zachciało się ci też brzęczeć szabelką i oficerskiego szyku zadawać? Pasza, co ci się stało? Nie poznaję ciebie. Zamieniono cię na kogoś innego czy też oszalałeś? Zaklinam cię na Chrystusa, powiedz uczciwie, bez frazesów, czy to jest Rosji potrzebne?

Nagle zrozumiała, że nie o to chodziło. Nie umiała sobie jeszcze objaśnić szczegółów, ale zrozumiała najważniejsze. Odgadła, że Pasza myli się co do jej stosunku do niego, że nie ceni macierzyńskiego uczucia, które przez całe życie było częścią składową jej tkliwości dla niego, i nie domyśla się, że taka miłość jest więcej warta od zwykłej miłości kobiecej.

Zagryzła wargi i skurczyła się wewnątrz jak pod uderzeniami. Nie mówiła więcej nic i połykając łzy zajęła się przygotowaniami do drogi.

Po wyjeździe męża zdawało się jej, że w mieście zapanowała cisza i że nawet latających po niebie wron jest mniej. — „Barynia, barynia” — na próżno wzywała ją Maria. — „Mamo, mamo” — powtarzała Katia, ciągnąc ją za rękaw. Była to najcięższa klęska jej życia. Jej najgłębsze, najpiękniejsze nadzieje rozwiały się.

Z listów z Syberii Łara wiedziała o mężu wszystko. Po krótkim czasie Paweł Pawłowicz przejrzał i tęsknił bardzo do żony i córki. Po kilku miesiącach otrzymał w przyspieszonym trybie rangę podchorążego i równie szybko dostał przydział w armii czynnej. Pociąg specjalny, wiozący go pośpiesznie na front, nie przejeżdżał przez Jurjatin; w Moskwie też Antipow nie zdążył się z nikim zobaczyć.

Z frontu pisał listy bardziej ożywione i mniej smutne niż z szkoły w Omsku. Antipow chciał się wyróżnić, aby w nagrodę za jakąś akcję bojową lub po odniesieniu lekkiej rany móc wystarać się o urlop dla odwiedzenia rodziny. Sposobność do tego nadarzyła się wkrótce. Po przerwaniu frontu, dokonanym, jak się później dowiedziano, przez Brusilowa, armia przeszła do ogólnego natarcia. Listy od Antipowa przestały przechodzić. Zrazu Łara nie niepokoiła się. Milczenie Paszy tłumaczyła sobie dalszym rozwojem działań zbrojnych i niemożnością pisania podczas przemarszów.

Jesienią ofensywa zatrzymała się: armie zaczęły się okopywać, ale o Antipowie nie było wciąż żadnych wiadomości. Łarisa Fiodorowna zaniepokoiła się i zaczęła szukać wiadomości, zrazu u siebie w Jurjatinie, potem listownie w Moskwie i na froncie, pisząc na ostatni adres Paszy. Nigdzie jednak nic nie wiedziano, znikąd nie było odpowiedzi.

Podobnie jak inne damy zajmujące się w jej powiecie dobroczynnością, Łara Fiodorowna od początku wojny spędzała wolne chwile w szpitalu wojskowym, zbudowanym przy szpitalu miejscowego ziemstwa.

Zajęła się teraz na serio nauką medycyny elementarnej i zdała przy szpitalu egzamin na siostrę miłosierdzia. Potem uzyskała półroczny urlop w gimnazjum, zostawiła swe mieszkanie w Jurjatinie pod opieką Marfy i z Katią pojechała do Moskwy. Tam zostawiła Katię u Lipy, której mąż, niemiecki obywatel Friesendank, znajdował się w grupie internowanych cywilnych w Ufie.

Przekonawszy się o bezowocności poszukiwań przez korespondencję, Łara postanowiła przenieść je na teren niedawnych wypadków. W tym celu zgłosiła się jako siostra miłosierdzia do

pociągu sanitarnego, jadącego przez Liski do Mezö-Laborcs, na węgierską granicę. Tak nazywała się miejscowość, z której Pasza przysłał swój ostatni list.

8

Na front przybył do sztabu dywizji pociąg-łaźnia, ufundowany z ofiar publicznych przez komitet pomocy dla rannych im. W. Ks. Tatiany. W jedynym wagonie pasażerskim tego pociągu, składającego się z samych „ciepluszek”, przyjechali goście, działacze społeczni z Moskwy, przywożący podarki dla żołnierzy i oficerów. W liczbie ich znajdował się Gordon. Na miejscu dowiedział się, że lazaret dywizji, w którym pracować miał jego przyjaciel i towarzysz młodości Żiwago, znajduje się w pobliskiej wsi.

Otrzymałszy pozwolenie niezbędne do poruszania się w pasie przyfrontowym, Gordon, aby odwiedzić przyjaciela, siadł z przepustką w rękę na furę jadącą w tym kierunku.

Woźnica, Białorusin czy Litwin, źle mówił po rosyjsku. Strach przed posądzeniem o szpiegostwo sprowadzał wszystkie rozmowy do kilku z góry wiadomych formuł. Konieczność ciągłego manifestowania lojalności nie zachęcała do rozmów. Przez całą prawie drogę podróży i woźnica milczeli.

W sztabie, gdzie przesuwano całe armie i obliczano odległości w setkach wiorst, zapewniano Gordona, że poszukiwana przezeń wieś znajduje się gdzieś w pobliżu, odległa o dwadzieścia lub dwadzieścia pięć wiorst. W istocie do wsi tej było wiorst przeszło osiemdziesiąt.

Przez całą drogę słyhać było z lewej strony niezwykliwe warczenie i grzmoty. Gordon nie widział nigdy trzęsienia ziemi, ale słusznie sądził, że ponury i dzięki odległości niejasny huk nieprzyjacielskiej artylerii najpodobniejszy był do podziemnych grzmotów i huków pochodzenia wulkanicznego. Gdy ściemniało, nad horyzontem ukazała się z tej strony różowa, drgająca luna, która świeciła do samego rana.

Furman wioził Gordona przez zniszczone wsie. Część ich była opuszczona przez ludność, w innych mieszkańcy ukrywali się w piwnicach, głęboko pod ziemią. Wsie takie składały się z kup gruzu i śmieci, stojących rzędem tam, gdzie niegdyś znajdowały się domy. Spalone wsie można było ogarnąć jednym spojrzeniem, jak pozbawione roślinności pustkowia. Na powierzchni ich krzątali się, każdy na swojej ruinie, pogorzelnicy. Stare kobiety odgrzebywały coś spod popiołu i zaraz chowały w inne miejsce, zachowując się tak, jak gdyby dawne ściany zasłaniały je wciąż od niedyskretnych spojrzeń. Gordona odprowadzały spojrzeniami,

które zdawały się pytać, kiedy ludzkość opamięta się, i kiedy wróci pokój i porządek.

Nocą spotkali patrol. Kazano im zawrócić i zjechać z traktu na polną drózkę. Woźnica nie znał tej drogi i błędził przez dwie godziny. Przed świtem przyjechali do wsi nazywającej się tak, jak wieś przez nich poszukiwana. Nikt jednak nie słyszał w niej o lazarecie. Po krótkim czasie wyjaśniło się, że w okręgu tym istnieją dwie wsie o jednobrzmiącej nazwie. Rankiem przyjechali wreszcie do celu podróży. W całej okolicy czuć było zapach rumianku i jodoformu. Gordon nie zamierzał nocować u Żiwaga. Sądził, że spędzi z nim dzień i wieczorem wróci na stację, do pozostałych tam towarzyszy. Okoliczności zatrzymały go w tej wsi na przeszło tydzień.

9

Front zaczął się poruszać. Powstawały nieoczekiwane sytuacje. Na południe od miejscowości, do której jechał Gordon, jednej z naszych wielkich jednostek udało się przełamać front przeciwnika. Rozwijając natarcie, grupa atakująca przenikała coraz głębiej w pozycje nieprzyjaciela. Za nią przeszły do ataku oddziały pomocnicze, rozszerzając przerwę. Nie nadążając jednak za główną grupą, oddziały te oderwały się od niej, co w następstwie pociągnęło za sobą ich okrążenie. W tych okolicznościach podchorąży Antipow, którego kompania złożyła broń, dostał się do niewoli.

Krążyły o nim mylne pogłoski. Sądzono, że został zabity, i że ciało jego zostało zasypane ziemią przez wybuch pocisku. Wiadomość ta miała swe źródło w relacji jego znajomego, oficera tego samego pułku, podporucznika Galiullina. Ten ostatni miał być świadkiem jego śmierci, patrząc z obserwacyjnego punktu widzenia przez lornetkę na Antipowa, idącego z swymi żołnierzami do natarcia.

Galiullin miał przed oczyma zwykły obraz atakującego oddziału, który winien był szybkim krokiem, niemal biegiem, przejść dzielące obie armie pole, porośnięte kołyszącym się na wietrze piołunem i sterczącymi nieruchomo badyłami ostu. Zuchwałością inicjatywy nacierający spodziewali się wywabić znajdujących się naprzeciw nich Austriaków do przeciwnatarcia na bagnety lub też zarzucić ich granatami w okopie. Biegącym zdawało się, że pole nie miało końca. Ziemia kołysała się pod ich stopami, jak chwiejna powierzchnia bagniska. Zrazu przed nimi, potem wśród nich biegł ich podchorąży, wymachując nad głową rewolwerem i krzycząc na całe gardło „ura”, czego ani on sam, ani biegnący obok żołnierze nie słyszeli. W regularnych odstępach żołnierze

rze kładli się na ziemię, razem wstawali i z krzykiem biegli dalej. Zabici padali wraz z nimi, ale zupełnie inaczej, całym ciałem, jak zrąbane w lesie drzewa, i ci się więcej nie podnosili.

— Za daleko. Telefonujcie do baterii — powiedział zaniepokojony Galiullin do stojącego obok oficera artylerii. — Nie. W porządku. Słusznie przenoszą ogień w głąb.

Tymczasem nacierający zbliżyli się do nieprzyjacielskiego okopu. Artyleria zamilkła. Nastąpiła cisza. Patrzący z obserwacyjnego punktu słyszeli bicie własnych serc, jak gdyby razem z Antipowem doprowadzili żołnierzy do brzegu austriackiego okopu i mieli za chwilę dokonać cudów odwagi i pomysłowości. W tej chwili wybuchły przed nimi, jeden po drugim, dwa niemieckie 16-calowe granaty. Czarne słupy ziemi i dymu zasłoniły widok. — Insz Allah! Gotowe! Zamykamy sklepik! — zbladłymi wargami wyszeptał Galiullin, uważając podchorążego i żołnierzy za straconych. Trzeci granat upadł tuż obok punktu obserwacyjnego. Stojący na nim, schylając się nisko, oddalili się z podpiechem.

Galiullin spał z Antipowem w jednym schronie. Gdy w pułku pogodzano się z myślą, że Antipow zginął i więcej nie wróci, Galiullinowi, jako jego bliskiemu znajomemu, oddano pozostałe po nim rzeczy dla przekazania żonie, której liczne fotografie znajdowały się wśród manatków zaginionego.

Syn Himazetdina, dozorca domu, gdzie mieszkali Tiwierzinowie, Galiullin, niedawny mechanik, ochotnik i podchorąży, a w dalszej przeszłości uczeń ślusarski katowany przez majstra Chudolejewa, zawdzięczał swój awans bytemu prześladowcy.

Opuściwszy szkołę wojskową w randze podchorążego, Galiullin mimowoli, nie wiadomo dlaczego, dostał się do spokojnego, zacisznego garnizonu na tyłach armii. Dowodził tam oddziałem półinwalidów, którym równie starzy weterani-instruktorzy przypominali zapomniane arkana musztry. Prócz tego sprawdzał, czy warty rozstawione są dobrze dookoła składów intendentury. Niczego więcej odeń nie wymagano. Było to życie beztrudne. Nieoczekiwanie, wraz z przysłanymi z Moskwy uzupełnieniami, składającymi się z najstarszych roczników rezerwy, przyjechał aż nazbyt znany mu Piotr Chudolejew.

— A, starzy znajomi — uśmiechnął się pochmurnie Galiullin — Tak jest, panie podchorąży! — odpowiedział wyciągając się i salutując Chudolejew.

Ale na tym nie mogło się skończyć. Przy pierwszym przewinieniu Chudolejewa podchorąży podniósł głos, a gdy wydało mu się, że podkomendny nie patrzy mu w oczy, lecz gdzieś na stronę, uderzył go w twarz i zamknął do aresztu na dwa dni o chlebie i wodzie.

Każdy ruch Galiullina wyglądał teraz jak zemsta, a załatwianie starych porachunków w warunkach dyscypliny wojskowej było grą zbyt łatwą i nieszlachetną. Co robić? Razem być dłużej nie mogli. Ale, prócz odesłania do karnego batalionu, jaki pretekst mógł znaleźć oficer, aby żądać przeniesienia żołnierza do innej jednostki? I jak uzasadnić miał prośbę o własne przeniesienie? Powołując się na swe znudzenie i nieprzydatność do służby garnizonowej, Galiullin prosił o wysłanie go na front. Zyskało mu to dobrą opinię, a gdy przy pierwszej sposobności wykazał się jeszcze innymi zaletami, uznano go za doskonałego oficera, i w krótkim czasie Galiullin awansował na podporucznika.

Galiullin znał Antipowa z czasów jego pobytu u Tiwierzinów. Gdy w 1905 Pasza Antipow mieszkał przez pół roku u tych ostatnich, Jusupka odwiedzał go, i obaj bawili się razem. Przy tej okazji widział też raz lub dwa Łarę. Odtąd nic jednak o nich nie słyszał. Gdy Paweł Pawłowicz przybył z Jurjatina do jego pułku, Galiullin nie mógł wyjść ze zdumienia nad zmianami, jakie zaszły w jego dawnym przyjacielu. Z nieśmiałego, podobnego do dziewczyny i zawsze czysto ubranego śmieszka stał się nerwowym, pogardliwym i wszystko wiedzącym hipochondrykiem. Antipow był inteligentny, bardzo odważny, mało mówny i ironiczny. Patrząc nań, Galiullin miał chwilami wrażenie, że w ciężkim spojrzeniu Antipowa widzi, jak w oknie, kogoś innego: jakąś mocno tkwiącą w nim myśl, tęsknotę za córką lub twarz jego żony. Antipow wydawał mu się zaczarowany jak w bajce. I oto nie było go więcej; w rękach Galiullina zostały tylko jego papiery, fotografie i tajemnica jego metamorfozy.

Prędzej czy później zapytania Łary musiały dotrzeć do Galiullina, który zamierzał na nie odpowiedzieć. Czasy były jednak niespokojne. Galiullin nie miał odwagi powiedzieć Łarze prawdy. Chciał przygotować ją wprawdzie do tego ciosu. Odkładał wciąż napisanie jej długiego listu. Wreszcie posłyszał, że Łara znajduje się też gdzieś na froncie, i nie wiedział dokąd pisać.

— No, jakże tam? Czy będą dziś konie? — pytał Gordon doktora Żiwagę, gdy ten ostatni przyszedł w południe na obiad do galicyjskiej chaty, w której obaj kwaterowali.

— Jakie tam konie! I dokąd pojedziesz, kiedy nie można ani naprzód, ani w tył? Na południu obeszlśmy czy przełamali w kilku miejscach niemieckie pozycje, przy czym, jak mówią, kilka naszych rozproszonych jednostek wpadło w pułapkę, na północy zaś Niemcy przeszli Swentę w miejscu, które uważano

za nieprzebyte. Jest to kawaleria, cały korpus, który niszczy koleje, składy i, według mnie, okrąża nas. Widzisz, co się dzieje. A ty mówisz — konie. No, Karpenko, ruszaj się, nakrywaj. Co dziś mamy na obiad? Nóżki cielęce? Doskonale.

Oddział sanitarny, z szpitalem i służbami pomocniczymi, rozkwaterowany był we wsi, która jak gdyby cudem ocalała od zniszczenia. Wszystkie domy i nawet szerokie, na modłę zachodnią, wieloskrzydłowe okna były całe.

Było właśnie babie lato, ostatnie dni gorącej, złotej jesieni. We dnie lekarze i oficerowie otwierali okna, wypędzali muchy rojące się na niskich sufitach i oknach, spoceni rozpinali bluzy i parzyli sobie usta gorącą zupą lub herbatą. W nocy siadali w kucki przed otwartymi drzwiczkami pieców, rozdmuchiwali ogień pod wilgotnymi drzwami i z załawionymi od dymu oczami łajali ordynansów nie umiejących porządnie napalić w piecu.

Noc była spokojna. Gordon i Żiwago leżeli na ławkach pod przeciwnymi ścianami izby. Między nimi stał stół, przed szerokim od ściany do ściany oknem. W izbie było gorąco i pełno dymu z papierosów. Gordon i Żiwago otworzyli skrajne skrzydła okna i wdychali jesienne, chłodne powietrze, od którego potniały szyby.

Rozmawiali, jak wszystkich poprzednich nocy. Różowa luna unosiła się wciąż nad frontem. Gdy wśród równomiernego, nie ustającego ani na chwilę warczenia ostrzału padały niskie, ciężkie uderzenia, jak gdyby ktoś zdrapując farbę, przesuwiał po podłodze, ciężki, okuty kufer, Żiwago, niby z szacunku dla tego dźwięku, milkł, wytrzymywał pauzę i mówił: — To Berta, niemieckie 16-calowe działo, ważące sześćset pudów — po czym wracał do konwersacji, nie pamiętając dobrze, o czym była mowa.

— Co tak wciąż cuchnie w tej wsi? — pytał Gordon. — Zauważyłem to już pierwszego dnia. Zapach słodkawo-mdły i przykry, jak zapach myszy.

— Wiem co masz na myśli. To konopie. Jest tu wiele dołów do moczenia konopi. Już same konopie wydają przykry, dokuczliwy zapach padliny. Prócz tego trupy poległych podczas działań zbrojnych pozostają w konopiach długo niedostrzeżone i gniją. Zapach trupi czuje się tu, oczywiście, na każdym kroku. Znów Berta. Słyszałeś?

W ciągu tych dni przyjaciele omówili wszystkie sprawy tego świata. Gordon dowiedział się co Żiwago myślał o wojnie i o nowym duchu czasu. Jurij Andrejewicz opowiedział mu, jak trudno mu było przywyknąć do krwawej logiki wzajemnego wytępienia się, do widoku rannych, a zwłaszcza do okropności pewnych ran i okaleczeń, właściwych obecnej technice wojennej i zmieniających człowieka w bezkształtne kawały mięsa.

Towarzysząc doktorowi Żiwadze, Gordon każdego dnia gdzieś był i coś widział. Zdawał sobie przy tym sprawę z całej niemoralności przyglądania się z boku, jak inni nadludzkim wysiłkiem przewyciężali strach śmierci, jak ponosili ryzyko i ofiary. Lecz bezczynne wzdychanie i narzekanie z tego powodu wydawało mu się również niemoralne. Gordon uważał, że należy prosto i uczciwie dostosowywać się do wszystkich sytuacji życiowych.

W punkcie opatrunkowym Czerwonego Krzyża, pracującym przy samym froncie, na zachód od ich wsi, Gordon przekonał się, że można istotnie zemdleć na widok rannych.

Punkt ten znajdował się na skraju wielkiego lasu, mocno przerzedzonego przez ogień artylerii. W połamanym i wydeptanym zagajniku leżały do góry kołami porozbijane przodki dział. Do jednego z drzew stał przywiązany wierzchowy koń. W głębi widać było drewnianą leśniczówkę, której brakło połowy dachu. Punkt opatrunkowy mieścił się w tej właśnie leśniczówce i w dwóch szarych namiotach stojących w lesie przy drodze.

— Niepotrzebnie cię tu wzięłem — powiedział Żiwago. — Okopy są tuż obok, o dwie lub półtorej wiorsty od nas, a nasza bateria stoi ot tam, za lasem. Słyszysz, co się tu dzieje. Nie udawaj, proszę, bohatera, nie uwierzę ci. Masz teraz duszę w piętach, i jest to zrozumiałe. Sytuacja może się w każdej chwili zmienić, i pociski mogą dolatywać aż do nas.

Przy leśnej drodze leżeli na ziemi młodzi żołnierze, zakurzeni i zmęczeni, z szeroko rozrzuconymi nogami w ciężkich butach. Leżeli na brzuchu lub na wznak w bluzach przepoconych na piersi i na łopatkach. Były to resztki mocno przerzedzonego oddziału, wycofane na krótki odpoczynek z walki trwającej już od czterech dni. Leżeli jak skamieniali; nie mieli sił do uśmiechania się lub przeklinania, i żaden z nich nie odwrócił głowy, gdy z lasu dobiegł turkot szybko zbliżających się wozów. Rannych wieziono kłusem na bezresorowych taczankach, których podskoki łamały im do reszty kości i przewracały bebechy. Na punkcie opatrunkowym udzielano im pierwszej pomocy, nakładano pośpieszenie opatrunki, a w pewnych wypadkach operowano na miejscu. Przed pół godziną, gdy ogień na chwilę ustał, większą liczbę rannych zebrano z pola przed okopem. Większość ich była nieprzytomna.

Taczanki stanęły przed leśniczówką. Sanitariusze wyszli z noszami i zaczęli przenosić rannych. Z namiotu, trzymając ręką uchylone płótno, wyjrzała siostra miłosierdzia. Dyżur jej skończył się, była wolna. Za namiotem słychać było głosy dwojga kłających się. W wysokopiennym lesie głosy te rozlegały się daleko, ale słów nie można było odróżnić. Po przybyciu rannych kłócący się wyszli na drogę i zbliżyli się do leśniczówki. Młody i niecierpliwy oficer pytał podniesionym głosem lekarza dokąd

odjechał stojący tu przedtem park artylerii. Lekarz nie wiedział o niczym, tłumacząc, że to nie jego rzecz. Prosił oficera, aby przestał krzyczeć i dał mu pokój, bo przywieziono rannych, i musi się nimi zająć. Oficer przeklinał Czerwony Krzyż, dowództwo artylerii i wszystko w ogóle. Żiwago podszedł do lekarza, przywitał go i wszedł z nim razem do leśniczówki. Oficer, kląnąc nadal z lekko tatarskim akcentem, odwiązał konia, wskoczył na siodło i pojechał w głąb lasu. Siostra przyglądała się przez cały czas tej scenie.

Nagle twarz jej zmieniła się ze strachu.

— Co wy robicie? Zwariowaliście chyba — zawołała i wyszedłszy z namiotu pobiegła do dwóch lekko rannych, którzy o własnych siłach, przeciskając się między noszami, zdążyli do punktu opatrunkowego.

Na noszach niesiono właśnie potwornie okaleczonego żołnierza. Dno wybuchłego granatu, zmieniwszy w krwawą masę zęby i język, utkwilo mu w kości twarzowej na miejscu wyrwanego policzka. Ranny wydawał krótkie, przerywane, nie podobne do głosu ludzkiego jęki, które każdy mógł łatwo zrozumieć jako prośbę o dobiecie go i skrócenie zbyt długo trwającej męki.

Siostrze miłosierdzia wydało się, że pod wpływem tych jęków idący obok lekko ranni chcieli palcami wyrwać z jego policzka okropną żelazną drzazgę.

— Co wy robicie? Tak nie można. To zrobi zaraz chirurg, mający do tego narzędzia. Jeżeli w ogóle do tego dojdzie (Boże, Boże, powołaj go prędzej do Twojej chwały, nie daj mi wątpić o Twym istnieniu).

W chwilę potem, gdy wnoszono go już na ganek leśniczówki ranny krzyknął, wyprężył się całym ciałem i wydał ostatnie tchnienie.

Zmarły w ten sposób był to szeregowy rezerwy Himazetdin, kląącym w lesie oficerem był jego syn, podporucznik Galiullin, siostrą miłosierdzia — Łara, świadkami zaś tej sceny — Gordon i Żiwago. Wszyscy znaleźli się razem, stali obok siebie, lecz jedni nie poznali drugich lub nie mieli się nigdy poznać. Okoliczności tego spotkania częściowo nie doszły nigdy do ich świadomości, częściowo zaś miały wyjaśnić się później, przy następnym spotkaniu.

II

W pasie przyfrontowym ocalało, jak gdyby cudem, kilka wsi. Były to wyspy w morzu zniszczenia. Gordon i Żiwago wracali wieczorem do domu. Słońce zachodziło. W pewnej wsi, przez którą przejeżdżali, młody kozak, wśród ogólnego śmiechu

obecnych, rzucał w górę miedzianą pięciokopiejkówkę, każąc staremu, siwobrodemu Żydowi łapać ją w powietrzu. Za każdym razem moneta spadała w błoto, przelatując obok żałośnie rozpostartych rąk starca. Gdy ten ostatni schylał się po miedziak, kozak dawał mu klapsa w pośladek. Stojący dokoła chwyтали się za boki i zaśmiewali do rozpuku. Na tym polegała ich zabawa. Na razie rzecz była niewinna, nikt jednak nie mógł być pewny, że nie przybierze mniej niewinnego obrotu. Z przeciwległej chaty wybiegała co chwila żona starca, z krzykiem wyciągała doń ręce i, wystraszona, cofała się. Przez okno dwie wnuczki patrzyły płacząc na tę scenę.

Wiozącemu Gordona i Żiwagę wojskowemu furmanowi wszystko to wydało się tak pocieszne, że zaczął jechać stępą, aby i panowie mogli się zabawić, lecz Żiwago zawołał kozaka, wyłajał go i kazał dać pokój naigrzaniu się. — Słucham, panie kapitanie — odpowiedział posłusznie kozak. — Nie wiedzieliśmy. My tak tylko dla śmiechu.

Przez resztę drogi Gordon i Żiwago milczeli. Dopiero gdy dojeżdżali do swej wsi, Jurij Andrejewicz powiedział:

— To jest straszne. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile nieszczęsna ludność żydowska nacierpiała się podczas tej wojny. Wojna toczy się właśnie na terenach, na które spychano tę ludność przymusowo¹⁵. A za cierpienia, za rekwizycje i ruinę płaci się jej pogromami, szyderstwem i oskarżeniami o brak patriotyzmu. Skąd zresztą miałby się wziąć ten patriotyzm, gdy u nieprzyjaciela Żydzi korzystają z wszystkich praw, a u nas są prześladowani. Nienawiść do Żydów, sama nawet podstawa tej nienawiści, jest pełna sprzeczności. Drażni to co powinno by wzruszać i budzić sympatię: ich ubóstwo, stłoczenie na ciasnym terenie, ich słabość i bezbronność. Jest w tym coś niezrozumiałego, coś fatalnego.

Gordon nic nie odpowiedział.

12

Leżeli znów nocą koło szerokiego, niskiego okna i rozmawiali. Żiwago, który świetnie opowiadał, opisywał Gordonowi wizytę cesarza na froncie.

Było to podczas pierwszej wiosny spędzonej przezeń na froncie. Sztab jednostki, do której był przydzielony, stał w Karpatach, w kotlinie, do której wejścia od strony węgierskiej broniła właśnie ta jednostka.

15. Żydom nie wolno było mieszkać na wschód od tzw. *czerty osiedłości*, biegnącej mniej więcej wzdłuż przedrozbiorowych granic Polski.

Na dnie kotliny znajdowała się stacja kolejowa. Żiwago opisał Gordonowi wygląd miejscowości: góry porosłe potężnymi jodłami i sosnami, których czepiały się białe obłoki, strome skały z łupku i grafitu, przeświecające przez las, jak łysiny wytarte w grubym futrze. Było to w kwietniu, rankiem wilgotnym i szarym jak jedna z tych łupkowych skał. Powietrze, zamknięte ze wszystkich stron górami, było nieruchome i duszne. Cała kotlina parowała, dymiła się: dymił parowóz na stacji, dymiły łąki, szare góry, ciemne lasy i ciemne obłoki.

Cesarz objeżdżał wówczas Galicję. Nagle przyszła wiadomość, że odwiedzi stojącą tutaj jednostkę, której był honorowym dowódcą.

Mógł przyjechać lada chwila. Na peronie wystawiono na jego powitanie wartę honorową. Nużące oczekiwanie trwało godzinę lub dwie. Potem, jeden za drugim, przejechały dwa pociągi z świtą. Niedługo po nich nadjechał pociąg cesarski.

W towarzystwie W. Ks. Nikołaja Nikołajewicza cesarz przeszedł przed frontem grenadierów. Każde słowo jego cichego powitania, niby woda w rozkołysanym wiadrze, bryzgało okrzykami „ura”, przelewającymi się jak grzmot po kotlinie.

Wstydliwie uśmiechający się cesarz wydawał się starszy, bardziej zrezygnowany niż na monetach i medalach. Twarz miał ociężałą, z lekka nalaną. Co chwila spoglądał zakłopotany na Nikołaja Nikołajewicza, nie wiedząc jak powinien się w danej okoliczności zachować, i wielki książę, chyląc się z szacunkiem do jego ucha, prawie bez słów, ruchami brwi i ramion wybawiał go z kłopotu.

Żał było patrzeć na cesarza w ten szary, ciepły, górski poranek. Jednocześnie strach było myśleć, że ta bojaźliwa dyskrecja i nieśmiałość są być może samą istotą ciemniejszyciela, i że ta słabość może skazywać na śmierć i ułaskawiać, wiązać i rozstrzygać.

— Cesarz powinien był powiedzieć, na przykład: „ja, mój miecz i mój naród”, jak Wilhelm, czy coś w tym rodzaju. Koniecznie coś o narodzie. Ale, rozumiesz, on był po rosyjsku naturalny, tragicznie wyższy od tych prostackich formuł. W Rosji teatralność jest nie do pomyślenia, a przecież to wszystko jest teatr, nieprawdaż? Rozumiem jeszcze, gdy mówi się o narodach w czasach Juliusza Cezara, o jakichś tam Gallach, Swewach czy Illiryjczykach. Ale teraz to fikcja, istniejąca tylko po to, aby cesarze, królowie i politycy mogli mówić: naród, mój naród.

— Front jest teraz zatłoczony korespondentami i dziennikarzami, którzy notują „spostrzeżenia”, powiedzenia ludowe, którzy obchodzą rannych i rozwijają nowe teorie duszy ludowej. Jest to rodzaj nowego Dahla¹⁶, równie oderwanego i fikcyjnego,

16. Aluzja do znanego słownika Władimira Dahl'a.

rodzaj lingwistycznej grafomanii, niepowstrzymania słów. Taki jest jeden typ. Ale jest jeszcze drugi. Krótkie, urywane zdania, „szkice i sceny”, sceptycyzm, mizantropia. Jeden z nich, na przykład (sam czytałem), pisze: „Dzień szary, jak wczoraj. Od rana deszcz, ślota. Patrzę przez okno na drogę. Idzie nią nieskończony szereg jeńców. Wiozą rannych. Armata strzela. Strzela znów, dziś jak wczoraj, wczoraj jak dziś i każdego dnia”. Pomyśl tylko, jakie to bystre i dowcipne. I czego on właściwie chce od armaty? Dziwna pretensja — żądać od niej rozmaitości! Zamiast dziwić się armacie, czemu nie dziwi się samemu sobie, że może tak strzelać dzień i noc wyliczeniami, przecinkami, frazesami, czemu sam nie przestanie wreszcie strzelać dziennikarskim humanitaryzmem, niecierpliwym jak skoki pchły? Jak może taki nie rozumieć, że nie armata, ale on sam powinien być nowy, nie powtarzający się, że gromadzenie w notatniku masy głupich drobiazgów nie daje żadnego sensu, że fakty nie istnieją, dopóki człowiek nie ożywił ich czymś swoim, jakąś częścią swego swawolnego geniusza, jakąś fantazją.

— Bardzo słusznie — przerwał mu Gordon. — Teraz ja ci coś odpowiem z okazji sceny, której byliśmy dziś świadkami. Ten kozak natrzęsający się z biednego patriarchy i tysiące jemu podobnych są przykładem zwykłej podłości. Tu, rzecz jasna, trzeba nie filozofować, ale bić w mordę. Filozofia ma natomiast zastosowanie do całości sprawy żydowskiej, pozwalając dostrzec jej nieoczekiwane aspekty. Nie powiem ci tu zresztą nic nowego. Wszystkie te myśli, moje i twoje, pochodzą od twego wuja.

— Czym jest naród? — pytasz. — Czy trzeba się z nim cackać, i czy nie więcej może dlań zrobić ten, kto nie myśląc o nim wcale, samym polotem i świetnością swych czynów pociągnie go za sobą na wielkie wody i uczyni sławnym na wszystkie czasy? Oczywiście, oczywiście. I o jakich narodach można mówić w czasach chrześcijaństwa? Nie ma więcej narodów po prostu, są tylko narody nawrócone, przeobrażone, warte przez swe nawrócenie, a nie przez wierność dla dawnych zasad. Co mówi o tym Ewangelia? Przede wszystkim Ewangelia nie twierdzi, że coś jest tak i nie inaczej. Ewangelia była naiwną i nieśmiałą propozycją. Pytała: czy chcecie żyć inaczej, jak nikt dotąd nie żył, czy chcecie być szczęśliwi duchowo? I wszyscy przyjęli tę propozycję, porwali ją na tysiąclecia.

Gdy Ewangelia mówi, że w Królestwie Bożym nie ma Greka ni Żyda, czy chce przez to powiedzieć, że przed Bogiem wszyscy są równi? Nie, do tego nie trzeba było Ewangelii; greccy filozofowie, rzymscy moralisci i prorocy Starego Testamentu wiedzieli to już przedtem. Nie, Ewangelia mówi, że w płynącym z serca, nowym sposobie obcowania, zwanym Królestwem Bożym, nie ma narodów, a są tylko jednostki.

Mówiłeś, że fakt sam nie ma sensu, że musimy doń wnieść jakąś treść, aby stał się sensowny. Chrześcijaństwo, misterium jednostki — oto co należy wnieść do faktu, aby zyskał dla człowieka jakiś sens.

Mówiliśmy o siłach historycznie drugoplanowych, o działaczach tuzinkowych, nie mających światu nic do powiedzenia, zainteresowanych w tym, aby wszystko było mierne, aby wciąż była mowa o jakimś narodzie, najlepiej małym i cierpiącym, budzącym litość, z której mogliby czerpać siłę do sądzenia i sprawowania władzy. Główną ofiarą tych sił są Żydzi. Myśl narodowa narzuciła im zabójczy obowiązek pozostawiania narodem i tylko narodem przez wieki, właśnie w czasie, gdy zrodzona w ich własnych szeregach potęga uwolniła świat od tego poniżającego zadania. To nie do wiary! Jak to się mogło stać? To święto, to ocalenie od szatańskich sił mierności, ten wzlot ponad głupotę codzienności, wszystko to narodziło się z ich ziemi, było opowiedziane w ich języku, zdarzyło się w ich plemieniu. I Żydzi widzieli to, słyszeli i pozostali obojętni. Jak mogli pozwolić odejść od siebie duszy o tak porywającym uroku i sile? Jak mogli wyobrażać sobie, że potrafią trwać jako pusta powłoka, z której wyszło to cudo? W czym interesie leżało to dobrowolne męczeństwo, komu przez tyle wieków potrzebna była hańba i krew niezliczonych i niewinnych starców, kobiet i dzieci, istot tak subtelnych, skłonnych do dobroci i przyjaźni? Dlaczego pisarze narodowi wszystkich krajów są tak gnuśnie nieudolni? Czemu przywódcy duchowi narodu żydowskiego nie wyszli poza łatwe formy Weltschmerzu i ironicznej mądrości? Czemu, ryzykując że naród ten wybuchnie pod naciskiem nieodwołalnego obowiązku, jak kocioł parowy pod nadmiernym ciśnieniem, nie rozproszyli swego nie wiadomo o co walczącego i za co dziesiątkowanego oddziału? Czemu nie powiedzieli: „Opamiętajcie się. Dosyć. Nie trzeba. Zmieńcie waszą nazwę. Nie zbijajcie się w stado, rozproście się. Idźcie między ludzi. Jesteście pierwszymi, najlepszymi chrześcijanami świata. Jesteście tym właśnie, czemu usiłowali was przeciwstawić najślabi i najgorsi spośród was”.

13

Następnego dnia, wróciwszy na obiad, Żiwago powiedział: — Niecierpliwiłeś się, chciałeś jechać, no i masz. Nie powiem, że „masz szczęście”, bo jakie to szczęście być wypieranym i bitym? Droga na wschód jest wolna, z zachodu nas naciskają. Wszystkim instytucjom sanitarnym kazano przygotowywać się do odwrotu. Odjeżdżamy jutro lub pojutrze. Dokąd — nie

wiadomo. Karpenko, bielizna Michaiła Grigoriewicza oczywiście nie wyprana? Wiecznie to samo. Kuma miała wyprać, a gdy cię spytać, bałwanie, sam nie wiesz, jaka to kuma.

I nie słuchając usprawiedliwień swego sanitariusza-ordynansa, ani nie zwracając uwagi na Gordona, zakłopotanego że odjeżdża w koszuli swego gospodarza, Żiwago ciągnął dalej:

— Ech, cygańskie nasze życie na wojnie. Kiedy tu przyjechałem, nic mi się nie podobało: piec nie tam gdzie trzeba, za niski sufit, błoto, duchota. A teraz żadną miarą nie potrafię przypomnieć sobie poprzedniego postoju. I wydaje mi się, że mógłbym tu przeżyć całe życie, patrząc na kafle tego pieca, w których odbija się słońce i ruchomy cień przydrożnego drzewa.

Obaj pakowali bez pośpiechu swe rzeczy.

W nocy zbudził ich hałas, krzyki, strzały i bieranina. Przez okno widać było przebiegające w złowieszczym świetle cienie. W sąsiedniej izbie słychać było ruch; gospodarze obudzili się. — Wyjdź na ulicę, Karpenko, spytaj skąd ta sodoma — powiedział Jurij Andrejewicz.

Wkrótce wszystko wyjaśniło się. Ubrany na prędcę Żiwago poszedł do szpitala, aby sprawdzić pogłoski, które okazały się słuszne. Niemcy przerwali na tym odcinku linię obrony, zbliżając się teraz do wsi. Ta ostatnia była już pod ostrzałem. Szpital i inne instytucje odjeżdżały, nie czekając rozkazu o ewakuacji. Do rana wszystko miało być skończone.

— Ty pojedziesz z pierwszym eszelonem. Linijka zaraz odjeżdża. Powiedziałem, aby na ciebie zaczekano. No, żegnaj! Odprowadzę cię i zobaczę, gdzie cię posadzą.

Obaj pobiegli na drugi koniec wsi, gdzie formował się oddział. Biegli schylając się i chowając za węglami domów. Na ulicy śpiewały i brzęczały kule. W głębi poprzecznych uliczek, wychodzących w pole, widać było wybuchające szrapnele, podobne do ognistych parasoli.

— A ty? — zapytał biegnąc Gordon.

— Ja potem. Wrócę do domu po rzeczy. Pojadę z drugą partią.

Pożegnali się u obejścia. Kilka wozów i linijka, z których składał się eszelon, ruszyły, najeżdżając wzajemnie na siebie i stopniowo rozciągając się w kolumnę. Jurij Andrejewicz machał ręką odjeżdżającemu towarzyszowi. Scenę tę oświetlały płomienie palącej się stodoły.

Idąc wzdłuż chat i chowając się za ich węgly, Jurij Andrejewicz szybko wracał do mieszkania. O dwa domy od jego ganku fala powietrzna bliskiego wybuchu zbiła go z nóg i kulka szrapnelowa zraniła go. Jurij Andrejewicz, zalany krwią, upadł na środek ulicy i stracił przytomność.

Szpital ewakuacyjny mieścił się przy stacji kolejowej małego miasteczka, w jednym z zapadłych kątów prowincji zachodnich, niedaleko od sztabu głównego. Ostatnie dni lutego były ciepłe. W oficerskim pawilonie dla ozdrowieńców, na prośbę Jurja Andrejewicza, który powracał tu do zdrowia, otwarto najbliższe od jego łóżka okno.

Zbliżała się godzina obiadowa. Chorzy, jak kto mógł, starali się skrócić chwile oczekiwania. Dowiedzieli się właśnie, że do szpitala przybyła nowa siostra, która dziś obejdzie sale. Leżący naprzeciw Żiwaga podporucznik Galiullin przeglądał świeżo nadeszłą *Riecz* i *Russkoje Słowo*, oburzając się na białe plamy, pozostałe po tekstach skonfiskowanych przez cenzurę. Jurij Andrejewicz czytał listy Toni, które nagromadziły się na pocztce polowej i zostały mu przysłane wszystkie razem. Wiatr szeleścił kartkami listów i stronicami gazety. Dały się słyszeć lekkie kroki. Jurij Andrejewicz oderwał wzrok od listu. Do sali weszła Łara.

Jurij Andrejewicz i podporucznik poznali ją, każdy z osobna, nie wiedząc jeden o drugim. Łara nie знаła ich.

— Dzień dobry. Dlaczego okno jest otwarte? Nie zimno wam? — powiedziała Łara i podeszła do Galiullina.

— Na co cierpicie? — zapytała i wzięła go za rękę, aby policzyć puls, ale natychmiast odłożyła ją i siadła zakłopotana, na krześle przy łóżku.

— Co za niespodzianka, Łarisa Fiodorowna — powiedział Galiullin. — Służyłem w jednym pułku z waszym mężem. Znałem dobrze Pawła Pawłowicza. Mam dla was zebrane jego rzeczy.

— Nie może być, nie może być — powtarzała Łara. — Co za uderzający zbieg okoliczności. Wyście go znali? Opowiedźcie prędko jak to było. Zginął zasypany ziemią? Nie ukrywajcie niczego, nie bójcie się. Wiem już wszystko.

Galiullinowi zbrakło odwagi do potwierdzenia wiadomości, znanych Łarze ze słuchów. Postanowił skłamać, aby ją uspokoić.

— Antipow jest w niewoli — powiedział. — Podczas natarcia poszedł z swym oddziałem za daleko i stracił łączność. Został otoczony i musiał się poddać.

Łara nie wierzyła mu. Była wstrząśnięta niespodzianą rozmową i nie mogła powstrzymać łez, a płakać przy obcych nie chciała. Wstała więc szybko i, aby opanować się, wyszła na korytarz.

W minutę później wróciła, zewnętrznie uspokojona. Nie parzyła w kąt Galiullina, aby nie rozplakać się znów. Podeszła wprost do łóżka Jurja Andrejewicza i zapytała mechanicznie?

— Dzień dobry. Na co cierpicie?

Jurij Andrejewicz widział łzy i wzruszenie Łary. Zrazu chciał zapytać ją, co jej się stało, chciał opowiedzieć, w jakich okolicznościach widział ją dwukrotnie, jako gimnazysta i student, pomyślał jednak, że Łara mogłaby wziąć to za poufalskość i źle zrozumieć. Powstrzymał się więc i, zamiast wszystkiego innego, powiedział po prostu:

— Dziękuję wam. Jestem lekarzem i lecę się sam. Niczego mi nie trzeba.

— Za co on się na mnie obraził? — pomyślała Łara i ze zdziwieniem spojrzała na niczym nie wyróżniającą się twarz nieznajomego z zadartym nosem.

Przez kilka następnych dni pogoda była zmienna. Nocami słychać było szept ciepłego wiatru, pachniało mokrą ziemią.

Dziwne wiadomości zaczęły napływać z sztabu i z głębi kraju; trwożne słuchy nadchodziły z domu. Połączenie telegraficzne z Petersburgiem było przerwane. Wszędzie, nawet na rożgach ulic, rozmawiano o polityce.

W dyżurne dni siostra Antipowa obchodziła szpital dwukrotnie, rano i wieczorem, przerzucając się banalnymi słówkami z chorymi z innych sal, a także z Galiullinem i Jurjem Andrejewiczem. — Dziwny, ciekawy człowiek — myślała. — Młody i nieuprzejmy. Ma zadarty nos, i trudno powiedzieć, aby był bardzo przystojny. Jest jednak inteligentny w najlepszym sensie tego słowa, umysł ma żywy i pociągający. Ale mniejsza o to. Najważniejsze teraz — przenieść się do Moskwy, bliżej Kati, tam złożyć podanie o zwolnienie z obowiązków siostry miłosierdzia i wrócić do pracy w gimnazjum. Sprawa biednego Patuli została wyjaśniona — żadnej nadziei. Po co więc grać dalej rolę polowej bohaterki, podjętą tylko dla ułatwienia sobie poszukiwań?

Co się teraz dzieje z Katią? Biedna sierotka (tu Łara zaczęła płakać). Wielkie zmiany zaszły w ostatnim czasie. Niedawno był jeszcze obowiązek wobec ojczyzny, męstwo, waleczność, wysokie uczucie obywatelskie. Ale wojna została przegrana, i to jest rzecz główna. Klęska straciła wszystko z piedestału, i nie ma więcej nic świętego.

Wszystko się nagle zmieniło: ton, atmosfera; nie wiadomo co myśleć i kogo słuchać. Jak gdyby przez całe życie trzymano ją za rękę, jak dziecko, i nagle pozostawiono samej sobie: ucz się chodzić sama. I nie ma przy mnie nikogo, ani bliskich, ani autorytetów. W takim położeniu pozostają tylko rzeczy najistotniejsze: siła życia, piękno, prawda. Chciałoby się zaufać im teraz, gdy kierujące nami dotąd zasady zostały obalone, zaufać całkowicie i bezwzględnie, bardziej niż w poprzednim życiu, którego więcej nie ma. W jej wypadku, zreflektowała się Łara — takim celem absolutnym będzie Katia. Bez Patuli jest tylko matką i wszystkie swe siły odda biednej sierotce Kati.

Jurij Andrejewicz dowiedział się z listów, że Gordon i Dudorow bez jego pozwolenia opublikowali jego książkę, że książka ta została przychylnie przyjęta, że przepowiadają mu wielką przyszłość literacką, że życie w Moskwie jest niespokojne i ciekawe, że głuche niezadowolenie mas wzrasta, że oczekiwane są jakieś głębokie przemiany, i że zbliżają się wielkie wypadki polityczne.

Noc była już późna. Niepokonana senna ogarnęła Jurja Andrejewicza, który drzemał z przerwami, ulegając złudzeniu, że po całodziennych wzruszeniach nie może zasnąć, że nie śpi. Za oknem wzdychał i ziewał senny wiatr. Płakał i szeptał: „Toni, Szuro, nudno mi bez was; chciałbym wrócić do domu i wziąć się do pracy”. Przy szmerze wiatru Jurij Andrejewicz spał, budził się i zasypiał znów. Chwile radości i cierpienia bieging jedna za drugą, szybkie i niecierpliwe, podobne do niestałej pogody tej zmiennej nocy.

Łara tymczasem myślała: — Zadał on sobie tyle trudu, aby przechować pamięć i te biedne rzeczy pozostałe po Patuli, a ja, jak świnia, nie zapytałam nawet, kim jest i skąd pochodzi.

Następnego dnia, przy rannym obchodzie, chcąc zatrzeć ślady swej niewdzięczności, Łara zaczęła zadawać pytania Galiulinowi. Zdumienie jej nie miało granic.

— Ach, Boże, niezbadane Twe drogi! Brzeska 28. Tiwierziniowie, rewolucyjna zima 1905-go! Jusupka? Nie, Jusupki nie znałam lub nie pamiętam, przepraszam. Ale ten rok, ten rok i to podwórze! Ależ to prawda: było takie podwórze i taki rok! — O, jak żywo ma to znów w pamięci! I strzelanie, i — daj, Boże, pamięć — „zдание Chrystusa”! Jak silnie przeżywa się takie rzeczy w dzieciństwie, po raz pierwszy! — Przepraszam, przepraszam, jak was należy nazywać, podporuczniku? Ach, tak, raz mi to już mówiliście. Osip Himazetdinowicz. Dziękuję, dziękuję wam bardzo. Co za wspomnienie, ile rzeczy odnowiło się w mej pamięci!

Przez cały dzień Łara chodziła z „tym podwórzem” w duszy, wzdychała i niemal głośno rozmyślała. Pomyśl tylko: Brzeska 28! I znów strzelanina, ale o ileż straszniejsza! To już nie „chłopcy strzelają”! Chłopcy dorośli i wszyscy są tu w mundurach, cały prosty lud z tych podwórz i z takich samych wsi. Fantastyczne, fantastyczne!

Stukając laskami i szczudłami, do sali wbiegli inwalidzi i wszyscy nie obłożni chorzy z sąsiednich pawilonów, krzycząc jeden przez drugiego:

— Wypadki niezwykłej wagi. W Petersburgu rozruchy uliczne. Wojska garnizonu petersburskiego przeszły na stronę zbuntowanych. Rewolucja.

R o z d z i a ł V

POŻEGNANIE Z PRZESZŁOŚCIĄ

I

Miasteczko nazywało się Mieluziejew. Stało na czarnoziemiu. Czarny kurz, wzbijany przez przeciągające przezeń wojska i tabory, wisiał jak chmura szarańczy nad dachami domów. Oddziały wojskowe ciągnęły dniem i nocą w obu kierunkach, z frontu i na front; nie można było zrozumieć, czy wojna trwa jeszcze, czy też skończyła się.

Każdego dnia wyrastały jak grzyby nowe urzędy. Na wszystkie stanowiska wybierano. Wybrano więc jego, Żiwagę, podporucznika Galiullina, siostrę Antipową i jeszcze kilku z ich sali, samych mieszkańców wielkich miast, ludzi doświadczonych, bywałych.

Wybrani objęli stanowiska kierowników zarządu miasta, drobnych komisarzy w armii i służbie sanitarnej i odnosili się do swego urzędowania jak do rozrywki na świeżym powietrzu lub zabawy w ciuciubabkę. Najczęściej jednak myśleli o wydostaniu się z tej ciuciubabki i powrocie do domu, do zwykłych zajęć.

Żiwago i Antipowa spotykali się często w toku urzędowania.

2

W dnie dżdżyste czarny kurz zmieniał się w ciemno-brązowe błoto koloru kawy, pokrywające niebrukowane przeważnie ulice.

Miasteczko było niewielkie. Z każdego skrzyżowania ulic widać było chmurny step, ciemne niebo, wielkie przestrzenie objęte wojną i rewolucją.

Jurij Andrejewicz pisał do żony :

„Rozkład i anarchia w armii trwają nadal. Podjęto różne kroki w celu przywrócenia dyscypliny i podniesienia ducha bojowego u żołnierzy. Objazdzałem stojące w pobliżu jednostki.

Wreszcie, jako post scriptum, chociaż mogłem donieść ci o tym już wcześniej, dodam, że współpracuję tu blisko z niejaką Antipową, moskiewską siostrą miłosierdzia, pochodzącą z Uralu.

Czy pamiętasz dziewczynę, która w straszną noc śmierci twojej matki strzelała do prokuratora? Potem, zdaje się, była sądzona. Opowiadałem ci, o ile pamiętam, że tę samą studentkę, podówczas gimnazistkę, widzieliśmy przedtem z Miszą w paskudnym hotelu, dokąd jeździliśmy z twoim ojcem, nie pamiętam w jakim celu, w trzaskający mróz, w czasie, jak mi się zdaje, zbrojnego powstania na Priesni. To jest właśnie Antipowa.

Kilka razy już próbowałem się wyrwać do domu, ale to nie jest tak proste. Nie zatrzymuje nas tu praca, którą z powodzeniem moglibyśmy zostawić innym, trudność leży w samej podróży. Pociągi bądź nie chodzą wcale, bądź są tak przepełnione, że nie podobna do nich wsiąść.

Wiecznie tak, oczywiście, być nie może, i kilka osób wyleczonych lub zwolnionych ze służby, a w ich liczbie ja, Galiullin i Antipowa, postanowiło wyjechać stąd za wszelką cenę w przyszłym tygodniu, po jednym, bo tak łatwiej znaleźć miejsce w pociągu.

Mogę zjawić się każdego dnia, niespodzianie. Zresztą spróbuję telegrafować”.

Odpowiedź Antoniny Aleksandrowny zdążyła nadejść przed odjazdem Jurja Andrejewicza.

W liście tym, w którym łkanie burzyło porządek słów, a ślady łez i kleksy zastępowały kropki, Antonina Aleksandrowna przekonywała męża, że nie powinien wcale wracać do Moskwy, lecz jechać wprost na Ural z tą zdumiewającą siostrą, której życie, pełne niezwykłych przeżyć i zbiegów okoliczności, jest nieporównanie bardziej interesujące niż skromna egzystencja jej, Toni.

„O Saszę i jego przyszłość nie niepokój się — pisała. — Wstydu ci Sasza nie przyniesie. Przrzekam ci wychować go w tych zasadach, które jako dziecko poznałeś w naszym domu”.

„Zwariowałaś chyba, Toni — pośpieszył odpowiedzieć jej Jurij Andrejewicz. — Co za podejrzenia! Czyż nie wiesz lub nie zdajesz sobie z tego dostatecznie sprawy, że przywiązanie do ciebie i do domu ocaliło mnie od śmierci i wszystkich innych

rodzajów zguby, jakie groziły mi w ciągu tych dwóch strasznych i niszczących lat wojny? Ale po co te słowa. Niedługo zobaczymy się, wrócimy do poprzedniego życia, i wszystko wyjaśni się.

Fakt, że mogłaś mi tak odpowiedzieć, niepokoi mnie z innych przyczyn. Jeżeli dałem ci powód do takiej odpowiedzi, mogę wnosić, że postępowanie moje było być może istotnie dwuznaczne, a wówczas zawiniłem także wobec tamtej kobiety, którą wprowadziłem w błąd i będę musiał przeprosić. Zrobię to też po jej powrocie z objazdu kilku sąsiednich wsi. Ziemstwo¹⁷, istniejące dotąd tylko w guberniach i powiatach, wprowadzane jest obecnie także w mniejszych jednostkach terytorialnych, mianowicie w gminach zbiorowych. Antipowa pomaga znajomej instruktorce przy wprowadzaniu w życie nowego ustawodawstwa.

Ciekawe, że mieszkając z Antipową w jednym domu nie wiem dotąd, gdzie się znajduje jej pokój, i nigdy się tym nie interesowałem”.

3

Na wschód i zachód dwie drogi wychodziły z Mieluziejewa. Jedna, niebrukowana, prowadziła do handlującego zbożem miasteczka Zybuszina, administracyjnie podporządkowanego lecz pod każdym innym względem przerastającego Mieluziejew. Druga, wysypana żwirem, przez suche w letniej porze łąki prowadziła do stacji Biriuczi, leżącej na skrzyżowaniu dwóch linii kolejowych przechodzących koło Mieluziejewa.

W czerwcu przez dwa tygodnie istniała w Zybuszinie niepodległa Republika Zybuszyńska, ogłoszona przez miejscowego młynarza Błażejko.

Republika ta znalazła oparcie w dezterterach z 212-go pułku piechoty, którzy z bronią w rękę opuścili pozycje i przez Biriuczi przybyli do Zybuszina w chwili przewrotu.

Republika nie uznawała Rządu Tymczasowego i oderwała się od pozostałej Rosji. Błażejko, który był sektantem i w młodości korespondował z Tołstojem, przepowiadał Republice Zybuszyńskiej tysiąc lat trwania, ogłosił wspólność pracy i własności, zarząd gminny zaś nazwał apostołatem.

Fantastyczne legendy otaczały Zybuszino. Miasteczko stało pośród wielkich lasów. Wzmiankowały je dokumenty z czasów rosyjskiego bezkrólewia, lecz i później pobliskie lasy były pełne rozbójników. Zamożność miejscowych kupców i urodzajność ziemi były również legendarne. Tam zaczynał się obszar wierzeń,

17. Samorząd.

obyczajów i osobliwej wymowy, właściwych zachodniej części pasa przyfrontowego.

Równie fantastyczne historie opowiadano teraz o głównym pomocniku Błażejki. Mówiono o nim, że urodził się głuchoniemy, lecz w stanie natchnienia odzyskiwał mowę, tracąc ją znów, gdy stan łaski mijał.

W lipcu Republika Zybuszyńska upadła. Miasteczko zajęło wojsko wierne Rządowi Tymczasowemu, wypierając deztererów, którzy odeszli do Biriuczów.

Tam, za liniami kolejowymi, ciągnęły się szerokie na kilka wiorst poręby, wśród których sterczały porosłe poziomkami pnie, sągi starych, zapomnianych drzew i na pół zburzone ziemianki, pozostawione przez pracujących tam niegdyś drwali. Osiedlili się tu deztererzy.

4

Szpital, w którym leczył się i później pracował doktor Żiwago, a który teraz zamierzał opuścić, mieścił się w domu hrabiny Zabrinckiej, ofiarowanym przez nią w początku wojny na użytek rannych.

Piętrowy ten dom stał w centrum miasteczka, przy zbiegu głównej ulicy z rynkiem, gdzie dawniej musztrowano żołnierzy, obecnie zaś wiecowano.

Z stojącego na skrzyżowaniu ulic domu roztaczał się widok na wszystkie strony. Prócz głównej ulicy i rynku widać żeń było dworek sąsiadów, ubogie, prowincjonalne gospodarstwo, mało różniące się od wiejskiego. Tył domu przytykał do starego hrabiowskiego parku.

Dom ten nie przedstawiał samodzielnej wartości dla Zabrinckiej, która miała w powiecie wielki majątek zwany „Razdoljem”. Dom służył jej tylko jako *pied-à-terre*, gdy przyjeżdżała w interesach do miasteczka, i jako pomieszczenie dla gości, przyjeżdżających do niej latem ze wszystkich stron.

W domu tym znajdował się teraz szpital, właścicielka zaś była aresztowana w Petersburgu, gdzie stale mieszkała.

Z dawnej służby pozostały dwie dziwne kobiety: *mademoiselle Fleury*, dawna guwernantka zamężnych obecnie córek hrabiny, i Ustinja, szkolona w swym fachu kucharka.

Siwa i rumiana, *mademoiselle Fleury*, w wytartym kaftaniku, brudna i rozczochrana, chodziła szurgając pantoflami po całym szpitalu i czuła się w nim równie dobrze jak w rodzinie Zabrinckich. Łamanym językiem, polykając na sposób francuski zakończenia słów, opowiadała różne historie, w końcu których przy-

bierała teatralne pozy i wybuchała zachrypniętym śmiechem, przechodzącym w napady niepohamowanego kaszlu.

Mademoiselle знаła na wylot Antipową. Uważała, że doktor i siostra powinni się sobie podobać. Ulegając pociągowi do stręczycielstwa, tak głęboko zakorzenionemu u ludów romańskich, Mademoiselle cieszyła się, gdy zastawała ich razem; znacząco groziła im palcem i figlarnie mrużyła oczy. Antipowa czuła się zakłopotana, doktor gniewał się, ale Mademoiselle, jak wszyscy dziwacy, przywiązana była ponad wszystko do tworów własnej wyobraźni i nie zamierzała się z nimi rozstawać.

Jeszcze dziwniejszą postacią była Ustinja. Sylwetka jej, zwięzająca się ku górze, przypominała kwokę. Ustinja była sucha i krytyczna aż do złośliwości, ale trzeźwość jej łączyła się z fantazją, zwłaszcza gdy chodziło o przesady i zabobony.

Znała mnóstwo sposobów odczyniania czarów i wychodząc z domu nie zapominała nigdy szepnąć odpowiedniej formuły do ognia w piecu i do dziurki od klucza, aby zabezpieczyć je przed nieczystą siłą. Ustinja urodziła się w Żybuszinie i była, jak mówiono, córką miejscowego czarownika. Mogła milczeć latami, dopóki jej nie poniosło, lecz wówczas nie można było zatrzymać potoku jej wymowy. Występowanie w obronie prawdy było jej największą pasją.

Po upadku republiki w Żybuszinie, mieluziejewski ispołkom postanowił podjąć kampanię przeciw tendencjom anarchistycznym, przenikającym z tego miasteczka. Na rynku w Mieluziejewie zbierał się każdego wieczora mały wiec, na który niezatrudnieni mieszkańcy przychodzili mniej więcej tak, jak dawniej na pogawędkę przed bramą straży pożarnej. Wydział oświatowy popierał te zebrania i posyłał na nie swych własnych lub przyjezdnych działaczy jako kierowników dyskusji. Ci ostatni uważali, że ze wszystkich żybuszyńskich legend historia o mówiącym głuchoniemym była najbardziej niedorzeczna, i w swych demaskatorskich mowach często wracali do tego tematu. Miejscowi rzemieślnicy, żołnierze i hrabiowska służba byli innego zdania. Mówiący głuchoniemy nie był dla nich szczytem absurdu. Czasami nawet występowano w jego obronie.

Wśród sprzeciwów, odzywających się z tłumu w obronie głuchoniemego, często słychać było głos Ustinji. Powstrzymywana przez babi wstyd, Ustinja nie odważała się zrazu wychodzić z tłumu. Potem jednak nabrała odwagi i coraz śmieiej napastowała mówców, których opinie nie były w Mieluziejewie podzielane. Powoli Ustinja wyrobiła się na doświadczoną mówczynię wiecową.

Przez okna wychodzące na rynek dochodził do szpitala rozgwar wiecujących, a w ciszy wieczornej można było słyszeć wyraźnie urywki poszczególnych przemówień. Często, gdy przema-

wiała Ustinja, Mademoiselle namawiała obecnych do słuchania i, kalecząc słowa, przedrzeźniała dobrodusznie kucharkę :

— Rasput ! Rasput ! Zibusz ! Gluchoniemy ! Zrada ! Zrada !

W głębi serca Mademoiselle była dumna z ostrego języka baby. Obie kobiety, nieustannie burczące jedna na drugą, były do siebie szczerze przywiązane.

5

Jurij Andrejewicz przygotowywał się powoli do drogi, obchodził domy i instytucje, aby pożegnać znajomych i wyrobić sobie niezbędne papiery.

W tym czasie, w drodze do armii, zatrzymał się w miasteczku nowy komisarz tej części frontu. Mówiono o nim, że jest jeszcze niemal dzieckiem.

Przygotowywano właśnie wielką ofensywę i starano się przełamać panujące wśród żołnierskich mas nastroje. Ściągnięto na front świeże jednostki, wprowadzono wojenno-rewolucyjne sądy i przywrócono zniesioną niedawno karę śmierci.

Przed odjazdem doktor musiał odmeldować się u komendanta, którego funkcje pełnił naczelnik powiatowego urzędu wojkowego, zwany dla krótkości „powiatowym”.

W urzędzie panował zazwyczaj straszny tłok. W sieni, w podwórzu i nawet na ulicy stał tłum interesantów. Do biur nie można się było docisnąć. Stu ludzi mówiło naraz, i nic nie można było zrozumieć.

Dnia tego biura były zamknięte dla publiczności. W pustej i cichej kancelarii urzędniczej, niezadowoleni z komplikujących się wciąż formalności, pisali w milczeniu, wymieniając ironiczne spojrzenia. Z gabinetu naczelnika dochodziły wesołe głosy, jak gdyby tam, w rozpiętych kurtkach, odświeżano się chłodnymi napojami.

Z gabinetu wyszedł do kancelarii Galiullin i, widząc Ziwagę, ruchem całego ciała, jak gdyby nabierał rozpędu, zaprosił doktora do udziału w wesołym zgromadzeniu.

Doktorowi potrzebny był niezbędnie podpis naczelnika urzędu, wszedł więc do jego gabinetu. Panował tam najbardziej artystyczny nieład.

Sensacja miasteczka, bohater dnia — nowy komisarz znajdował się w gabinecie. Zamiast śpieszyć do objęcia swych funkcji, stał tu i wygłaszał przemówienie do administratorów wojskowo-

papierowego królestwa, nie mającego nic wspólnego z istotnymi, operacyjnymi zadaniami sztabu.

— A oto jeszcze jedna z naszych gwiazd — powiedział „powiatowy”, przedstawiając doktora komisarzowi, który, zajęty sobą, nawet nań nie spojrzał. „Powiatowy” podniósł się z lekka, aby podpisać podany mu przez doktora papier, po czym wrócił do poprzedniej pozycji, uprzejmym ruchem ręki wskazując Ziwardze stojący na środku pokoju miękki taboret.

Z wszystkich obecnych tylko doktor usiadł po ludzku. Pozostali siedzieli w pozach jak najdziwaczniejszych i jak najniebalszych. „Powiatowy”, oparłszy głowę na rękę na pół leżał przy stole w pozie godnej Pieczorina¹⁸. Jego zastępca zdawał się jechać konno na wałku kanapy, podginając jedną nogę jak w damskim siodle. Galiullin siedział okragiem na krześle, trzymając rękami poręcz i opierając na niej głowę. Młodziutki komisarz siedział na parapecie okna, oparty rękami o framugę, lecz co chwila zeskakiwał i, jak młody wilczek, nie przestając ani na chwilę mówić, biegał drobnymi, szybkimi krokami po pokoju. Mówił wciąż. Chodziło o dezterterów z Biriuców.

Śluchy krążące o komisarzu były prawdziwe. Był to delikatny, zgrabny, nieopierzony jeszcze młodzieniec, płonący jak świeca ogniem najwyższych ideałów. Mówiono, że pochodził z dobrej, bodaj że senatorskiej rodziny, i że w lutym jako jeden z pierwszych przyprowadził swą kompanię pod Dumę. Nazywał się Hinz lub Hinze; doktor nie dosłyszał jego nazwiska. Mówił jak najwyraźniej petersburskim akcentem z lekkim odcieniem bałtyckim.

Komisarz nosił obcisły frencz. Krępowало go, że był tak młody. Aby wydawać się starszym, krzywił twarz, jak gdyby zrzędził, i garbił się. W tym celu wsuwał głęboko ręce w kieszenie swych kawaleryjskich spodni i podnosił ramiona, na których widniały nowe, sztywne jeszcze epolety. Jego kawaleryjską sylwetkę można było wówczas nakreślić dwoma, zbliżającymi się u dołu liniami.

— Koło linii kolejowej, o kilka stacji stąd, stoi kozacki pułk. Czerwony, oddany. Wystarczy wezwać ich, otoczyć zbuntowanych i skończyć z tym. Dowódca korpusu żąda ich natychmiastowego rozbrojenia — wyjaśniał komisarz powiatowy.

— Kozacy? Pod żadnym pozorem! — wybuchnął komisarz. — To są jakieś przedrewolucyjne reminiscencje! 1905-ty rok! W tej sprawie stoimy na przeciwnych biegunach. Wasi generałowie coś tu przemędrkowali.

18. Romantyczny bohater powieści Lermontowa.

— Nic jeszcze nie zrobiono. Są to tylko plany i projekty.

— Umówiliśmy się z dowództwem, że nie będę się mieszał do rozporządzeń operacyjnych. Przypuśćmy więc, że nie sprzeciwie się użyciu kozaków. Z mojej jednak strony podejmę kroki, jakie dyktuje tu zdrowy rozsądek. Oni tam biwakują ?

— Jak to powiedzieć ? Jest to w każdym razie obóz umocniony.

— Doskonale. Chcę do nich pojechać. Pokażcie mi tych potworów, tych rozbójników leśnych. Być może są to buntownicy, nawet dezterterzy, nie zapominajcie jednak, panowie, że to jest lud. A lud jest jak dziecko, trzeba go tylko znać, rozumieć jego psychologię, trzeba znaleźć doń drogę. Trzeba umieć poruszyć jego najlepsze, najczulsze struny tak, aby się odezwały. Pojadę do nich na porębę na szczerą rozmowę. Zobaczycie, w jakim wzorowym porządku wrócą na opuszczone pozycje. Nie wierzyacie ? Chcecie założyć się ?

— Wątpliwe. Ale daj Boże !

— Powiem im : „Bracia, popatrzcie na mnie. Oto ja, jedyny syn, nadzieja rodziny, nie wahałem się poświęcić mego nazwiska, mojej kariery, nawet miłości moich rodziców, aby wywalczyć dla was wolność, z jakiej żaden naród świata nie korzysta. Tak postąpiłem ja i wielu innych młodych ludzi, nie mówiąc już o starej gwardii, o *narodnikach*, o *narodnowolcach* więzionych w Schlüsselburgu. Czy robiliśmy to dla nas ? Czy było to nam potrzebne ? Nie jesteście więcej szeregowymi, jak dawniej, jesteście bojownikami pierwszej rewolucyjnej armii świata. Spróbujcie teraz odpowiedzieć uczciwie, czy zasłużyliście na ten tytuł ? Gdy ojczyzna, ociekając krwią, ostatnim wysiłkiem stara się zrzucić z siebie dławiącą ją ze wszystkich stron nieprzyjacielską hydrę, daliście się otumanić szajce bezwstydnym awanturników i zmieniście się w tępą motłoch, w kupę rozwydrzonych hultajów obżerających się wolnością. Wszystkiego wam mało. Dokładnie jak w przysłowiu : posadź świnię za stół, ona nogi na stół. Ja już nimi wstrząsnę, zawstydzę ich !

— Nie, nie, to byłoby zbyt ryzykowne — próbować opierać się „powiatowy”, ukradkiem zamieniając znaczące spojrzenia z swym zastępcą.

Galiullin starał się wyperswadować komisarzowi jego szalony pomysł. Podporucznik poznał dobrze zabijaków z 212 pułku, gdy ten ostatni wchodził w skład jego dywizji. Lecz komisarz nie słuchał.

Jurij Andrejewicz przez cały czas czekał niecierpliwie chwili, gdy będzie mógł wstać i wyjść. Naiwność komisarza wprawiała go w zażenowanie. Lecz nie więcej warta była zręczna przebie-

głos „powiatowego” i jego zastępcy, kpiarzy i skrytych cwaniaków. I wszystko to płynęło w potoku słów zbędnych, nieistotnych, banalnych, od których samo życie zdaje się stronić.

O, jakże bardzo chciałby chwilami uciec od tych nieudolnie uroczystych frazesów, od beznadziejnej gadatliwości ludzkiej do pozornej ciszy przyrody, do uporczywej pracy w milczeniu, do niemoty głębokiego snu, do prawdziwej muzyki, do języka serc rozumiejących się bez słów!

Doktor przypomniał sobie, że czeka go tłumaczenie się przed Antipową, rozmowa nieprzyjemna w każdym razie. Rad był jednak zobaczyć ją, nawet za taką cenę. Czy aby już wróciła? Korzystając z pierwszej sposobności, doktor wstał i niepostrzeżenie wyszedł z gabinetu.

6

Okazało się, że Antipowa była już w domu. Wiadomości tej udzieliła doktorowi Mademoiselle, dodając, że Łarisa Fiodorowna wróciła znużona, śpiesznie zjadła kolację i poszła do swego pokoju, prosząc, aby jej dano odpocząć. — Zresztą proszę do niej zastukać — radziła Mademoiselle. — Na pewno jeszcze nie śpi. — A jak się do niej idzie? — spytał doktor, wprowadzając tym pytaniem Mademoiselle w największe zdumienie. Okazało się, że Antipowa mieszkała na piętrze w końcu korytarza, obok pokoiów, w których zgromadzony był i zamknięty na klucz cały inwentarz Żabirskiej. Doktor nigdy tam nie zaglądał.

Tymczasem się ściemniło. W wieczornym zmroku ulice wydawały się węższe, domy i płoty tworzyły zwarte grupy. Drzewa w podwórzach zbliżyły się do oświetlonych okien. Noc była gorąca i duszna. Każdy ruch oblewał potem. Padające na podwórze smugi naftowego światła ściekały brudnymi strugami po korze drzew.

Na ostatnim stopniu doktor zatrzymał się. Przyszło mu na myśl, że stukanie do osoby znużonej byłoby czymś nieestosownym, natrętnym. Rozmowę odłożył więc do następnego dnia. W rozrządzeniu, towarzyszącemu zwykle zmianom decyzji, przeszedł cały korytarz, w końcu którego znajdowało się wychodzące na sąsiednie podwórze okno. Doktor wychylił się przez nie.

Noc była pełna niejasnych, tajemniczych dźwięków. W umywalni na korytarzu krople kapały w równych odstępach, jak gdyby zwlekając. Słychać gdzieś było szept rozmowy. W sąsiednich ogrodach polewano na grządkach ogórki, przelewano wodę z wiadra do wiadra, brzęczał łańcuch przy studni.

Czuć było zapach wszystkich kwiatów na raz, jak gdyby ziemia we dnie leżała zemdlona i teraz cucono ją zapachami. Z wiekowego parku hrabiny, tak zaśmieconego chrustem, że trudno się było w nim poruszać, dochodził poprzez wysokie drzewa aromatyczny zapach starej, kwitnącej lipy.

Z prawej strony, zza płotu słychać było krzyki. Awanturował się jakiś urlopowany. Dochodziły odgłosy zatrząskiwanych drzwi i wzbijające się w górę, jak na skrzydłach, urywki jakiejs pieśni.

Za wronimi gniazdami hrabiowskiego parku ukazał się olbrzymi, czarno-szkarłatny księżyc. Zrazu miał barwę młyna z czerwonej cegły w Zybuszinie, potem pożółkł jak wieża ciśnień na stacji w Biriuczach.

Na sąsiednim podwórku zapach belladonny mieszał się z zapachem wonnego jak aromatyczna herbata siana. Niedawno przypędzono tam krowę, kupioną w odległej wsi. Pędzono ją przez cały dzień. Krowa była zmęczona, tęskniła do swego stada i nie chciała jeść karmu z rąk nowej gospodyni, do której jeszcze nie przywykła.

— No, no, nie grymas — krasulo. Ja ci dam bósć, diablico — szeptem przekonywała ją gospodyni, ale krowa ruszała gniewnie głową w prawo i w lewo lub, wyciągając szyję, ryczała żałośnie, rozpaczliwie. Gwiazdy mrugały tymczasem nad mieluziejewskimi stodołami, śląc krowie wyrazy współczucia, jak gdyby były oborami innych światów, odczuwającymi krowią niedolę.

Wszystko dokoła fermentowało, kielkowało, rosło, niesione zaczarowaną falą istnienia. Radość życia, jak powiew łagodnego wiatru, płynęła, nie wybierając drogi, nad ziemią i miastem, przez mury i parkany, przez tkanki ciała i włókna drewna, wprowadzając wszystko w drżenie. Aby stłumić w sobie działanie tego prądu, doktor poszedł na rynek posłuchać wiecowników.

7

Księżyc był już wysoko na niebie. Wszystko było zalane jego gęstym jak bielidło światłem.

Przed zdobnymi w kolumny wejściami do murowanych budynków rządowych leżały na ziemi ich cienie, podobne do czarnych dywanów.

Wiec odbywał się na przeciwległym końcu placu. Wsłuchując się można było zrozumieć, o czym mówiono. Malowniczość widoku odwróciła jednak uwagę doktora, który usiadł na ławce koło

domu straży pożarnej i zaczął rozglądać się po placu, nie słuchając wiecowników.

Na plac wychodziło kilka małych uliczek, przy których stały stare, chylące się ku ziemi domki. Blotniste jak na wsi uliczki bieły wśród plecionych z wierzbowych gałęzi płotów, podobnych do stojących w stawie wierzery lub na pół zatopionych koszów, w które się łapie raki.

Szyby błyszcząły mętnie w ramach otwartych okien. Zagładały do nich rude, spotniałe łodygi kukurydzy, z błyszczącymi, jak gdyby zmoczonymi tłuszczem, kitami. Zza płotów wychylały się samotnie blade i chude malwy, niby wieśniaczki w koszulach, które w upalną noc wyszły odetchnąć świeżym powietrzem.

Księżycowa noc urzekała jak miłosierdzie lub dar jasnowidzenia. Wtem w ciszę tej jasnej, skrzacej się bajki zaczęły padać miarowe, rąbane dźwięki jakiegoś znajomego, słyszanego niedawno głosu. Głos był przyjemny, gorący, dyszący siłą przekonania. Doktor zaczął się przysłuchiwać i poznał od razu, że był to komisarz Hinz, przemawiający na rynku.

Miejscowe władze prosiły widocznie komisarza o podtrzymanie ich swoim autorytetem. Komisarz z głębokim przekonaniem wyrzucał mieszkańcom Mieluziejewa brak organizacji i nieodporność na rozkładający wpływ bolszewików, jego zdaniem głównych winowajców wypadków w Zybuszinie. Następnie, w tymże duchu co u komisarza powiatowego, mówił o okrutnym i potężnym nieprzyjacielu i o godzinie próby, która nadeszła dla ojczyzny. W środku mowy zaczęto mu przerywać.

Prośby o nieprzerywanie mówcy i nowe okrzyki niezadowolenia rozlegały się na przemian. Ktoś, kto towarzyszył Hinzowi i objął funkcje przewodniczącego, krzychał, że przerywanie z miejsca jest niedopuszczalne, i wzywał do porządku. Jedni żądali, aby udzielono głosu obywatelce z tłumu, inni sykali i prosili o nieprzeszkadzanie.

Do przewróconej do góry dnem skrzynki, służącej za trybunę, przeciskała się kobieta. Nie wchodząc na skrzynkę, stanęła obok niej. Kobietę tę znano. Wszyscy uciszyli się. Uwaga słuchaczy skupiła się na mówiącej. Była to Ustinja.

— Mówiliście tedy, towarzyszu komisarzu, o Zybuszinie, a potem o oczach... o oczach, które trzeba mieć, aby widzieć i nie dać się wyprowadzić w pole. A tymczasem wy sami — słuchałam was — umiecie wojować tylko bolszewikami i mieńszewikami. Niczego innego od was się nie posłyszysz. A przecież, żeby więcej nie wojować, i żeby wszystko było jak między braćmi — znaczy żyć po bożemu, a nie po mieńszewicku. Żeby fabryki i majątki biednym oddać — to nie bolszewizm, ale ludzka litość.

A głuchoniemym już przed wami nam fatygowali uszy. Dokuczyło słuchać. Ciągłe do niego wracacie. I czym on wam nie przypadł do smaku? Że chodził niemy i nagle, nie pytając o pozwolenie, przemówił? Wielka rzecz! Nie takie cuda widziano. Oślica, na przykład, znakomita, „Balaamie, Balaamie — mówiła — grzecznie proszę, nie chodź tam, bo będziesz żałował”. A on, wiadomo, nie posłuchał i poszedł. Tak i wy z waszym głuchoniemym. Balaam myślał, że oślicy, zwierzęcia, nie trzeba słuchać. Pogardził bydlątkiem a potem żałował. Na pewno sami wiecie, czym się to skończyło.

— Czym? — zapytał z tłumy jakiś ciekawy.

— Za dużo będziesz wiedział — prędko postarzejesz — odcięła się Ustinja.

— Nie, tak nie można. Powiedz czym — upierał się ten sam głos.

— Czym i czym. Uczepił się, jak rzep psiego ogona. Zmienił się w słup soli.

— Żartujesz, kumo. To Lot. Żona Lota — rozległy się głosy. Wszyscy zaczęli się śmiać. Przewodniczący nawoływał do porządku. Doktor poszedł spać.

8

Następnego dnia doktor widział się z Antipową. Znalazł ją w kredensie. Leżała przed nią kupa zmaglowanej bielizny. Łarisa Fiodorowna prasowała.

Kredens był jedną z izb pierwszego piętra; wychodził na podwórze. Nastawiano tam samowary, rozdzielano na talerze porcje jedzenia przysyłanego z kuchni przy pomocy ręcznej windy i tą samą drogą odsyłano pomywaczce brudne naczynia. Przechowywano tam rachunki szpitalne, liczone według spisu talerze i bieliznę, odpoczywano po pracy i wyznaczano spotkania.

Okna na ogród były otwarte. W kredensie pachniało lipowym kwiatem, właściwą starym parkom kminkową goryczką suchych gałęzi i lekkim czadem, zalatującym od dwóch żelazek, którymi Łarisa Fiodorowna na przemian prasowała, odstawiając to jedno to drugie do rozgrzanej rury.

— Czemu nie zastukaliście wczoraj? Mademoiselle opowiedziała mi. Zresztą dobrze zrobiliście, bo już leżałam i nie mogłabym was wpuścić. No, dzień dobry. Ostrożnie, bo się pobrudzicie. Rozsypano tu węgiel.

— Jak widzę, pracujecie dla całego szpitala.

— Nie, jest tu wiele moich własnych rzeczy. Przekomarzaliście się ze mną, że nigdy stąd nie wyjadę. Tym razem jednak myślę o tym na serio. Jak widzicie, przygotowuję się, układam rzeczy. Potem spakuję się i w drogę! Ja na Ural, a wy do Moskwy. Spyta ktoś potem Jurja Andrejewicza: „Słyszeliście kiedy o miasteczku Mieluziejewie?” — „Nie przypominam sobie”. — „A Antipowa, kto to taki?” — „Nie mam pojęcia”.

— Przypuśćmy. Jak się wam udał objazd gmin? Co dzieje się po wsiach?

— W dwóch słowach niełatwo to opowiedzieć. — Jak szybko stygną te żelazka! Dajcie mi, proszę, nowe, jeśli wam nie trudno. Stoi tam w rurze. A to z powrotem do rury. Tak. Dziękuję. — Wsie są różne. Wszystko zależy od mieszkańców. W jednych wsiach ludność jest pracowita, przedsiębiorcza. Tam jest nieźle. W innych natomiast sami pijacy. Tam wszystko jest zaniedbane. Straszno patrzeć na te wsie.

— Nonsens. Co za pijacy! Niewiele zrozumieliście. Po prostu nie ma nikogo, wszyscy mężczyźni są w wojsku. No, dobrze. A co z rewolucyjnym ziemstwem?

— Co do pijaków, nie macie racji. Gotowa jestem o to się spierać. A ziemstwo? Z ziemstwem będzie wiele kłopotu. Instrukcje są niewykonalne. W gminach nie ma z kim pracować. Chłopów w tej chwili interesuje tylko kwestia ziemi. — Byłam w Razdolnem. Tam dopiero jest pięknie! Musicie tam pojechać. Wiosną pograbili tam sobie i popalili. Spaliła się stodoła, drzewa owocowe zwęglone, część fasady zakopcona. W Zybuszinie natomiast nie udało mi się być. Wszędzie jednak mówią, że głuchoniemy nie jest wcale tworem fantazji. Opisują jego powierzchowność. Mówią — młody, wykształcony.

— Wczoraj Ustinja broniła go na placu.

— Zaledwie wróciłam, przywieziono znów pełen wóz gratów z Razdolnego. Tyle razy prosiłam, aby dano temu pokój. Mało u nas własnych gratów? A dziś stróż z urzędu wojskowego przyniósł zapiskę od „powiatowego”. Srebrny serwis do herbaty i kryształowe kieliszki hrabiny są im koniecznie potrzebne. Tylko na jeden wieczór, za zwrotem. Znamy te zwroty. Poiowy potem doliczyć się nie można. A wszystko wypożyczone za zwrotem. Mówią — wieczorynka. Ktoś przyjezdny.

— Domyślałam się. Przyjechał nowy komisarz frontu. Widziałem go już przypadkiem. Chce wziąć się do deztererów, otoczyć ich i rozbroić. Komisarz jeszcze zielony, w praktycznych sprawach — niemowlę. Tutejsi proponują mu kozaków, a on chce wziąć deztererów łezką. Lud — mówi — jest dzieckiem i tak dalej, i myśli, że to wszystko dziecinna zabawa. Galiullin

błaga go : nie drażnijcie bestii — mówi — zostawcie to nam, ale czy takiego można przekonać, kiedy się uprze ? Słuchajcie teraz. Na chwilę odłóżcie żelazka i posłuchajcie. Niedługo zacznie się tu niesłychany zamęt. Odwrócenie biegu wydarzeń nie leży w naszej mocy. Chciałbym więc, abyście wyjechali, zanim się ta kasza zawarzy.

— Nic nie będzie. Przesadzacie. A zresztą wyjeżdżam. Ale łapucapu i do widzenia — tak nie można. Muszę przekazać inwentarz według spisu, bo inaczej wyglądałoby, że coś ukradłam. Ale komu przekazać ? W tym cała trudność. Tyle się namęczyłam nad tym inwentarzem, a w nagrodę spotykają mnie same zarzuty. Zapisalam majątek Żebrskich na szpital, bo taki był sens dekretu. A teraz mówią, że zrobiłam to, aby zachować rzeczy dla właścicielki. Co za świństwo !

— Ach, pluńcie na te dywany i porcelany, niech giną. Nie ma się czym denerwować. Szkoda, że nie widzieliśmy się wczoraj. Byłem w świetnym humorze. Mógłbym nie tylko odpowiedzieć na wszystkie wasze przekłete pytania, ale nawet mechanikę niebieską potrafiłbym wam wytłumaczyć. Bez żartów, chciałem się bardzo wygadać, opowiedzieć o żonie, o synu, o całym moim życiu. Zresztą niech to diabli wezmą. Czy dorosły mężczyzna nie może porozmawiać z dorosłą kobietą bez tego, aby w tym dostrzeżono zaraz jakąś „podszewkę” ? Brrr... Niech diabli wezmą wszystkie te materiały i podszewki !

Prasujcie, prasujcie, proszę, tę bieliznę, nie zwracajcie na mnie uwagi, a ja będę mówił i będę mówił długo.

Pomyślcie tylko, jakie teraz czasy ! I my z wami w tych czasach żyjemy ! Takie niebywałe rzeczy zdarzają się raz na całą wieczność. Pomyślcie : z Rosji zerwano dach, i z całym narodem znaleźliśmy się pod gołym niebem. Nie ma nawet komu nas podglądać. Wolność ! Wolność prawdziwa, nie w słowach i postulatach. Wolność spadła z nieba, przechodząca oczekiwania. Wolność przez przypadek, wolność przez nieporozumienie.

I jak wszyscy są ogromni zarazem i zdezorientowani ! Zauważyliście ? Wszyscy zdają się przygniecenii spadłą na nich bohaterską rolą.

Wy, widzę, prasujecie, a ja mówię. Milczycie. Czy was nie nudzę ? Zmienię wam żelazko.

Wczoraj przyglądałem się nocnemu wiecowi. Uderzające widowisko. Rosja-matuszka ruszyła się z posad, nie chce się zatrzymać. Nie może się nachodzić i nagadać. I nie tylko ludzie mówią. Zeszły się na pogwarkę gwiazdy i drzewa, filozofują nocne kwiaty, wiecują murowane budynki. Jest w tym coś ewangelicznego, nieprawdaż ? Jak w czasach apostołskich. Pamiętacie

świętego Pawła : „Mówcie językami i prorokujcie. Módlcie się o dar tłumaczenia”.

— Wiecowanie drzew i gwiazd rozumiem. Wiem, co chcecie powiedzieć. Ze mną też czasami tak bywa.

— Połowy dokonała wojna, reszty rewolucja. Wojna była przerwą w życiu, jak gdyby można było odroczyć egzystencję (co za nonsens !). Rewolucja wyrwała się z nas jak zbyt długo wstrzymywane westchnienie. Wszyscy odżyli, odrodzili się, wszyscy przechodzą przeobrażenia, przewroty. Można by powiedzieć, że każdy przeszedł dwie rewolucje : jedną własną i drugą ogólną. Wydaje mi się, że socjalizm jest morzem, w którym powinny złączyć się, jak strumienie, wszystkie te osobiste rewolucje. Będzie to morze życia, morze indywidualizmów. Morze życia, powiedziałem, życia, które poprzez geniusz artystów widzimy na obrazach, życia twórczego. Życie takie postanowiono teraz nie poznać przez książki, ale wypróbowywać w praktyce na sobie.

Głos doktora zaczął się łamać ze wzruszenia. Łarisa Fiodorowna przerwała na chwilę prasowanie i spojrzała nań poważnie, ze zdziwieniem. Doktor zmieszał się i zapomniał o czym mówił. Po chwili zaczął mówić bezładnie, na chybił trafił.

— W takie dni chciałoby się żyć uczciwie i twórczo, być częścią ogólnego entuzjazmu. I oto wśród powszechnej radości widzę wasze zagadkowe i niewesołe spojrzenie, błędzące nie wiadomo gdzie, za siódmą rzeką i dziesiątą górą. Dałbym wiele, aby tego spojrzenia nie było, aby na twarzy waszej można było przeczytać, że jesteście zadowoleni z waszego losu, i że niczego od nikogo nie żądacie. Aby ktoś wam bliski, przyjaciel czy mąż (najlepiej jakiś wojskowy) wziął mnie za rękę, prosząc żebym przestał niepokoić się o wasz los i molestować was moją ciekawością. Wówczas wyrwałbym mu swą rękę, zamachnął się i... Ach, przepraszam, zapominam się ! Proszę mi przebaczyć.

Znów zabrakło mu głosu. Z uczuciem, że popełnił niemożliwy do naprawienia nietakt, doktor machnął ręką, wstał i podszedł do okna. Z łokciami na parapecie i twarzą opartą na rękach patrzył w głąb tonącego w cieniu ogrodu wzrokiem roztargnionym, nieobecnym, szukającym spokoju.

Okrążając deskę do prasowania, opartą o stół i parapet drugiego okna, Łarisa Fiodorowna zatrzymała się na środku pokoju, o kilka kroków od doktora. — Tak się tego zawsze bałam ! — powiedziała półgłosem, jak gdyby do siebie. — Co za fatalna pomyłka ! Jurij Andrejewicz, przestańcie, dajcie pokój ! — Ach, co ja przez was zrobiłam ! — zawołała głośno i pobięła do deski, gdzie spod zapomnianego żelazka wznosiła się wąska struga dymu z przepalonego stanika.

— Jurij Andrejewicz — ciągnęła dalej, gniewnie rzucając żelazko na podstawkę. — Jurij Andrejewicz, bądźcie rozsądni, idźcie do Mademoiselle, wypijcie wody i wróćcie tu tacy, jakim przywykłam i chciałabym was widzieć. Słyszycie ? Wiem, że to leży w granicach waszych możliwości. Zróbcie to, proszę was.

Więcej takich rozmów między nimi nie było. W tydzień potem Łarisa Fiodorowna wyjechała.

9

Żiwago ruszył w drogę w krótki czas potem. W przeddzień jego wyjazdu okropna burza nawiedziła Mieluziejew.

Szum wiatru łączył się z szumem ulewy, która bądź waliła się prostopadle na dach, bądź pod naporem wiatru przesuwiała się chłoszczącymi falami po ulicy. Nieustanny huk piorunów zlewał się w groźne dudnienie. W świetle błyskawic ukazywała się uciekająca w głąb ulica z nachylonymi w jedną stronę drzewami.

Niespodziane stukanie do drzwi frontowych obudziło w nocy Mademoiselle Fleury, która przestraszona usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Stukanie nie ustawało.

— Czyż w całym szpitalu nie znajdzie się nikt, kto wyjdzie i otworzy drzwi — myślała Mademoiselle Fleury — i czy za wszystkich musi płacić właśnie ona, nieszczęsna staruszka, tylko dlatego, że natura stworzyła ją uczciwą i dała jej poczucie odpowiedzialności ?

Zabrinscy byli bogaczami, arystokratami, mogli nie dbać o dom, ale dziś szpital należy do ludu, jest ich własny. Czemu go opuszczono ? Gdzie się, na przykład, podzieli sanitariusze ? Wszyscy uciekli. Nie ma ani dyrekcji, ani siostr, ani lekarzy. A są jeszcze ranni : dwaj amputowani na piętrze w oddziale chirurgicznym, gdzie przedtem był salon, a w suterenie, obok pralni, pełno dyzenteryków. Nawet diabelska Ustinja poszła gdzieś w gości. Widziała, głupia, że nadchodzi burza, a jednak diabli ją ponieśli. Teraz ma dobry pretekst do nocowania u znajomych.

No, chwała Bogu, nareszcie dali spokój. Widzą, że nikt nie otwiera, więc machnęli ręką i poszli. I kogo diabli noszą w taką pogodę ? A może to Ustinja ? Nie, ta ma własny klucz. Boże, jak straszno, stukają znów.

A jednak to świństwo ! Od Żiwagi nie można niczego żądać. Jutro jedzie i myślą jest już w Moskwie. Ale Galiullin ! Jak on może spokojnie spać czy leżeć, słysząc takie stukanie. Pewnie liczy na to, że wreszcie ona, słaba i bezbronna staruszka, wstanie

i pójdzie otwierać drzwi nie wiadomo komu, w tę straszną noc i w tym strasznym kraju.

Galiullin ! — zreflektowała się Mademoiselle Fleury. — Jaki Galiullin ? Taki nonsens może przyjść na myśl tylko komuś, kogo nagle obudzono. Galiullina nie ma już ani śladu. Czyż nie ona sama z Żiwagą ukrywała go i przebierała w cywilne ubranie, a potem uczyła dróg i ścieżek w całym okręgu, aby wiedział którędy uciekać po tym strasznym samosądzie, gdy zabito Hinza, a Galiullina ścigano, strzelając za nim, od Biriuczków aż do samego Mieluziejewa i szukano potem po całym miasteczku. Galiullin !

Gdyby nie nadjechali motocykliści, kamień na kamieniu nie zostałaby z miasteczka. Pancerny dywizjon przechodził przypadkowo przez miasteczko, zatrzymał tamtych łotrów i obronił ludność.

Burza słabła, oddalała się. Pioruny padały rzadkie, dalekie. Deszcz przestawał chwilami padać, i woda z cichym pluskiem ściekała po liściach drzew i blasze rynien. Nieme teraz, błyskawice zaglądały do okna Mademoiselle Fleury, oświeślały pokój i zdawały się zatrzymywać w nim, jak gdyby czegoś szukały.

Stukanie, które na chwilę ucichło, rozległo się znów. Ktoś szukał widocznie pomocy i stukał niecierpliwie, rozpaczliwie. Wiatr wzmógł się. Deszcz padał znów.

— Zaraz ! — nie wiadomo do kogo krzyknęła Mademoiselle i przelekła się własnego głosu.

Nieoczekiwane przypuszczenie pobudziło ją do działania. Wsunęła nogi w pantofle, narzuciła szlafrok i pobiegła budzić Żiwagę, aby się mniej bać. Ale doktor posłyszał również stukanie i schodził właśnie z zapaloną świecą. Oboje robili te same przypuszczenia.

— Żiwago, Żiwago ! Stukają do frontowych drzwi, a ja się boję sama otwierać — zawołała po francusku i po rosyjsku dodała : — Zobaczysz, że to Łara albo porucznik Galiul.

Jurij Andrejewicz, zbudzony również stukaniem, sądził, że musiał to być ktoś swój : Galiullin, który cofnął się przed jakąś przeszkodą i wracał do bezpiecznego ukrycia, lub siostra Antipowa, którą nieprzewidziane trudności zmusiły do zawrócenia z drogi.

W sieni doktor oddał Mademoiselle do potrzymania świecę, obrócił klucz w zamku i odsunął zasuwę. Wiatr wyrwał mu z rąk drzwi, zgasił świecę, i obryzgał oboje chłodnymi kroplami deszczu.

— Kto tam ? Kto tam ? Jest tam ktoś ? — wołali na przemian w ciemności Mademoiselle i doktor, lecz nikt im nie odpowiadał.

Nagle posłyszeli znów stukanie, tym razem do drzwi kuchennych lub, jak się im zdawało, do okna wychodzącego na ogród.

— Zdaje się, że to wiatr — powiedział doktor. — Ale dla spokoju sumienia pójdźcie zobaczyć, czy nie ma kogo przed kuchennymi drzwiami, a ja poczekam tu, abyśmy się z nim nie rozminęli.

Mademoiselle poszła w głąb domu, a doktor wyszedł na ulicę i stanął pod okapem przed bramą. Oczywiście jego przywykły do mroku i odróżniały oznaki zbliżającego się świtu.

Nad miastem ciągnęły szybko szalone chmury, jak gdyby uciekały przed pogonią. Strzępy ich leciały tak nisko, że zdawały się dotykać drzew, schylonych w jedną stronę, niby miotły zamiatające niebo. Deszcz siekł drewnianą ścianę domu, która z szarej stała się czarna.

— No i co? — spytał doktor powracając Mademoiselle.

— Macie rację. Nie ma nikogo. — Mademoiselle opowiedziała, że obešla cały dom. W kredensie lipowa gałąź, która uderzała o okno, wybiła szybę; na podłodze stała kałuża wody. To samo znalazła w dawnym pokoju Łary: morze, morze, ocean wody.

— A tu okiennica oderwała się i uderzała o ramę. Widzicie? Wszystko więc wyjaśniło się.

Mademoiselle i doktor rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym zamknęły drzwi i rozeszli się spać, żałując, że alarm okazał się daremny.

Schodząc, oboje byli przekonani, że przez frontowe drzwi wejdzie dobrze im znana kobieta, zziębnięta i zmoczona do nitki, że będzie otrząsała się z deszczu, zasypywana przez nich pytaniami, i że później, przebrana, będzie suszyła się przy niewygaśłym jeszcze w kuchni piecu, opowiadając o swych niezliczonych przygodach, śmiejąc się i poprawiając włosy.

Oboje byli tego tak pewni, że nawet po zamknięciu drzwi jakiś nieuchwytny ślad tej pewności, niby wodny znak z obrazem tej kobiety, pozostał na ulicy i majaczył w ich wyobraźni.

Kola Frolenko uchodził za pośredniego sprawcę żołnierskich ekscesów na stacji Biriuczi.

Kola był synem mieluziejewskiego zegarmistrza. W miasteczku wszyscy znali go od dziecka. Jako mały chłopiec gościł w Razdolnem u jakiegoś oficjalisty i, pod nadzorem Mademoiselle,

bawił się z jej dwiema wychowankami, córkami hrabiny. Mademoiselle знаła dobrze Kolę, który rozumiał nawet trochę po francusku.

W Mieluziejewie, bez względu na pogodę, widywano Kolę zawsze w lekkim ubraniu, bez czapki, w płóciennych pantoflach, na rowerze. Puściwszy wolno kierownicę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, Kola pędził przez miasteczko patrząc na słupy telegraficzne i sprawdzając stan sieci.

Telefon kolejowy łączył stację z kilku domami w miasteczku. Linie te zbiegały się u dyżurnego ruchu, i obsługa ich pozostawała w rękach Koli.

Kola miał pracy powyżej uszu : obsługiwał telegraf i telefon kolejowy, czasami zaś, podczas krótkich nieobecności zawiadowcy stacji Powarichina, sygnalizację, której aparatura znajdowała się w tymże pokoju.

Zmuszony do obserwowania działalności kilku mechanizmów na raz, Kola wyrobił sobie szczególny sposób mówienia : ciemny, urywany i pełen zagadek. Sposobu tego używał, gdy nie chciał dawać odpowiedzi lub nie życzył sobie rozmawiać. Mówiono, że nadużywał wręcz tego sposobu w dniu rozruchów.

Przemilczeniami swymi Kola zniweczył plany telefonującego z miasta Galiullina i mimo woli przesądził być może o dalszym biegu wypadków.

Galiullin prosił o zawołanie do telefonu znajdującego się na stacji komisarza, któremu chciał powiedzieć, że przyjedzie doń natychmiast na porębę. Jednocześnie chciał go prosić, aby nie decydował o niczym do jego przyjazdu. Kola odmówił pod pretekstem, że ma linię zajętą nadawaniem sygnałów zbliżającemu się do Biriuczów pociągowi, przez ten czas zaś starał się wszystkimi sposobami zatrzymać na pobliskim rozjeździe ten pociąg, wiozący wezwanych do Biriuczów kozaków.

Gdy transport ten mimo wszystko nadjechał, Kola nie mógł ukryć niezadowolenia.

Parowóz wpelził powoli pod ciemną halę stacji i zatrzymał się przed oknem dyżurnego ruchu. Kola odsunął szeroko ciężką kotarę z ciemnogrnatowego sukna z inicjałami kolei. Na parapecie okna stała na tacy ogromna karafka z wodą i szklanka z grubego, rżniętego szkła. Kola nalał wody do szklanki, wypił kilka łyków i spojrzał w okno.

Maszynista dostrzegł Kolę i zrobił przyjazny ruch ręką. — Ty, draniu śmierdzący, pluskwo leśna ! — pomyślał z nienawiścią Kola, pokazał maszyniście język i pogroził mu pięścią. Maszynista nie tylko zrozumiał mimikę Koli, ale wzruszeniem ramion i zwrotem głowy w kierunku wagonów potrafił mu dać

odpowiedź : — Cóż robić ? Spróbuj sam. Tam mają siłę. —
A jednak jesteś szelma i gadzina — odpowiedział na migi Kola.

Zaczęto wyprowadzać konie z wagonów. Konie narowiły się, nie chciały schodzić. Słychać było na przemian dudnienie kopyt na drewnianych mostkach i dzwonienie podków na bruku peronu. Narowiące się i stojące dęba konie przeprowadzono następnie przez kilka par szyn.

Na drugim brzegu plantu stały na porośłych trawą torach dwa szeregi uszkodzonych wagonów towarowych. Deszcze zmyły z nich farbę. Powolne niszczenie drzewa zżeranego przez robaki i wilgoć przywracały wagonom ich dawne pokrewieństwo z lasem, zaczynającym się za ostatnim torem, z grzybami toczącymi brzoźowe pnie i z ciągnącymi górą obłokami.

Na skraju lasu kozacy na komendę siedli na konie i pojechali w głąb poręby.

Zbuntowanych 212-go pułku otoczono. Wśród drzew kawalerzyści wydają się zawsze wyżsi i groźniejsi niż w otwartym polu. Pojawienie się ich onieśmieliło zbuntowanych, jakkolwiek w ziemiankach posiadali też karabiny. Kozacy obnażyli szable.

Wewnątrz kolistego łańcucha kawalerzystów stał sąg drzewa, który na prędcę wyrównano i oporzędzono. Hinz wyskoczył na ten sąg i przemówił do otoczonych.

Mówił swoim zwyczajem znów o obowiązkach żołnierza, o znaczeniu ojczyzny i wielu innych wzniosłych materiach. Słowa jego nie znajdowały żadnego zrozumienia. Zgromadzenie było zbyt liczne. Biorący w nim udział żołnierze nacierpieli się wiele podczas wojny, byli ośpiali i znużeni. Słowa mówione przez Hinza sprzykrzyły się im od dawna. Cztery miesiące wymigiwania się na wszystkie strony zdemoralizowały ich. Ludzi prostych, z których składał się ten tłum, źle usposobiało cudzoziemskie nazwisko i bałtycki akcent mówcy.

Hinz czuł, że mówi zbyt rozwlekłe i był z siebie niezadowolony, pocieszał się jednak, że w ten sposób będzie dostępniejszy dla słuchaczy. Ci ostatni nie okazywali jednak żadnej wdzięczności ; twarze ich wyrażały obojętność lub nieżyczliwe znudzenie. Denerwując się coraz bardziej, Hinz postanowił przemówić twardszym językiem i przeszedł do gróźb, które chował w rezerwie. Nie słysząc rozlegających się pomruków, przypominał żołnierzom, że wojenno-rewolucyjne sądy zostały wprowadzone i zaczęły działać. Pod karą śmierci żądał złożenia broni i wydania przywódców. Jeżeli tego nie zrobią — mówił — dadzą dowód, że są podłymi zdrajcami, łotrami bez sumienia, zarozumiałymi chamami. Żołnierze odwykli od tego tonu.

Odpowiedział mu ryk kilkuset głosów. Jedni krzyczeli basem, niemal dobrodusznie : — No, pogadał sobie i dosyć. — Lecz dały się słyszeć także krzyki histeryczne, dyszkanty wydobywające się z ściśniętych nienawiścią gardzieli. Inni zaczęli przysłuchiwać się tym głosom.

— Słyszycie, towarzysze, jak nas łaje ? Po staremu ! Nie zginęły jeszcze oficerskie maniery ! To my zdrajcy ? A ty sam co za jeden ? Co się z nim cackać. Nie widzisz, że to Niemiec, podesłany ? Ej, ty, błękitna krew, pokaż dokumenty ! A wy, pacyfikatorzy, co stoicie z otwartą gębą ? Macie, wiążcie nas, zjedźcie !

Lecz i kozakom niefortunna mowa komisarza podobała się coraz mniej. — Wszyscy my chamy i świnię. Widzieliście pana ? — szeptali. Coraz liczniejsi chowali szable do pochew i zsiadali z koni. Spieszeni, gdy liczba ich wzrosła, ruszyli na środek polany, gdzie stali żołnierze z 212-go, i zmieszali się z nimi. Zaczęło się bratanie.

— Musicie zniknąć stąd gdzieś niepostrzeżenie — mówili Hinzowi zaniepokojeni oficerowie kozaccy. — Koło przejazdu stoi wasza maszyna. Poślemy po nią, aby podjechała bliżej. A teraz idźcie jak najprędzej.

Hinz usłuchał rady. Uciekać jednak po kryjomu wydawało mu się poniżej jego godności, poszedł więc bez żadnych ostrożności, niemal otwarcie w kierunku stacji. Szedł strasznie wzburzony ; poczucie honoru kazało mu iść spokojnie, bez pośpiechu.

Las dochodził do samej stacji ; było do niej niedaleko. Na skraju lasu, skąd widać już było plant kolei, Hinz po raz pierwszy obejrzał się. Żołnierze z karabinami szli za nim. — Czego oni ode mnie chcą ? — pomyślał Hinz i przyspieszył kroku.

To samo zrobili ścigający. Przestrzeń dzieląca go od pościgu pozostała bez zmian. Przed nim ukazała się podwójna ściana uszkodzonych wagonów. Zniknąwszy za tą przeszkodą, Hinz zaczął biec. Pociąg, którym przyjechali kozacy, został przesunięty na bocznice. Wszystkie tory były wolne. Hinz przebiegł przez nie i z rozpędu wyskoczył na wysoki peron.

W tejże chwili zza uszkodzonych wagonów wybiegli ścigający go żołnierze. Powarichin i Kola krzyczeli coś i znakami zapraszali Hinsa do wnętrza dworca, gdzie mogli go ocalić.

Wpajane wien od pokoleń poczucie honoru, gotowość do ofiar zrodzona w warunkach miejskich i nie mająca tu zastosowania, znów zamknęła mu drogę do ocalenia. Nadludzkim wysiłkiem woli Hinz starał się opanować trwożne bicie własnego serca. Trzeba zawołać : — Bracia, opamiętajcie się ! Czy ja mogę

być szpiegiem? — przemknęło mu przez myśl. — Coś otrzeźwiającego, serdecznego, coś co mogłoby ich zatrzymać.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy pojęcie bohaterskiego czynu skojarzyło się w jego pamięci z widokiem estrad, trybun i krzeseł, z których można rzucić tłumowi jakieś porywające hasło.

Przy drzwiach dworca, pod samym dzwonem ¹⁹ stała wysoka kadz z wodą do gaszenia ognia. Hinz wyskoczył na pokrywę kadzi i rzucił żołnierzom kilka chwytających za serce i w swej niedorzeczności niehumanicznych słów. Szalona zuchwałość jego zachowania się, o dwa kroki od otwartych drzwi, w których tak łatwo było mu zniknąć, zadziwiły żołnierzy, którzy zatrzymali się i opuścili karabiny.

Hinz przesunął się na brzeg pokrywy, która nagle odwróciła się. Jedna noga wpadła mu w wodę, druga zawisała zewnątrz. Hinz siedział okrakiem na brzegu kadzi.

Żołnierze powitali jego niezgrabność wybuchem śmiechu. Najbliżej stojący wystrzałem w szyję zabił nieszczęsnego komisarza, a reszta rzuciła się dobijać go bagnietami.

II

Mademoiselle dzwoniła do Koli, prosząc go o znalezienie dla doktora wygodnego miejsca w pociągu i grożąc mu w przeciwnym razie kompromitującymi rewelacjami.

Rozmawiając z Mademoiselle, Kola swoim zwyczajem rozmawiał jednocześnie przez inny telefon i, sądząc z dziesiętnych ułameków pstrzących jego mowę, nadawał trzeciemu rozmówcy telegram szyfrowy.

— Psków, Komosiew ²⁰. Słyszysz mnie? Jakich buntowników? Jaką rękę? Co wy mówicie, Mademoiselle? To kłamstwo, to chiromancja. Wyłączcie się, odłóżcie słuchawkę, przeszkadzacie mi. Psków. Komosiew, Psków. Trzydzieści sześć, przecinek, zero zero piętnaście. Ach, pies mordę lizał, urwała się taśma. Co? Co? Nie słyszę. To jeszcze wy, Mademoiselle? Mówię wam po rosyjsku, że nie wolno, nie mogę. Zwróćcie się do Powarichina. Nieprawda, to chiromancja. Trzydzieści sześć... Diabli... Dajcie mi pokój Mademoiselle, nie przeszkadzajcie.

Mademoiselle tymczasem mówiła dalej:

19. Na kolejach rosyjskich uprzedzano podróżnych o bliskim odejściu pociągu uderzeniami w dzwon.

20. Skrót: komitet lub komisariat okręgu północnego.

— Ty mi nie mydl oczu chiromancją. Psków, Psków, chiromancja, a cię widzę na wylot i wyprowadzę na czystą wodę, jeżeli jutro nie znajdziesz dla doktora miejsca. Potem nie będę więcej rozmawiała z mordercami i małymi Judaszami.

W dzień odjazdu Jurja Andrejewicza było parno. Zbierało się na burzę, jak przed dwoma dniami.

Osada przy kolei zasłana była łupinami z ziaren słonecznika. Bielone chaty i gęsi wydawały się upiornie blade pod czarnymi chmurami, gromadzącymi się na niebie.

Koło dworca obszerna polana ciągnęła się w obie strony wzdłuż plantu. Trawa na niej była wydeptana. Olbrzymi tłum obozował tu całymi tygodniami ; wszyscy czekali na odpowiednie dla siebie pociągi.

Starzy w brunatnych siermięgach chodzili w upalnym słońcu od grupy do grupy, zbierając pogłoski i informacje. Czternastoletni chłopcy leżeli w milczeniu oparci na łokciach, trzymając w ręku oskubaną z liści witkę, jak gdyby paśli bydło. W krótkich koszulkach, świecąc różowymi zadkami, pod nogami przeslizgiwali się ich młodszy bracia. Z prosto wyciągniętymi nogami siedzieli ich matki, zawijając w poły sukmany niemowlęta.

— Gdy zaczęła się strzelanina, rzucili się we wszystkie strony jak barany. Nie podobało się im ! — mówił niezycliwie zawiadowca stacji Powarichin, obchodząc z doktorem rzędy ciał, leżących przed drzwiami i wewnątrz dworca.

— Nagle trawnik opustoszał. Zobaczyli jak ziemia wygląda. Ucieszyli się ! Przez cztery miesiące nikt jej nie widział pod tym taborem. Zapomnieli jak wygląda. Tu właśnie leżał. Dziwna rzecz, podczas wojny napatrzyłem się na różne okropności, powinienem był przywyknąć. A tu ogarnął mnie taki żal. Przede wszystkim — nonsens. Za co ? Co on zrobił złego ? Ale czy to są ludzie ? Mówią, że był ulubieńcem całej rodziny. Teraz na prawo, proszę, do mego gabinetu. O tym pociągu nie ma nawet co myśleć. Uduśz was. Urządź was w następnym, lokalnym. My go sami zaraz zaczniemy formować. Ale o tym ani mru-mru, bo zadepczą was na śmierć, zanim się jeszcze sprzęgnie wagony. Nocą przesiądziecie się w Suchiniczach.

Gdy trzymany w tajemnicy pociąg ukazał się zza parowozowni i tyłem zaczął zbliżać się do stacji, wszyscy zerwali się z łąki i rzucili do toczących się powoli wagonów. Ludzie staczali się z pagórków i wdrapywali na plant. Odpychając się wzajemnie, jedni czepiali się buforów i stopni, inni gramolili się przez okna i na dachy będących jeszcze w ruchu wagonów. Pociąg zapełnił się w jednej chwili i gdy zatrzymał się przy peronie był już szczelnie wypełniony. Na wszystkich występach wagonów wisieli pasażerowie.

Doktor cudem przecisnął się do platformy i w jeszcze bardziej niepojęty sposób znalazł się w korytarzu wagonu. Całą podróż do Suchinicz odbył siedząc w korytarzu na swych bagażach.

Burzowe chmury rozwiały się. W gorących promieniach słońca, zagłuszając nawet turkot kół, unosiło się nad polami skrzeczenie świerszczy.

Pasażerowie stojący przy oknach zasłaniali światło, rzucając na podłogę, na ławki i przegrody przedziałów długie, łamane cienie. Cienie te nie mieściły się w wagonie i przez przeciwległe okna padały na drugą stronę plantu, skacząc po polu razem z cieniem jadącego pociągu.

Dokoła krzyczano, śpiewano pieśni, wymyślano sobie i rżnięto w karty. Na przystankach, do sodomy panującej wewnątrz wagonów dołączały się krzyki oblegających pociąg z zewnątrz. Wrzawa osiągała napięcie burzy na morzu. I, jak na morzu, następowała chwilami nagła cisza. Słyszać było wówczas śpieszne kroki idących wzdłuż peronu, bieganie i klótnie przy wagonie bagażowym, oddzielne słowa odprowadzających, ciche kwokanie kur i szelest liści w stacyjnym ogródku.

Wówczas, niby telegram doręczony w pociągu lub pozdrowienie z Mieluziejewa, przez okno przedostawał się do Jurja Andrejewicza, jak gdyby dla niego przeznaczony, zapach, spływający gdzieś z wysoka, z niezwykłego dla kwiatów i klombów poziomu.

Z powodu tłoku doktor nie mógł podejść do okna, ale, nie widząc ich nawet, mógł sobie łatwo wyobrazić te drzewa, rosnące zapewne bardzo blisko i wyciągające ku dachom wagonów swe zakurzone gałęzie z ciemnym jak noc listowiem, przetykanym woskowymi gwiazdkami kwiatów.

Sceny te powtarzały się przez całą drogę. Na wszystkich stacjach słyszać było zgiełk tłumu i wszędzie kwitły lipy.

Fala tego zapachu wyprzedzała zdążający na północ pociąg, niby pogłoska, która obiegała już wszystkie stacje, przystanki i stróżówki dróżników, i którą podróżni zastają wszędzie, znaną i potwierdzoną.

Nocą w Suchiniczach usłużny tragarz dawnego pokroju, przeprowadziwszy doktora przez kilka nieoświetlonych torów, wprowadził go z tyłu do wagonu drugiej klasy tylko co przybyłego pociągu, nie przewidzianego w rozkładzie jazdy.

Zaledwie zdążył otworzyć konduktorskim kluczem drzwi wagonu i wrzucić na korytarz bagaże doktora, musiał stoczyć krótką potyczkę z konduktorem, który chciał natychmiast wyrzucić ich z pociągu, lecz, ubłagany przez Jurja Andrejewicza, znikł jak pod ziemią.

Tajemniczy pociąg jechał szybko z jakąś eskortą, zatrzymując się krótko na stacjach. Wagon był prawie pusty.

Na pół stopiona świeca, przyklejona do stolika, jasno oświetlała przedział, do którego wsiadł Żiwago. Struga powietrza z niedomkniętego okna kołysała płomieniem.

Świeca należała do jedynej w tym przedziale podróżnego. Był to jasnowłosy młodzieniec, zapewne bardzo wysokiego wzrostu, jak można było sądzić z jego długich rąk i nóg, zginających się zbyt łatwo w stawach, jak niedociśnięte śrubami części mechanizmu. Młody człowiek siedział, niedbale oparty, przy oknie. Na widok Żiwagi uprzejmie wstał i zmienił swą na pół leżącą pozycję na mniej nieprzymuszoną, siedzącą.

Pod ławką nieznanego leżało coś w rodzaju pasiastej szmaty. Nagle koniec tej szmaty zaczął się poruszać, i spod ławki wypełzł powoli długouchy wyżeł. Pies obwąchał i obejrzał Jurja Andrejewicza po czym zaczął biegać po przedziale tam i z powrotem, przebierając nogami równie lekko jak jego właściciel, gdy zakładał nogę na nogę. Na rozkaz nieznanego wyżeł wrócił pod kanapę i przybrał znów postać wełnianej szmaty do okurzania podłóg.

Teraz dopiero Jurij Andrejewicz zauważył wiszącą strzelbę w futerale, ładownicę i pełną bitego ptactwa torbę myśliwską. Młody człowiek był myśliwym.

Bardzo rozmowny, z uprzejmym uśmiechem, nieznanomy nawiązał z doktorem rozmowę, podczas której patrzył mu uporczywie — w sensie dosłownym — w usta.

Głos miał wysoki, nieprzyjemny, przechodzący łatwo w metaliczny falset. Drugą osobliwością jego wymowy, skąd inąd całkowicie rosyjskiej, był szczególny sposób wymawiania samogłoski *u*, której nadawał odcień francuskiego *u* lub niemieckiego *u Umlaut*. Samogłoska ta sprawiała mu widoczną trudność. Aby ją wymówić, musiał robić pewien wysiłek, wskutek czego jego osobliwe *u* brzmiało głośniejsz od innych samogłosek. Już w początku rozmowy nieznajomy zadziwił Jurja Andrejewicza takim zdaniem :

— Wczoraj udało mi się ułować kilka kaczek.

Chwilami, gdy nieznajomy zwracał baczniejszą uwagę na poprawność swej wymowy, brak ten znikał, ale wystarczało chwili roztargnienia, aby pojawił się znów.

— Co za diabeł ? — myślał Żiwago. — Coś o tym kiedyś czytałem. Jako lekarz powinienbym to wiedzieć, wypadło mi jednak z pamięci. Jakieś zaburzenie mózgowe, wywołujące defekt wymowy. Jest z tym tak śmieszny, że trudno go słuchać poważnie. Pójdę lepiej spać.

Tak też zrobił. Gdy wyciągnął się na górnej ławce, młody człowiek zapytał, czy nie każe zgasić świecy. Jurij Andrejewicz przyjął z wdzięcznością tę propozycję. Sąsiad zgasił świecę. Przedział pograżył się w mrok.

Okno pozostało na pół otwarte.

— Czy nie lepiej będzie zamknąć okno ? — zapytał Jurij Andrejewicz. — Nie boicie się złodziei ?

Sąsiad nie odpowiadał. Jurij Andrejewicz głośno powtórzył pytanie, które znów pozostało bez odpowiedzi.

Jurij Andrejewicz zapalił zapalniczkę, aby zobaczyć, co się stało z sąsiadem : czy podczas tej krótkiej chwili wyszedł z przedziału, czy też, co byłoby jeszcze mniej prawdopodobne, zasnął ?

Lecz nie, sąsiad siedział z otwartymi oczami na dawnym miejscu, uśmiechając się do nachylonego nad nim doktora.

Zapalniczka zgasała. Jurij Andrejewicz zapalił nową i po raz trzeci powtórzył swe pytanie.

— Jak chcecie — odpowiedział natychmiast myśliwy. — Nie mam nic ciekawego dla złodziei. Zresztą lepiej być może nie zamykać, bo duszno.

— Masz tobie ! — pomyślał Żiwago. — To dopiero oryginał ! Widocznie rozmawia tylko przy świetle. I jak poprawnie teraz wszystko powiedział ! Dziwna historia.

Wypadki ostatniego tygodnia, przygotowania do podróży, pakowanie i zdobywanie miejsca w wagonie wyczerpały zupełnie doktora. Zdawało mu się, że gdy tylko położy się wygodnie, natychmiast zaśnie. Sen jednak nie przychodził. Nadmierne zmęczenie przyprawiło go o bezsenność. Doktor zasnął dopiero o świcie.

Chaos myśli, rojących się w jego głowie podczas długich godzin bezsenności, układał się w dwa cykle. Były to dwa motki przędzy, rozwijające się i zwiijające z powrotem.

Do jednego cyklu należały myśli o Toni i poprzednim życiu rodzinnym, którego wszystkie szczegóły owiane były poezją, przepojone czystością i serdecznością. Doktor drżał o to życie, z którego nie chciał nic uronić. Po dwuletniej rozłące, jadąc nocą pośpiesznym pociągami, rwał się niecierpliwie z powrotem do tego życia.

Do tegoż cyklu należały jego wierność i entuzjazm dla rewolucji w tym sensie, w jakim rozumiały ją warstwy średnie i ucząca się młodzież z 1905, która zachwycała się Błokiem.

Do tego cyklu myśli swojskich i znanych wchodziły również nowości, przeczucia i obietnice, jakie w ostatnich latach przedwojennych, między 1912 i 1914, pojawiły się w rosyjskiej myśli, w rosyjskiej sztuce i w rosyjskim losie, w losie ogólnym i jego, Żiwaga, osobistym. Powrócić do tych myśli i nadziei, snuć i rozwijać je dalej było dlań rzeczą równie pilną jak powrót do domu.

Do drugiego cyklu jego myśli wchodziły też nowości, ale jakże różne od tamtych! Nie było w nich swojskiego, ciągłego, przygotowanego przez przeszłość. Były to nowości podyktowane wypadkami zewnętrznymi, niepowrotne, nagłe i niespodziane jak wstrząs.

Nowością taką była wojna, to co w niej było krwawe i okropne, bezdomne i dzikie. Nowością było wyniesione z wojny doświadczenie życiowe, znajomość małych miasteczek i ludzi, z którymi wojna go zetknęła. Nowością taką była wreszcie rewolucja, nie rewolucja studencka, idealizowana w stylu 1905, ale rewolucja obecna, zrodzona z wojny, krwawa, nie licząca się z niczym rewolucja żołnierska, kierowana przez znawców tego żywiołu — bolszewików.

Nowością była siostra Antipowa, rzucona przez wojnę nie wiadomo gdzie, z swą nieznaną przeszłością, nie mająca żalu do nikogo i niemal skarżąca się brakiem skarg, tajemniczo małomówna i tak silna swym milczeniem. Nowością było jego

szczerze postanowienie nie kochania Antipowej, mimo że przez całe życie odnosił się z sympatią i miłością do wszystkich ludzi, nie mówiąc już o rodzinie i bliskich.

Pociąg jechał całą parą. Przez otwarte okno wiatr targał i okrywał kurzem włosy Jurja Andrejewicza. Nocą, podobnie jak we dnie, słychać było na stacjach zgiełk tłumu i szelest lip. Niekiedy z głębi nocy dochodził turkot zajeżdżających na stację wozów i bryczek. Turkot kół mieszał się wówczas z szmerem drzew.

Doktorowi zdawało się, że rozumie, czemu nocne cienie drzew nachylały się ku sobie i o czym szeptały jedne drugim swym szepleńcym językiem, zaledwie poruszając ciężkie od snu liście. Opowiadały sobie to samo, o czym myślał Jurij Andrejewicz, przewracając się z boku na bok na górnej ławce. Powtarzały wieści o ogarniających całą Rosję rozruchach, wieści o rewolucji, o jej tragicznych godzinach i prawdopodobnej wielkości.

16

Następnego dnia doktor obudził się późno, po jedenastej. — Markiz, Markiz — uspakajał sąsiad warczącego psa. Ku zdziwieniu Jurja Andrejewicza byli nadal sami; nikt nie wszedł po drodze do ich przedziału. Pociąg mijał stacje o nazwach znanych doktorowi z dzieciństwa. Zostawił za sobą gubernię kałużską i pędził teraz w głąb moskiewskiej.

Umywszy się z przedwojenną wygodą, doktor wrócił do przedziału, gdzie interesujący towarzysz podróży poczęstował go śniadaniem. Jurij Andrejewicz mógł mu się teraz bliżej przyjrzeć.

Uderzającym rysem nieznanego była niezwykła rozmowność i ruchliwość. W rozmowie interesowała go nie tyle wymiana myśli, ile sama czynność mówienia, wymawiania słów i formowania dźwięków. Mówiąc podskakiwał na ławce jak na sprężynie, śmiał się głośno bez widocznej przyczyny, zacierał ręce, a gdy i to nie wystarczało mu dla wyrażenia swego zadowolenia, bił się rękami po kolanach i śmiał do łez.

Rozmowa toczyła się dziwnie, jak poprzedniego dnia. Nieznajomy wykazywał w niej wielką niekonsekwencję. Robił wyznania, których nikt odeń nie żądał, to znów z całkowitą swobodą pozostawiał najniewinniejsze pytania bez odpowiedzi. Udzielił o sobie wielu fantastycznych i niedorzecznych informacji. Musiał zapewne mocno przesadzać. Usiłował przy tym zadziwić rozmówcę

skrajnością poglądów i odrzucaniem wszelkich najpowszechniej przyjętych prawd.

W słowach jego odzywały się echa czegoś dobrze znanego. Skrajny radykalizm tego rodzaju ożywał w połowie ubiegłego stulecia nihilistów, potem bohaterów Dostojewskiego, w ostatnich zaś czasach inteligencję prowincjonalną, wyprzedzającą mieszkańców wielkich miast dzięki swej pryncypialności, która wyszła z mody w stolicach.

Młody człowiek opowiadał, że był siostrzeńcem znanego rewolucjonisty. Rodzice jego byli natomiast niepoprawnymi reakcjonistami, należeli do tak zwanych żubrów. Dzieciństwo spędził w majątku jaki rodzice jego posiadali w obecnym pasie przyfrontowym. Mimo najgorszych stosunków, łączących rodziców z jego wujem, ten ostatni, nie zachowując urazy, wpływami swymi zaoszczędził im teraz wielu przykrości.

Rozmowny nieznajomy wdał się całkowicie w swego wuja : był ekstremistą maksymalistą w sprawach życiowych, politycznych i artystycznych. Przypominał Piotra Wierchowieńskiego ²¹, nie tyle lewicowością, ile demoralizacją i błagą. — Zaraz przedstawi mi się jako futurysta — pomyślał Jurij Andrejewicz. Istotnie też, rozmowa zeszła na futuryzm. — Teraz zacznę mówić o sporcie, o wyścigach i wrotkach — zgadywał doktor. Domysł i tym razem okazał się słuszny, rozmowa zeszła bowiem na myślistwo.

Młody człowiek polował właśnie w rodzinnych stronach. Chwalił się, że doskonale strzela, i że gdyby nie ułomność, która nie pozwoliła mu wstąpić do wojska, byłby się wyróżnił na wojnie jako strzelec wyborowy. Widząc w tym miejscu pytające spojrzenie Żiwagi, zawołał :

— Jak to ! Czyście nic nie spostrzegli ? Byłem pewny, że domyślicie się od razu mojej ułomności.

Tu nieznajomy wyjął z kieszeni i podał doktorowi dwie kartki. Jedna była jego biletem wizytowym z podwójnym nazwiskiem: Maksim Aristarchowicz Klinow-Pogoriewszich. Młody człowiek prosił doktora o nazywanie go po prostu „Pogoriewszich” na cześć wuja, noszącego to nazwisko.

Druga kartka podzielona była na kratki, w których narysowane były ręce w różnych pozycjach, rozmaicie złożonymi palcami. Był to alfabet głuchoniemych. Wszystko stało się jasne.

Pogoriewszich był fenomenalnie zdolnym uczniem szkoły Hartmana lub Ostrogradskiego, to jest głuchoniemym, który z niezwykłą pojętnością nauczył się mówić się nie z słuchu, lecz

21. Bohater *Biesów* Dostojewskiego.

naśladować ruchy mięśni twarzy i krtani swego nauczyciela, i który w ten sam sposób odczytywał słowa rozmówcy.

Zestawiając te dane z nazwą miejscowości, w której młody człowiek polował, doktor zapytał :

— Przepraszam za niedyskrecję. Możecie na moje pytanie nie odpowiadać. Czy nie mieliście nic wspólnego z Republiką Zybuszińską i jej ogłoszeniem ?

— A wy skąd... Pozwólcie... Znaliście więc Błażejkę ? Miałem, oczywiście miałem ! — radośnie wykrzyknął Pogoriewszich, śmiejąc się, huśtając się na sprężynach ławki i bijąc się zawzięcie po kolanach. I zaczął opowiadać fantastyczną historię.

Według słów Pogoriewszicha, Błażejko był dlań tylko pretekstem, Zybuszino zaś terenem, na którym próbował zastosować praktycznie swe idee. Jurij Andrejewicz z trudem tylko nadążał za wykładem tych ostatnich. Filozofia Pogoriewszicha składała się w połowie z anarchizmu, w połowie zaś z myśliwskiej blagi.

Z niewzruszonym spokojem jasnovidza Pogoriewszich przepowiadał na najbliższą przyszłość krwawe przewroty. Jurij Andrejewicz przyznawał w myśli, że przewroty te są być może nieuniknione, ale irytowała go zarozumiała pewność siebie, z jaką ten nieprzyjemny młokos cedził przez zęby swe prorocтва.

— Czekaście, czekaście — protestował nieśmiało. — Wszystko to prawda. Może zdarzyć się. Ale, według mego zdania, nie czas na takie ryzykowne eksperymenty pośród naszego chaosu, w obliczu następującego nieprzyjaciela. Kraj musi przyjść do siebie i odpocząć po pierwszym przewrocie, zanim odważy się na następny. Trzeba wpieryw doczekać się jakiegoś względnego spokoju i porządku.

— To naiwne — mówił Pogoriewszich. — To co nazywacie rozkładem jest zjawiskiem tak samo normalnym, jak wasz ukończony i zachwalany porządek. Burzenie jest niezbędnym wstępem do szerszego planu budowy. Społeczeństwo nie rozłożyło się jeszcze dostatecznie. Powinno rozpaść się do końca, i wówczas prawdziwe władze rewolucyjne złożą je, kawałek po kawałku, na zupełnie innych zasadach.

Jurij Andrejewicz poczuł się nieswojo i wyszedł na korytarz.

Z wzrastającą szybkością pociąg mijał osiedla podmoskiewskie. Co chwila do okna zbliżały się i uciekały wstecz brzozygaje i ciasno stłoczone „dacze”. Przelatywały wąskie perony bez okapów, z sznurami letników i letniczek, uciekających od wzbijanego przez pociąg kurzu i kręcących się jak frygi. Pociąg gwizdał raz po raz, i leśne echo zachłystywało się jego gwizdem, roznosząc go po okolicy.

W ciągu wszystkich tych dni Jurij Andrejewicz nigdy z równą jasnością nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest, co się z nim dzieje, i co czeka go za godzinę lub dwie.

Trzy lata zmian, niepewności, przemarszów, wojny, rewolucji, wstrząsów, obstrzałów, scen zagłady i śmierci, zerwanych mostów, ruin i pożarów — wszystko to zmieniło się nagle w puste, pozbawione treści miejsce. Pierwszym istotnym wydarzeniem po tej długiej przerwie było szybkie zbliżanie się pociągu do domu, który stał jeszcze cały na miejscu, i w którym każdy kamień był mu drogi. Przyjazd do rodziny, powrót do domu, do dawnej egzystencji — oto prawdziwe życie, wielkie wydarzenie, cel poszukiwaczy przygód, cel sztuki.

Las skończył się. Z liściastych cieśnin pociąg wyrwał się na wolną przestrzeń. Z parowu wyrosła przed oknem łagodnie pochyla polana, kończąca się płaskim wzgórzem. Cała polana pokryta była grzędami ciemnozielonych ziemniaków. Za nimi leżały na ziemi szklane szyby inspektów. Z tyłu za pociągiem nasuwała się na polanę czarno-liliowa chmura. Zza niej rozchodziły się na wszystkie strony promienie słońca, zaczepiając po drodze o ramy inspektów i zapalając ich szyby jarzącym światłem.

Nagle z chmury sypnęły ukosem błyszczące w słońcu, grube krople deszczu. Deszcz zdawał się padać z pośpiechem, w tym samym tempie, w jakim leciał stukając kołami pociąg, jak gdyby chciał go dopędzić lub nie dać mu się prześcignąć.

Doktor zdążył zaledwie zwrócić na to uwagę, gdy zza wzgórza ukazała się cerkiew Zbawiciela, a w chwilę później kopuły, dachy i kominy całego miasta.

— Moskwa — powiedział, wracając do przedziału.

Pogoriewszich zerwał się, zaczął grzebać w myśliwskiej torbie i wyjął z niej piękną kaczkę.

— Weźcie — powiedział — na pamiątkę. Spędziłem cały dzień w tak miłym towarzystwie.

Doktor wymawiał się na próżno. Nic nie pomagało. — No dobrze — zgodził się — przyjmuję to jako podarunek dla mojej żony.

— Żony, żony! Podarunek dla żony — radośnie powtarzał Pogoriewszich, jak gdyby słyszał to słowo po raz pierwszy, i zaczął cieszyć się i śmiać tak głośno, że Markiz wysunął się z swej kryjówki, aby wziąć udział w ogólnym weselu.

Pociąg biegł teraz wzdłuż peronu. W wagonie zrobiło się ciemno jak w nocy. Głuchoniemy podał doktorowi dzikiego kaczora, zawiniętego w jakąś drukowaną proklamację.

R o z d z i a ł V I

POSTÓJ W MOSKWIE

I

W drodze, siedząc nieruchomo w przedziale, doktor odnosił wrażenie, że pociąg tylko był w ruchu, czas natomiast zatrzymał się, i że wciąż było koło południa. W istocie było już pod wieczór, gdy dorożka wioząca doktora i jego bagaże jechała stępa przez tłum zalegający Smoleński Plac.

Doświadczenia następnych lat przysłoniły być może jego wspomnienia, ilekroć jednak Żiwago wracał myślą do tego dnia, zdawało mu się, że już wtedy tłum zbierał się na Smoleńskim Placu tylko z przyzwyczajenia, bo lady straganów były spuszczone, niektóre nawet zamknięte na kłódkę, i nie było czym więcej handlować na rynku, z którego od dawna już nie uprzątało śmieci i odpadków.

Zdawało mu się, że wówczas już widział stojących na chodniku, jak nieme wyrzuty sumienia, wychudzonych lecz porządnie ubranych starców i staruszki, ofiarowujących milcząco na sprzedaż przedmioty, których nikt nie kupował, i które nikomu nie były potrzebne : sztuczne kwiaty, maszynki do kawy z szklaną przykrywką i gwizdkiem, suknie wieczorowe z czarnej gazy i mundury nieistniejących więcej urzędów.

Ludzie prości handlowali przedmiotami odpowiadającymi pilniejszym potrzebom. Ofiarowywali szybko czerstwiejące przylepki z kartkowego chleba, brudne i przemokłe kawałki cukru i przecięte na pół „ośmuszki” machorki.

Po całym rynku krążyło różnego rodzaju rupiecie, którego cena wzrastała w miarę tego jak przechodziło z jednych rąk do drugich.

Dorożkarz zawrócił w jedną z wychodzących na plac uliczek. Mieli teraz słońce za sobą. Przed nimi podskakiwał na bruku pusty wóz, podnosząc brązowy w promieniach zachodzącego słońca obłok kurzu.

Wreszcie udało się im wyprzedzić jadący przed nimi wóz, i dorożka pojechała szybciej. Doktora dziwiły leżące wszędzie na chodnikach i jezdniach kupy starych gazet i zerwanych z murów i parkanów plakatów. Wiatr pędził je w jedną stronę, a koła pojazdów, kopyta koni i nogi przechodniów — w drugą.

Minęli jeszcze kilka przecznic, i na zbiegu dwóch uliczek ukazał się znajomy dom. Dorożka zatrzymała się.

Gdy Jurij Andrejewicz wysiadł i zadzwonił do frontowych drzwi, zbrakło mu tchu, i serce zaczęło głośno bić. Nikt nie odzywał się. Jurij Andrejewicz zadzwonił raz jeszcze. Gdy i ten dzwonek pozostał bez odpowiedzi, zaczął z krótkimi przerwami dzwonić raz po raz. Wreszcie drzwi otworzyły się szeroko, i Jurij Andrejewicz zobaczył stojącą w nich Antoninę Aleksandrownę. W pierwszej chwili oboje osłupieli i krzyknęli coś niezrozumiałego. Trzymając rękę na klamce, Antonina Aleksandrowna stała z na pół otwartymi ramionami, i okoliczność ta przywróciła obojgu przytomność. Padli sobie w objęcia. Po chwili zaczęli mówić jednocześnie, przerywając sobie nawzajem.

— Nasamprzód : czy wszyscy zdrowi ?

— Tak, tak, uspokój się. Wszystko w porządku. Przepraszam, że napisałam tamte głupstwa. Pomówimy o tym. Czemu nie telegrafowałeś ? Zaraz Markiel weźmie twoje rzeczy. Zaniepokoiło cię zapewne, że Jegorowna nie otworzyła ci drzwi. Jegorowna jest na wsi.

— A tyś schudła. Ale jaka młoda i zgrabna ! Zaraz, zapłacę napróżd dorożkarzowi.

— Jegorowna pojechała po mąkę. Cała służba odprawiona. Została tylko jedna młoda dziewczyna, Niusza — ty jej nie znasz — do Saszy. Więcej nie ma nikogo. Uprzedziłam wszystkich o twoim przyjeździe. Czekają cię niecierpliwie. Gordon, Dudorow i wszyscy w ogóle.

— Jak się ma Sasza ?

Dobrze, chwala Bogu. Tylko co się obudził. Gdybyś nie był tak brudny z drogi, zaraz moglibyśmy doń pójść.

— Czy ojciec w domu ?

— Czy nie pisaliśmy o tym ? Ojciec od rana do późnej nocy jest w dzielnicowej dumie. Jest tam, wyobraź sobie, prezesem. Zapłaciłeś dorożkarzowi ? Markiel, Markiel !

Oboje, z walizą i koszem, stali na środku chodnika, tamując ruch. Przechodnie oglądali ich od stóp do głów, długo patrzyli na odjeżdżającego dorożkarza i na otwarte frontowe drzwi, czekając co będzie dalej.

Tymczasem Markiel biegł już, w kamizelce na perkalowej koszuli, trzymając kaszkiet w ręku.

— Matko Boska, czyżby to Jura ? A jużci ! Jura, sokoлик nasz ! Nie zapomniałeś nas, modlących się za ciebie, przyjechałeś w rodzinne pielesze ! — A wy czego tu ? apostrofował ciekawych. — Idźcie, wielmożni państwo, nie wytrzeszczajcie tak gałów !

— Dzień dobry, Markiel, pocałujemy się. Ubierz, dziwaku kaszkiet. Co nowego, co dobrego ? Jak żona, córki ?

— Co mają robić ? Rosną, rozwijają się. Dziękujemy. A co do nowin, to i myśmy, jak widzisz, nie próżnowali, kiedyś ty tam był za bohatera. Taki bałagan i taką zarwańską ulicę zrobiliśmy, że samego diabła może wziąć na mdłości. Ulice nie zamiatane, dachy nie naprawione, nie malowane, w brzuchach jak w wielki post czysto, bez aneksji i kontrybucji.

— Markiel, poskarżę się na ciebie mężowi. On tak zawsze. Nie znoszę tego głupkowatego tonu. A on na pewno tak dla ciebie się stara. Myśli, że to się tobie podoba. A szczwany przy tym jak lis. Daj pokój, daj pokój, nie tłumacz się. Jesteś ciemną osobistością. Czas byłoby ci zmądrzeć i zrozumieć, że nie mieszkasz u straganiarzy.

Wniósłszy rzeczy do sieni i zamknąwszy frontowe drzwi, Markiel zniżył głos i tonem poufnym ciągnął dalej :

— Antonina Aleksandrowna gniewa się, jak zawsze. Ty, mówi, jesteś czarny w środku, jak rura w kominie. Teraz, mówi, nie tylko dzieci, ale nawet mopsy i pieski pokojowe zmądrzały. Tak to już jest, nie da się zaprzeczyć. Ale, chcesz — wierz, nie chcesz — nie wierz, ludzie doświadczeni książkę teraz taką widzieli, nazywa się „Masoni nadchodzą”. Sto czterdzieści lat pod kamieniem leżała. Moje zdanie jest takie, że sprzedali nas, Jura, sprzedali, rozumiesz, nie za trzy grosze, nie za dwa groszaki, nawet nie za niuch tabaki. Ale Antonina Aleksandrowna nie da mi przyjść do słowa. Znów, widzisz, kiwa rączką.

— Jak tu nie kiwać ? Zostaw tu rzeczy. Dziękuję ci, Markiel. Idź teraz. Kiedy będzie trzeba, Jurij Andrejewicz cię zawoła.

— Nareszcie odczepił się. Nie wierz mu. To bajarz. Przy ludziach udaje głupiego, a w tajemnicy ostrzy nóż. Nie wie tylko jeszcze, kogo tym nożem pchnie, sierota kazańska.

— Przesadzasz ! Jest podпиты i dlatego błaznuje. To wszystko.

— A czy on kiedy bywa trzeźwy ? Ale niech go diabli wezmą. Boję się, że Sasza znów zaśnie. Gdyby nie ten tyfus kolejowy... Czy masz wszy ?

— Myślę, że nie. Jechałem z konfortem, jak przed wojną. Umyję się na razie tak, na prędce, a potem już porządnie. Ale dokąd ty idziesz ? Czemu nie przez salon ? Macie teraz inną drogę na piętro ?

— Ach, prawda ! Ty przecież o niczym nie wiesz. Myśleliśmy z ojcem długo i wreszcie oddaliśmy część parteru Akademii Rolniczej. Zimą całego domu nie opalimy. Nawet na piętrze jest za wiele pokoiów do ogrzewania. Zaproponowaliśmy Akademii. Na razie z tego nie korzystają. Mają tu gabinety do pracy, zielniki, próbki nasion. Byłe nie rozmnożyli tu szczurów. Te próbki — to też zboże. Dopóki co — utrzymują w swych pokojach porządek. Teraz to się nazywa „powierzchnia mieszkalna”. Tutaj, tutaj. Jakiś ty niedomyślny ! Pójdziemy kuchennymi schodami. Rozumiesz ? Idź za mną, pokażę ci drogę.

— Zrobiliście doskonale, odstępując pokoje. Ja też pracowałem w szpitalu, urządzonym w ziemiańskim dworze. Nieskończone amfilady, gdziekolwiek nawet posadzki ocalały. Palmy w wazonach nocami wyciągały nad łózkami ręce, jak upiory. Ranni z pola bitwy budzili się czasami z krzykiem. Zwłaszcza nie zupełnie normalni, kontuzjowani. Trzeba było palmy wynieść. Chcę powiedzieć, że w życiu ludzi zamożnych było coś niezdrowego. Za wiele rzeczy zbytecznych. Za dużo mebli, za dużo pokoiów, za dużo, subtelnych uczuć i zbędnych słów. Dobrze, żeście poprzestali na mniejszym mieszkaniu. I to być może jest za wielkie. Trzeba będzie ograniczyć się jeszcze.

— Co to wygląda z tego pakietu ? Ptasi dziób, głowa kaczk. Jaka piękna ! Dziki kaczor ! Skąd ? Nie wierzę oczom ! W tych czasach — to majątek.

— Podarunek otrzymany w wagonie. Długa historia, potem opowiem. Co radzisz z nim zrobić ? Rozpakować i zostawić w kuchni ?

— Oczywiście. Poślę tam zaraz Niuszę, aby go oskubała i wypatroszyła. Na zimę przepowiadają różne klęski : głód, chłód.

— Wszędzie się o tym mówi. Patrzyłem w wagonie przez okno i myślałem : co może być ponad spokojne życie rodzinne i pracę ? Reszta nie w naszej mocy. Na pozór wydaje się, że to prawda, że wielu będzie cierpiało nędzę. Są i tacy, co uciekają na Kaukaz, byle dalej. Ale to byłoby wbrew moim zasadom. Dorosły mężczyzna powinien zacisnąć zęby i dzielić los swego kraju. Dla mnie to oczywiste. Co innego wy. Chciałbym bardzo oszczędzić wam niedoli i wysłać was w jakieś bezpieczne miejsce, na przykład do Finlandii. Ale stojąc tak po pół godziny na każdym stopniu nigdy nie wyjdziemy na górę.

— Zaczekaj i słuchaj. Nowina. I jaka ! Zapomniałam powiedzieć, że Nikołaj Nikołajewicz przyjechał.

— Jaki Nikołaj Nikołajewicz ?

— Wuj Kola.

— Toniu ! Nie może być ! Jakim sposobem ?

— Po prostu. Z Szwajcarii. Okólną drogą przez Londyn i Finlandię.

— Toniu ! Nie żartujesz ? Widzieliście go ? Gdzie on jest ? Gdzie można go znaleźć teraz, natychmiast ?

— Co za niecierpliwość ! Mieszka za miastem, u kogoś „na daczach”. Obiecał wrócić pojutrze. Bardzo się zmienił. Sprawi ci zawód. W drodze zatrzymał się w Petersburgu i tam się zbolszewiczył. Ojciec dyskutuje z nim aż do chrypki. Ale czemu zatrzymujemy się co krok ? Chodźmy, Słyszałeś więc także, że przyszłość niewesoła : trudności, niebezpieczeństwa, niepewność ?

— Ja sam też tak myślę. Ale cóż ? Będziemy walczyli. Nie wszystkim sędzono zginąć. Zobaczymy co zrobią inni.

— Mówią, że nie będzie drow, wody, światła, że unieważnią pieniądze i że ustanie dowóz. Ale znów stoimy. Chodźmy. Słuchaj, bardzo chwalono mi płaskie piecyki żelazne, wyrabiane w małej fabryczce na Arbacie. Paląc gazetami, można na nich ugotować obiad. Dostałam właśnie adres. Trzeba będzie taki piecyk zaraz kupić, zanim je rozchwytają.

— Słusznie. Kupimy. Masz, Tońko, głowę na karku. Ale wuj Kola, wuj Kola ! Nie do wiary ! Nie mogę się z tym oswoić.

— Mój plan jest taki : oddzielić na piętrze dwa lub trzy pokoje na jednym lub drugim końcu mieszkania, komunikujące się, i zamieszkać tam z ojcem, Saszą i Niuszą, rezygnując z reszty domu. Odgradzimy się od niej jak od ulicy. W środkowym pokoju postawimy taki piecyk, rurę wypuścimy przez lufcik. Pranie, gotowanie i przyjmowanie gości będzie się odbywało w tymże pokoju. Tak może, da Bóg, przeczimujemy.

— A jak mogłoby być inaczej ? Oczywiście, że przeczimujemy. Żadnej wątpliwości. Świetnie to wymyśliłaś. Brawo ! A teraz

wiesz co ? Z okazji przyjęcia twego planu urządzimy małe święto. Upieczemy kaczkę i zaprosimy wuja Kolę na inaugurację nowego mieszkania.

— Świetnie. A Gordona poprosimy o trochę spirytusu. On dostaje to z jakiegoś laboratorium. A teraz patrz. Oto pokój, o którym myślałam. Dobrze go wybrałam ? Aprobujesz ? Stawiaj tu walizę i idź po koszyk. Oprócz wuja i Gordona, można zaprosić Innokentia i Szurę Schlesinger. Nie sprzeciwiasz się ? Pamiętasz, gdzie jest umywalnia ? Musisz się czymś zdezynfekować. Pójdę tymczasem do Saszy, pošlę Niuszę do kuchni, i gdy będziesz mógł wejść, zawołam.

3

Najważniejszą z nowości moskiewskich był dla Żiwaga syn. Natychmiast po jego urodzeniu Jurij Andrejewicz został powołany do wojska. Co wiedział o swoim synu ?

Już zmobilizowany, Jurij Andrejewicz przyszedł był do kliniki, aby odwiedzić Tonię przed odjazdem. Zjawił się tam w chwili karmienia dzieci, i do żony go nie wpuszczono. Usiadł więc w poczekalni.

W tej chwili właśnie korytarz prowadzący do oddziału położniczego, gdzie leżały matki, wypełnił się głosami płaczącego chóru dziesięciu czy piętnastu dzieci. Niańki śpieszyły się, aby nie przeziębnić zawiniętych w pieluszki noworodków, brały je pod pachy po dwóch na raz, jak zawiniątka z sprawunkami, i niosły matkom do karmienia.

— Ua, ua — piszczwały maleństwa na jeden ton, bez wyrazu, jak gdyby z obowiązku służbowego. Jeden tylko głos wyróżniał się z tego unisona. Dziecko to krzyczało też „ua, ua” i nie wyrażało tym żadnego cierpienia, ale nie krzyczało z obowiązku, i głos jego, niższy od innych, miał jakiś szczególny, ponury i nieżyczliwy odcień.

Jurij Andrejewicz był już wówczas zdecydowany nazwać swego syna Aleksandrem, na cześć teścia. Nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie, że wyróżniający się swym płaczem chłopiec był jego synem. Był to płacz mający już indywidualny wyraz, zawierający przyszłe rysy charakteru i losu człowieka, płacz o szczególnym brzmieniu, odpowiadającym imieniu Aleksandra.

Jurij Andrejewicz nie mylił się. Okazało się, że był to istotnie Sasza. Była to pierwsza rzecz, jakiej się dowiedział o synu.

Następną wiadomość zaczerpnął z przysłanej mu na front fotografii. Zdjęcie przedstawiało ładnego, wesołego bąka z buzią w ciup, rozkraczanego na kołdrze z ramionami podniesionymi do góry, jak gdyby tańczył w prysiadach. Sasza miał wówczas rok i uczył się chodzić ; teraz skończył dwa lata i zaczął mówić.

Jurij Andrejewicz odpiął rzemienie ściągające walizę i położył ją na stoliku do kart. Co było dawniej w tym pokoju ? Doktor nie poznawał go. Tonia musiała wynieść zeń wszystkie meble i dać nowe obicie.

Doktor otworzył walizę, aby wyjąć przybory do golenia. W tejże chwili między kolumnienkami stojącej naprzeciw dzwonnicy ukazała się jasna tarcza księżyca w pełni. Gdy promienie jego padły na otwartą walizę i leżącą w niej bieliznę i książki, pokój ukazał się w jakimś nowym oświeceniu, i doktor poznał go.

Była to dawna rupieciarnia Anny Iwanowny. Składano tam kulawe stoły i krzesła, niepotrzebne papiery. Znajdowało się w nim archiwum rodzinne i kufry, w których latem chowano zimowe ubrania. Za życia Anny Iwanowny kąty tego pokoju zastawione były aż do sufitu, i nikomu nie wolno było tam wchodzić. Tylko w wielkie święta, gdy do Gromeków przyjeżdżało mnóstwo dzieci, otwierano także ten pokój. Dzieci, którym pozwalano dokazywać po całym piętrze, bawiły się w nim w robójków, chowały się pod stołami, czerniły twarze przypalonym korkiem i przebierały się na maskarady.

Przypominając sobie tamte czasy, doktor stał przez chwilę po środku pokoju. Potem zszedł do sieni po koszyk.

W kuchni tymczasem Niusza, młoda i nieśmiała dziewczyna, oskubywała kaczkę, pochylona nad rozpostartą na płycie gazetą. Ujrawszy Jurja Andrejewicza z ciężkim koszykiem w ręku, zaczerwieniła się jak mak, szybkim ruchem wyprostowała się i zaproponowała mu swą pomoc. Doktor podziękował mówiąc, że sam zanieśnie koszyk.

Zaledwie znalazł się znów w byłym lamusie Anny Iwanowny, z dalszych pokojów żona zawołała :

— Jura, już można !

Doktor poszedł do Saszy.

Pokój dziecienny był dawnym pokojem służącym jemu i Toni do nauki. Leżący w łóżeczku chłopiec nie był wcale taki miłusiński jak na fotografii, był natomiast wykapanym portretem matki Jurja Andrejewicza, Marii Aleksandrowny Żiwago, jej dosłowną kopią, podobniejszą do niej od wszystkich innych zachowanych podobizn.

— To twój tata, to twój tata, zrób tacie rączką pa! — mówiła Antonina Aleksandrowna, spuszczać siatkę łóżka, aby ojciec mógł łatwiej objąć syna i wziąć go na ręce.

Sasza przypuścił do siebie blisko nieznajomego i nieogolonego mężczyznę, który może wydawał mu się straszny i odrażający, lecz gdy Jurij Andrejewicz schylił się doń, nagle wstał, chwycił się jedną ręką maminego stanika, drugą zaś zamasyścił, ze złością uderzył ojca w twarz. Własna śmiałość tak przestraszyła Saszę, że rzucił się matce na piersi, schował twarz w jej ubranie i wybuchnął dziecinny, nieutulonym płaczem.

— Fe, fe — strofowała go Antonina Aleksandrowna. — Tak nie można Sasza. Tata pomyśli, że Sasza niedobry, że Sasza be. Pokaż teraz, jak się całuje. Pocałuj tatę. Nie płacz. Nie trzeba płakać. I czemu ty płaczesz, głuptasku?

— Zostaw go w spokoju, Toniu — prosił doktor. — Nie męcz go i nie denerwuj się sama. Wiem już, co ci teraz chodzi po głowie: że to nie jest tak proste, że jest to zły omen. To nie ma sensu. Wszystko jest tak zrozumiałe. Chłopiec nigdy mnie nie widział. Jutro przyjrzy mi się lepiej, i będziemy przyjaciółmi.

Sam jednak wyszedł z pokoju jak zmyty, ze złymi przecuciami.

4

W ciągu następnych dni Jurij Andrejewicz odkrył, że jest bardzo samotny. Nikogo o to nie winił. Widocznie sam tego chciał i osiągnął to, do czego dążył.

Przyjaciele jego stali się szarzy, bezbarwni. Żaden z nich nie zachował własnego sposobu bycia, własnego zdania. W wspomnieniach doktora indywidualności ich były wyraźniej zarysowane. Najwidoczniej przeceniał ich.

Dopóki istniejący porządek rzeczy pozwalał zabezpieczonym materialnie kaprysić i swawolić kosztem niezabezpieczonych, łatwo było brać za charakter i oryginalność to, co w istocie wynikało tylko z prawa do próżnowania, przysługującego mniejszości, gdy większość pracowała i cierpiała.

Lecz gdy tylko warstwy niższe podniosły głowę, i gdy przywileje warstw wyższych zostały zniesione, jakże prędko wszyscy wylenieli, jak łatwo i bez żalu rozstali się z samodzielną myślą, której widocznie nikt z nich naprawdę nie posiadał!

Bliscy byli mu teraz tylko ludzie bez frazesów, bez patosu, jak żona, teść i paru kolegów lekarzy, skromnych, zwykłych pracowników.

Wieczorynka z kaczką i spirytusem odbyła się, zgodnie z przewidywaniami, w dwa lub trzy dni po jego przyjeździe. Nie było to jego pierwsze spotkanie z zaproszonymi, których zdążył widzieć już przedtem.

W tych głodowych czasach pieczona kaczka była niesłychanym zbytkiem. Brakło wszakże do niej chleba, i okazałość głównego dania traciła przez to swój sens i nawet irytowała.

Gordon przyniósł spirytus w aptecznej butelce z starym, zbutwiałym korkiem. Spirytus był główną monetą zamienną spekulantów. Antonina Aleksandrowna nie wypuszczała butelki z rąk i wydzielała spirytus niewielkimi porcjami, dolewając doń, stosownie do natchnienia, za dużo lub za mało wody. Okazało się przy tym, że wódką o zmiennej zawartości alkoholu upijano się bardziej niż mocniejszą nawet, lecz bardziej jednolitą. To też gniewało.

Najsmutniejsze jednak było to, że wieczorynka ich była odstępstwem od ogólnych warunków życia tego czasu. Nikt nie mógł przypuszczać, aby w przeciwnych domach o tej godzinie również jedzono i pito. Przed oknami leżała Moskwa niema, ciemna i głodna. Sklepy były puste, i nikt nie marzył nawet o takich rzeczach jak zwierzyna i wódka.

Stało się jasne, że tylko życie podobne, nie wyróżniające się niczym od życia otaczających jest prawdziwe, że pomyślność odosobniona nie jest wcale pomyślnością, i że nawet kaczka i spirytus, jeżeli są jedyne w całym mieście, przestają być kaczką i spirytusem. Myśl ta psuła humory bardziej niż wszystko inne.

Goście również dawali powody do niewesołych refleksji. Gordon był sobą, jak długo myślał ciężko, mówił ponuro i zawile. Był najbliższym przyjacielem Jurja Andrejewicza, ogólnie lubianym w gimnazjum.

Ten sposób bycia przestał mu się widocznie podobać, bo zaczął wnosić do swego oblicza moralnego różne niefortunne retusze. Udawał lekkoducha, wesółka, wciąż opowiadał rzekomo dowcipne anegdoty, często używał słów „zabawne” i „zajmujące”, nie pasujących wcale do jego słownika, bo dla Gordona życie nigdy nie było rozrywką.

Przed przyjściem Dudorowa Gordon opowiadał krążącą wśród kolegów historię jego małżeństwa. Historia ta wydawała mu się zabawna. Jurij Andrejewicz jej nie znał.

Dudorow był mianowicie żonaty przez rok, po czym rozstał się z żoną. Wątpliwy dowcip tego opowiadania polegał na następujących szczegółach.

Dudorow został powołany do wojska omyłkowo. Zanim wyjaśniono nieporozumienie, przesiedział wiele czasu w areszcie

wojskowym za gapiostwo, nie spostrzegał bowiem spotykanych na ulicy oficerów i zapominał ich salutować. Gdy wrócił do cywila, ręka jego podnosiła się sama na widok oficerów; wszędzie majaczyły mu się szlify.

W okresie tym Dudorow był bardzo roztrzępany, robił wszystko na opak i wpadał w najgłupsze historie. Wówczas właśnie, czekając nad Wołgą na statek, poznał na przystani dwie siostry, czekające na ten sam statek. Zmieszany obecnością wielu oficerów, w roztargnieniu zakochał się, a przez nieuwagę oświadczył się młodszej siostrze. — Zabawne, he ? — pytał Gordon, lecz musiał przerwać, bo za drzwiami posłyszano głos bohatera opowiadania. Przeszedł Dudorow.

Ten ostatni przeszedł odwrotną ewolucję i z nieobliczalnego lekkoducha i narwańca stał się statecznym uczonym.

Wydalony z gimnazjum za udział w przygotowywaniu ucieczki więźnia politycznego, Dudorow tułał się przez pewien czas po różnych szkołach artystycznych, lecz przybił wreszcie do klasycznego portu. Uniwersytet ukończył podczas wojny, nieco później niż jego koledzy, i przygotowywał się obecnie do objęcia dwóch katedr : historii powszechnej i historii Rosji. Pisał właśnie dwie rozprawy habilitacyjne. Tematem jednej był Saint-Just, drugiej polityka agrarna Iwana Groźnego.

Dudorow mówił o wszystkim uprzejmym tonem wykładowcy, głosem cichym, jak gdyby był przeziębiony, z wzrokiem utkwionym nieruchomo w jeden punkt.

W końcu wieczora wpadła jak bomba Szura Schlesinger w wojowniczym nastroju. Wszyscy krzyczeli w podnieceniu jeden przez drugiego. Innokientij zadał wówczas doktorowi raz jeszcze (nie był z nim nigdy na ty) kilkakrotnie już powtarzane pytanie :

— Czytaliście *Wojnę i pokój* i *Flet kręgosłup* ?

Jurij Andrejewicz zdążył mu już dawno powiedzieć, co myśli o tych książkach, lecz Dudorow nie słyszał widocznie w zgiełku jego słów, bo po chwili odezwał się znów :

— Czytaliście *Wojnę i pokój* i *Człowieka* ?

— Mówiłem już to wam, Innokientij. Wasza wina, że mnie nie słuchacie. Ale niech będzie. Powiem raz jeszcze. Majakowski zawsze mi się podobał. Jest w nim coś jak gdyby dalszy ciąg Dostojewskiego, lub raczej jak gdyby wiersze te zostały napisane przez któregoś z młodych buntowników Dostojewskiego, przez Ippolita, Raskolnikowa czy bohatera *Wyrostka*. Przy tym co za drapieżna siła talentu ! Jak wszystko to jest definitywne, nieublagane, prostolinijne ! I z jakim rozmachem rzucone w twarz społeczeństwu i nawet gdzieś dalej, w przestrzeń.

Główną osobą wieczorynki był oczywiście Nikołaj Nikołajewicz. Antonina Aleksandrowna myliła się sądząc, że jest gdzieś „na dacz”. Nikołaj Nikołajewicz wrócił tegoż dnia co jego siostrzeniec i był w mieście. Jurij Andrejewicz widział go już dwa czy trzy razy i zdążył się z nim dosyć nagađać, naspierać i naśmiać.

Pierwszy raz widział go w szary, pochmurny dzień. Deszcz padał drobny jak wodny pył. Jurij Andrejewicz zaszedł do Nikołaja Nikołajewicza do hotelu. W hotelach można było znaleźć pokój tylko za poleceniem władz miejskich, ale Nikołaj Nikołajewicz zachował wszędzie swe dawne stosunki.

Hotel wyglądał jak opuszczony przez administrację dom wariatów: zaniedbanie, chaos, rzędy przypadku na schodach i korytarzach.

W szerokie okno nieposprzątanego numeru patrzył obszerny, pusty plac, wyglądający podczas tych szalonych dni jak senne widziadło, a nie jak plac znajdujący się rzeczywiście przed hotelem.

Było to spotkanie zdumiewające, niezapomniane, znaczące! Bożyszcze jego dzieciństwa, mistrz jego młodości stał znów, żywy, przed nim.

Z siwizną było mu bardzo do twarzy. Luźne, zagraniczne ubranie leżało na nim doskonale. Jak na swe lata, Nikołaj Nikołajewicz wyglądał młodo, był jeszcze przystojnym mężczyzną.

Tracił oczywiście w zestawieniu z ogromem wydarzeń. Wypadki przysłańiały go, ale Jurij Andrejewicz nie myślał mierzyć go taką miarą.

Zdumiewał go spokój Nikołaja Nikołajewicza, jego zimna krew i żartobliwy ton, jakim mówił na tematy polityczne. Jego opanowanie przekraczało obecne możliwości Rosjan. Rys ten, zdradzający przejeźdnego, rzucał się w oczy, wydawał się staroświecki i wprawiał w zażenowanie.

Lecz bynajmniej nie to wypełniło pierwsze godziny ich spotkania, nie to kazało im rzucać się sobie na szyję, płakać i dusząc się z wzruszenia przerywać częstymi pauzami wartki potok rozmowy. Było to spotkanie dwóch osobistości twórczych, związanych węzłami rodzinnymi. W pamięci ich odżyła na nowo przeszłość, tysiące wspomnień wspólnych i wypadków z lat rozłąki, lecz skoro tylko rozmowa przeszła na sprawy istotne, znane jedynie ludziom twórczym, cała ta przeszłość znikła, nie było więcej wuja i siostrzeńca, nie było różnicy wieku, pozostała tylko bliskość łącząca żywioł z żywiołem, energię z energią i zasady z zasadami.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Nikołaj Nikołajewicz nie miał sposobności mówienia tak szczerze i do takiego słuchacza o uroku pracy literackiej i o powołaniu pisarza. Ze swej strony Jurij Andrejewicz nie słyszał jeszcze na ten temat uwag równie przenikliwych, trafnych i pełnych polotu.

Obaj wydawali co chwila okrzyki zachwytu i zdumieni przenikliwością rozmówcy, biegali po pokoju trzymając się za głowę, lub w milczeniu bębniłi palcami po szybach okna, wstrząśnięci rewelacją wzajemnego zrozumienia.

Tak przebiegło pierwsze spotkanie. Potem doktor widział kilkakrotnie Nikołaja Nikołajewicza w towarzystwie, gdzie ten ostatni wyglądał zupełnie inaczej ; zmieniał się nie do poznania.

Nikołaj Nikołajewicz czuł się w Moskwie jak gość i nie chciał rozstawać się z tym uczuciem. Nie było wiadome, czy jest u siebie w domu w Petersburgu, czy też w jakimś innym miejscu. Nikołaj Nikołajewicz czuł się świetnie w roli politycznego krasomówcy i czarującego gawędziarza. Wyobrażał sobie być może, że w Moskwie powstaną salony polityczne, jak u Madame Roland w Paryżu przed przyjściem do władzy Konwentu.

Nikołaj Nikołajewicz odwiedzał swe stare przyjaciółki, gościnne mieszkanki cichych moskiewskich zaułków, i łagodnie wyśmiewał je, a także ich mężów, za połowiczność, za staroświeckość i parafianśszczyznę. Kokietował teraz czytaniem w bieżącej publicystyce, jak dawniej znajomością niekanonicznych tekstów i hymnów orfickich.

Mówiono, że zostawił w Szwajcarii nową miłość, nieuporządkowane interesy i niedopisaną książkę, że przyjechał tylko skąpać się w burzliwym ojczystym żywiole, i że jeżeli wypłynie zeń zdrów, zniknie znów na długo w swych Alpach.

Nikołaj Nikołajewicz był zwolennikiem bolszewików i wymieniał dwóch lewych eserów jako osoby najbliższe mu poglądami. Byli to : dziennikarz piszący pod pseudonimem Miroszki Pomora i publicystka Sylwia Koteri.

Aleksander Aleksandrowicz zrzędził i burczał :

— Wprost straszno myśleć, dokąd wyście zajechali ! Te wasze Miroszki ! Co za bagno ! I potem jeszcze ta wasza Lilia Pokori.

— Koteri — poprawił Nikołaj Nikołajewicz. — I Sylwia.

— Wszystko jedno. Pokori czy pot-pourri, nazwa nie zmienia rzeczy.

— Przepraszam bardzo, ale Koteri — obstawał cierpliwie Nikołaj Nikołajewicz.

Nikołaj Nikołajewicz i Aleksander Aleksandrowicz wygłaszali do siebie takie mniej więcej przemówienia :

— O co spieramy się ? Są prawdy oczywiste, których wprost wstyd dowodzić. Są jak alfabet. Ogromna większość ludu żyła przez wieki w nieopisanych warunkach. Wystarczy wziąć pierwszy lepszy podręcznik historii. Wszystko jedno, jak to nazwiemy : feudalizm, pańszczyzna czy kapitalizm z przemysłem fabrycznym — nienaturalność i niesprawiedliwość tego porządku rzeczy została stwierdzona już dawno. Od dawna również przygotowuje się przewrót, który wyzwoli lud i postawi każdą rzecz na swoje miejsce. Wicie również, że częściowa naprawa starego porządku do niczego nie prowadzi, że porządek ten trzeba obalić. Cały budynek może przy tym runąć. Ale co z tego ? Byłoby to straszne, ale nie wynika stąd wcale, że strasznych rzeczy nie będzie. Jest to kwestia czasu. Czy można temu przeczyć ?

— Przecież nie o tym mowa. Czy ja coś takiego twierdziłem ? — niecierpliwł się Aleksander Aleksandrowicz, i spór zaczynał się na nowo.

— Wasze Miroszki i pots-pourris nie mają sumienia. Mówią jedno a robią drugie. A zresztą gdzie tu logika ? Zaczekajcie, zaraz wam to pokażę.

I Aleksander Aleksandrowicz zaczynał szukać gazety z jakimś pełnym sprzeczności artykułem. Z hałasem otwierał i zamykał szuflady, zagrzewając się w ten sposób do krasomówstwa.

Aleksander Aleksandrowicz był rad, gdy mu coś przeszkadzało w rozmowie, i gdy przeszkody te usprawiedliwiały jego jąkanie i zacinanie się. Łatwość wymowy odzyskiwał szukając jakiegoś zgubionego przedmiotu, na przykład drugiego kalosza w ciemnym przedpokoju, stojąc z ręcznikiem na ramieniu na progu łazienki, podając przy stole ciężki półmisek lub nalewając wino do kieliszków.

Jurij Andrejewicz słuchał z rozkoszą swego teścia. Znana mu dobrze dawna moskiewska wymowa, miękka i śpiewna, z właściwym Gromekom lekkim szeplenieniem, sprawiała mu największą przyjemność.

Górna warga Aleksandra Aleksandrowicza wystawała lekko ponad dolną. W podobny sposób motylek jego krawata wystawał z gorsu koszuli. Jakieś tajemne pokrewieństwo łączyło jego wargę z krawatem, nadając całej jego postaci coś dziecinno-naiwnego, rozrzewniającego.

Szura Schlesinger przyszła późną nocą, na krótko przed wyjściem gości. Wracła z jakiegoś zebrania, w żakiecie i robotniczej czapce. Weszła zdecydowanym krokiem i, podając po kolei rękę obecnym, zaczęła od razu zasypywać ich wymówkami.

— Dzień dobry, Toniu. Witaj, Saniu. Przyznajcie jednak sami, że to świństwo. Zewsząd słyszę : przyjechał. Cała Moskwa

o tym mówi, a od was teraz dopiero o tym się dowiaduję. Niech was diabli, ale mniejsza o to. Widocznie nie zasłużyłam. Gdzież jest nasz upragniony, oczekiwany? Dajcie mi przejść. Obstawiliście go jak murem. No, witaj! Zuch chłopiec! Czytałam, czytałam. Nic nie rozumiem, ale to jest genialne. Widać od razu. Nikołaj Nikołajewicz, dzień dobry. Zaraz wrócę do ciebie, Jura. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Witajcie, młodzi! Goga, i ty tu także? Kaczki, kaczki, kwak-kwak-kwak. Czy jeść chcecie? Tak-tak-tak.

Ostatnie słowa zwrócone były do dalekiego krewnego Gromków — dziesiąta woda po kisielu — Gogi, wielkiego entuzjasty wszystkich nowych sił, którego za głupotę i skłonność do śmiechu nazywano Akulką, a za długą, chudą sylwetkę — soliterem.

— Widzę, że wy tu jecie i pijecie. Zaraz was dogonię. Ach, panowie, panowie, nie wiecie, co się na świecie dzieje! Jakie zachodzą przemiany! Pójdźcie na jakieś zebranie dołów, z prawdziwymi robotnikami, z żołnierzami autentycznymi, nie wyciętymi z książek, i spróbujcie odezwać się tam o wojnie aż do zwycięstwa. Pokażą wam tam zwycięstwo! Słyszałam dziś marynarza. Jura, ty byś zwariował! Co za pasja! Co za konsekwencja!

Schlesingerowej wciąż przerywano. Każdy krzyczał o czym innym. Usiadła wreszcie koło Jurja Andrejewicza, wzięła go za rękę i, wyrzucając równomiernie wyrazy, krzyczała doń jak do telefonu:

— Pójdź któregoś dnia ze mną, Jura. Pokażę ci ludzi. Musisz jak Anteusz dotknąć ziemi, rozumiesz? Czemu na mnie tak patrzysz? Czy cię to dziwi? Czyż nie wiesz, że jestem starym kawalerskim koniem, byłą bestuzewką²²? Że znam więzienia śledcze, że walczyłam na barykach? Oczywiście! A tyś co myślał? O, jak źle znamy lud! Wracam właśnie stamtąd, z samej gęstwiny. Zakładam im bibliotekę.

Szura Schlesinger była już dobrze podchmielona. Lecz i doktorowi szumiało w głowie. Nie zauważył nawet, kiedy oddalił się od Szury i znalazł na drugim końcu pokoju. Jurij Andrejewicz stał i zdawało mu się, że, niespodzianie dla samego siebie — mówi. Nie od razu dano mu przyjść do słowa.

— Panowie... chciałbym... Misza! Goga! Cóż robić, Toni, kiedy nie chcą mnie słuchać? Panowie, pozwólcie mi powiedzieć dwa słowa. Zbliżają się wypadki niesłychane, niebywałe. Zanim się spełnią, chciałbym wypowiedzieć pod waszym adresem pewne życzenie. Daj Boże, byśmy nie stracili się z oczu i nie stracili

²². Słuchaczką kursów im. Bestuzewa, petersburskiego uniwersytetu dla kobiet.

naszych dusz. Goga, „ura” będziesz krzyczał potem. Jeszcze nie skończyłem. Przestańcie rozmawiać po kątach i posłuchajcie.

W trzecim roku wojny wśród ludu zaczęło się szerzyć przekonanie, że wcześniej czy później zniknie granica dzieląca front od tyłów, i że potop krwi zaleje trzymających się z dala od wojny i zamkniętych jak w fortcach w swoich domach. Rewolucja jest tym potopem.

Będzie się wam teraz zdawało, jak nam na froncie, że życie ustało, że osobistych spraw więcej nie ma, że pozostało tylko zabijanie i umieranie. Jeżeli jednak dożyjemy do ogłoszenia zapisków i pamiętników z tego okresu i przeczytamy je, przekonamy się, że w ciągu tych pięciu czy dziesięciu lat przeżyliśmy więcej niż inni w ciągu całego stulecia.

Nie wiem czy cały lud ruszy ławą, czy też ktoś dokona wszystkiego w jego imieniu. Od wypadków tak ogromnego rozmiaru nie można żądać, aby wszystko wynikało jedno z drugiego, jak w dramacie. Uwierzę w nie i bez tego. Poszukiwać przyczyn cyklopicznych wypadków byłoby małostkowością. Klótnie domowe mają swój początek, ale i tam, gdy odciągnięto od siebie za włosy bijących się i pobierano potłuczone naczynie, nikt więcej nie potrafi dojść, kto pierwszy zaczął. Zjawiska naprawdę wielkie są jak wszechświat — nie mają przyczyn. Ukazują się nagle w całej pełni, jak gdyby spadły z nieba lub istniały zawsze.

Ja też myślę, że Rosji sędzono zostać pierwszym od stworzenia świata imperium socjalistycznym. Gdy to się stanie, będziemy tym przez dłuższy czas oszołomieni, a gdy ockniemy się, stwierdzimy, że utraciliśmy niepowrotnie połowę pamięci. Nie będziemy mogli sobie przypomnieć kolejności zdarzeń i nie będziemy szukali objaśnień dla zjawisk niesłychanych. Nowy porządek otoczy nas i wyda się nam rzeczą tak prostą jak las na horyzoncie i obłoki. Obstąpi nas ze wszystkich stron. Nie będzie niczego innego.

Jurij Andrejewicz mówił coś jeszcze i zupełnie wytrzeźwiał. Nie słyszał tylko nadal, co mówili inni, i odpowiadał im na chybił trafił. Widział otaczające go przejawy sympatii i przyjaźni, lecz nie mógł oddalić od siebie trawiącego go smutku. Powiedział więc :

— Dziękuję, dziękuję. Widzę waszą życzliwość, na którą nie zasłużyłem. Lecz nie należy kochać tak na zapas, z takim pośpiechem, jak gdyby w obawie, że później trzeba będzie kochać więcej.

Obecni wybuchli śmiechem i zaczęli okłaskiwać te słowa, biorąc je za dowcip. W istocie zaś Jurij Andrejewicz nie wiedział dokąd uciekać przed poczuciem nadchodzącej klęski i świadomo-

ścią własnej beziły wobec przyszłości, mimo całej swej wiary w sprawiedliwość i pogody swego charakteru.

Goście rozchodzili się. Wszyscy byli znużeni i mieli długie miny. Ziewanie wydłużało im szczęki, upodabniając do koni.

W chwili pożegnania odsłonięto firankę i otwarto okno. Ukazał się żółty świt, mokre niebo i brudne, ziemisto-brunatne obłoki. — Musiała tu przejść burza, kiedyśmy gadali — powiedział ktoś. — Deszcz złapał mnie w drodze. Ledwie zdążyłam do was dobiec — potwierdziła Szura Schlesinger.

W pustej i ciemnej jeszcze uliczce słychać było kapanie spadających z drzew kropel, zmieszane z ćwierkaniem mokrych wróbli.

Nagle piorun przeorał niebo jak pługiem. Nastąpiła cisza, a po chwili rozległy się cztery spóźnione uderzenia, spadające jak wielkie kartofle, wyorywane jesienią z rychłej ziemi.

Piorun oczyścił pokój z kurzu i dymu. Jak po elektrolizie, stały się znów widoczne proste części składowe egzystencji: woda i powietrze, potrzeba radości, ziemia i niebo.

Ulicę wypełniły głosy rozchodzących się gości, którzy dalej dyskutowali o czymś głośno, jak przedtem w mieszkaniu. Głosy oddalały się coraz bardziej i wreszcie umilkły.

— Jak późno — powiedział doktor. — Chodźmy spać. Ze wszystkich ludzi na świecie kocham tylko ciebie i ojca.

5

Minął sierpień, kończył się wrzesień. Nieodracalne terminy zbliżały się. Nadchodziła zima, dla ludzi zaś zbliżało się coś podobnego do obumierania zimowego, coś już przesądzanego, nieuniknionego, o czym wszyscy mówili.

Należało przygotowywać się do chłodów, gromadzić zapasy żywności i drew. Ale wraz z triumfem materializmu materia stała się pojęciem oderwanym; żywność i drzewo znikły, pozostały zagadnienia aprowizacyjne i opałowe.

Ludność miejska była bezradna, jak dzieci wobec nieznanego żywiołu, który obalał ustalone zwyczaje i zostawiał za sobą pustkę, jakkolwiek żywioł ten był sam tworem miasta i jego mieszkańców.

Dokoła łudzono się, gadano. Życie codzienne wlokło się kulejąc, potykając się, z starego przyzwyczajenia. Doktor widział je bez złudzeń. Zapadły na nie wyrok nie mógł ująć jego uwagi. Siebie i swoje środowisko uważał za skazane. Jego i jego

bliskich czekały ciężkie próby, być może zagłada. Pozostałe im jeszcze dni topniały w jego oczach.

Być może straciłby zmysły, gdyby nie drobne troski i kłopoty. Żona i syn, konieczność zdobywania pieniędzy były dlań ocaleniem. Sprawy skromne, codzienne, pilne, praca w szpitalu i odwiedzanie chorych utrzymywały go w równowadze.

Rozumiał, że jest pigmejem wobec potwornej fabryki przyszości, bał się jej, a jednocześnie podziwiał tę przyszłość, tajemnie był z niej dumny. Po raz ostatni, jak gdyby na pożegnanie, rzucał uważne, natchnione spojrzenia na obłoki i drzewa, na przechodniów, na wielkie, zmagające się z niedolą rosyjskie miasto, był gotów złożyć dlań siebie w ofierze, lecz czuł się bezsilny.

Niebo i przechodniów oglądał najczęściej z środka jezdni, przechodząc przez Arbat koło apteki rosyjskiego stowarzyszenia lekarzy, na rogu Starokoniuszennej.

Wstąpił znów na służbę do swego dawnego szpitala. Z przyzwyczajenia nazywano go wciąż Krestowozdwiżeńskim, jakkolwiek utrzymujące szpital stowarzyszenie tej nazwy zostało rozwiązane. Dotąd wszakże nie znaleziono dla szpitala żadnej innej nazwy.

Proces rozwarstwienia objął też szpital. Umiarkowanym, których tępota oburzała go, Żiwago wydawał się niebezpieczny, dla ludzi politycznie zaawansowanych był nie dość czerwony. Nie należał ani do tych, ani do tamtych. Oddalił się od jednych, nie zbliżył się do drugich.

W szpitalu, poza pracą zawodową, doktor wykonywał zleceną mu przez dyrektora kontrolę sprawozdań statystycznych. Jakich ankiet, kwestionariuszy i formularzy nie wypełniał, na jakie wymyślne pytania nie odpowiadał! Śmiertelność, wzrost zachorowań, położenie materialne pracowników, ich uświadomienie obywatelskie i udział w wyborach, braki opału i apro wizacji — wszystko interesowało centralny urząd statystyczny, na wszystko trzeba było odpowiadać.

Doktor pracował nad tym przy swym starym biurku, w pokoju lekarskim przy oknie. Stosy formularzy różnej wielkości i treści stały po lewej i prawej stronie biurka. Tu robił notatki do swych prac lekarskich i tu też pisał „Zabawę w ludzi”, posępną kronikę czy dziennik tych dni, składający się z prozy, wierszy i różnych rozmaitości i wychodzący z założenia, że połowa ludzi przestała być sobą i gra niezrozumiałą dla siebie rolę.

Słoneczny, biały pokój zalewało kremowe światło złotej jesieni, jaka przychodzi zwykle po Wniebowstąpieniu, gdy razem z pierwszymi przymrozkami w barwnych i przerzedzonych już

liściach zagajników pojawiają się zimowe sikorki i sroki. W takie dnie niebo wydaje się szczególnie wysokie, i poprzez przejrzysty słup powietrza między niebem i ziemią widać spływającą z północy sinawą jasność. W dnie takie widać i słyszać wszystko na znaczną odległość. Dźwięki stają się wyraźne, jasno oddzielone jedno od drugich. Otwierają się perspektywy odsłaniające jak gdyby całe życie na wiele lat naprzód. Przejrzystość ta byłaby nie do zniesienia, gdyby nie pojawiała się tylko na krótkie chwile, poprzedzające wczesny zmierzch.

Zachodzące słońce wypełniało pokój takim światłem soczystym, szklanym, wodnistym, podobnym do białego soku, jakim nabrzmiewa dojrzałe jabłko.

Doktor siedział przy biurku, maczał pióro w kałamarzu, namyślał się i pisał. Za szerokim oknem przelatywały jakieś ciche ptaki, których nieme cienie prześlizgiwały się po rękach doktora, po stole, formularzach, podłodze i ścianach.

— Klon traci już liście — powiedział wchodząc prosektor, niegdyś zażywny mężczyzna, na którym skóra wskutek odchudzenia tworzyła teraz wiszące worki. — Zmywały go ulewy, szarpały wiatry i nie dały rady, ale wystarczyło jednego przymrozka.

Doktor podniósł głowę. Istotnie, fruujące za oknem zagadkowe ptaki były purpurowo-ognistymi liśćmi klonu, które opadały, płynąc w powietrzu, i kładły się jak pomarańczowe gwiazdy, na trawnik szpitalnego ogrodu.

— Czy okna są już opatrzone? — spytał prosektor.

— Nie — odpowiedział Jurij Andrejewicz i pisał dalej.

— Cemu? Już czas.

Jurij Andrejewicz, pochłonięty pracą, nie odpowiadał.

— Ech, nie ma Tarasiuka — ciągnął dalej prosektor. — Złoty był człowiek. I buty podzelał i zegarek naprawił. Wszystko potrafił. I wszystko umiał znaleźć. A opatrywać okna już czas. Będziemy musieli sami.

— Nie ma kitu.

— Kit potraficie zrobić sami. Oto recepta. — Prosektor objaśnił, jak kit robi się z pokostu i kredy. — Zresztą przeszkadzam wam.

Prosektor zbliżył się do drugiego okna i zajął się swymi próbkami i preparatami. Zaczęło się ściemniać. Po chwili odezwał się znów.

— Psujecie sobie oczy. Ciemno. A światła nie będzie. Chodźmy do domu.

— Jeszcze trochę popracuję. Dwadzieścia minut.

— Jego żona jest w naszym szpitalu posługaczką.

— Czyja?

— Tarasiuka.

— Wiem.

— A sam Tarasiuk nie wiadomo gdzie. Jeździ po całym świecie. Latem dwukrotnie nas odwiedzał, zaglądał do szpitala. Teraz pewnie gdzieś na wsi. Organizuje nowe życie. Jest jednym z tych żołnierzy-bolszewików, których pełno na bulwarach i w pociągach. Chcecie znać ich sekret? Tarasiuka na przykład? Posłuchajcie. Tarasiuk umie robić wszystko. Nic nie robi niedbale. Do czegokolwiek się zabierze, praca pali mu się w rękach. To samo było na wojnie. Nauczył się wojowania jak każdego innego rzemieślnika. Został w okopach świetnym strzelcem. Ręka i oko niezawodne. Ma wszystkie odznaki nie za odwagę, lecz za strzelanie bez pudła. Każda robota staje się jego pasją. Pokochał też robotę wojenną. Widzi, że broń — to siła, zabiera więc ją z sobą. Chce sam zostać siłą. Człowiek uzbrojony nie jest jak inni. Dawniej tacy szli z wojska do rozbójników. Spróbuj odebrać takiemu karabin! I na to wszystko pada nagle hasło: odwrócić bagnety itd. I Tarasiuk odwrócił. Oto cała jego tajemnica. I cały marksizm.

— I autentyczny, wzięty z życia. A wy co myśleliście?

Prosektor odszedł do swego okna i grzebał się przez chwilę w stojących na parapecie probówkach. Potem zapytał:

— Jak się wam podobał zdun?

— Dziękuję, żeście go polecili. Bardzo interesujący. Przez całą godzinę gawędziliśmy z nim o Heglu i o Crocem.

— Oczywiście! Doktor filozofii heidelberskiego uniwersytetu. A co z piecem?

— Lepiej o tym nie mówić.

— Dymi?

— Rozpacz.

— Nie tędy widocznie wstawił rurę. Trzeba ją było wprawić w luft pieca, a on pewnie wysunął ją przez lufcik.

— Nie, wprawił w piec, a mimo to dymi.

— Nie znalazł widocznie luftu i połączył z wentylatorem. Ech, nie ma Tarasiuka! Ale bądźcie cierpliwi. Nie od razu Moskwę zbudowano. A palić w piecu to nie to samo co grać na fortepianie. Tego się trzeba nauczyć. DREW macie dość?

— Gdzie ich szukać?

— Przyślę wam cerkiewnego stróża. Drzewny złodziej. Rozbiera parkany na opał. Ale uprzedzam, że trzeba się targować. Żąda bajorńskich sum. Albo przyślę babę dezynfekującą mieszkania.

Obaj zeszli do garderoby, ubrali się i wyszli na ulicę.

— Ale na co tu dezynfekcja ? — spytał doktor. — Pluskiew w domu nie mamy.

— Skąd pluskwy ? Ja mówię o Tomaszu, a wy o Jeremiaszu. Chodzi o drzewo. Kobieta, o której mówię, handluje drzewem. Kupuje rusztowania i domy, które rozbiera na opał. Bardzo poważna dostawczyni. Uważajcie, bo się potkniecie. Dawniej mogłem tu przejść wszędzie z zamkniętymi oczami. Znałem każdy kamień. Urodziłem się na Preczistience. A od kiedy zaczęto burzyć parkany, z otwartymi oczami nie poznaję tej dzielnicy. Jestem jak w obcym mieście. Odsłonięto przy tym dziwne zakątki! Empirowe domki w zaroślach, okrągłe stoły w altanach, na pół spróchniałe ławki. Przed kilku dniami przechodziłem koło takiego zapuszczonego ogrodu przy zbiegu trzech ulic. Widzę tam stuletnią staruszkę, grzebiącą łaską w ziemi. „Niech ci Bóg pomoże, mówię, babuniu. Robaków szukasz ? Ryby chcesz łapać ?” Żartuję oczywiście. A ona, najspokojniej w świecie : „Nie, ojcze, szukam pieczarek”. Miasto jest dziś naprawdę jak las. Pachnie zgniłymi liśćmi i grzybami.

— Znam to miejsce. Między Srebrną i Mołczanowską, nieprawdaż ? Tam zawsze zdarzają mi się niespodzianki. Spotykam ludzi, których od dwudziestu lat nie widziałem, znajduję zgubione przedmioty. Mówią, że tam na rogu napadają. Nic w tym zresztą dziwnego. Miejsce jest przelotne. Cała sieć przejść do spelunek na Smoleńskim bulwarze. Ograbia, rozbiorą i szukaj wiatru w polu.

— Latarnie tak słabo świecą. Nie darmo sińce latarniami nazywają. O sińce tu nie trudno.

6

Różne przypadki spotykały istotnie doktora w tym miejscu. Późną jesienią, na krótko przed październikowymi walkami, zimnym i ciemnym wieczorem doktor natknął się na rogu na człowieka leżącego w poprzek chodnika. Leżał z głową koło słupa, z rozrzuconymi ramionami ; nogi jego zwisały do rynsztoka. Od czasu do czasu wydawał cichy jęk. Na głośne pytania doktora, usiłującego przywrócić go do przytomności, odpowiadał niezrozumiałym mruczeniem i znów zemdlał. Głowę miał we krwi, ale czaszka przy powierzchownym badaniu zdawała się cała. Nieznajomy był jawnie ofiarą zbrojnego napadu. „Portfel, portfel” — szeptał.

Z pobliskiej apteki na Arbacie doktor wezwał telefonicznie starego dorożkarza, przydzielonego do Krestowozdwiżńskiego szpitala i przewiózł go do tego ostatniego.

Jak się później okazało, ofiara napadu była wybitnym działaczem politycznym. Doktor wyleczył go i znalazł w nim potem protektora, który ocalił go od wielu nieporozumień, w jakie obfitowały te czasy podejrzeń i nieufności.

7

Niedziela. Doktor był wolny. Nie musiał iść do szpitala. Mieszkanie jego, według projektu Antoniny Aleksandrowny, było już ograniczone do trzech pokoiów.

Dzień był chłodny, wietrzny, z niskimi, zwiastującymi śnieg chmurami, bardzo ciemny.

Od rana próbowano palić w dymiącym piecu. Nie znająca się na tym Antonina Aleksandrowna dawała Niuszy, walczącej z mokrymi polanami, bezsensowne rady. Doktor, widząc co należało zrobić, próbował interweniować, ale żona wypchnęła go za ramiona do innego pokoju, mówiąc :

— Idź do siebie. Kiedy i bez tego tracę głowę, ty zawsze mnie jeszcze drażnisz. Czy nie rozumiesz, że twoje uwagi dolewają tylko oliwy do ognia ?

— Oliwa, Toni, byłaby tu bardzo użyteczna. Piec rozpaliby się w jednej chwili. Niestety nie widzę tu ani oliwy, ani ognia.

— Nie czas na dowcipy. Są chwile, kiedy nie chce się ich słuchać, rozumiesz ?

Kłopoty z piecem udaremniły niedzielne plany. Wszyscy mieli nadzieję, że przed zmrokiem załatwią gospodarskie sprawy i będą wolni. Nadzieje te rozwiały się. Spóźniał się obiad. Ktoś, kto chciał umyć głowę w cieplej wodzie, musiał dać za wygraną. Odpadły i inne projekty.

Wkrótce piec zaczął dymić tak, że trudno było oddychać. Silny wiatr wpędzał dym z powrotem do pokoju, w którym unosił się obłok czarnego kopciu, jak bajeczny potwór w ciemnym lesie.

Jurij Andrejewicz wyprosił wszystkich i otworzył lufcik. Wyjął z pieca połowę polan, a między pozostałymi zrobił wąskie przejście, które wypełnił trzaskami i korą brzoźową.

Świeże powietrze wdarło się przez lufcik, wydymając firankę. Z biurka spadło kilka papierków. Wiatr zatrzęsnał jakieś dalekie drzwi i kręcąc się po całym pokoju bawił się jak kotek z myszką resztkami dymu.

Polana rozpalili się i zaczęły trzeszczeć. Piecyk zachłysnął się ogniem, i jego żelazne ściany pokryły się plamami suchotniczego rumieńca. Dym zrzedł i wkrótce zniknął.

W pokoju zrobiło się jaśniej. Okna, opatrzone przez Jurja Andrejewicza według wskazówek prosektora, zapotniały. Ciepły, tłusty zapach kitu wionął na cały pokój. Suszące się koło piecyka polana zaczęły wydzielać gorzki, drażniący gardło zapach świerkowej kory i świeży jak woda toaletowa zapach zielonej osiny.

W tej chwili, również porywczo jak przedtem wiatr, do pokoju wpadł Nikołaj Nikołajewicz z wiadomością :

— Na ulicach biją się. Walki toczą się między kadetami, popierającymi Rząd Tymczasowy, i wojskami garnizonu, stojącymi po stronie bolszewików. Ogniska powstania rozrzucone są po całym mieście. Starcia zbrojne widzi się na każdym kroku. Po drodze dwukrotnie wpadałem w strzelaninę, raz na rogu Wielkiej Dmitrowki i raz koło Nikitskiej Bramy. Prosto przejść już nie mogłem, musiałem szukać okólnych dróg. Prędszej, Jura ! Ubieraj się, wyjdziemy. To trzeba zobaczyć. To — historia. Takie rzeczy widzi się tylko raz w życiu.

W ten sposób Nikołaj Nikołajewicz przegawędził koło dwóch godzin. Potem podano obiad, a gdy wreszcie Nikołaj Nikołajewicz chciał wracać do domu, ciągnąc z sobą doktora, zjawił się Gordon, przynosząc te same wiadomości.

Wypadki tymczasem posunęły się naprzód. Przybyło nowych szczegółów. Gordon mówił o coraz silniejszej strzelaninie, o przechodniach zabitych przez zabłąkane kule. Według jego wiadomości ruch w mieście ustał zupełnie. On sam cudem niemal dotarł do Żiwagów, ale drogę powrotną ma zamkniętą.

Nikołaj Nikołajewicz nie chciał o niczym słyszeć i postanowił wyjść, lecz w minutę później wrócił. Twierdził, że z ich ulicy wyjścia nie ma, że kule świszczą wszędzie, odrywając od narożnych domów kawałki tynku i cegły. Na ulicy nie widać nikogo, chodniki są puste.

W czasie tych wypadków Sasza przeziębził się.

— Sto razy mówiłem, aby nie zbliżać dziecka do gorącego pieca — gniewał się doktor. — Zbyt gorąco jest nierównie szkodliwsze od zimna.

Sasza miał wysoką temperaturę, bolało go gardło. Miał przesadną obawę przed mdłościami i wymiotami, które widział wciąż w swej wyobraźni. Odpychał rękę Jurja Andrejewicza z laryngoskopem, nie pozwalając wprowadzić go do gardła, zaciskał usta, krzyczał i dusił się. Namowy i groźby nie odnosiły skutku. Wreszcie Sasza zapomniał się i słodko ziewnął. Doktor skorzystał z tej sposobności i błyskawicznym ruchem włożył mu do gardła łyżeczkę, przycisnął język i zobaczył malinowe gardło i spuchnięte, pokryte nalotem migdały. Widok tych ostatnich zaniepokoił go.

W chwilę później, przy pomocy tych samych manewrów, doktorowi udało się wziąć z gardła syna trochę wydzieliny. Aleksander Aleksandrowicz posiadał własny mikroskop. Z jego pomocą Jurij Andrejewicz mógł z grubsza zbadać wydzielinę. Na szczęście nie był to dyfteryt.

Trzeciej nocy wszakże Sasza dostał objawów krupu. Był rozpalony i dusił się. Jurij Andrejewicz nie mógł patrzeć na biedne dziecko, któremu nic nie mógł pomóc. Antonina Aleksandrowna była pewna, że chłopiec umrze. Rodzice brali go kolejno na ręce i chodzili z nim po pokoju. Chłopcu robiło się wówczas lepiej.

Trzeba dlań było dostać mleka, wody mineralnej lub sody, ale walki uliczne osiągnęły właśnie skrajne napięcie. Strzelanina nie ustawała ani na chwilę, słychać było także strzały armatnie. Nawet gdyby doktorowi udało się przedostać przez linię ostrzału, znalazłby poza nią miasto bez życia, zamarte w oczekiwaniu na wyjaśnienie się sytuacji.

Ta ostatnia nie nastęczała zresztą wątpliwości. Zewsząd dochodziły słuchy, że robotnicy biorą górę. Broniły się tylko oddzielne grupy kadetów, otoczone i pozbawione łączności z dowództwem.

Ulica Siwcew Wrażok znajdowała się na terenie działań wojsk posuwających się z Dorogomiłowa do środka miasta. Żołnierze z niemieckiego frontu i młodzi robotnicy, siedzący w przecinającym ulicę okopie, znali już mieszkańców okolicznych domów i żartowali z nimi po sąsiedzku, gdy ci ostatni wyglądali z bram lub próbowali wychodzić na ulicę. Ruch odżywał powoli w całej dzielnicy.

Gordon i Nikołaj Nikołajewicz, po trzech dniach przymusowego pobytu u Ziwagów, mogli wreszcie wyjść. Jurij Andrejewicz rad był ich obecności podczas ciężkich chwil choroby Saszy, a Antonina Aleksandrowna wybaczala im zamęt, jaki wnosili do istniejącego już w domu nieładu. Niestety obaj, przez wdzięczność za gościnę, uważali za swój obowiązek bawić gospodarzy rozmową. Po trzech dniach nieustannego gadania Jurij Andrejewicz rozstał się z nimi z uczuciem ulgi.

Nadeszły wiadomości, że obaj dostali się szczęśliwie do domu. Z tychże wiadomości wynikało jednak, że pogłoski o zakończeniu walk były przedwczesne. W różnych miejscach działania wojenne trwały nadal. Przez pewne dzielnice nie było przej-

ścia. Doktor wciąż nie mógł się przedostać do swego szpitala, gdzie w szufladzie biurka zostawił swą „Grę w ludzi” z notatkami naukowymi, i bez którego zaczęło mu się przykrzyć.

Tylko wewnątrz poszczególnych dzielnic mieszkańcy krążyli rankami w poszukiwaniu chleba. Niosących butelki mleka zatrzymywano, pytając o źródło tego produktu.

Chwilami strzelanina odżywała w całym mieście na nowo, spędzając przechodniów z ulic. Robiono domysły, że między walczącymi toczą się układy, których fluktuacje znajdują swój wyraz w silniejszym lub słabszym ostrzale miasta przez artylerię.

Gdzieś w końcu października, o dziesiątej wieczorem, Jurij Andrejewicz szedł szybkim krokiem przez ulicę, chcąc odwiedzić, zresztą bez ważniejszej przyczyny, mieszkającego w sąsiedztwie kolegę. Dzielnica ta, zwykle bardzo ożywiona, zdawała się bezludna. Z rzadka tylko trafiał się jakiś przechodzień.

Jurij Andrejewicz szedł prędko. Prószył lekki śnieg, wiatr wzmagał się. Jurij Andrejewicz skreślił w przecznicę i stracił rachubę pozostawionych za sobą zakrętów, gdy śnieg zaczął nagle padać gęsto, przechodząc w zamieć, która w polu ściele się ze świstem po ziemi, w miastach zaś wiruje, zbłąkana w ciasnych ulicach.

Podobne zjawiska widać było w świecie fizycznym i moralnym, daleko i blisko, na ziemi i w powietrzu. Słychać było ostatnie salwy dokoła broniących się jeszcze wysepki złamanego oporu. Na horyzoncie czerwieniły się i gasły koliste luny gaszonych pożarów. W takie same koła i leje zwiјаła się zamieć, dyumiąca pod nogami Jurja Andrejewicza na mokrych chodnikach i brukach.

Krzycząc „Ostatnie nowiny”, dopędził go na jednym z rogów chłopiec z wielkim pakietem świeżo zadrukowanych arkuszy.

— Nie trzeba reszty — powiedział doktor. Chłopak oderwał przyklejony do wilgotnego pakietu arkusz, wsunął go doktorowi do ręki i znikł w zamieci.

Doktor zbliżył się do stojącej o kilka kroków latarni, aby przejrzeć natychmiast główne wiadomości.

Dodatek nadzwyczajny, zadrukowany tylko z jednej strony, zawierał komunikat rządowy z Petersburga o utworzeniu Rady komisarzy ludowych i o wprowadzeniu w Rosji władzy sowieckiej i dyktatury proletariatu. Dalej szły pierwsze dekrety nowych władz oraz różnej treści depesze i telefonogramy.

Zamieć smagała doktora po twarzy i sypała na zadrukowany papier szare, szeleszczące krupy śniegu. Nie to jednak przeszkadzało mu czytać. Był wstrząśnięty wielkością, wiekopomnością chwili i nie mógł opanować wzruszenia.

Chcąc jednak doczytać gazetę, zaczął oglądać się za jakimś oświetlonym, osłoniętym od zamieci kątem. Obejrawszy się stwierdził, że znajduje się znów w zaczarowanym miejscu, na skrzyżowaniu Srebrnej i Mołczanowki, przed oszkloną bramą czteropiętrowego domu z szeroką, oświetloną sienią.

Doktor wszedł, stanął pod świecącą się żarówką i zagłębił się w lekturę telegramów.

Nad głową jego dały się słyszeć kroki. Ktoś schodził po schodach, zatrzymując się, niezdeterminowany. Zmienił też zamiar, zawrócił i pobiegł w górę. Gdzieś otworzyły się drzwi i rozległy dwa głosy tak zniekształcone przez akustyczność klatki schodowej, że nie można było odróżnić czy należą do mężczyzn czy do kobiet. Potem drzwi zatrzasnęły się. Te same kroki dały się słyszeć prędkie, zdecydowane.

Pogrążony w czytaniu, Jurij Andrejewicz nie zamierzał podnosić oczu na schodzącego. Ten jednak zatrzymał się przed nim jak wryty. Jurij Andrejewicz podniósł głowę i spojrzał na nieznanego.

Przed nim stał młody człowiek, może osiemnastoletni. Miał na sobie sztywną jelenią dachę z futrem na zewnątrz, jakie noszą na Syberii, i takąż czapkę. Twarz miał smagłą z wąskimi, kirgiskimi oczami. W twarzy tej było coś arystokratycznego, lekkiego, iskrzącego się, pewna dyskretna finezja przyniesiona gdzieś z daleka, jaką zdarza się widzieć u mieszkańców.

Chłopiec brał doktora wyraźnie za kogoś znajomego. Zmieszany i nieśmiały, patrzył nań jak na kogoś sobie znanego, do kogo nie miał odwagi przemówić. Aby położyć koniec nieporozumieniu, Jurij Andrejewicz zmierzył go chłodnym spojrzeniem, odbierającym ochotę do nawiązywania znajomości.

Chłopiec zmieszany się i bez słów poszedł do bramy. Obejrawszy się raz jeszcze, otworzył ciężkie, okratowane drzwi, zatrzasnął je z metalicznym szczękiem i wyszedł.

W dziesięć minut potem wyszedł także Jurij Andrejewicz, który zapomniał o chłopcu i o koledze. Przeczytane wiadomości pochłaniały go całkowicie. W drodze do domu inna okoliczność zwróciła jego uwagę. Był to szczegół praktyczny, mający wówczas ogromne znaczenie.

Niedaleko od domu natknął się mianowicie w ciemności na wielki stos desek i belek, ustawiony na brzegu chodnika. W miejscu tym znajdował się jakiś urząd, do którego przywieziono najwidoczniej na opał drzewo pochodzące z rozbiórki jednego z drewnianych domów, jakie widywało się na przedmieściach. Drzewo nie pomieściło się w podwórzu, i część jego zostawiono

na ulicy. Pilnował go uzbrojony wartownik, przechadzający się po podwórzu i wyglądający od czasu do czasu na ulicę.

Bez chwili wahania Jurij Andrejewicz skorzystał z chwili, gdy wartownik wrócił na podwórze, i gdy wirująca zamieć podniosła z ziemi gęsty obłok śniegu. Podeszedł od strony nieoświetlonej do stosu belek, chwycił leżącą na samym spodzie ciężką kłodę i szarpiąc ją w prawo i lewo wyciągnął na zewnątrz. Gdy zarzucił ją z wysiłkiem na ramię, spostrzegł, że mu nie ciąży (własne rzeczy nie ciążyą). Idąc w cieniu domów, zaniósł ją do siebie na Siwcew Wrażok.

Było to w samą porę, bo drzewo opałowe było na ukończeniu. Kłodę rozpiłowano i porąbano na drobne szczapy. Jurij Andrejewicz przykucnął przed piecem i zaczął rozpałać ogień. Siedział w milczeniu przed brzęczącymi od ognia drzwiczkami. Zziębnięty Aleksander Aleksandrowicz przysunął do pieca swój fotel. Jurij Andrejewicz wyciągnął z kieszeni marynarki gazetę i podał ją teściowi ze słowami :

— Widzieliście ? Cieszcie się. Przeczytajcie.

Nie wstając i grzebiąc w piecu małym pogrzebaczem Jurij Andrejewicz rozmawiał z sobą na głos :

— Co za wspańska chirurgia ! Tak od razu wyciąć artystycznie stare, śmierzzące rany ! Wydać bez omówień prosty wyrok na wiekową niesprawiedliwość, której przyzwyczajono się kłaniać z szuraniem nogą i reweransami. W śmiałości tej operacji jest coś nam bliskiego, narodowego, znanego od dawna, coś z bezkompromisowej światłości Puszkina, coś z nieugiętej wierności Tolstoja dla faktów.

— Puszkina ? Coś ty powiedział ? Poczekaj, niech skończę. Nie mogę na raz czytać i słuchać — przerwał zięciowi Aleksander Aleksandrowicz, biorąc jego słowa za zwrócone do siebie.

— Czy nie jest to przede wszystkim genialne ? Gdyby dano komuś zadanie stworzenia nowego świata, nowej ery, ten ktoś musiałby nasamprzód mieć oczyszczone dla tego celu miejsce. Zanim przystąpiłby do kształtowania wieków nowych, czekałby aż skończą się wieki stare, czekałby jakiejś okrągłej liczby, jakiegoś *a linea*, jakieś czystej stronicy.

A tu patrzcie : ten niebывały cud historii, to objawienie spełniło się w gęstwinie trwającej wciąż codzienności, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi ; zaczęło się nie od początku, ale od środka, bez ustalonych z góry terminów, w pierwszy lepszy powszedni dzień, pośród kursujących po mieście tramwajów. To jest najgenialniejsze. Tylko największe zjawiska mogą być tak niewłaściwe, tak nie na czasie.

Zima nadeszła taka właśnie, jaką przepowiadano. Wydawała się mniej straszna niż dwie następne, ale była już tego samego rodzaju : ciemna, głodna i chłodna, wypełniona burzeniem wszystkiego co znane i przebudową samych podstaw egzystencji, nie-ludzkimi wysiłkami i czepianiem się resztek uciekającego życia.

Takich strasznych zim było trzy z rzędu, i nie wszystkie wypadki, które według późniejszych wspomnień wydarzyły się zimą z siedemnastego na osiemnasty rok, miały istotnie miejsce w tym czasie ; wiele wydarzyło się później. Te trzy następujące po sobie zimy zlały się w jeden obraz, i trudno było odróżnić jedną od drugiej.

Stare życie i nowy porządek istniały jeszcze oddzielnie. Nie było między nimi ślepej nienawiści, jak w rok potem, podczas wojny domowej. Obie rzeczy istniały oddzielnie, jedna obok drugiej, nie pokrywając się nawzajem.

Wszędzie odbywały się nowe wybory : w komitetach domowych, w organizacjach, w urzędach i instytucjach obsługujących publiczność. Ich personel zmieniał się. Wszędzie mianowano komisarzy o nieograniczonych pełnomocnictwach, ludzi o żelaznej woli, w czarnych, skórzanych kurtkach, uzbrojonych w nagany i siejących postrach, ludzi którzy rzadko golili się i jeszcze rzadziej spali.

Komisarze znali dobrze sferę mieszczańską, drobnych posiadaczy obligacji państwowych i kołtunów, z którymi bez żadnej ceremonii, z mefistofelowskim uśmiechem rozmawiali jak z schwytanymi złodziejami.

Ludzie ci kręcili wszystkim. W rękach ich, zgodnie z programem — inicjatywa za inicjatywą, unifikacja za unifikacją — wszystko stawało się bolszewickie.

Krestowozdwiżenskiej szpital nazywał się teraz Drugim zreorganizowanym. I tam nastąpiły liczne zmiany. Część personelu zwolniono, wielu zaś opuściło szpital z własnej inicjatywy, uważając dalszą pracę za niekorzystną. Byli to wzięci lekarze z praktyką prywatną, ulubieńcy publiczności, blagierzy i frazesowicze. Opuściwszy szpital z interesownych pobudek, przedstawiali swą dymisję jako demonstrację polityczną, traktując lekceważąco i niemal bojkotując pozostałych w szpitalu kolegów. Żiwago należał do tych ostatnich.

Wieczorami między nim i żoną odbywały się takie rozmowy :

— Nie zapomnij przyjść we środę do piwnicy stowarzyszenia lekarzy po zmarłe kartofle. Dwa worki. Dowiem się, o której

godzinie będę się mógł zwolnić, aby ci pomóc. Przywieziemy je razem saneczkami.

— Dobrze, Jura. To się zrobi. A teraz idź spać. Już późno. Wszystkiemu nie dasz rady. Musisz trochę odpocząć.

— Epidemie szerzą się zatraszająco. Ogólne wycieńczenie osłabiło odporność. Na ciebie i ojca strach patrzeć. Trzeba coś przedsięwziąć. Ale co? Za mało myślimy o sobie. Musimy być ostrożniejsi. Słuchaj. Ty śpisz?

— Nie.

— O siebie się nie boję. Jestem nie do zdarcia. Gdybym jednak wbrew przewidywaniom zachorował, nie bądź głupia i nie trzymaj mnie w domu. Natychmiast do szpitala.

— Co ty mówisz, Jura? Bóg z tobą. Po co krakać?

— Pamiętaj, że nie możemy liczyć na niczyją uczciwość, że nie mamy więcej przyjaciół, a tym mniej znajomych. W razie czego możesz liczyć tylko na Piczużkina. Oczywiście jeżeli on sam wyżyje. Ty śpisz?

— Nie.

— Sami, bestie, poszli na lepsze pensje, a teraz mówią, że tak kazało im ich obywatelskie sumienie, zasady. Przy spotkaniu ledwie podają rękę. „Wy służycie u nich?” I podnoszą brwi. „Nie gniewajcie się — odpowiadam — ale służę. Jestem dumny z naszego ubóstwa i szanuję ludzi, którzy robią nam zaszczyt, wkładając na nas te ciężkie obowiązki”.

10

Przez długi czas większość mieszkańców żywiła się kaszą jaglaną i zupą z śledziowych główek. Śledź smażony był drugim daniem. Inni jedli niemielone żyto i pszenicę, z których przyrządzano kaszę.

Wykładająca na uniwersytecie znajoma Antoniny Aleksandrowni nauczyła ją piec razowy chleb w jej żelaznym piecyku. Chleb ten miał być przeznaczony częściowo na sprzedaż, aby przez te usługi usprawiedliwić używanie, jak dawniej, pieca kaflowego. Pozwoliłoby to obejść się bez tymczasowego piecyka żelaznego, który dymił, mało grzał i nie trzymał ciepła.

Wypiek chleba udawał się Antoninie Aleksandrownie doskonale, ale handel nim okazał się rzeczą trudniejszą. Musiano porzucić te nieziszczalne projekty i wrócić do dymiącego piecyka. Żiwagowie cierpieli nędzę.

Pewnego dnia Jurij Andrejewicz wyszedł, jak zwykle, rano do pracy. Na opał zostały w domu tylko dwa polana. Antonina Aleksandrowna włożyła futro, w którym, będąc bardzo osłabiona, marzyła nawet w ciepłą pogodę, i wyszła na poszukiwania.

Przez pół godziny błąkała się po sąsiednich ulicach, dokąd zachodzili czasami chłopci z warzywami i ziemniakami. Trzeba było na nich czatować, bo chłopów z towarem zatrzymywano.

Wkrótce znalazła to czego szukała. Wróciła w towarzystwie młodego, zdrowego chłopca w siermiędze, wlokącego lekkie jak zabawka sanki, które, gdy doszli do domu Gromeków, wciągnął, oglądając się, na podwórze.

W przykrytym rogożą koszu sani leżała niewielka kupka brzoźowych okrąglaków, nie grubszych od tych, z jakich robiono dawniej ogrodowe sztachety, które można oglądać na starych fotografiach. Antonina Aleksandrowna знаła ten towar: było to drzewo świeżo zrąbane, wilgotne i nie nadające się na opał. W braku wyboru nie było się jednak nad czym namyślać.

Było tego pięć czy sześć naręczy, które młody człowiek zaniósł do mieszkania, schodząc w zamian z małą lustrzaną szafą Antoniny Aleksandrowny. Szafę położył na saniach. Był to podarunek dla żony. Rozmawiając o późniejszej ewentualnej dostawie ziemniaków, zapytał od niechcienia o cenę stojącego przy drzwiach pianina.

Dowiedziawszy się po powrocie o dokonanej przez żonę transakcji, Jurij Andrejewicz powstrzymał się od komentarzy. Porąbanie na opał oddanej szafy byłoby bardziej korzystne i celowe, ale na to nie mieliby serca.

— Czy widziałeś na stole notatkę? — spytała żona.

— Od kierownika szpitala? Wiem, już mi o tym mówiono. Wezwanie do chorej. Oczywiście pójdę, ale przedtem trochę odpocznę. To bardzo daleko. Gdzieś koło Triumfального Łuku. Adres mam zapisany.

— Proponuję ci dziwne honorarium. Widziałeś? Ale mimo to idź. Butelkę niemieckiego koniaku albo parę damskich pończoch za wizytę. Oto czym cię nęcą. Kto to może być? Jest w tym zarazem zły smak i całkowita nieznajomość naszego obecnego życia. Pewnie jacyś nowobogacy.

— Tak, to dostawcy.

„Koncesjonariuszami”, „upoważnionymi” i „dostawcami” nazywano drobnych przedsiębiorców prywatnych, którym władze państwowe, po zniesieniu handlu prywatnego, okazywały, w chwilach ostrego kryzysu, pewną tolerancję, zawierając z nimi umowy na dostawę tych czy innych towarów. Byli szefowie starych firm i ludzie niegdyś zamożni nie znajdowali drogi do tych interesów.

Zadano im cios, z którego się już nie podnieśli. Dostawcami byli przypadkowi aferzyści, wyniesieni nie wiadomo skąd na powierzchnię życia przez wojnę i rewolucję.

Doktor wypił gorącej wody zabiłonej mlekiem i osłodzonej sacharyną, po czym udał się do chorej.

Na ulicach leżał głęboki śnieg, sięgający miejscami do okien parteru. Chodnikami i jezdnią wlokły się na pół żywe cienie, niosąc na plecach lub ciągnąc na saneczkach jakieś ubogie zapasy żywności. Pojazdy konne były nieliczne.

Na domach wisiały jeszcze z rzadka stare szyldy. Pod niektórymi z nich, niezależnie od treści szyldu, mieściły się spółdzielnie spożywców z zakratowanymi oknami, obecnie puste i zamknięte. Przyczyną ich bezczynności był nie tylko brak towarów. Reorganizacja całego życia, obejmująca także handel, odbywała się na razie tylko w ogólnych zarysach i nie dotarła jeszcze do tych zabitych deskami sklepów.

II

Dom, do którego wezwano doktora, znajdował się na końcu Brzeskiej, koło Twerskiej rogatki.

Był to bardzo stary, murowany, koszarowy budynek. W podwórzu, wzdłuż jego tylnej ściany, biegła trzypiętrowa, drewniana galeria.

Odbywało się tam właśnie wyznaczone uprzednio na tę godzinę ogólne zebranie lokatorów z udziałem przedstawicieli komitetu dzielnicowego, gdy nagle zjawiała się lotna komisja wojskowa, sprawdzająca pozwolenia na broń i konfiskująca przechowywaną bez pozwolenia. Dowódca komisji prosił delegatkę o pozostanie na miejscu, zapewniając, że rewizja nie potrwa długo, że lokatorzy będą stopniowo zwalniani, i że przerwane zebranie będzie mogło wkrótce obradować dalej.

Gdy doktor wszedł do bramy, rewizja dobiegała końca; kolej przyszła właśnie na mieszkanie, w którym oczekiwano lekarza. Żołnierz z karabinem na sznurku, stojący na warcie u wejścia na galerię, zatrzymał doktora, ale w spór ich wdał się dowódca oddziału, który kazał przepuścić doktora i zgodził się poczekać z rewizją aż do końca wizyty.

Doktorowi otworzył gospodarz mieszkania, uprzejmy młody człowiek z smagłą, matową twarzą i ciemnymi, melancholijnymi oczami, bardzo przejęty chorobą żony, rewizją i głębokim szunciem, jaki żywił dla medycyny i jej przedstawicieli.

Aby oszczędzić doktorowi pracy i czasu, gospodarz starał się mówić jak najzwyczajniej, ale pośpiech ten sprawiał, że wywody jego były długie i niejasne.

Wnętrze mieszkania przedstawiało mieszaninę zbytku i tandety. Pełne było zdekompletowanych mebli, kupionych w pośpiechu dla zainwestowania w coś trwałego szybko tracących wartość pieniędzy. Różne przedmioty bez pary uzupełniały umeblowanie.

Gospodarz mieszkania sądził, że żona jego cierpi na chorobę nerwową spowodowaną przestraciem. Z wielu zbędnymi szczegółami opowiedział, że kupił za bezcen stary, zepsuty zegar z kurantem. Kupił go jako osobliwość, jako rzadki twór sztuki zegarmistrzowskiej (zaprowadził nawet doktora do sąsiedniego pokoju, aby mu ten nabytek pokazać), wątpiąc czy uda się ten zegar naprawić. Nagle nienakręcany od lat zegar zaczął sam iść, wydzwonił zawily menuet i zatrzymał się. Żona przestraszyła się — ciągnął młody człowiek — uznała, że nadeszła jej ostatnia godzina, i teraz leży, bredzi, nie je, nie pije i nie poznaje nikogo.

— Myślicie więc, że to był wstrząs nerwowy? — zapytał niedowierzająco Jurij Andrejewicz. — Zaprowadźcie mnie do chorej.

Weszli do sypialni z porcelanowym żyrandolem i dwiema mahoniowymi szafkami po obu stronach dwuosobowego łóżka. Na jego brzegu, przykryta prześcieradłem aż pod brodę, leżała mała kobieta z ciemnymi oczami. Na widok wchodzących wyciągnęła rękę, z której zsunął się aż poza łokieć szeroki rękaw szlafroka, i zrobiła ruch, mówiący, że nie chce ich widzieć. Nie poznawała męża i, jak gdyby nikogo w pokoju nie było, zanuciła jakąś smutną piosenkę, którą rozrzewniła się tak, że zaczęła płakać jak dziecko i prosić, aby jej pozwolono wrócić do domu. Doktor na próżno próbował ją zbadać i zbliżał się do łóżka z jednej lub drugiej strony; za każdym razem chora obracała się doń plecami.

— Trzeba by ją zbadać — powiedział Jurij Andrejewicz. — Zresztą dla mnie sprawa jest jasna. Jest to tyfus plamisty, przy tym w dość ciężkiej formie. Cierpi, biedna, bardzo. Radziłbym umieścić ją w szpitalu. Nie chodzi o wygody, które może mieć i u was, lecz o stały nadzór lekarski, niezbędny w pierwszych dniach choroby. Czy możecie zapewnić jej przejazd, znaleźć drożkę lub choćby zwykłe sanie, aby ją zawieźć, oczywiście ciepło zawiniętą? Napiszę wam zaraz skierowanie.

— Mogę. Postaram się. Ale zaczekajcie. Czy to jest istotnie tyfus? To okropne.

— Niestety.

— Boję się ją stracić, jeżeli oddam do szpitala. Czy nie moglibyście leczyć jej w domu, odwiedzając ją, jeżeli to możliwe, częściej? Ofiarowałbym wam jakie chcecie wynagrodzenie.

— Wyjaśniłem wam już, o co chodzi. Stały nadzór nad chorą jest niezbędny. Wierzcie mi, daję wam dobrą radę. Dostańcie chociażby spod ziemi dorożkę, a ja tymczasem napiszę skierowanie. Najlepiej zrobić to w waszym domowym Komitecie. Potrzebna będzie pieczęć domu i jeszcze parę formalności.

12

Po przesłuchaniu i rewizji, lokatorzy w ciepłych ubraniach i futrach wracali po kolei do nieopalanego lokalu, gdzie mieścił się dawniej skład jaj, i gdzie urzędował teraz komitet domowy.

W jednym końcu pomieszczenia stało biurko i kilka krzeseł. Tych ostatnich nie wystarczało dla licznych uczestników zebrania. Ustawiono więc dokoła zamiast ławek puste skrzynki od jaj. Cała góra takich skrzynek piętrzyła się aż do sufitu w drugim końcu pomieszczenia. Tamże w kącie leżała kupa wiórów, zlepionych zmarzłym białkiem z rozbitych jaj. W wiórach zwijały się szczury, wybiegając chwilami na środek kamiennej podłogi i chowając się znów w wiórach.

Za każdym pojawieniem się szczura otyła i krzykliwa lokatorka wyskakiwała z piskiem na swoją skrzynkę, podwijała spódnicę, odstawiając kokieteryjnie mały palec, dreptała nogami w modnych bucikach z długimi cholewami i ochrypłym głosem, naśladując pijaną, krzyczała:

— Oła, Oła, tu szczury biegają. Idź, idź, paskudny! Aj! aj! On rozumie, szelma! Gniewa się. Aj, aj! Pełźnie na skrzynkę! Byle nie pod spódnicę! Aj, aj! Boję się! Odwróćcie się, panowie mężczyźni. Przepraszam, nie mężczyźni, ale towarzysze obywatele.

Hałasująca baba miała na sobie rozpięty karakułowy żakiet, pod którym trząsł się jak kisiel podwójny podbródek, imponujący biust i obciągnięty jedwabną suknią brzuch. Musiała uchodzić kiedyś za lwicę w środowisku kupców trzeciej kategorii i ich subiektów. Jej świńskie oczy były jak szczeliny pod obrzękłymi powiekami. Jakaś rywalka chciała ją kiedyś oblać kwasem, ale chybiła; kilka kropel zostawiło zaledwie widoczne i niemal pojętne ślady na lewym policzku i w kąciку ust.

— Nie krzycz, Chrapugina. Wprost nie można pracować — mówiła siedząca za biurkiem kobieta, przedstawicielka dzielnicowego komitetu wybrana na przewodniczącą zebrania.

Starsi lokatorzy pamiętali ją z dawnych czasów, i ona też znała ich dobrze. Przed zebraniem rozmawiała przez chwilę półgłosem z ciotką Fatimą, dozorczynią domu, która dawniej z mężem i dziećmi gnieździła się w brudnej suterenie, teraz zaś z córką zajmowała przydzielone jej dwa jasne pokoje na pierwszym piętrze.

— Więc jakże będzie, Fatimo? — pytała delegatka.

Fatima skarżyła się, że nie daje sobie rady z takim dużym i przeludnionym domem, nie mając z nikąd pomocy, bo lokatorzy nie spełniają wcale przypadającego na nich obowiązku zamykania podwórza i ulicy.

— Nie martw się, Fatimo, my już im rogów przytrzymamy. O to bądź spokojna. Bo i co tu za komitet? Kryjówka dla niezameldowanych elementów kryminalnych i wątpliwej moralności. My ten komitet zlikwidujemy i wybierzemy nowy. Przeprowadzę twój wybór na zarządzającą domu. Tylko mi nie wierzgać.

Dozorczyńni na próżno błagała ją, aby tego nie robiła. Przewodnicząca rzuciła okiem na obecnych i, sądząc że liczba ich jest wystarczająca, poprosiła o ciszę i krótkim przemówieniem otworzyła obrady. Potępiając bezczynność obecnego komitetu domowego, zaproponowała wysunięcie kandydatur do ponownych wyborów i przeszła do innych spraw. Wyczerpawszy i te, ot tak między innymi, powiedziała:

— Tak to, towarzysze. Mówmy teraz jasno. Dom wasz jest obszerny, nadający się na mieszkanie zbiorowe. Zdarza się, że przyjeżdżają obradować delegaci, których nie ma gdzie pomieścić. Postanowiono więc oddać wasz dom do rozporządzenia komitetu dzielnicowego na użytek przyjezdnych i dać mu nazwę domu imienia Tiwierzina, który, jak powszechnie wiadomo, mieszkał tu przed zesłaniem. Nie ma sprzeciwów? Przejdźmy więc do porządku wysiedlenia. Odbędzie się to bez pośpiechu: macie na to rok czasu. Pracującym dostarczy się odpowiedniej powierzchni mieszkalnej, niepracujących zaś uprzedzamy, że będą musieli sami znaleźć sobie mieszkanie, i dajemy im na to dwanaście miesięcy czasu.

— A kto z nas nie pracuje? Nie ma niepracujących! Wszyscy pracujemy! — krzyczano ze wszystkich stron, jeden zaś wzburzony głos górował nad innymi: — To wielkopaństwowy szowinizm! Wszystkie narodowości są teraz równe! Wiem, do czego zmierzacie!

— Nie wszyscy na raz! Wprost nie wiem, komu teraz odpowiadać. Co za narodowości? Co to ma do narodowości, towarzyszu Wałdyrkin? Chrapugina, na przykład, nie jest żadną narodowością, a wysiedlimy i ją.

— Wyszłysz ! Zobaczmy, jak ty mnie wyszłysz, dziurawa kuszetko ! Dziesięć posad ! — krzyczała Chrapugina, obrzucając w zapale dyskusji przewodniczącą niedorzecznymi wyzwiskami.

— Żmija ! Szejtanka ! Wstydu nie masz ! — oburzała się dozorczyńni.

— Nie zadawaj się z nią, Fatimo. Sama jej dam rady. Chrapugina, przestań ! Dają ci mówić a ty przebierasz miarę. Milcz, mówię ci, bo oddam cię zaraz organom, nie czekając aż złapią cię na pędzeniu samogonu i uprawianiu nierządu.

Hałas osiągnął swój najwyższy punkt. Nikt więcej nie mógł mówić. W tej chwili właśnie wszedł do składu doktor, prosząc pierwszego z brzegu lokatora o wskazanie mu kogoś z komitetu. Zapytany złożył dłonie w trąbkę i, starając się przekrzyknąć hałas, wołał, rozdzierając głoski :

— Ga-li-ul-li-na ! Chodź tu. Pytają o ciebie.

Doktor nie wierzył uszom. Wyszła doń chora, przygarbiona kobieta, dozorczyńni. Doktora uderzyło jej podobieństwo do syna. Nie zdradzając się jednak, powiedział : — Jedna z waszych lokatorek (wymienił nazwisko) zachorowała na tyfus. Trzeba zachować ostrożność, aby choroba nie rozszerzyła się. Prócz tego trzeba będzie zawieźć chorą do szpitala. Wystawię jej świadectwo, które Domkom powinien urzędowo potwierdzić. Jak i gdzie to można zrobić ?

Dozorczyńni zrozumiała tylko to, co odnosiło się do przewozu chorej. — Po towarzyszkę Diemina przyślą z dzielnicowego komitetu dorożkę. Towarzyszka jest dobrą kobietą i ustąpi dorożkę. Nie martw się, doktorze, przewieziemy twoją chorą.

— Nie o tym mówię. Chodzi o jakiś kąt, gdzie mógłbym napisać skierowanie. A jeżeli znajdzie się i dorożka... Przepraszam, czy nie jesteście przypadkiem matką porucznika Galiullina, Hamazetdinowicza ? Służyłem z nim razem na froncie.

Dozorczyńni wzdrygnęła się całym ciałem i zbladła. Chwyciła doktora za rękę i powiedziała :

— Chodźmy na dwór. Tam pomówimy.

Zaraz za progiem zaczęła mówić szybko :

— Ciszej. Broń Boże, żeby ktoś usłyszał. Nie gub mnie. Jusupka poszedł złą drogą. Sam powiedz, kim jest Jusupka ? Jusupka był uczniem, rzemieślnikiem. Powinien był rozumieć, że ludziom prostym jest teraz o wiele lepiej. To i ślepy widzi, nie ma o czym mówić. Nie wiem, co ty myślisz. Tobie, być może, wolno, a Jusupce to grzech. Bóg go ukarze. Jusupki ojciec zginął na wojnie. Zabili go i jak strasznie, nie zostawili ani twarzy, ani rąk, ani nóg.

Zbrakło jej sił, aby mówić dalej. Machnęła więc ręką i czekała aż minie wzruszenie. Potem ciągnęła dalej :

— Chodźmy. Ja ci zaraz znajdę dorożkę. Wiem, kim jesteś. On był tu dwa dni i mówił. Ty, mówił, znasz także Łarę Guichardową. Dobra była dziewczyna. Przychodziła tu do nas, pamiętam. A jaka jest teraz? Kto was tam wie? Bo czy możliwe, aby panowie poszli przeciw panom? A Jusupce grzech. Chodźmy. Poprosimy o dorożkę. Towarzyszka Diemina da. Wiesz, kto to? Ola Diemina, u mamy Łary Guichardowej była za szwaczkę. I też tutejsza. Z tego podwórka. Chodźmy.

13

Ściemniło się zupełnie. Dokoła była noc. Tylko małe kółko światła z kieszonkowej lampy Dieminej skakało o kilka kroków przed nimi z zaspą na zaspę i przeszkadzało raczej niż oświetlało drogę. Dokoła były ciemności. Za nimi został dom, gdzie Łara bywała jako młoda dziewczyna, i gdzie, jak mówią, wychowywał się jej późniejszy mąż Antipow.

Diemina mówiła tonem żartobliwie protekcjonalnym :

— Pójdziecie dalej bez latarki? Co? Dałabym ją wam, towarzyszu doktorze. Tak. Niegdyś kochałam ją nie na żarty, bez pamięci, gdy byłyśmy podlotkami. Mieli tu zakład krawiecki. Byłam u nich uczenicą. W tym roku widziałam ją przelotnie. Była przejazdem w Moskwie. Mówię jej : dokąd, idiotko? Zostań z nami. Mieszkalibyśmy razem, znalazłaby się praca. Ale gdzie tam! Nie chce. Jej rzecz. Za Paszę wyszła z rozsądku, nie z miłości, i od tego czasu jest postrzelona. Pojechała.

— Co wy o niej myślicie?

— Ostrożnie. Tu ślisko. Ile razy mówiłam, żeby pomyj nie wylewano przed drzwiami, ale to groch o ścianę. Co o niej myślę? I dlaczego myśleć? Nie ma o czym. Nie ma kiedy. Tu mieszkam. Ukryłam przed nią, że jej brata, wojskowego, zdaje się, rozstrzelano. A matkę jej, moją dawną chlebobawczynię, uwolnię na pewno. Robię starania. No, muszę w tę stronę. Do widzenia.

Rozstali się. Światło latarki padło na wąskie, kamienne schody i pobiegło dalej po brudnych, pełnych plam ścianach klatki schodowej. Doktora otoczył mrok. Na prawo otwierała się Sadowa-Triumfalna, na lewo Sadowa-Karetna. W czarnej dali, na czarnym śniegu, były to nie tyle ulice — w zwykłym sensie tego słowa — ile przeręby w gęstej tajdze kamienic, jak w dziewiczych lasach Uralu lub Syberii.

W domu było jasno i ciepło.

— Czemu tak późno ? — spytała Antonina Aleksandrowna i nie czekając odpowiedzi ciągnęła dalej :

— Podczas twojej nieobecności zdarzył się tu dziwny wypadek. Nie do wytłumaczenia. Zapomniałam ci powiedzieć, że wczoraj ojciec zbił budzik i był w rozpacz. Ostatni zegarek w całym domu. Zaczął go naprawiać, dłubał w nim, dłubał, ale nic z tego nie wychodziło. Zegarmistrz na rogu żądał trzech funtów chleba. Niesłychana cena ! Co tu robić ? Ojciec wpadł w rezygnację. I nagle, wyobraź sobie, może przed godziną — przeraźliwe dzwonięcie. Budzik ! Wziął, rozumiesz, i zaczął iść.

— To dla mnie wybiła godzina tyfusu — rzekł żartem Jurij Andrejewicz i opowiedział historię chorej z kurantem.

14

Tyfusu doktor dostał znacznie później. Niepowodzenia jego doszły tymczasem do ostatnich granic. Żiwagowie cierpieli skrajną nędzę, ginęli. Jurij Andrejewicz odszukał ocalonego niegdyś przez siebie działacza partyjnego, ofiarę napadu. Dygnitarz robił dla doktora co mógł. Wybuchała jednak wojna cywilna, zmuszając go do ciągłych podróży. Zresztą człowiek ten, zgodnie z swymi przekonaniami, uważał ówczesne trudności za zjawisko normalne i ukrywał, że sam był głodny.

Jurij Andrejewicz zwrócił się do „dostawcy” spod Twerskiej rogatki. Ten jednak znikł bez śladu. O jego wyleczonej żonie też nie można się było niczego dowiedzieć. Mieszkańcy domu zmienili się. Diemina była na froncie, a zarządzającej domem Galiulliny doktor nie zastał.

Pewnego dnia Jurij Andrejewicz otrzymał przydział drzewa opałowego po urzędowej cenie, które musiał przywieźć z dworca Windawskiego. Szedł właśnie nieskończenie długą ulicą Mieszczańską, obok furmana i szkapy, ciągnącej ten nieoczekiwany skarb, gdy nagle spostrzegł, że Mieszczańska przestaje być Mieszczańską, że on sam zatacza się, i że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Zrozumiał od razu, że jest gotów, że jest z nim źle, i że ma tyfus. Furman podniósł leżącego. Doktor nie przypominał sobie później, jak położono go na obładowane drzewem sanie i przywieziono do domu.

Z krótkimi przerwami doktor był przez dwa tygodnie nieprzytomny. Majaczyło mu się, że Tonia postawiła mu na stole dwie ulice Sadowe : z lewej strony Sadową-Karetną, z prawej Sadową-Triumfalną, i przysunęła blisko niego stojącą lampę, gorącą, jasną, pomarańczową. Na ulicach zrobiło się jasno. Można było pracować. I oto Jurij Andrejewicz pisze.

Pisze z zapalem i niezwykłą łatwością. Pisze to, co zawsze chciał i powinien był napisać, lecz nie mógł, a co teraz idzie mu gładko. Chwilami przeszkadza mu pewien chłopiec z skośnymi, kirgiskimi oczami, z narzuconą na ramiona dachą, jakie noszą na Syberii i na Uralu.

Jest jasne, że chłopiec ten — to duch jego śmierci lub po prostu śmierć sama. Lecz czy chłopiec może być śmiercią, skoro pomaga mu pisać poemat ? Czy śmierć może być użyteczna, czy może komuś pomagać ?

Pisze poemat nie o zmartwychwstaniu, ani o złożeniu do grobu, lecz o dniach między jednym i drugim. Pisze poemat „Zamęt”.

Marzył zawsze o opisaniu, jak czarna, robaczywa ziemia przez trzy dni oblegała nieśmiertelne wcielenie miłości, rzucając się na nie falami grud i kamieni, jak morze nabiegające na brzeg podczas przypiływu, jak przez trzy dni szalała, wznosiła się i opadała czarna, ziemna burza.

Ścigały go nieustannie dwa rymujące się zdania :

Dotknąć się rade
i
Zbudź się, powiada

Dotknąć by go rade i piekło i rozkład i gnienie i śmierć, ale także i wiosna i Magdalena i życie. Trzeba się zbudzić. Zbudzić i wstać. Trzeba zmartwychwstać.

Żiwago wracał do zdrowia. Zrazu, jak oszołomiony, nie szukał związków między zjawiskami, wszystko uważał za możliwe, nic nie pamiętał i niczemu się nie dziwił. Żona karmiła go białym chlebem z masłem, poila herbatą z cukrem, kawą. Doktor zapomniał, że były to rzeczy niemożliwe, i cieszył się jedzeniem

jak poezją lub bajką, jak czymś, co się ozdowieńcom z urzędu należy. Lecz jego pierwszym przytomnym pytaniem było :

— Skąd ty to wszystko masz ?

— Od twego Grani.

— Jakiego Grani ?

— Od Grani Żiwago.

— Grania Żiwago ?

— No tak. Twój brat z Omska, Jewgraf. Twój przyrodni brat. Odwiedzał nas ciągle, gdy leżałeś nieprzytomny.

— W jeleniej dasze ?

— Tak, tak. Spostrzegłeś to mimo nieprzytomności ? Opo-
wiadał, że spotkał cię w jakimś domu na schodach. Wiedział,
że to ty jesteś i chciał się tobie przedstawić, ale ty go czymś
przestraszyłeś. Uwielbia cię, zaczytuje się twoimi wierszami.
Dostaje spod ziemi takie rzeczy jak ryż, rodzynki, cukier. Poje-
chał teraz do siebie i nas tam też zaprasza. Taki dziwny, tajemni-
czy. Wydaje mi się, że ma chyba jakiś romans z władzą. Mówi,
że na rok lub dwa trzeba opuścić wielkie miasta i „posiedzieć
na wsi”. Radziłam się go co do byłych majątków Krügerów.
Bardzo je zalecał. Trzeba by mieć teraz własny ogród i las pod
ręką. Nie możemy przecież ginąć pokornie, jak barany.

W kwietniu tegoż roku Żiwagowie wyjechali całą rodziną
na Ural, do Warykina, dawnego majątku Krügerów koło Jurjatina.

R o z d z i a ł V I I

W DRODZE

I

Nadeszły ostatnie dni marca, dni ciepłe, mylnie zapowiadające wiosnę, bo zaraz po nich następuje każdego roku znaczne oziębienie.

W domu Gromeków przygotowywano się śpiesznie do wyjazdu. Innym lokatorom, których po nowym rozdzieleniu powierzchni mieszkalnej było teraz w domu więcej niż wróbli na ulicy, mówiono, że chodzi o generalne porządki przed Wielkanocą.

Jurij Andrejewicz był przeciwny wyjazdowi, lecz nie przeszkadzał przygotowaniom, przypuszczając, że w rozstrzygającej chwili cały projekt okaże się niewykonalny. Przygotowania jednak posuwały się naprzód i zbliżały się do końca. Nadeszła chwila pomówienia o wyjeździe na serio.

Na zwołanym w tym celu posiedzeniu rady rodzinnej doktor raz jeszcze wyłożył żonie i teściowi swe wątpliwości.

— Uważacie więc, że nie mam racji, i że powinniśmy jechać ?
— zakończył. Głos zabrała żona.

— Mówisz, że powinniśmy przeczekać jakiś rok lub dwa, że tymczasem stosunki rolne zostaną uporządkowane, i że potem będziemy mogli wystarać się o jakiś kawałek ziemi pod Moskwą na ogród. Ale jak utrzymamy się przy życiu do tej chwili — o tym nie wspominasz. A to właśnie jest najistotniejsze, i o tym chcielibyśmy usłyszeć.

— Marzenia świętej głowy — podtrzymywał córkę Aleksander Aleksandrowicz.

— Dobrze, poddaję się — zgodził się Jurij Andrejewicz. — Powstrzymuje mnie tylko całkowity brak wiadomości o tym, co tam zastaniemy. Z zamkniętymi oczami jedziemy do miejsca, o którym nie mamy najmniejszego pojęcia. Z trojga ludzi, którzy mieszkali w Warykinie, dwoje, to jest mama i babka, nie żyją, dziadek Krüger zaś, jeżeli żyje, jest zakładnikiem i siedzi w więzieniu.

W ostatnim roku wojny dziadek zrobił coś z lasami i fabryką, sprzedał je fikcyjnie jakiejś podstawionej osobie czy bankowi lub na kogoś przepisał. Co wiemy o tej transakcji? W czyim ręku znajdują się te tereny, nie w sensie własności, bo to nas nie interesuje, ale w sensie administracji. Kto nimi zarządza? Czy ktoś wyrębuje lasy? Czy fabryka pracuje? A wreszcie kto tam jest u władzy i kto będzie u władzy, gdy tam przyjedziemy?

Deską zbawienia jest dla was Mikulicyn, którego nazwisko lubicie powtarzać. Ale kto wam powiedział, że ten stary administrator jeszcze żyje i mieszka nadal w Warykinie? I co właściwie o nim wiemy, prócz tego, że dziadek wymawiał z trudem jego nazwisko, dzięki czemu utkwilo w naszej pamięci. Ale o co się spierać? Postanowiliście jechać. Przyłączam się do was. Trzeba teraz wyjaśnić sobie, jak takie rzeczy się robią. Nie ma więc na co czekać.

2

Aby zasięgnąć wiadomości, Jurij Andrejewicz poszedł na dworzec Jarosławski.

Ustawione na środku sal bariery powstrzymywały natłok podróżnych. Na kamiennych podłogach leżeli ludzie w szarych szynelach, przewracając się z boku na bok, kaszląc i spluwając. Rozmawiali między sobą na cały głos, nie licząc się z akustycznością sklepień.

Byli to przeważnie chorzy, którzy przeszli tyfus plamisty. Wobec przepełnienia szpitali zwalniano ich nazajutrz po kryzysie. Jako lekarz, Jurij Andrejewicz stykał się z tą praktyką, nie wiedział jednak, że nieszczęśliwych chorych było tak wielu, i że przytułkiem ich były dworce kolejowe.

— Starajcie się o podróż służbową — mówił tragarz w białym fartuchu. — Dowiadywać się trzeba co dzień. Pociągi są rzadkie. Wszystko zależy od przypadku. I oczywiście... (tragarz potarł

wielkim palcem o wskazujący)... Mąki czy czegoś takiego... Nie posmarujesz nie pojedziesz. No a to (tu przytknął się w grdykę) — święta rzecz.

3

W tym mniej więcej czasie Aleksander Aleksandrowicz został zaproszony na kilka jednorazowych konsultacji do Najwyższej Rady Gospodarczej, Jurja Andrejewicza zaś wzywano do ciężko chorego członka rządu. Honoraria wypłacono im w najwyższej cenionej wówczas formie, to jest w postaci przydziałów z pierwszego zorganizowanego w tym czasie zamkniętego magazynu rozdzielczego.

Magazyn ten mieścił się w jakichś składach garnizonowych koło Siemionowskiego Monasteru. Doktor z teściem przeszli przez przechodnie podwórza monasteru i koszar i weszli pod sklepienie schodzącej głęboko pod ziemię piwnicy. Rozszerzający się koniec jej zamknięty był długim kontuarem, za którym magazynier, wychodzący co pewien czas do składu po towary, spokojnie i bez pośpiechu ważył i wydawał produkty, wykreślając je szerokim gestem z leżącej przed nim listy.

Interesanci byli nieliczni. — Wasze opakowanie — rzucił magazynier doktorowi i profesorowi, spojrzawszy na ich kwity. Obaj otworzyli szeroko oczy, gdy do przyniesionych przez nich poszewek z damskich jaśków, zwanych „dymkami”, i powłoczek z poduszek magazynier zaczął sypać mąkę, krupy, makaron, cukier, kłasek polcie słoniny, mydło, zapaliki, dając im w końcu po zawiniętej w papier paczce, w której, jak się potem okazało, znajdował się kaukaski ser.

Zięć i teść ułożyli swe zawiniątka w dwa wielkie worki, śpiesząc się, aby niewdzięcznym krzątaniem się nie zabierać czasu magazynierowi, który przytłaczał ich swą wspaniałomyślnością.

Gdy wyszli z piwnicy na powietrze, poczuli się jak pijani; nie zwierzęcą radością z posiadanych skarbów, lecz świadomością, że nie pętają się próżno po świecie i że zasłużyli na uznanie i pochwałę młodej gospodyni Toni.

4

Gdy mężczyźni znikali na dłuższy czas w urzędach, zajęci wyrabianiem dokumentów do podróży służbowej i do zabezpie-

czenia ich mieszkania od rekwizycji, Antonina Aleksandrowna wybierała rzeczy przeznaczone do zapakowania.

Z zakłopotaną miną chodziła po przydzielonych rodzinie Gromeków pokojach, ważąc bez końca w rękę każdy drobiazg, zanim złożyła go na stosie rzeczy przygotowywanych do wyjazdu.

Tylko niewielka ich część stanowiła bagaż osobisty ; reszta przeznaczona była na wymianę w drodze i po przybyciu na miejsce.

Przez otwarty lufcik wiało wiosenne powietrze, pachnące jak świeżo nadgryziona francuska bułka. Z podwórza dochodziło pianie kogutów i głosy bawiących się dzieci. Im bardziej wietrzono mieszkanie, tym wyraźniej czuć było zapach naftaliny, szerzony przez wyjęte z kufrów zimowe ubrania.

O tym, co należy brać z sobą, a co zostawić, istniała już cała teoria, opracowana na podstawie doświadczeń osób, które wyjechały wcześniej, i których wskazówki krążyły wśród pozostałych w mieście przyjaciół.

Wskazówki te przybrały z czasem postać krótkich, nie znoszących sprzeciwu przykazań i były wciąż obecne w pamięci Antoniny Aleksandrowny, jak gdyby dochodziły z podwórza, zmieszane z ćwierkaniem wróbli i głosami dzieci, podpowiadane wciąż przez jakiś tajemny głos.

„Tkaniny, tkaniny — mówił ten głos — najlepiej w kuponach, ale to jest niebezpieczne, bo w drodze rewidują. Lepiej więc w kawałkach zszytych luźno dla niepoznaki. W ogóle jak najwięcej manufaktury. Można też niezbyt znoszone ubrania. Jak najmniej gratów, nic ciężkiego. Wobec częstej konieczności noszenia samemu rzeczy — zapomnieć o kufrach i koszach. Nieliczne rzeczy, sto razy przesiane, trzeba związywać w małe tobołki, które kobieta lub dziecko mogłyby unieść. Doświadczenie uczy, że sól i tytoń są użyteczne, jakkolwiek ryzyko przy tym jest duże. Pieniądze w kierenkach. Najtrudniejsze — dokumenty. I tak dalej, i tak dalej”.

5

W przeddzień odjazdu zerwała się śnieżycą. Wiatr pędził pod niebo szare obłoki kręcących się płatków śniegu, które wirując wracały na ziemię, ulatywały w ciemne ulice i zaścielały je białą powłoką.

Wszystko zostało spakowane. Nadzór nad mieszkaniem i pozostawionymi w nim rzeczami powierzono niemiłodemu małżeństwu, moskiewskim krewnym Jegorowny, których Antonina Aleksandrowna poznała zimą, wymieniając za ich pośrednictwem stare ubrania i zbędne meble na drzewo i ziemniaki.

Na Markiela nie można było liczyć. W milicji, która stała się jego klubem politycznym, nie skarżył się wprawdzie, że byli kamienicznicy Gromekowie pili jego krew, niemniej zarzucał im, że przez długie lata utrzymywali go w niewiedzy, ukrywając przed nim, że świat pochodzi od małpy.

Krewnych Jegorowny, byłego urzędnika firmy handlowej i jego żonę, Antonina Aleksandrowna po raz ostatni oprowadzała po mieszkaniu, pokazując jakie klucze pasują do jakich zamków, i gdzie co się znajduje, otwierając i zamykając przy nich szafy, wysuwając szuflady i wtajemniczając ich we wszystkie szczegóły.

Stoły i krzesła ustawiono pod ścianami, bagaże złożono razem; ze wszystkich okien zdjęto firanki. Śnieżycza zaglądała teraz bez przeszkód do nieprzytulnych, opuszczonych pokoi. Widok jej wywoływał u każdego jakieś wspomnienia. Doktorowi przypominał dzieciństwo i śmierć matki. Antoninie Aleksandrownie i jej ojcu — śmierć i pogrzeb Anny Iwanowny. Wszystkim zdawało się, że spędzają ostatnią noc w domu, którego już więcej nie zobaczą. Z myśli tych nie zwierzali się, aby nie martwić się nawzajem. Mylili się zresztą, ale pod wpływem tych błędnych przewidywań rozważali, każdy dla siebie, okres życia spędzony pod tym dachem i powstrzymywali łzy.

Myśli te nie przeszkadzały Antoninie Aleksandrownie w zachowywaniu poprawnych manier wobec obcych. Podtrzymywała więc nieustanną rozmowę z kobietą, której powierzała opiekę nad mieszkaniem, i, przeceniając wartość tej usługi, co chwila przeproszała ją, znikając w sąsiednim pokoju i wracając przynosząc jej stamtąd jakiś upominek: chustkę, bluzkę, kawałek perkalu lub muślinu. Tkaniny te były ciemne w białe kratki lub groszki, przypominające barwą zaśniewoną ulicę, która patrzyła na ten pożegnalny wieczór przez okna odarte z firanek.

O świcie poszli na dworzec. Mieszkańcy domu spali jeszcze o tej godzinie. Lokatorka Zieworotkina, inicjatorka wszystkich gromadnych poczyniń, obiegła pozostałych lokatorów, stukając

do ich drzwi i krzycząc: — Uwaga, towarzysze! Chodźcie się żegnać! Więcej wesela! Byli Gromekowie odjeżdżają.

Lokatorzy zbiegli do sieni i zgromadzili się na ganku kuchennego wejścia (frontowe było teraz przez cały rok zamknięte), stając półkolem na stopniach jak do wspólnej fotografii. Garbili się przy tym, aby narzucone w pośpiechu nędzne płaszcze nie zsunęły się im z ramion, i dla rozgrzewki dreptali bosymi nogami w obszernych walonkach.

Markiel zdążył się już upić jednym z okropnych trunków, jakie pijano podczas tych ubogich w alkohol lat, i padał jak podcięty na balustradę ganku, grożąc jej złamaniem. Ofiarowywał się zanieść bagaże na dworzec i czuł się obrażony, że nie chciano przyjąć jego pomocy. Z trudem tylko udało się odeń odciągnąć.

Na ulicy było jeszcze ciemno. Wiatr ucichł, i śnieg padał gęstszy niż poprzedniego dnia. Szerokie, kosmate płatki spadały leniwie, zatrzymując się nad ziemią, jak gdyby wahały się, czy mają spaść czy nie.

Świt zaczął się gdy wyszli z wąskich uliczek na Arbat. Padający śnieg zasłaniał ulicę białą kotarą, której frendzle płątały się pod nogami idących. Zdawało się im, że nie posuwają się naprzód, lecz drepczą na miejscu.

Na ulicy nie było żywej duszy. Podróżni z Siwcewa Wrażka nie widzieli przed sobą nikogo. Po chwili dopędził ich oblepiony śniegiem jak ciastem dorożkarz, który za bajeczną, jak na te czasy, choć w istocie nie wartą kopiejki sumę załadował ich wszystkich z rzeczami na swój wehikuł, z wyjątkiem Jurja Andrejewicza, któremu na własną prośbę pozwolono iść pieszo bez bagażu.

7

Na dworcu Antonina Aleksandrowna z ojcem zajęła miejsce w nieskończenie długiej kolejce, ściśniętej z obu stron drewnianymi barierami. Do pociągów nie wsiadano teraz z peronów, ale o pół wiorsty dalej, koło wyjściowego semaforu. Połowa stacyjnego terenu pokryta była grubą warstwą lodu i nieczystości, do uprzątnięcia których brakło rąk roboczych. Lokomotywy zatrzymywały się na granicy lodowej skorupy.

Niusza i Szura nie stali w kolejce z matką i dziadkiem, lecz przechadzali się po olbrzymiej hali dworcowej, dowiadując się z rzadka, czy nie czas im przyłączyć się do starszych. Oboje wydzielali silny zapach nafty, którą posmarowano im kostki

nóg, przeguby rąk i szyje dla zabezpieczenia od roznoszących tyfus wszy.

Widząc nadchodzącego męża, Antonina Aleksandrowna dała mu znak ręką i, nie czekając aż się zbliży, zawołała mu, w jakiej kasie stemplują służbowe dokumenty podróży. Tam też udał się Jurij Andrejewicz.

— Pokaż, jakie przybili ci pieczętki — spytała go po powrocie żona. Doktor podał jej przez barierę plik papierów.

— To jest pieczętka do przedziału dla delegatów — powiedział stojący za Antoniną Aleksandrowną sąsiad, spojrzawszy jej przez ramię na papiery. Drugi sąsiad, legalista, znający przepisy regulujące wszystkie sytuacje życiowe, wyjaśnił to bliżej :

— Z tą pieczętką macie prawo żądać miejsca w klasowym, to jest osobowym wagonie, jeżeli taki znajduje się w składzie pociągu.

Uprawnienia doktora stały się przedmiotem komentarzy całej kolejki. Odezwały się różne głosy :

— Idź szukać ich, tych osobowych wagonów. Zawracanie głowy. Za miejsce na towarowym buforze będziesz musiał dziękować.

— Nie słuchajcie ich, obywatelu odkomenderowany. Zaraz wam wyjaśnię. Wszystkie pociągi są obecnie zniesione. Istnieją tylko transporty zbiorowe dla wszystkich : dla wojskowych, dla aresztantów, dla bydła i dla ludzi. O uprawnieniach można mówić co się chce, na to jest język, trudniej wyjaśnić o co chodzi.

— Dopiero wyjaśnił. Znalazł się mądrala. Że on ma pieczętkę do przedziału dla delegatów, to jest tylko połowa sprawy. Ale zanim mówisz, musisz mu się przyjrzeć. Czy z takim wyglądem można iść do przedziału dla delegatów ? Tam pełno bratuszków. Marynarz ma oko bystre i nagan na sznurku. Pozna od razu — klasa posiadająca, do tego doktor, z byłych, znaczy się, panów. Marynarz łap za rewolwer i zabił jak muchę.

Nie wiadomo, do czego doprowadziłoby ogólne współczucie dla doktora i jego rodziny, gdyby nowe okoliczności nie odwróciły odeń uwagi.

Czekający od dawna już rzucali spojrzenia przez grube, lustrzane szyby okien. Kilka rzędów dachów osłaniających perony oddalało obraz padającego śniegu. Widziane z odległości, płatki śniegu zdawały się wisieć nieruchomo, osiadając powoli w powietrzu, podobne do kawałków chleba tonących w wodzie przy karmieniu ryb.

W oddali widać było już od dawna jakieś postacie idące pojedynczo lub małymi grupami. Za migotliwą siecią padającego śniegu nie można ich było odróżnić i, dopóki szli z rzadka, brano ich za kolejarzy idących torami do pracy. Nagle przez tory zaczął walić cały tłum. Nad nim widać było dym lokomotywy.

— Otwierajcie, złodzieje ! — krzyczano w kolejce. Tłum posunął się ku drzwiom ; tylne szeregi popychały stojących na przedzie. — Patrzajcie, co się dzieje ! Stoimy tu zamknięci, a tam walą dokoła bez kolejki ! Napęlnią wagony aż do wierzchu, a my tu stoimy jak owce. Otwierajcie, dranie, bo wyłamiemy drzwi ! Hej, chłopcy, naciskajmy kupą !

— I komu to, głupi, zazdroszcza ? — mówił wszechwiedzący znawca przepisów. — To zmobilizowani, powołani z Petersburga do armii pracy. Miano ich wysłać do Wołogdy na północny front, a teraz pędzą na wschodni. Jadą pod konwojem, nie z własnej woli. Będą kopali okopy.

8

Byli już od trzech dni w drodze, lecz nie odjechali daleko od Moskwy. Krajobraz był wszędzie zimowy : szyny, pola, lasy, dachy domów — wszystko w śniegu.

Rodzinnie Żiwagów udało się zdobyć miejsce w przedniej części wagonu, w lewym kącie górnych nar, koło podłużnego, mętnego okienka pod samym pułapem. Mieścili się tam wszyscy razem, w kółku rodzinnym.

Antonina Aleksandrowna podróżowała po raz pierwszy wagonem towarowym. Na stacji w Moskwie Jurij Andrejewicz podniósł kobiety na rękach do wysokości podłogi wagonu, brzegiem której przesuwiała się ciężka kulisa drzwi. W dalszej drodze kobiety nauczyły się wdrapywać samodzielnie do ciepłuszki.

W pierwszej chwili wagony wydały się Antoninie Aleksandrownie chlewami na kołach. Jej zdaniem pudła te powinny były rozpaść się przy pierwszym pchnięciu lub wstrząsie, lecz od trzech dni już rzucało nimi przy zmianach szybkości naprzód i w tył, chyliło na bok na zakrętach, osie pod podłogą stukwały jak mały bęben uderzany pałeczkami, i wbrew przewidywaniom Antoniny Aleksandrowny podróż odbywała się po-
myślnie.

Długi pociąg składał się z dwudziestu trzech wagonów (Żiwagowie mieli miejsce w czternastym) i na mniejszych sta-

cjach tylko część jego — przednia, środkowa lub tylna — zatrzymała się przy zbyt krótkich peronach.

W pierwszych wagonach jechali wojskowi, w środkowych publiczność wolna, w ostatnich zaś zmobilizowani w służbie pracy. Tych ostatnich było koło pięciuset.

Zajmowali osiem wagonów o bardzo mieszanej publiczności. Obok dobrze ubranych ludzi zamożnych, petersburskich giełdziarzy i adwokatów, można tam było spotkać zaliczonych do klasy wyzyskiwaczy stangretów, froterów, łaźnienników, Tatarów handlujących starzyzną, chorych umysłowo zbiegłych ze zdeзорganizowanych szpitali, drobnych kupców i zakonników.

Ludzie należący do pierwszej kategorii siedzieli bez marynarek na pieńkach dokoła rozpalonych pieców, opowiadali sobie na wyścigi anegdoty i śmieli się głośno. Byli to ludzie ustosunkowani, pewni, że starają się o nich wpływowi znajomi. W ostateczności mogli się wykupić w drodze.

Pozostali, w długich butach i rozpiętych kapotach, w koszulach wypuszczonych na spodnie, z brodami i bez nich, stali w otwartych drzwiach, trzymając się odrzwi i żelaznych poprzeczek, ponuro patrzyli na mijane okolice i ich mieszkańców i z nikim nie rozmawiali. Nie posiadali żadnych użytecznych stosunków i nie mieli na kogo liczyć.

Nie wszyscy pasażerowie tej kategorii mieścili się w przeznaczonych dla nich wagonach. Część ich umieszczono w wagonach dla wolnych podróżnych. Kilku z nich znajdowało się także w czternastej ciepłuszce.

9

Przy zbliżaniu się pociągu do stacji, leżąca na samej górze Antonina Aleksandrowna podnosiła się zazwyczaj i w bardzo niewygodnej pozycji, do której zmuszał ją niski pułap, zwieszała głowę z nar i, patrząc przez szczylinę na pół otwartych drzwi na narastające powoli zarysy stacji, oceniała, czy ta ostatnia jest interesująca z punktu widzenia handlu zamiennego, i czy warto wychodzić z wagonu.

Tak było i teraz. Zwalniający się bieg pociągu wyrwał ją z drzemki. Wielka liczba zwrotnic, na których podskakiwała i stukała ciepłuszka, pozwalała wnosić, że stacja jest duża, i że postój na niej będzie długi.

Schylona pod pułapem, Antonina Aleksandrowna usiadła, przetarła oczy, poprawiła włosy i sięgnęła głęboko do worka, z którego, przerzuciwszy wszystko aż do dna, wyciągnęła ręcznik

z wyhaftowanymi na nim kogutami, parobkami, chomątami i kołami.

Zbudzony również doktor pierwszy zeskoczył z nar i pomógł zejść z nich żonie.

Przed otwartymi drzwiami wagonu migwały budki dróżników, latarnie, a wreszcie i drzewa stacyjnego ogródka, wyciągające ku pociągowi, niby ręce z chlebem i solą, gałęzie pokryte płatami śniegu. Z biegnącego jeszcze szybko pociągu zaczęli zeskakiwać na nietknięty śnieg peronu marynarze. Wyprzedzając innych biegli za węgiel stacji, gdzie zazwyczaj, zasłonięte od wiatru, skrywały się kobiety uprawiające zakazany handel artykułami spożywczymi.

Czarne mundury marynarzy, wstążki powiewające z ich beretów i kloszowe spodnie nadawały ich krokom charakter szybki i zdecydowany; rozstępowano się przed nimi jak przed zjeżdżającymi z pochyłości narciarzami lub rozpędzonymi na tyżwach zawodnikami.

Za węglem, chowając się, jak u wróżki, jedna za drugą, stały rzędem kobiety z okolicznych wsi, niosące ogórki, twaróg, gotowaną wołowinę i pierogi z serem, ciepłe jeszcze pod przykrywającymi je pikowanymi chustkami. Baby i dziewczyny, w kożuchach i chustkach na głowie, czerwieniły się jak mak od żartów marynarzy, bojąc się ich jednocześnie jak ognia, z nich bowiem składały się głównie oddziały przysyłane do zwalczania spekulacji i zabronionego wolnego handlu.

Trwoga ich trwała krótko. Pociąg zatrzymał się i ukazali się też inni pasażerowie, mieszając się z miejscowymi. Handel stał się po chwili bardzo ożywiony.

Antonina Aleksandrowna dokonała naprzód przeglądu wszystkich handlarek, zarzuciwszy ręcznik na ramię, jak gdyby szła za stację umyć się śniegiem. Kilkakrotnie wołano za nią: — Hej, mieszczaneczko, co chcesz za płótno? — lecz Antonina Aleksandrowna nie zatrzymywała się i szła z mężem dalej.

Na końcu szeregu stała kobieta w czarnej chustce w czerwone kwiaty, która zauważyła haftowany ręcznik. Jej zuchwałe oczy zaświeciły się. Obejrawszy się dokoła i sprawdziwszy, czy żadne niebezpieczeństwo nie grozi, kobieta zdecydowanym krokiem podeszła blisko do Antoniny Aleksandrowny i, odstawiając swój koszyk, zaczęła prędko szeptać:

— Ot co! Takiego na pewno nie widziałas! Nie skusisz się? Nie myśl długo, bo zabiorą. Oddaj ręcznik za poletek.

Antonina Aleksandrowna nie zrozumiała ostatniego słowa. Wydało się jej, że mowa o jakiejś chustce, i spytała o co chodzi.

Poletkiem kobieta nazywała połowę pieczonego zająca, rozrąbanego od głowy do ogona. Powtórzyła : — Oddaj, mówię ręcznik za poletek. Co tak patrzysz ? Przecie nie psie mięso. Mój mąż jest myśliwy. To zając, zając.

Zamiany dokonano. Każdej stronie zdawało się, że zrobiła świetny interes z stratą dla kontrahentki. Antoninie Aleksandrownie zrobiło się wstyd, że oszukała biedną wieśniaczkę. Ta ostatnia, zadowolona z wymiany, chciała jak najprędzej zniknąć i, zawoławszy targującą się z zapalem sąsiadkę, poszła z nią razem do domu wydeptaną w śniegu i prowadzącą gdzieś daleko ścieżką.

W tej chwili właśnie w tłumie zaczął się popłoch. Jakaś staruszka krzyczała :

— Dokąd, kawalerze ? A pieniądze ? Kiedyś mi je dał, człowieku bez sumienia ? Ach ty, worku nienasycony, wołają cię, a ty się nawet nie obejrzysz. Stój, mówię ci, stój, panie towarzyszu ! Na pomoc ! Rozbój ! Ograbił mnie ! To ten, to ten, to ten, trzymajcie !

— Który to ?

— To ten gołomordy co idzie i śmieje się.

— Ten z dziurą na łokciu ?

— Ten sam, ten sam. Ach Boże, ograbił mnie.

— Co się tu stało ?

— Targował się z babuleńką o pierogi i mleko, najadł się, a potem chodu. Stara płacze, rozpacza.

— Tego tak zostawić nie można. Trzeba go schwycić.

— Spróbuj. Cały w rzemieniach i patronach. On ci pokaże.

10

W czternastej ciepłuszce jechało kilku powołanych do armii pracy. Pilnował ich wartownik Woroniuk. Z różnych powodów trzech z nich wyróżniali się. Byli to : były kasjer monopolowego sklepu wódczanego w Petrogradzie, Prochor Charitonowicz Prituljew, „kasa”, jak go nazywano w ciepłuszce, szesnastoletni Wasia Brykin, chłopiec na posyłki w żelaznym sklepie, i spółdzielca Kostojed-Amurskij, który zwiedził wszystkie katorgi za starego reżymu i otwierał właśnie nową serię zsyłek pod nowym reżymem.

Trzej zwerbowani pochodzili z różnych środowisk, złapani zostali przypadkowo i poznali się dopiero w drodze. Z rozmów ich w podróży okazało się, że kasjer Prituljew i praktykant

handlowy Wasia Brykin są ziomkami, że obaj pochodzą z wiat-skiej gubernii, przy tym z miejscowości, przez którą pociąg miał w krótkim czasie przejeżdżać.

Ostrzyżony na jeża, dziobaty, dość szpetnej powierzchowności, Prituljew był mieszczaninem z Małmyża. Szary, przeпоcony pod pachami kitel obciskał go mniej więcej tak, jak stanik sara-fanu obciska wydatny biust. Prituljew był milczący ; pogrążony w myślach rozdrapywał na rękach brodawki, które zaczęły ropieć.

Przed rokiem Prituljew szedł Newskim Prospektem i na rogu Litiejnego trafił w obławę. Przy sprawdzaniu dokumentów wyszło na jaw, że był posiadaczem karty aprowizacyjnej czwar-tej klasy. Dokumenty takie przeznaczone były dla elementów niepracujących, i żadnych towarów na nie nigdy nie wydawano. Na podstawie tej karty został zatrzymany i wraz z innymi, zatrzymanymi na ulicy z tegoż powodu, odprowadzony pod eskortą do koszar. Zebrano w ten sposób całą partię, którą, wzorem poprzedniej, zajętej kopaniem okopów na froncie archan-gielskim, chciano zrazu wysłać do Wołogdy, lecz zatrzymano w drodze i skierowano przez Moskwę na front wschodni.

Żona Prituljewa mieszkała w Łudze, gdzie on sam też pra-cował przed wojną, zanim otrzymał posadę w Petersburgu. Dowiedziawszy się od trzecich osób o jego nieszczęśliwym wy-padku, żona pojechała szukać go w Wołogdzie i rozpoczęła starania o zwolnienie go z armii pracy. Oddział jego skierowano tymczasem gdzie indziej. Starania żony spełzły na niczym. Wszy-skto powikłało się.

W Petersburgu Prituljew żył w wolnym związku z Pełagieją Niłowną Tiagunową. Zatrzymano go na Newskim właśnie w chwili, gdy pożegnał się z nią na rogu, idąc w interesach w innym kierunku. Widział ją oddalającą się powoli Litiejnym Prospektem.

Tiagunowa, pełna i postawna mieszczanka, z delikatnymi rękami i grubym warkoczem, który z westchnieniem przerzucała przez jedno lub drugie ramię, towarzyszyła dobrowolnie Pritulje-wowi.

Trudno było zrozumieć, co lgnące doń kobiety widziały w takiej pokrace jak Prituljew. Oprócz Tiagunowej w tymże pociągu, o kilka wagonów bliżej parowozu, jechała inna znajoma Prituljewa, która nie wiadomo jak znalazła się w tym transporcie. Była to chuda i jasnowłosa Ogryzkowa, osoba niezamężna, którą Tiagunowa nazywa „gąbką” i „szprycowaną”, nie szczędząc jej innych jeszcze obelżywych przezwisk.

Rywalki były z sobą na noże i starały się wzajemnie unikać. Ogryzkowa nie przychodziła nigdy do ciepłuszki Prituljewa.

Nikt nie wiedział, gdzie widywała się z przedmiotem swych westchnień. Być może zadawała się oglądaniem go z daleka podczas ładowania węgla i drzewa wspólnymi siłami wszystkich pasażerów.

II

Inna była historia Wasi. Ojciec jego zginął na wojnie, i matka wysłała Wasię na naukę do wuja mieszkającego w Petersburgu.

Wuja, właściciela żelaznego sklepu na Apraksińskim Rynku, wezwano zimą do sowietu dla wyjaśnienia jakiejś sprawy. Przez omyłkę, zamiast do pokoju wymienionego w wezwaniu, wuj wszedł do pokoju sąsiedniego, w którym urzędowała właśnie komisja poborowa armii pracy. Panował w nim wielki ścisk. Gdy liczba osób, które stawily się w tym pokoju na wezwanie komisji, uznana została za dostateczną, przyszli krasnoarmiejcy, otoczyli obecnych i odprowadzili ich na noc do Siemionowskich koszar, a następnego ranka na dworzec, na pociąg do Wołogdy.

Wiadomość o zatrzymaniu tak wielkiej liczby osób obiegła miasto. Następnego dnia rodziny zatrzymanych poszły żegnać ich na dworcu. W liczbie ich był także Wasia z ciotką.

Na dworcu wuj zaczął prosić wartownika o wypuszczenie go na chwilę do żony. Wartownikiem tym był Woroniuk, towarzyszący teraz grupie zmobilizowanych w czternastej ciepłuszcze. Bez poważnej gwarancji, że wuj wróci, wartownik nie chciał słyszeć o wypuszczeniu. Jako porękę, wuj z ciotką zaproponowali wówczas pozostawienie pod strażą siostrzeńca. Woroniuk zgodził się. Wasię wprowadzono za ogrodzenie, wuja zaś wypuszczono. Wuj i ciotka więcej nie wrócili.

Gdy podstęp się wydał, nie podejrzewający niczego Wasia zapłakał. Klękał przed Woroniukiem, całował go po rękach, błagając o wypuszczenie, ale bez skutku. Woroniuk był nieubłagany. Nie był okrutny z natury, ale czasy były trwożne, przepisy surowe. Wartownicy odpowiadali głową za liczbę przekazanych im osób. W ten sposób Wasia znalazł się w armii pracy.

Spółdzielca Kostojed-Amurskij, szanowany przez wszystkie władze więzienne carskiego i obecnego reżymu i umiejący nawiązywać najlepsze stosunki z strażnikami, wielokrotnie zwracał uwagę naczelnika konwoju na ten niedopuszczalny wypadek. Naczelnik przyznawał, że jest to krzycząca omyłka, twierdził jednak, że względy formalne nie pozwalają mu zająć się tym

wypadkiem w drodze, i że będzie to mógł zrobić dopiero po przybyciu na miejsce.

Wasia był ładnym chłopcem o regularnych rysach, jakie widzi się na oleodrukach u carskich paziów i aniołów Bożych. Był wyjątkowo niewinny, nietknięty przez zepsucie. Ulubioną jego rozrywką było siedzieć na podłodze u nóg starszych i, opłotłszy rękami kolana, z odrzuconą w tył głową, słuchać rozmów i opowiadać. Z gry jego twarzy, gdy powstrzymywał się od płaczu lub dusił ze śmiechu, można było odtworzyć sens słyszanych przezeń słów. Przedmiot rozmowy odbijał się jak w zwierciadle w twarzy wrażliwego chłopca.

12

Zaproszony przez Żiwagów, spółdzielca Kostojed siedział na górnych narach i głośno wysysał ofiarowaną mu zajęczą łopatkę. Kostojed obawiał się przeciągów i przebiegów. — Jaki przeciąg! Skąd tak wieje? — pytał wciąż, przesiadając się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zabezpieczonego od przeciągów kąta. Znalazłszy go wreszcie, powiedział: — Teraz dobrze — po czym dojadł łopatkę, oblizał palce, wytarł je chusteczką i podziękowawszy gospodarzom rzekł:

— To z okna. Trzeba je koniecznie uszczelnić. Ale wróćmy do przedmiotu dyskusji. Nie macie racji, doktorze. Zajac — rzecz świetna, ale wnosić stąd, że wieś jest szczęśliwa, byłoby, wybaczenie mi, rozumowaniem śmiałym a nawet ryzykownym.

— Dajcie pokój — oponował Jurij Andrejewicz. — Popatrzcie tylko na te stacje. Drzewa nie ścięte, płoty całe. A te wolne rynki, te baby! Pomyślcie, ile stąd zadowolenia. Jest przecież jeszcze gdzieś życie, są jeszcze zadowoleni. Nie wszyscy jęczą. Sam ten fakt usprawiedliwia całą resztę.

— Dobrze by było, gdyby rzeczy tak się istotnie miały. Ale skąd wyście to wzięli? Odjedźcie tylko sto wiorst od linii kolejowej. Wszędzie zobaczycie nieustające chłopskie powstania. Przeciw komu, pytacie? Przeciw białym i przeciw czerwonym, zależnie od tego, kto w tym miejscu ma władzę. Aha, powiecie, chłop jest wrogiem wszelkiego porządku, sam nie wie czego chce. Lecz nie macie racji. Chłop wie to lepiej od was, ale chce czegoś zupełnie innego niż wy i ja.

Gdy rewolucja obudziła go, uznał, że spełnia się jego wiekowe marzenie o życiu na uboczu, o anarchicznej egzystencji na własnym kawałku gruntu, z pracy własnych rąk, w zupełnej niezależ-

ności, bez żadnych obowiązków wobec kogokolwiek. A tymczasem z kleszczy starego, obalonego państwa wpadł w jeszcze ciśniejsze więzy rewolucyjnego nadpaństwa. I oto wieś szarpie się i nigdzie nie znajduje spokoju. A wy mówicie, że żyje szczęśliwa. Nie, ojcze, nic nie wiecie i, jak widzę, nie chcecie nawet wiedzieć.

— Cóż, i w samej rzeczy nie chcę. Święta prawda. Ach, dajcie pokój, Czemu mam wszystko wiedzieć, wszystkim przejmować się? Nasze czasy nie liczą się ze mną i narzucają mi co chcą. Pozwólcie i mnie z kolei ignorować fakty. Mówicie, że moje słowa nie pokrywają się z rzeczywistością. A czy jest teraz w Rosji jakaś rzeczywistość? Według mnie rzeczywistość jest tak wylękniona, że ukrywa się. Chcę wierzyć, że wieś zyskała i jest w kwitnącym stanie. Jeżeli myślę się, co mam robić? Czym żyć, kogo słuchać? A żyć muszę, mam rodzinę.

Jurij Andrejewicz machnął ręką. Pozostawił teściowi dokończenie dyskusji z Kostojedem, przesunął się na brzeg nar, pochylił głowę i zaczął przysłuchiwać się, o czym mówiono na dole.

Toczyła się tam ogólna rozmowa między Prituljewem, Woroniukiem, Tiagunową i Wasią. Wobec zbliżania się pociągu do rodzinnych okolic, Prituljew przypominał sobie ich topografię, stację kolejową i prowadzące od niej drogi i ścieżki. Gdy wymieniał znajome wsie i miejsca, Wasia podnosił się z płonącymi oczami i powtarzał z zachwytem ich nazwy; samo wyliczenie ich było dlań czarowną baśnią.

— Na Suchym Brodzie wysiadacie? — pytał niecierpliwie. — Jakże! To nasza stacja! A potem pewnie bierzecie się na Bujskoje?

— Potem na bujską drogę.

— Tak też mówię — drogę na Bujskoje. Pewnie że znam. Tam się skręca do domu, wciąż na prawo, na Wieretinniki. A wam, wuju Charitonyczu, droga pewnie na lewo, precz od rzeki? Rzekę Pełgę znacie? Jakże! Nasza rzeka. Do nas jedzie się wciąż brzegiem. I nad tą rzeką, trochę wyżej stoją nasze Wieretinniki, nasza wieś. Nad samym jarem. Brzeg stromy, och jak stromy! Po naszymu to „zawałkiem” nazywają. Gdy stanąć na krawędzi, straszno spojrzeć na dół, taka stromizna! Żeby tylko nie spaść! Na prawdę tak jest! Kamień tam wydobywają. Na żarna. W Wieretinnikach mieszka moja mama. I dwie siostrzyczki. Alonka i Ariszka. Mama moja, Pałaszka, jest coś tak jak wy, Pełagieja Niłowna, młoda, biała. Diadia Woroniuk! Diadia Woroniuk! Na Chrystusa zaklinam was... Diadia Woroniuk!

— No co? Powtarzasz jak kukulka: „Diadia Woroniuk, diadia Woroniuk!” Chyba wiem, że się tak nazywam?

Czego chcesz ? Czego ci trzeba ? Żeby ci pozwolił uciec ? Czyś ty się wściekł ? Dasz chodu, a mnie amen, pod stenkę ?

Pelagieja Tiagunowa patrzyła gdzieś daleko i milczała. Gładziła Wasię po głowie i w zamyśleniu bawiła się jego jasnymi włosami. Co pewien czas ruchami głowy, oczu i uśmiechem dawała chłopcu znaki mówiące : bądź rozsądny i nie mów o takich rzeczach z Woroniukiem przy wszystkich. Uspokój się, poczekaj. Wszystko się jakoś ułoży.

13

Niespodzianki zaczęły się, gdy jadący na wschód pociąg oddalił się od środkowo-rosyjskich obszarów. Jechali teraz przez kraj niespokojny, w którym grasowały zbrojne bandy, i przez tereny niedawno uśmierzonych powstań.

Coraz częściej pociąg zatrzymywały w polu oddziały zaporowe, przeglądano bagaże, sprawdzano papiery.

Pewnego razu pociąg zatrzymał się w nocy. Nikt nie wchodził do wagonów, nikogo nie budzono. Jurij Andrejewicz zeskokczył z tiepluszki, aby zobaczyć czy nie zaszedł jakiś wypadek.

Noc była ciemna. Bez widocznej przyczyny pociąg stał w polu, w jakimś przypadkowym miejscu, wśród zwykłych szpalerów ze świerków. Sąsiedzi, którzy wyszli już wcześniej i dreptali teraz przed tiepluszkami, opowiedzieli doktorowi, że nic nadzwyczajnego nie zaszło. Maszynista sam zatrzymał pociąg pod pretekstem, że znajdowali się na terenie zagrożonym, przez który nie podejmuje się prowadzić pociągu, zanim drezyna nie sprawdzi stanu szyn. Delegaci pasażerów udali się już podobno do maszynisty, aby namówić go do dalszej jazdy i ofiarować, w razie potrzeby, łapówkę. Mówiono też, że wdali się w to także marynarze. Ci go już przekonają.

Słuchając tych szczegółów, Jurij Andrejewicz patrzył, jak płomienie wydobywające się z komina i popielnika oświetlały, niby pęłające ognisko, śnieżną równinę dokoła parowozu. Jeden z tych ognistych języków oświetlił jaskrawo kawałek pola, parowóz i kilka biegnących po jego ramie postaci.

Przodem przemknął po mostku parowozu maszynista. Dobiegłszy do końca mostka, zeskoczył z buforów i znikł z pola widzenia. Tą samą drogą, powtarzając jego ruchy, przemknęli ścigający go marynarze. Dobiegli do końca mostka, mignęli w powietrzu i znikli jak pod ziemią.

Zainteresowany tym widowiskiem, Jurij Andrejewicz z kilku ciekawymi poszedł naprzód w kierunku parowozu.

Na wolnej przestrzeni przed pociągiem ukazał się im następujący widok. Niedaleko od toru maszynista tkwił zanurzony do pół ciała w głębokim śniegu, marynarze otaczali go półkolem, jak naganka zwierzyne. Maszynista krzyczał :

— Dziękuję wam, „zwiastuny burzy” ! Tego dożyłem ! Z naganem na brata robotnika ! Czemu powiedziałem, że pociąg nie pójdzie dalej ? Towarzysze pasażerowie, jesteście świadkami, w jakim kraju się znajdujemy. Kto chce, pęta się po torach i śruby odkręca. Mnie to, mama wasza po połowie z babcią, co ? Ja, syfon wam pod żebra, nie o sobie myślę, a o was, żeby wam się czego nie stało. I oto nagroda za moją opiekę. No cóż ? Strzelaj do mnie ! Towarzysze pasażerowie, bądźcie świadkami. Tam on, tu ja, nie chowam się.

Z grupy podróżnych stojących na plancie rozległy się różne głosy. Jedni, przestraszeni, wołali :

— Co ty robisz ?... Zastanów się... Czy ty naprawdę... Kto im pozwolił ? Oni tylko tak... chcą cię nastraszyć...

Inni podjudzali głośno :

— Tak im, Gawriłka ! Trzymaj się, poddawaj pary !

Pierwszy wygrzebał się z śniegu rudy marynarz, rodzaj olbrzyma z głową tak wielką, że twarz wydawała się na niej płaska. Odwrócił się do pasażerów i basem, z ukraińska jak Woroniuk, powiedział kilka słów, odcinających się swym jowialnym spokojem od mrocznych kulis tej sceny :

— Przepraszam, co to za harmider ? Żebyście tylko nie zasłabli na wietrze, obywatele. Chowajcie się przed zimnem do wagonów.

Gdy pasażerowie rozeszli się po ciepłuszkach, rudy marynarz zbliżył się do maszynisty, który nie ochłonął jeszcze ze wzburzenia, i powiedział :

— Dosyć hysterii, towarzyszu maszynisto. Wyłaż z dziury i jedźmy.

Następnego dnia, zwalniając ciągle biegu w obawie wykolejenia na zawianych śniegiem szynach, maszynista zatrzymał pociąg na pustkowiu, z którego wszelkie życie uciekło, i w którym nie od razu poznano resztki spalonej stacji. Na jej zakopczonej fasadzie widniał na pół czytelny napis : „Niżnij Kelmes”.

Pożar zniszczył nie tylko budynki kolejowe. Za stacją widać było opuszczoną i zasypaną śniegiem wieś, która podzieliła smutny los stacji.

Najbliższa chata była całkowicie zwęglona, z następnej wystawały wyrwane belki ; wszędzie leżały kawałki sań, szczątki przewróconych płotów, pokręconego żelastwa i połamanych sprzętów domowych. Na zmieszanym z sadzą i popiołem śniegu widoczne były wytopione przez gorąco łysiny oraz miejsca zalane zlodowaciałymi pomyjami, w których tkwiły czarne głownie. Były to ślady prób gaszenia pożaru.

Stacja i wieś nie były jednak całkowicie wyludnione. Tu i tam było jeszcze po parę żywych dusz.

— Cała sloboda spaliła się ? — zapytał z współczuciem naczelnik transportu, gdy z ruin wyszedł doń zawiadowca stacji.

— Dzień dobry. Serdeczne gratulacje z okazji pomyślnego przybycia. Spaliła się, ale to nie było najgorsze.

— Nie rozumiem.

— Lepiej nie wchodzić w szczegóły.

— Czyżby Strelnikow ?

— Właśnie

— Czym zawiniliście ?

— My niczym. Byliśmy tu piątym kołem u wozu. Zawinili sąsiedzi, a nam dostało się też. Widzicie w głębi tę wieś ? Tam są winowajcy. Wieś Niżnij Kelmės, gmina Ust'-Niemdinsk.

— A im za co się dostało ?

— Niemal za siedem grzechów głównych. Rozpędzili komitet biedoty, to raz ; sprzeciwili się dekretovi o dostawie koni do czerwonej armii, a jeden w drugiego tatarscy koniarze, to dwa ; nie podporządkowali się dekretovi o mobilizacji, to trzy. Jak widzicie, nie mało.

— Tak, teraz rozumiem wszystko. I za to dali im z artylerii ? — Otóż to właśnie.

— Z pancernego pociągu ?

— Rozumie się.

— Szkoda. Rzecz godna ubolewania. Ale to wychodzi poza naszą kompetencję.

— Przy tym są to już rzeczy minione. Uciesznych nowin dla was nie mam. Postoićie tu dzień czy dwa.

— Żartujecie. Wiozę nie byle co — uzupełnienia na front. Nie przywykłem do długich przestojów.

— Nie ma mowy o żartach. Zaspj, sami widzicie. Śnieżyca szalała na linii przez cały tydzień. I nie ma komu odkopywać. Połowa ludności uciekła. Ci co zostali nie dadzą rady.

— A bodaj że was ! Zginałem, przepadłem ! Co teraz robić ?

— Jakoś tor się oczyści i pojedziecie.

— Wielkie zasypy ?

— Nie bardzo. Miejscami. Burza szła przez tor ukośnie. Najtrudniejszy odcinek znajduje się po środku. Trzy kilometry do odkopania. Tam trzeba będzie cierpliwości. Tor zasypany doszczętnie. Dalej jest tajga, i las osłonił. Przed wykopem, mimo otwartej przestrzeni, też nie jest źle. Wiatr wywiał część śniegu.

— Niechże was diabli wezmą. Co za czary ! Ja cały pociąg postawię na nogi, niech pomagają.

— Tak też myślałem.

— Nie ruszajcie tylko marynarzy i czerwonogwardzistów. Jest cały eszelon armii pracy. Razem z wolnymi pasażerami będzie ich koło siedmuset.

— Więcej niż trzeba. Byle tylko łopaty przyjechały, a puścimy wszystko w ruch. Brak łopat. Posłaliśmy do sąsiednich wsi. Dostaniemy.

— Źle jest, widzę. Myślicie że damy rady ?

— Rozumie się. Taka gromada ludzi. A tu kolej, ważna arteria. Nie może być inaczej.

15

Oczyszczanie toru zajęło trzy dni. Wszyscy Żiwagowie, łącznie z Niuszą, brali w nim udział. Był to najlepszy okres ich podróży.

Miejscowość miała w sobie coś skrytego, niedopowiedzianego, coś z czasów Pugaczowa widzianych przez Puszkina, coś z azjatyckich wspomnień Aksakowa.

Zakątek ten wydawał się jeszcze bardziej tajemniczy wskutek spustoszeń i skrytości nielicznych pozostałych jeszcze mieszkańców. Bardzo wylęknieni, ci ostatni unikali pasażerów z pociągu i w obawie donosów nie rozmawiali między sobą w ich obecności.

Pasażerów różnych kategorii posyłano do roboty oddzielnie. Miejsca pracy obstawiano wartami.

Rozstawione w różnych miejscach brygady oczyszczały linię naraz z różnych stron. Między odkopanymi odcinkami pozostawiono do końca nietknięte góry śniegu, dzielące od siebie sąsiednie grupy pracujących. Góry te usunięto dopiero w ostatniej chwili, gdy cała linia była już wolna.

Dnie były jasne i mroźne. Pasażerowie spędzali cały czas na powietrzu, wracając do wagonów tylko na nocleg. Pracowali

na krótkie zmiany, bez znużenia. Łopat było za mało, pracujących za wiele. Lekka praca dostarczała tylko przyjemności.

Miejsce, w którym pracowali Żiwagowie, było otwarte, malownicze. Na wschód od plantu grunt w tym miejscu zrazu opadał, potem podnosił się falami aż do linii horyzontu.

Na wzgórzu stał samotny, ze wszystkich stron odsłonięty dom. Otaczający go ogród, latem zapewne zarośnięty, nie bronił go teraz od wiatru swymi rzadkimi, oszronionymi gałęziami.

Gruby całun śniegu wyrównywał i zaokrąślał wszystko. Sądząc jednak z nierówności zbocza, których śnieg nie mógł ukryć całkowicie, wiosną musiał tam płynąć strumień, znikający w rurze przechodzącej pod nasypem kolejowym i biegnący potem w krętym parowie, teraz zaś ukryty pod grubą warstwą śniegu, jak dziecko przykryte z głową puchową pierzyną.

Czy mieszkał w nim ktoś dotąd, czy też dom ten niszczał pusty, zarekwirowany przez gminny czy powiatowy urząd ziemski? Gdzie byli jego poprzedni mieszkańcy i jakie były ich losy? Czy znikli zagranicą? Czy zginęli z ręki chłopów? Czy, zostawiwszy po sobie dobre wspomnienie, urządzili się gdzieś w powiecie jako wzorowi specjaliści? Czy zostawił ich w spokoju Strelnikow, jeżeli jeszcze tu zastał, czy też wraz z kułakami, padli ofiarą jego represji?

Dom na górze budził ciekawość, ale zachowywano smutne milczenie. W tych czasach nie stawiano pytań, i nikt na nie nie odpowiadał. Śnieżna biel iskrzyła się tymczasem w słońcu tak jaskrawo, że można było oślepnąć. Jak regularnie łopata przecinała warstwy śniegu! Co za diamentowy, suchy blask promieniował z cięć! Jak żywo przypominało to odległe dnie dzieciństwa, gdy w jasnym, obszytym galonem baszłyku i zapinanym na haftki kożuszk z czarnego, kędzierzawego baranka mały Jura wycinał na podwórzu w takim samym śniegu piramidy, sześciany, torty śmietankowe, fortece i podziemne miasta! Jak dobrze było wówczas żyć na świecie, na którym było tyle rzeczy do oglądania i do jedzenia!

Ale i te trzy dni spędzone na powietrzu sprawiały, nie bez przyczyny zresztą, wrażenie dosytu. Każdego wieczora pracującym dawano gorący jeszcze chleb z pytlowej mąki, przywożony nie wiadomo skąd i z czyjego rozkazu. Chleb ten miał chrupiącą, smaczną skórkę, w której spód wypieczone były małe węgielki.

Do zburzonej stacji Żiwagowie przywiązali się, jak można się przywiązać do schroniska podczas zimowej wycieczki w góry. Jej plan ogólny, zewnętrzny widok budynku i osobliwości niektórych uszkodzeń pozostały na długo w ich pamięci.

Na stację wracano wieczorem, o zachodzie słońca. Jak gdyby przez szacunek dla tradycji, słońce zachodziło zawsze w tym samym miejscu, za starą brzozą, rosnącą przed oknem telegrafisty.

Zewnętrzna ściana budynku upadła w tym miejscu w głąb pokoju, lecz jego przeciwległy kąt pozostał nietknięty. Wszystko było tam na swoim miejscu: kawowe obicia, kaflowy piec z okrągłym otworem do dymnika, zamkniętym miedzianym krążkiem na łańcuszku, i spis inwentarza, wiszący na ścianie w czarnej ramie.

Zniżywszy się ku ziemi, słońce, dokładnie tak samo jak przed katastrofą, oświetlało kaflowy piec, zapalało brązowym blaskiem kawowe obicia i zawieszało na ścianie, niby koronkowy szal, cień brzozowych gałęzi.

W drugiej części budynku znajdowało się ambulatorium, do którego drzwi były zabite gwoździami. Na drzwiach tych widniał napis, datujący się zapewne z pierwszych dni lutowej rewolucji:

„Względem medykamentów i środków opatrunkowych prosimy panów chorych na razie się nie trwożyć. Dla wzmiankowanej przyczyny drzwi opieczętowuję, o czym podaję do wiadomości, starszy felczer Ust'-Niemdy taki a taki”.

Gdy usunięto ostatnie pagórki śniegu, dzielące oczyszczone już odcinki, tor ukazał się równy, biegnący w dal prosto jak strzała. Po obu stronach jego wznosiły się zwały odrzuconego śniegu, za którymi na całej przestrzeni stał ciemny bór.

Jak okiem sięgnąć, na torze stały grupy ludzi z łopatami, którzy po raz pierwszy znaleźli się razem i dziwili się swej liczbie.

Gdy stało się wiadome, że mimo późnej godziny i bliskości nocy pociąg za kilka godzin odjedzie, Jurij Andrejewicz i Antonina Aleksandrowna poszli rzucić po raz ostatni okiem na pięknie uprzątniętą linię. Na torze nie było już nikogo. Doktor z żoną patrzyli przez chwilę w dal, zamienili kilka uwag i zawrócili do swej tiepluszki.

W drodze postyszeli gniewne, histeryczne krzyki dwóch kłócących się kobiet. Poznali od razu głosy Ogryzkowej i Tiagunowej. Obie szły w tym samym kierunku co Żiwagowie, lecz po drugiej stronie pociągu, wzdłuż stacji, gdy doktor z żoną szli wzdłuż lasu. Obie pary dzieliła ściana wagonów. Kłócące się kobiety szły krokiem nierównym, wyprzedzając Żiwagów lub pozostając w tyle.

Obie były bardzo wzburzone. Siły opuszczały je co chwila. Być może zapadały się w śnieg lub traciły równowagę, jak można było wnosić z ich głosów, nasilających się do krzyku i zniżających do szeptu. Tiagunowa zdawała się ścigać i być może bić Ogryzkową, obsypując rywalkę wyszukаныmi obelgami, które, wypowiedane melodyjnym głosem próżnej jak paw kobiety, dźwięczały sto razy bezwstydniej i brutalniej niż w niemuzykalnej mowie mężczyzn.

— Ach ty ładaczno, ty zdiro ! — krzyczała Tiagunowa. — Nie można kroku zrobić, wszędzie ciebie pełno, wszędzie spódnicą zamiatasz i wybałuszasz oczy ! Mało ci, suko, mego starego grata ? Zachciało ci się dziecinnej duszyczki, chcesz pusć małego ?

— To ty i, z Wasią ślub brałaś ?

— Ja ci pokażę ślub, ty paskudo, ty zarazo ! Nie puszcze cię żywej. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

— Powoli. Ręce przy sobie, ty wściekła suko ! Czego ty ode mnie chcesz ?

— Chcę żebyś zdechła, ty gnido, ty kotko parszywa, lafiryndo !

— Co tu o mnie mówić. Ja, oczywiście, jestem suka i kotka, to wiadomo. Ty za to jesteś hrabina. W rysztoke urodzona, pod bramą zaślubiona, szczur cię zapłodnił i jeża urodziłaś... Na pomoc, na pomoc, ludzie ! Aj, zabije mnie na śmierć ta szkodnica. Aj, ratujcie dziewczynę, brońcie sieroty...

— Chodźmy prędzej. Nie mogę tego słuchać, to takie wstrętnie — mówiła do męża Antonina Aleksandrowna. — To się źle skończy.

Wszystko się nagle zmieniło, krajobraz i pogoda. Równina skończyła się, pociąg jechał teraz wśród gór, przez wzniesienia. Ustał północny wiatr, z południa ciepło ciągnęło jak z pieca.

Lasy rosły tarasami na stokach gór. Pociąg wspinał się na pochyłości i zjeżdżał z nich w dół. Sapiąc pełził w leśną gęstwinę,

niby stary leśniczy prowadzący borem tłum oglądających się na wszystkie strony pasażerów.

Nie było się jednak za czym oglądać. W głębi lasu trwał jeszcze zimowy spokój. Z rzadka tylko drzewa i krzewy wyprostowywały z szelestem swe gałęzie spod osiadającego stopniowo śniegu, jak gdyby wyzwały szyje z chomąt lub zbyt ciasnych kołnierzy.

Jurja Andrejewicza opadła senność. W ciągu wszystkich tych dni leżał na swej pryczy, spał, budził się, myślał i przysłuchiwał się. Nie słyszał jednak nic godnego uwagi.

19

Jurij Andrejewicz wysypiał się. Wiosna tymczasem topiła bezmiar śniegu, padającego przez cały czas od ich wyjazdu z Moskwy i tworzącego na tysiącwiorstowych przestrzeniach niewiarygodnie grube pokłady zasp, które musieli przez trzy dni przekopywać na terenie Ust'-Niemdy.

— Z początku śnieg topniał spodem, skrycie, niepostrzeżenie. Gdy połowa tej bohaterskiej pracy była wykonana, dalsze jej ukrywanie stawało się niemożliwe. Cud ujawniał się. Spod osuwającego się całunu ukazywała się woda i zaczynała dzwonić. Nieprzeniknione ostępy leśne otrząsały się z śniegu. Wszystko budziło się.

Woda miała gdzie swawolić. Leciwała w dół ze stromizn, wypełniała wgłębienia, rozlewała się wszecz. Wkrótce cały bór wypełnił się jej szumem, jej oddechem i zapachem. Wężę potoków rozpełzły się po lesie, grzęzły w krępujących ich ruchy zaspach, z sykiem biegły po otwartych przestrzeniach i, spadając z wysokości, rozpryskiwały się w wodny pył. Ziemia nie wchłaniała więcej wilgoci. Z podniebnej wysokości wiekowe jodły piły ją swymi korzeniami, koło których, jak na ustach pijących piwo, osadzała się bura piana.

Wiosenny trunek uderzał do głowy niebu, które mętniało i pokrywało się obłokami. Nad lasem płynęły niskie, wołokowe chmury o zwisających brzegach, z których falami spadał ciepły, pachnący potem i ziemią deszcz, zmywający z ziemi ostatnie kawałki szarniałego lodowego pancerza.

Jurij Andrejewicz zbudził się, zbliżył do okna, z którego wyjęto ramę, podparł się łokciem i zaczął nasłuchiwać.

W miarę zbliżania się do okręgu górniczego kraj stawał się coraz gęściej zaludniony, odległości między stacjami były coraz krótsze, stacje coraz częstsze. Pasażerowie zmieniali się szybciej. Wielu wsiadało i wysiadało na małych stacyjkach. Ludzie jadący niedaleko nie zadomowiali się w wagonach i nie kładli się spać. W nocy siedzieli koło drzwi w środku ciepłuszki i rozmawiali o miejscowych, im tylko znanych sprawach, po czym wysiadali na jednej z następnych stacji czy przystanków.

Z przygodnych uwag pasażerów jacy zmieniali się w wagonie w ciągu ostatnich trzech dni, Jurij Andrejewicz wywnioskował, że na północy biali biorą górę i zajęli lub zamierzają zająć Jurjatin. Prócz tego, jeżeli nie zawiódł go słuch i o ile nie chodziło o kogoś innego, noszącego nazwisko jego kolegi ze szpitala w Mieluziejewie, siłami białych na tym odcinku dowodzić miał znany doktorowi dobrze Galiullin.

Swoim Jurij Andrejewicz nie powiedział o tym ani słowa. aby nie trwożyć ich przed potwierdzeniem się tych słuchów.

Koło północy Jurij Andrejewicz obudził się przepełniony niejasnym uczuciem błogości. Uczucie to było tak silne, że obudziło go. Pociąg stał na stacji w szklistym zmierzchu białej nocy. W jasnej pomroce było coś subtelного i potężnego zarazem, coś co świadczyło o wielkim zasięgu otwartej dokoła przestrzeni i kazało przypuszczać, że stacja znajduje się na płaskowzgórzu z widokiem na wszystkie strony.

Po peronie, rozmawiając półgłosem, przesuwaly się koło ciepłuszki bezszelestnie kroczące cienie. Ta okoliczność również rozczuliła Jurja Andrejewicza, który w ostrożności kroków i głosów dostrzegał troskę o śpiących pasażerów, przypominającą bardzo dawne, przedwojenne czasy.

Doktor mylił się. Na peronie krzyczano i stukano obcasami jak wszędzie indziej, lecz w pobliżu znajdował się wodospad, od którego w białą noc przenikał powiew świeżości i swobody. Stąd pochodziło uczucie błogości, jakiego doktor doświadczał we śnie. Ciągły, jednostajny szum tej wodnej lawiny panował nad wszystkimi rumorami stacji, stwarzając złudzenie ciszy.

Nie domyślając się jego obecności, ukołysany nieoczekiwaną jedrnością powietrza, doktor znów zasnął głęboko.

Na dole w ciepłuszce rozmawiali dwaj podróżni.

— No jakże tam? Ukróciście swoich? Złamaliście im rogi?

— Komu, sklepikarzom?

— Tak, młynarzom.

— Uśmierzyliśmy. Teraz są jak воск. Kilku dla przykładu zabili, a reszta spotulniała. Wzięliśmy kontrybucję.

— Dużo wzięliście z gminy?

— Czterdzieści tysięcy.

— Łiesz!

— Po co miałbym łąć?

— Niech was diabli! Czterdzieści tysięcy!

— Czterdzieści tysięcy pudów.

— Niech was kaczka kopnie! Zuchy chłopcy, zuchy!

— Czterdzieści tysięcy pudów pyłowej mąki.

— Zresztą nie można się dziwić. Miejsce — pierwsza klasa. Sami handlarze mąką. Wzdłuż Ryńwy aż do Jurjatina, wieś za wsią, przystań za przystanią — same składy mąki. Bracia Szerstobitow, Pierekaczikow z synami, hurtownik na hurtowniku.

— Rycz trochę ciszej. Obudzisz wszystkich.

Mówiący ziewnął. Drugi pasażer zaproponował:

— Chrapowickiego utniemy, co? Zdaje się, że niedługo pojedziemy.

W tejże chwili z tyłu dał się słyszeć szybko narastający, wreszcie ogłuszający, tłumiący szum wodospadu łoskot, i po drugiej parze szyn, obok stojącego nieruchomo transportu, przeleciał pośpieszny pociąg starego typu. Gwiżdżąc i grzmiąc minął transport, błysnął ostatni raz światłami i znikł bez śladu.

Rozmowa na dole wznowiła się.

— No teraz koniec. Postoimy tu.

— Teraz nie prędko pojedziemy.

— Widocznie Strelnikow.

— To pewnie on.

— Na kontrewolucjonistów to on jest zwier.

— Poleciał teraz na Galejewa.

— Na kogo?

— Na atamana Galejewa. Mówią, że z Czechami broni Jurjatina. Trzyma, bestia, przystań. Ataman Galejew.

— A może to książę Galilejew? Nie pamiętam dobrze.

— Takich książąt nigdy nie bywało. Może to Ali Kurban. Musiałeś coś pokręcić.

— Może i Kurban.

— To co innego.

Nad ranem Jurij Andrejewicz obudził się po raz drugi. Znow śniło mu się coś bardzo przyjemnego. Uczucie błogości i swobody trwało nadal. Pociąg stał, być może na nowym przystanku, być może wciąż na tym samym. Znow szumiał wodospad. Był to więc ten sam przystanek, a może zresztą inny.

Jurij Andrejewicz zaczął zasypiać i przez sen majaczyła mu się bieżanina i zgiełk. Kostojed sprzeczał się z naczelnikiem konwoju i obaj krzyczeli na siebie. Na dworze było jeszcze przyjemniej niż przedtem. W powietrzu unosiło się coś nowego. Coś czarownego, wiosennego, czarno-białego, rzadkiego, lekkiego jak śnieżycy w maju, gdy mokre płatki śniegu nie bielą ziemi, lecz robią ją jeszcze czarniejszą, coś przyjemnego, pachnącego. — Czeremcha ! — zgadł we śnie Jurij Andrejewicz.

Rankiem Antonina Aleksandrowna mówiła :

— Dziwny jesteś, Jura. Cały złożony z sprzeczności. Czasami brzęczenie muchy budzi cię, i nie możesz spać do rana. Teraz rwetes, kłótnie, popłoch, a ciebie nie można się dobudzić. Kasjer Prituljew i Wasia Brykin uciekli tej nocy. Wyobraź sobie ! Do tego Tiagunowa i Ogryzkowa. Ale to nie wszystko. I Woroniuk. Tak, tak, on też uciekł. Teraz posłuchaj. Kiedy uciekli, razem czy z osobna i w jakiej kolejności — pozostaje zagadką. Woroniuk, przypuśćmy, uciekł, aby ujść odpowiedzialności, gdy spostrzegł ucieczkę pozostałych. Ale pozostali ? Czy wszyscy uciekli z własnej woli, czy też zostali usunięci z pociągu przemocą ? Podejrzanie pada tu na kobiety. Ale kto kogo zabił, Tiagunowa Ogryzkową, czy Ogryzkowa Tiagunową — nie wiadomo. Naczelnik konwoju biegał z jednego końca pociągu na drugi. — Jak śmiecie — krzyczał — dawać sygnał do odjazdu ? W imieniu prawa żądam zatrzymania pociągu aż do schwytania zbiegłych. — Ale naczelnik transportu nie ustępował. — Czy zwariowaliście ? — mówił. — Wiozę na front uzupełnienia mające pierwszeństwo. Czekać na waszą zawieszoną armię pracy ? Dopiero pomyśl ! — I obaj, wyobraź sobie, z pretensjami do Kostojeda. Jakim sposobem on, spółdzielca, człowiek inteligentny, był przy tym i nie powstrzymał ciemnego, nieuświadomionego żołnierza od fatalnego kroku. — A przy tym jeszcze „narodnik” — mówili. Kostojed, oczywiście, nie zapomniał języka w gębie.

— Ciekawe ! — mówił. — Według was aresztanci powinni pilnować strażników ? Świat do góry nogami się przewrócił. — Ja trącam cię w bok, szarpie za ramię, a ty nic ! — Jura — krzyczę — wstawaj, ucieczka ! — Ale gdzie tam ! Z armaty by się ciebie nie dobudziło... Ale o tym później. A tymczasem... Papo, Jura, patrzcie jak ładnie !

Przed otwartym nad pryczą okienkiem rozciągał się widok na zatopioną jak okiem dojrzeć okolicę. Rzeka wyszła gdzieś z brzegów, i woda z jej odnogi rozlała się aż do plantu kolei. Patrzącym z górnych prycz zdawało się, że pociąg ślizga się po powierzchni wody.

Dal wód miała tu i ówdzie stalowe odcienie. Na resztę ranny upał kładł tłuste blaski, jak kucharka, smarująca zmożonym w maśle piórkiem skórę piekącego się pieroga.

W bezbrzeżnej powodzi tonęły łąki, parowy, krzaki ; na dno szły stada białych, odbijających się w wodzie obłoków. Po środku rozlewiska widać było wąski pas ziemi z podwójnym szeregiem rosnących raz w górę, raz na dół drzew, które zdawały się wisieć między niebem i ziemią.

— Kaczki, cała wywódka ! — zawołał patrzący w tym kierunku Aleksander Aleksandrowicz.

— Gdzie ?

— Koło wyspy. Nie tędy patrzysz. Bardziej na prawo. Ech, diabli, spłoszyły się, poleciały.

— Aha, widzę. Będę musiał z wami o różnych rzeczach pomówić. Może innym razem. — A nasi rycerze z armii pracy i damy — zuchy. Dobrze zrobili. Myślę, że wszystko odbyło się pokojowo, i nic się nikomu nie stało. Spłynęli po prostu jak woda.

24

Północna, biała noc skończyła się. Wszystko stało się wyraźne, ale niepewne, jak gdyby zmyślane : góra, lasek i urwisko.

Lasek zaczynał się zaledwie zielenić. Kwitło w nim kilka krzaków czeremchy. Rósł pod urwiskiem, na tarasie mającym z kolei też strome brzegi.

Wodospad znajdował się w pobliżu. Aby zobaczyć go, trzeba było okrążyć lasek i stanąć na brzegu urwiska. Wasia zmęczył się już ciągłym chodzeniem do wodospadu, napęniającego go zachwytem i strachem.

Wodospad nie miał dokoła nic sobie równego, nic znajdującego się w tej samej klasie zjawisk. Przerastał swą wyjątko-

wością, dającą mu pozory czegoś żywego, świadomego, podobnego do smoka czy węża pobierającego haracz i pustoszącego okolicę.

W połowie urwiska wodospad zwał się masą wód na wystającą skałę i rozdwajał się. Górna część jego wydawała się nieruchoma, natomiast dwie niższe odnogi zdawały się nieustannie chwiać w prawo i lewo, jak gdyby ślizgały się i odzyskiwały równowagę, stojąc przez cały czas prosto na nogach.

Rozesławszy kozuch, Wasia leżał na brzegu lasku. Gdy zaczęło świtać, wielki ptak o ciężkich skrzydłach opłynął lasek i usiadł na szczycie świerka, niedaleko od Wasi. Spojrzawszy na błękitną szyję i szaro-niebieską pierś ptaka, Wasia wyszeptał w zachwycie jego uralską nazwę: „rońża”. Potem wstał, podniósł kozuch, zarzucił go na ramiona, przeszedł przez polanę i zbliżył się do swej towarzyszki.

— Chodźmy, cioteczko. Zziębliśmy, ząb na ząb nie trafia. Czemu patrzycie jak wystraszona? Mówię wam ludzkim językiem, że czas iść. Wejdźcie w nasze położenie. Musimy trzymać się wsi. We wsi swoim nie dadzą zrobić krzywdy, ukryją. Tak, od dwóch dni nie jedząc, umrzemy z głodu. Diadia Woroniuk podniósł pewnie taki gwałt, że szukają nas wszędzie. Trudno mi z wami, cioteczko. W ciągu ostatniej doby nie powiedzieliście ani jednego słowa. Smutek odjął wam mowę, czy jak? Ale czy jest o co się martwić? Ciocię Katię, Katię Ogryzkową, zrzuciliście z wagonu bez złej myśli, trąciliście ją tylko bokiem, sam widziałem. Wstała potem z trawy i pobiegła, zdrowa i cała. To samo diadia Prochor, Prochor Charitonycz. Jeżeli nas dogonią, będziemy znów wszyscy razem. Jak myślicie? Najważniejsze — nie trzeba się trapić. Wówczas i język pójdzie w ruch.

Tiagunowa wstała, podała rękę Wasi i półgłosem powiedziała:

— Chodźmy, mój ptaszku.

Skrzypiąc wszystkimi osiami pociąg posuwał się w górę po wysokim nasypie. Spodem rósł młody świerkowy las, którego wierchołki nie dorastały do poziomu nasypu. Dalej rozciągały się łąki, z których niedawno dopiero spłynęła woda. Na zmieszanej z piaskiem trawie leżały beładnie podkłady kolejowe. Widocznie w jakiejś innej sekcji lasu przygotowano je do spławu, i powódź tu je zniosła.

Młody las pod nasypem był jeszcze prawie bezlistny, zimowy. Tylko w pączkach, którymi był pokapany jak woskiem, było

coś nieporządnego, coś niby liszaj czy obrzęk, i tym nieporządkiem było życie, strzelające zielonym płomieniem liści z rozwijających się drzew.

Tu i ówdzie prostowały się męczeńsko brzozy, przebite zębatymi strzałami rozwijających się liści. Z daleka już można było odgadnąć unoszący się nad nimi zapach drzewnego spirytusu, z którego robią pokost.

W chwilę później pociąg mijał miejsce, z którego prawdopodobnie woda zniosła niżej podkłady. Na zakręcie ukazała się poręba zasypana szczapami i ostrużynami, z wielką kupą trójniaka po środku. Przy porębie maszynista zahamował. Pociąg zatrzymał się, lekko nachylony na zakręcie.

Z parowozu dało się słyszeć kilka krótkich gwizdków, potem maszynista coś wołał. Pasażerowie i bez tych sygnałów domyślili się, o co chodziło; maszynista zatrzymał pociąg, aby zrobić zapas paliwa.

Odsuwano drzwi ciepłuszek. Na plant wysypała się ludność niewielkiego miasteczka, wszyscy prócz żołnierzy z pierwszych wagonów, których zawsze zwalniano od roboty, i którzy teraz również nie brali w niej udziału.

Szczapy znajdujące się na porębie nie wypełniły węglarki; trzeba było rozpiłować pewną ilość trzysążniowych bierwion. Wśród narzędzi ekipy parowozowej znalazły się piły, które rozdzielono zgłaszającym się parami ochotnikom. Jedną z nich otrzymali profesor z zięciem.

Z ciepłuszek zajętych przez żołnierzy wyglądały wesołe gęby. Młodzi chłopcy, którzy nigdy nie byli w ogniu, i starsi uczniowie szkoły marynarki pomieszani tam byli, niby przez omyłkę, z robotnikami, ojcami rodzin, którzy też nie wachali prochu i przeszli zaledwie kurs przysposobienia. Młodzi błaznowali z dorosłymi marynarzami, byle tylko nie zamyślać się. Wszyscy czuli, że godzina próby się zbliża.

Facecjoniści, śledząc wzrokiem traczy obojga płci, stroili z nich grube żarty.

— Hej, dziaduniu! Mamka mnie jeszcze nie odstawiła od piersi, do pracy fizycznej się nie nadaje. — Hej, Mawro, uważaj żebyś nie odpiłowała spódnicy, bo będzie ci podwiewało. — Młódko, młódko, nie wychodź do lasu, wyjdź lepiej za mnie za mąż.

W lesie stało kilka kozłów z wbitych na krzyż w ziemię drągów. Jeden z kozłów był wolny. Jurij Andrejewicz i Aleksander Aleksandrowicz przystąpili do piłowania.

W tym okresie wiosny ziemia ukazuje się spod śniegu w tej samej postaci, w jakiej znikła pod nim przed pół rokiem. Las był pełen wilgoci, zasypany zeszłorocznymi liśćmi. Wyglądał jak niezamieciony pokój, w którym rwano na drobne kawałki kwity, listy i zawiadomienia, nagromadzone w ciągu wielu lat.

— Nie tak prędko, zmęczycie się — mówił doktor, starając się ciągnąć piłę powoli i miarowo. Wreszcie zaproponował krótki odpoczynek.

Cały las rozbrzmiewał rżeniem pił, poruszających się chwilami w tym samym, chwilami w rozbieżnym rytmie. Gdzieś daleko próbował śpiewać pierwszy słowik. Z dłuższymi przerwami świstał czarny drozd, jak gdyby przedmuchiwał zanieczyszczony flet. Nawet para z kłapy parowozu podnosiła się ku niebu ze śpiewnym mruczeniem, jak mleko kipiące w dziecinnym pokoju na spirytusowej maszynce.

— Chciałeś, zdaje się, o czymś powiedzieć — przypomniał sobie Aleksander Aleksandrowicz. — Zapomniałeś? Było to tak. Jechaliśmy nad rozlewiskiem, leciały kaczki, a tyś zamyślił się i powiedział: „Musimy z wami powiedzieć”.

— Ach, tak. Nie wiem, jak to krótko sformułować. Widzicie, posuwamy się coraz dalej... Kraj jest tu w stanie fermentu. Niedługo przyjedziemy. Nie wiadomo, co tam zastaniemy. Na wszelki wypadek powinniśmy się umówić. Nie mówię tu o przekonaniach. Nie można ich ustalić i wyjaśnić w ciągu pięciominutowej rozmowy w wiosennym lesie. Znamy się nawzajem dobrze. Wy, Tonia i ja, razem z wielu innymi, tworzymy jeden świat, różniąc się tylko stopniem jego zrozumienia. Nie o tym chcę mówić. To jest abc. O co innego chodzi. Musimy umówić się naprzód, jak mamy postępować w pewnych okolicznościach, abyśmy nie musieli wstydzić się jedni za drugich i nie splamili się nawzajem żadną hańbą.

— Dosyć. Zrozumiałem. Podoba mi się twoje postawienie sprawy. Znalazłeś do tego odpowiednie słowa. Oto co ci powiem. Czy pamiętasz noc, kiedy w zamieć przyniosłeś gazetę z pierwszymi dekretami? Pamiętasz, jak to było powiedziane bez ogródek? Taka prostolinijność ujmowała. Takie rzeczy istnieją jednak w pierwotnej czystości tylko w głowach ich autorów i tylko w dniu ich ogłoszenia. Już następnego dnia jezuickość polityki przewraca wszystko do góry nogami. Co mam ci powiedzieć?

Ta filozofia jest mi obca, ta władza jest nam wroga. Nikt mnie nie pytał o zgodę na ten przewrót. Ale okazano mi zaufanie, i moje postęпки, nawet dokonane pod przymusem, zobowiązują mnie.

— Tonia pyta, czy nie będzie za późno na założenie ogrodu ? Czy zdążymy na czas z wysiewem ? Co jej powiedzieć ? Nie znam tutejszej ziemi i warunków klimatycznych. Lato jest zbyt krótkie. Czy tu w ogóle coś dojrzewa ?

— Dobrze, ale czy istotnie przejechaliśmy taki szmat kraju, aby zakładać ogród ? Nie pasuje tu nawet przysłowie : „jechać siedem wiorst, aby pochleptać kisielu”, bo wiorst tych niestety przejechaliśmy trzy czy cztery tysiące. Prawdę mówiąc, jedziemy tam w zupełnie innym celu. Jedziemy, aby spróbować tam wegetować po dzisiejszemu, urządzić się jakoś przy marnowaniu byłych majątków, lasów, maszyn i inwentarza naszego dziadka. Jedziemy nie po to, aby odnawiać jego majątek, lecz aby go trwonić w uspołecznionym trybie, marnując tysiące dla zdobycia kopiejki na życie, i wszystko to obowiązkowo w współczesnej, nie układającej się w świadomości, chaotycznej formie. Zakładanie ogrodów byłoby powrotem do dzikiego stanu, do biegania nago i analfabetyzmu. Nie, historia własności w Rosji skończyła się. A my, Gromekowie, rozstaliśmy się z wszelką zachłannością już w poprzednim pokoleniu.

27

Upał i duchota nie pozwalały spać. Głowa doktora pławiła się w pocie na mokrej poduszce.

Aby nikogo nie budzić, Jurij Andrejewicz ostrożnie zeszedł z nar i otworzył drzwi wagonu.

Tchnęło mu w twarz lepką wilgocią, podobną do dotknięcia pajęczyny w piwnicy. — Mgła — pomyślał. — Mgła. Dzień będzie na pewno upalny. Dlatego tak trudno oddychać i tak ciężko na duszy.

Nasłuchując, doktor zatrzymał się w drzwiach.

Pociąg stał na jakiejś wielkiej, prawdopodobnie węzłowej stacji. W ciszy i mgle wagony pogrążone były w jakiś rodzaj niebytu i zaniedbania, jak gdyby o nich zapomniano. Można było stąd wnosić, że transport stał daleko za stacją, oddzielony od niej całą siecią torów. Odległość od niej musiała być tak wielka, że gdyby ziemia otworzyła się i pochłonęła dworzec, w pociągu nikt by tego nie zauważył.

Z oddali dochodziły dwa rodzaje dźwięków.

Z tyłu, skąd pociąg przyszedł, słysząc było miarowe chłupanie, jak gdyby płukano tam białiznę lub wiatr uderzał mokrym sztandarem o drzewce.

Z przodu dochodził głuchy grzmot. Doktor, który był na wojnie, drgnął i wyteżył słuch.

— Dalekonośne działa — orzekł, słysząc niski, spokojnie toczący się huk. — Dojechalismy do samego frontu — pomyślał, potrząsnął głową i zeskoczył na plant.

Doktor przeszedł kilka kroków naprzód. O dwa wagony dalej pociąg się kończył. Parowozu z odczepionymi przednimi wagonami nie było.

— Dlatego wczoraj tak nadrabiali miną — pomyślał. — Przeczuli widocznie, że zaraz po przyjeździe będą rzuceni w ogień.

Doktor obszedł koniec pociągu i zamierzał przejść przez tory, szukając drogi do stacji. Zza węgła wagonu wynurzył się jak spod ziemi uzbrojony wartownik i półgłosem rzekł :

— Dokąd ? Przepustka !

— Jaka to stacja ?

— Żadna. Ty kto ?

— Doktor z Moskwy. Jadę z rodziną w tym transporcie. Oto mój dokument.

— Bzdura twój dokument. Czy ja głupi po ciemku papierki czytać, czy psuć ? Widzisz, że mgła. Ale i bez dokumentu o wiorstę widać, jaki ty doktor. Tam tacy doktorzy z dwunastocalówek walą. Warto by stuknąć cię, ale na to będzie jeszcze czas. Marsz z powrotem, pókiś cały.

— Biorą mnie za kogoś innego — pomyślał doktor. Spierać się z wartownikiem nie miało sensu. Lepiej było oddalić się, dopóki czas. Doktor zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku.

Echo wystrzałów za jego plecami umilkło. Szedł w kierunku wschodnim, gdzie słońce wschodziło w oparach, przeświecając przez łachmany mgły, jak nadzy w łaźni przez obłoki pary.

Doktor szedł wzdłuż wagonów. Minął je wszystkie i szedł dalej. Za każdym krokiem stopy jego zapadały głębiej w piasek.

Chłupanie słysząc było coraz bliżej. Grunt zniżał się. O kilka kroków dalej doktor zatrzymał się przed niejasnymi, powiększonymi przez mgłę kształtami. Jeszcze krok i z mgły wynurzyły się dzioby wyciągniętych na brzeg łodzi. Doktor stał na brzegu szerokiej rzeki, leniwie pluszczącej drobnymi falami o barki rybackie i mostki przystani.

— Kto ci pozwolił tu się pętać ? — spytał go idący od brzegu rzeki drugi wartownik.

— Jaka to rzeka? — wyrwało się z ust doktora, jakkolwiek całą siłą woli chciał, po niedawnym doświadczeniu, powstrzymać się od zadawania pytań.

Zamiast odpowiedzi wartownik włożył między zęby gwizdawkę, ale nie zdążył jej użyć. Pierwszy wartownik, którego chciał wezwać, i który, jak się okazało, szedł niepostrzeżenie za doktorem, sam podszedł do towarzysza. Obaj zaczęli mówić.

— Tu nie ma co myśleć. Widać co to za ptaszek. „Jaka to stacja, jaka to rzeka”. Oto czym chce nas zmylić. Jak myślisz, od razu na przylądek czy naprzód do wagonu?

— Myślę, że do wagonu. Jak naczelnik powie. — Papiery osobiste! — ryknął drugi strażnik i chwycił w garść podany podany mu przez doktora plik papierów.

— Popilnuj go, ziomku — powiedział nie wiadomo do kogo i wraz z pierwszym wartownikiem poszedł przez tory do stacji.

Dla wyjaśnienia sytuacji, leżący na piasku człowiek, widocznie rybak, chrząknął i poruszył się.

— Twoje szczęście, że chcą cię zaprowadzić do samego naczelnika. W tym, dobry człowieku, jest może twoje ocalenie. Ale nie wiń ich. Taki mają obowiązek. Czasy są ludowe. Idzie może ku lepszemu. Ale teraz, nie ma co mówić. Oni, widzisz, omylili się. Łapią tu jednego i łapią. Myślą — to ty. Oto on, wróg tutejszej władzy, złapaliśmy go. Omyłka. W razie czego żądam zaprowadzenia do naczelnika. A tym tu nie dawaj się. Oni świadomi, nie daj Bóg trafić w ich ręce. Zabić ciebie — kopiejki nie kosztuje. Jak ci powiedzą „chodźmy” — nie idź. Mów, że chcesz do naczelnika.

Od rybaka Jurij Andrejewicz dowiedział się, że rzeka, nad którą stał — to znakomita spławna Ryńwa, że stacja nad rzeką — to Rozwilje, fabryczne przedmieście Jurjatina. Dowiedział się, że sam Jurjatin, leżący o dwie czy trzy wiorsty wyżej, przez cały czas odbierano i wreszcie, zdaje się, odebrano białym. Rybak opowiedział mu, że w Razwilju były też zaburzenia, obecnie, zdaje się, stłumione, i że teraz jest tak cicho, bo cały pas dookoła stacji został oczyszczony z cywilnej ludności i otoczony kordonem. Wreszcie powiedział mu, że wśród stojących na stacji pociągów, w których mieszczą się wojskowe instytucje, znajduje się specjalny pociąg krajowego wojenkoma Strelnikowa, i że tam właśnie zaniesiono dokumenty doktora.

Po doktora przysłano stamtąd nowego wartownika, odróżniającego się od poprzednich tym, że włożył karabin kolbą po ziemi, ciągnąc go z sobą jak pijanego przyjaciela, który bez jego pomocy upadłby natychmiast na ziemię. Nowy wartownik zaprowadził doktora do wojenkoma.

Powiedziawszy hasło, wartownik wszedł z doktorem do jednej z dwóch, połączonych obitym skórą przejściem, salonek. Słychać w niej było ruch i śmiechy, które zamilkły natychmiast po ich pojawieniu się.

Przez wąski korytarz wartownik wprowadził doktora do środkowego przedziału. Panowała tam cisza i porządek. W czystym, wygodnym pomieszczeniu pracowali schludni, dobrze ubrani ludzie. Doktor wyobrażał sobie zupełnie inaczej główną kwaterę bezpartyjnego specja wojskowego, który w krótkim czasie stał się sławą i postrachem całego kraju.

Ośrodek jego działalności był zapewne gdzieś dalej, w sztabie frontu, bliżej terenu operacji zbrojnych, tu zaś znajdowała się jego kompania sztabowa, mała kancelaria i polowe łóżko.

Dlatego było tu tak spokojnie jak w korytarzu zakładu kąpielowego z gorącą wodą morską, gdzie po wysłanej korkiem i dywanami podłodze krążą bez szmeru służący w pantoflach.

Środkowy przedział salonki był dawnym pokojem jadalnym, wysłanym dywanem i urządzonym jak kancelaria. Stało w nim kilka stołów.

— Zaraz — powiedział młody wojskowy, siedzący najbliżej wejścia. Z tą chwilą wszyscy obecni uznali się za uprawnionych do zapomnienia o doktorze i przestali zwracać nań uwagę. Ten sam oficer niedbałym ruchem głowy odesłał wartownika, który odszedł wlokąc z hałasem karabin po metalowych poprzeczkach korytarza.

Już z progu doktor zobaczył swe papiery, leżące na brzegu ostatniego stołu przed starszym wiekiem oficerem. Wyglądającym na dawnego pułkownika. Musiał to być jakiś wojskowy statystyk, który mrucząc coś pod nosem zaglądał do wydawnictw encyklopedycznych, badał mapy wojskowe i wciąż coś zestawiał, porównywał, wycinał i naklejał. W pewnej chwili rzucił kolejno okiem na wszystkie okna i powiedział: „Będzie dziś gorąco”, jak gdyby wniosek ten nie wynikał jasno z obserwacji jednego okna i wymagał zebrania wszystkich danych.

Miedzy stołami pełzał po podłodze technik wojskowy, usiłując naprawić zepsute połączenie telefoniczne. Gdy znalazł się pod stołem młodego wojskowego, ten wstał, aby mu nie przeszkadzać. Obok maszynistka w męskiej wojskowej bluzie nie mogła uporać się z maszyną do pisania, której wózek zjechał za daleko na bok i zaciął się. Młody oficer stanął za jej stołkiem i usiłował znaleźć przyczynę zacięcia się. Technik przyłączył się do nich, oglądając mechanizm od spodu. Podeszedł do nich

wreszcie i oficer o wyglądzie pułkownika. Wszyscy zajęli się maszyną.

Widok ten działał na doktora uspakajająco. Nie można było przypuszczać, aby ludzie orientujący się lepiej od niego w prawdopodobnym obrocie jego sprawy, mogli tak beztrząsco zajmować się głupstwami w obecności skazanego.

— Co można zresztą wiedzieć? — myślał. — Skąd pochodzą ich niezmacony spokój? Obok wałęsających się armaty, giną ludzie, a oni tu przewidują gorący dzień nie w sensie gorącej walki lecz upalnej pogody. Może zresztą widzieli już tyle, że wrażliwość ich uległa przytępieniu.

I dla skrócenia czasu zaczął patrzeć poprzez cały przedział w przeciwległe okna salonki.

29

Z tej strony roztaczał się widok na koniec torów, na leżącą na wzgórzu stację Razwilje i na przedmieście tejże nazwy.

Od torów do dworca prowadziły trzy kondygnacje schodów z surowego drzewa.

Na szynach widać było z tej strony wielki cmentarz parowozów. Stare lokomotywy bez węglarek, z kominami w formie czasz i cholew od butów, stały tu, komin do komina, wśród szczątków wagonów.

Cmentarz parowozów i podobne do cmentarza przedmieście, pogięte żelastwo kolejowe i zardzewiałe dachy domów zlewały się pod białym od upału niebem, w jednolity obraz opuszczenia i starości.

W Moskwie Jurij Andrejewicz nie pamiętał, że w miastach było dawniej tyle szyldów, pokrywających częściowo fasady domów. Przypominał to sobie teraz, patrząc na przeciwległe domy. Wiszące na nich szyldy były tak wielkie, że połowę ich można było przeczytać z okien wagonu. Niektóre z nich zwisały się na ramy krzywych okien. Obwieszone szyldami, jednopiętrowe, chylące się ku ziemi domki wyglądały jak głowy chłopskich dzieci pod nasuniętymi na uszy ojcowskimi czapkami.

Mgła tymczasem rozwinęła się zupełnie. Resztki jej wisiały jeszcze z lewej strony, we wschodniej części nieba, ale i te w pewnej chwili poruszyły się i rozsunęły, jak dwie poły teatralnej kurtyny.

Dalej, o trzy wiorsty od Razwilja, na jeszcze wyższym wzgórku, zarysowywało się wielkie, okręgowe czy gubernialne miasto. W słońcu przybierało żółtawy odcień, odległość upra-

szczała jego sylwetkę. Miasto wspinało się tarasami, podobne do góry Athos lub do klasztoru pustelników z tanich oleodruków, dom nad domem, ulica nad ulicą, z wielkim soborem na szczycie.

— Jurjatin ! — z wzruszeniem pomyślał doktor. — Przedmiot opowiadań nieboszczki Anny Iwanowny, tak często wspomniany przez siostrę Antipową ! Tyle nasłuchiwałem się o tym mieście, które widzę po raz pierwszy w takich okolicznościach !

Uwagę wojskowych otaczających maszynę zwróciło w tej chwili coś za oknem. Wszyscy odwrócili głowy w tym kierunku. Doktor również spojrział w tę stronę.

Po schodach prowadzono na stację kilku jeńców czy aresztowanych, wśród nich zaś rannego w głowę gimnazystę. Spod tymczasowego opatrunku sączyła się krew, którą chłopiec rozmazywał ręką po ogorzałym, spotniałym policzku.

Idący między dwoma żołnierzami gimnazysta zamykał pochód. Zwracał uwagę nie tylko stanowczością malującą się na jego przystojnej twarzy i budzącą współczucie młodością, ale także niedorzecznością zachowania się jego i jego towarzyszy. Wszyscy trzej robili wciąż coś, czego na pewno robić nie należało.

Z obwiązanej głowy gimnazysty spadała co chwila czapka. Zamiast ją zdjąć i nieść w rękę, chłopiec za każdym razem wciskał ją głębiej na głowę, drażniąc zawiązaną ranę, w czym pomagali mu z ochotą obaj czerwonoarmiejcy.

W niedorzeczności tych gestów przeczących zdrowemu rozsądkowi było coś symbolicznego, co uderzyło doktora tak, że miał pokusę wyjść na platformę i wyrwywającym mu się z piersi aforyzmem zatrzymać rękę gimnazysty. Chciał mianowicie zawołać głośno do wszystkich, że ocalenie leży nie w przestrzeganiu form, lecz w uwolnieniu się od nich.

Doktor odwrócił się. Po środku wagonu stał Strelnikow, który wszedł właśnie szybkim, stanowczym krokiem.

Jak stało się, że doktor, wśród niezliczonej ilości osób nijakich i nieokreślonych, z jakimi zetknęło go życie, nie znał dotąd tak jaskrawo zarysowanej osobistości jak ten człowiek ? Czemu przypadek nie zetknął ich ? Czemu drogi ich się nie spotkały ?

Nie wiadomo dlaczego, widać było od razu, że człowiek ten jest doskonałym wyrazem woli. Był tak dokładnie tym, czym chciał być, że w nieunikniony sposób wszystko w nim stawało się wzorowe. I jego regularnie zarysowana głowa, i sposób w jaki ją nosił, i stanowczość jego kroków, i jego długie nogi w butach, być może zabłoconych, lecz wyglądających na czyste, i jego bluza z szarego sukna, być może zmięta, lecz robiąca wrażenie wyprasowanej, płóciennej.

Tak oddziaływała obecność wrodzonego uzdolnienia, nie znającego sztuczności, sprawnego we wszystkich okolicznościach i przez to urzekającego.

Człowiek ten musiał posiadać jakiś talent, nie koniecznie samodzielny. Talent ten, przejawiający się w jego wszystkich gestach, był, być może, talentem naśladowczym. Wszyscy wówczas kogoś naśladowali : sławnych bohaterów historii, postacie widziane na froncie lub w miastach podczas zamieszek, uznane autorytety narodowe, kolegów, którzy się wybili ; inni wreszcie naśladowali po prostu jedni drugich.

Przez uprzejmość Strelnikow nie dał po sobie poznać, że obecność kogoś obcego może go dziwić lub krępować. Przeciwnie, zwrócił się do obecnych takim tonem, jak gdyby zaliczał doktora do ich towarzystwa.

— Gratuluję. Odparliśmy ich. Ma się wrażenie, że to tylko gra wojenna, nie prawdziwa walka, bo oni są tacy sami Rosjanie jak my, tylko z bzikiem, z którym sami nie chcą się rozstać, i który będziemy musieli wybijać z nich siłą. Ich dowódca był moim przyjacielem. Pochodzenie jego jest jeszcze bardziej proletariackie niż moje. Wyrosliśmy na tym samym podwórzu. Zrobił dla mnie wiele i jestem mu wdzięczny. A jednak cieszy mnie, że odrzuciłem go za rzekę, a być może i dalej. Gurian, nawiązujcie prędzej łączność. Nie możemy zależeć tylko od kurierów i telegrafu. Zauważyliście, jak gorąco ? Mimo to spałem półtorej godziny. Aha... — zreflektował się Strelnikow i odwrócił się do doktora. Przypomniał sobie, czemu go obudzono. Obudzono go dla jakiejś bagateli, dla której znajduje się tu ten zatrzymany.

— Ten ? — pomyślał, mierząc doktora od stóp do głów pytającym spojrzeniem. — Żadnego podobieństwa. To dopiero kretyń. Roześmiał się i, zwracając się do Jurja Andrejewicza :

— Darujcie, towarzyszu. Wzięto was za kogoś innego. Moi wartownicy coś poplątali. Jesteście wolni. Gdzie wasza książeczka pracy ? Aha, to są wasze dokumenty. Wybaczcie niedyskrecję, pozwolę sobie do nich zajrzeć. Żiwago... Żiwago... Doktor Żiwago. Coś moskiewskiego... Wiecie co, chodźmy jednak na chwilę do mnie. Tu — sekretariat, a mój wagon jest obok. Proszę bardzo. Długo was nie będę zatrzymywał.

Kim jednak był ten człowiek? Dziwne było, że na takie stanowisko wysunął się i potrafił na nim utrzymać ktoś bezpartyjny, kogo nikt nie znał, bo, urodzony w Moskwie, Strelnikow po ukończeniu uniwersytetu został nauczycielem na prowincji, na wojnie został wzięty do niewoli i do niedawna uchodził za poległego.

Postępowy kolejarz Tiwierzin, w którego rodzinie Strelnikow wychowywał się, polecił go i zaręczył zań. Ludzie, od których zależały wówczas mianowania, uwierzyli mu. W tym okresie nieumiarkowanego patosu i najskrzyniejszych poglądów, rewolucyjność Strelnikowa, również nie znająca granic, wyróżniała się swą szczerością i swym fanatyzmem, nie pożyczonym od innych, lecz wynikającym z jego całego życia, samodzielnym, nieprzypadkowym.

Strelnikow nie zawiódł pokładanego w nim zaufania.

W jego stanie służby za ostatni okres figurowała sprawa buntów w Ust'-Niemdzie i Niżnim Kelmiesie, sprawa chłopów z Gubasowa, którzy stawili zbrojny opór oddziałowi aprowizacyjnemu i sprawa ograbienia transportu aprowizacyjnego przez czternasty pułk piechoty na stacji Miedwieżja Pojma. Dalej figurowała w nim sprawa żołnierzy, którzy naśladując Stienkę Razina zbuntowali się w Turkatuju i z bronią w ręku przeszli na stronę białogwardiejców, i sprawa buntu wojskowego na przystani rzecznej Czirkin Us, zakończonego zabiciem komendanta, który pozostał wierny władzy sowieckiej.

Na wszystkie te miejscowości Strelnikow spadał jak grom z jasnego nieba, sądził, badał i wyrokował szybko, surowo, nieustraszenie.

Jego podróże w pociągu pancernym położyły koniec powszechnej w kraju dezercji. Inspekcje w komisjach poborowych zmieniły sytuację, i pobór rekruta do czerwonej armii zaczął robić szybkie postępy. Komisje wojskowe pracowały znów gorączkowo.

Wreszcie, gdy biali zaczęli posuwać się z północy i położenie uznano za groźne, Strelnikow otrzymał nowe zadania, tym razem wojskowe, strategiczne i operacyjne. Wyniki jego działalności nie kazały na siebie czekać.

Strelnikow wiedział, że nosi przezwisko Rasstrelnikow, ale przeszedł spokojnie i nad tym do porządku; nie bał się niczego.

Urodzony w Moskwie, był synem robotnika, który został zesłany za udział w rewolucji 1905. Strelnikow sam nie brał

wówczas udziału w ruchu rewolucyjnym z powodu zbyt młodego wieku, później zaś dlatego, że na uniwersytetach młodzież z warstw niezamożnych ceniła sobie więcej studia wyższe i uczyła się pilniej niż dzieci ludzi zamożnych. Nie został więc wciągnięty przez ruch rewolucyjny, jaki ogarnął studentów zabezpieczonych materialnie. Z uniwersytetu Strelnikow wyszedł z ogromnym zapasem wiadomości. Wykształcenie historyczno-filologiczne uzupełnił później sam studiami matematycznymi.

Ustawy nie zmuszały go do służby wojskowej, poszedł jednak na wojnę jako ochotnik, w randze porucznika został wzięty do niewoli, z której uciekł w końcu 1917, dowiadując się, że w Rosji wybuchła rewolucja.

Wyróżniały go dwa rysy, dwie pasje :

Strelnikow myślał niezwykle jasno i poprawnie. Jednocześnie posiadał rzadką prawość charakteru ; uczucia jego były gorące i szlachetne.

Jako uczonemu torującemu nowe drogi, brakło mu daru niespodzianej samorzutności, daru nieoczekiwanego odkrycia, zakłócającego jałowy ład pustego przewidywania.

Aby być naprawdę dobrym, jego pryncypialności brakło uzupełnienia w postaci serca odrzucającego zasady i uogólnienia, znającego tylko poszczególne wypadki, wielkiego w sprawach drobnych.

Strelnikow dążył od dzieciństwa do rzeczy wzniosłych i czystych. Zdawało mu się, że świat jest wielką areną, na której ludzie, trzymając się skrupulatnie zasad gry, współzawodniczą w dążeniu do doskonałości.

Gdy okazało się, że jest inaczej, nie przyszło mu na myśl, że mylił się upraszczając porządek świata. Skrywając urazę, zaczął marzyć o pomszczeniu jej, o zostaniu kiedyś sędzią między życiem i kaleczącymi je ciemnymi siłami.

Rozczarowanie rozjątrzyło go. Rewolucja dała mu broń do ręki.

31

— Żiwago, Żiwago — powtarzał wciąż Strelnikow, przechodząc z doktorem do swego wagonu. — To coś kupieckiego czy szlacheckiego. No tak, doktor z Moskwy. Do Warykina. Dziwne. Z Moskwy i nagle do takiego niedźwiedziego barłogu.

— Właśnie tam, w tym celu. W poszukiwaniu spokoju. Do głuchego zakątku, gdzie się o niczym nie wie.

— Czysta poezja. Warykino ? Znam tutejsze okolice. Byłe majątki Krügerów. Może jesteście ich krewnym ? Spadkobiercą ?

— Czemu ten szyderczy ton ? I co tu mówić o „spadkobiercach”. Chociaż moja żona istotnie...

— Aha, widzicie sami. Stęskniliście się do białych ? Muszę wam sprawić zawód. Spóźniliście się. Cały okręg oczyszczony.

— Szydzicie dalej ?

— I potem — doktor. Wojskowy. A czas jest wojenny. To już interesuje mnie bezpośrednio. Dezerter. Zieloni też odosobniają się w lasach. Szukają spokoju. Na jakiej podstawie ?

— Dwukrotnie ranny i zwolniony całkowicie z powodu niezdolności do służby.

— Teraz przedstawić pewnie zaświadczenie Narkomprosa czy Narkomzdrawu, polecające was jako „najzupełniej sowieckiego człowieka”, „sympatyka” i stwierdzające waszą „lojalność”. Na ziemi teraz sąd ostateczny, czas na postacie z Apokalipsy z mieczami w ręku, na skrzydlate potwory, a nie na sympatyków i lojalnych doktorów. Zresztą powiedziałem, że jesteście wolni, i nie zmienię zdania. Ale tylko na ten raz. Mam przeczucie, że się jeszcze spotkamy, a wówczas porozmawiamy inaczej. Uważajcie na siebie.

Groźba i wyzwanie nie zmieszały Jurja Andrejewicza, który odpowiedział :

— Wiem wszystko, co o mnie myślicie. Z waszego punktu widzenia macie całkowitą rację. Ale spór, w który chcecie mnie wciągnąć, prowadzę przez całe życie w myśli z urojonym oskarżycielem i zdążyłem już przyjść do pewnych wniosków. W dwóch słowach tego opowiedzieć się nie da. Jeżeli jestem istotnie wolny, pozwólcie mi odejść bez tłumaczenia się, a jeżeli nie — stoję do waszego rozporządzenia. Nie mam się z czego przed wami tłumaczyć.

Rozmowę przerwał dzwonek. Telefon funkcjonował znów.

— Dziękuję, Gurian — powiedział Strelnikow, biorąc słuchawkę, w którą przedtem dmuchnął dwa razy. — Przyślijcie, kochanku, jakiegoś przewodnika dla towarzysza Żiwagi, żeby mu się znów coś nie stało. A teraz połączcie z razwiljewską siecią, z zarządem kolejowej Czeka.

Gdy został znów sam, zatelefonował na dworzec :

— Prowadzono tu chłopca. Naciskał czapkę na uszy, a głowę miał zabandażowaną. Niedopuszczalne. Tak. Wezwać pomoc lekarską, jeżeli trzeba. Tak. Jak źrenicę oka. Odpowiadacie przede mną osobiście. Przydział żywności, jeżeli trzeba. A teraz do rzeczy. Mówi się, nie skończyłem. Ach, diabli, ktoś trzeci się włączył. Gurian ! Gurian ! Rozłączyli nas.

— Być może mój uczeń z wstępnej klasy — myślał, rezygnując na razie z rozmowy z dworcem. — Wyrósł i buntuje się przeciw nam. — Strelnikow rachował w myśli lata wojny i niewoli, sprawdzając czy suma zgadza się z wiekiem chłopca. Potem w roztaczającej się przed oknem panoramie zaczął szukać miejsca nad rzeką, przy wyjeździe z Jurjatina, gdzie znajdowało się ich mieszkanie. A może żona i córka są tam dotąd? Pójść do nich! Zaraz, w tej chwili! Ale czy to do pomyślenia? To przecież należy do innego życia. Trzeba naprzód skończyć z nowym, zanim się wróci do tamtego, przerwane. To kiedyś przyjdzie też. Ale kiedy, kiedy?

TOM II

R o z d z i a ł V I I I

PRZYJAZD

I

Pociąg, którym przyjechali Ziwigowie, zasłonięty innymi pociągami stał jeszcze wciąż na bocznych torach stacji, wyczuwało się jednak, że nić łącząca ich z Moskwą i wlokąca się za nimi przez całą drogę została tego ranka zerwana.

Ludzie miejscowi znali się między sobą bliżej niż mieszkańcy stolicy. Jakkolwiek cały pas przylegający do linii Jurjatin — Razwilje był oczyszczony z ludności cywilnej i obstawiony wojskiem, podmiejscy pasażerowie w niepojęty sposób przedostawali się do kolei, „przesączała się”, jak się mówi obecnie. Wypełnili już wszystkie wagony, stali w ich drzwiach, przechadzali się po torach lub czekali na plancie przed wejściami do ciepłuszek.

Wszyscy ci ludzie znali się między sobą, porozumiewali się z daleka, witali się przy spotkaniu. Ubierali się i mówili nieco inaczej niż w stolicach, inaczej odżywiali się i mieli inne zwyczaje.

Ciekawe było, jak żyli, skąd czerpali siły moralne i fizyczne, jak pokonywali trudności, jak obchodzili prawo.

Odpowiedź na to pytanie nadeszła niebawem, w formie najbardziej pogładowej.

2

W towarzystwie wartownika, ciągnącego karabin po ziemi i posługującego się nim jak posochem, doktor wracał do swego pociągu.

Było parno, Słońce rozgrzewało szyny i dachy wagonów. Przesycona naftą ziemia pokrywała się żółtymi plamami jak pozłotą.

Karabin wartownika zostawiał za sobą w kurzu ślad podobny do brzozy i stukał o podkłady. Wartownik mówił :

— Pogoda ustaliła się. Teraz najlepszy czas siać zboża jare, owies, pszenicę arnautkę albo, powiedzmy, proso. Na hreczkę za wcześnie. Hreczkę u nas sieją na Akulinę²³. Jestem z Marszańska, z tambowskiej gubernii, nietutejszy. Ech, towarzyszu doktorze, gdyby nie ta hydra cywilna i kontrrewolucja światowa, czy ja bym w taką pogodę pętał się po obcym kraju ? Ta walka klas przebiegła jak czarny kot między nami, i widzisz co się dzieje.

3

— Dziękuję. Ja sam — odpowiedział Jurij Andrejewicz na propozycję pomocy. Stojący w ciepłuszcze pasażerowie nachylili się doń i wyciągnęli ręce. Doktor podciągnął się w górę, stanął w wagonie i objął się z żoną.

— Nareszcie. Chwała Bogu, że się to tak skończyło — mówiła Antonina Aleksandrowna. — Zresztą wiedzieliśmy już o pomyślnym obrocie sprawy.

— W jaki sposób ?

— Wiedzieliśmy wszystko.

— Skąd ?

— Wartownicy donosili. Bo czy wytrzymałybyśmy całkowitą nieświadomość ? I tak już z papą omal nie zwariowaliśmy. Papa śpi, nie dobudzimy się go. Upadł jak snop od tych wzruszeń. Wsiedli nowi pasażerowie. Z niektórymi cię zaraz zapoznam. Ale wprzód posłuchaj, co dokoła mówią. Cały wagon gratuluje ci pomyślnego ocalenia. — I zmieniając nagle temat i odwracając się, zawołała : — Oto jakiego mam męża ! — i przedstawiła go jednemu z pasażerów, stojącemu za innymi w końcu ciepłuszki.

— Samdiewiatow — rozległo się stamtąd. Nad łokiem uniósł się miękki kapelusz, i noszący to osobliwe nazwisko zaczął się przeciskać do doktora.

— Samdiewiatow — myślał przez ten czas Jurij Andrejewicz. — Myślałem, że będzie to coś z dawnej Rusi, coś z bylin — szeroka broda, kaftan i nabijany pas. A tu widzę coś z artystycznej bohemy — długie, siwiejące loki, wąsy i szampankę.

23. 13 czerwca.

— Cóż, Strelnikow napędził wam strachu ? Przyznajcie się.

— Nie. Czemu ? Rozmowa była poważna. Człowiek w każdym razie silny, wybitny.

I jak ! Mam już o nim pewne pojęcie. On nie nasz, nie tutejszy. On wasz, moskiewski. Jak zresztą wszystkie nowe obyczaje ostatnich czasów. Też z stolicy, importowane. Sami byśmy tego nie wymyślili.

— To jest wszytkowiedzący Anfim Jefimowicz. Zna ze słyszenia ciebie i twego ojca, znał mego dziadka, słowem zna wszystkich. Poznajcie się. — I, tonem obojętnym, Antonina Aleksandrowna spytała : — Tutejszą nauczycielkę Antipową też pewnie znacie ? — Na to Samdewiatow, równie obojętnie, odpowiedział : — Na co wam Antipowa ? — Jurij Andrejewicz nie podtrzymał rozmowy na ten temat, Antonina Aleksandrowna zaś ciągnęła dalej :

— Anfim Jefimowicz — bolszewik. Jura, miej się na baczności.

— Naprawdę ? Nigdy bym się tego nie domyślił. Wygląd ma raczej artystyczny.

— Mój ojciec miał dom zajezdny. Zatrudniał siedem trojek. Ja natomiast mam wyższe wykształcenie i, rzeczywiście, jestem socjal-demokratą.

— Posłuchaj, Jura, co nam Anfim Jefimowicz powiedział. Nie gniewajcie się, ale na waszym imieniu i otczestwie można język złamać. Słuchaj więc, Jura, co ci mówię. Jedna rzecz już się nam udała. Stacja Jurjatin-Miasto nas nie przyjmuje. W mieście pożary, most zerwany, nie można dojechać. Pociąg zostanie okrężną drogą przesunięty na inną linię, tę właśnie, na której leży stacja Torfianaja. Pomyśl, co za gratka ! Nie trzeba się będzie przesiadać i wędrować z bagażami z jednego dworca na drugi. Będą nas za to długo wekslować, zanim pojedziemy naprawdę. Anfim Jefimowicz nam to wszystko wyjaśnił.

4

Przepowiednie Antoniny Aleksandrowny spełniły się. Pociąg, do którego doczepiano coraz to wagony, manewrował długo tam i z powrotem po torach pełnych innych pociągów, zagradzających mu drogę.

Miasto znikło za nierównościami terenu. Z rzadka tylko ukazywały się nad horyzontem jego dachy, szczyty kominów fabrycznych i krzyże dzwonnicy. Jedno z przedmieść płonęło.

Dym w kształcie końskiej grzywy snuł się, niesiony wiatrem, po całym niebie.

Doktor i Samdewiatow siedzieli na progu ciepłuszki, z nogami zwieszonymi zewnątrz wagonu. Samdewiatow objaśniał coś wciąż doktorowi, wskazując w dal ręką. Hałas kół głużył często jego słowa, i doktor musiał prosić o ich powtórzenie. Anfim Jefimowicz nachylał się doń i krzyczał mu wprost do ucha.

— Podpalili kino „Gigant”. Kadeci się tam zamknęli, ale już się poddali. Walki się jednak nie skończyły. Widzicie te czarne punkty na dzwonnicy? To nasi. Wypędzają stamtąd Czechów.

— Nic nie widzę. Jak wy ich poznajecie?

— A tam palą się Chochriki, przedmieście rzemieślnicze. A Kołodziejew, gdzie znajdują się hale targowe, jest trochę dalej. Interesuje mnie to dlatego, że koło hal stoi nasz dom zajezdny. Pożar niewielki. Środek miasta na razie nie ucierpiał.

— Powtórzcie, proszę. Nie słyszę.

— Mówię: środek, środek miasta. Sobór, biblioteka. Nasze nazwisko, Samdewiatow, jest rosyjską przeróbką nazwiska San Donato. Pochodzimy podobno z Demidowów.

— Znów nic nie zrozumiałem.

— Mówię: Samdewiatow jest przekręconym San Donato. Pochodzimy podobno z Demidowów, z książąt Demidow-San Donato. Zresztą to może nieprawda. Rodzinna legenda. A ta miejscowość nazywa się Spirkin Niż. Wille, miejsce wesółych majówek. Śmieszna nazwa, co?

Szerokie pole rozpostarło się teraz przed nimi, poprzecinane w różnych kierunkach odgałęzieniami linii kolejowych. Druty telegraficzne siedmiomilowymi krokami słupów oddalały się aż poza horyzont. Szeroka szosa wiła się jak taśma, rywalizując urodą z szynami kolei. Skrywała się za nierównościami terenu, falistym ruchem zbliżała się do plantu i znikała znów.

— To nasz znakomity trakt, idący przez całą Syberię. O nim to mówią pieśni katorżników. Dziś jest tam twierdza partyzantów. Na ogół nie jest u nas źle. Pomieszkacie tu i przyzwyczajcie się. Polubicie nasze miejskie osoblowości, nasze kryte studnie na skrzyżowaniach ulic, zmieniające się zimą w kluby kobiece pod gołym niebem.

— Nie będziemy mieszkali w mieście. Jedziemy do Warykina.

— Wiem. Wasza żona już mi mówiła. Ale to wszystko jedno. Będziecie przecież przyjeżdżali do miasta. O waszej żonie domyśliłem się wszystkiego z pierwszego wejrzenia. Oczywiście,

nos, czoło — wykapany Krüger. Cała wdała się w dziadka. W tych okolicach wszyscy Krügera pamiętają.

Brzegami pola czerwieniały wysokie cylindryczne rezerwuary nafty, stały wysokie słupy z napisami reklamującymi wyroby przemysłowe. Doktorowi dwukrotnie wpadł w oczy napis: „Moreau i Wietczinkin. Siewniki. Młocarnie”.

— Bardzo solidna firma. Wyrabiała doskonale narzędzia rolnicze.

— Nie słyszę. Co mówicie ?

— Firma, mówię. Firma. Słyszycie ? Wyrabiała narzędzia rolnicze. Spółka akcyjna. Mój ojciec był jej akcjonariuszem.

— A mówiliście, że miał zajezdny dom.

— Dom też. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ojciec był nie głupi i pieniądze lokował w najlepszych przedsiębiorstwach.

— Jesteście, widzę, z tego dumni.

— Z ojcowskiego sprytu ? I jak !

— A jak to się godzi z waszą socjaldemokracją ?

— A co ma jedno do drugiego ? Gdzie to jest powiedziane, że człowiek myślący po marksistowsku musi być niedołęgą i mazgajem ? Marksizm jest nauką pozytywną, nauką o rzeczywistości, filozofią sytuacji historycznych.

— Marksizm i nauka ! Dyskutować o tym z kimś, kogo się mało zna, jest co najmniej nieostrożne. Ale niech już tak będzie. Marksizm nie dość panuje nad sobą, aby być nauką. Nauki są zazwyczaj zrównoważone. Marksizm i obiektywizm ? Nie znam prądu bardziej zamkniętego w sobie i odległego od faktów jak marksizm. Każdy stara się sprawdzić swe myśli konfrontując je z doświadczeniem, ludzie władzy natomiast, dla podtrzymania mitu swej nieomyłności, jak tylko mogą uciekają od prawdy. Polityka nic mi nie mówi. Nie lubię ludzi obojętnych na prawdę.

Samdewiatow uważał słowa doktora za wybryk dowcipnego dziwaka. Uśmiechał się tylko i nie oponował.

Pociąg tymczasem manewrował dalej. Ilekroć dojeżdżał do ostatniej zwrotnicy przy semaforze, starsza kobieta pełniąca funkcje zwrotniczego, z bańką od mleka przytroczoną do pasa, przekładała z jednej ręki do drugiej swą szydełkową robotę, pochylała się, przestawiała zwrotnicę, a gdy pociąg oddalał się znów ku stacji, wyprostowywała się i groziła mu pięścią.

Samdewiatow brał brał jej gest na swój rachunek. — Komu ona tak grozi ? — myślał. — Twarz jak gdyby znajoma. Czy to nie Tuncewa ? Zdaje się, że ona. Ale skądże ! To chyba nie ona. O wiele starsza od Głaszy. I czego chce ode mnie ? W Matuszce-Rosji przewrót idzie za przewrotem, na kolejach chaos, i jej

pewnie jest źle. Myśli, że to moja wina, i grozi mi pięścią. A zresztą niech ją diabli wezmą. Nie będę sobie nad tym głowy łamał.

Wreszcie, gdy machając chorągiewką i krzycząc coś do maszynisty, wypuściła pociąg za semafor w dalszą drogę, i gdy czternasta ciepłuszka przejeżdżała koło niej, kobieta pokazała język siedzącym na podłodze gadułom. Samdewiatow znów się zamyślił.

5

Płonące miasto, cylindryczne rezerwuary, reklamy i słupy telegraficzne oddalały się i znikły. Zastąpiły je inne widoki: gaje i pagórki, wśród których ukazywały się zakręty traktu. Samdewiatow rzekł:

— Czas wstać i rozejść się. Za chwilę wysiadam. A i wy wysiadacie o jedną stację dalej. Uważajcie, żeby jej nie przegapić.

— Tutejsze okolice znacie pewnie najdokładniej.

— Jak własną kieszeń. W promieniu stu wiorst. Jestem przecież prawnikiem i mam dwadzieścia lat praktyki. Procesy. Interesy. Podróże.

— I teraz też?

— Rozumie się.

— Jakie dziś mogą być interesy i zatargi?

— Jakie tylko chcecie. Stare, niewykonane umowy, niespełnione zobowiązania — wszystkiego tego jest powyżej uszu.

— Czy umowy i zobowiązania nie zostały unieważnione?

— Teoretycznie tak. W praktyce wysuwane są wykluczające się nawzajem żądania. Od znacjonalizowanych przedsiębiorstw żąda się paliwa dla miejskiego sovietu, podwód dla gubernialnego urzędu gospodarczego. I wszyscy przy tym chcą żyć. Są to osobliwości okresu przejściowego, w którym teoria nie pokrywa się z praktyką. Do tego właśnie trzeba ludzi sprytnych, obrotnych, z charakterem, w moim rodzaju, u których nie wie prawica co robi lewica, i którzy potrafią też dać w mordę, jak by powiedział mój ojciec. Pół gubernii ze mnie żyje. Będę do was przyjeżdżał w sprawach dostawy drzewa, kiedy mój koń wyzdrowieje. Ostatni okulał mi. Gdyby był zdrow, nie tłukłbym się przecież tym starym gratem. Posuwa się to jak ślimak i nazywa się do tego maszyną! Moje wizyty w Warykinie mogą wam być użyteczne. Mukulicynów znam jak swoje pięć palców.

— Czy znacie cel naszej podróży, nasze projekty?

— Mniej więcej. Domyślam się. Mam pewne pojęcie. Odwieczna tęsknota człowieka do ziemi. Marzenie o przeżywaniu się pracą własnych rąk.

— I cóż ? Nie pochwalacie, zdaje się ? Co na to mówicie ?

— Marzenie naiwne, idylliczne. Ale czemu nie ? Niech wam Bóg pomaga. Nie bardzo wierzę w powodzenie. Zbyt to utopijne, chałupnicze.

— Jak ustosunkuje się do nas Mikulicyn ?

— Nie puści na próg, wypędzi miotłą i będzie miał rację. I bez was ma u siebie Sodomę i Gomorę, historię z tysiąca i jednej nocy. Stojące bezczynnie fabryki, robotnicy rozproszeni na cztery wiatry, środków do życia żadnych, głód i do tego was jeszcze diabli przynieśli. Nawet gdyby was zabił, nie mógłbym mu tego mieć za złe.

— Widzicie teraz sami. Jesteście bolszewikiem, a nie przeczycie, że to nie jest życie, ale bezprzykładna fantasmagoria, nonsens.

— Rozumie się. Ale to jest konieczność historyczna. Przez to trzeba przejść.

— Czemu konieczność.

— Czy jesteście dzieckiem, czy udajecie tylko ? Spadliście z księżycy ? Żarłoki pasowały na głodujących, zapracowujących się na śmierć robotnikach, i to miało tak zostać ? A inne przejawy tyranii i szyderstwa ? Czy nie widzicie prawowitości gniewu ludu, jego dążenia do sprawiedliwości i poszukiwania prawdy ? Wydaje się wam może, że zasadnicza zmiana warunków mogła dokonać się w Dumie, drogą parlamentarną, i że można się obyć bez dyktatury ?

— Mówimy o różnych rzeczach i nawet po stu latach dyskusji nie dojdziemy tak do porozumienia. Byłem sam nastrojony bardzo rewolucyjnie, a teraz myślę, że przemoc do niczego nie prowadzi. Do rzeczy dobrych można dojść tylko dobrocią. Ale nie o to chodzi. Wróćmy do Mikulicyna. Jeżeli to nas prawdopodobnie czeka, po co tam jedziemy ? Trzeba zawracać.

— Absurd. Po pierwsze : czy świat kończy się na Mikulicynie ? Po wtóre : Mikulicyn jest skrajnie, bezgranicznie dobry. Pokrzyczy, pogrymasi i zmięknie, koszulę z siebie zdejmie i podzieli się z wami ostatnią skórka z chleba. — I Samdewiatow zaczął opowiadać.

— Przed dwudziestu pięciu laty Mikulicyń przyjechał z Petersburga jako student Instytutu Technologicznego. Został wydany administracyjnie z stolicy i oddany pod nadzór policji. U Krügera otrzymał posadę administratora i ożenił się. Mieliśmy tu cztery siostry Tuncewy — o jedną więcej niż u Czechowa ²⁴ — do których zalecała się cała ucząca się młodzież Jurjatina. Były to Agrypina, Eudoksja, Głafira i Serafina Sewerynowny. Parafrazując imię ich ojca, przezywano je „Siewieriankami”. Mikulicyń ożenił się z najstarszą.

W krótkim czasie urodził się im syn. Aby dać wyraz swemu kultowi swobody, idiota ojciec dał mu na chrzcie rzadkie imię Liwerja ²⁵. Liwerij, pospolicie zwany Liwką, wyrósł na porządnego urwisa, wykazując przy tym różnorodne i nieprzeciętne zdolności. Wybuchła wojna. Liwka sfalszował metrykę i jako piętnastoletni chłopiec uciekł w charakterze ochotnika na front. Agrypina Sewerynowna, osoba chorowita, nie wytrzymała tego ciosu, zasłabła i zmarła zaprzeszłej zimy, przed samą rewolucją.

Wojna skończyła się. Liwerij wrócił. Jako co? Jako bohater podchorąży z trzema krzyżami i, oczywiście, jako sprowagowany bolszewicki delegat frontowy. Słyszeliście o „leśnych braciach”? ?

— Przepraszam, lecz nie słyszałem.

— No to nie ma sensu opowiadać dalej. Połowa efektu przepada. I wy nie macie co tak patrzeć na trakt. Bo co w nim ciekawego? W tej chwili jest to partyzantka. A czym jest partyzantka? Są to główne kadry wojny cywilnej. Dwa czynniki złożyły się na stworzenie tej siły: organizacja polityczna kierująca rewolucją i prości żołnierze, którzy po przegranej wojnie odmówili posłuszeństwa starym władzom. Z połączenia tych dwóch czynników powstała armia partyzantów. Skład jej jest różnorodny. Są to przede wszystkim średniozamożni chłopci. Ale obok nich znajdziecie tam co chcecie. I chłopów biednych, i zbiegłych z klasztorów mnichów, i wojujących z rodzicami kułackich synów. Są tam ideowi anarchiści, i nieznanego pochodzenia włóczędzy, i wypędzeni ze szkół średnich drągale. Są wreszcie Niemcy i Austriacy jeńcy, których skusiła wolność i nadzieja powrotu do kraju. I oto na czele jednej z tych armii, liczącej wiele tysięcy „leśnych braci”, stoi towarzysz Lesnych, Liwka, Liwerij Awerkiewicz, syn Awerkja Stiepanowicza Mikulicyna.

24. Aluzja do sztuki Czechowa *Trzy siostry*.

25. Liberius.

— Co wy mówicie ?

— To co słyszycie. Ale jedźmy dalej. Po śmierci żony, Awerkij Stiepanowicz ożenił się po raz drugi. Jego nowa żona, Jelena Prokłowna, jest gimnazistką, która wprost z ławy szkolnej poszła do ołtarza. Naiwna z natury, ale także udająca naiwną z wychowania, młodziutka, ale już odmładzająca się. W tym celu szczebiocze, udaje niewinną, głupiutką, słowem — polny skowronek. Tylko was ujrzy, weźmie na egzamin. „Kiedy urodził się Suworow?”. „Wyliczcie wypadki równości powierzchni trójkątów”. I będzie się cieszyła mogąc was ściąć. Za kilka godzin zobaczycie ją zresztą sami i sprawdzicie wierność mego opisu.

Sam Mikulicyń ma inne słabości : fajkę i cerkiewno-słowiański. „*Niczyż sumniaszesia, jeże i ponieże*”. Polem jego działania miało być morze. W instytucie specjalizował się w budowie okrętów. Coś z tego zostało w jego wyglądzie zewnętrznym i przyzwyczajeniach. Goli brodę i wąsy, całymi dniami nie wyjmując fajki z ust, cedzi słowa uprzejmie, bez pośpiechu. Wydatna szczeka dolna, szare, zimne oczy. Zapomniałem wreszcie ważnego szczegółu : eser, wybrany stąd do Zgromadzenia Ustawodawczego.

— To istotnie ważny szczegół. Ojciec i syn są więc z sobą na noże. Przeciwnicy polityczni ?

— Teoretycznie tak. W rzeczywistości jednak tajga i Warykino nie są z sobą na stopie wojennej. Ale jedźmy dalej. Pozostałe siostry Tuncewy, szwagierki Awerkija Stiepanowicza, są po dziś dzień w Jurjatinie. Dziewoje już wiekowe. Zmieniają się czasy, zmieniają i dziewczęta.

Najstarsza z pozostałych przy życiu, Awdotja Sewerynówna, jest bibliotekarką w czytelni miejskiej. Mała, czerniawa panna, niezwykle wstydliva. Ni z tego ni z owego czerwieni się jak piwonია. Cisza w czytelni panuje grobowa, skupiona. I nagle w tej ciszy bibliotekarka, mająca chroniczny katar, kicha dwadzieścia razy z rzędu. Ze wstydu zapadłaby się chętnie pod ziemię. Wszystko to przez nerwowość.

Średnia siostra, Głafira Sewerynówna, jest błogosławieństwem całej rodziny. Dzielna dziewczyna, cudowna pracownica. Żadną pracą nie gardzi. Wszyscy są zdania, że przywódca partyzantów Lesnych wdał się w tę właśnie ciotkę. Jednego dnia na przykład jest krawcową czy pończoszarką. Następnego dnia jest już fryzjerką. Zauważyliście kobietę przy zwrotnicy, która groziła nam pięścią ? Otóż i macie, pomyślałem. Głafira jest już za dróżnika na kolei. Ale zdaje się, że to nie ona. Na Głafirę za stara.

Najmłodsza, Sima, jest nieszczęściem i troską rodziny. Dziewczyna inteligentna, odcytana. Interesowała się filozofią, lubiła wiersze. I nagle w okresie rewolucji, pod wpływem podniosłych nastrojów, pochodów i mów, dostała bzika i wpadła w manię religijną. Siostry, idąc do pracy, zamykają drzwi na klucz, a Sima smyk przez okno, biegnie na ulicę, zbiera publiczność i prawi o powtórным przyjsciu Zbawiciela i koncu swiata. Ale zagadałem się, a tymczasem zbliżamy się do mojej stacji. Wy wysiadacie na następnej. Bądźcie gotowi.

Gdy Anfim Jefimowicz wysiadł, Antonina Aleksandrowna powiedziała :

— Nie wiem, jak ty na to patrzysz, ale mnie zdaje się, że sam los przysłał nam tego człowieka, który odegra jakąś dobroczynną rolę w naszej tutejszej egzystencji.

— Bardzo możliwe, Toniu. Nie cieszy mnie jednak wcale, że poznają cię po podobieństwie do dziadka, którego tu zbyt dobrze pamiętają. Już Strelnikow, gdy tylko posłyszał słowo „Warykino”, zaraz złośliwie zapytał : „Warykino, zakłady Krügera. Czy nie krewni ? Czy nie spadkobiercy ?” Obawiam się, że będziemy tu bardziej zwracali na siebie uwagę niż w Moskwie, skąd wyjechalіśmy właśnie, aby zniknąć z oczu. Teraz, oczywiście za późno o tym myśleć. Ale lepiej nie wpadać w oko, chować się, zachowywać dyskretnie. W ogóle mam niedobre przeczucia. No, budźmy naszych, pakujmy rzeczy, ściągajmy je rzemieniami i bądźmy gotowi do wysiadania.

7

Antonina Aleksandrowna stała na peronie stacji Torfianaja i liczyła raz jeszcze osoby i pakunki, aby przekonać się, że niczego nie zapomniano w wagonie. Czula pod stopami udeptany piasek peronu, lecz nie opuścił jej jeszcze strach, że może przeoczyć stację, i stukot jadącego pociągu trwał w jej uszach, jakkolwiek pociąg ten, stojący nieruchomo, widziała przed sobą na własne oczy. Stan ten nie pozwalał jej nic widzieć, słyszeć i rozumieć.

Jadący dalej pasażerowie żegnali ją z wysokości tiepluszki, lecz Antonina Aleksandrowna nie dostrzegała ich. Nie dostrzegła również odejścia pociągu, i nieobecność jego doszła do jej świadomości dopiero wówczas, gdy ukazał się zasłonięty dotąd drugi tor, a za nim zielone pola i błękitne niebo.

Budynek stacyjny był murowany. Po obu stronach wejścia stały ławki. Moskiewscy podróżnicy z Siwcewa Wrażka, jedyni pasażerowie, którzy wysiedli w Torfianej, złożyli razem bagaże i siedli na jednej z ławek.

Uderzyła ich panująca na stacji cisza, pustka i porządek. Fakt, że nie widzieli dokoła siebie tłoku i nie słyszeli przekleństw, wydawał się im niezwykły. Życie w tym zapadłym kącie spóźniało się za biegiem historii. Osiągnięcie stołecznego poziomu zdżiczenia należało tu jeszcze do przyszłości.

Stacja była ukryta w brzozowym lesie. Gdy pociąg się do niej zbliżał, w wagonach ściemniało. Cienie rzucane przez kołyszące się lekko szczyty drzew biegały tam i z powrotem po rękach i twarzach, po czystym, szaro-żółtym piasku peronu, po ziemi i dachu budynku. Świergot ptaków odpowiadał orzeźwiającej świeżości lasu. Pełne, czyste jak niewinność dźwięki rozlegały się wszędzie i przenikały cały las. Przecinały go na krzyż kolej i droga polna, ocienione powiewnymi gałęziami, zwieszającymi się ku ziemi jak rękawy kimona.

Oczy i uszy Antoniny Aleksandrowny otworzyły się, i wszystko doszło na raz do jej świadomości: głosy ptaków, leśna samotność i panujący dokoła pokój. Antonina Aleksandrowna miała w myśli gotowe zdanie: — Nie wierzyłam, że dojedziemy tu cało. Twój Strelnikow mógł udać przed tobą wielkoduszość i wypuścić cię, wysyłając jednocześnie telegraficzne polecenie zatrzymania nas wszystkich po przybyciu. Nie wierzę, mój drogi, w ich szlachetność. Wszystko to mają tylko od parady. — Ale zamiast przygotowanych słów powiedziała co innego. — Jak tu pięknie! — wyrwało się jej z ust na widok czarownego otoczenia. Więcej nie mogła nic powiedzieć. Łzy dusiły ją. Wreszcie rozplakała się głośno.

Słyszając jej szlochanie, stary zawiadowca stacji wyszedł przed budynek. Drobnymi krokami zbliżył się do ławki, uprzednie podniósł rękę do czerwonej, urzędowej czapki i zapytał:

— Kropel uspakajających dla panienki? Z stacyjnej apteczki.

— To głupstwo. Dziękuję. Przejdzie.

— Kłopoty podróżne, zmęczenie. Rzecz wiadoma, często się zdarza. Przy tym upał afrykański, rzadki w naszej szerokości. I do tego wypadki w Jurjatinie.

— Przejeżdżając widzieliśmy z wagonu pożar.

— Jesteście zapewne z Rosji, jeżeli się nie mylę.

— Z Białokamiennej.

— Z Moskwy? Trudno się dziwić, że nerwy pani nie są w porządku. Mówią, że tam kamień na kamieniu nie pozostał.

— Przesadzają. Ale istotnie widzieliśmy tam różne rzeczy. To jest moja córka, to — zięć. To jest ich synek, a to nasza młoda niania, Niusza.

— Dzień dobry, dzień dobry, bardzo mi przyjemnie. Zostałem już uprzedzony. Samdiewiatow, Anfim Jefimowicz, ze stacji Sakma dzwonił. Doktor Żiwago z rodziną z Moskwy. Proszę, mówił, udzielić mu jak najdalej idącej pomocy. Jesteście zapewne tym doktorem.

— Nie. Doktor Żiwago — to mój zięć. Pracuję w innej branży, rolniczej. Profesor agronomii Gromeko.

— Przepraszam za omyłkę. Przepraszam. Rad jestem poznać.

— Sądząc z waszych słów, znacie Samdiewiatowa ?

— Jak mógłbym go nie znać, czarodzieja naszego i dobroczyńcy, naszej nadziei. Bez niego wszyscy byśmy tu dawno wyciągnęli kopyta. Okaż, mówi, najdalej idącą pomoc. Rozkaz, powiadam. Obiecałem mu. Trzeba wam konia, czy czymś innym mógłbym usłużyć ? Dokąd wybieracie się ?

— Do Warykina. Czy to stąd daleko ?

— Do Warykina ? A ja tu łamię sobie głowę, kogo mi wasza córka przypomina. Wy do Warykina ! Teraz wszystko jest jasne. Tę kolej budowaliśmy przecież razem z Ernestem Iwanowiczem. Zaraz się zajmę, wszystko urządzę. Zawołam tylko kogoś i dostanę podwodę. Donat ! Donat ! Zanieś te rzeczy póki co do poczekalni. A co z końmi ? Skocz do czajnej i spytaj. Zdaje się, że Wakch się tu rano pętał. Spytaj, czy jeszcze nie odjechał. Powiedz, że do Warykina trzeba zawieźć czterech pasażerów, bagażu prawie żadnego. Przyjechali z daleka. Żywo. A wam, pani dobrodziejko, ojcowską radę dam. Nie pytam na umyślnie o stopień waszego pokrewieństwa z Ernestem Iwanowiczem. Bądźcie z tym ostrożni. Nie mówcie o tym wszystkim. Takie czasy, sami wiecie.

Słyszac imię „Wakch”, przyjezdni spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Przypomnieli sobie opowiadanie nieboszczki Anny Iwanowny o bajecznym kowalu z żelaznymi wnętrzościami własnego wyrobu i inne miejscowe podania.

Jechali wozem, zaprzężonym w białą kobyłę, która niedawno ożrebiła się. Powoził kłapouchy, kudłaty, biały jak gołąb staruch. Wszystko było na nim białe, jakkolwiek z różnych przy-

czyn : łapcie — dlatego że nowe, portki i koszula — dlatego że wypływały z starości.

Za białą kobyłą bieгло wyrzucając chrząstkowate i jeszcze nieskostniałe nogi, kare, czarne jak noc źrebię z kędzierzawą, malutką główką, podobną do rzeźbionej w drzewie zabawki.

Siedzący na podskakującym na wybojach wozie podróżni trzymali się luśni, aby nie wypaść. W duszach ich panował spokój. Marzenie ich było bliskie spełnienia, zbliżali się do celu podróży. Cudownie jasny dzień zdawał się hojnie przedłużać dla nich swe przedwieczne godziny.

Droga szła na przemian przez lasy i otwarte polany. W lesie, od wstrząśnięć wozu jadącego po korzeniach i pieńkach, podróżni garbili się, chmurzyli, przyciskali jedni do drugich. Na miejscach otwartych, gdzie sama przestrzeń z nadmiaru życzliwości zdawała się zdejmować przed nimi czapkę, podróżni rozprostowywali plecy, siadali wygodniej, wstrząsali głowy.

Miejscowość była górzysta. Góry, jak zwykle, miały swe własne oblicze. Rzucając potężne i wyniosłe cienie, patrzyły w milczeniu na podróżnych. Biegące za nimi doliną różowe światło uspakajało ich i pocieszało.

Wszystko podobało się tu im i dziwiło, najwięcej zaś nieustanne gadanie ich dziwaczного woźnicy, w którego ustach stare, zapomniane słowa rosyjskie, naleciałości tatarskie i osobliwości gwarowe mieszały się z niezrozumiałymi zwrotami jego własnego wynalazku.

Gdy źrebię zostawało w tyle, kobyła zatrzymywała się i czekała. Falistymi skokami źrebię doganiało podwodę i niepewnymi krokami, na swych długich, strychujących nogach, zbliżało się, przesuwało malutką głowę pod hołobłą i ssało matkę.

— Nie rozumiem — krzyczała mężowi Antonina Aleksandrowna, dzwoniąc wśród podskoków podwody zębami i uważając, aby nie odkąsić końca języka. — Czy możliwe, aby to był ten sam Wakch, o którym opowiadała mama, pamiętasz, różne koszalki opałki? Że kowal, że mu w bójce uszkodzono wnętrzności, i że zrobił sobie sam nowe. Słowem kowal Wakch żelazny brzuch. Rozumiem, że to bajka. Ale czy to bajka o nim? Czy to może być ten sam?

— Oczywiście nie. Po pierwsze, sama widzisz, że to bajka folklor. Po wtóre, już w czasach mamy folklor ten miał ponad sto lat. I czemu tak głośno? Staruszek usłyszysz i obrazi się.

— Nic nie usłyszysz, głuchawy. A nawet jak usłyszysz — nie zrozumie, bo pomylony.

— Hej, Fiodor Niefiedycz! — popędzał staruch kobyłę, nie wiadomo czemu nazywając ją męskim imieniem, jakkolwiek

ze wszystkich obecnych najlepiej wiedział, czego się pod tym względem trzymać. — Ależ upał przeklęty ! Jak u abrahamskich młodzianków w perskim piecu. Wio, diable spaśny ! Do ciebie mówię, Mazepo !

I nieoczekiwanie zaczął nucić urywki czastuszek śpiewanych w tutejszych kopalniach.

*Żegnaj mi, fabryczny kantor,
żegnaj mi, kopalnio stara !
Mam pańskiego chleba dość,
nadtom wody tutaj pił.
Wedle brzegu płynie łabędź
i pod siebie wodę zgarnia,
to nie wódka krok zmyliła
ino Jasiek już w rekrutach.
Wi-sz, Maryś, zem nie głupi,
Wi-sz, Maryś, com za chłop.
Do Sielaby miasta pójdę,
zgodzę się do Sentetriuchy.*

— Hej, kobyłeczko, jeszcze troszeczkę ! Patrzajcie, ludzie, co za ścierwo ! Ty ją gładź, a ona tobie : złaź. No, Fiedzia-Niefiedzia, kiedy pojedzia ? Ten las nazywa się tajga i nie ma końca. Siła tam narodu chrześcijańskiego siedzi, leśnych braci. Hej, Fiedia-Niefiedia, znów stoisz, czarcie nasienie.

Nagle staruch odwrócił się i patrząc wprost w oczy Antoninie Aleksandrownie, powiedział :

— A ty, młódko, myślisz, że nie zwietrzyłem od razu, skąd tyś się taka wzięła ? Zwodzić mnie chcesz ? Niech się pod ziemię zapadnę, jeżeli nie poznałem ! Gałom własnym nie wierzę — wykapany Grigow ! (tak nazywał Krügera). Czyś czasem nie wnuczka ? Do Grigowa ja już mam oko. Wiek z nim spędziłem, zęby na nim zjadłem. We wszystkich rzemiosłach u niego pracowałem : przy podstemplowywaniu sztolni, przy wyciągu, przy stajni. — No rusz się ! Znowu stanęła ! Aniołowie kitajscy, do ciebie mówię czy nie ? — I co ty tam bajesz o Wakchu, czy ten sam, czy nie kowal ? Niemadra jesteś. Oczy masz takie duże, a nie widzisz. Twój Wakch był Postanogow, tak się nazywał : Postanogow żelazny brzuch. Pół wieku już jak do ziemi, między deski poszedł. A my jesteśmy Miechoniny. Imię to samo, a nazwiska różne.

Powoli staruch opowiedział po swojemu o Mikulicynie wszystko to, co podróżni słyszeli już od Samdiewatowa. Nazywał go Mikuliczem, a jego żonę Mikuliczną. Obecną żonę nazywał

„powtórnie zaślubioną”, a o pierwszej, nieboszczce mówił, że była słodka jak miód, że była białym cherubinem. Gdy doszedł do historii przywódcy partyzantów Liwerja i dowiedział się, że w Moskwie o leśnych braciach nie słyszano, fakt ten wydał mu się niewiarygodny :

— Nie słyszano ? O towarzyszu Lesnym nie słyszano ? Aniołowie kitajscy, to po co Moskwie uszy ?

Zbliżał się wieczór. Przed jadącymi biegły coraz dłuższe, ich własne cienie. Droga szła teraz przez pustynną płaszczynę. Tu i ówdzie wznosiły się na niej wysokie kępy lebiody, ostu i jastrunia, z kitkami kwiatów na szczycie. Oświetlone z dołu ostatnimi promieniami słońca, kępy te podobne były do rozstawionych z rzadka na stepie konnych wart.

Na wprost nich równinę zamykało poprzeczne, strome wzniesienie, przed którym można było domyślać się głębokiego parowozu lub rzeki. Niebo zdawało się w tym miejscu zamknięte ogrodzeniem, do bramy którego prowadziła droga.

Na wzniesieniu zarysowywał się biały, długi, jednopiętrowy budynek.

— Widzisz tę wieżę na pagórku ? — zapytał Wakch. — Tam siedzi twój Mikulicz z Mikuliczną. A pod nimi jest rozpadlina, parów. Nazywa się Szut'ma.

Dwa wystrzały, jeden po drugim, przetoczyły się tam, budząc drobne, mnożące się echa.

— Co to ? Czy nie partyzanci, dziaduniu ? Nie do nas strzelają ?

— Bóg z wami. Jacy partyzanci ? Stiepanycz w Szut'mie wilki straszy.

9

Pierwsze spotkanie przybyłych z gospodarzami nastąpiło w podwórzu domu dyrekcji. Wynikła stąd męcząca scena, zrazu milcząca, potem hałaśliwa i nedorzeczna.

Jelena Prokłowna wracała z wieczornej przechadzki z lasu. Promienie słońca, prawie tak samo złociste jak jej włosy, pełzały za nią po ziemi od drzewa do drzewa. Jelena Prokłowna ubrana była lekko, po letniemu, i ocierała chusteczką rozgrzaną od ruchu twarz. Szyję jej otaczała gumowa tasiemka, przytrzymująca odrzucony na plecy słomkowy kapelusz.

Na spotkanie jej szedł mąż, wychodzący z parowozu z mocnym postanowieniem przetarcia natychmiast luf dubeltówki,

które, sądząc z pewnej nieregularności wystrzałów, musiały być jego zdaniem mocno zanieczyszczone.

W tej właśnie chwili, zupełnie niespodzianie, przez brukowane podwórze zajechał dziarsko pod ganek Wakch z nieoczekiwanymi gośćmi.

Przybyli zsiadli z wozu, i Aleksander Aleksandrowicz, zacinając się, i zdejmując i wkładając kapelusz, udzielił pierwszych wyjaśnień.

Szczere osłupienie zbitych z tropu gospodarzy i równie szczere zmieszanie płonących ze wstydu nieszczęśliwych gości trwało przez kilka chwil. Kłopotliwość sytuacji była widoczna nie tylko dla uczestników sceny, ale także dla Wakcha, Niuszy i Szury. Uczucie przykrego zakłopotania zdawało się udzielać kobyle i żrebięciu, złotym promieniom słońca i komarom, obsiadającym twarz i szyję Jeleny Prokłowny.

— Nie rozumiem — przerwał wreszcie milczenie Awerkij Stiepanowicz. — Nie rozumiem, nic nie rozumiem i nigdy tego nie zrozumieć. Czy tu jest Południe i pszeniczna gubernia? Czy rządy białych? Dlaczego wybór wasz padł właśnie na nas, czemu was tu właśnie przyniosło?

— Czy pomyśleliście o tym, jaką odpowiedzialnością obarczacie Awerkja Stiepanowicza?

— Lenoczka, nie przeszkadzaj. Lecz właśnie. Ona ma zupełną rację. Czy pomyśleliście, jakim będziecie dla mnie ciężarem?

— Bóg z wami. Nie rozumiemy się. O co chodzi? O rzecz bardzo niewielką. Nie ma mowy o żadnym zamachu na was i na wasz spokój. Chodzi o kąt w jakimś pustym, zrujnowanym budynku i o kawałek nikomu niepotrzebnej, leżącej odłogiem ziemi na ogród. Ewentualnie o furę drew z lasu, gdy nikt nie będzie widział. Czy to tak wiele, czy są to wygórowane pretensje?

— Tak, ale świat jest wielki. Dlaczego ten zaszczyt spadł właśnie na nas, a nie na kogoś innego?

— Znamy was ze słyszenia, i wyście też pewnie o nas słyszeli. Mieliśmy nadzieję, że nie będziemy tu u ludzi zupełnie obcych.

— Aha, chodzi o Krügera i o to, że jesteście jego krewni. Ale skąd macie odwagę przyznawać się do tego w naszych czasach?

Awerkij Stiepanowicz miał rysy regularne, zaczesane na tył włosy, krok miał szeroki, śmiały, a latem nosił wypuszczoną na spodnie koszulę, przepasaną tasiemką zakończoną frędzlami. W dawnych czasach ludzie tacy byli rzecznymi rozbójnikami, obecnie zaś stworzyli typ wiecznego studenta i skłonnego do moralizatorstwa marzyciela.

Młodość swą Awerkij Stiepanowicz poświęcił ruchowi wolnościowemu i rewolucji. Obawiał się, że jej nie dożyje lub doczeka się tylko rewolucji umiarkowanej, nie zadowolającej jego radykalnych i krwawych rojeń. I oto nadeszła rewolucja prześcigająca jego najśmielsze przewidywania, lecz Awerkij Stiepanowicz, urodzony przyjaciel robotników, który nie zwlekając wprowadził w zakładach „Swiatogor Bogatyr” komitet fabryczny i kontrolę robotniczą, został na lodzie, bez zajęcia, w opuszczonej osadzie, z której robotnicy, należący częściowo do eserów, rozbiegli się na cztery wiatry. Nieproszone pojawienie się spadkobierców Krügera wydało mu się w tych okolicznościach szyderstwem i zdradliwym podstępem losu, kroplą przepełniającą czarę goryczy.

— Nie, to nie do wiary. Czy rozumiecie, jakim jesteście dla mnie niebezpieczeństwem, w jakie stawiacie mnie położenie? Zwariuję chyba. Nie rozumiem, nic nie rozumiem i nigdy tego nie zrozumiem.

— Czy nie widzicie, na jakim wulkanie jesteśmy tu już i bez was?

— Poczekaj, Lenoczka. Moja żona ma rację. I bez was tu źle. Sobacze życie, dom wariatów. Wciąż między dwoma ogniami, żadnego wyjścia. Jedni psy na mnie wieszają, że mam takiego czerwonego syna, bolszewika, ulubieńca ludu. Drugim nie podoba się, że wybrano mnie do Zgromadzenia Ustawodawczego. Nikomu nie można dogodzić. I do tego jeszcze wy. Wesoło będzie zostać z waszego powodu rozstrzelanym.

— Co wy mówicie! Bójcie się Boga!

Po pewnym czasie Awerkij Stiepanowicz z tonu gniewnego przeszedł na łaskawy.

— Ano, wyklóciliśmy się na dworze i dosyć. Możemy teraz robić to w domu. Niczego dobrego oczywiście nie przewiduję, ale jest to skryte w mgłę przyszłości i może być tylko przedmiotem wróżb. Tymczasem my tu nie janczarzy i nie bisurmanie. Nie wypędzimy was do lasu, aby Michajło Potapycz²⁶ was zjadł. Myślę, Lenoczka, że najlepiej umieścimy ich w pokoju z palmami, koło gabinetu. A potem pomówimy, gdzie ich urządzić. Najlepiej, myślę, będzie w parku. Wnieś rzeczy, Wakch. Pomóż przyjezdnym.

Spełniając polecenie, Wakch wzdychał z cicha:

— Matko Boska! Rzeczy tyle co u włóczęgów. Same zawiątki. Ani jednej walizki.

26. Miś, niedźwiedź.

Zapadła chłodna noc. Przyjezdni umyli się. Kobiety zajęły się przygotowaniem noclegu w przeznaczonym dla gości pokoju. Szura, przyzwyczajony do tego, że dorośli przyjmowali z zachwytem każdą bzdurę powiedzianą przezeń w jego dziecięcym języku, i, dostosowując się do gustu starszych, popisujący się chętnie swym gaworzeniem, czuł się nieswojo. Paplanie jego nie miało dziś powodzenia. Nikt nań nie zwracał uwagi. Był niezadowolony, że nie wzięto do domu czarnego żrebięcia. a gdy zniecierpliwieni rodzice kazali mu być cicho, rozplakał się w obawie, aby nie odesłano go z powrotem do składu dzieci, z którego, według jego pojęć, został kiedyś przyniesiony do domu rodziców. Obawy swe wypowiadał głośno, lecz jego miłe niedorzeczności nie sprawiały zwykłego wrażenia. Skrępowani pobyt w obcym domu, starsi poruszali się prędzej niż zwykle i zajęci byli milcząco swymi troskami. Szura czuł się obrażony i „kwilił”, jak mówiła jego niania. Nakarmiono go i z trudem ułożono do spania. Gdy wreszcie zasnął, służąca Mikulicynow, Ustinja, wzięła z sobą Niuszę, aby wtajemniczyć ją w domowe porządki. Antoninę Aleksandrownę i obu mężczyzn poproszono na wieczorną herbatę.

Przeprosiwszy gospodarzy, Aleksander Aleksandrowicz i Jurij Andrejewicz wyszli na ganek odetchnąć świeżym powietrzem.

— Ile gwiazd — powiedział Aleksander Aleksandrowicz.

Noc była ciemna. Stojąc o dwa kroki od ganku, teść i zięć nie widzieli się wzajemnie. Zza węgła domu światło lampy padało przez okno na brzeg parowu. W wilgotnym chłodzie majaczyły mglisto krzaki, drzewa i inne niejasne przedmioty. Obecność tej smugi światła sprawiała, że noc wydawała się rozmawiającym jeszcze ciemniejsza.

— Jutro z rana trzeba będzie obejrzyć budynek, który Mikulicyn nam przeznaczył i, jeżeli okaże się mieszkalny, wziąć się od razu do jego naprawy. Zanim uporządkujemy nasz kąt, ziemia odmarznie, ogrzeje się, a wówczas, nie tracąc chwili czasu, weźmiemy się do kopania grządek. Miałem wrażenie, że Mikulicyn obiecał nam między innymi dać nasiennych ziemniaków. Czy dobrze go zrozumiałem?

— Obiecał, obiecał. Inne nasiona też. Słyszałem na własne uszy. Grunt, który nam przeznacza, widzieliśmy w drodze, przejeżdżając przez park. Pamiętasz? Na tyłach domu mieszkalnego gdzie rosła pokrzywa. Pokazywałem wam to z podwody. Pamiętasz? Tam kopałbym grządki. Wydało mi się z daleka, że są tam szczątki kwietnika. Być może zresztą się myłę. Ścieżek

nie ruszilibyśmy, a ziemia pod klombami była zapewne często nawożona i jest bogata w próchnicę.

— Jutro zobaczymy. Na razie nic nie wiem. Ziemia na pewno zarosła tam trawą i jest twarda jak kamień. Przy domu był być może ogród warzywny, z którego coś jeszcze zostało. Wszystko to wyjaśnimy jutro. Rankami są tu jeszcze zapewne przymrozki. Dziś w nocy będzie na pewno mróz. Co za szczęście, że jesteśmy nareszcie na miejscu! Możemy sobie gratulować. Tu jest dobrze. Mnie się tu podoba.

— Bardzo przyjemni ludzie. Zwłaszcza on. Ona jest trochę wymuszona. Jest niezadowolona z siebie, coś się w niej jej samej nie podoba. Stąd jej nieustająca, pozornie trzpiotowata wielomówność. Wygląda tak, jak gdyby chciała śpiesznie odwrócić uwagę od swej powierzchowności, uprzedzić jakieś niekorzystne dla niej wrażenie. Wiszącego na plecach kapelusza też nie zapomniła przez roztargnienie. Jest jej z tym bardzo do twarzy.

— Wracajmy jednak do domu. Za długo każemy na siebie czekać.

Idąc do oświetlonej jadalni, gdzie przy okrągłym stole pod wiszącą lampą Antonina Aleksandrowna i gospodarze siedzieli koło samowaru i pili herbatę, teść i zięć przeszli przez nieoświetlony gabinet dyrektora.

Szerokie okno z jednej szyby wychodziło w gabinecie na parów. Jeszcze przy świetle dziennym doktor zauważył otwierający się z tego okna widok na drugi brzeg parowu i równinę, przez którą wiózł ich Wakch. Przed oknem stał szeroki na całą ścianę stół architekta czy rysownika. Leżąca na nim wzdłuż dubeltówka zostawiała z obu stron wiele wolnego miejsca, co podkreślało jeszcze rozmiary stołu.

Przechodząc przez gabinet, Jurij Andrejewicz znów zauważył z zazdrością okno z szerokim widokiem, wielkość i położenie stołu i rozmiary ładnie umeblowanego pokoju. Gdy zbliżyli się w jadalni do stołu, Jurij Andrejewicz nie mógł powstrzymać się od wyrażenia gospodarzowi swego zachwytu:

— Jakie tu piękne położenie! I jaki wspaniały gabinet, zachęcający do pracy, dający natchnienie.

— Wolicie w szklance czy w filiżance? Mocną czy słabą?

— Popatrz, Jura, na ten stereoskop, zrobiony przez syna Awerkja Stiepanowicza, gdy był chłopcem.

— On i teraz jeszcze nie dorósł i nie spoważniał, chociaż dla władzy sowieckiej zdobywa od Komucza jeden okrąg za drugim.

— Jak wy to nazywacie?

— Komucz.

— Co to jest?

— Są to wojska syberyjskiego rządu, dążące do przywrócenia władzy Zgromadzenia Ustawodawczego.

— Przez cały dzień słuchamy bez przerwy pochwał waszego syna. Możecie zeń być słusznie dumni.

— Te podwójne, stereoskopiczne widoki Uralu są też jego roboty, zdjęte aparatem własnej konstrukcji.

— Czy te placki są z sacharyną ? Doskonałe !

— Skądże ! Gdzie nam, w takiej głuszy, do sacharyny ! Najczystszy cukier. Nie zauważyliście, że kawałek jego włożyłam wam do herbaty z cukiernicy ?

— Rzeczywiście. Przeglądałam fotografie. I herbata też, zdaje się, prawdziwa ?

— Z kwiatkiem. Rozumie się.

— I skąd ?

— Jest to podobne do historii obrusa, który się sam nakrywał. Znajomy. Wybitny działacz o bardzo lewicowych poglądach. Oficjalny przedstawiciel gubernialnego urzędu gospodarczego. Wozi od nas drzewo do miasta, a nam dostarcza kaszy, masła, mąki. Siwierka (tak nazywała swego Awerkja), podaj mi cukiernicę. A teraz odpowiedźcie na pytanie, w jakim roku zmarł Gribojedow ?

— Urodził się, zdaje się, w 1795, a kiedy został zabity, dokładnie nie pamiętam.

— Jeszcze herbaty ?

— Nie, dziękuję.

— A teraz inne pytanie : powiedźcie, proszę, kiedy i między jakimi krajami zawarty został pokój w Nijmegen ?

— Nie męcz ich, Lenoczka. Daj ludziom odpocząć po podróży.

— Chciałabym zadać jeszcze jedno pytanie : wyliczcie, proszę, jakie są rodzaje szkieł powiększających, i w jakim wypadku dają obrazy rzeczywiste, odwrócone, proste i pozorne ?

— Skąd wy tak znacie fizykę ?

— Mieliśmy w Jurjatinie doskonałego nauczyciela. Wykładał w dwóch gimnazjach, w męskim i u nas. Jak on objaśniał ! Jak Bóg ! Wszystko kładł nam do ust rozgryzione i przeżute. Antipow. Żonaty był z tutejszą nauczycielką. Dziewczęta szalały za nim, wszystkie były w nim zakochane. Poszedł na wojnę jako ochotnik i nie wrócił ; został zabity. Twierdzą, że obecny bicz Boży, przysłany nam z nieba za karę komisarz Strelnikow jest zmartwychwstałym Antipowem. Oczywiście jest to legenda. To do niego nie podobne. A zresztą, kto go tam wie. Wszystko być może. Jeszcze filiżankę ?

R o z d z i a ł I X

WARYKINO

I

Zimą, gdy było więcej wolnego czasu, Jurij Andrejewicz zaczął prowadzić różnego rodzaju notatki. Pisał :

„Latem miałem nieraz ochotę powiedzieć z Tiutczewem :

*Ach, cóż za lato, jakie lato !
Zaczarowany każdy kąt.
I jak właściwie przyszło na to,
Że nie wiadomo gdzie i skąd ?*

Jak szczęśliwy jest ten, kto pracuje na siebie i swą rodzinę od świtu do nocy, buduje dom, w trosce o wyżywienie uprawia ziemię i tworzy jak Robinson swój świat, naśladowując Stwórcę w kształtowaniu wszechświata i własną matkę w powoływaniu wciąż na nowo do bytu samego siebie !

„Ile nowych pomysłów i refleksji przychodzi na myśl, gdy ręce zajęte są fizyczną, mięśniową pracą, rolniczą czy ciesielską ; gdy stoi się wobec zadań rozsądnych, fizycznie wykonalnych, których wypełnienie dostarcza żywego zadowolenia ; gdy przez sześć godzin z rzędu pracuje się siekierą lub kopie się ziemię pod otwartym niebem, palącym nas swym dobroczynnym oddechem. To, że wszystkie te myśli, przypuszczenia i przybliżenia nie zostają przeniesione na papier, lecz ulatniają się w swej zwiewności, nie jest stratą lecz zyskiem. Miejski pustelnik pod-

niecający swe nerwy i wyobraźnię czarną kawą i tytoniem nie zna najsilniejszego narkotyku, jakim jest potrzeba silnego zdrowia.

„Nie idę tu dalej i nie podzielam myśli Tolstoja o powrocie do ziemi i do życia ludzi prostych, nie wnoszę własnych poprawek do programu agrarnego socjalizmu. Stwierdzam jedynie fakt, i nie buduję z naszych przypadkowych doświadczeń żadnego systemu. Nasz przykład jest zresztą sporny i nie nadaje się do uogólnień. Gospodarstwo nasze czerpie swe środki ze zbyt rozmaitych źródeł. Tylko kartofle i warzywa zdobywamy pracą własnych rąk. Cała reszta pochodzi z innego źródła.

„Z ziemi korzystamy bezprawnie. Gospodarstwo nasze uchyla się od kontroli państwa. Nasze wyręby są kradzieżą. Nie usprawiedliwia jej okoliczność, że okradamy majątek państwowy z tego co było dawniej krügerowskie Oslania nas pobłażliwość Mikulicyna, żyjącego zresztą w ten sam sposób. Bezkarność zawdzięczamy odległości od miasta, gdzie, na razie przynajmniej, nikt nie wie o naszych grzechach.

„Aby nie krępować mojej swobody, wyrzekłem się medycyny i ukrywam, że jestem lekarzem. Zawsze jednak jakaś dobra dusza dowie się o osiedleniu się w Warykinie doktora i jedzie trzydzieści wiorst po poradę, wioząc kurę, mendel jaj, oselkę masła, lub coś podobnego. Jakkolwiek wykręcam się od honorariów, nie mogę się od nich zupełnie wymówić, bo ludzie nie wierzą w skuteczność darmowych konsultacji. Praktyka lekarska przynosi mi więc coś nie coś, główną jednak podporą naszą i Mikulicynow jest Samdewiatow.

„Trudno zrozumieć jak człowiek ten może łączyć w sobie tyle sprzeczności. Jest szczerym stronnikiem rewolucji i zasługuje w pełni na zaufanie, jakim darzy go sowiet miejski w Jurjatinie. Na mocy swych pełnomocnictw mógłby wyrąbać i wywieźć wszystkie lasy w Warykinie nie opowiadając się wcale Mikulicynowi, który nie miałby nic do powiedzenia. Gdyby chciał okradać skarb, mógłby najspokojniej kłaść do własnej kieszeni co i ile by mu się podobało i też nikt nie odważyłby się pisać. Nie musiałby dzielić się z nikim, ani nikogo przekupywać. Co więc skłania go do pomagania nam, Mikulicynom i tylu innym w całym okręgu, na przykład naczelnikowi stacji Torfianaja? Samdewiatow wciąż jeździ, wciąż coś dostaje i przywozi, komentuje w sposób równie zajmujący *Biesy* Dostojewskiego i *Manifest Komunistyczny* i zdaje mi się, że umarłby z nudów, gdyby nie komplikował sobie życia w sposób tak bezinteresowny i oczywisty”.

Nieco później doktor zanotował :

„Zamieszkaliśmy w dwóch pokojach drewnianej przybudówki domu Krügera, która w dzieciństwie Anny Iwanowny przeznaczona była dla kilku wybranych domowników, dla szwaczki, klucznicy i starej niani.

„Przybudówka była zrujnowana, ale udało się ją szybko naprawić. Z pomocą ludzi doświadczonych przebudowaliśmy całkowicie piec, ogrzewający oba pokoje. Piec ten daje teraz znacznie więcej ciepła.

„W tej części parku ślady dawnych ścieżek i trawników znikły pod nową roślinnością. Zimą jednak, gdy życie zamarło i nie przysłania martwej przeszłości, dawne zarysy parku stają się bardziej widoczne.

„Mieliśmy szczęście. Jesień była sucha i ciepła. Kartofle zdążyliśmy wykopać przed deszczami i chłodem. Po zwrocie pożyczki Mikulicynowi, zostało ich dwadzieścia worków, umieszczonych w głównej komorze w piwnicy i przykrytych z wierzchu sianem i starymi kocami. Do tejże piwnicy znieśliśmy dwie beczki zasolonych przez Tonię ogórków i dwie beczki kiszonej kapusty. Głowy świeżej kapusty, wiązane po dwie razem, powiesiliśmy na słupach podpierających strop piwnicy. Marchew zakopaliśmy w suchy piasek. Mamy też w piwnicy wystarczający zapas rzodkwi, buraków i rzepy, a na górze w domu mnóstwo grochu i bobu. DREW złożonych w szopie starczy do wiosny. Lubię zimą, przed świtem, ciepłe tchnienie piwnicy, uderzające w nos zapachem korzeni, ziemi i śniegu, gdy tylko otworzę klapę przykrywającą wejście ze słabo płonącym, gotowym zgasnąć ogarkiem w rękę.

„Gdy wychodzę z szopy dzień jeszcze nie świta. Wystarczy skrzypnięcie drzwi, kichnięcie lub po prostu chrupnięcie śniegu pod stopą, aby z dalekich grządek ogrodu, gdzie spod śniegu wystają resztki kapuścianych głąbów, zerwały się i zaczęły czmychać zajęce, których zamaszyste ślady biegną po śniegu we wszystkich kierunkach. Jeden za drugim odzywają się okoliczne psy i szczekają długo. Koguty piał już wcześniej i pora ich minęła. Zaczyna świtać.

„Prócz śladów zajęczych, niezmierzoną śnieżną równinę przecinają także ślady rysiów, ciągnące się jak sznury : dołek przy dołku. Rysie chodzą jak koty, łapka za łapką i, jak twierdzą, robią nocami wielowiorstowe przemarsze.

„Na rysie zastawiają potrzaski, zwane tutaj „słopcami”, lecz zamiast rysiów wpadają w nie biedne szaraki, które potem

znajdują w żelazach sztywne, zamrożone, na wpół zasypane śniegiem.

„Na początku, wiosną i latem, było nam bardzo trudno. Goniliśmy resztką sił. Teraz w zimowe wieczory odpoczywamy. Siedzimy przy lampie, dzięki Anfimowi, który dostarcza nam nafty. Kobiety szyją lub robią na drutach, ja zaś lub Aleksander Aleksandrowicz głośno czytamy. W piecu się pali, i ja, jako uznany od dawna kalefaktór, uważam na ogień, aby na czas zasunąć szyber. Jeżeli jakaś niedopalona głównia opóźnia tę czynność, wynoszę ją, całą dymiącą, biegiem za próg i rzucam daleko w śnieg. Sypiąc iskry, głównia leci jak pochodnia, oświetla kawałek śpiącego parku z białymi czworobokami trawników i z sykiem gaśnie w zaspie.

„Czytamy bez końca *Wojnę i Pokój*, *Eugeniusza Oniegina* i wiersze Puszkina, potem w rosyjskim przekładzie *Czerwone i czarne* Stendhala, *Powieść o dwóch miastach* Dickensa i krótkie opowiadania Kleista”.

3

Pod wiosnę doktor zanotował :

„Wydaje mi się, że Tonia jest w ciąży. Powiedziałem jej to. Tonia nie przypuszcza, aby tak było, ja zaś jestem tego pewny. Wnoszę to z pierwszych nieuchwytnych objawów, które poprzedzają objawy niewątpliwe, lecz które nie mogą mnie mylić.

„Twarz kobiety zmienia się. Nie można twierdzić, że brzydlie, lecz jej wygląd zewnętrzny, przedtem pozostający całkowicie pod jej nadzorem, uchyla się teraz od kontroli. Znajduje się już we władzy czegoś przyszłego, co nie jest identyczne z nią samą. Brak kontroli nad wyglądem zewnętrznym wyraża się w rodzaju fizycznego zamętu, w którym twarz traci swą świeżość, skóra grubiej, oczy błyszczą inaczej niż się chce, jak gdyby kobieta nie mogła sobie dać rady z tymi rzeczami i przestała nimi kierować.

„Nie rozstawaliśmy się z Tonią nigdy, ale ten pracowity rok zbliżył nas jeszcze bardziej. Przekonałem się jak dalece Tonia jest roztropna, silna, wytrwała, jak zręcznie rozkłada swe zajęcia, aby przy przechodzeniu od jednego do drugiego tracić jak najmniej czasu.

„Zawsze zdawało mi się, że wszelkie poczęcie jest niepokalne, i że dogmat ten, odnoszący się do Matki Boskiej, wyraża ogólną ideę macierzyństwa.

„Każda kobieta rodząca jest samotna, opuszczona, pozostawiona sobie samej. W tej najistotniejszej chwili mężczyzna znaczy tak mało, jak gdyby go w ogóle nie było, i jak gdyby wszystko spadło z nieba.

„Kobieta sama wydaje na świat swe potomstwo, sama wprowadza je na drugi plan egzystencji, gdzie jest mniej zgiełku i gdzie można bez obaw postawić kołyskę. Sama w milczącej uległości karmi je i wychowuje.

„Matkę Boską proszą aby „wzniosła modły do Syna swego i Boga”. Wkładają jej w usta urywki psalmu: „Raduj się, duszo moja, w Panu, bo spojrział na pokorę moją, i odtąd będę błogosławiona dla wszystkich pokoleń”. Tak mówi o swym dziecku, które jest jej chwałą („Wszchemocny stworzył mnie”). Bóg jej jest w jej dziecku. Uczucie to musi być znane matkom wielkich ludzi. Lecz wszystkie matki są matkami wielkich ludzi; nie ich wina, że życie sprawia im potem zawód”.

4

„Czytamy wciąż *Eugeniusza Oniegina* i wiersze. Wczoraj był u nas Anfim i przywiózł mnóstwo podarunków. Jemy łąkocie i kształcimy się. Nieskończone rozmowy o sztuce.

„Od dawna już myślę, że sztuka nie jest pojęciem zbiorowym, nazwą klasy zjawisk obejmującej nieskończoną liczbę pojęć i rozgałęzień, lecz wręcz przeciwnie, czymś wąskim, skupionym, nazwą pierwiastka wchodzącego w skład dzieł sztuki, nazwą zawartej w nich siły czy prawdy. Sztuka nie wydawała mi się nigdy sprawą formy, lecz ukrytą i tajemniczą częścią treści. Jest to dla mnie jasne jak dzień, czuję to wszystkimi fibrami, ale jak wyrazić i sformułować taką myśl?

„Dzieła sztuki przemawiają do nas przez swój temat, swe sytuacje, swą intrygę i swych bohaterów, lecz najwięcej przez obecność w nich pierwiastka sztuki. Obecność jego w *Winie i karze* wstrząsa silniej niż przestępstwo Raskolnikowa.

„Sztuka pierwotna, egipska, grecka i nasza jest zapewne, na przestrzeni tysiącleci, jednym i tym samym zjawiskiem, sztuką w liczbie pojedynczej. Jest to jakaś myśl, jakieś twierdzenie o życiu, zbyt ogólne aby można je rozłożyć na poszczególne słowa, jeżeli jednak jakaś cząsteczka tej siły wejdzie w skład bardziej złożonej mieszaniny, domieszka sztuki przewyższa swoim znaczeniem wszystkie pozostałe elementy i staje się istotą, duszą i podstawą całości”.

„Jestem trochę przeziębiony, kaszlę i mam na pewno lekką gorączkę. Cały dzień brak oddechu ; coś ściska za krtani, podsuwa się do gardła. Złe ze mną. To aorta. Pierwszy objaw choroby na którą biedna mama cierpiała całe życie, i którą po niej odziedziczyłem. Czy to aby prawda ? Tak wcześniej ? W takim razie niedługo mi już tę ziemię deptać.

„W pokoju lekki czad. Pachnie prasowaniem. Prasują i co chwila z niewypalonego pieca dorzucają żarzących się węgli do żelazka, które szczeka pokrywą jak zębami. Coś mi to przypomina. Nie wiem co. Jestem niezdrowszy i pamięć zawodzi.

„Anfim przywiózł marsylskiego mydła. Aby uczcić ten prezent zrobiono generalne pranie. Szura jest od dwóch dni bez nadzoru. Gdy piszę wchodzi pod stół, siada na łączącej nogi poprzeczce i udaje, że wiezie mnie saniami, naśladując Anfima, który za każdą bytnością zabiera go na przejażdżkę.

„Gdy wyzdrowieję chciałbym pojechać do miasta, przeczytać coś nie coś w bibliotece o etnografii i historii kraju. Mówią, że jest tam znakomita biblioteka, powstała z kilku bogatych darów. Chciałbym pisać. Trzeba się śpieszyć. Wiosna za pasem. Potem nie będzie mowy o czytaniu i pisanu.

„Ból głowy coraz silniejszy. Złe spałem. Miałem jeden z tych nedorzeczných snów, które zapomina się natychmiast po przebudzeniu. Sen ulotnił się, w pamięci została tylko przyczyzna przebudzenia się. Był to głos kobiety, rozlegający się głośno we śnie. Zapamiętałem jego dźwięk i odtwarzałem go w myśli szukając wśród znanych kobiety posiadającej taki niski, ciężki, wilgotny głos. Nie należał do żadnej z nich. Przyszło mi na myśl, że przyzwyczajenie do Toni przytępiło moją wrażliwość na jej głos. Próbowałem zapomnieć, że Tonia jest moją żoną i spojrzeć na jej obraz z dystansu dostatecznego dla wykrycia prawdy. Nie, to nie był także głos Toni. Rzecz pozostała niewyjaśniona.

„Teraz co do snów. Przyjęto ogólnie, że nocą śni się to co we dnie, na jawie, wywarło największe wrażenie. Z moich obserwacji wynika, że jest odwrotnie. Nieraz mogłem stwierdzić, że właśnie rzeczy zaledwie zauważone, myśli nieprzemysłane do końca, słowa wypowiedziane bez przekonania i słyszane w roz-targnieniu, wracają nocą obleczone w krew i ciało i stają się tematem snu, jak gdyby żądały odszkodowania za okazane im we dnie lekceważenie”.

„Jasna mroźna noc. Niezwykła jasność i zwartość wszystkiego co się widzi. Ziemia, powietrze, księżyc i gwiazdy skute razem, scementowane przez mróz. W parku cienie drzew leżących w poprzek alei są tak wyraźne, że zdają się otoczone, wypukłe. Czarne postacie zdają się wciąż przechodzić w różnych miejscach przez drogę. Duże gwiazdy jak latarnie z sinej miki wiszą w lesie wśród gałęzi. Niebo, jak letnia łąka, pokryte jest drobnymi stokrotkami.

„Wiezorami rozmawiamy nadal o Puszkynie. Zastanawialiśmy się nad jego wierszami z pierwszego tomu, pisanymi w liceum. Jak wiele zależało od wyboru miary wiersza!

„W poezjach pisanych wierszem długim ambicja młodego Puszkina nie przekraczała poziomu Arzamasu²⁷. Widać w nim chęć dorównania starszym i zaimponowania stryjowi²⁸ znajomością mitologii, pompatoznością, sztucznym zepsuciem i epikureizmem oraz przedwczesną, nieszczerą trzeźwością poglądów.

„Zaledwie jednak od naśladowań Ossjana i Parny'ego i od *Wspomnień z Carskiego Siola* młody poeta przechodził do krótszego rozmiaru *Miasteczka*, *Listu do siostry* i późniejszego kiszyniowskiego *Do mego kałamarza*, lub do rytmu *Listu do Judina*, w młodym chłopaku budził się cały późniejszy Puszkina.

„Do wierszy jego, jak przez otwarte okno wpadło z ulicy światło i powietrze, odgłosy życia, przedmioty i pojęcia. Przedmioty świata zewnętrznego, przedmioty pospolite, same rzeczowniki cisnęły się i tłoczyły, wypierając mniej określone części mowy. Przedmioty, przedmioty, przedmioty ustawiały się w rytmowane szeregi na brzegu wiersza.

„Ten właśnie puszkiniowski czterostopowiec, później sławny, stał się jednostką mierniczą dla całego rosyjskiego życia, jak gdyby był miarą wziętą z całej rosyjskiej egzystencji, jak się u szewca bierze miarę na obuwie lub jak się mówi numer rękawiczek, aby otrzymać parę odpowiedniej wielkości.

„W podobny sposób później rytmy Rosji mówiącej i śpiewność jej mówionego języka znalazły swój wyraz w trzystopowym wierszu i daktylicznych rymach Niekrasowa”.

27. Grupa poetów z początku dziewiętnastego stulecia.

28. W. L. Puszkina, autor wierszy w stylu francuskiego oświecenia

„Obok służby, pracy na roli czy praktyki lekarskiej chciałbym pracować powoli nad czymś trwałym, kapitałnym, pisać jakąś naukową pracę lub coś literackiego.

„Każdy jest z urodzenia Faustem: chciałby wszystko objąć, wszystkiego doświadczyć, wszystko wyrazić. Aby Faust mógł zostać uczonym, jego poprzednicy i współcześni postarali się o to, gromadząc dostateczną ilość błędów. W nauce bowiem krok naprzód robi się na podstawie zasady odpychania, to jest przez obalenie panujących przesądów i fałszywych teorii.

„Aby Faust mógł zostać artystą, postarali się jego mistrze gromadząc zaraźliwe przykłady. W sztuce bowiem krok naprzód robi się na zasadzie przyciągania, to jest przez naśladowanie, poddawanie się wpływowi, uwielbianie umiłowanych wzorów.

„Co więc przeszkadza mi jednocześnie służyć, leczyć i pisać? Wydaje mi się, że nie jest to niedostatek, tułaczka, niepewność i częste zmiany, lecz panujący obecnie duch grzmiących frazesów, których używanie rozpowszechniło się, wszystkie te „zorce przyszłości”, „budowy nowego świata” i „pochodnie ludzkości”. Gdy się je słyszy, myśli się zrazu: co za bujna fantazja, co za bogactwo! W istocie zaś górnolotność tych frazesów pochodzi z braku talentu.

„Bajeczne są tylko rzeczy zwykłe, gdy dotknie ich ręka geniusza. Puszkina dał nam tu najlepszą lekcję. Co za pochwała uczciwej pracy, obowiązku, zwyczajów i codzienności! Mieszczanin, kołtun — mówi się teraz w znaczeniu ujemnym. Puszkina uprzedził te zarzuty w *Rodowodzie*:

„Mieszczanin jestem, mieszczanin”.

I w *Podróży Oniegina*:

*„Mym ideałem dziś jest gospodyni,
Życzeniem moim jest spokój,
I garnek barszczu, ale duży”.*

„Z całej literatury rosyjskiej najbardziej podoba mi się teraz rosyjska dziecinność Puszkina i Czechowa, ich wstydliva niefrasobliwość w stosunku do takich okrzyczanych zagadnień, jak ostateczny cel ludzkości i ich własne zbawienie. W sprawach tych byli też doskonale zorientowani, ale mówienie o nich uważali za niedyskretne, nie czuli do tego powołania. Gogol, Tołstoj i Dostojewski przygotowywali się do śmierci, niepokoiłi

się, szukali sensu, robili rachunki sumienia, a ci dwaj, zaprzętnięci do końca bieżącymi sprawami ich artystycznego powołania, przeżyli niepostrzeżenie swe życie jako ich osobistą, nikogo nie obchodzącą sprawę prywatną, która obecnie stała się sprawą publiczną i, jak dojrzewające jabłko zerwane z drzewa napęnia się dla potomnych słodyczą i sensem”.

8

„Pierwsza zapowiedź wiosny — odwilż. Powietrze pachnie blinami i wódką, jak na zapusty, kiedy pewna figlarność ogarnia sam nawet kalendarz w lesie. Słońce mruży sennie pożądliwe oczy, mruga rzęsami igieł, kałuże błyszczą w południe jak oliwa. Przyroda ziewa, przeciąga się, przewraca się z boku na bok i znów zasypia.

„W siódmym rozdziale *Eugeniusza Oniegina* też wiosna, pusty po wyjeździe Oniegina dom i mogiła Lenskiego na stoku wzgórze, nad wodą.

*I słowik, kochanek wiosny,
Śpiewa noc całą. Kwitnie głóg”.*

„Czemu „kochanek”? Epitet niewymuszony, zupełnie na miejscu. Istotnie — kochanek. Prócz tego *lubownik* jest rymem do słowa *szipownik*, głóg. Lecz czy nie ma w nim także aluzji dźwiękowej do słowa *Sołowiej-razbojnik*?

„Bylina nazywa go *sołowiej-razbojnik*, syn Odichmanta i jak pięknie o nim mówi!

*A od tego świstania słowiczego,
a od tego pokrzyku zwierzęcego
wszystkie trawy, murawy zaplatają się,
wszystko sine kwiecie obsypuje się,
ciemne lasy ku ziemi nachylają się
i lud martwy wali się pokotem*

„Do Warykina przyjechaliśmy wczesną wiosną. Wkrótce wszystko zwłaszcza w Szut'mie — tak nazywał się parów pod domem Mikulicy — zazieleniło się: czeremchy, olchy, leszczyny. W kilka dni później odezwały się słowiki.

„I znów, jak gdybym słyszał go po raz pierwszy, zadziwił mnie ten śpiew, tak jaskrawo wyróżniający się wśród poświstywania innych ptaków. Przyroda musiała zrobić wielki skok, nie przechodząc przez stopnie pośrednie, aby osiągnąć to co jest tak bogate i wyjątkowe w klaskaniu i lamencie słowika. Jaką różnorodność rytmu i siłę posiadają te daleko przenikające dźwięki! Turgieniew opisał gdzieś te poświsty i tryle, płynące jak z fujarki leśnego diabła. Dwa motywy wyróżniają się szczególnie. Błyskotliwe, zachłannie przyśpieszające się „tioch-tioch-tioch”, biegnące w grupach po trzy dźwięki, lub bez rachunku, na które pokryte rosą krzaki otrząsają się i mizdrzą jak od łaskotek. Drugi motyw rozpada się na dwa człony wzywające, przenikliwe, błagalne, podobne do prośby lub zaklęcia: „zbudź się, zbudź się”.

9

„Wiosna. Przygotowujemy się do wiosennych robót. Nie czas na pisanie dziennika. A miałem zeń tyle przyjemności. Trzeba odłożyć go do zimy.

„Ostatnio, w same roztopy, był to ostatni dzień karnawału, zajechał do nas na podwórze saniami, po błocie i wodzie, chory włościanin. Nie chciałem go oczywiście przyjąć. 'Daruj, mój drogi, ale przestałem się tym zajmować. Nie mam ani lekarstw, ani warunków'. Ale czy tym można się wymówić? 'Pomóż. Skóra ze mnie schodzi. Miej litość. Jestem chory'.

„Cóż robić? Serce nie kamień. Postanowiłem go przyjąć. 'Rozbieraj się'. Oglądam go. 'To wilk', mówię. Robię mu opatrunek spoglądając zezem na okno i stojącą na nim butelkę karbolu. (Boże Sprawiedliwy! Nie pytajcie skąd mam ten karbol i kilka innych najniezbędniejszych leków. Wszystko od Samdiewiatowa!). Patrzę więc i widzę, że na podwórze wjechały drugie sanie z nowym, jak mi się wydawało, chorem. Był to, spadły jak z nieba, mój brat Jewgraf. W pierwszej chwili zajęli się nim Tonia, Szura i Aleksander Aleksandrowicz. Potem przyłączyłem się i ja. Pytamy go: jak, skąd? Jewgraf, jak zwykle, uchyla się od odpowiedzi. Same uśmiechy, cuda, zagadki.

„Gościł u nas koło dwóch tygodni często jeżdżąc do Jurjatina, potem zaś znikł jak pod ziemią. Zdążyłem przez ten czas zauważyć, że ma jeszcze większe wpływy od Samdiewiatowa, lecz że stanowisko jego i stosunki są jeszcze bardziej tajemnicze. Skąd on jest? Skąd czerpie swoją siłę? Co właściwie robi? Przed odjazdem obiecał pomóc nam w prowadzeniu gospodar-

stwa, aby dać Toni czas na wychowywanie Szury, mnie zaś na zajmowanie się medycyną i literaturą. Ciekawi byliśmy, co w tym celu zamierza zrobić. Milczenie i uśmiechy. Ale nie były to z jego strony puste słowa. Są oznaki, że warunki naszego życia ulegną istotnie poprawie.

„Dziwna rzecz ! Jest to mój przyrodni brat. Nosi to samo nazwisko. A znam go właściwie mniej niż kogokolwiek.

„Po raz drugi już wkracza w moje życie jako dobry geniusz, wybawiający mnie ze wszystkich trudności. W każdej biografii, należy, być może, obok działających osób uwzględnić takie tajemnicze siły, osoby niemal symboliczne, przybywające na pomoc niewzywane. Czyżby mój brat Jewgraf grał w moim życiu rolę takiej dobroczynnej i niewidocznej sprężyny ?”.

Na tym kończą się zapiski Jurja Andrejewicza, który do nich więcej nie wrócił.

10

Jurij Andrejewicz przeglądał w Jurjatinie, w sali czytelniej miejskiej, zamówione przez siebie książki. Była to obszerna sala o licznych oknach, zastawiona kilku rzędami długich stołów, zwróconych ostrymi końcami do okien. O zmroku czytelnię zamykano. Na wiosnę miasta wieczorem nie oświetlano. Zresztą Jurij Andrejewicz nie zatrzymywał się nigdy w mieście aż do zmroku. Konia, którego mu dawał Mikulicyn, zostawiał w zajędnym domu Samdiewiatowa, czytał przez cały ranek i w środku dnia wracał konno do Warykina.

Przed swymi wyprawami do biblioteki Jurij Andrejewicz rzadko bywał w Jurjatinie. Nie miał tam żadnych ważniejszych interesów. Nie znał też dobrze miasta. Gdy mieszkańcy jego wypełniali powoli salę czytelniej, siadając dalej lub bliżej, Jurij Andrejewicz miał wrażenie, że zapoznaje się z miastem, jak gdyby stał na jednym z ludnych skrzyżowań ulic, lub jak gdyby czytelnicy przynosili z sobą ulicę i domy, w których mieszkali.

Prawdziwy Jurjatin widać było z okien czytelniej. Przed środkowym, największym oknem stał zbiornik z przegotowaną wodą. Dla odpoczynku czytelnicy wychodzili na schody na papierosa, otaczali zbiornik z którego pili wodę, zlewając resztki do umywalni, lub tłoczyli się u okna patrząc na panoramę miasta.

Czytelnicy tworzyli dwie grupy. Do jednej należeli starzy mieszkańcy miasta, z miejscowej inteligencji i ci stanowili większość. Do drugiej należeli ludzie prości, pochodzący z ludu.

Czytelnicy pierwszej kategorii byli ubogo ubrani, zaniedbani, niezwracający więcej uwagi na swój wygląd ; twarze ich były chorowite, wychudłe lub obrzękłe z różnych przyczyn — z głodu, od żółtaczki i wodnej puchliny. Byli to stali klienci czytelnicy, znający osobiście personel biblioteczny i czujący się tu jak w domu.

Czytelnicy z ludu, z tryskającymi zdrowiem twarzami, czysto ubrani, po niedzielnemu, wchodzili do sali nieśmiało, jak do cerkwi, robiąc przy tym więcej hałasu niż inni ; znali wprowadzić miejscowe zwyczaje i chcieli wejść jak najdyskretniej, nie umieli jednak dostosować do tego swych zdrowych ruchów i głosów.

Naprzeciw okien znajdowała się w ścianie nisza, w której na podniesieniu oddzielonym od reszty sali wysoką balustradą, pełnili swe funkcje stary bibliotekarz i jego dwie pomocnice. Jedna z nich, niecierpliwa, w wełnianej chustce, wciąż zdejmowała i kładła znów na nos binokle, kierując się na pozór nie tyle potrzebą dokładnego widzenia ile zmiennością nastrojów. Druga, w czarnym, jedwabnym kaftaniku zdawała się cierpieć na jakąś chorobę dróg oddechowych, bo trzymała stale przy ustach i nosie chusteczkę, przez którą mówiła i oddychała.

Personel biblioteczny miał, jak połowa czytelników, te same wychudzone i nalane twarze, z tą samą obwisłą, zwiędłą skórą, ziemistą i zielonkawą, koloru solonego ogórka i pleśni. Wszyscy troje wykonywali na zmianę te same czynności : szeptem objaśniali nowicjuszom regulamin, oglądali kartki z zamówieniami, wydawali książki i przyjmowali zwrócone, a w wolnych chwilach pracowali nad jakimś rocznym sprawozdaniem.

Na skutek niewy tłumaczonej asocjacji myśli, patrząc na rzeczywiste miasto za oknem i fikcyjne wewnątrz sali oraz na śmiertelną bledność i odętość twarzy, jak gdyby wszystkich bolały zęby, Jurij Andrejewicz przypomniał sobie swój przyjazd, niezadowoloną kobietę przy zwrotnicy, odległą panoramę miasta i siedzącego na podłodze obok niego Samdiewiatowa, który udzielał mu objaśnień. Objasnienia te, dawane wówczas z wielkiej odległości, Jurij Andrejewicz chciałby teraz powiązać z tym co widział przed sobą z bliska. Nie pamiętał jednak wystarczająco słów Samdiewiatowa i próby te nie dawały wyniku.

Obłożony książkami Jurij Andrejewicz siedział w najdalszym kącie sali. Leżały przed nim zeszyty statystyczne miejscowego ziemstwa i kilka prac o etnografii kraju. Gdy zażądał jeszcze dwóch książek o historii Pugaczowa, bibliotekarka w jedwabnym staniku mówiąc szeptem przez trzymaną przy ustach chusteczkę, zwróciła mu uwagę, że tylu książek nie wydaje się naraz jednej osobie, i że dla otrzymania żądanych prac powinien wprzód zwrócić część czasopism i statystyk.

Jurij Andrejewicz zaczął pilniej i śpieszniej przerzucać nagromadzone na jego stole książki, aby zatrzymać tylko najpotrzebniejsze, pozostałe zaś wymienić na interesujące go prace historyczne. Przerzucał szybko czasopisma i przebiegał wzrokiem tytuły rozdziałów, nie patrząc na sąsiadów. Obecność licznej publiczności nie przeszkadzała mu i nie odrywała go od pracy. Sąsiadów swych wystudiował już przedtem tak dobrze, że nie podnosząc wzroku czuł ich obecność z prawa i z lewa, pewny, że nie zmienią się aż do jego wyjścia, jak nie ruszą się z miejsca widoczne przez okno cerkwie i budynki miasta.

Słońce tymczasem nie stało w miejscu. Przesuwając się wciąż, obeszło już wschodnie okna biblioteki i świeciło przez okna południowe, oślepiając bliżej siedzących i przeszkadzając im czytać.

Stale przeziębiona bibliotekarka wyszła zza swej balustrady i podeszła do okien, na których były spuszczone, plisowane firanki z białej tkaniny, przyjemnie łagodzące światło. Bibliotekarka spuściła firanki na wszystkich oknach prócz ostatniego, znajdującego się w cieniu. Pociągnąwszy za sznurek otworzyła lufcik i zaczęła kichać.

Gdy kichnęła po raz dziesiąty czy dwudziesty, Jurij Andrejewicz domyślił się, że jest to szwagierka Mikulicyna, jedna z sióstr Tuncewych, o których opowiadał mu Samdiewiatow. Wraz z innymi czytelnikami podniósł głowę i zaczął patrzeć w tym kierunku.

Wówczas dopiero zauważył, że w przeciwległym kącie sali znajdowała się nowa czytelniczka. Jurij Andrejewicz od razu poznał Antipową. Siedziała plecami do stołu, przy którym pracował doktor, i półgłosem rozmawiała z pochyloną ku niej zaziębioną bibliotekarką. Rozmowa ta musiała mieć dobroczynny wpływ na bibliotekarkę, która w mgnieniu oka pozbyła się nie tylko uciążliwego kataru, ale także swego nerwowego niepokoju. Rzuciwszy Antipowej ciepłe, pełne wdzięczności spojrzenie, bibliotekarka odjęła od ust chusteczkę, schowała ją do kieszeni

i wróciła na swoje miejsce za balustradą szczęśliwa, pewna siebie i uśmiechnięta.

Pełna rozczulających szczegółów scena nie uszła również uwagi innych obecnych. Ze wszystkich stron patrzono na Antipową z sympatią, uśmiechając się. Z tych nieuchwytnych szczegółów Jurij Andrejewicz wywnioskował, że Łarisa Fiodorowna jest w mieście ogólnie znana i cieszy się powszechną sympatią.

12

Pierwszym odruchem Jurja Andrejewicza było wstać i podejść do Łarisy Fiodorowny, lecz obce skądinąd jego naturze poczucie skrępowania i braku prostoty, jakiego doznawał w jej obecności, wzięło górę. Doktor postanowił nie przeszkadzać jej i nie przerywać własnej pracy. Aby nie ulegać pokusie patrzenia w jej stronę postawił krzesło bokiem do stołu i zagłębił się w czytanie trzymając jedną książkę w rękę, a drugą opartą na kolanach.

Myśli jego unosiły się jednak bardzo daleko od przedmiotu jego studiów. Bez żadnego związku z tymi ostatnimi zrozumiał nagle że głos, który słyszał we śnie zimą w Warykinie był głosem Antipowej. Odkrycie to nappełniło go zdumieniem. Zwracając na siebie uwagę sąsiadów, doktor porywczo postawił krzesło w poprzedniej pozycji i zaczął przyglądać się Antipowej. Widział ją z pleców, nieco ukośnie. Ubrana była w jasną bluzkę w kratki, ściągniętą pasem i czytała z pasją, zapominając o całym świecie, jak dzieci, z głową pochyloną lekko na prawe ramię. Chwilami zamyślała się, podnosiła oczy do sufitu lub, mrużąc je, patrzyła gdzieś w dal, przed siebie, potem zaś znów podpieraa głowę ręką i szybkim, szerokim pismem notowała ołówkiem w zeszytce wyjątki z czytanej książki.

Jurij Andrejewicz sprawdzał tymczasem słuszność swych spostrzeżeń z Mieluziejewa. „Ona nie chce się podobać — myślał — nie chce być uroczą, czarującą. Pogardza tą stroną kobiecej egzystencji, jak gdyby chciała ukarać się za to, że jest tak piękna. I ta dumna wrogość wobec siebie samej robi ją dziesięciokrotnie bardziej urzekającą. Wszystko co robi jest pełne wdzięku. Czyta tak, jak gdyby nie chodziło o najwyższą działalność człowieka, lecz o coś bardzo prostego, dostępnego nawet zwierzętom. Robi to tak, jak gdyby nosiła wodę lub skrobała kartofle”.

Rozważania te uspokoiły doktora. Pokój zstąpił na jego duszę. Myśli jego przestały przeskakiwać niespokojnie z przedmiotu na przedmiot. Mimowoli uśmiechnął się. Obecność Antipowej wywierała nań taki sam wpływ jak na nerwową bibliotekarkę.

Nie myśląc więcej o położeniu swego krzesła i nie ulegając roztargnieniu, Jurij Andrejewicz przepracował jeszcze godzinę czy półtorej, bardziej skupiony i gorliwy niż do przyścia Antipowej. Przeszukał stojący przed nim stos książek, wybrał z nich najpotrzebniejsze i po drodze zdążył pochłonąć dwa interesujące artykuły. Uznał wreszcie że napracował się dość, i zaczął układać książki do zwrotu. Przeszkadzające mu w pracy natrętne myśli opuściły go. Z czystym sumieniem pomyślał, że uczciwie odrobioną lekcją zasłużył na prawo zobaczenia się z dawną dobrą znajomą, i że nie ma powodu odmawiać sobie tej przyjemności. Lecz gdy wstał i spojrzał na salę, Antipowej już nie było.

Na stole, na który doktor zaniósł swoje tomy i broszury, leżały jeszcze książki zwrócone przez Antipową. Były to same podręczniki marksizmu. Widocznie, jako nauczycielka powracająca w nowych warunkach do swego zawodu, Antipowa własnymi siłami przeszkalała się politycznie.

W książki włożone były kartki z nowymi zapotrzebowaniami Łarisy Fiodorowny. Końce kartek z jej adresem wystawały na zewnątrz i można je było łatwo przeczytać. Jurij Andrejewicz zanotował jej adres dziwiąc się jego brzmieniu: „Kupiecka, naprzeciw domu z figurami”.

Poinformowawszy się jednak na miejscu, dowiedział się, że wyrażenie „dom z figurami” jest w Jurjatinie zjawiskiem równie przyjętym jak w Moskwie nazywanie cyrkułów według parafii, a w Petersburgu nazwa „przy pięciu rogach”.

Tak nazywano stalowej barwy dom, ozdobiony kariatydami i posągami antycznych muz z tamburynami, maskami i lirami w rękę, zbudowany w ubiegłym stuleciu przez kupca-teatromana dla pomieszczenia w nim jego prywatnej sceny. Spadkobiercy sprzedali go zrzeszeniu kupców, od którego wzięła swą nazwę ulica, na rogu której stał rzeczony dom. Dom z figurami służył na określenie całej dzielnicy. Obecnie mieścił się w nim miejski komitet wykonawczy partii, a na pochyłej ścianie jego fundamentu obnażonego z jednej strony przez nierówność terenu, na której dawniej przyklejano teatralne i cyrkowe afisze, wywieszano obecnie dekrety i rozporządzenia rządowe.

Był to chłodny, wietrzny dzień z początku maja. Załatwiwszy kilka spraw w mieście i zajrzawszy na chwilę do biblioteki, Jurij Andrejewicz zmienił nieoczekiwanie swe plany i poszedł szukać Antipowej.

Wiatr zatrzymywał go często, podnosząc na jego drodze obłoki piasku i kurzu. Doktor odwracał się, mrużył oczy, pochylał głowę, czekał aż kurz opadnie i szedł dalej.

Antipowa mieszkała na rogu ulicy Kupieckiej i Nowoswłoczno zaułka, naprzeciw ciemnego z sinawym odcieniem domu z figurami, który doktor zobaczył teraz po raz pierwszy. Dom odpowiadał istotnie swej nazwie i robił dziwne, niepokojące wrażenie. Cała jego górna część opasana była szeregiem kobiecych kariatyd mitologicznych, wysokich jak półtora człowieka. Między dwoma uderzeniami wiatru zasłaniającymi kurzem fasadę doktorowi przywidziało się, że cała ludność kobieca domu wyszła na balkon i wychylając się za balustradę patrzy na niego i na leżącą w dole ulicę Kupiecką.

Do domu Antipowej prowadziły dwa wejścia: jedno od frontu, drugie od podwórza. Nie widząc pierwszego, Jurij Andrejewicz wszedł w podwórze. Gdy znalazł się w bramie, wiatr uniósł w górę cały kurz i śmiecie leżące na podwórzu. W zasłaniającą widok czarną chmurę rzuciło się z gdakaniem kilka kur, uciekających od ścigającego je koguta.

Gdy kurz osiadł, doktor ujrzał Antipową koło studni. Poryw wiatru zastał ją z wiadrami napelnionymi wodą i nosidłem na lewym ramieniu. Na głowie miała chroniącą włosy od kurzu chustkę, związaną na prędcie na czole, kolanami zaś ścisnęła wydymające się od wiatru poły szlafroka. Zrobiła właśnie pierwszy krok w kierunku domu, gdy nowe uderzenie wiatru zatrzymało ją zrywając z głowy chustkę i targając włosy. Unoszona wiatrem chustka zatrzymała się pod najdalszym końcem parkanu, koło gdczących wciąż kur.

Jurij Andrejewicz pobiegł po chustkę, podniósł ją i wręczył stojącej u studni i zdumionej Antipowej. Zawsze opanowana i naturalna, Łarisa Fiodorowna nie zdradziła niczym swojego zdziwienia i zakłopotania, mówiąc po prostu:

- Żiwago!
- Łarisa Fiodorowna!
- Skąd? Jakim cudem?
- Postawcie wiadra na ziemię. Zaniosę je.
- Nigdy nie zawracam z pół drogi i nie porzucam zaczętej roboty. Jeżeli wy do mnie, chodźmy.

— A do kogo miałbym iść ?

— Kto was tam wie.

— Pozwólcie jednak przelożyć nosidło z waszego ramienia na moje. Nie mogę stać z pustymi rękami kiedy wy pracujecie.

— To dopiero praca ! Nie dam. Zachłapiecie schody. Powiedzcie lepiej, jaki wiatr was tu przyniósł. Jesteście tu już przeszło rok i dotąd nie znaleźliście dla mnie czasu.

— Skąd wy to wiecie ?

— Świat jest pełen oczu i uszu. Widziałam was zresztą w bibliotece.

— Czemuście się do mnie nie odezwali ?

— Nie każecie mi przecież wierzyć, żeście mnie nie widzieli.

Kołysząc się lekko w takt chyboczących się wiader, Łarisa Fiodorowna weszła z doktorem pod niski strop. Była to sień kuchennego wejścia. Tu, zgiąwszy kolana, Łarisa Fiodorowna szybkim ruchem postawiła wiadra na ziemi, uwolniła ramię od nosidła, wyprostowała się i zaczęła ocierać ręce nie wiadomo skąd wziętą małą chusteczką.

— Chodźmy, przeprowadzę was wewnętrznym przejściem na frontowe schody. Jest tam jasno. Tak zaczekacie na mnie. Ja tymczasem zaniosę kuchennym wejściem wodę, trochę posprzątam i ubiorę się. Widzicie, jakie mamy schody : stopnie z lanego żelaza, ażurowe. Z góry wszystko przez nie widać. Stary dom. Dostało mu się trochę podczas ostrzeliwania miasta. Z armat do nas strzelali. Widzicie jak się kamienie rozstąpiły. Między ceglami szczeliny, otwory. Do tej dziury kładziemy z Katią klucz od mieszkania i zatykamy ją cegłą. Zapamiętajcie to sobie. Przyjdziecie być może kiedyś odwiedzić nas, gdy mnie nie będzie. Otwierajcie wówczas sami drzwi, prosimy bardzo wchodźcie i bądźcie jak u siebie w domu, zanim nie wrócę. Klucz jest i teraz w tej dziurze. Jest mi na razie niepotrzebny, bo wejść od kuchni i otworzę drzwi z wewnątrz. Jedną tu mamy plagę — szczury. Tysiące, nie można im dać rady. Skaczą na głowę. Dom stary, ściany roztrzęsione, wszędzie szczeliny. Zatykam je jak mogę, bronię się. Ale to mało pomaga. Zajdziecie być może kiedyś i pomożecie nam ? Razem pozatykamy dziury w podłodze, poprzybijamy listwy, chcecie ? No a teraz postójcie tutaj na półpiętrze, pomyślcie sobie o czymś. Długo wam czekać nie mogę, za chwilę zawołam was.

Czekając Jurij Andrejewicz błądził wzrokiem po obdrapanych ścianach i żelaznych stopniach schodów, myśląc : „W bibliotece porównywałem jej zapał czytelniczki z ogniem i entuzjazmem prawdziwej pracy fizycznej. Tu jest odwrotnie : Antipowa nosi wodę jak gdyby czytała, lekko, bez wysiłku. Łatwość tę ma

we wszystkim co robi, jak gdyby rozpęd do życia wzięła już dawno, w dzieciństwie i teraz brała wszystkie przeszkody z rozbiegu, z lekkością rzeczy, które wynikają jedne z drugich. Widać to w linii jej pleców kiedy się schyla i w jej uśmiechu gdy rozchylenie ust zaokrąglą podbródek, wreszcie w jej słowach, w myślach”.

— Żiwago ! — rozległo się z progu mieszkania o piętro wyżej. Doktor zaczął wchodzić na schody.

14

— Dajcie mi rękę i idźcie posłusznie za mną. Będą tu dwa ciemne pokoje, zastawione meblami aż do sufitu. Możecie się potknąć i potłuc.

— Prawda, to jest jakiś labirynt. Sam nie znalazłbym drogi. Czemu to tak ? Czy odnawia się mieszkanie ?

— Bynajmniej. Chodzi o co innego. Mieszkanie to jest cudze i nie wiem nawet czyje. Mielśmy przedtem własne mieszkanie, skarbowe, w gmachu gimnazjum. Gdy gimnazjum zostało zarekwirowane przez Jursowiet, przydzielono mnie i córce część tego opuszczonego mieszkania. Stało w nim mnóstwo mebli, należących do byłych gospodarzy. Mnie te cudze skarby nie były potrzebne. Ustawiłem je więc w tych dwóch pokojach, a okna pobieliałam. Nie wypuszczajcie mojej ręki, bo zabłądzicie. Ot tak. Na prawo. Teraz puszcza jest już za nami. Zbliżyliśmy się do moich drzwi. Zaraz zrobi się jaśniej. Ostrożnie — próg. Nie potknijcie się.

Jurij Andrejewicz wszedł ze swą przewodniczką do pokoju. Naprzeciw znajdowało się okno z widokiem, który uderzył doktora. Okno wychodziło na podwórze na tyły domów sąsiednich i na pustkowie miejskie nad rzeką. Pasły się na nich owce i kozy, zamiatając kurz swą długą sierścią, niby połami rozpiętych kozuchów. Wśród pustkowsia widniała przybita do dwóch słupów tablica ze znanym doktorowi napisem : „Moreau i Wietczinkin. Siewniki, Młocarnie”.

Na widok tej tablicy doktor opisał Łarysie Fiodorownie swój przyjazd z rodziną na Ural. Zapominając o głoszonej przez famę identyczności Strelnikowa z jej mężem, Jurij Andrejewicz opowiedział również o swym spotkaniu z komisarzem w wagonie. Ta część opowiadania wywarła na Łarysie Fiodorownie największe wrażenie.

— Widzieliście Strelnikowa ? — przerwała żywo. — Na razie nic wam więcej nie powiem, ale co za znaczące spotkanie ! Było wam najwidoczniej sądzone się spotkać. Będziecie zdumieni gdy wam to kiedyś objaśnię. Jeżeli was dobrze rozumiem, Strelnikow wywarł na was wrażenie raczej dodatnie niż ujemne.

— Raczej tak. Powinienem był czuć do niego odrazę. Przejeżdżaliśmy właśnie przez miejsca zniszczone podczas jego karnych ekspedycji. Spodziewałem się spotkać karzącego żołdaka lub krwawego maniaka-rewolucjonistę. Znalazłem co innego. Dobrze jest jeżeli ktoś nie odpowiada naszym oczekiwaniom, odbiega od pojęcia, jakieśmy sobie o nim wytworzyli. Przynależność do typu jest końcem człowieka, jest nań wyrokiem. Jeżeli nie da się zaliczyć do żadnej kategorii i nie odpowiada żadnemu wzorowi, przez to samo spełnił już połowę tego, czego możemy żądać od człowieka. Jest wolny od samego siebie, ma w sobie jakiś zadatek nieśmiertelności.

— Mówią, że jest bezpartyjny.

— Zdaje się, że tak. Co ujmuje w nim ? Tragiczne przeznaczenie. Myślę, że źle skończy, że odpokutuje zło, które wyrządził. Samowolni mściciele rewolucji straszni są nie jak złoczyńcy, lecz jak maszyny pozbawione kierownictwa, jak wyszłe z szyn parowozy. Strelnikow jest takim właśnie szaleńcem, z tą różnicą, że obłąd jego nie pochodzi z książek, lecz z tego co przeżył i przecierpiał. Nie znam jego tajemnicy, ale jestem pewien, że ją ma. Jego sojusz z bolszewikami jest przypadkowy. Dopóki jest im potrzebny, będą go tolerowali, lecz gdy tylko przestanie być użyteczny, odrzucą go bez litości i rozdepczą, jak tylu innych specjalistów wojskowych przed nim.

— Tak przypuszczacie ?

— Jestem tego pewien.

— Nic nie może go ocalić ? Na przykład ucieczka ?

— Dokąd, Łarisa Fiodorowna ? Takie rzeczy bywały za carów. A teraz proszę spróbować.

— Szkoda. Wasze opowiadanie obudziło we mnie współczucie dla Strelnikowa. A wyście się zmienili. Dawniej ocenialiście rewolucję mniej surowo, bez irytacji.

— Rzecz w tym, Łarisa Fiodorowna, że wszystko ma swoje granice. W ciągu tego czasu należało dojść już do jakichś wyników. Okazało się zaś, że chaos przemian jest jedynym rodzimym żywiołem przywódców rewolucji, że chcieliby czegoś takiego w rozmiarze kuli ziemskiej. Przebudowa światów i okresy przejściowe są dla nich celem samym w sobie. Niczego więcej nie uczyli się, niczego więcej nie umieją. A wiecie skąd pochodzi

jałowość tych wiecznych przygotowań ? Z braku określonych zdolności, z braku talentu. Człowiek rodzi się aby żyć, a nie przygotowywać się do życia. I życie, samo zjawisko, dar życia, jest rzeczą tak porywającą i poważną ! Po co więc zastępować je przez arlekinadę niedojrzałych pomysłów na poziomie uczniów u Czechowa uciekających do Ameryki. Ale dosyć tego. Teraz moja kolej stawiania pytań. Gdy pociąg nasz zbliżał się do miasta, odbywał się tu wasz wielki przewrót. Byliście wówczas w niezłych opałach ?

— I jakich ! Oczywiście. Dokoła pożary. Same omal nie spłonęłyśmy. Dom, już wam mówiłam, zakołysał się. W podwórzu, koło bramy, tkwi dotąd w ziemi niewybuchły granat. Grabieże, bombardowania, gwałty. Jak przy każdej zmianie władzy. Byliśmy już wówczas nauczeni, przyzwyczajeni. Nie pierwszyczna. A co działo się tu w czasach białych ! Zabójstwa z za węgla przez zemstę, szantaże, bachanalie ! Ale nie opowiedziałam o najważniejszym. O naszym Galiullinie ! Za Czechów był tu wielką figurą. Czymś w rodzaju generał-gubernatora.

— Wiem. Słyszałem o tym. Widywaliście go ?

— Bardzo często. Ilu ludzi ocalałam dzięki niemu od śmierci ! Ilu ukryłam ! Trzeba oddać mu sprawiedliwość : zachowywał się bez zarzutu, po rycersku, nie tak jak niższe szarże, jakiś esaul kozaków czy podoficer policji. Ale ton nadawały wówczas te mniejsze pieski nie zaś porządni ludzie. Galiullin pomógł mi w wielu sprawach ; zasłużył na wdzięczność. Jesteśmy z nim zresztą starzy znajomi. Jako mała dziewczynka bywałam często na podwórzu, na którym rósł Galiullin. W domu tym mieszkali robotnicy kolejowi. W dzieciństwie widziałam wiele nędzy, wiele pracy. Dlatego i mój stosunek do rewolucji jest inny niż wasz. Rewolucja jest mi bliższa. Jest w niej dla mnie wiele rzeczy swojskich, rodzimych. I nagle chłopiec ten, syn dozorczy, zostaje pułkownikiem, czy nawet białym generałem. Pochodzę ze sfery cywilnej i nie znam się na stopniach wojskowych. A z zawodu jestem nauczycielką historii. Tak, tak, Ziwago. Pomogłam niejednemu. Chodziłam do niego. Was też wspominaliśmy. We wszystkich rządach miałam protektorów i stosunki i wszystkie rządy przynosiły mi zmartwienia i straty. Bo tylko w lichych książkach żywi dzielą się na dwa niestykające się ze sobą obozy. W rzeczywistości wszystko jest tak z sobą splecione ! Trzeba być beznadziejną nicością, aby grać w życiu ciągle tę samą rolę, zajmować w społeczeństwie wciąż to samo miejsce, mieć zawsze to samo znaczenie. — Aha, ty wciąż tu jesteś ?

— Do pokoju weszła ośmioletnia dziewczynka z dwoma drobno splecionymi warkoczami. Wąskie, szeroko rozstawione oczy były figlarne i przebiegłe. Śmiejąc się, z lekka je podnosiła. Słyszała już za drzwiami, że matka ma gości, lecz na progu uznała za stosowne udać zdziwienie. Złożyła doktorowi głęboki ukłon i utkwiała weń uważne, nieustraszone spojrzenie dziecka, które rosło samotnie i wcześniej przywykło do samodzielnego myślenia.

— Moja córka Katia.

— W Mieluziejewie pokazywaliście jej fotografię. Jak wyrosła i zmieniła się!

— Wróciłaś do domu? Myślałam, że bawisz się na dworze. Nie słyszałam jak weszłaś.

— Wyjmowałam klucz z dziury, a tam taki wielki szczur! Krzyknęłam i odskoczyłam. Myślałam, że umrę ze strachu.

Mówiąc, Katia stroiła rozkoszne miny, rzucała figlarne spojrzenia i otwierała okrągło buzię, jak wyjęta z wody rybka.

— Teraz idź do siebie. Namówię wujka, żeby został na obiedzie, wyjmę z duchówki kaszę i zawołam cię.

— Dziękuję, lecz muszę odmówić. Na skutek moich wyjazdów do miasta jemy teraz dopiero o szóstej. Przywykłem nie spóźniać się, a jazda trwa przeszło trzy, jeżeli nie cztery godziny. Dlatego przyszedłem do was — przepraszam — tak wcześniej i niedługo pójdę.

— Jeszcze pół godziny.

— Z przyjemnością.

15

— A teraz — szczerść za szczerść. Strelnikow, o którym opowiadaliście, to mój mąż Pasza, Paweł Pawłowicz Antipow, którego poszukiwałam na froncie i w którego śmierć tak słusznie nie chciałam wierzyć.

— Nie jestem oszołomiony tą nowiną i byłem do niej przygotowany. Słyszałem już tę bajkę i uważam ją za niedorzeczną. Dlatego tak swobodnie i nieostrożnie mówiłem o nim z wami, jak gdyby tych pogłosek nigdy nie było. Według mnie — to absurd. Widziałem tego człowieka. Jak mogą łączyć go z wami? Co macie z sobą wspólnego?

— A jednak tak jest, Jurij Andrejewicz. Strelnikow to Antipow, mój mąż. Jestem tu zgodna z ogólną opinią. Katia też o tym wie i jest dumna ze swego ojca. Strelnikow jest jego zmyślonym nazwiskiem, pseudonimem jaki mają wszyscy dzia-

łącze rewolucji. Z jakichś powodów musi on żyć i działać pod cudzym nazwiskiem.

Strelnikow zdobywał Jurjatin, zasypywał nas granatami i wiedząc, że się tu znajdujemy, ani razu nie dowiadywał się czy jeszcze żyjemy, aby nie zdradzić swej tajemnicy. Był to zapewne jego obowiązek. Gdyby nas spytał, jak ma postępować dałybyśmy mu tę samą radę. Powiecie zapewne, że moja nietykliwość, znośne warunki mieszkaniowe jakie ofiarował mi miejski komitet wykonawczy itd. są ubocznymi dowodami, że rozaczają nad nami dyskretną opiekę. Ale tego mnie nie wmówicie. Być tuż obok i oprzeć się pokusie zobaczenia nas! To nie mieści się w mojej głowie, nie mogę tego zrozumieć. To nie życie, ale jakaś rzymska cnota, jedna z tych dzisiejszych mądrości. Ale ulegam być może waszemu wpływowi i wpadam w wasz ton. Tego zaś sobie nie życzę. Mamy różne światopoglądy. Rzeczy nieuchwytnie, nieobowiązujące rozumiemy w ten sam sposób. Ale w rzeczach ważnych, w filozofii życia bądźmy raczej przeciwnikami. Wróćmy jednak do Strelnikowa.

Strelnikow jest teraz na Syberii, i — tu macie rację — do mnie też dochodziły wiadomości o wysuwanych przeciw niemu zarzutach, od których robi mi się zimno. Jest na Syberii na jednym z najdalej wysuniętych odcinków naszego frontu i dalej zadaje klęski swemu przyjacielowi z podwórka i towarzyszowi frontowemu, nieszczęsnemu Galiullinowi, któremu znana jest tajemnica jego nazwiska i mego małżeństwa, i który przez wyjątkową delikatność nigdy nie dał mi tego poznać, jakkolwiek na sam dźwięk nazwiska swego przeciwnika traci przytomność z gniewu. Tak więc Strelnikow jest teraz na Syberii.

Dopóki był tu (a był tu przez dłuższy czas, mieszkając zawsze w wagonie gdzieście go widzieli) próbowałam wciąż spotkać go, tak jakoś przypadkowo, niespodzianie. Strelnikow jeździł czasami do sztabu, mieszczącego się tam gdzie przedtem mieścił się wojskowy zarząd Komucza, wojsk zgromadzenia ustawodawczego. Przez dziwną igraszkę losu do sztabu wchodzi się przez ten sam pawilon, w którym przedtem przyjmował mnie Galiullin, gdy chodziłam do niego starać się o różnych ludzi. Była na przykład taka głośna historia w Korpusie Kadetów. Nie-lubianych profesorów kadeci zaczęli wciągać w zasadzki i mordować jako stronników bolszewizmu. Albo gdy zaczęły się prześladowania i masakry Żydów. A propos Żydów. Jeżeli ktoś, jak my, mieszka w mieście i pracuje umysłowo, połowę jego znajomych stanowią Żydzi. I w okresach pogromów gdy zaczynają się te ohydne okropności, mimo oburzenia, wstydu i litości, nie możemy pozbyć się męczącego uczucia rozdwojenia, wrzące-

nia że współczucie nasze jest w połowie cerebralne, z jakimś nieszczerym i nieprzyjemnym posmakiem.

Ludzie ci, którzy wyzwolili niegdyś ludzkość od bałwochwalstwa i dziś ponoszą tak wielkie ofiary dla wyzwolenia jej od zła społecznego, nie mogą wyzwolić się od siebie samych, od wierności swemu przedpotopowemu imieniu, nie mogą wznieść się ponad siebie i rozpuścić bez śladu w pozostałej ludzkości, której dali swe zasady religijne i która byłaby im tak bliska, gdyby ją lepiej znali.

Nie przeczę, że prześladowania zobowiązują ich do tej bezużytecznej i zgubnej pozy, do tej wstydlivej, przynoszącej same klęski, bohaterskiej izolacji, ale jest w tym też jakaś wewnętrzna zgrzybiałość, jakieś narosłe w ciągu wieków historyi znużenie. Nie lubię ich ironicznego podniecania się, ubóstwa i banalności pojęć, braku wyobraźni. Irytuje to mnie jak rozmowy starców o starości i chorych o chorobach. Czy zgadzacie się ze mną?

— Nigdy o tym nie myślałem, ale mam kolegę, niejakiego Gordona, który widzi to w ten sam sposób.

— Tam więc chodziłam wypatrywać Paszę w nadziei zobaczenia go, gdy będzie wchodził lub wychodził. W pawilonie tym mieściła się kiedyś kancelaria generał-gubernatora. Teraz na drzwiach znajduje się tabliczka „Biuro Zażaleń”. Widzieliście ją może? Jest to najpiękniejsze miejsce w całym mieście. Plac przed budynkiem wybrukowany jest kostką granitową. Naprzeciw znajduje się miejski park: kaliny, klony, głogi. Stawałam na chodniku wśród interesantów i czekałam. Nie domagałam się oczywiście audiencji, nie mówiłam, że jestem żoną. Nazwiska przecież mamy różne. Co tu zresztą znaczy głos serca? Oni mają inne zasady. Jego rodzony ojciec na przykład, Paweł Ferapontowicz Antipow, były zesłaniec polityczny z robotników, pracuje w sądzie w miejscu swej dawnej zsyłki, gdzieś tu zupełnie niedaleko na trakcie, tak samo przyjaciel jego, Tiwierzin. Obaj są członkami rewolucyjnego trybunału. I co wy myślicie? Syn nie daje się ojcu poznać, i ojciec uważa, że tak powinno być, nie obraża się. Syn jest zaszyfrowany, nie wolno. To kamienie nie ludzie. Zasady. Dyscyplina.

Nawet gdybym dowiodła, że jestem jego żoną — wielka rzecz! Czy na to był czas? Światowy proletariatus, przebudowa wszechświata — to inna rzecz, to rozumiem. A poszczególna dwunożna istota w rodzaju jakiejś tam żony znaczyła nie więcej niż ostatnia pchła czy wesz.

Adiutant obchodził nas, wypytywał. Niektórych wpuszczał. Nie mówiłam nazwiska, odpowiadałam, że w sprawie osobistej. Z góry wiedziałam, że to na nic. Adiutant wzruszał ramionami

i oglądał mnie podejrzliwie. Ani razu nie udało mi się go zobaczyć.

Myślicie może, że on nami pogardza, że zobojętniał, że zapomniał? Wręcz przeciwnie! Ja go tak znam! Wszystko to wymyślił z nadmiaru uczuć! Wszystkie te laury wojenne chce nam rzucić pod nogi, aby nie wracać z pustymi rękami. ale ze sławą zwycięzcy! Aby nas olśnić, unieśmiertelnić! Jak dziecko!

Katia weszła znów. Łarisa Fiodorowna wzięła zdumioną dziewczynkę na ręce, zaczęła ją huśtać, laskotać, całować i dusić w objęciach.

16

Jurij Andrejewicz wracał konno z miasta do Warykina. Drogę tę przebył już nieskończoną ilość razy, stał się na nią niewrażliwy, nie dostrzegał jej.

Zbliżał się właśnie do leśnego rozdroża, z którego boczna droga prowadziła do rybackiej slobody Wasilewskoje, leżącej na rzece Sakmie. Na rozdrożu tym stał trzeci z kolei słup z reklamą narzędzi rolniczych. Tam zwykle zastawał doktora zachód słońca. I tym razem zaczęło się ściemniać.

Minęło już dwa miesiące od dnia, gdy doktor nie wrócił wieczorem z miasta i został u Łarisy Fiodorowny, w domu zaś powiedział, że zatrzymany przez różne sprawy w mieście nocował w zajędnym domu Samdiewiatowa. Z Antipową był już od dawna na ty. Nazywał ją Łarą, ona zaś jego — Żiwagiem. Jurij Andrejewicz zdradzał Tonię i ukrywał przed nią rzeczy coraz poważniejsze, coraz bardziej niedopuszczalne. Była to rzecz niesłychana.

Tonię kochał do ubóstwienia. Pogoda jej ducha, jej spokój były mu droższe od wszystkiego na świecie. Gotów był zawsze bronić jej honoru, czulszy na to niż jej ojciec i niż ona sama. Rozerwałby własnymi rękami każdego kto by obraził jej godność. I też obrażał się sam.

W domu, w kole rodziny czuł się jak niewykryty przestępca. Nieświadomość domowników i ich zwykła życzliwość były mu nieznośne. Gdy podczas ogólnej rozmowy przypominał sobie swą winę, drętwiał i przestawał słyszeć i rozumieć.

Jeżeli zdarzało się to przy stole, jedzenie zatrzymywało mu się w gardle; odkładał łyżkę i odsuwał talerz. Łzy dusiły go. — Co się z tobą dzieje? — pytała zdumiona Tonia. — Pewnie dowiedziałeś się w mieście czegoś złego. Czy aresztowano

kogoś ? Może rozstrzelano ? Powiedz. Nie bój się, że mi zrobisz przykrość. Będzie ci łatwiej.

Czy zdradził Tonię, czy dał komuś nad nią pierwszeństwo ? Nie, nie wybierał i nie porównywał. Pojęcie „wolnej miłości”, wyrażenia w rodzaju „prawa i wymagania uczucia” były mu obce. Mówić i myśleć o takich rzeczach uważał za nieobyczajne. Nie zrywał nigdy „kwiatów rozkoszy” i nie zaliczał siebie do półbogów czy nadludzi, pretendujących do ulg i przywilejów. Upadał teraz pod ciężarem nieczystego sumienia.

Co będzie dalej ? — pytał i nie znajdował odpowiedzi, licząc na interwencję jakichś nieokreślonych sił, na jakieś pomysły, niemożliwe do przewidzenia okoliczności.

Teraz jednak było inaczej. Jurij Andrejewicz był gotów do radykalnych rozstrzygnięć. Wracił do domu z gotową decyzją. Postanowił wyznaczyć wszystko Toni, uzyskać jej przebaczenie i nie widywać się więcej z Łarą.

Prawda, pozostawały jeszcze pewne niejasności. Wydawało mu się, że nie wyjaśnił dostatecznie Łarze że zrywa z nią na zawsze, na wieki. Powiedział jej wprawdzie z rana o swym zamiarze wyznania wszystkiego Toni i o niemożliwości ich dalszych spotkań, miał jednak wrażenie że mówił to w formie złagodzonej, niedość stanowczej.

Łarisa Fiodorowna nie chciała mu robić przykrych scen. Rozumiała, że i bez tego jest mu ciężko na duszy. Starła się przyjąć jego decyzję z jak największym spokojem. Rozmowa ich miała miejsce w pustym pokoju byłych gospodarzy mieszkania, wychodzącym na Kupiecką. Po policzkach Łary niepostrzeżenie dla niej samej ciekły łzy, jak krople padającego właśnie deszczu po policzkach kamiennych kariatyd w przeciwnym domu z figurami. Nie siląc się na wielkoduszość prosto i szczerze Łara mówiła : Rób tak jak ci będzie lepiej, nie licząc się ze mną. Ja to wytrzymam. — I nie wiedząc że płacze, nie ocierała łez.

Na myśl że Łarisa Fiodorowna mogła go nie zrozumieć i zachować złudne nadzieje, Jurij Andrejewicz chciał zawrócić i pędzić znów do miasta, aby powiedzieć jej wszystko co zostało niedopowiedziane, i wypowiedzieć to gorąco i czule w sposób bardziej odpowiadający prawdziwemu rozstaniu się na zawsze. Nie bez trudu przemógł się i jechał dalej.

W miarę zniżania się słońca las stawał się ciemny i chłodny. Czuć w nim było wilgotny zapach mokrej miotły, jakich używają w łaźniach parowych. W powietrzu jak pływak w wodzie wisiały nieruchomo roje komarów, brzęczących tęskno na jedną nutę. Jurij Andrejewicz gniótł je na czole i szyi a dźwięcz-

nym uderzeniom jego dłoni po spoconej skórze odpowiadały inne odgłosy konnej jazdy : skrzypienie strzemion, zamaszyste uderzenia kopyt po cmokającym błocie i suche salwy gazów, wydobywających się z końskiej odbyticy. Nagle z daleka, od strony gasnącej zakłaskał słowik.

— Zbudź się, zbudź się ! — Wzywał i wołanie jego dzwięczało jak słowa śpiewane przed Wielkanocą : — Duszo moja, duszo moja ! Wstań, czemu śpisz !

Wtem myśl najprostsza oświeciła Jurja Andrejewicza. Cemu się śpieszyć ? Nie złamie słowa, które sobie dał. Wyzna wszystko. Lecz gdzie jest powiedziane, że ma to nastąpić dziś ? Tonia jeszcze nic nie wie. Przyznanie się więc można odłożyć do następnego razu. Przedtem pojedzie jeszcze raz do miasta. Rozmowa z Łarą zostanie doprowadzona do końca z głęboką serdecznością i czułością, okupującą ich cierpienie. O, jak dobrze ! Jak pięknie ! Dziwne, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy !

Na myśl, że zobaczy Antipową raz jeszcze Jurij Andrejewicz oszalał z radości. Serce jego zaczęło bić prędko, gdy w wyobraźni przeżywał na nowo to spotkanie.

Ociosane kłocze podmiejskich budynków, drewniane chodniki. Droga do niej. Za chwilę, przy Nowoswałocznym zaułku skończą się drewniaki i pustkowia, zacznie się miasto murowane. Drewniane domki migają jak stronicie szybko przerzucanej książki, gdy nie odwracamy kartek palcem wskazującym, lecz gdy oparłszy wielki palec o brzeg książki pozwalamy stronicom lecieć z traskiem aż do końca. Zapiera oddech ! Tam w końcu ulicy mieszka ona ! Pod białą smugą rozjaśniającego się po deszczu nieba. Jak kochane są te znajome domki po drodze do niej ! Chciałby podnieść je z ziemi, wziąć na ręce i pocałować ! I te nasadzone na dachy jednookie facjaty ! I barwne jak jagody odbicia światła w kałużach ! Pod białą smugą dżdżystego nieba. Tam otrzyma znów z rąk Stwórcy tę przez Boga stworzoną czarującą istotę. Zawinięta w ciemną tkaninę postać otworzy drzwi. I obietnica jej bliskości — wstrzemięźliwej, chłodnej jak niebo północy, nienależącej do nikogo, niczyjej — przyptynie doń jak pierwsza fala morza, do której biegnie się nocą po piasku wybrzeża.

Jurij Andrejewicz puścił luźno uzdę, nachylił się, objął konia za szyję i zanurzył twarz w grzywę. Biorąc tę pieszczotę za odwołanie się do jego wszystkich sił koń przeszedł w galop.

W rytmicznym pędzie galopu, w przerwach między lekkimi uderzeniami kopyt o uciekającą wstecz ziemię, Jurij Andrejewicz

prócz bicia szalejącego z radości serca słyszał także jakieś krzyki, które brał za przywidzenie.

Ogłuszył go bliski wystrzał. Doktor podniósł głowę i ściągnął uzdę. Z rozbiegu koń zrobił kilka rozkraczonych skoków w bok i przysiadł na zadzie jak gdyby chciał stanąć dęba.

Droga w tym miejscu rozwidła się. W świetle zorzy płonęła tablica : „Moreau i Wietczinkin. Siewniki. Młocarnie”. W poprzek drogi stało trzech zbrojnych jeźdźców : uczeń szkoły realnej w mundurowej czapce i kaftanie bez rękawów, opasany na krzyż taśmami nabojów, kawalerzysta w oficerskim szynelu i płaskiej barankowej czapce i wreszcie okropny, przebrany jak na maskaradę grubas w watowanej kurtce, pikowanych portkach i naciągniętym na czoło popowskim kapeluszu z szerokim rondem.

— Stójcie towarzyszu doktorze — równo i spokojnie powiedział najstarszy z trzech kawalerzystów w futrzanej czapce. — W razie posłuszeństwa gwarantujemy wam całkowite bezpieczeństwo, w przeciwnym razie nie macie do nas pretensji jeżeli was zastrzelimy. Felczer w naszym oddziale został zabity. Mobilizujemy was przymusowo jako pracownika lekarskiego. Zsiądźcie z konia i oddajcie uzdę młodszemu towarzyszowi. Przypominam, że przy najmniejszej próbie ucieczki nie będziemy robili ceremonii.

— Syn Mikulicyna, Liwerij ? Towarzysz Lesnych ?

— Nie. Jestem jego szefem łączności. Kamiennodworskiej.

R o z d z i a ł X

NA WIELKIEJ DRODZE

I

Stały tam miasta, wsie, przysiółki. Miasto Krestowozdwiżensk, stanica Omelczino, Pażinsk, Tysiackoje, Karczunek Jaglinskoje, Zwonarskaja Słoboda, wieś Wolnoje, Gurtowszczyki, Kamienskaja Zaimka, stanica Kaziejewo, słoboda Kutiejnyj Posad, wieś Małyj Jermołaj.

Przechodził przez nie trakt prastary, najstarszy na Syberii, starodawny, pocztowy trakt. Przecinał miasta, jak bochen chleba, nożem głównej ulicy. Przez wsie przelatywał nie oglądając się na chaty ustawione w szeregi lub w półkola jeżeli trakt robił niespodziane zakręty.

W odległej przeszłości, przed budową kolei przez Chodastkoje traktem pędziły pocztowe trojki. W jednym kierunku jechały szeregi wozów z herbatą, zbożem i wyrobami żelaznymi, w drugim szły pod konwojem piesze partie aresztantów. Szli noga w nogę, razem dzwonili kajdanami, straceni, zuchwali, straszni jak piorun z nieba. Dokoła szumiały lasy ciemne, nieprzebyte.

Trakt żył jak jedna rodzina. Miasta znały się z miastami, siola z siolami. W Chodatskiem, na skrzyżowaniu traktu z koleją, były warsztaty kolejowe i zakłady mechaniczne obsługujące kolej. Hołota stłoczona w koszarach klepała biedę, chorowała, marła. Zwolnieni z katorgi zesłańcy polityczni z wykształceniem technicznym wychodzili tu na majstrów i zostawali na osiedleniu.

Powstałe pierwotnie wzdłuż traktu sowiety zostały już dawno obalone. Przez pewien czas władza należała do Syberyjskiego Rządu Tymczasowego, teraz zaś przeszła w ręce najwyższego rządcy kraju Kołczaka.

2

Na jednym z odcinków trakt szedł przez dłuższy czas pod górę. Widok otwierał się coraz szerszy. Zdawało się, że nie ma końca wznoszeniu się drogi i rozszerzaniu widnokręgu. Gdy znużone konie ustawały i ludzie zatrzymywali się dla nabrania tchu, wzniesienie kończyło się. Przed nimi stał most pod którym płynęła wartka rzeka Kieźma.

Za rzeką na stromym wzgórzu stały ceglane mury Wozdwiżańskiego Monasteru. Droga okrążała monasterskie wzgórze i po kilku zakrętach między chatami przedmieścia wychodziła na środek miasta.

Do posiadłości klasztornej droga zbliżała się tu raz jeszcze na głównym placu, na który wychodziły żelazne, malowane na zielono wrota monasteru. W łuku bramy znajdowała się ikona otoczona w połowie złotymi literami napisu: „Niech będzie błogosławiony życionośny krzyż, triumf niezwycięzonej wiary”.

Zima kończyła się. Był właśnie Wielki Tydzień, koniec wielkiego postu. Na drogach śnieg zaczął czernieć i tajać, na dachach jednak, gdzie tworzył wysokie czapki, był jeszcze biały.

Chłopcom którzy wdrapali się na monasterską dzwonnice do zajętych tam właśnie dzwonników, miasto u stóp wieży przedstawiało się jak kupa stłoczonych skrzyń i szkatulek, wśród których, jak czarne punkty, poruszali się ludzie. Niektórych poznawano po ruchach. Wielu podchodziło do murów, na których rozklejony był dekret najwyższego rządcy kraju o powołaniu pod broń trzech nowych roczników.

3

Noc przyniosła wiele nieoczekiwanych zmian. Zrobiło się niezwykle, jak na tę porę roku, ciepło. Mżył deszcz. Jego drobniutkie perełki były tak lekkie, że zdawały się nie spadać na ziemię, lecz zmieniać się w powietrzu w wodny pył. Było

to jednak złudzenie. Strumienie ciepłej, deszczowej wody zmyły całkowicie śnieg z czarnej, błyszczącej jak od potu, ziemi.

Niskopienne jabłonie, całe w pączkach, zwieszały swe gałęzie zza parkanów na ulicę. Woda kapiała z nich nierówno na drewniane chodniki. Nieregularne dzwonienie spadających kropel rozbrzmiewało w całym mieście. Młody piesek Tomik, którego na noc przywiązywano do łańcucha, szczekał i skomlał w podwórzu fotografa. Zirytowana, być może, jego szczekaniem wrona krakała na całe miasto w ogrodzie Gałuzinów.

W niższej części miasta przywieziono do kupca Lubieznowa trzy podwozy towarów. Kupiec odmawiał przyjęcia twierdząc, że ich nie zamawiał i że przysłano mu je przez omyłkę. Powołując się na późną godzinę furmani prosili go o nocleg, kupiec jednak nie chciał o tym słyszeć, wymyślał im i nie otwierał wrót. Kłótnie ich słyszać było w całym mieście.

O siódmej czasu cerkiewnego czyli według czasu świeckiego o pierwszej w nocy, z najcięższego dzwonu monasteru popłynęły, mieszając się z wilgocią dżdżystej nocy, fale łagodnych i głębokich dźwięków. Dźwięki te odrywały się od dzwonów i rozpuszczały w nocy tak jak grudy ziemi podmytej przez powódź odpadają od brzegu, toną i rozpuszczają się w rzece.

Była to noc ze środy na Wielki Czwartek, zwany dniem dwunastu ewangelii. Za przejrzystą zasłoną deszczu ukazały się wszędzie ruchome światła i płynące z nimi czoła, nosy, twarze. Gotujący się do spowiedzi szli na jutrznię.

W kwadrans później, kroki oddalające się od monasteru dały się słyszeć na drewnianych chodnikach. Była to sklepniczka Gałuzina, wracająca do domu z rozpoczętego zaledwie nabożeństwa. Szła nierówno, śpiesząc się i zatrzymując, w rozpiętym futrze i narzuconej na głowę chustce. W dusznej cerkwi zrobiło się jej słabo wyszła więc na powietrze, lecz teraz żałowała tego i było jej wstyd, że już od dwóch lat nie przystępowała do komunii. Smutek jej miał jednak inną przyczynę. Zmarł jej syn, Tereszka. Odpędzała od siebie tę myśl, ale przypominały ją co krok bielejące na murach plakaty.

Dom jej był tuż za rogiem, ale Gałuzina czuła się lepiej na dworze. Chciała zostać jeszcze na powietrzu; duszny dom nie pociągał jej.

Smutne myśli tłoczyły się jej w głowie. Gdyby miała je wyliczyć na głos, nie starczyłoby jej słów, i czasu do rana byłoby za mało. Na ulicy myśli te nalatywały na nią całymi

watahami i można było pozbyć się ich hurtem, nie tracąc na to więcej czasu niż na dwa lub trzy przejścia przez plac od monasteru do przeciwnego rogu.

Wielkanoc za pasem, a w domu nie ma ani jednej żywej duszy ; wszyscy wyjechali, zostawili ją samą. Bo czy nie jest sama ? Oczywiście tak. Wychowanka Ksiusza nie liczy się. Kim bowiem jest Ksiusza ? I co sobie myśli ? Czy jest przyjaciółką, czy wrogiem, czy potajemną rywalką ? Jest adoptowaną córką jej męża Własa, z czasów jego pierwszego małżeństwa. Adoptowana czy nieślubna ? A może w ogóle nie córka, lecz coś zupełnie innego ? Dusza męczyzny jest nieprzejrzysta. Zresztą dziewczynie nie można nic zarzucić. Mądra, przystojna, wzorowa. O wiele mądrzejsza od Tereski i od swego ojca.

U progu świąt stoi więc samotna. Wszyscy ją opuścili, rozjechali się gdzie kto mógł.

Mąż jej Włas, jeździ po trakcie, przemawia do poborowych i błogosławi jadących na wojnę. Idiota, mógłby pomyśleć także o własnym synu, osłonić go przed śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Syn Tereska też nie wytrzymał, uciekł z domu przed samymi świętami. Pojechał do Kutiejnego Posadu, do krewnych aby pocieszyć się po wypędzeniu go z realnego gimnazjum. Siedział po dwa lata w tyłu klasach i nic, a z ósmej go wypędzono.

Ach, jak smutno ! O Boże ! Czemu jest tak źle ? Ręce opadają, nie chce się żyć. I jak to się stało ? Czy przez rewolucję ? Nie, och nie ! Wszystko przez wojnę. Wyniszczyła kwiat narodu, zostały same wybiórki, sama zgnilizna.

Jakże inaczej było w domu u ojca, przedsiębiorcy ! Ojciec nie pił, był piśmienny, w domu nie brakło niczego. I dwie siostry : Pola i Ola. Były tak samo zgodne jak ich imiona, i jedna ładniejsza od drugiej. Do ojca przychodzili majstrowie, cieśle, ludzie poważani, postawni. Pewnego dnia siostrom przyszło na myśl — raczej dla rozrywki, bo pracować nie miały potrzeby — trykotować szaliki z wełny w sześciu różnych kolorach. Wyrobiły się na świetne trykotarki ; szaliki ich stały się sławne na cały powiat. Wszystko dokoła cieszyło oczy. Wszystko było porządne, na swoim miejscu : i obrzędy cerkiewne i tańce i ludzie i maniery, mimo że rodzina ich była mieszczańska, pochodząca z chłopów i robotników. Sama Rosja była wówczas jak dziewczyna, miała prawdziwych wielbicieli i obrońców, nie takich jak dziś. Dziś wszystko utraciło swój połysk. Została tylko adwokacka i żydowska hołota, gadająca bez przerwy, dławiąca się własnymi słowami. Włas i jego

przyjaciele też myślą wrócić złote czasy popijaniem szampana i wypowiedaniem dobrych życzeń. Ale czy można tak wrócić utraconą miłość? Trzeba na to poruszyć skały, przenieść góry, przeorać ziemię.

4

Gałużina kilkakrotnie już dochodziła do placu targowego Krestowozdwiżenska. Do domu musiała stąd skręcić na lewo. Za każdym razem jednak rozmyślała się, zawracała i zagłębiała się w otaczające monaster zaułki.

Plac był szeroki jak pole. Dawniej, w dnie targowe, chłopci zapelniali go całkowicie swymi wozami. Ulica Jeleninska stanowiła jeden brzeg placu. Drugi, wygięty w półkole, zabudowany był jednopiętrowymi i parterowymi domami, w których mieściły się składy towaru, kantory, pomieszczenia handlowe i warsztaty rzemieślnicze.

W spokojnych czasach siadywał tu na krześle Briuchanow, czytając kopiejkową gazetę przed żelaznymi, czteroskrzydłowymi drzwiami swego sklepu. Wróg kobiet, niedźwiedziowaty grubianin w okularach i długim surducie, Briuchanow handlował skórami, dziegciem, kołami, uprzężą, owsem i sianem.

W innym domu, w małym okienku leżało latami kilka zakurzonych pakietów świec weselnych, przybranych wstążkami i bukietami papierowych kwiatów. Za oknem znajdował się niewielki pusty pokój, bez śladu towarów, jeżeli nie liczyć kilku leżących jeden na drugim płatów wosku. W pokoiku tym agenci handlowi jakiegoś nie wiadomo gdzie mieszkającego milionowego fabrykanta świec zawierali transakcje na polityry, wosk i świece, opiewające na tysiące rubli.

Tam, na samym środku handlowej ulicy mieścił się wielki, trzyokienny sklep kolonialny Gałużinów. Podłogę z surowego drzewa zamiatano w nim trzy razy na dzień mokrymi listkami, pozostałymi na dnie czajnika z herbaty, którą właściciel i subiektci pili bez miary przez cały dzień. Młoda właścicielka chętnie i często siadywała przy kasie. Ulubionym jej kolorem był liliowy, fioletowy, kolor uroczystych szat cerkiewnych, kolor rozkwitającego bzu, kolor jej najlepszej aksamitnej sukni i kieliszków do wina. W jej pojęciu był to kolor szczęścia, wspomnień i utraconej, dorewolucyjnej, panieńskiej młodości Rosji. Pachnący krochmałem, cukrem i stojącymi w szklanym słoju cukierkami z czarnych porzeczek, liliowy mrok sklepu przypominał jej ulubioną barwę.

Na rogu, koło składu drzewa, rozsiadł się szeroko na cztery strony staroświecki piętrowy dom ze starych tarcic, podobny do używanego rydwanu. Mieściły się w nim cztery mieszkania, do których z obu końców domu prowadziły dwa wejścia. Lewą część parteru zajmował skład apteczny Zalkinda, prawą — biuro notariusza. Nad składem aptecznym mieszkał z liczną rodziną krawiec Szmulewicz. Nad biurem notariusza mieszkało wielu lokatorów, o których zawodzie mówiły szyldy i tabliczki pokrywające całe drzwi mieszkania. Jeden naprawiał zegarki, inny zelował buty. Żuk i Strohdach prowadzili tam do spółki zakład fotograficzny, obok mieściła się pracownia grawerska Kamińskiego.

Wobec przepełnienia tego mieszkania, dwaj pomocnicy fotografów : Sienia Magidson i student Błażein urządzili sobie rodzaj laboratorium w podwórzu, w przechodniej komórce u wejścia do szopy z drzewem. Pracowali tam najwidoczniej i teraz, jak można było wnosić z nieżycziwego migotania w oknie komórki czerwonej lampy, przy której wywoływano klisze. Pod tym właśnie oknem siedział na łańcuchu piszczący na całą Jelenińską piesek Tomik.

— Tu zebrał się cały kahał — pomyślała Gałuzina przechodząc koło szarego domu. — Kryjówka nędzy i brudu. — I zaraz orzekła, że nienawidzący Żydów Włas Pachomowicz nie ma racji. Ludzi ci nie mogą wiele zaważyć na losach państwa. A zresztą co można wiedzieć ? Jeżeli spytać Szmulewicza skąd wszystkie te zamieszki i kłopoty, stary krawiec kłania się i krzywiąc się w uśmiechu mówi : „Fikle Lejbusia”.

Ale po co sobie zawracać tym głowę ? Jakie to może mieć znaczenie ? Źródło złego jest w miastach. Na nich Rosja nie stoi. Zachciało się nam wykształcenia, chcieliśmy być jak mieszczanie, ale nie daliśmy rady. Odeszliśmy od swoich, a do obcych nie przystali.

Ale może jest na odwrót ? Może grzeszyliśmy ciemnotą ? Uczony widzi ziemię na wylot, wszystko wie naprzód. A my sięgamy do kapelusza, gdy już i głowy nie stało. Jak w ciemnym lesie. Zresztą dzisiaj wykształconym nie dobrze. Głód wypędził ich z miast. Tego i sam diabeł nie zrozumie.

A swoją drogą nie ma to jak być chłopem. Chociażby ci nasi krewni : Sielitowin, Szelaburin, Pamfil Pałych, bracia Nestor i Pankrat Modych ; sami sobie panowie, myślą własnym rozumem, słowem — gospodarze. Chaty wzdłuż traktu nowe, jest na co popatrzeć. Każdy ma piętnaście dziesięcin zasiewu, konie, owce, krowy, świnię. Zapas zboża na trzy lata. Inwentarz — rozkosz. Żniwiarki. Im i Kołczak nadskakuje, ciągnie do

siebie, i komisarze wabią do leśnej armii. Z frontu wrócili z krzyżami i zaraz robią z nich instruktorów. Z galonami czy bez, jeżeli swoje rzemiosło znasz, wszędzie jesteś potrzebny, nie zginiesz.

Ale czas do domu. Kobiecie nie wypada nawet tak długo przechadzać się, chyba w swoim ogrodzie. Ale mój ogród rozmiękł, można w nim utonąć w błocie. Zresztą jest mi już lepiej.

I zgubiwszy ostatecznie wątek swych myśli, Gałuzina poszła do domu. Lecz zanim przestąpiła przez próg, wycierając nogi na ganku przemyślała jeszcze szybko szereg spraw.

Przypomniła sobie obecnych przywódców z Chodatskiego, których dobrze знаła. Byli to zesłańcy polityczni ze stolic, jak Tiwierzin, Antipow i anarchista Wdowiczenko-Czarny Sztandar, lub miejscowi jak ślusarz Gorożenia Bieszenyj. Wszystko chytrusy. Dużo już w swoim życiu nabroili i teraz pewnie też coś knują. Bez tego nie mogą żyć. Życie spędzili przy maszynach i sami stali się bezlitośni, zimni jak maszyny. Noszą na fufajkach krótkie marynarki, papierosy palą w kościanych fajeczkach żeby się czymś nie zarazić, wodę piją przegotowaną. Własnie da temu rady. Oni przechytrzą wszystkich i postawią na swoim.

Gałuzina myślała także o sobie. Wiedziała, że jest kobietą do rzeczy, samodzielna, dobrze zachowana, rozumna, słowem niezły człowiek. Ale wszystkie te zalety nie znajdują uznania w tym zapadłym kącie, a być może i nigdzie indziej. I gdy słyszała śpiewane za Uralem kuplety o durnej Sentetriusze, z których można było przytoczyć tylko dwa pierwsze wiersze, bo wszystkie następne były nieprzyzwoite :

*Sentetriucha wóz sprzedała,
Bałatajkę kupić chciała,*

podejrzewała że w Krestowozdwiżensku kuplety te śpiewają z myślą o niej.

Gałuzina westchnęła z goryczą i weszła do domu.

Nie zatrzymując się w przedpokoju poszła w futrze do sypialni. Okno jej wychodziło na ogród. Cienie gromadzące się nocą w ogrodzie i w sypialni zdradzały liczne podobieństwa.

Fałdy firanek wiszących na oknie miały ten sam kształt co gałęzie drzew, nagie i czarne, o niejasnych zarysach. Lśniąca jak tafta ciemność nocy w ogrodzie ogrzewał promieniujący z ziemi liliowy odcień budzącej się wiosny. W pokoju również przeciwstawiały się sobie te same elementy : zakurzona duchota ژه wytrzepanych firanek i łagodzące ją ciemnofioletowo ciepło zbliżających się ғwiąt.

Na ikonie Matka Boska w srebrzystej szacie wznosiła ku górze wąskie dłonie. W każdej trzymała po dwie greckie litery, zaczynające i kończące jej bizantyńską nazwę : Meter Theon, Matka Boska. Z ciemnej jak kałamarz lampki z granatowego szkła, przez filigan złożonej podstawki padały na dywan plamy ғwiatła kształtu powycinanych w ząbki gwiazdek.

Zdejmując futro i chustkę Gałuzina poczuła ukłucie w boku i ból pod łopatką. Krzyknęła, przestraszyła się i zaczęła szeptać : Wielka orędowniczko cierpiących, Matko Boska przedkij pomocy, Panno Przeczysta — i zapłakała. Po chwili gdy ból się uśmierzył zaczęła się rozbierać. Haftki na plecach stanika wymykały się jej z palców i zaczepiały o fałdy jasnoszarej sukni. Gałuzina z wysiłkiem starała się namacać je palcami.

Obudzona jej przyjściem wychowanica Ksiusza weszła do pokoju.

— Czemu wy tak po ciemku mamo ? Chcecie przynieść lampę ?

— Nie trzeba. Widać i tak.

— Mamo, Olga Niłowna, pozwólcie że ja rozepnę. Po co macie się męczyć.

— Palce nieposłuszne że aż płakać się chce. Parszywiec nie przyszył haftek po ludzku. Ślepa kura. Spruję wszystko do samego dołu i rzucę mu to w mordę.

— Pięknie śpiewano w cerkwi. Noc tak cicha, że słychać było aż tu.

— Bardzo to pięknie że śpiewali, ale mnie, moja mała, jest niedobrze. Kłuje i tu i wszędzie. Kara Boska. Nie wiem co robić.

— Homeopata Stydowski wam umiał pomóc.

— Dawał niewykonalne rady. Prawdziwy konował ten twój homeopata. Ani do tańca ani do różańca. To raz, a po wtóre wyjechał. I nie on jeden. Przed świętami wszyscy uciekli z miasta. Czy przewidują tu trzęsienie ziemi ?

— Został jeszcze węgierski doktor, jeniec wojenny. On też was dobrze leczył.

— Zawracasz głowę. Mówię ci że wszyscy rozjechali się

i nie ma nikogo. Kerenyj Lajos z innymi Madziarami został za linią demarkacyjną. Wzięli go, nieboraka, do czerwonej armii.

— Wy to sobie wszystko wmawiacie. Macie nerwicę serca. Zwyczajna sugestia robi cuda w takich wypadkach. Pamiętacie tę babę, która zamawia chorobę? Jak ręką wam wtenczas odjęło. Zapomniałam jak ją nazywano.

— Uważasz mnie naprawdę za ciemną babę, za idiotkę. Za oczami może i Sentetriuchę o mnie śpiewasz?

— Bójcie się Boga! Grzech takie rzeczy mówić, mamó. Lepiej przypomnijcie sobie, jak się baba nazywała. Mam ją na końcu języka. Nie uspokoję się dopóki jej sobie nie przypomnę.

— Ona ma więcej imion jak spódnic. Nazywają ją Kubarychą i Miedwiedichą i Zlydarychą. Ma jeszcze dziesięć takich przezwisk. Ale i jej tu więcej nie ma. Skończyły się jej gościnne występy. Zamknięto ją do więzienia w Kieżmie. Za spędzenie płodu i za jakieś proszki. Znudziło się jej siedzieć w więzieniu, uciekła i drała-drała na Daleki Wschód. Mówię ci, że wszyscy się rozjechali. Włas Pachomycz, Tereszka i ciocia Pola o czułym sercu. Z uczciwych kobiet my jedne zostałyśmy w mieście, biedne idiotki. Wcale nie żartuję. Żadnej pomocy lekarskiej. Gdyby się coś stało nikogo nie można się doprosić. Mówili, że w Jurjatinie jest jakaś znakomitość z Moskwy, profesor, syn syberyjskiego kupca-samobójcy. Zanim zdecydowałam się go sprowadzić, dwadzieścia czerwonych kordonów przeciągnęli przez drogę. A teraz o czymś innym. Idź spać, i ja też spróbuję się położyć. Student Błażyn zawraca ci głowę. Nie zapieraj się. Poczerwieniałaś jak rak. Pracuje twój nieszczęsny student, nawet w świętą noc wywołuje fotografie i robi odbitki. Sam nie śpi i innym nie daje spać. Tomik skomli u nich na całe miasto. I wrona ścierwo rozkrakała się u nas na jabłoni, pewnie do rana nie usnę. I czemu ty się na mnie obrażasz, nie-dotykańska. Na to już są studenci, żeby się dziewczętom podobać.

6

— Czemu tam pies tak szczeka? Trzeba zobaczyć co się stało. Bez powodu by nie szczekał. Poczekał Lidoczka, pies ci mordę lizał, zamilkniij na minutę. Trzeba to wyjaśnić. Czasy niepewne. Kozacy mogą spaść nam na głowę. Ustin, nie wychodź. I ty, Siwobluj, zostań tu. Obejdą się bez was.

Nie słysząc, że proszono go o chwilę ciszy, delegat z centrum mówił znużonym głosem dalej :

— Istniejąca na Syberii władza wojskowo-burżuazyjna, przez swą politykę rabunku, poborów, przemocy, egzekucji i tortur, powinna otworzyć oczy tym, którzy mogli mieć jeszcze złudzenia. Władza ta jest nie tylko wrogiem robotników, lecz i w istocie wroga jest także całemu pracującemu włościanstwu. Syberyjskie i uralskie włościanstwo powinno zrozumieć, że tylko w sojuszu z miejskim proletariatem, z żołnierzami, z kirgizką i buriacką biedotą...

Delegat posłyszał wreszcie że mu przerywają, zatrzymał się otarł chusteczką spoconą twarz i przymknął znużone, obrzękłe powieki.

Najbliżej stojący słuchacze zwrócili się doń półgłosem :

— Odpocznijcie sobie troszeczkę. Napijcie się wody.

Zaniepokojony szczeniem psa przywódca partyzantów otrzymał tymczasem następujący raport :

— Nie ma się czym przejmować. Wszystko w porządku. Latarnia sygnalizacyjna stoi w oknie. Posterunek ubezpieczający, mówiąc obrazowo, pożera oczami przestrzeń. Zdaje się, że można znów udzielić głosu prelegentowi. Towarzyszu Lidoczko, mówcie.

Środek wielkiej szopy był oczyszczony z drewna. Odbywało się tam nielegalne zebranie. Od wejścia oddzielał je sięgający sufitu sąg drzewa, służący zebranym za parawan. W razie alarmu wszyscy mogli ukryć się pod podłogą i wyjść podziemnym przejściem na tyły Konstantynowskiego zaułka, ślepej uliczki za monasterskim murem.

Prelegent, w czarnej perkalowej jarmułce przykrywającej mu całkowicie łusą głowę, z matową, oliwkową twarzą i czarną brodą po uszy, ulegał co chwila nerwowemu poceniu się. Łąkomie zapalał na nowo okurek od stojącej przed nim naftowej lampy i nachylał się nad rozrzuconymi po stole papierkami, jak gdyby je obwąchiwał. Przebiegając je nerwowo wzrokiem, mówił dalej bezbarwnym i znudzonym głosem :

— Ten sojusz biedoty miejskiej i wiejskiej może dojść do skutku tylko przez stworzenie sowietów. Chcąc nie chcąc syberyjskie chłopstwo będzie musiało dążyć do tego samego celu, o który od dawna już walczą syberyjscy robotnicy. Wspólnym ich celem jest obalenie nienawistnej samowoli admirałów i atamanów i wprowadzenie sowietów, chłopów i żołnierzy przy pomocy ogólnego zbrojnego powstania. W walce z doskonałe uzbrojonymi oficersko-kozackimi najemnikami burżuazji

powstańcy będą musieli prowadzić regularną, frontową walkę, długą i upartą.

Prelegent zatrzymał się znów, otarł z twarzy pot i zamknął oczy. Wbrew regulaminowi ktoś wstał i podniósł rękę, chcąc zrobić jakąś uwagę.

Przywódca partyzantów, ściślej mówiąc komendant okręgu Kiełmy zjednoczenia zauralskich partyzantów, siedział pod samym nosem prelegenta w wyzywająco niedbałej pozie i przerzywał mu bez ceremonii, nie okazując dla delegata centrum najmniejszego szacunku. Trudno było uwierzyć, aby tak młody oficer, niemal chłopiec, mógł dowodzić wielkimi jednostkami i całymi armiami, znajdując posłuch i szacunek. Ręce i nogi zawinięte miał w poły kawaleryjskiego szynelu, górna część i rękawy szynelu odrzucone były na poręcz krzesła, odsłaniając tułów w bluzie z ciemnymi śladami po odprutych naszywkach podchorążego.

Z obu stron stali przy nim dwaj mołojcy z jego eskorty, równi mu wiekiem, w krótkich, baranich, niegdyś białych kurtkach z karakułowymi wypustkami. Ich przystojne kamienne twarze nie wyrażały nic prócz ślepego oddania naczelnikowi i gotowości spełnienia wszelkich jego rozkazów. Odnosili się obojętnie do zebrania, do poruszanych zagadnień i do biegu dyskusji; milczeli i nie uśmiechali się.

Prócz nich w szopie było jeszcze dziesięć do piętnastu osób. Jedni stali, inni siedzieli na podłodze z wyciągniętymi nogami lub zgiąwszy kolana opierali się plecami o ściany z poprzątkanych mchem okrągłaków.

Trzy czy cztery krzesła przeznaczone były dla honorowych gości. Siedzieli na nich robotnicy, starzy uczestnicy pierwszej rewolucji. Wśród nich znajdował się ponury i mocno zmieniony Tiwierzin i potakujący mu zawsze przyjaciel, stary Antipow. Zaliczeni do zasłużonych półbogów, którym rewolucja składała u stóp swe podarunki i ofiary, goście honorowi siedzieli w milczeniu jak statuy, z których próżność polityczna wytrawiła wszystko co było w nich żywe i ludzkie.

W szopie znajdowały się też inne godne uwagi postacie. Bez chwili wytchnienia siadał, wstawał, przechadzał się i zatrzymywał po środku szopy jeden z głównych filarów rosyjskiego anarchizmu, Wdowiczenko-Czarny Sztandar, olbrzym z wielką głową, z wielkimi ustami i lwią grzywą, były oficer z czasów tureckiej a przynajmniej japońskiej wojny, wiecznie zatopiony w swych majaczeniach marzyciel.

Bezgraniczna poczciwość i olbrzymi wzrost nie pozwalały mu dostrzegać zjawisk mniejszego kalibru, słuchał więc nie-

uważnie, źle rozumiał mówiących, brał zdanie przeciwników za swe własne i zgadzał się ze wszystkim.

Obok niego siedział na ziemi jego znajomy, myśliwy i łowca zwierząt Swirid. Jakkolwiek nie był rolnikiem, chłopskie, czarnoziemne pochodzenie Swirida można było odgadnąć z rozcięcia na piersiach jego koszuli z ciemnego sukna. Koszulę tę chwycił całą garścią, razem z wiszącym na szyi krzyżykiem, aby drapać się po piersi. Swirid był na pół Buriatem, chłopem serdecznym i niepiśmiennym, z włosami zaplecionymi w war-koczki, rzadkimi wąsami i brodą z kilku włosów. Postarzająca go mongolska twarz marszczyła się wciąż w przyjaznym uśmiechu.

Prelegent, odwiedzający Syberię z wojskowymi instrukcjami centralnego komitetu, bujał myślą w niezmierzonych przestrzeniach, objętych planem jego podróży. Większość obecnych nie budziła w nim żadnych uczuć. Patrzył jedynie z zachwytem na siedzącego na przeciw młodego dowódcę. Rewolucjonista sympatyzujący od dzieciństwa z ludem, stary delegat nie tylko wybaczał młodemu chłopcu grubiaństwa, które brał za wyraz wrodzonej, głębinowej rewolucyjności, ale przyjmował jego swobodne wybryki z zachwytem, jaki bezceremonialność amantów budzi u zakochanych kobiet.

Dowódcą partyzantów był Liwerij, syn Mikulicyna, prelegentem zaś przysłanym z centrum — były spółdzielca, sympatyzujący niegdyś z socjalistami-rewolucjonistami — Kostojed-Amurskij. W ostatnich czasach Kostojed poddał rewizji swe stanowisko, uznał swój dotychczasowy program za błędny i po bardzo obszernej samokrytyce nie tylko został przyjęty do partii komunistycznej, lecz wkrótce potem powołano go do tak odpowiedzialnej jak obecna roboty.

Nie był wojskowym i misję obecną powierzono mu w uznaniu dla jego rewolucyjnego doświadczenia i lat spędzonych w więzieniach, a także w przypuszczeniu, że jako były spółdzielca powinien znać dobrze nastroje chłopskich mas w objętej powstaniem Syberii zachodniej, co w danym wypadku było ważniejsze od wykształcenia wojskowego.

Zmiana przekonań politycznych przeobraziła całkowicie Kostojeda. Trudno go było poznać, zmieniła się jego powierzchowność, ruchy, maniery. Nikt nie pamiętał aby kiedykolwiek był łysy i brodaty. Czy była to charakterystyka? Partia zaleciła mu ścisłą konspirację. Pseudonimami jego były: Bierendiej i towarzysz Lidoczka.

Gdy ustał zgiełk wywołany niewczesnym oświadczeniem Wdowiczenka, że zgadza się na odczytane punkty instrukcji, Kostojed ciągnął dalej :

— W celu możliwie całkowitego opanowania narastającego ruchu mas chłopskich, należy ustalić łączność z wszystkimi oddziałami partyzantów, znajdującymi się w zasięgu gubernialnego komitetu.

Tu Kostojed gadał przez chwilę o konspiracyjnych mieszkaniach, hasłach, szyfrach, sposobach komunikowania się, po czym przeszedł do innych szczegółów.

— Zakomunikować oddziałom gdzie znajdują się składy broni, umundurowania i żywności białych instytucji i organizacji ; gdzie przechowywane są i jak ochraniane ich środki pieniężne. Należy najszczegółowiej opracować zagadnienia organizacji oddziałów, ich dowództwa, wojskowo-koleżeńskie dyscypliny, konspiracji, łączności ze światem zewnętrznym, stosunku do miejscowej ludności, polowych wojskowo-rewolucyjnych sądów i taktyki sabotażu na terytorium przeciwnika, a mianowicie zrywania mostów, niszczenia urządzeń kolejowych, środków komunikacji rzecznej, warsztatów i urządzeń technicznych, telegrafu, urządzeń kopalnianych i środków żywności.

Liwerij słuchał cierpliwie, lecz wreszcie nie wytrzymał. Wszystko to wydawało mu się zupełnie nierzeczowym, dyletancim głędzeniem. Powiedział więc :

— Świetny odczyt. Wezmę to wszystko pod uwagę. Jak widzę, trzeba to wszystko przyjąć bez sprzeciwu, jeżeli nie chce się utracić pomocy czerwonej armii.

— Rozumie się.

— A teraz, moja śliczna Lidoczko, pies ci mordę lizał, co mam zrobić z twoją dziecinną ściągaczką kiedy moje siły, w liczbie trzech pułków z artylerią i kawalerią, są już dawno w polu i doskonale biją przeciwnika ?

— Wspaniale ! Jakie silne ! — myślał Kostojed.

Rozmowę przerwał Tiwierzin. Lekceważący ton Liwerja nie podobał mu się.

— Przepraszam towarzysza prelegenta. Mam pewne wątpliwości. Nie wiem czy wiernie zanotowałem jeden z punktów instrukcji. Chciałbym to sprawdzić. Pozwolę sobie przeczytać : „Bardzo pożądane byłoby wciągnięcie do komitetu starych żołnierzy, którzy byli na froncie w chwili rewolucji i należeli do żołnierskich organizacji. Pożądane byłoby aby w skład komitetu weszli jeden lub dwaj podoficerowie i jeden specjalista wojskowy”. Towarzyszu Kostojed, czy dobrze zanotowałem ?

— Dobrze. Słowo w słowo.

— W takim razie pozwólcie mi zrobić następującą uwagę. Punkt dotyczący wojskowych specjalistów budzi we mnie obawę. My, robotnicy, uczestnicy rewolucji 1905, nie mamy zafascynowania do wojskowych. Zawsze zalatuje od nich kontrrewolucją.

Dokoła rozległy się głosy.

— Dosyć ! Rezolucja ! Dawajcie rezolucję ! Czas rozchodzić się. Już późno.

— Przychylam się do zdania większości — wtrącił basem Wdowiczenko. — Mówiąc językiem poetyckim rzecz sprowadza się do tego, że instytucje polityczne powinny narastać od dołu, na zasadach demokratycznych, jak wetknięte w ziemię sadzonki. Nie można wbijać ich z góry jak słupy częstokołu. Na tym polegała omyłka jakobińskiej dyktatury i dlatego Konwent został zgnieciony przez termidorianów.

— Jest to jasne jak Boży dzień — poparł go towarzysz tułaczki Swirid. — To nawet dziecko rozumie. Ale o tym trzeba było myśleć przedtem, teraz za późno. Teraz trzeba się bić, iść przebojem, do upadłego. Bo jakże inaczej ? Zacząć i cofać się ? Nawarzyliśmy piwa, trzeba je pić. Skoczyliśmy do wody, nie krzyczymy że toniemy.

— Rezolucja ! Rezolucja ! — wołano teraz ze wszystkich stron. Dyskusja, coraz bardziej bezładna, toczyła się jeszcze przez pewien czas. Wreszcie o świcie zamknięto zebranie. Uczestnicy zaczęli wychodzić ostrożnie, po jednemu.

7

Na trakcie było pewne malownicze miejsce. Bystra rzeczka Pażinka dzieliła w nim dwie stykające się niemal wsie : schodzący po stromym stoku Kutiejnyj Posad i leżący u jego stóp w dolinie Małyj Jermołaj. W Kutiejnym żegnano właśnie idących do wojska rekrutów, w Małym Jermołaju zaś komisja poborowa pod przewodnictwem pułkownika Streese wznowiła po przerwie wielkanocnej pracę, badając podległych poborowi z gminy Małyj Jermołaj i z gmin sąsiednich. We wsi znajdowała się z tej racji konna milicja i kozacy.

Był to trzeci dzień Wielkanocy, która wypadła w tym roku bardzo późno gdy wiosna przyszła niezwykle wcześniej, dzień cichy i pogodny. Stały z poczęstunkiem dla poborowych stały w Kutiejnym na ulicy, pod gołym niebem, na brzegu traktu, aby nie tamować ruchu. Ustawione w długą, nieregularną linię znikwały pod zwieszającymi się do ziemi obrusami.

Cała wieś złożyła się na ten poczęstunek. Podstawą jego były resztki święconego, dwie szynki wędzone, kilka bab wielkanocnych i dwie czy trzy paschy. Od jednego końca stołu do drugiego wszędzie stały miski z solonymi grzybami, ogórkami, kiszoną kapustą, grubo pokrajanym chlebem miejscowego wypieku i wielkie półmiski z ustawionymi w wysokie piramidy pisankami. Przeważały w tych ostatnich barwy różowa i błękitna.

Błękitne i różowe z zewnątrz, białe od środka skorupy z jaj zaśmiewały trawę wzdłuż stołów. Błękitne i różowe koszule wysuwały się spod kurtek chłopców. Błękitne i różowe były sukienki dziewcząt. Błękitne było niebo. Różowe obłoki płynęły po niebie tak powoli i majestatycznie, jak gdyby niebo płynęło wraz z nimi.

Różową koszulę, przepasaną mieniącą się jedwabną szarfą miał także Włas Pachomowicz Gałuzin, który drobnym krokiem, stukając obcasami zbiegł po schodach ze stojącego na uboczu powyżej stołów domu Pafnutinych i zaczął w te słowa :

— Tę szklankę ojczystego samogonu opróżniam za wasze zdrowie, chłopcy. Witajcie nam i żyjcie długie lata ! Panowie poborowi ! Chciałbym składać wam życzenia wiele razy jeszcze, w innych momentach i okolicznościach. Proszę o chwilę uwagi. Krzyżowa droga rozciągająca się daleko przed wami prowadzi do tego, abyście zasłonili własną piersią ojczyznę przed złoczyńcami, którzy zalali ojczyste niwy bratobójczą krwią. Naród śnił o tym, aby bez przelewu krwi ocenić zdobycze rewolucji, ale wcielenie jego najgorętszych życzeń, Zgromadzenie Ustawodawcze, rozpędzone zostało brutalnie przez partię bolszewików służących obcemu kapitałowi, i rzeką połała się niewinna krew. Młodzi poborowi ! Przywróćcie do czci splamiony honor rosyjskiego oręża ! Jesteśmy to winni naszym dzielnym sprzymierzeńcom. Płoniemy ze wstydu patrząc, jak w ślad za czerwonymi Niemcy i Austria podnoszą beczelnie głowy. Z nami jest Bóg, chłopcy — mówił jeszcze Gałuzin, gdy prze-rwały mu krzyki ura i rzucono myśl podrzucania go do góry. Włas Pachomowicz podniósł do ust szklankę i pił powoli źle oczyszczoną siwuchę. Trunek ten nie sprawiał mu żadnej przyjemności, przywykł bowiem do win o bardziej wykwintnym bukiecie, lecz poczucie poniesionej dla dobra publicznego ofiary napełniło go żywym zadowoleniem.

— Orzeł prawdziwy twój tata. To dopiero mówkę palną ! Co przy nim znaczy jakiś tam Milukow. Jak Bożę kocham. — Tak Goszka Riabych płaczącym się od wódki językiem zachwalał siedzącemu obok Tereszce Gałuzinowi jego ojca —

orzeł, słowo daję. Nie na próżno pewnie się stara. Chce ciebie językiem od służby wojskowej wykołatać.

— Co wy mówicie, Goszka! Wstydzilibyście się. „Wykołatać” — też pomysł. Przyślą nam obu jednego dnia wezwanie i w jednej kompanii będziemy służyli. Z realnego gimnazjum mnie dranie spławili. Mama rozpacza. Ochotnik już nie mogę być. Będę służył jako szeregowy. A papa, jeżeli chodzi o uroczyste przemówienia — majster. Nie ma co mówić. A najważniejsze, jak do tego doszedł? Talent naturalny. Żadnego systematycznego wykształcenia.

— O Sańce Pafnutkinie już wiesz?

— Słyszałem. Czy to prawda, że się zaraził?

— I na całe życie. Wyschnie teraz jak szczapa. Sam temu winien. Uprzedzali go żeby do niej nie chodził. Wszystko zależy od tego z kim się zadajesz.

— I co z nim teraz będzie?

— Tragedia. Chciał się zastrzelić. Dziś staje przed komisją w Jermołaju. Pewnie go wezmą. Pójdę, mówił, do partyzantów. Zemścić się za zarazę toczącą społeczeństwo.

— Słuchaj, Goszka. Mówisz, że można się zarazić. Lecz jeżeli do nich nie chodzić, można zachorować na coś innego.

— Wiem co masz na myśli. Ty sam pewnie to robisz. To nie choroba, ale sekretny nałóg.

— W mordę ci dam, Goszka, za takie gadanie. Nie obrażaj towarzysza, kłamco parszywy.

— Żartowałem tylko, uspokój się. Chciałem ci coś opowiedzieć. Na święta byłem w Pażinsku. Jeden przyjezdny miał tam odczyt o „wyzwoleniu jednostki”. Bardzo ciekawy. To mi się podoba. Zapiszę się, psiakrew, do anarchistów. Siła, mówił, jest w nas samych. Płeć, mówił, i charakter są to przejawy zwierzęcej elektryczności. He? Taki *Wunderkind*. Ależ ja się spiłem! I ryczą tak wszyscy dookoła, że można ogłuchnąć. Nie mogę już więcej. Tereszka, milcz. Ja ci mówię, psi zadku, stul pysk.

— Powiedz mi jeszcze jedno, Goszka. Nie znam wszystkich socjalistycznych słów. Na przykład, sabotażysta. Co to znaczy?

— Chociaż ja od tych słów nie profesor, ale powiem ci, Tereszka, żebyś się odczepił, jestem pijany. Sabotażystą nazywają tego, kto jest z tej samej szajki. Jak powiedzą ci — sabotażysta, znaczy że jesteś z nim z tej samej bandy. Zrozumiałeś, jełopie?

— Myślałem też, że jest to słowo obelżywe. A co do siły elektrycznej, masz rację. Chciałem raz, według ogłoszenia, pas elektryczny z Petersburga sprowadzić. Dla zwiększenia potencji.

Za pobraniem pocztowym. Ale przyszedł nowy przewrót. Nie czas na pasy.

Tierentij nie dokończył. Potężny huk bliskiego wybuchu zagłuszył krzyki pijanych. Przy stole wrzask ucichł na chwilę, lecz potem wybuchł ze zdwojoną siłą. Część siedzących zerwała się z miejsc. Kto był mocniejszy w nogach, stał. Inni, chwiejąc się, próbowali odejść, lecz padali pod stół i zaraz zaczynali chrapać. Kobiety piszczwały. Zaczął się popłoch.

Włas Pachomycz rozglądał się szukając winowajcy. W pierwszej chwili wydało mu się, że wybuch nastąpił gdzieś w Kutiejnym, być może nawet niedaleko od stołu. Szyja wzdęła mu się, twarz poczerwieniała i Gałuzin ryknął na całe gardło :

— Co to za Judasz wkręcił się w nasze szeregi ? Taki syn granatami się tu zabawia ? Kimkolwiek jest, chociażby moim własnym synem, zaduszę. Nie pozwolimy obywatela na takie żarty ! Żądam zrobienia obławy. Otoczymy Kutiejnyj Posad ! Złapiemy prowokatora ! Nie damy psu uciec !

Zrazu słuchano go, potem uwagę obecnych zwrócił słup czarnego dymu wznoszący się z zarządu gminnego w Małym Jermołaju. Wszyscy pobiegli na brzeg urwiska zobaczyć co się stało.

Z płonącego zarządu gminy wybiegło kilku rozebranych poborowych, z których jeden był goły i bosi, w samych tylko portkach, oraz pułkownik Streese z innymi oficerami z komisji poborowej. Po całej wsi, machając nahajkami pędzili w różnych kierunkach milicjanci i kozacy na koniach wyciągniętych w galopie jak węże. Chcieli kogoś złapać, szukali go. Mnóstwo ludzi biegło drogą w kierunku Kutiejnego. Z jermołajskiej dzwonnicy biegły za nimi drobne dźwięki dzwonu bijącego na trwogę.

Wypadki potoczyły się następnie ze straszną szybkością. O zmroku Streese z kozakami rozciągnął swe poszukiwania na Kutiejnyj. Wieś otoczono wartami i kozacy zaczęli przetrząsać jedną chatę po drugiej.

Połowa bankietujących była już wówczas całkowicie pijana i spała kamiennym snem, jedni siedząc z głowami opartymi o brzeg stołu, inni na ziemi. Gdy wiadomość o przybyciu milicji rozeszła się po wsi, było już ciemno.

Kilku chłopaków rzuciło się do ucieczki i przynagłając się wzajemnie szturchańcami, wpęzło pod pierwszy z brzegu śpichlerz, którego podłoga odstawała od ziemi. Z sennaści nie wiedzieli dobrze gdzie się znajdują, ale zapach ryb i nafty zdradził im, że są pod podłogą spółdzielni.

Ukrywający się nie mieli nic na sumieniu, i ucieczka była z ich strony błędem. Większość zrobiła to bez zastanowienia,

po pijanemu, z głupoty. Niektórzy mieli podejrzane znajomości, które, jak przypuszczali, mogły ich zgubić. Wszystko teraz przybierało zabarwienie polityczne. W zonie sowieckiej swawola i chuligaństwo były dowodem przynależności do czarnej sotni, w zonie białogwardiejskiej zawadiaków uważano za bolszewików.

Pełnący pod śpichlerz spostrzegli, że nie przyszli tu pierwsi. Ciasna przestrzeń między ziemią i podłogą była pełna ludzi. Jedni byli z Kutiejnego, inni z Jermołaja. Pierwsi byli zupełnie pijani. Jedni chrapali, jęcząc przez sen i zgrzytając zębami, innych mdliło i brało na wymioty. Pod śpichlerzem panowały ciemności choć oko wykol, duchota i smród. Ostatni przybysze zatkali kamieniami i ziemią otwór do kryjówek. Wkrótce chrapanie i jęki pijanych ustały. Zapanowała całkowita cisza. Wszyscy spali spokojnie. W jednym kącie tylko słychać było szept dwóch najniesforniejszych. Byli to: wylękniony śmiertelnie Tierentij Gałuzin i jermołajski zabijaka Kośka Niechwalonych.

— Nie rycz tak, sukinsynu, wszystkich zgubisz, drabu zasmarkany. Słyszysz? Stresowcy myszkują, tropią. Skręcili z obejścia i idą wzdłuż ulicy. Zaraz tu będą. Już są tu. Milcz teraz, ani mru mru, bo uduszę! No, masz szczęście, przeszli. Po jakiego diabła tuś wlaź? Patrzajcie jełopa, też chce się ukrywać! Nikt by cię palcem nie tknął.

— Posłyszałem jak Goszka wołał „Chowaj się łachudro”, i schowałem się.

— Goszka to co innego. Cała rodzina jego jest źle notowana. Mają krewnych w Chodatskiem, robotników. Nie szarp się, idioto, leż spokojnie. Tu wszędzie kupy łajna i rzygowiny. Tylko się ruszysz, siebie i mnie osmarujesz. Nie czujesz, jak śmierdzi? Wiesz kogo tu Streese szuka? Tych co przyszli z Pażinska.

— Jak to się wszystko stało, Kośka? Od czego się zaczęło?

— Wszystko to przez Sańkę, Sańkę Pafnutkina. Stoimy rzędem, goli, przed komisją. Kolej przyszła na Sańkę, a on się nie rozbiera. Przyszedł już podpity. Pisarz robi mu uwagę. Rozbierajcie się, mów. Uprzejmy taki, Sańce mówi „wy”. Pisarz wojskowy. A Sańka mu po grubiańsku: Nie rozbierę się. Nie życzę sobie moje części ciała wszystkim pokazywać. Niby taki wstydlivy. I łokciem podchodzi do pisarza, zamachnął się, i w mordę. I zanim się obejrzel, Sańka schylił się, schwycił kancelaryjny stolik za nogę i wszystko co na nim było, kałamarz i listę poborowych, na ziemię. W drzwiach stanął Streese i krzyczy: Nie zniosę bezceństw! Ja wam pokażę bez-

krwawą rewolucję i nieposzanowanie prawa w urzędowym lokalu. Kto tu jest podżegaczem ?

Sańka na to do okna : — Na pomoc ! — krzyczy — łapcie ubranie ! Koniec nam tu, towarzysze ! — chwytam odzież, ubieram się w biegu i za Sańką, a Sańka wybił szybę i chodu na ulicę, szukaj wiatru w polu. A za nim jeszcze kilku. I w nogi. A za nami już pogoń. A jak to wszystko się stało ? Sam nie wiem.

— A bomba ?

— Jaka bomba ?

— Kto rzucił bombę ? No, nie bombę, a granat ?

— Boże, czy to my ?

— A kto ?

— Skąd mam wiedzieć ? Ktoś inny. Widzi zamieszanie i myśli — przy okazji gminę w powietrze wysadzę. Pójdzie na cudzy rachunek. To zrobił ktoś polityczny. Politycznych tu przecież pełno, z Pażinska. Cicho, stul pysk. Słyszysz głosy ? Stresowcy wracają. Teraz zgineliśmy. Milcz, mówię ci.

Głosy było słyszeć coraz bliżej. Skrzypiały buty, dzwoniły ostrogi.

— Żadnej dyskusji. Mnie nie oszukacie. Nie na takiego trafiliście. Tu gdzieś na pewno rozmawiano — rozległ się rozkazujący, wyraźny, petersburski głos pułkownika.

— Mogło się jaśnie wielmożnemu wydawać — starał się go przekonać wójt Małego Jermołaja, stary Otwiązistin, handlujący rybami. A zresztą, co w tym dziwnego, że rozmawiają, skoro jesteśmy we wsi, a nie na cmentarzu. Może i rozmawiali. Nie same niemowy tu mieszkają. A może i upiór jakiś kogoś we śnie dusił.

— Tylko bez upiorów ! Ja wam pokażę upiора. Kazańską sierotę odstawia ! Upiór ! Rozpuściliście się tu jak dziadowski biczą. Jak doigracie się do międzynarodówki będzie za późno. Upiór !

— Jaśnie wielmożny, panie pułkowniku, zlitujcie się ! Jaka tu może być międzynarodówka ? Hebesy ciemne. jeden w drugiego. W starych książkach do nabożeństwa ledwie sylabizują. Gdzie im do rewolucji.

— Możecie tak mówić aż do pierwszego dowodu. Przeszukać całą spółdzielnię od góry do dołu. Zajrzeć do skrzyń i pod lady. Przetrząsnąć sąsiednie budynki.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Pafnutkina, Riabycha i Niechwalonycha dostarczyć mi żywych czy umarłych. Chociażby spod ziemi i małego Gałuzina też. To nic, że jego tata patriotyczne mowy wygłasza, oczy

mydli. Przeciwnie. Na to nas nie nabierze. Kiedy sklepikarz udaje oratora, coś w tym musi być. Rzecz podejrzana. Przeciwna naturze. Są wiadomości że w ich domu w Krestowozdwiżensku skrywają się polityczni, odbywają się tajne zebrania. Złapcie mi tego chłopaka. Nie wiem jeszcze co z nim zrobię, ale jeśli coś znajdę powieszę bez litości, dla przykładu.

Rewizja spółdzielni skończyła się. Milicjanci poszli dalej. Gdy odeszli daleko, Kośka Niechwalonych spytał na pół martwego ze strachu Tereszkę Gałuzina :

— Słyszałeś ?

— Tak — nieswoim głosem odpowiedział Tereszka.

— Teraz dla nas obu z Sańką i Goszką nie ma żadnej innej drogi jak tylko do lasu. Nie mówię, że na zawsze. Dopóki się nie opamiętają. A kiedy opamiętają się, zobaczymy. Być może wrócimy.

R o z d z i a ł X I

LEŚNE WOJSKO

I

Drugi rok już Jurij Andrejewicz spędzał w niewoli u partyzantów. Granice tej niewoli były niewyraźne, miejsce jej nie było ogrodzone. Nikt nie pilnował go, nie było nad nim żadnego nadzoru. Wojsko partyzantów było w nieustannym ruchu, i Jurij Andrejewicz wędrował z nim razem. Wojsko to nie odsuwało się, nie oddzielało od ludności wsi leżących na jego drodze. Mieszkało się z nią, rozpuszczało w niej.

Zdawało się, że nie ma żadnej niewoli, żadnej zależności, że doktor jest wolny i nie umie tylko z tej wolności skorzystać, że niewola jego nie różni się od wszystkich innych rodzajów przymusu istniejących w życiu, i które też wydają się czymś nieistotnym, chimerą i tworem wyobraźni. Mimo braku kajdanów i straży, doktor musiał jednak podporządkowywać się swej niewoli, na pozór zmyślonej.

Trzy razy próbował odejść od partyzantów i trzy razy został schwytany. Uszło mu to bezkarnie, lecz było to igranie z ogniem. Doktor dał za wygraną.

Naczelnik partyzantów, Liwerij Mikulicyn, sprzyjał mu, dzielił z nim swój namiot i lubił jego towarzystwo. Doktorowi ciążyła ta narzucona intymność.

2

Był to okres stałego przesuwania się partyzantów na wschód. Chwilami ruch ten zdawał się być częścią ogólnego planu, ma-

jącego na celu wyparcie Kołczaka z zachodniej Syberii. Chwilami jednak, gdy biali partyzanci zjawiali się na ich tyłach i usiłowali ich okrążyć, ruch partyzantów w kierunku wschodnim przybierał charakter odwrotu. Przez długi czas doktor nie mógł zrozumieć tej subtelności.

Partyzanci posuwali się równolegle do traktu, często samym traktem. Miasteczka i wsie, przez które szli, były zależnie od kaprysów wojennej fortuny, białe lub czerwone. Zewnętrzny wygląd ich rzadko tylko pozwalał domyślać się kto w nich był u władzy.

W momencie przemarszu, ciągnące środkiem ulicy siły zbrojne wysuwały się na pierwszy plan w obrazie tych miasteczek i osiedli. Domy po obu stronach drogi zdawały się cofać i wrastać w ziemię, a mieszące błoto konie, artyleria i rośli strzelcy ze zwiniętymi na plecach szynelami zdawali się wyrastać na środku drogi powyżej poziomu budynków.

W jednym z takich miasteczek doktor miał odebrać zarekwirowany jako zdobycz wojenną skład angielskich medykamentów, pozostawiony tam przez cofające się formacje oficerskie armii Kołczaka.

Był to dzień ciemny, dżdżysty, niejako dwubarwny : wszystko co było oświetlone, wydawało się białe. Wszystko co było nieoświetlone — czarne. W duszy doktora panował taki sam uproszczony mrok, bez półcieni.

Zniszczony przez częste przemarsze wojsk trakt był potokiem czarnego błota. W miasteczku można było przejść przezeń tylko w kilku miejscach, do których dojście wymagało długiego kluczenia po zaułkach. W tych okolicznościach doktor spotkał w Pażinsku swą byłą towarzyszkę podróży Pełagieję Tiagunową.

Tiagunowa poznała go pierwsza. Doktor nie od razu zdał sobie sprawę, kim jest ta kobieta ze znajomą twarzą, rzucająca mu przez drogę, niby z drugiego brzegu kanału, spojrzenia mówiące, że gotowa jest się z nim przywitać jeżeli ją pozna, lecz w przeciwnym razie odstąpi od tego zamiaru.

Po minucie doktor przypomniał sobie wszystko. Wraz z przepelnionym wagonem towarowym, tłumem ludzi spędzonych do służby pracy, konwojentami i podróżną z przerzuconymi na piersi warkoczami, doktor ujrzał po środku tego obrazu swoich bliskich. Obstały go wspomnienia zaprzeczłorocznej podróży, twarze drogich mu osób, z którymi rozstania nigdy nie przeboleał, stały żywo w jego wyobraźni.

Ruchem głowy dał Tiagunowej znak, aby poszła nieco wyżej, gdzie po wystających z błota kamieniach można było przejść ulicę, przeszedł ją sam w tym miejscu i przywitał się.

Tiagunowa długo opowiadała. Przypomniała mu historię bezprawnie wziętego do armii pracy przystojnego i niezsutego chłopca Wasi, który jechał z nimi razem w ciepłuszce, i opisała doktorowi swój pobyt we wsi Wieretinnikach, u matki Wasi. Było jej tam bardzo dobrze. Cała wieś jednak boczyła się na nią jako na obcą, na przybłądę. Dokuczano jej domniemanem bliskich stosunków z Wasią. Musiała wreszcie wyjechać aby jej nie zadziobano. Zamieszkała w Krestowozdwiżensku u siostry Olgi Gałuzinej. Do Pażinska zwabiły ją pogłoski o widzianym tam rzekomo Prituljewie. Pogłoski były błędne, ale znalazła tu pracę i zamieszkała na stałe.

Różne nieszczęścia spadły tymczasem na bliskich jej ludzi. Z Wieretinników przyszła wiadomość, że we wsi odbyła się egzekucja wojskowa z powodu niedostarczonego kontyngentu zboża. Dom Brykinów podobno spalił się, i ktoś z rodziny Wasi został zabity. W Krestowozdwiżensku dom i majątek Gałuzinów został skonfiskowany. Szwagra jej aresztowano czy nawet rozstrzelano. Siostrzeniec znikł bez śladu. Po tej katastrofie siostra jej Olga była przez pewien czas w nędzy, głodowała, teraz zaś służy za wyżywienie u swych chłopskich krewnych w Zwonarskiej Słobodzie.

W Pażinsku Tiagunowa znalazła pracę jako pomywaczka w miejscowej aptece, której zapas leków doktor miał właśnie zarekwirować. Dla wszystkich żyjących z apteki, a w ich liczbie i dla Tiagunowej, oznaczało to ruinę, doktor nie mógł jednak temu zaradzić. Tiagunowa była obecna przy rekwizycji leków.

Podwoda Jurja Andrejewicza zajęła na podwórzu apteki, pod drzwiami składu, z którego wynoszono paki i oplecione łożyną butle i skrzynki.

Czynnościom tym przyglądali się ze smutkiem ludzie i chuda, pokryta liszajem kobyła aptekarza. Dżdżysty dzień chylił się ku końcowi. Zaczęło się przejaśniać i między chmurami pokazało się na chwilę zachodzące słońce. Promienie jego rzucały brązowe blaski na apteczne podwórze, złocąc złowieszczo nieruchome, ciężkie kałuże gnojówki. Woda pokrywająca szosę marszczyła się od wiatru i jej drobniutkie fale rzucały cynobrowe odbłaski. Wojsko tymczasem szło dalej brzegiem drogi, obchodząc i objeżdżając najgłębsze kałuże. W zarekwirowanej partii leków znalazł się cały słoik kokainy, którą w ostatnich czasach zaczął wachać komendant partyzantów.

U partyzantów doktor miał pracy wyżej uszu. Zimą dostarczał jej tyfus plamisty, latem — dyzenteria, prócz tego liczba rannych zwiększała się przy każdym wznowieniu operacji zbrojnych.

Mimo niepowodzeń i ciągłego cofania się, szeregi partyzantów uzupełniali nowi powstańcy, przez których tereny zamieszkania przeciągały chłopskie formacje partyzanckie, oraz deserterzy z armii nieprzyjacielskiej. W ciągu półtora roku pobytu doktora u partyzantów siły ich wzrosły dziesięciokrotnie. Mówiąc o swych siłach na zebraniach podziemnego sztabu w Krestowozdwiżensku, Liwerij Mikulicyn powiększył je mniej więcej dziesięciokrotnie. Teraz siły te odpowiadały istotnie jego ówczesnemu oświadczeniu.

Jurij Andrejewicz miał za pomocników kilku młodych lecz posiadających już pewne doświadczenie sanitariuszy. W sprawach lekarskich prawą ręką jego był jeniec wojenny, węgierski komunista i lekarz wojskowy Kerenyj Lajos, zwany w obozie „towarzyszem Łajesz” i chorwacki felczer Angelar, także były jeniec austriacki. Z pierwszym Jurij Andrejewicz rozmawiał po niemiecku, drugi zaś rodem ze słowiańskiej części monarchii rozumiał mniej więcej rosyjski.

Według międzynarodowej konwencji o działalności Czerwonego Krzyża, lekarze wojskowi i członkowie formacji sanitarnych nie mają prawa nosić broni i brać udziału w walkach. Raz jednak doktor zmuszony był do naruszenia tej zasady. Starcie zastało go w polu, w sytuacji w której musiał dzielić los ostrzegających się towarzyszy.

Łańcuch partyzantów, w którym doktor położył się obok telegrafisty oddziału, zajmował brzeg lasu. Za nim była tajga, przed nim otwarta polana, z której atakowali biali.

Nacierający zbliżali się i byli już niedaleko. Doktor widział ich twarze. Byli to młodzi chłopcy ze sfer towarzyskich stolicy i ludzie starsi, zmobilizowani rezerwiści. Ton jednak nadawali młodzi, studenci pierwszego roku i gimnaziści z ósmej klasy, którzy niedawno wstąpili do wojska jako ochotnicy.

Doktor nie znał z nich nikogo, twarze ich wydawały mu się jednak częściowo znajome z widzenia. Jedni przypominali mu szkolnych kolegów. Czy mogli to być młodszy bracia? Dru-

gich mógł widywać kiedyś w teatrze lub na ulicy. Ich wyraziste, sympatyczne twarze wydawały mu się bliskie, swojskie.

Ożywieni poczuciem obowiązku, szli pełni entuzjazmu, z brawurą niepotrzebną i wyzywającą. Posuwali się w rozsypce, wyprostowani, prześcigający swą postawą wojskową oficerów gwardii, gardzący niebezpieczeństwem. Nie uciekali się do systemu padania przed nowym skokiem naprzód, jakkolwiek na polanie były nierówności terenu, wzgórki i kępy, za którymi można się było ukryć. Kule partyzantów kosiły ich.

W środku nagiego pola, po którym posuwali się biali, stało suche drzewo, spalone przez piorun, przez rozłożone pod nim ognisko czy też w toku poprzednich walk. Każdy przechodzący obok biały ochotnik rzucał nań okiem, walcząc z pokusą schowania się za jego pniem, skąd mógł strzelać spokojniej i celniej, odrzucał jednak tę myśl i szedł naprzód.

Partyzanci mieli mało amunicji. Musieli oszczędzać naboje. Mieli przestrzegany solidarnie rozkaz strzelania na bliską odległość, z tyłu karabinów, ile było widocznych celów.

Doktor leżał bez broni w trawie i obserwował przebieg wypadków. Cała jego sympatia była po stronie bohatersko ginących dzieci.

Życzył im z całej duszy powodzenia. Byli to potomkowie rodzin bliskich mu zapewne duchem, wychowaniem, koncepcją moralności, pojęciami.

Przebiegła mu przez głowę myśl, że mogłby wybiec na przeciw, poddać się i wybawić w ten sposób z niewoli. Krok taki byłby jednak ryzykowny, niebezpieczny. Zanim zdążyłby dobiec do środka polany, mógł zostać postrzelony z obu stron, w piersi i w plecy, przez swoich i przez obcych. Swoi strzelaliby karząc go za zdradę, obcy — nie odgadując jego zamiarów. Doktor bywał już nieraz w podobnych sytuacjach, przemyslał ich możliwości i dawno uznał takie plany ucieczki za niepraktyczne. Godząc się z dwoistością swych uczuć leżał dalej na brzuchu w trawie i śledził, bez broni, przebieg walk.

Przebywanie w stanie biernej kontemplacji wśród walki na śmierć i życie było jednak nie do pomyślenia, przekraczało siły ludzkie. Nie chodziło tu o samą obronę, lecz o rozpoznanie logiki wypadków, o poddanie się prawom rządzącym rozgrywającym się przed nim i dookoła niego dramatem. Bierność sprzeciwiała się tym prawom. Należało robić to samo co inni. Toczyła się walka. Strzelano do niego i do jego towarzyszy. Należało odstrzeliwać się.

I gdy leżący obok telefonista zrobił kilka konwulsyjnych ruchów i zastygł, Jurij Andrejewicz podpełzł doń, zdjął zeń

ładownicę, wziął jego karabin i wróciwszy na swoje miejsce zaczął strzelać raz za razem.

Litość nie pozwalała mu celować do młodych ludzi, na których patrzył z podziwem i z którymi sympatyzował. Strzelać po prostu w powietrze było czymś głupim i nie leżało w jego zamiarach. Korzystając z chwil gdy nikt z napastników nie znajdował się między nim i jego celem, doktor strzelał do suchego drzewa. Miał do tego swoją metodę.

W miarę tego jak drzewo zarysowywało się coraz wyraźniej w celowniku, naciskał cyngiel powoli, jak gdyby nie zamierzając wystrzelić w jakimś określonym czasie, aż do chwili gdy wystrzał padał niby sam przez się, nieoczekiwanie. Strzelał coraz celniej, i po chwili kilka odstrzelonych suchych gałęzi leżało pod drzewem.

Ale, o zgrozo ! Mimo wszystkich starań doktora aby nikogo nie trafić, wciąż ktoś z atakujących pojawiał się w rozstrzygającej chwili między nim a drzewem. Ranił w ten sposób dwóch, trzeci upadł martwy pod drzewem.

Białe dowództwo przekonawszy się wreszcie o bezużyteczności dalszych prób, dało rozkaz odwrotu.

Partyzantów było mało. Główne siły ich były w drodze, część zaś uwikłana była w walki z większymi siłami przeciwnika. Aby nie zdradzić swej słabości, partyzanci nie ścigali ustępujących.

Felczer Anglar przyprowadził na skraj lasu dwóch sanitariuszy z noszami. Doktor kazał im zająć się rannymi, sam zaś podszedł do leżącego bez ruchu telefonisty. Miał niejasną nadzieję, że uda się go przyprowadzić do życia. Telegrafista jednak był martwy. Aby się o tym upewnić, doktor rozpiął mu na piersi koszulę i osłuchiwał serce. Nie biło.

Na szyi zabitego wisiał na sznurku szkaplerz. Jurij Andrejewicz zdjął go. Był to zaszyty w gałganek kawałek złożonego kilkakrotnie i zbutwiałego papieru. Doktor rozwinął rozpadający się paperek.

Znajdowały się na nim przepisane urywki z 90 Psalmu, ze zniekształcającymi zmianami, jaki lud wnosi do modlitw, oddalając się coraz bardziej od oryginału. Cerkiewno-słowiańskie urywki były spisane na papierku po rosyjsku.

Psalm mówi : „Ten, który żywie w ochronie Najwyższego”. Na papierku słowa te służyły za tytuł całości i brzmiały : „Żywa ochrona”. Wiersz psalmu : „Nie ułękiesz się... strzały latającej we dnie” zmieniał się w pokrzepiające zdanie : „Nie bój się strzały lecącej na wojnie”. „Ja z nim będę w utrapieniu a wyrwę go”, zmieniło się w : „Z tarapatów wyrwę go”.

Tekst tego psalmu uchodził za cudotwórczy, chroniący od kul. Żołnierze nosili go jako talizman w czasach wojen imperialistycznych. W kilkadziesiąt lat później zaszywali go w ubrania aresztowani i powtarzali szeptem gdy wzywano ich do sędziego śledczego na nocne przesłuchanie.

Od telefonisty Jurij Andrejewicz przeszedł na polanę, do ciała młodego białogwardiejca. Na pięknej twarzy jego malowała się niewinność i przebaczące wszystko cierpienie. — Czemu zabiłem go ? — pomyślał doktor.

Rozpiął sznел zabitego i odrzucił jego poły. Na podszewce starannym, kaligraficznym pismem, zapewne ręką matki, wyszyte było nazwisko zabitego : Sierioża Rancewicz.

Gdy rozpiął mu koszulę, wypadł z niej i zawisł na łańcuszku krzyżyk, medalion i jeszcze jakiś płaski, złoty futerał podobny do tabakierki z uszkodzoną, jak gdyby wciśniętą do środka przykrywką. Futerał był na wpół otwarty. Wypadł zeń złożony w kilkoro papierek. Doktor rozwinął go nie chciał wierzyć oczom. Był to ten sam go Psalm, lecz drukowany w autentycznej cerkiewno-słowiańskiej wersji.

Sierioża jęknął i poruszył się. Żył więc. Jak się potem okazało był zamroczony przez lekką kontuzję wewnętrzną. Matczyzny amulet zatrzymał kulę i ocalił go. Ale co zrobić z nieprzytomnym ?

Bestialstwo wojujących doszło w tym czasie do ostatnich granic. Jeńcy nie dochodzili żywi do miejsca przeznaczenia, nieprzyjacielskich rannych dobijano na miejscu.

Przy płynnym składzie leśnego wojska, do którego przyłączyli się wciąż nowi ochotnicy, i z którego uciekali do nieprzyjaciela starsi partyzanci, Rancewicza można było, przy ścisłym zachowaniu tajemnicy, przedstawić jako nowego ochotnika, który niedawno przystał do partyzantów.

Jurij Andrejewicz zdjął z zabitego telefonisty wierzchnie ubranie i z pomocą Angelara, którego wtajemniczył w swe zamiary, przebrał w nie nieprzytomnego młodzieńca. Wspólnymi siłami doktor i felczer przyprowadzili Rancewicza do zdrowia i pozwolili mu uciec, jakkolwiek chłopiec nie skrywał wobec swych wybawców, że wróci do armii Kołczaka i będzie walczył nadal z czerwonymi.

5

Jesienią partyzanci rozbili obóz w miejscu zwanym Lisij Otok, na lesistym wzgórzu, które z trzech stron otaczała rwąca i pieniąca się, podmywająca brzegi rzeczka.

Przed partyzantami zimowały tu oddziały Kappela, które przy pomocy okolicznej ludności wzniosły w lesie fortyfikacje i opuściły je nietknięte na wiosnę. W schronach, okopach i korytarzach zagospodarowali się teraz partyzanci.

Liwerij Awerkiewicz dzielił swój schron z doktorem, z którym już drugą noc rozmawiał nie dając mu spać.

— Chciałbym wiedzieć, co porabia teraz mój szanowny rodzic, czcigodny Vater alias Papachen.

— Boże, jak ja nie znoszę tego błazeńskiego tonu — myślał wzdychając doktor. — A przy tym wykapany ojciec!

— Wnosząc z poprzednich rozmów mieliście możność poznać dobrze Awerkja Stiepanowicza i, jak mi się zdaje, jesteście o nim dobrego zdania. He, panie dobrodzieju?

— Liwerij Awerkiewicz, jutro mamy przedwyborczy wiec na „bujwischu”. Prócz tego mamy sądzić sanitariuszy za pędzenie samogonu. Materiały do tej sprawy nie są przygotowane, jutro rano muszę się tym zająć z Lajosem. Od dwóch dni już nie śpię. Zlitujcie się, odłóżcie naszą rozmowę.

— Ale co wy myślicie o moim starym? — wracał z uporem Liwerij do Awerkja Stiepanowicza?

— Macie jeszcze zupełnie młodego ojca, Liwerij Awerkiewicz, po co tak o nim mówicie? A teraz odpowiem na wasze pytanie. Mówiłem już wam, że nie orientuję się dobrze w różnych odcieniach socjalistycznej mieszanki i nie widzę różnicy między bolszewikami i innymi socjalistami. Ojciec wasz należy do ludzi, którym Rosja zawdzięcza zaburzenia i przewroty ostatnich lat. Awerkij Stiepanowicz jest typem rewolucyjnym. Podobnie jak wy, jest przedstawicielem rosyjskiego fermentu.

— Czy to jest pochwała czy nagana?

— Proszę jeszcze raz o odłożenie naszej dyskusji na stosowniejszy czas. Zwracam też waszą uwagę na kokainę, którą znów wachacie bez miary. Bieriecie ją samowolnie z podlegających mi zapasów służby sanitarnej. Kokainę mamy tu dla innych celów. Nie mówię już o tym, że jest to trucizna i że jestem odpowiedzialny za wasze zdrowie.

— Wczoraj znów nie byliście na naszym kursie. Wasz instynkt społeczny jest w stanie atrofii jak u niepiśmiennych bab i starych filistrów. A tymczasem, doktorze, jesteście czytani i podobno nawet piszecie coś sami. Powiedzcie mi, jak się te rzeczy w was ze sobą godzą?

— Nie wiem jak. Zapewne nie godzą się wcale. Jestem godny politowania.

— Pokora wasza jest gorsza od pychy. Zamiast uśmiechać się złośliwie zapoznajcie się lepiej z programem naszych kursów

i przyznajcie, że wasze zarozumiałstwo jest w tym wypadku nie na miejscu.

— Bóg z wami, Liwerij Awerkjewicz ! Jakie zarozumiałstwo ! Zdejmuję kapelusz przed waszą pracą wychowawczą. Program omawianych pytań powtarza się we wszystkich zawiadomieniach i czytałem go.

Wasze myśli o rozwoju duchowym żołnierzy są nam znane i jestem nimi zachwycony. To co na waszym kursie mówi się o stosunku żołnierza armii ludowej do towarzyszy, do słabych, do bezbronnych, do kobiet, to co się mówi o czystości i godności, wszystko to jest bardzo bliskie zasad na których oparta była gmina duchoborów. Jest to rodzaj tołstoizmu, marzenia o godności ludzkiej. Na tych rzeczach zesła część mojej młodości. Jak więc mógłbym się z nich śmiać.

Ale, po pierwsze, po październiku idea ogólnego doskonalenia przybrała sens, który mnie wcale nie zachwyca. Po wtóre, wszystko to jest bardzo dalekie od urzeczywistnienia, są to tylko słowa, za które zapłacono takim morzem krwi, że cel ten zapewne nie uświęca środków. I po trzecie, i to jest najważniejsze, kiedy słyszę o przeobrażeniu życia, tracę panowanie nad sobą i wpadam w rozpacz.

Przeobrażenie życia ! O tym mogą mówić tylko ludzie, którzy być może nie jedno widzieli, ale którzy nie poznali nigdy ducha, sensu życia. Życie jest dla nich kawałem grubego, surowego materiału, wymagającego obróbki. Życie zaś nigdy nie jest materiałem. Życie, jeśli chcecie wiedzieć, jest czymś co się wiecznie samo przeobraża, przetwarza i odnawia, jest czymś stojącym powyżej wszystkich naszych kretyńskich teorii.

— A jednak ośmielę się zauważyć, że udział w naszych zebraniach i obcowanie z naszymi wspaniałymi ludźmi podniosło was na duchu. Nie wpadalibyście tak łatwo w melancholię. Widzę zresztą jej przyczynę. Przygnębia was, że nas wciąż biją, i że nie widzicie wyjścia z tej sytuacji. Nie trzeba jednak, przyjacielu, poddawać się panice. Znam rzeczy straszniejsze, odnoszące się do mnie osobiście — na razie nie chcę o nich mówić — a jednak nie tracę głowy. Nasze niepowodzenia są chwilowe. Koniec Kołczaka jest nieunikniony. Zapamiętajcie sobie moje słowa. Zobaczycie że zwyciężymy. Do góry uszy.

— To nie do wiary ! — myślał doktor. — Co za dzieciństwo ! Co za krótkowzroczność ! Bez końca mówię mu o sprzeczności naszych poglądów ; porwał mnie przemocą, przemocą trzyma mnie u siebie i wyobraża sobie, że przygnębiają mnie jego niepowodzenia, i że jego przewidywania i nadzieje powinny

mnie podnieść na duchu. Co za zaślepienie ! Interesy rewolucji i istnienie systemu słonecznego są dla niego tym samym.

Jurij Andrejewicz był dotknięty do żywego. Nie odpowiedział nic i wzruszył ramionami, nie ukrywając że naiwność rozmówcy przekracza miarę jego cierpliwości. Nie uszło to uwadze Liwerja.

— Jowiszu, gniewasz się, więc nie masz racji — powiedział.

— Zrozumcie wreszcie, że wszystko to do mnie nie pasuje. „Jowisz”, „niepoddawanie się panice”, „kto powiedział a musi powiedzieć b”, „Murzyn zrobił swoje Murzyn może odejść”, w wszystkie te banały nic mi nie mówią. Powiem a, ale nie powiem b, chociażbyście pękli. Przyznaję że jesteście luminarzami i wyzwolicielami Rosji, która bez was utonąłaby w nędzy i ciemnocie, ale nie mam z wami nic wspólnego, nie lubię was, no i niech was diabli wezmą.

Wasi przywódcy duchowi lubią bawić się przysłowiami, nie pamiętają jednak, że „przemocą miły nie będziesz” i przywykli wywalać i uszcześliwiać tych zwłaszcza kto o to wcale nie prosił. Wy też sobie na pewno wyobrażacie, że nie ma dla mnie na świecie lepszego miejsca jak wasz obóz i wasze towarzystwo, i że powinienem błogosławić was za moją niewolę i dziękować wam za to że uwolniliście mnie od rodziny, od domu i od pracy, to jest od wszystkiego co było mi drogie i z czego składało się moje życie.

Doszły wiadomości o napadzie jakiegoś nie rosyjskiego oddziału na Warykino. Mówią, że wszystko zostało tam rozgromione i rozgrabione. Kamiennodworskiej temu nie przeczy. Mojej i waszej rodzinie udało się podobno uciec. Jacyś mityczni, kosoocy żołnierze w wataowanych mundurach i papachach przeszli w wielki mroz Ryńwę po lodzie, nie mówiąc ani słowa wystrzelali wszystkich kogo znaleźli w osadzie, i znikli tak samo tajemniczo jak przyszli. Co wy o tym wiecie ? Czy to prawda ?

— Bujda. Niesprawdzone brednie rozniesione przez plotkarzy.

— Jeżeli jesteście tak dobrzy i szlachetni jak wasze instrukcje o wychowaniu moralnym żołnierzy, pozwólcie mi odejść. Pojadę szukać mojej rodziny, o której nie wiem nawet czy jest przy życiu i gdzie się znajduje. W przeciwnym razie milczcie, dajcie mi święty spokój, bo wszystko inne jest dla mnie nieciekawe i w tej chwili nie odpowiadam za siebie. A wreszcie mam też, u diabła, prawo po prostu chcieć spać !

Jurij Andrejewicz upadł na prycę, twarzą do poduszki. Wszystkimi siłami starał się nie słuchać tłumaczeń się Liwerja, który nadal uspakajał go, że wiosną biali zostaną ostatecznie

pobici. Wojna cywilna skończy się, przyjdzie wolność, dostatek i pokój. Nikt wówczas nie będzie doktora zatrzymywał. Do tej zaś chwili trzeba być cierpliwym. Po tylu cierpieniach i ofiarach nie trzeba już będzie długo czekać. Dokąd by zresztą doktor teraz poszedł? Dla jego własnego dobra nie można go nigdzie puszczać samego!

— Puścił znów w ruch swoją katarynkę, niech go diabli! Miele językiem! Jak nie wstyd mu przez tyle lat powtarzać ciągle to samo — myślał zirytowany Jurij Andrejewicz. — Tokuje jak głuszec, złotousty nasz, kokainista nieszczesny. Nie ma z nim nocy, nie ma snu, nie ma życia. Jak ja go nienawidzę! Bóg widzi, że go kiedyś zabiję.

Toniu, dziewczyno moja biedna! Czy żyjesz? Gdzie jesteś? Boże, przecież dawno już powinnaś być rodzić! Jak się odbył twój połóg? Chłopiec czy dziewczynka? Drodzy moi, co się z wami dzieje?

Toniu, mój wieczny wyrzucie sumienia, moja wino! Łaro, straszno mi wymawiać twoje imię, abym z nim razem nie wyzionął ducha. Boże! Boże! A ten wciąż mówi, nie ustaje, nienawistne, bezduszne zwierzę! Nie wytrzymam kiedyś i zabiję go, zabiję.

6

Minęło babie lato. Nadeszły ostatnie jasne dni złotej jesieni. Na zachodnim krańcu Lisiego Otku wznosiła się drewniana wieżyczka, stojąca nad dawnym blokauzem białych ochotników. Jurij Andrejewicz miał tam spotkać się ze swym asystentem, doktorem Lajosem, dla omówienia kilku wspólnych spraw. Przyszedł o wyznaczonej godzinie i, czekając na kolegę, przechadzał się brzegiem osypującego się okopu, po czym wszedł do strażnicy i przez puste strzelnice po karabinach maszynowych patrzył na leżący za rzeką las.

Jesień przeciągała wyraźną granicę między drzewami iglastymi i liściastymi. Pierwsze z nich stały jak ciemna, niemal czarna, posępna ściana; drugie tworzyły między nimi ogniste, czerwone plamy, niby zbudowane wśród lasu stare miasteczko ze złożonymi kopułami.

Pod nogami doktora i w koleinach stwardniałej już od przymrozków drogi leśnej, ziemia zasypana była drobnymi, zwiniętymi w rurki liśćmi wierzby. Jesień pachniała tymi gorzkimi, ciemnobrązowymi liśćmi i mnóstwem innych przypraw. Doktor wdychał chciwie ten złożony, korzenny zapach moczo-

nych jabłek, suchych gałęzi, słodkawej wilgoci i wrześniowej mgiełki, przypominającej parę świeżo zalanego wodą ogniska lub pożaru.

Jurij Andrejewicz nie zauważył że z tyłu podszedł doń Lajos.

— Dzień dobry, kolego — powiedział po niemiecku, i obaj przystąpili od razu do bieżących spraw.

— Mamy dziś trzy punkty do omówienia. Sprawę pędzenia samogonu, reorganizację lazaretu i apteki, a wreszcie chciałbym wysunąć jeszcze jeden punkt, mianowicie zagadnienie leczenia ambulatoryjnego chorych umysłowo w wojennych warunkach. Być może nie wydaje się to wam potrzebne, lecz według moich obserwacji, drogi kolego, jesteśmy na drodze do obłądu, obecne zaś formy chorób umysłowych mają charakter zaraźliwy.

— Bardzo interesujące zagadnienie. Wróć do niego za chwilę. Tymczasem chciałbym o czym innym. W obozie panuje wrzenie. Wytwórcy samogonu znajdują sympatyków. Wielu niepokoi się o los rodzin, uciekających ze wsi od białych. Część partyzantów odmawia opuszczenia obozu wobec zbliżenia się grupy uchodźców, w której znajdują się ich żony, dzieci i starcy.

— Tak, trzeba będzie na nich poczekać.

— I wszystko to przed wyborami wspólnego komendanta, któremu mają być podporządkowane także inne, dotąd samodzielne oddziały. Wydaje mi się, że jedynym kandydatem jest towarzysz Liwerij. Grupa młodzieży wysuwa innego kandydata — Wdowiczenkę. Za nim stoją obce nam koła: przyjaciele samogonщиков, synowie kulaków, sklepikarzy oraz dezertery od Kołczaka. Ci są najbardziej hałaśliwi.

— Jaki los czeka według was sanitariuszy, którzy pędzili i sprzedawali samogon?

— Wydaje mi się, że skazą ich na śmierć, ale ułaskawią. Wykonanie wyroku będzie zawieszono.

— Aleśmy się zagadali. Wróćmy do rzeczy. Reorganizacja lazaretu. Chciałbym przede wszystkim omówić ten punkt.

— Dobrze, lecz przedtem chciałbym wam powiedzieć, że wasza propozycja dotycząca profilaktyki psychiatrycznej nie dziwi mnie wcale. Jestem tegoż zdania. Zjawily się i szerzą najtypowsze zaburzenia psychiczne, charakterystyczne dla naszych czasów i wywołane osobliwościami historycznymi epoki. Mamy tu żołnierza z carskiej armii, bardzo nieuświadomionego, z wrodzonym instynktem klasowym, Pamfiła Pałycha. Obłąd jego polega na strachu o swoich bliskich, którzy w razie jego śmierci, mogą wpaść w ręce białych i odpowiadać za jego

winy. Psychologicznie bardzo zawiły wypadek. Jego rodzina, zdaje się znajduje się w jadącym za nami transporcie uchodźców. Niedostateczna znajomość języka nie pozwala mi go dokładnie wypytać. Spytajcie o niego Angelara albo Kamiennodworskiego. Trzeba go będzie zbadać.

— Pałycha doskonale znam. Jak mógłbym go nie znać? Stykaliśmy się w sowiecie armii. Taki czerniawy, okrutny, z niskim czołem. Nie rozumiem, co wy w nim widzicie dobrego? Żądał zawsze najdalej idących środków, surowych represji, egzekucji. Był dla mnie odrażający. No dobrze. Zajmę się nim.

7

Był to jasny, słoneczny dzień. Sucha pogoda trwała już od tygodnia.

Z głębi obozu dochodził niejasny, podobny do szumu morza, rozgwar wielkiego ludzkiego zbiegowiska. Słychać było na przemian kroki chodzących po lesie, głosy ludzkie, stuk siekier, dzwonienie kowadeł, rżenie koni, szczekanie psów i pianie kogutów. Pod drzewami poruszały się grupy ogorzałego, uśmiechającego się białymi zębami ludu. Jedni znali doktora i kłaniali mu się, inni przechodzili w milczeniu.

Jakkolwiek partyzanci nie zgadzali się na opuszczenie Lisiego Otku przed przybyciem śpieszących za nimi na podwodach rodzin, wobec tego że te ostatnie były odległe już tylko o kilka dni drogi, rozpoczęto w lesie przygotowania do zwinięcia obozu i przeniesienia go dalej na wschód. Naprawiano i czyszczono sprzęt, zabijano gwoździami skrzynki, liczone podwody i sprawdzano ich zdatność.

Po środku lasu znajdowała się wiejska wydeptana polana, rodzaj grodziszcza czy kurhanu, nosząca miejscową nazwę „bujwiszcza”. Tam zwykle zwoływano wiece. I na dziś wyznaczono tam ogólne zebranie dla zakomunikowania partyzantom jakiejś ważnej wiadomości.

W lesie było jeszcze wiele niepożółkłych liści. W głębi las wydawał się świeży i zielony. Popołudniowe słońce przeszływało go swymi promieniami. Liście przepuszczały światło i płonęły od spodu zielonym ogniem, przeświecającym jak gdyby przez szkło butelki.

Na otwartym miejscu szef łączności, Kamiennodworski, palił papiery pozostałe po kancelarii pułkowej Kappela i stosy papieru ze swego własnego, partyzanckiego archiwum. Ogień

płonął pod słońce, które przeświecało przez przezroczyste płomienie jak przez liście. Ogień był niewidoczny, i tylko lekko falująca, mieniąca się jak mika kolumna gorącego powietrza zdradzała, że coś rozgrzewa się i płonie.

Tu i ówdzie las pstrzył się drobnymi plamkami różnego rodzaju dojrzałych jagód : ozdobnymi kiśćmi serdecznika, mieduszyń, burymi baldaszkami leśnego bzu i białomalinowymi owocami kaliny. Dzwoniąc szklanymi skrzydełkami płynęły w powietrzu srokaty i przejrzyste jak las i ogień koniki polne.

Jurij Andrejewicz lubił od dzieciństwa las oświetlony wieczorną zorzą. W chwilach takich zdawało mu się, że pasma światła przenikają go na wskroś, że geniusz życia wlewa się potokiem do jego piersi i daje mu skrzydła u ramion. Ten młodzięńczy obraz, który każdy nosi potem w sobie przez całe życie i który wydaje mu się jego wewnętrznym obliczem, jego osobistością, obudził się teraz w doktorze z pierwotną siłą, sprawiając że cała przyroda, las i zorza, przeobrażały się z kolei w tak samo pierwotny i obejmujący wszystko symbol dziewczyny. — Łara — szepnął zamknąwszy oczy, zwracając się tym słowem do swego całego życia, do całego Bożego świata i otwierającej się przed nim oświetlonej słońcem przestrzeni.

Współczesne, codzienne życie biegło jednak dalej. W Rosji trwała Październikowa Rewolucja, on sam zaś był w niewoli u partyzantów. W roztargnieniu doktor zbliżył się do ogniska przy którym krzątał się Kamiennodworskij.

— Niszczycie akty ? Dotąd nie spaliliście ich ?

— Ale gdzież tam ! Starczy tego jeszcze na długo.

Końcem buta doktor przewrócił jeden ze stojących przed nim stosów papieru. Była to korespondencja telegraficzna sztabu białych. Doktorowi przebiegło przez myśl, że może się natknąć w niej na nazwisko Rancewicza. Przeczucie jednak myliło go. Leżały przed nim same zeszłoroczne depesze szefowe, pełne niezrozumiałych skrótów w rodzaju następującej : „Omsk genkwat pierwsza kopia Omsk naczsztabokr 40 wiorst Jenisiejsk nie przyjechał”. Doktor przewrócił nogą inny stos. Rozsypały się protokoły starych zebranych partyzantów. Na wierzchu leżał papierek z napisem : „Bardzo pilne. O urlopach. Ponowne wybory komisji rewizyjnej. Bieżące. Zważywszy, że zarzuty wysunięte przeciw nauczycielce ze wsi Ignatodworce nie zostały dowiedzione, sowieci armii uważa...”.

Kamiennodworskij wyjął tymczasem coś z kieszeni i podał doktorowi :

— Oto dyspozycja dla służby sanitarnej na wypadek opuszczenia obozu. Podwojy z rodzinami partyzantów są już

niedaleko. Sprawy sporne będą dziś załatwione. Obóz zostanie zwinięty lada dzień.

Doktor rzucił okiem na papier i zawołał :

— To jeszcze mniej niż ostatnim razem. A ilu nowych rannych przybyło ! Lekko ranni pójdą pieszo. Jest ich jednak niewielu. A jak przewiozę ciężko rannych ? I lekarstwa i łóżka i urządzenia !

— Będziecie się musieli jakoś ścisnąć. Musimy dostosować się do warunków. A teraz inna sprawa. Ogólna prośba od nas wszystkich. Mamy tu zahartowanego, doświadczonego, pewnego i oddanego sprawie towarzysza i świetnego żołnierza. Dzieje się z nim coś złego.

— Pałych. Lajos mi już mówił.

— Pójdźcie do niego. Zobaczcie co mu jest.

— Coś psychicznego ?

— Tak przypuszczam. Jakieś ogniki, jak mówi, latają dokoła niego. Widocznie halucynacje. Bezsenność. Bóle głowy.

— Dobrze. Pójdę zaraz. Mam właśnie chwilę wolnego czasu. Kiedy zacznie się zebranie ?

— Myślę, że już się zaczęło. Ale po co to wam ? Widzicie, ja też nie poszedłem. Obejdzie się bez nas.

— Idę w takim razie do Pamfiła, chociaż upadam z senności. Liwerij Awerkjewicz lubi nocami filozofować i nie dał mi spać. Gdzie szukać Pamfiła ?

— Młody brzeźniak za kamieniołomem. Wiedzie gdzie to jest ? Młoda brzezina.

— Znajdę.

— Na polance stoją tam namioty komendantów. Jeden oddaliśmy Pamfiłowi ze względu na oczekiwany przyjazd rodziny. Żona i dzieci jadą do niego na podwodach. Jest więc w jednym z komendanckich namiotów. Na prawach dowódcy batalionu za rewolucyjne zasługi.

8

W drodze do Pamfiła doktor poczuł że nie ma sił iść dalej. Ogarnęło go niesamowite znużenie. Nie mógł przewyciężyć senności, jaka nagromadziła się w nim na skutek stałego w ostatnich dniach niedosypiania. Obawiał się jednak wracać do schronu, gdzie Liwerij mógł każdej chwili przyjść i przeszkodzić mu.

Położył się więc w lesie na jednym z mniej zarośniętych miejsc, pokrytym złotymi liśćmi spadłymi z otaczających drzew.

Liście tworzyły na trawie kratki i szachownice, na które kładła się sieć przeświecających przez drzewa promieni słońca. Pstrość tego złotego dywanu nużyła oczy i usypiała jak drobny druk lub monotonne mruczenie.

Doktor wyciągnął się na jedwabście szeleszczących liściach i, podłożywszy pod nią rękę, oparł głowę o poduszkę mchu rosnącego na węzłowatych korzeniach drzewa. Zasnął natychmiast. Pstre plamy słońca pokryły wzorzystym deseniem jego wyciągnięte ciało, robiąc je niewidocznym, jak gdyby włożył czapkę niewidkę.

Wkrótce obudziła go ta sama siła, która kazała mu poszukiwać snu. Proste przyczyny działają tylko we właściwych granicach. Przekroczenie tych granic prowadzi do odwrotnych skutków. Nie znajdując odpoczynku świadomość pracowała w nim gorączkowo. Urywki myśli kręciły się w nim z zawrotną szybkością, niemal stukając jak zepsuta maszyna. Ten zamęt wewnętrzny męczył i gniewał doktora. — Szelma Liwerij — myślał. — Swą niewolą, przyjaźnią i głupią gadatliwością ten człowiek robi ze mnie neurastenika jak gdyby nie było dziś setek innych powodów do pomieszania zmysłów. Zabiję go kiedyś.

Brązowo nakrapiany motyl, niby otwierająca się i składająca szmatka, przyleciał od strony słońca. Sennym spojrzeniem doktor śledził jego lot. Motyl siadł na najpodobniejszy doń barwą przedmiot, na brązowo nakrapianą łuskowatą korę sosny, na której znikł z oczu jak Jurij Andrejewicz pod grającą na nim siecią plam światła i cieni.

Doktor znalazł się znów w znajomym kręgu zagadnień, które poruszał ubocznie w swych pracach lekarskich. Myślał o woli i celowości jako wyniku przystosowania. O zmyśle nasładowniczym i barwach ochronnych. O utrzymywaniu się przy życiu osobników najlepiej przystosowanych i o tym, że dobór naturalny jest, być może, drogą wytwarzania się świadomości. Czym są podmiot i przedmiot? Jak można wyrazić myśl o ich tożsamości? Darwin łączył się w jego myślach z Schellingiem a przelatujący motyl z malarstwem impresjonistycznym. Myślał o tworzeniu, stworach, twórczości i tworzywie.

Zasnął raz jeszcze, lecz po chwili zbudził się znów. Obudziła go prowadzona szeptem, gdzieś bardzo blisko, rozmowa. Z kilku pochwyconych słów Jurij Andrejewicz domyślił się, że umawiano się w tajemnicy o coś zabronionego. Nikt oczywiście nie zauważył go. Gdyby poruszył się i zdradził swą obecność, mógł to przypłacić życiem. Jurij Andrejewicz zataił się, wstrzymał oddech i zaczął się przysłuchiwać.

Głosy częściowo znał. Były to męty, szumowiny, które wkręciły się do partyzantki : Sańka Pafnutkin, Goszka Riabych, Kośka Niechwalonych i pętający się koło nich Tierentij Gałuzin, inicjatorzy wszystkich świństw i psich figli. Był z nimi także Zachar Gorazdych, osobnik jeszcze bardziej podejrzany, zamieszany w sprawę pędzenia samogonu, lecz nie pociągnięty do odpowiedzialności ponieważ wydał głównych winowajców. Doktora zdziwiła obecność wśród nich partyzanta z „srebrnej rotty”, Siwoblują, członka eskorty osobistej komendanta. Zgodnie z tradycją z czasów Razina i Pugaczowa, zaufanego Liwerja nazywano „uchem atamana”. I on więc także brał udział w spisku.

Spiskowcy umawiali się z ludźmi przysłanymi do nich z najbliższych posterunków nieprzyjaciela. Parlamentariusze mówili tak cicho, że nie było ich słychać. Tylko z przerw w szeptach spiskowców Jurij Andrejewicz mógł wnosić, że teraz mówią wysłannicy nieprzyjaciela.

Najwięcej mówił, klnąc szpetnie ochrypłym głosem, pijak Zachar Gorazdych. On też zapewne był inicjatorem spisku.

— Słuchaj teraz jeden z drugim. Główna rzecz — sekret, ani mru-mru. Jeżeli ktoś się zachwieje, doniesie — widzisz ten fiński nóż ? Tym nożem wypuszczę mu kiszki. Zrozumiano ? Położenie nasze takie, że ani tędy ani nazad. Gdzie spojrzeć — zubienica i stryczek. Trzeba zasłużyć na przebaczenie. Trzeba zrobić coś niezwykłego, coś czego świat jeszcze nie widział. Oni chcą go mieć żywego, związanego. Do tych lasów zbliża się ich sotnik Bulewoj. (Tu podpowiedziano mu nazwisko, Gorazdych nie dosłyszał go dobrze i poprawił się : generał Galejew). Taka okazja więcej nie wróci. Oto ich delegaci. Oni wam wszystko powiedzą. Mówią — koniecznie związanego, żywcem. Zapytajcie ich sami. No, mówcie teraz wy. Powiedźcie im coś.

Zaczęli mówić wysłannicy. Jurij Andrejewicz nie słyszał ani słowa, lecz z długiego milczenia pozostałych mógł domyślać się, że obcy wykładali swój plan bardzo szczegółowo. Potem Gorazdych odezwał się znów.

— Słyszeliście, braciszkowicie ? Teraz widzicie co to za ziółko. I za takiego mamy ginąć ? Czy to jest człowiek ? Zgniłek, prostaczek, coś między niedonoskiem a pustelnikiem. Ja ci dam śmiać się Tereszka ! Czego ryczysz, sodomito ? Nie do ciebie mówię. Tak, coś jak terminator u pustelnika. Posłuchaj tylko takiego, a on z ciebie zrobi mnicha i skopca. O czym on mówi ? Wytępiamy wśród nas szpetny język, pijaństwo, stosunek do kobiet. Czy tak można żyć ? Teraz moje ostatnie słowo. Dziś

wieczorem na przeprawie przez rzekę, gdzie kamienie leżą zwabię go między chojaki. Rzucimy się kupą. Trudno takiemu dać rady? Jak raz splunąć. W czym tylko trudność? Oni chcą żywcem, związanego. Jeżeli zobaczą, że nie idzie, sam się rozprawię, zabiję własnymi rękami. Oni przyślą swoich i pomogą.

Gorazdych rozwijał dalej swój plan, ale spiskowcy zaczęli się oddalać i doktor przestał ich słyszeć.

— Na Liwerja zmawiają się, łotry! — Z przerażeniem i oburzeniem myślał Jurij Andrejewicz, zapominając ile razy sam przeklinał swego dręczyciela i życzył mu śmierci. — Łajdaki chcą go wydać białym lub zabić. Jak temu zapobiec? Podejdę, niby przypadkiem, do ogniska i nie wymieniając nikogo zawiadomię Kamiennodworskiego. Albo uprzedzę jakoś Liwerja o niebezpieczeństwie.

Kamiennodworskiego doktor przy ognisku nie zastał. Aby ogień nie rozszerzył się, pilnował go pomocnik szefa łączności.

Zamach jednak nie doszedł do skutku, został uprzedzony. O spisku, jak się okazało, wiedziano. Tegoż dnia wszyscy uczestnicy zostali schwytani. Siwobluj grał tu podwójną rolę wywiadowcy i prowokatora. Doktor poczuł jeszcze większe obrzydzenie.

9

Nadeszła wiadomość, że żony partyzantów z dziećmi znajdują się już tylko o dwa dni drogi od obozu. W Lisim Otoku przygotowywano się do spotkania z rodzinami i do wyruszenia w dalszą drogę. Jurij Andrejewicz poszedł do Pamfila Pałycha.

Zastał go u wejścia do namiotu, z siekierą w ręce. Przed namiotem leżał wysoki stos świeżo zrąbanych młodych brzoź. Pamfil nie zdążył ich jeszcze ociosać. Jedne były zrąbane na miejscu i padając całym ciężarem wbiły się końcami nadłamanych gałęzi w wilgotną ziemię. Inne Pałyć zrąbał w pobliżu i rzucił na poprzeczne. Kołysząc się na giętkich gałęziach, brzozy nie przylegały do ziemi ani jedna do drugiej i zdawały się odpychać Pamfila rękami, zagradzając mu lasem żywej zieleni wejście do namiotu.

To w oczekiwaniu drogich gości — objaśnił Pałyć swoją robotę. — Dla żony i dzieci namiot będzie za niski. I deszcz tu przecieka. Chcę podeprzeć wierzch słupami i narąbałem drzewa na belki.

— Mylisz się bardzo, jeżeli myślisz, że twojej rodzinie pozwolą mieszkać z tobą w namiocie. Kto widział aby cywile, kobiety i dzieci mieszkaly razem z wojskiem? Pewnie zrobią dla nich gdzieś z brzoza osobny obóz. W wolnych chwilach możesz się z nimi widywać, proszę bardzo. Ale żeby do wojkowego namiotu wpuszczono — nie zdaje mi się. Zresztą nie o to chodzi. Mówią, że chudniesz, nie jesz, nie pijesz, że spać nie możesz. Czy to prawda? Na oko wyglądasz dobrze. Tyle tylko, że bardzo zarosłeś.

Pamfil Pałych był krępkim chłopcem z czarnymi zjeżonymi włosami i brodą. Zgrubienie kości czołowej otaczało niby miedzianą obręczą jego skronie, co nadawało mu złowróżbny wygląd człowieka niedobrego, patrzącego zezem, spode łba.

Na początku rewolucji, obawiając się, że podobnie jak w 1905 rewolucja będzie tylko krótkotrwałym epizodem w historii warstw oświeconych i nie ogarnie głębokich mas, lud starano się na wszelkie sposoby spropagować, zrewoltować, wystraszyć, zbałamucić i rozjuszyć.

W pierwszych dniach ludzie podobni do Pamfila Pałycha, którzy bez żadnej agitacji nienawidzili straszną, zwierzęcą nienawiścią inteligentów, panów i oficerów byli nieliczni. Lewicowa inteligencja patrzyła na nich z zachwytem i ceniła ich wysoko. Ich nieludzkość uchodziła za cud świadomości klasowej, ich barbarzyństwo — za wzór proletariackiej krzepy i instynktu rewolucyjnego. Taką sławę zyskał sobie Pałych. Był też jak najlepiej notowany u przywódców partyzantów i prowadzących partii.

W tym ponurym i milczącym osiłku Jurij Andrejewicz skłonny był widzieć niezupełnie normalnego degenerata. Wskazywała na to jego ogólna tępota i ubóstwo zainteresowań.

— Chodźmy do namiotu — zaproponował Pamfil.

— Nie, po co? Ja się tam nawet nie mieszcze. Zostańmy lepiej na powietrzu.

— Dobrze. Niech będzie po twojemu. To jest naprawdę nora. Pogadamy na dłużkach (tak Pamfil nazywał złożone wzdłuż drzewa).

— Obaj usiedli na przęających się pod nimi i kołyszących jak sprężyny brzozach.

— Mówią, że bajka opowiada się prędko, a robota robi powoli. Ale i mojej bajki prędko nie opowiem. Trzech lat za mało. Nie wiem od czego zacząć.

Może tak. Żyliśmy sobie z moją gospodynią. Młodzi. Gospodarowała. Nie skarżyłem się na moje chłopskie życie. Dzieci. Wzięli do wojska. Pognali jako rezerwistę na wojnę. Wojna.

Co o niej mówić? Sam ją widziałeś, towarzyszu doktorze. Potem rewolucja. Przejrzałem. Żołnierze otworzyli oczy. Od obcego Niemca gorszy jest swój. Żołnierze światowej rewolucji, w ziemię bagnety, z frontu do domu, na burżuja! I tak dalej. Ty wszystko to sam znasz, towarzyszu wojskowy doktorze. I tak dalej. Wojna cywilna. Przystaję do partyzantów. Tu dużo opuszczę, bo nie dojdziemy do końca. Krótko mówiąc, co widzę w tej chwili? Szelma pasożyt wycofał z rosyjskiego frontu pierwszy i drugi Stawropolski pułk i pierwszy Orenburski kozacki. Czy jestem dziecko, nie rozumiem? Czy nie służyłem w wojsku? Złe jest z nami, wojskowy doktorze, przepadła sprawa. Do czego on, szelma, zmierza? Całą tę masę chce rzucić na nas. Chce nas wziąć do kociołka.

Żona i dzieci będą teraz ze mną. Jeżeli tamten weźmie górę, dokąd oni mają uciekać? Czy on rozumie, że oni są niewinni, że do niczego się nie miesza? Nie, on na to nie będzie zważał. Za mnie żonie ręce zwiąże, będzie się znęcał. Za mnie żonę i dzieci zamęczy, całe kosteczki w nich nie zostawi. I jak tu chcesz spać i jeść? Gdybyś nawet z żelaza był, wściekniesz się.

— Dziwak z ciebie. Nie rozumiem. Przez tyle lat byłeś bez nich, nic o nich nie wiedziałeś i wcale ci ich nie brakowało. Wreszcie dziś czy jutro zobaczysz ich i zamiast cieszyć się z tego mszę żałobną po nich odprawiasz.

— Dawniej i teraz — to wielka różnica. Gadzina białogwardziejska bierze górę. Nie chodzi tu o mnie. Mnie śmierć sądzona. Taki mój los. Ale moich rodzonych dzieci z sobą na tamten świat nie wezmę. Wpadną pohańcowi w łapy. A on krew będzie z nich po kropelce wypuszczał.

— I stąd te ogniki? Mówią, że widzisz jakieś ogniki.

— Dobrze doktorze. Nie opowiedziałem ci wszystkiego. Najważniejszego nie powiedziałem. Dobrze, posłuchaj teraz prawdy dotkliwej, kołającej. Daruj, że ci to teraz w oczy powiem.

Wielu ja waszych na tamten świat wyprawilem, wiele na mnie pańskiej i oficerskiej krwi, ani liczby ich ani nazwisk nie pamiętam. Spłynęła ze mnie ta krew jak woda. Jeden mi tylko pechowiec nie wychodzi z głowy, stuknąłem go i nie mogę zapomnieć. I za co chłopaka zgubiłem? Rozśmieszył mnie, mało nie pękłem ze śmiechu. I, ot tak, ze śmiechu zastrzeliłem. Za nic.

Było to podczas lutowej rewolucji. Za Kiereńskiego. Zbuntowaliśmy się. Na linii kolejowej. I przysłali nam chłopaka agitatora, żeby nas językiem poderwał do ataku, żebyśmy wojowali aż do zwycięstwa. Przyjechał kadecik uśmierzać nas

językiem. Taki szczuplutki. Miał takie swoje słówko : do zwycięstwa. Wyskoczył z tym słowem na pożarną beczkę, beczka taka stała na stacji. Wyskoczył na tę beczkę, żeby z wysokości wzywać nas do boju, kiedy pokrywa mu się pod nogami odwróciła i chłopak buch do wody. Oj, śmiechu było ! Aż zataczam się. Skonam, myślę, pękne ze śmiechu. A w ręku karabin trzymam i śmieję się. I to wszystko. Jak gdyby mnie polaskotał. Wziąłem go na cel i na miejscu. Sam nie rozumiem jak to się stało. Jak gdyby mi ktoś popchnął rękę.

To są moje ogniki. W nocy majaczy się stacja. Wówczas było śmiesznie, a teraz żal.

— To w Mieluziejewie było ? Na stacji Biruczi ?

— Nie pamiętam.

— Na jakim to było froncie ? Na zachodnim ?

— Coś niby na zachodnim. Może tak. Nie pamiętam.

R o z d z i a ł X I I

JARZĘBINA W CUKRZE

I

Rodziny partyzantów jechały na wozach za wojskiem, z dziećmi i manatkami. Za nimi na samym końcu pędzono olbrzymie stada bydła, przeważnie krów, dochodzące do kilku tysięcy sztuk.

Razem z żonami partyzantów w obozie pojawiła się nowa postać, żołnierska żona Złydarycha albo Kubarycha, bydłęca lekarka, weterynarka, potajemnie zajmująca się także wrózeniem.

Nosiła furażerkę na bakier i szynel khaki strzelców szkockich Jego Królewskiej Mości, pochodzący z angielskich dostaw dla najwyższego rządcy kraju. Twierdziła przy tym, że przerobiła je z więziennego chałata i czapki, i że czerwoni uwolnili ją z centralnego więzienia w Kieźmie, w którym nie wiadomo za co trzymał ją Kołczak.

Partyzanci zatrzymali się na nowym postoju. Przypuszczano, że postój ten będzie trwał niedługo, dopóki nie znajdzie się w okolicy stosowne miejsce na obóz zimowy. Dalszy jednak bieg wypadków skłonił ich do zimowania na tymczasowym postoju.

Nowe obozowisko nie przypominało niczym opuszczonego niedawno Lisiego Otku. Las tu był ciągły, nieprzejrany, prawdziwa tajga. W jedną stronę nie miał wcale końca. W pierwszych dniach, gdy wojsko zajęte było urządzaniem nowego obozu Jurij Andrejewicz miał więcej wolnego czasu. Skorzystał

zeń dla zbadania lasu w różnych kierunkach i przekonał się, że było w nim bardzo łatwo zabłądzić. Podczas tych pierwszych wycieczek dwa miejsca zwróciły jego szczególną uwagę.

U wyjścia z obozu do lasu, który był teraz jesienny, nagi, otwarty na przestrzał, rosła samotna, wysmukła rdzawa jarzębina, jedyne drzewo posiadające jeszcze swe rudawe liście. Rosła na wzniesieniu nad grząskim bagniskiem, pokrytym kępami traw i wznosiła baldaszki swych czerwonych jagód ku ciemnemu, ołowianemu niebu, zapowiadającemu jesienną słotę. Zimowe ptaki z barwnym jak zorza w mroźne dnie upierzeniem, gile i sikorki, siadały na jarzębinie i powoli, wybierając co lepsze, dziobały jagody, po czym podnosząc dzióbki do góry i wyciągając szyje, połykały je z wysiłkiem.

Między drzewem i ptakami wytwarzał się jakiś bliski stosunek, jak gdyby jarzębina opierała się długo i wreszcie, zdjęta litością dla ptaków, ustępowała i dawała im piersi jak mamka dziecku. — Co z wami robić? No, jedzcie mnie, karmcie się. — I uśmiechała się.

Drugie miejsce było jeszcze osobliwsze.

Znajdowało się na wzniesieniu kończącym się stromym zboczem. Zbliżając się można było przypuszczać, że pod urwiskiem znajdzie się coś innego niż nad nim, jakaś rzeka, parów czy odludna, nigdy niekoszona łąka. Na dole jednak rósł dokładnie taki sam las lecz na innym poziomie, w przyprawiającej o zawrót głowy głębinie. Ziemia zapadła się widocznie w tym miejscu.

Wyglądało to tak, jak gdyby ten surowy, wysoki, bohaterski las potknął się, spadł, i miał już runąć w podziemną otchłań, lecz w rozstrzygającej chwili zatrzymał się na ziemi i szumi tam w dole, zdrów i cały.

Wzniesienie to posiadało inną jeszcze, większą osobliwość. Kończące je urwisko składało się z prostopadłych, granitowych skał. Były to płaskie, gładkie płyty, podobne do przedhistorycznych dolmenów. Gdy Jurij Andrejewicz znalazł się po raz pierwszy na tym balkonie, byłby przysięgł, że skały te nie są dziełem przyrody, lecz noszą ślady ręki człowieka. Mogła tu w dawnych wiekach znajdować się jakaś pogańska świątynia, miejsce, w którym odprawiano obrzędy i składano ofiary.

W tym właśnie miejscu, w zimny, pochmurny poranek, wykonano wyrok śmierci na jedenastu głównych uczestnikach spisku i dwóch sanitariuszach winnych pędzenia samogonu.

Przyprowadziło ich dwudziestu najbardziej oddanych rewolucji partyzantów z oddziałem żołnierzy ze specjalnej ochrony sztabu. Konwojenci stanęli półkołem i, z karabinami w rękę,

szybkim krokiem zepchnęli skazanych na występ, z którego prócz skoku w przepaść nie było żadnego wyjścia.

Przesłuchania, długie przebywanie pod strażą i doznane poniżenia pozbawiły ich ludzkiego oblicza. Byli zarośnięci, czarni, wycieńczeni, straszni jak widma.

Rozbrojono ich jeszcze w początku śledztwa i nikomu nie przyszło na myśl obszukiwać ich raz jeszcze przed egzekucją. Zdawało się, że byłoby to zbyt dużą podłością, naigrzawaniem się z ludzi bliskich śmierci.

Nagle idący obok Wdowiczenka przyjaciel jego i również ideowy anarchista, Rżanickij, trzykrotnie strzelił do łańcucha konwojentów, celując w Siwobłuja. Rżanickij był świetnym strzelcem, lecz chybił; ręce drżały mu ze wzruszenia. I tym razem delikatność i uczucie litości dla byłych towarzyszy nie pozwoliły plutonowi egzekucyjnemu rzucić się na Rżanickiego lub odpowiedzieć natychmiastową salwą, nie czekając komendy. Rżanickiemu zostały jeszcze trzy naboje. Zapomniawszy, być może, o nich ze wzruszenia i rozgoryczony chybieniem Rżanickij rzucił swój browning na kamienie. Od uderzenia browning wystrzelił po raz czwarty raniąc w nogę skazanego Paczkolę.

Sanitariusz Paczkola krzyknął, złapał się za nogę i upadł skomląc z bólu. Stojący obok Pafnutkin i Gorazdych podnieśli go, wzięli pod ręce i uprowadzili, aby nie podeptali go własni towarzysze, wszyscy bowiem myśleli już tylko o sobie. Paczkola szedł do kamienistego brzegu przepaści podskakując, kulejąc, nie mogąc stanąć na przestrelonej nodze i krzycząc bez przerwy. Jego nieludzkie krzyki były zaraźliwe. Niby na dany sygnał wszyscy stracili nad sobą panowanie. Posypały się złorzeczenia, błagania, skargi i przekleństwa.

Mały Gałuzin zrzucił z głowy swą czapkę ucznia realnego gimnazjum z żółtymi wypustkami, padł na kolana i pełził w tłumie tyłem w kierunku strasznych kamieni. Co chwila kłaniał się do ziemi konwojentom, płakał głośno i błagał ich nieprzytomnie:

— Przepraszam, bracia, zlitujcie się, więcej nie będę. Nie gubcie mnie. Nie zabijajcie. Nie żyłem jeszcze, za wcześniej mi umierać. Dajcie mi pożyć, mamę choć raz jeden zobaczyć. Darujcie, bracia, zlitujcie się. Nogi wasze będę całował, wodę wam będę woził. Oj nieszczęście, nieszczęście. Zginałem, mamó, mamó.

Ze środka grupy odezwał się inny głos:

— Towarzysze dobrzy, towarzysze mili! Jakże to? Opa-miętajcie się. Na dwóch wojnach razem krew przelewaliśmy. O to samo walczyliśmy, zlitujcie się, puśćcie nas. Nigdy wam

tego nie zapomnimy, zasłużymy, czynami dowiedzimy. Ogłuchiście? Cemu nie odpowiadacie? Bezbożnicy!

Do Siwobluję wołali:

— Ach ty, Judaszu, sprzedawczyku! Jacy my zdrajcy w porównaniu z tobą? Tyś, sobako, potrójny zdrajca, bodajżeś się udławił. Carowi swemu przysięgałeś i zabiłeś swego cara prawowitego. Nam przysięgałeś wierność i wydałeś. Całuj teraz twego diabła Lesnycha, dopókiś go jeszcze nie zdradził. Zdradzisz. Zdradzisz i jego.

Wdowiczenko nawet nad grobem pozostał wierny sobie. Trzymając wysoko głowę z rozwiewającymi się, siwymi włosami, głośno, na cały świat, wołał jak komunard do komunarda do Rżanickiego.

— Nie uniżaj się, Bonifacy! Twego protestu nie usłyszą. Nie rozumieją cię nowi oprycznicy, kaci nowej inkwizycji. Ale nie upadaj na duchu. Historia to wszystko osądzi. Potomność napiętnuje kacyków komisarskiego imperium i ich brudną robotę. Umieramy jako męczennicy przed świtem światowej rewolucji. Niech żyje rewolucja ducha! Niech żyje wszechświatowa anarchia!

Na jakąś cichą komendę, której nikt poza plutonem egzekucyjnym nie słyszał, rozległa się salwa dwudziestu karabinów, kosząc połowę skazanych. Druga salwa skosiła pozostałych. Drgawki wstrząsały najdłużej młodym chłopcem Tierentim Gałuzinem, lecz i on wreszcie zmarł, wyprostowany, nieruchomy.

2

Myśli przeniesienia się na leże zimowe gdzie indziej, dalej na wschód, nie porzucono od razu. Przez długi czas szukano odpowiedniego miejsca po drugiej stronie traktu, wzdłuż działu wodnego między Wytką i Kieżmą. Liwerij jeździł często w głąb tajgi zostawiając doktora samego.

Pora była spóźniona, i przenosić się zresztą nie było do kąd. Dla partyzantów nadszedł okres największych niepowodzeń. Przed swą ostateczną katastrofą biali postanowili raz na zawsze skończyć z leśnymi, nieregularnymi oddziałami i, ściągnawszy rezerwy z wszystkich frontów, otoczyli je. Na partyzantów naciskano ze wszystkich stron. Zguba ich byłaby nieunikniona, gdyby promień okrążenia był krótszy. Zbawieniem ich była szerokość ruchu oskrzydającego. U progu zimy, poprzez bezdroża tajgi, nieprzyjacieli nie był w stanie skrócić swych linii i otoczyć chłopskich oddziałów ciasnym pierścieniem.

Partyzanci byli skrępowani w swych ruchach. Gdyby istniał jakiś plan zapewniający oczywiste korzyści wojskowe, mogliby przebić się przez linię okrążenia na jakąś nową pozycję.

Planu takiego wszakże nie mieli. Gonili resztkami sił. Dowódcy młodszy, lub upadli na duchu, utracili wpływ na podkomendnych. Starsi zbierali się co wieczór na naradę proponując sprzeczne decyzje.

Trzeba więc było wyrzec się myśli o innych leżach zimowych i ufortyfikować obecny obóz w głębi tajgi. Lasy te, przy głębokim śniegu, stanowiły nieprzewidywalną przeszkodę dla przeciwnika źle zaopatrzonego w narty. Trzeba się było okopać i zgromadzić wielkie zapasy żywności. Bisiurin, intendent partyzantów, donosił o wielkim braku mąki i kartofli. Bydła natomiast było wiele i Bisiurin przewidywał, że zimą głównym pożywieniem będzie mięso i mleko.

Brakło zimowej odzieży. Część partyzantów chodziła na pół nago. W obozie wybito wszystkie psy. Znający się na kuśnierstwie szyli z psiej skóry futra z sierścią na zewnątrz.

Doktorowi odmawiano środków transportowych. Wozy służyły innemu, ważniejszemu celom. Podczas ostatniego przemarszu ciężko chorych niesiono czterdzieści wiorst na noszach.

W aptece pozostała tylko chinina, jod i sól glauberska. Jod niezbędny do operacji i opatrunków był w kryształach, które trzeba było rozpuszczać w spirytusie. Zaczęto żałować że zrujnowano fabrykację samogonu. Zwrócono się wreszcie do najmniej skompromitowanych, w swoim czasie uniewinnionych gorzelników, z poleceniem naprawienia połamanych lub zmajstrowania nowych alembików. Zakazaną fabrykację samogonu podjęto na nowo w celach lekarskich. W obozie kiwano głowami i zamieniano porozumiewawcze spojrzenia. Znowu pojawiło się pijaństwo, sprzyjające ogólnemu rozprężeniu.

Destylację doprowadzono prawie do stu stopni. Preparaty krystaliczne rozpuszczały się dobrze w tak stężonym alkoholu. Z tegoż samogonu Jurij Andrejewicz robił nalewkę na korze chinowej, którą w początku zimy leczył chorych na tyfus plamisty, gdy choroba ta pojawiła się znowu z nastaniem chłodów.

W tym czasie doktor widział Pamfila Pałycha z rodziną. Jego żona i dzieci spędziły całe lato pod gołym niebem, uciekając po zakurzonych drogach. Byli wystraszeni przeżytymi

okropnościami i przygotowywali się do nowych. Tułaczka pozostawiła na nich niezatarte ślady. Żona Pamfiła, jego syn i dwie córki miały jasne, wypłowiałe od słońca, lniane włosy i białe brwi na ciemnych, szerniałych od wiatru twarzach. Dzieci były zbyt małe, aby nosić widoczne ślady przebytych cierpień, lecz z twarzy ich matki przygody i niebezpieczeństwa starły wszelkie ślady życia, pozostawiając tylko suchą regularność rysów, zaciśnięte, wąskie jak nitka usta i czujną nieruchomość cierpienia, gotowego do samoobrony.

Pamfił kochał ich wszystkich, zwłaszcza dzieci, do szaleństwa i ze zřecznością, która zdumiewała doktora, wycinał im z drzewa swą wyostrzoną siekierą zabawki, zajające, niedźwiedzie, koguty.

Po przyjeździe rodziny Pamfił nabrał otuchy, stał się wesoły i zaczął się poprawiać. Wkrótce jednak zaczęto mówić o tym, że wobec złego wpływu, jaki obecność rodzin wywierała w obozie na nastroje, partyzanci zostaną oddzieleni od swych bliskich, dla których pod stosowną ochroną urządzony zostanie obóz zimowy gdzieś dalej. Było w tym więcej gadania niż rzeczywistych przygotowań. Doktor nie wierzył w wykonanie tych projektów. Pamfił jednak zrobił się chmurny i zaczął znów widzieć swoje „ogniki”.

4

W początku zimy obóz przeżył długi okres niepokoju i niepewności, sytuacji groźnych, niejasnych, dziwnych i nedorzecznych. Złożyły się na to różne przyczyny.

Biali wykonali swój plan otoczenia powstańców. Na czele tych operacji stali generałowie Wicyn, Kwadri i Basałygo. Generałowie ci znani byli ze swej bezwzględności i stanowczości. Same nazwiska ich rzucały postrach na żony powstańców w obozie i na spokojną ludność, która nie opuściła dotąd wsi, znajdujących się poza linią okrążenia.

Jak już o tym była mowa, nie widać było wcale, w jaki sposób nieprzyjaciel miał zwęzić krąg osaczenia. Partyzanci mogli być o to spokojni. Nie mogli jednak pozostawać bierni. Uleganie okolicznościom wzmacniało pozycję moralną przeciwnika. Z pułapki, chociażby nawet mało niebezpiecznej, trzeba było starać się wydostać, aby dać dowód siły i inicjatywy.

W tym celu wydzielono spośród partyzantów znaczne siły i skupiono je na zachodnim odcinku linii okrążenia. Po kilku-

dniowych zażartych walkach partyzanci odnieśli zwycięstwo, przerwali front przeciwnika i weszli na jego tyły.

Droga do powstańców została otwarta. W powstałą w ten sposób lukę zaczęły płynąć nowe tłumy uchodźców. Tym razem nie byli to wyłącznie krewni partyzantów. Przerażona represjami białych, spokojna ludność okolicznych wsi zaczęła porzucać spalone domostwa i szukać ratunku w lesie u chłopskiego wojska.

W obozie istniała tendencja pozbycia się obecnych już tam darmozjadów. Tym mniej partyzanci skłonni byli do przyjmowania nowych lub obcych uchodźców. Wyjeżdżano naprzeciw nich, zatrzymywano i kierowano do młyna na Czilimskiej porębie nad rzeką Czilimką. Na wykarczowanych niedawno gruntach dokoła młyna powstała tam osada zwana Dwory. W osadzie tej zamierzano stworzyć obóz zimowy dla uchodźców i skład wydzielonej dla nich żywności. Gdy w obozie zajmowano się tymi projektami, wypadki biegły nieprzerwanie swoim torem i dowództwo nie mogło za nimi nadążyć.

Zwycięstwo odniesione przez partyzantów wydało nieprzewidziane skutki. Biali przepuścili w głąb kraju grupę partyzantów, która ich rozbiła i zamknęła za nimi linię frontu odcinając odwrót do tajgi.

Z uciekającymi kobietami działy się dziwne rzeczy. W gęstym lesie łatwo było rozminąć się. Wysyłani naprzeciw nich ludzie nie trafiali na ich ślad i wracali z niczym, kobiety zaś z żywiołową siłą posuwały się w głąb tajgi dokonując cudów wytrwałości i pomysłowości: wyrąbywały drzewa, przeprowadzały drogi, budowały mosty i groble.

Wszystko to było sprzeczne z zamiarami leśnego sztabu i obracało w niwecz plany Liwerja.

5

Z tych przyczyn Liwerij niecierpliwił się bardzo słuchając Swirida, z którym stał koło traktu, przechodzącego w tym miejscu na krótkiej przestrzeni przez tajgę. Na drodze stali dowódcy oddziałów i sprzecali się o to czy należy przeciąć idące wzdłuż traktu druty telegraficzne. Decyzja należała do Liwerja, który zagadał się ze starym myśliwym, dając im ręką znaki, że zaraz się do nich przyłączy i że powinni nań zaczekać.

Przez długi czas Swirid nie mógł się pogodzić z rozstrzeleniem Wdowiczenki, który zawinił tylko tym, że pod względem

wpływów rywalizował z Liwerjem, co powiększało w obozie niesnaski wewnętrzne. Swirid chciał porzucić partyzantów i wrócić do dawnego, samotnego i niezależnego życia. Było jednak na to za późno. W razie odejścia od leśnych braci czekał go los rozstrzelanych.

Pogoda należała do najgorszych jakie sobie można wyobrazić. Gwałtowny wiatr unosił nisko nad ziemią czarne jak kopeć, poszarpane chmury. Nagle zaczynał z nich padać śnieg z pośpiechem jakiegoś białego szaleństwa. W ciągu jednej minuty ziemia pokrywała się białym całunem, dalsze przedmioty znikwały za białą zasłoną. W chwilę potem biały całun, jak gdyby ogarnięty ogniem, kurczył się i zmieniał w popiół. Ukazywała się znów czarna jak węgiel ziemia i czarne niebo wylewające na nią skośne strugi ulewy. Ziemia nie chłonęła już wody. Gdy przejaśniało się, obłoki rozstępowały się, jak gdyby dla przewietrzenia nieba otwarto w górze okna na zimną, szklaną, białawą przestrzeń. Przesycona wodą ziemia odpowiadała niebu otwierając szeroko okna jezior i kałuż, pełne takich samych białawych przebłysków.

Niepogoda wiła się jak dym wśród żywicznych kitek drzew iglastych, odpychających wodę jak cerata. Druty telegraficzne unizane były kroplami deszczu, wiszącymi jedna przy drugiej, nie odrywając się.

Swirid wysyłany był na spotkanie uchodźców w głąb tajgi i chciał opowiedzieć dowódcy o tym co widział. O zamęcie powodowanym przez sprzeczne i niewykonalne rozkazy. O aktach rozpaczki kobiet, które utraciły nadzieję na ocalenie. Wlokące się piechotą, z workami i niemowlętami, młode matki nie mające więcej mleka, upadające ze znużenia i oszalałe z rozpaczki, zostawiały dzieci na drodze, wytrząsały na ziemię mąkę i zwracały z drogi. Lepsza prędka śmierć niż męki głodu. Lepiej wpaść w ręce wroga niż w paszczę dzikich zwierząt.

Inne, silniejsze, dawały przykłady męstwa i wytrzymałości, mogące zawstydić mężczyzn. Swirid miał jeszcze wiele do opowiedzenia. Chciał uprzedzić komendanta o wiszącym nad obozem niebezpieczeństwie nowego buntu, groźniejszego niż poprzedni, nie znajdował jednak słów, bo niecierpliwość przerywającego mu wciąż Liwerja pozbawiała go daru wymowy. Liwerij zaś przerywał mu nie tylko dlatego, że jego podkomendni czekali na niego na trakcie i wzywali go znakami, lecz także dlatego, że od dwóch tygodni wciąż zwracano się doń w tych sprawach i wszystko to było mu znane.

— Nie popędzaj mnie tak, towarzyszu naczelniku. I bez tego kiepski ze mnie orator. Słowo utknie mi w gardle, jeszcze

się nim udławię. Co ja ci mówię? Idź do bieżeńskiego obozu i przemów do rozumu tych Sybiraczek. Tam sądny dzień. Bo pytam cię, co u nas jest, czy „wszyscy na Kołczaka” czy też babia wojna.

— Streszczaj się Swirid. Widzisz — wołają mnie. Nie rozprzestrzeniaj się.

— Teraz jeszcze ta diabelska Złydarycha. Pies ją wie co to za baba. Mówiła: zapiszcie mnie do bydła na wytryniarkę.

— Weterynarzę, Swirid.

— A ja co mówię? Mówię wytryniarką chcę być, zarazę bydłą leczyć. Ale gdzie jej do bydła! Ona jest matka bezpopowka, starowierka, krowie msze odprawia i kobiety na złą drogę sprowadza. Sameście winne mówi im. Ot do czego prowadzi za czerwonym sztandarem pędzić zadarłszy spódnicę. Na drugi raz będziecie wiedziały.

— Nie rozumiem, o kim ty mówisz? Czy o naszych, partyzańskich kobietach, czy o jakichś innych?

— Wiadomo, o innych. O nowych, z obcych wsi.

— Był przecież rozkaz, że mają iść do osiedla Dwory, przy Czilimskim młynie. Skąd one się u nas wzięły?

— Eh, co tam Dwory! Z twoich Dworów tylko jedno zgliszcza zostały. I młyn i wszystko co na porębie stało spaliło się na węgiel. Przyszły one nad Czilimkę i widzą tam gołą pustynię. Połowa straciła rozum, zaczęła wyć i chodu do białych. Inne zawróciły hołoble i przyjechały do nas do obozu.

— Przez głuchą puszcę, przez topiele?

— A siekiery i piły na co? Posłali naszych chłopów dla ochrony i ci pomogli im. Trzydzieści wiorst, mówią, drogi przerąbały. I mosty, bestie, wybudowały. I mówią, że to baby, a takie rzeczy potrafią.

— Dobry sobie! I czego ty się cieszysz, stary koniu! Trzydzieści wiorst drogi! Dla Wicy i Kwadri w sam raz. Mają otwartą drogę do tajgi. Nawet dla artylerii.

— Oddział zaporowy wystaw i koniec.

— Da Bóg, domysle się tego i bez ciebie.

Dnie były coraz krótsze. O piątej zapadała noc. Przed zmierzchem Jurij Andrejewicz przekroczył trakt w tym miejscu, gdzie na krótko przedtem Liwerij sprzeczał się z Swiridem. Szedł w kierunku obozu. Obok pagórka z jarzębiną, którą uwa-

żano za słup graniczny obozu, posłyszał czupurny, wyzywający głos Kubarychy, swej konkurentki, jak żartem nazywał zna-chorkę. Rywalka jego z krzykiem i piskiem wyśpiewywała coś wesołego, rozpasanego, zapewne jakieś czastuszki. Słuchano jej uważnie, przerywając śpiew wybuchami aprobującego śmiechu. Słychać było głosy męskie i kobiece. Potem wszystko umilkło. Zebrani widocznie rozeszli się.

Wówczas Kubarycha zaśpiewała inaczej, dla siebie, półgłosem, myśląc, że nikt jej nie słyszy. W obawie wypadnięcia w błoto Jurij Andrejewicz szedł po omacku ścieżką okrążającą grząską polanę pod jarzębiną. W pewnej chwili stanął jak wryty. Kubarycha śpiewała jakąś starą rosyjską pieśń. Jurij Andrejewicz jej nie znał. Czyżby była to jej improwizacja?

Rosyjska pieśń jest jak woda w stawie. Na pozór stoi, nie porusza się, lecz spodem ucieka wciąż przez śluzy. Spokój jej powierzchni myli patrzącego.

Na wszystkie sposoby, przez powtórzenia i równoległe ustawianie obok siebie obrazu życia przyrody i człowieka, pieśń wstrzymuje bieg rozwijającego się stopniowo opowiadania. I nagle, w jakimś miejscu odsłania całą swą treść i zdumiewa nas. Jej melancholijny żywioł jest w swym wyrazie powściągliwy, opanowany. Jest w tym szalona próba zatrzymania słowami biegu czasu.

Kubarycha na wpół śpiewała, na wpół mówiła :

*A jak pobiegł zajączek poprzez jasny świat,
poprzez jasny świat, poprzez biały śnieg.
Pobiegł kusy pod to drzewo jarzębowe,
jarzębinie skarżył się i płakał.
Szarak ci ja jestem z sercem drżącym,
z sercem drżącym, na wszystko lęklwym.
Zwierzęcego tropu trwożę się,
wilczej paszczy nienasytnej boję się.
Ty nade mną, jarzębino, się ulituj,
urodziwy krzaku jarzębowy!
Sweje urody wrogowi nie oddawaj,
złośliwemu wrogowi-krukowi.
Ty jagody swe na wietrze porozsypuj,
garścią rozsyp na wiatr i na śnieg i na świat.
Zarzuć, zarzuć je do rodzinnych stron,
do tej chaty, na skraju stojącej,
w tamto okno, w tamtą komnatę,
gdzie ukrywa się, gdzie zamyka się
moja miła, sercem pożądana.*

*I na uszko szepnij mej podróże
słowo tęskne, słowo gorące.
Oto dręcę się, żołnierz w niewoli,
w obcym kraju ciężko się zadrezczam.
A i wyrwę się z tej gorzkiej niewoli
do jagódki mojej urodziwej.*

7

Kubarycha zamawiała chorą krowę Pałychy, żony Pamfila, Agafji Fotiewny, vulgo Fatjewny. Krowę przypędzono ze stada do zagajnika i przywiązano za rogi do drzewa. U przednich nóg siadła na pieńku Pałycha, u tylnych, na stolku do dojenia, znachorka.

Reszta stada tłoczyła się na niewielkiej polanie. Ciemny bór obstał je ścianą wysokich jak góry, trójkątnych jodeł, siedzących jak gdyby na szerokich zadach dolnych gałęzi.

Na Syberii hodowano wyłącznie krowy jakiejś premiowanej rasy szwajcarskiej, wszystkie więc były jednej maści, czarno-białe. Niemniej niż ludzie, krowy były zmordowane brakiem paszy, długimi przemarszami i nieznośnym brakiem miejsca. Stłoczone jedna przy drugiej, krowy szalały z ścisku. W zamroczeniu zapominały o swojej płci i rycząc wspinały się jak byki jedna na drugą, w czym przeszkadzały im ciężkie, obwisłe wymiona. Pokrywane przez nie jałówki wyrwały się spod nich i zadarłszy ogony pędziły w zarośla, depcząc krzewy i odłamując suche sęki. Z krzykiem biegli za nimi pasterze z pastuszkami.

Na niebie, w niewielkim kole otoczonym szczytami jodeł, tak samo burzliwie tłoczyły się, wspinały na siebie i kłębiły nad polaną czarno-białe, niosące śnieg obłoki.

Stojący opodal ciekawi przeszkadzali znachorce, która mierzyła ich od stóp do głów niezyczliwym spojrzeniem. Przyznać się, że obecność ich ją krępuje byłoby jednak poniżej jej godności. Nie pozwalała jej na to ambicja artystki. Udawała więc, że ich nie widzi. Doktor obserwował ją niewidzialny, z ostatnich szeregów.

Po raz pierwszy mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Kubarycha nosiła wciąż swą angielską pilotkę i niedbale rozpięty interwencyjny szynel. Zresztą głucha pasja, malująca się w jej dumnych rysach, czarnych brwiach i oczach, mówiła wyraźnie, że jest jej wszystko jedno, co na sobie ma, a czego nie ma.

Żona Pamfiła zdumiała Jurja Andrejewicza swym wyglądem. Nie od razu ją poznał. W ciągu kilku dni bardzo postarzała. Oczy jej zdawały się wychodzić z orbit. Na wychudzonej szyi biła wzdęta arteria. Oto co zrobiły z niej tajne obawy.

— Nie doi się, moja miła — mówiła Agafja. Myślałam — jest między jednym mlekiem a drugim, ale to nie to. Dawno już powinna mieć mleko, a nie ma.

— To nie to co ty myślisz. Patrz jaką ma na dójce bolączkę, antraks. Dam ci trawkę. Ze smalcem zmieszana i będziesz smarowała. I, rozumie się, zamówię chorobę.

— Drugie nieszczęście — mąż.

— Rzucę urok, żeby się nie włóczył. To można zrobić. Będzie się do ciebie lepił, że nie oderwiesz go. Mów jaka trzecia bieda.

— Nie włóczy się on. Gdybyż się włóczył. Na odwrót, przyrósł do mnie i do dzieci i przez to się męczy. Wiem co myśli. Myśli — rozdzieli obozy, pošłą nas w różne strony. Wpadniemy w ręce Basatygi, a jego przy nas nie będzie. Nie będzie nas komu bronić. Męczyć nas będą i naszą męką się cieszyć. Znam jego myśli. Oby sobie czegoś nie zrobił.

— Pomyślimy. Odejmiemy smutek. Mów jaka trzecia bieda.

— Żadnej trzeciej nie ma. Tylko te dwie, krowa i mąż.

— Nie masz ich wiele, matuszka. Bóg czuwa nad tobą. Takiej drugiej w biały dzień ze światłem szukać. Dwa tylko smutki ma, a i z tych jeden — kochający mąż. Co dasz za krowę? Zaczniemy zamawiać.

— A ty czego żądasz?

— Bochenek pytlowego chleba i twego męża.

Dokoła wszyscy roześmiali się.

— Żartujesz, czy co?

— Jeżeli za drogo to spuszczę z ceny. Bochenka nie trzeba, na samym mężu poprzestaniemy.

Śmiech wybuchł jeszcze głośniej.

— Jak się nazywa? Nie mąż, ale krowa.

— Krasawa.

— Tu prawie pół stada — same krasawe. No, dobrze. W imię Boże.

Kubarycha zaczęła zamawiać krowę. Zrazu słowa jej odnosiły się istotnie do zwierzęcia, potem jednak zapaliła się i wygłosiła do Agafji całe pouczenie o czarach i ich zastosowaniach. Jurij Andrejewicz, jak urzeczony, słuchał tych dziwnych meandrów słów, jak niegdyś, po przyjeździe z Rosji europejskiej na Syberię, słuchał barwnego gadania Wakcha.

Kubarycha mówiła :

„Ciotka Morgosja, przyńdź do nas w goście. Wedle wtorku libo w środę, zdyjm chorobę-szkodę. Zyjdz szkodne wszystko z krowinego cycka. Stój spokojnie, Krasawka, bo przewróci się lawka. Stój mocno, jak góra, ze mną nic nie wskórasz. Żeby mleko płynęło rzeką. Szkodziła, straszyla, strup obrzydliwy, strup się, łuszcz się, zrzuć strup w pokrzywy. Mocne, jak carskie, słowo znachorskie.

Wszystko znać musowo, Agafjuszka, zakazy, nakazy, słowo, które goni, słowo, które broni. Ty ot, patrzysz i myślisz — las. A to moc diabelska z wojskiem janiółów się zwarła, rąbią jedni drugich, niczem wasi i basałyzskie żołnierstwo.

Na ten przykład, bacz, co ci pokażę. Nie tam, miła, patrzysz, gdzie trzeba. Ty ślepiami patrz, nie potylicą, patrz, gdzie paluchem tykam. O to, o to. Ty myślisz, co to jest? Myślisz, na brzozie wiatr gałąź z gałęzią splątał-poplątał? Myślisz, ptak gniazdo wić zamiarował? Ano, tak, a nie tak. To ci najprawdziwszy, jaki jest, czartowski pomyślunek. Rusałka swojej córce wianuszek plotła. Słyszysz, ludzie obok idą — rzuciła. W nocy dokończy, uplecie, sama zobaczysz.

Abo znowu ta wasza chorongiew czerwona. Ty co sobie myślisz? Że to chorongiew? Ano, i nie chorongiew, ino dziewczki, morowej zarazy, szkodna chustka malinowa, szkodna — pedam — a czemu szkodna? Żeby na młodych parobków nią machać, oczkiem podmrugiwać, młodych parobków na ubój zwabiać, na śmierć, czarny mór zsylać. A wyśta uwierzyły — chorongiew woła: schodźta się ze wszystkich krain proletarska biedota i hołota.

Wszystko, matko Agafjo, trza poznać, wszystko, wszystko, no, wszystko, co ino jest. Jaki ptak, jaki kamień, jaka trawa. Na ten przykład, ten ptak to będzie stratny szpak. A ten zwierz to będzie borsuk.

A tera na ten przykład zamiarujesz z kim polubić się. — ino mów. Ja ci, kogo zechcesz, przywrózę. Życzysz tego, nad wami naczelnego, Leśnego waszego, życzysz Kołczaka, życzysz Janka królewicza. Myślisz, przechwalam się, łzę? A właśnie, że nie łzę. No, dobrze, patrz, słuchaj. Przyńdzie zima, zacznie zawieja na polu wichry podnosić, śnieżnymi słupami kręcić. A ja ci w śniegowy słup, w śniegowy wir nożem pyrnę, wpędzę nóż w śnieg po rękojeść i cały czerwoniutki od krwi ze śniegu wyjmę. Co? — widziałś? Acha? A myślałaś — łzę. A skąd to, powiedz, z zawieruchy wichrowej krew? Wicher to przecie. powietrze, śniegowy pył. A ot w tem to, kumo i rzecz, że nie

wichr i nie burza, ino wiedźma-rozwódka dzieciąteczko swoje wiedźmowate zgubiła, na polu szuka, płacze, znaleźć nie może. I ja w nią nożem utrafię. Od tego krew. I ja tobie tym nożem jaki życzysz ślad wyjmę, wytnę i jedwabiem do podółka przyszyję. I życzysz Kołczak, życzysz Strelnikow, życzysz jakibądź nowy car po piętach będzie ci deptać, gdzie ty, tam i on. A tyś myślała — łzę, myślałaś — złaż się do mnie ze wszystkich krain proletarska biedota i swołota.

Albo li znowu, na ten przykład, kamienie tera z nieba spadają, lecą jako ten dyszcz. Wyńdzie człek z domu za próg, a na niego kamienie. A takōż widziano, jako jeźdźcy konno górą nieba jechali, konie kopytami o dachy zahaczały. Albo li jacy wróże w starodawnych czasach wykrywali: ta oto niewiasta nosi w sobie ziarno, albo li miód, albo li futro kuny. A pancerni jeim ramię otwierali, jako skrzynię się otwiera, i wyjmowali mieczem spod łopatki, u której pszenicy miarę, u której wiewiórkę, u której pszczelą barć...”.

Wielkie i silne uczucia, jakie zdarzają się czasami na tym świecie, mają zawsze pewną domieszkę żałości. Przedmiot naszego ubóstwienia wydaje nam się coraz bardziej ofiarą, im więcej go kochamy. U pewnych ludzi litość dla kobiety przechodzi wszelkie granice. W swej wrażliwej wyobraźni stawiają ją w najnieprawdopodobniejsze sytuacje, i zazdrość ich obejmuje powietrze, którym oddycha, prawa natury i tysiąclecia, które minęły przed jej urodzeniem.

Jurij Andrejewicz był dość wykształcony, aby powziąć podejrzenie, że ostatnie słowa wróżki były skażonym przez całe nawarstwienie przeinaczeń wstępem do jakiejś kroniki Nowgorodzkiej czy Ipatjewskiej. Teksty te kaleczyli przez całe stulecia znachorzy i bazarze, przekazując je ustnie z pokolenia w pokolenie. Przedtem już zniekształcili je kopiści.

Co porywało go w tym starym podaniu, narzucającym się jego wyobraźni z tak tyraniczną siłą, że do na pół zrozumiałych bredni i niedorzecznych baśni odnosił się niemal jak do faktów rzeczywistych?

Łarze otwarto lewe ramię. Jeden obrót miecza otworzył łopatkę, jak klucz otwiera wprawioną w szafę sekretną, żelazną skrytkę. W głębi ukazały się ukryte w jej duszy tajemnice. Obce miasta, ulice, domy, przestrzenie potoczyły się jak wypadające na zewnątrz i rozwijające się zwitki taśm.

O, jak on ją kochał! Jak była piękna! Była dokładnie tym, o czym zawsze myślał i marzył, do czego dążył. Lecz co stanowiło jej piękność? Czy coś, co można było nazwać

i oddzielić od reszty ? Nie, nie ! Urok jej leżał w bezprzykładnie prostej i szybkiej linii, jaką Stwórca jednym pociągnięciem otoczył ją od stóp do głów, powierzając ją jego duszy, zamkniętą w tej boskiej formie, jak dziecko owinięte prześcieradłem po kąpieli.

Lecz co się z nim dzieje w tej chwili ? Las, Syberia, partyzanci. Ci ostatni są otoczeni, musi dzielić ich los. Co za niedorzeczność, co za bzdura ! Znów zaczęło mu się mącić w głowie i oczach. Zamiast śniegu zaczął właśnie padać deszcz. Jak wielki płócienny plakat, wiszący od domu do domu nad ulicą, nad leśną polaną ukazała mu się stokrotnie powiększona zjawą pewnej uwielbianej głowy. I wzmagający się deszcz zraszał i całował tę płaczącą głowę.

— Idź już — powiedziała Agafji znachorka. — Odczytałam czary i twoja krowa wyzdrowieje. Módl się do Matki Boskiej, bo to jest przybytek światła i księga słowa żywego.

8

Walki toczyły się na zachodniej granicy lasu. Tajga była jednak tak rozległa, że wszystko to rozgrywało się niby na dalekich kresach państw. W zgubionym w niej obozie była taka siła ludu, że ilu by ludzie nie szło do boju, jeszcze więcej ich zostawało na miejscu. Obóz nigdy się nie wyludniał.

Odgłosy dalekich walk nie dochodziły prawie wcale do obozu. Nagle w lesie, zupełnie blisko, rozległo się kilka strzałów, jeden za drugim, które przeszły w bezładną strzelaninę. Zaskoczeni nią zaczęli biegać w różnych kierunkach. Partyzanci z oddziałów pomocniczych rzucili się do swych wozów. Zaczął się popłoch. Każdy przygotowywał się do walki.

Wkrótce jednak wszystko się uspokoiło. Alarm był fałszywy. Ludzie zaczęli iść w kierunku skąd słychać było poprzednio strzały. Zebrał się tam cały tłum, do którego przyłączało się coraz więcej ludzi.

Tłum otaczał leżący na ziemi okrwawiony ludzki kadłub. Okaleczony jeszcze oddychał. Miał odrąbaną prawą rękę i lewą nogę. Nie można było pojąć, jak na pozostałej mu nodze i ręce mógł doczołgać się do obozu. Odrąbaną rękę i nogę — straszne, krwawe kawały mięsa — miał przywiązane do pleców razem z deszczułką, na której wśród bezecnych wyzwisk, było napisane, że jest to odplata za okrucieństwa takiego to a takiego czerwonego oddziału, nie mającego z leśnym bractwem nic

wspólnego. Prócz tego napis mówił, że taki sam los czeka wszystkich partyzantów, którzy w wyznaczonym terminie nie złożą broni przedstawicielom korpusu generała Wicyna.

Ociekając krwią, przerywanym, słabym głosem, tracąc co chwila przytomność, nieszczęśliwy opowiadał o mękach i torturach zadawanych mu przez wojskowo-śledcze i karne oddziały, operujące na tyłach korpusu generała Wicyna. Powieszenie, na które był skazany, zamieniono mu w drodze łaski na obcięcie ręki i nogi, aby w tym stanie podrzucić go w obozie dla odstraszania partyzantów. Do pierwszej linii wart obozowych niesiono go na rękach, potem położono na ziemi i kazano czołgać się dalej samemu, popędzając go z tyłu wystrzałami w powietrze.

Nieszczęsny zaledwie poruszał ustami. Aby zrozumieć jego niewyraźny szept, pochylano się nad nim nisko.

— Strzeżcie się bracia. On przerwał wasz front.

— Posłali rezerwy. Tam wielka draka. Zatrzymamy.

— Przerwał. Przerwał. On chce niespodzianie. Ja wiem. Oj, nie mogę, bracia. Krew ze mnie ucieka. Widzicie, krwią pluje. Zaraz umrę.

— Ty sobie poleż, odpocznij. Nic nie mów. Nie dawajcie mu mówić, Herody. Widzicie, że to mu szkodzi.

— Żywego miejsca na mnie nie zostawił, krwio pijca, sobaka. Krwią własną będziesz się u mnie mył, powiada. Mów, co ty za jeden. A jak ja jemu to powiem, bracia, kiedy sam jestem dezterem. Od niego do was przeszedłem.

— Ty mówisz — on. A kto ciebie tak urządził ?

— Oj, bracia, wnętrzności palą. Dajcie odetchnąć trochę. Zaraz powiem. Ataman Bekieszyn. Streese pułkownik. Od Wicyna. Wy tu w lesie nic nie wiecie. W mieście jeden jęk. Z żywych ludzi żelazo wytapiają, wycinają rzemienie, chwytają za kołnierz i rzucają w ciemności. Obmacasz dokoła — niby klatka, wagon. A w klatce czterdziestu i więcej siedzi, w samych gaciach. Co chwila otwierają klatkę i z łapami leżą. Pierwszego z brzegu ciągną. Niby kury pod nóż. Jak Boga kocham. Jednych wieszają, drugich batożą, trzecich na przesłuchanie. Na strzępy zbijają, rany solą posypują, ukropem zalewają. Jak ktoś zwymiotuje albo pod siebie robi, każą jeść. A z dziećmi, z kobietami, o Boże !

Nieszczęśliwy konał. Nie dokończył zdania, krzyknął i wyzionął ducha. Wszyscy zrozumieli to, zdjęli czapki, przeżegnali się.

Wieczorem inna, jeszcze straszniejsza nowina obiegła obóz.

Pamfił Pałych był w tłumie otaczającym umierającego. Widział go, słyszał jego opowiadanie, przeczytał pełen pogroźek napis na deszczulce.

Stały strach o los rodziny w razie jego śmierci ogarnął go z niesłychaną siłą. W wyobraźni widział już swoich wydanych na tortury, widział ich zmienione od męki twarze, słyszał wołania o pomoc. Aby ocalić ich od przyszłych cierpień i skrócić własną mękę, Pamfił w napadzie szału zabił ich sam. Żonę i troje dzieci zarąbał tą samą, ostrą jak brzytwa siekierą, którą wycinał z drzewa zabawki dla córek i ukochanego syna, Flenuszeki.

Dziwne było, że zaraz potem nie popełnił samobójstwa. Co sobie myślał? Na co czekał? Jakie miał plany, zamiary? Był oczywistym obłąkanym, człowiekiem skończonym.

Gdy Liwerij, doktor i członkowie sowietu zasiadali radząc co z nim zrobić, Pamfił włożył się po obozie ze zwieszoną głową, nie widząc nic swymi żółtymi, patrzącymi spode łba oczami. Tępy uśmiech, wyraz nieludzkiego, nieuleczalnego cierpienia nie schodził z jego twarzy.

Nikt nie żałował go. Wszyscy się odeń odwracali. Rozległy się głosy wzywające do samosądu, lecz pozostały bez echa.

Pamfił nie miał więcej na świecie nic do roboty. O świecie znikł z obozu: uciekł od samego siebie jak chore, dotknięte wodowstrętem, wściekle zwierzę.

9

Zima trwała już od pewnego czasu. Mrozy były trzaskające. Oderwane od całości fragmenty dźwięków i kształtów majaczyły w mroźnej mgle, stały w niej, poruszały się i znikaly. Zamiast znanego, zwykłego słońca, wisiała w lesie czerwona kula, z której powoli, jak w bajce, ściekały gęste, bursztynowo-żółte promienie światła, zastygające w powietrzu lub przymarzające do drzew.

Zaledwie dotykając ziemi wypukłymi stopami i wywołując za każdym krokiem głośny chrzęst śniegu, niewidzialne nogi w walonkach posuwały się w różnych kierunkach. a uzupełniające je sylwetki w baszłykach i futrzanych kurtkach zdawały się płynąć w powietrzu jak ciała niebieskie.

Znajomi zatrzymywali się i rozmawiali, zbliżając do siebie czerwone, jak z parowej łaźni twarze i oblodzone kosmyki wąsów i bród. Kłęby gęstej, lepkiej pary wyrывały się z ich

ust, nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do skąpych, jak gdyby też ściętych mrozem słów ich krótkich rozmów.

Na ścieżce Liwerij spotkał doktora.

— To wy? Od wieków nie widziałem was. Proszę wieczorem do mojej ziemianki. Przenocujecie u mnie. Przypomnimy sobie dawne czasy, pomówimy. Są nowe wiadomości.

— Kurier wrócił? Są wiadomości z Warykina?

— O naszych rodzinach nie ma w raporcie ani słowa. Z milczenia wyciągam jednak pomyślnie wnioski. Widocznie udało im się zawczasu uciec. W przeciwnym razie byłoby coś o tym w raporcie. Zresztą pomówimy o tym przy spotkaniu. Czekam was.

W ziemiance doktor wrócił do swego pytania:

— Odpowiedzcie tylko na jedno: co wiecie o naszych rodzinach?

— Znow nie chcecie patrzeć dalej od własnego nosa. Nasze rodziny są, jak widać, żywe i poza niebezpieczeństwem. Ale nie o to chodzi. Są najpomyślniejsze wiadomości. Chcecie mięsa? Zimna cielęcina.

— Nie. Dziękuję. Nie rozpraszaście się. Mówcie do rzeczy.

— Szkoda. A ja sobie zjem. W obozie szkorbut. Ludzie zapomnieli co to jest chleb i zielenina. Trzeba było w jesieni, dopóki tu były kobiety, zorganizować zbiórkę orzechów i jagód. Mówię więc, że sprawy nasze stoją świetnie. To co zawsze przepowiadałem, spełniło się. Lody ruszyły. Kołczak cofa się na wszystkich frontach. Jest to całkowita, żywiołowo narastająca klęska. Widzicie? Nie mówiłem wam? A wyście narzekali.

— Kiedy to ja narzekałem?

— Ciągle, a zwłaszcza gdy nas nękał Wicyn.

Doktor wspomniał ostatnią jesień, egzekucję buntowników, zamordowanie przez Pałycha żony i dzieci, krwawy kadłub i nie mającą końca rzeź. Biali i czerwoni rywalizowali w okrucieństwach, które mnożyli, licytując się nawzajem w akcjach odwetowych. Mdlilo od krwi. Krew dusiła gardło, rzuciła się na mózg, zalewała oczy. To nie było narzekanie, lecz coś zupełnie innego. Ale jak to objaśnić? Czy Liwerij to zrozumie?

Ziemianka pełna była pachnącego dymu, który osiadał na podniebieniu, łechtał nos i gardło. Oświeślała ją cienie jak papier łuczywo wetknięte w żelazny trójnóg. Gdy jedno dopalało się, resztką jego wpadała w stojącą pod trójnogiem miskę z wodą i Liwerij zatykał nowe, zapalone łuczywo.

— Widzicie, co teraz palę? Oliwa skończyła się. Wyszono zbytnio drzewo i łuczywo szybko się dopala. Tak. W obozie szkorbut. Odmawiacie kategorycznie cielęciny? Skor-

but. Co wy tak patrzycie doktorze? Gdyby tak zebrać sztab, oświetlić sytuację, urządzić wykład o szkorbucie i sposobach zwalczania go.

— Nie męczcie mnie, na litość Boską. Co wiecie dokładnie o naszych rodzinach?

— Mówiłem wam już, że żadnych dokładnych danych nie ma. Lecz nie skończyłem mówić o tym co wiem z ostatnich komunikatów o sytuacji wojskowej. Wojna cywilna skończyła się. Kołczak rozbity na głowę. Czerwona armia ściga go wzdłuż magistrali, aby zrzucić w morze. Inna część armii śpieszy połączyć się z nami, aby wspólnymi siłami zająć się zniszczeniem jego rozproszonych organizacji tyłowych. Południe Rosji oczyszczone. Nie cieszyście się? Mało wam tego?

— Nieprawda. Cieszę się. Ale gdzie są nasze rodziny?

— W Warykinie ich nie ma i to jest bardzo dobrze. Jakkolwiek letnie legendy Kamiennodworskiego — pamiętacie te głupie słuchy o najściu na Warykino jakiegoś zagadkowego plemienia? — nie potwierdziły się, osiedle zostało opuszczone przez ludność. Widocznie tam jednak coś było, i dobrze się stało, że nasze rodziny zdążyły stamtąd zawczasu wyjechać. Możemy przyjąć, że zostały ocalone. Takie są, według moich informacji, przypuszczenia nielicznych osób, które tam jeszcze zostały.

— A Jurjatin? Kto tam jest? W czyich rękach miasto?

— Też coś mętnego. Widoczna omyłka.

— A mianowicie?

— W mieście są jeszcze jakoby biali. Jest to oczywisty absurd, rzecz niemożliwa. Zaraz wam to wytłumaczę.

Liwerij zapalił nowe łuczywo i złożył wymiętą mapę w dwuwiorstowej skali w ten sposób, aby interesujący ich arkusz znalazł się na wierzchu, po czym, z ołówkiem w ręku, zaczął objaśniać.

— Patrzcie. Na wszystkich tych odcinkach biali zostali odrzuceni w tył. I tu, i tu. Słuchacie uważnie?

— Tak.

— Nie mogą więc być w Jurjatinie, bo odcięci od swych komunikacji znaleźliby się w potrzasku. Przy całej swej nieudolności, ich generałowie nie mogą tego nie widzieć. Włożyliście futro? Dokąd?

— Przepraszam na chwilę. Zaraz wrócę. Tu czad od machorki i łuczywa. Niedobrze mi. Odetchnę trochę świeżym powietrzem.

Wyszedłszy z ziemianki doktor zmiótł rękawicą śnieg z grubej kłody zastępującej ławkę, usiadł, podparł obu rękami

głowę i zamyślił się. Zimowa tajga, leśny obóz i osiemnaście miesięcy spędzonych u partyzantów znikły z jego pamięci. Wszystkie myśli skupiły się na bliskich. Jurij Andrejewicz robił o ich losach różne przypuszczenia, jedno okropniejsze od drugiego.

Oto Tonia idąca polem wśród zamieci z Szurą na rękę. Owija syna w koc, nogi jej zapadają się w śnieg, zamieć zasypuje ją, wiatr przewraca, Tonia pada i podnosi się, nie może ustać na osłabłych nogach. Ale Jurij Andrejewicz wciąż zapomina, że Tonia ma dwoje dzieci, z których jedno karmi. Ma zajęte nimi obie ręce, jak kobiety nad Czilinką oszalałe z rozpaczy i przekraczającego ich możliwość wysiłku.

Tonia ma obie ręce zajęte, i dokoła nie ma nikogo kto mógłby jej dopomóc. Ojciec Szury jest nie wiadomo gdzie. Gdzieś daleko, zawsze daleko od nich. Czy to jest naprawdę ojciec, jak inni? A gdzie jest jej własny ojciec, Aleksander Aleksandrowicz? Gdzie Niusza? Gdzie pozostali? Lepiej nie stawiać sobie takich pytań, lepiej nie myśleć, nie zgłębiać.

Doktor wstał z kłody w zamiarze zejścia znów do ziemianki, lecz porzucił swój zamiar. Nagle myśli jego pobiegły w innym kierunku.

Narty, worek z sucharami i innymi rzeczami potrzebnymi do ucieczki miał przygotowane już od dawna. Zakopał je w śnieg poza linią wart, pod wielkim świerkiem, na którym dla pewności zrobił nacięcie. W tym kierunku udał się teraz, idąc wydeptaną wśród zasp ścieżką. Noc była jasna. Pełnia księżyca. Doktor znalazł miejsca, w których na noc roztawiano warty i ominął je szczęśliwie. Dopiero pod oblodzoną jarzębiną wartownik zawołał doń z daleka i zjechał, wyprostowany, na nartach z pagórka.

— Stój! Będę strzelał! Kto tam? Mów hasło.

— Czyś zwiadował bracie? Swój. Nie poznajesz? Wasz doktor, Żiwago.

— Przepraszam. Nie gniewaj się towarzyszu Żelwak. Nie poznałem. Ale choć ty i Żelwak, nie puszczę. Musi być wszystko w porządku.

— Jak chcesz. Hasło: czerwona Syberia; odzew: precz z interwencją.

— To co innego. Idź teraz gdzie chcesz. Ale jaki diabeł nosi cię po nocy? Chorzy?

— Nie mogę spać i pragnienie dokucza. Chcę przejść się i zjeść trochę śniegu. Tam widzę jarzębinę ze zmarzniętymi jagodami. Chciałbym ich trochę zjeść.

— To dopiero pańskie kaprysy : zimą jagód się zachciewa. Trzy lata bijemy was, żeby te zachcianki z was wypędzić i nic. Żadnej świadomości. Idź po tę twoją jarzębinę, nienormalny. Ja ci też nie będę żałował.

Biorąc coraz większy rozpęd na świszczących po nietkniętym śniegu nartach, wartownik, wciąż wyprostowany, oddalał się coraz bardziej i znikł wśród rzadkich jak łysiejące włosy zimowych zarośli. Doktor, idąc ścieżką, zbliżył się tymczasem do jarzębiny.

Zaniesiona częściowo śniegiem i oblepiona przymarzłymi liśćmi i jagodami, jarzębina wyciągała doń dwie ośnieżone gałęzie. Jurij Andrejewicz przypomniał sobie długie, białe ręce Łary, ręce jak toczne, dobroczynne. Chwyciwszy gałęzie, przyciął do siebie drzewo. Jarzębina, jak gdyby odpowiadając świadomie na jego gest, osypała go śniegiem od stóp do głów. Nie rozumiejąc sam, co mówi, Jurij Andrejewicz bełkotał nieprzytomnie :

— Zobaczę cię, ślicznotko moja, księżniczko-jarzębinko rodzona.

Noc była jasna. Świecił księżyc. Jurij Andrejewicz poszedł dalej w głąb tajgi, odnalazł znajomy świerk, odkopał rzeczy i opuścił obóz.

R o z d z i a ł X I I I

NAPRZECIW DOMU Z FIGURAMI

I

Wielka Kupiecka schodziła zakosem do Małej Spaskiej i Nowoswałocznego zaułka. Z góry patrzyły na nią domy i cerkwie z wyżej położonych części miasta.

Na rogu stał ciemnoszary dom z kariatydami. Na kamiennych blokach jego wysokiego, pochylego fundamentu rozklejono świeże numery gazet rządowych, teksty dekretów i rozporządzeń. Przechodnie zatrzymywali się grupami i długo, w milczeniu, czytali tę literaturę.

Po niedawnej odwilży było znów sucho. Mróz chwycił coraz mocniejszy. Było zupełnie jasno w godzinach, w których niedawno panował zmrok. Zima odeszła, i pozostałe po niej miejsce zajęło światło, które nie odchodziło i zatrzymywało się długo wieczorem. Światło to niepokoiło, ciągnęło w dal, straszło i kazało mieć się na baczności.

Biali wyszli niedawno z miasta, oddając je czerwonym. Skończyły się ostrzeliwania, krwawe walki i alarmy. Te okoliczności również napełniały lękiem i kazały się mieć na baczności, jak odejście zimy i wiosenne przedłużenie się dnia.

Obwieszczenia czytane przez przechodniów głośiły :

„Do wiadomości ludności. Książeczki pracy dla zamożnych wydawane są w cenie 50 rubli za sztukę w Wydziale Apropowizacyjnym Jursowietu, Oktiabrskaja, dawniej Generalgubernatorska 5, pokój 137.

Nieposiadanie książeczki pracy i niedokładne, a tym bardziej kłamliwe prowadzenie w niej zapisów karane jest z całą surowością stanu wojennego. Dokładne instrukcje dotyczące korzystania z książeczek pracy zostały ogłoszone w Izwiestiach Jurjatińskiego Komitetu Wykonawczego Nr 86 (1013) roku bieżącego i wywieszone są w Wydziale Aprowizacyjnym Jursowietu pokój Nr 137''.

Inne obwieszczenie donosiło, że w mieście znajduje się dostateczna ilość środków żywnościowych, skrywanych jedynie rzekomo przez burżuazję w celu zdeorganizowania ich przydziału i wywołania zamętu w dziedzinie aprowizacji. Obwieszczenie kończyło się słowami :

„Przyłapani na posiadaniu i ukrywaniu środków żywnościowych będą rozstrzeliwani na miejscu''.

Trzecie obwieszczenie głosiło :

„W celu właściwego postawienia sprawy aprowizacji, osoby nie należące do klas eksploatatorskich mają łączyć się w gminy spożywców. Szczegóły w Wydziale Aprowizacyjnym Jursowietu, Oktiabrskaja, dawniej Generałgubernatorska 5, pokój 137''.

Do wojskowych zwracało się następujące obwieszczenie :

„Osoby, które nie złożyły broni, lub noszą ją bez należytego pozwolenia według nowego wzoru, będą karane z całą surowością prawa. Stare pozwolenia wymieniane są na nowe w Jurjewkomie, Oktiabrskaja 6, pokój 63''.

2

Do grupy czytających podszedł wychudły, od dawna nie-myty i z tej przyczyny pozornie śniady człowiek o dzikim wyglądzie, z workiem na plecach i kijem w ręku. W jego od dawna niestrzyżonych włosach nie było jeszcze siwizny, lecz kasztanowata, zarosła broda miała już białe nitki. Był to doktor Jurij Andrejewicz Żiwago. Futro zabrano mu pewnie w drodze, lub on sam wymienił je na żywność. Miał na sobie cudze, znoszone i niechroniące od zimna ubranie, o zbyt krótkich rękawach.

W worku została mu niedojedzona kromka chleba, ofiarowana przez dobrych ludzi w ostatniej przed miastem wsi, i kawałek słoniny. Doktor wszedł do miasta przed godziną od strony stacji kolejowej. Był tak słaby i znużony pieszą podróżą ostatnich dni, że zużył całą godzinę aby od roгатki dostać się

do tego skrzyżowania ulic. Często przystawał. Musiał powstrzymać się, aby nie upaść na ziemię i nie całować bruku miasta, którego nie spodziewał się już zobaczyć i z widoku którego cieszył się jak ze spotkania z jakąś żywą istotą.

Połowę swej długiej podróży odbył wzdłuż linii kolejowej, nieczynnej i opuszczonej, zasypanej śniegiem. Szedł wzdłuż pociągów białej armii, unieruchomionych przez zaspy, przez klęskę Kołczaka i brak paliwa. Zatrzymane na zawsze i zasypane przez śnieg, pociągi ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem na przestrzeni dziesiątków wiorst. Pociągi te były czatowniami zbrojnych band grabiących na drogach i kryjówkami przestępców oraz uchodźców politycznych, mimowolnych włóczęgów tych czasów. Najczęściej jednak były wspólnymi mogiłami zmarłych z zimna i od tyfusu plamistego, szerzącego się wzdłuż kolei i koszącego ludność okolicznych wsi.

Stare powiedzenie, że człowiek jest wilkiem dla człowieka, stało się w tych czasach prawdą. Podróżny, na widok innego podróżnego, schodził z drogi ; zabijał spotkanego, aby nie być przezeń zabity. Zdarzały się wypadki ludożerstwa. Prawa ludzi cywilizowanych wygasły. Człowiek stał się dziką bestią ; śnił przedhistoryczny sen z epoki jaskiniowej.

Samotne cienie, skradające się brzegami ścieżki lub przebiegające przez nią bojaźliwie, i które Jurij Andrejewicz omijał starannie z daleka, wydawały mu się często znajome, gdzieś już widziane. Zdawało mu się, że wszystkie pochodziły z obozu partyzantów. W większości wypadków mylił się, raz jednak przecucie jego okazało się słuszne. Wyrostek, który wypełził z zaspy skrywającej międzynarodowy wagon sypialny, i po załatwieniu swej potrzeby znikł znów pod śniegiem, należał rzeczywiście do leśnych braci. Był to rzekomo rozstrzelany Tierentij Gałuzin. Niedobity, po długim zemdleńiu wrócił do przytomności, oddalił się od miejsca kaźni, skrywał się w lasach, wylizał z ran i teraz pod cudzym nazwiskiem, chowając się przed ludźmi w zasypanych śniegiem wagonach, wędrował do Krestowozdwiżenska, aby odnaleźć rodzinę.

Obrazy te sprawiały wrażenie czegoś nietutejszego, transcendentnego. Zdawało się, że są to fragmenty jakichś egzystencji nieznanych, z innej planety, przeniesione przez omyłkę na ziemię. Tylko przyroda pozostała wierna historii i przedstawiała się patrzącemu tak, jak malowali ją artyści nowożytni.

Wieczory zimowe były ciche, jasnoszare, ciemnoróżowe. Cienkie gałęzie brzoź na jasnym niebie zdawały się narysowane piórem. Czarne strumyki płynęły pod lekkim oblodzeniem w łożyskach z białego śniegu, tworzącego górą całe wzniesienia, lecz

podmokłego od spodu. Taki właśnie wieczór, mroźny, przejrzysto-szary, żaloszny jak kotki wierzby, spłynąć miała za godzinę lub dwie na dom z figurami w Jurjatinie.

Doktor podszedł do deski Centropрасy, aby przejrzeć obwieszczenia urzędowe, lecz wzrok jego zatrzymywał się wciąż na oknach pierwszego piętra stojącego naprzeciw domu. Okna te, wychodzące na ulicę, były kiedyś pobielone wapnem. W dwóch pokojach były tam złożone meble gospodarzy. Mimo cienkiej, kryształowej warstwy lodu, pokrywającej dolną część szyb, widać było, że okna są przejrzyste, że wapno zostało z nich zmyte. Co znaczyła ta zmiana? Czy powrócili gospodarze mieszkanka? Czy Łara wyjechała i w mieszkaniu znajdują się nowi lokatorzy, którzy urządzili wszystko po swojemu?

Wątpliwości te napełniły doktora niepokojem, którego nie umiał opanować. Przeszedł więc przez ulicę, minął frontowe drzwi i zaczął wchodzić na dobrze znane i drogie jego sercu schody, o których tak często myślał w leśnym obozie, przypominając sobie najdrobniejsze szczegóły filigranowego deseni stopni z lanego żelaza. Na jednym z zakrętów przez żelazną kratę stopni widać było złożone pod schodami wiadra, cebry i połamane krzesła. Przedmioty te znajdowały się na swoim miejscu. Nic więc nie zmieniło się, wszystko było jak dawniej. Doktor był niemal wdzięczny schodom za ich wierność przeszłości.

Przy drzwiach znajdował się niegdyś dzwonek. Był jednak zepsuty i nie działał już poprzednio, przed leśną niewolą doktora. Jurij Andrejewicz chciał zastukać, lecz spostrzegł, że drzwi zamknięte były inaczej, na ciężką kłódkę, wiszącą na kółkach grubymi śrubami przytwierdzonych do starych dębowych drzwi z pięknymi, miejscami odpadłymi ozdobami. Przedtem nie pozwalano sobie na takie barbarzyństwo. Zamki były wpuszczane w skrzydła drzwi, a gdy się psuły, ślusarze naprawiali je. Ten drobny szczegół mówił o postępującym pogorszeniu ogólnych warunków życia.

Doktor był teraz pewien, że Łara i Kati nie ma w domu, ani być może w Jurjatinie, ani w ogóle na świecie. Gotów był do najgorszych przypuszczeń. Tylko dla spokoju sumienia postanowił zajrzeć do skrytki, której kiedyś obawiał się tak wraz z Katią. Postukał obcasem w ścianę, aby ręką nie trafić na szczura. Nie miał jednak nadziei znalezienia czegokolwiek w umówionym miejscu. Dziura była zatkana cegłą. Jurij Andrejewicz wyjął cegłę i wsunął rękę do schowka. O dziwo! Klucz i kartka papieru. List był dość długi na wielkim arkuszu. Doktor podszedł do okna na półpiętrze. Jeszcze większy cud, rzecz

niewiarygodna ! List był pisany do niego. Zaczął go prędko czytać :

„Boże, co za szczęście ! Mówią, że żyjesz i odnalazłeś się. Ludzie widzieli cię w pobliżu miasta i przyszedli mi to powiedzieć. Przypuszczając, że przede wszystkim pośpieszysz do Warykina, jadę tam do ciebie z Katią. Na wszelki wypadek zostawiam klucz w zwykłym miejscu. Czekaj mego powrotu, nigdzie nie odchodź. Nie wiesz jeszcze, że mieszkam teraz od frontu, w pokojach wychodzących na ulicę. Zresztą sam się tego domyślisz. W domu pustka, zaniedbanie ; musiałam sprzedać część mebli gospodarzy. Zostawiam trochę jedzenia, głównie gotowanych kartofli. Przyciśnij przykrywkę rondla żelazkiem lub czymś ciężkim, jak to zrobiłam, aby nie dostały się tam szczury. Szaleję z radości”.

Na tym kończyła się jedna strona listu. Doktor nie zwrócił uwagi, że arkusz zapisany był także z drugiej strony, podniósł go do ust i nie patrząc nań więcej włożył wraz z kluczem do kieszeni. Straszny, dotkliwy ból mieszał się z jego radością. Jeżeli Łara nie krępując się niczym jedzie do Warykina, należy stąd wnosić, że jego rodziny tam nie ma. Niezależnie od tej refleksji odczuwał nieznośny niepokój o swoich. Czemu Łara nie mówi ani słowa o nich i o tym, gdzie się znajdują, jak gdyby ich w ogóle nie było ?

Nie było jednak czasu o tym myśleć. Zbliżał się zmrok, a tyle rzeczy należało jeszcze załatwić za dnia. Przede wszystkim wypadało zapoznać się z wywieszonymi na ścianie dekretami, z którymi nie było żartów. Można było łatwo zapłacić życiem za nieświadome naruszenie jakiegoś obowiązującego przepisu. Nie otwierając mieszkania i nie zdejmując ze znużonego ramienia worka, doktor zeszedł na ulicę i podszedł do ściany pokrytej różnorodnymi drukami.

3

Były tam artykuły z gazet, protokoły, mowy wypowiedziane na posiedzeniach i dekrety. Jurij Andrejewicz czytał szybko tytuły. „O porządku rekwizycji i opodatkowaniu klas zamożnych. O kontroli robotniczej. O komitetach fabrycznych”. Zarządzenia te wprowadzały nowy porządek, mający zastąpić ten, jaki panował tu poprzednio. Nowe władze przypominały przede wszystkim, że zasady ich są zawsze obowiązujące, o czym ludność pod krótkotrwałym panowaniem białych mogła zapomnieć. Jurij Andrejewicz dostał zawrotu głowy na widok

jednostajności tych nieskończonych powtórzeń. Z jakich czasów były te tytuły? Z czasów pierwszego przewrotu, czy z ostatniego okresu, po białych powstaniach? Czy napisy te są zeszłoroczne? Zaprzeszłoroczne? Raz jeden w życiu doktor wpadł w zachwyt nad bezwzględnością tego języka i jasnością myśli. Czy za tę chwilę nieprzeźornego entuzjazmu musiał płacić słuchaniem przez całe życie zawsze tych samych, wściekłych krzyków i żądań coraz bardziej niezyciowych, niezrozumiałych i niespełnialnych? Czyżby tą chwilą zbytniej życzliwości zaprzedał się na całe życie?

Wzrok jego padł na urywek jakiegoś sprawozdania:

„Wiadomości o głodzie dowodzą niewiarygodnej bezczynności miejscowej organizacji. Nadużycia są oczywiste, spekulacja potworna, lecz co zrobiło biuro miejscowych organizacji zawodowych, co zrobiły komitety fabryczne w mieście i w okręgu? Dopóki nie przeprowadzimy masowych rewizji w składach stacji towarowej i na odcinkach Jurjatin-Razwilje i Razwilje-Rybałka, dopóki nie zastosujemy do spekulantów środków terroru, do rozstrzeliwania na miejscu włącznie, nic nie ocali nas od głodu”.

— Można im pozazdrościć zaślepienia — myślał doktor. — O jakim zbożu mowa, gdy produktu tego nie ma więcej w przyrodzie? O jakich klasach posiadających i spekulantach? Czy nie zniszczyły ich już dawno poprzednie dekrety? O jakich chłopach i wsiach, których już nie ma? Co za ignorancja własnych projektów i decyzji, które dawno już obróciły w perzynę całe życie, nie zostawiając kamienia na kamieniu! Jak można z takim zapałem bredzić rok za rokiem na te same nieistniejące, przebrzmiałe tematy, nie wiedząc o niczym, nie widząc nic dokoła siebie!

Doktor poczuł zawrót głowy, stracił przytomność i upadł na chodnik. Gdy obudził się, przechodnie pomogli mu wstać i zaproponowali, że odprowadzą go do domu. Doktor podziękował za pomoc, mówiąc, że idzie tylko do przeciwnego domu.

Jurij Andrejewicz wszedł jeszcze raz na schody i otworzył drzwi do mieszkania Łary. Na schodach było wciąż tak samo jasno. Z radosną wdzięcznością doktor stwierdził, że słońce nie przynaglało go.

Hałas otwieranych drzwi wywołał popłoch wewnątrz mieszkania. Puste pomieszczenie powitało go brzękiem i dudnieniem przewracanych i toczących się blaszanek. Całym ciałem padały na podłogę i rozbiegały się we wszystkich kierunkach szczury. Doktorowi zrobiło się nieswojo od uczucia bezradności wobec tego plugastwa, które rozmnożyło się zapewne bez liku.

Przed innymi przygotowaniami do noclegu, Jurij Andrejewicz postanowił przede wszystkim odgrodzić się od szczurów w jakimś dobrze zamykającym się pokoju, w którym tłuczonym szkłem i skrawkami blachy zatkałby wszystkie szczurze dziury.

Z przedpokoju doktor skrzył na lewo do nieznaney mu części mieszkania i przez przechodnie, ciemne pomieszczenie wszedł do jasnego pokoju, którego dwa okna wychodziły na ulicę. Wprost naprzeciw okien wznosiła się ciemna masa domu z figurami. Dolna część jego była oklejona gazetami. Czytali je zwróceniem plecami do okien przechodnie.

Pokój i ulica oświetlone były tym samym młodym, jak fermentujące wino, wieczornym światłem wczesnej wiosny. Jednolitość oświetlenia sprawiała, że pokój zdawał się nie oddzielać od ulicy. Uwagę zwracała jedna tylko, niewielka różnica. W sypialni Łary mianowicie, w której stał Jurij Andrejewicz, było chłodniej niż z zewnątrz, na Kupieckiej.

W ciągu swego ostatniego przemarszu, zbliżając się do miasta i idąc potem jego ulicami, doktor czuł wzrastającą słabość, która wydawała mu się zapowiedzią jakiejś choroby. Myśl ta niepokoiła go.

Teraz jednorodność oświetlenia w domu i na dworze napełniała go nieumotywowaną radością. Chłód panujący na ulicy i w mieszkaniu zbliżał go do przechodniów, do nastrojów miasta, do życia w ogóle. Uprzednie obawy rozproszyły się. Nie myślał więcej o możliwości choroby. Przenikające wszędzie przejrzyste, wiosenne światło było dlań zapowiedzią dalekich, wielkich nadziei. Wierzył teraz, że wszystko idzie ku lepszemu, że uda mu się wszystko osiągnąć, wszystkich odnaleźć i pogodzić, wszystko przemyśleć do końca i wyrazić. Radość spotkania z Łarą miała być tego pierwszym dowodem.

Uczucie upadku sił ustąpiło miejsca szalonemu ożywieniu i ruchliwości. Ożywienie to było, być może, pewniejszym symptomem rozpoczynającej się choroby, niż niedawne osłabienie. Jurij Andrejewicz nie mógł usiedzieć na miejscu. Zamierzał znów wyjść w następującym celu.

Przed zamieszkaniem u Łary doktor chciał ostrzyć się i ogolić brodę. Z tą myślą, idąc przez miasto, oglądał witryny dawnych zakładów fryzjerskich. Część ich stała pustką lub

służyła innym celom. Inne, na pozór jeszcze czynne, były zamknięte. Jurij Andrejewicz własnej brzytwy nie posiadał. Nożyczki mogłyby go wybawić z kłopotu, gdyby je znalazł u Łary. Przejrzał w pośpiechu wszystko, co znajdowało się na jej toalecie, ale nożyczek nie zobaczył.

Przypominał sobie, że na Małej Spasskiej znajdował się kiedyś zakład krawiecki. Przyszło mu na myśl, że jeżeli zakład ten jest nadal czynny, i jeżeli zdąży doń przed jego zamknięciem, będzie mógł pożyczyć nożyczki, u jednej z krawcowych. I raz jeszcze wyszedł na ulicę.

5

Pamięć nie myliła go. Zakład był na dawnym miejscu i był wciąż czynny. Mieścił się na parterze, na poziomie ulicy, i obok wejścia posiadał szeroką witrynę. Przez okno było widać całą pracownię aż do przeciwległej ściany. Krawcowe pracowały na oczach przechodniów.

W pracowni panował wielki ścisk. Obok zawodowych robotnic znajdowały się tam zapewne także krawcowe-amatorki, starsze damy z miejscowego towarzystwa, pragnące otrzymać książeczki pracy, o których mówiło obwieszczenie na ścianie domu z figurami.

Można je było poznać od razu po ruchach. Brakło im zręczności prawdziwych krawcowych. W zakładzie szyto wyłączenie odzież wojskową: watowane portki, pikowane kurtki i pstre jak strój arleкина futra z psich skór różnej maści. Jurij Andrejewicz widział już je u partyzantów. Niezręcznymi palcami, podsuwając skórę pod igłę maszyny do szycia, krawcowe-amatorki z trudem dawały radę tej niezwyklej dla nich, na pół kuśnierskiej robocie.

Jurij Andrejewicz zastukał w okno, prosząc na migi o wpuszczenie go. Także na migi dano mu do zrozumienia, że zakład nie przyjmuje zamówień od osób prywatnych. Jurij Andrejewicz nie kapitulował i nadal znakami prosił o wpuszczenie go i wysłuchanie. Z wewnątrz dawano mu do zrozumienia, że mają tam pilną robotę i proszą go aby się odczepił i nie przeszkadzał. Jedna z krawcowych wysunęła doń rękę dłonią do góry pytając wzrokiem czego mu trzeba. Wskazującym i średnim palcem Jurij Andrejewicz zrobił znak tnących nożyc. Gest ten został fałszywie zrozumiany. Dojrzano w nim coś nieprzyzwoitego, chęć przedrzeźniania i drażnienia się. Swym obszarpanym wy-

glądem i dziwnym zachowaniem doktor robił wrażenie chorego umysłowo. W pracowni śmiano się po cichu, rzucano sobie porozumiewawcze spojrzenia i machano nań ręką, aby sobie szedł. Jurij Andrejewicz domyślił się wreszcie, że powinien szukać wejścia przez podwórze. Znalazłszy je, zastukał w drzwi od kuchni.

6

Drzwi otworzyła niemłoda krawcowa o ciemnej twarzy, surowa, ciemno ubrana, być może kierowniczką zakładu.

— Ale przyczepił się ! Skaranie boskie. No, mówcie prędko o co wam chodzi. Nie mam czasu.

— Potrzebne mi nożyczki, nie dziwcie się. Chciałbym pożytyć na minutę. Ostrzygę przy was brodę i zwrócę z podziękowaniem.

W oczach krawcowej zobaczył nieufne zdziwienie. Było jasne, że miała go za niespełna rozumu.

— Idę z daleka. Tylko co przyszedłem do miasta. Jestem obrośnięty. Chciałbym się ostrzyć, a nie ma ani jednego fryzjera. Mógłbym zrobić to sam, ale nie mam nożyczek. Pożyczcie mi je, proszę.

— Dobrze. Ostrzygę was. Ale uważajcie ! Jeżeli macie coś innego na myśli, jakąś zmianę wyglądu dla zamaskowania się, coś politycznego, wybaczone, ale życiem ryzykować za was nie będziemy i poskarżymy się gdzie trzeba.

— Zlitujcie się, co za podejrzenia !

Krawcowa wpuściła doktora i zaprowadziła go do bocznego pokoju, a raczej komórki. Po chwili doktor siedział na krześle jak u fryzjera, okryty białym, ciasno związanym pod szyją prześcieradłem.

Krawcowa znikła i po chwili wróciła z nożyczkami, grzebieniem, kilku maszynkami do strzyżenia różnych numerów, rzemieniem i brzytwą.

— Wszystkiego już w życiu próbowałam — wyjaśniła, widząc zdumienie doktora na widok tych gotowych do użytku przyborów. — Pracowałam jako fryzjerka. Na wojnie byłam siostrą miłosierdzia, nauczyłam się strzyć i golić. Brodę utniemy naprzód nożyczkami, a potem ogolimy.

— Włosy proszę ostrzyć jak najkrócej.

— Niby tacy inteligentni, a udajecie ignoranta. Liczymy teraz czas nie na tygodnie, ale na dekady. Dziś mamy siedem-

nastego, a we wszystkie dni z siódmką fryzjerzy mają wychodne. Chyba tego nie wiecie ?

— Słowo honoru, że nie. Dlaczego miałbym udawać ? Powiedziałem już wam, że idę z daleka. Nietutejszy.

— Spokojnie, nie szarpacie się. Łatwo skaleczyć się. Zatem, przyjeźdźni ? Jak jechaliście ?

— Na swoich kasztankach.

— Szliście traktem ?

— Część traktem, a resztę wzdłuż plantu. Pociągów tam pod śniegiem bez liku ! Wszelkiego rodzaju, luksusowe, specjalne.

— Już tylko kawałek został. Tu jeszcze zetniemy i gotowe. W rodzinnych sprawach ?

— Jakie tam rodzinne ! W sprawach byłego związku towarzystw kredytowych. Byłem inspektorem objazdowym. Posłano mnie na rewizję diabli wiedzą dokąd. Zagrzęźłem we wschodniej Syberii. O powrocie nie było mowy. Pociągi nie chodziły. Nie było co robić, musiałem piechotą. Szedłem półtora miesiąca. Na takie rzeczy się napatrzyłem, że życia nie starczy opowiadać.

— Lepiej też i nie opowiadać. Zaraz wam to wytłumaczę. A teraz zaczekajcie. Macie tu lustro. Wsuńcie rękę spod prześcieradła i weźcie je. Podziwiajcie się. No, jak się wam podoba ?

— Na mój gust są jeszcze za długie. Można by krócej.

— Nie będą się trzymały. Mówię wam, nie trzeba nic opowiadać. O wszystkich tych rzeczach najlepiej teraz milczeć. Towarzystwa kredytowe, pociągi luksusowe pod śniegiem, inspektorzy i rewizorzy — nawet słów tych lepiej zapomnieć. Można się wkopać w historię. Nie dla wnuczki onuczki, na to teraz nie sezon. Mówcie lepiej, że jesteście doktorem lub nauczycielem. No, broda już z gruba ostrzyżona, będziemy ją golili na czysto. Namydlimy i raz — dwa — odmłodniejecie o dziesięć lat. Pójdę teraz zagrzać wodę.

Kim jest ta kobieta ? — myślał doktor podczas jej nieobecności. — Mam wrażenie, że gdzieś ją już spotkałem, że powinienem ją znać. Kogoś mi przypomina, ale kogo ?

Krawcowa wróciła.

— Teraz weźmiemy się do golenia. Tak więc lepiej nigdy za dużo nie mówić. To prawda odwieczna. Słowo jest srebrem, lecz milczenie złotem. Żadnych pociągów specjalnych ani towarzystw kredytowych. Wymyślcie co innego, na przykład że jesteście doktorem czy nauczycielem. A co widzieliście — trzymajcie dla siebie. Kogo teraz tym zadziwicie ? Brzytwą nie dokucza ?

— Boli trochę.

— Drapie, powinna drapać, wiem sama. Cierpliwości, mileńki. Włosy odrosły, zeszywniały, skóra odwykła. Tak. Niezwykłymi historiami teraz trudno zdziwić. Wszyscy są doświadczeni. My też zazналиśmy biedy. Co się tu działo w czasach atamanów ! Porwania, zabójstwa, wywożenia. Polowania na ludzi. Jednemu, na przykład, drobnemu satrapie, sapunowcowi, nie podobał się pewien porucznik. Posyła więc żołnierzy, aby zrobili na niego zasadzkę koło Zagorodnego Lasku, na przeciwko domu Krapulskiego. Porucznika rozbrajają i do Razwilja. A Razwilje było wówczas tym, czym teraz jest Gubczeka. Miejsce straceń. Co wy tak głową rzucacie ? Drapie ? Wiem, mileńki, wiem. Nic nie poradzę. Tu trzeba pod włos, a włosy u was jak szczecina. Sztywne. To już takie czułe miejsce. Żona wpada w histerię. To jest żona porucznika. Kola ! Mój Kola ! I wprost do głównego dowódcy. To się zresztą tylko tak mówi, że wprost do głównego, bo kto by ją tam wpuścił. Ale była protekcja. Jedna osoba tu na sąsiedniej ulicy znała chody do głównego dowódcy i ujmowała się za wszystkimi. A główny był wyjątkowo ludzki, życzliwy, nie to co inni. Generał Galiullin. A dokoła samosądy, okrucieństwa, zawiści. Zupełnie jak w hiszpańskich romansach.

— To Łara — domyślił się doktor, ale przez ostrożność milczał i nie zadawał pytań. I słowa „jak w hiszpańskich romansach”, pasujące do opowiadania jak wół do karety, też mu coś niejasno przypominały.

— Teraz, oczywiście, jest co innego. Śledztw, donosów i rozstrzelań też, przypuścmy, nie brakuje. Ale idea jest inna. Władza jest nowa. Rządzą od tak niedawna, że nie zdążyli jeszcze zasmakować w władzy. Zresztą, co tu mówić, są za ludem i w tym jest ich siła. Było nas, razem ze mną, cztery siostry. Wszystkie pracowałyśmy i z natury rzeczy byłyśmy za bolszewikami. Jedna umarła, zamężna była za politycznym. Mąż jej był administratorem w jednej z tutejszych fabryk. Ich syn, mój siostrzeniec, był przywódcą naszych wiejskich powstańców, w swoim rodzaju znakomitością.

— Teraz rozumiem ! — pomyślał Jurij Andrejewicz. To jest ciotka Liwerja, szwagierka Mikulicyna i miejscowa sława, fryzjerka, szwaczka, kolejarka, znana powszechnie jako robotnica uniwersalna. Będę jednak dalej milczał, aby się nie zdradzić.

— Mój siostrzeniec od dzieciństwa sympatyzował z ludem. Wyrósł u ojca wśród robotników, w fabryce „Swiatogor-Bohatoryr”. Znane zakłady w Warykinie, może o nich słyszeliście. Ale co ja wyprawiam. Idiotka. Pół podbródka ogoliłam, a o drugiej zapomniałam. Oto co znaczy zagadać się. A wy patrzycie i nic

nie mówicie. Mydło tymczasem wyschło. Muszę znów zagrzać wodę. Wystygła.

Gdy Tuncewa wróciła Jurij Andrejewicz spytał :

— Warykino — to taki leśny zakątek, miejsce pod szczególną Boską opieką, do którego żadne przewroty nie dochodzą ?

— Pod Boską opieką — to może przesada. Widziano tam gorsze rzeczy niż u nas. Przez Warykino przechodziły jakieś bandy, nie wiadomo czyje. Po naszymu nie mówili. Obchodzili dom za domem, wszystkich wyprowadzali na ulicę i rozstrzeliwali. I szli dalej, nie mówiąc ani słowa. Trupy tylko na śniegu zostały. Rzecz działa się zimą. Czego się tak szarpiecie. O mały włos wam gardła nie poderżnęłam.

— Mówiliście, że wasz szwagier mieszkał w Warykinie. I jego ten los nie minął ?

— Nie, dlaczego ? Bóg był łaskaw. Szwagier z żoną wyjechali stamtąd zawczasu. Z nową, z drugą żoną. Gdzie teraz są, nie wiadomo, ale ocaleli na pewno. Była tam także pewna moskiewska rodzina, przyjezdna. Ci wyjechali jeszcze wcześniej. Młodszy mężczyzna, głowa rodziny, doktor, zginął bez wieści. Co znaczy bez wieści ? To się tylko tak mówi, żeby nie martwić. W rzeczywistości pewnie umarł, zabity. Szukano go długo, szukano i nie znaleziono. Tymczasem drugiego, starszego, wezwano do kraju. Był profesorem, agronomem. Wezwał go, jak słyszałam, sam rząd. Przejeżdżali przez Jurjatin jeszcze przed powtórным przyjściem białych. Wy znów swoje, drogi towarzyszu ? Kto widział tak skakać i szarpać się pod brzytwą ? Tak łatwo zarżnąć klijenta. Za wiele wymagacie od fryzjera.

— Zatem są w Moskwie !

7

„W Moskwie ! W Moskwie !” — Powtarzał sobie za każdym krokiem, wchodząc po raz trzeci na żelazne schody. Puste mieszkanie powitało go znów hałasem skaczących, padających i biegających szczurów. Jurij Andrejewicz czuł, że mimo całego zmęczenia nie będzie mógł ani na chwilę zasnąć pośród tego paskudztwa. Zaczął więc przygotowania do noclegu od zatykania szczurzych dziur. Na szczęście w sypialni było ich nie wiele, znacznie mniej niż w innych pokojach, gdzie podłogi i ściany były w o wiele gorszym stanie. Trzeba się było jednak śpieszyć. Noc zbliżała się. Na stole stała wprawdzie, przygotowana być może na wypadek jego przyjazdu, do połowy nalana

naftą lampą i w na pół otwartym pudełku dziesięć — Jurij Andrejewicz policzył je — zapalek, ale należało te zapasy oszczędzać. W sypialni znalazła się nadto lampka nocna z kno-tem i ze śladami oliwy, którą zapewne wypily do dna szczury.

Pod ścianami listwy nie przystawały w kilku miejscach do podłogi. Jurij Andrejewicz wbił w szczeliny kilka warstw płaskich kawałków szkła, ostrymi końcami do środka. Drzwi sypialni przystawały szczelnie do progu. Można je było dobrze zamknąć i oddzielić w ten sposób zabezpieczony pokój od reszty mieszkania. Wszystkie te zabiegi zajęły doktorowi niewiele ponad godzinę czasu.

W kącie sypialni stał kaflowy piec nie sięgający sufitu. W kuchni złożone było drzewo, koło dziesięciu naręczy. Jurij Andrejewicz postanowił zubożyć Łarę o dwie wiązki i, przyklepnąwszy na jedno kolano, zaczął układać polana na lewej ręce. W sypialni położył je koło pieca, zapoznał się z jego budową i sprawdził pobieżnie jego stan. Chciał zamknąć sypialnię na klucz, zamek jednak był zepsuty. Aby drzwi nie otwierały się same, Jurij Andrejewicz podłożył pod nie kawałek złożonego w kilkoro papieru, zatrzasnął je i nie śpiesząc się przystąpił do palenia w piecu.

Kładąc polana do pieca spostrzegł na jednym z nich cechę, jaką znaczone zrąbane drzewa. Jurij Andrejewicz poznał ją od razu. Były to ślady dawnego cechowania, litery „K” i „D”, stawiane niegdyś na zrąbanych pniach dla oznaczenia, z jakiego pochodzą leśnictwa. Za czasów Krügera literami tymi znaczone drzewo pochodzące z Kułabyszewskiego rewiru w Warykinie, w czasach gdy tamtejsze zakłady sprzedawały nadmiar drzewa opałowego.

Obecność tego drzewa u Łary dowodziła, że Samdiewiatow roztaczał nad nią opiekę, jak niegdyś nad nim i jego rodziną. Odkrycie to było dla doktora bolesne jak pchnięcie sztyletu. Pomoc Anfima Jefimowicza ciążyła mu już przedtem. Do uczucia skrupowania jakie wynikło z tego długu dołączyły się teraz nowe uczucia.

Trudno mu było uwierzyć, aby Anfim Jefimowicz był dobroczyńcą Łary tylko dla jej pięknych oczu. Jurij Andrejewicz widział w swej wyobraźni swobodne maniery Anfima Jefimowicza i kobiecą lekkomyślność Łary. Nie może być, aby nic nie było między nimi.

Suche kułabyszewskie polana zaczęły trzaskać w piecu; w miarę tego jak się rozpalały, zazdrość zaślepiająca Jurja Andrejewicza przybierała na sile, i lekkie podejrzenia zmieniły się w całkowitą pewność.

Duszę jego szarpały różne troski, jeden ból wypierał drugi. Odpędzanie podejrzeń dotyczących Łary było zbyt ciężkie, bo myśli jego przeskakiwały same z jednego przedmiotu na drugi. Troska o rodzinę oderwała go od zazdrosnych urojeń.

„Jesteście więc, kochani moi, w Moskwie? — Wydało mu się, że Tuncewa mówiła mu o ich pomyślnym przybyciu na miejsce. — Beze mnie odbyliście raz jeszcze tę długą, ciężką podróż? Jak dojechaliście? Na czym polega nowa misja Aleksandra Aleksandrowicza, i kto go wzywał? Pewnie Akademia proponowała mu wznowienie wykładów. Co znaleźliście w domu? I czy dom w ogóle istnieje? O Boże, jak ciężko! Gdyby można było nie myśleć! W głowie mi się mąci. I co się ze mną dzieje, Tونیu? Jestem, zdaje się, chory. Co będzie ze mną i z wami wszystkimi, z tobą, Tونیu, z Szurą i z Aleksandrem Aleksandrowiczem? Przecz-że oddaliłeś mnie od oblicza Twego? Czemu życie oddała was wciąż ode mnie? Czemu jesteśmy zawsze tak daleko od siebie? Niedługo połączymy się, zjedziemy razem, nieprawdaż? Pójdę do was pieszo, jeżeli nie będzie można inaczej. Zobaczymy się. Wszystko ułoży się znów, nieprawdaż?

Jak nie pochłoneła mnie ziemia, jeżeli zapominam, że Tonia miała rodzić i zapewne też urodziła? Nie pierwszy raz już widzę u siebie ten brak pamięci. Jak przeszedł jej poród? I gdzie? W drodze do Moskwy moi byli w Jurjatinie. Łara ich wprawdzie nie знаła, ale los mojej rodziny nie uszedł uwagi szwaczki i fryzjerki, osoby zupełnie obcej. Czemu więc Łara nie pisze o nich ani słowa? Co za dziwne, graniczące z obojętnością roztargnienie! Tak samo trudne do wyjaśnienia jak jej milczenie o stosunkach z Samdiewiatowem”.

W tym miejscu Jurij Andrejewicz obejrzał ściany sypialni nowym, krytycznym okiem. Wiedział wprawdzie, że żaden ze znajdujących się w niej przedmiotów nie należał do Łary, i że urządzenie mieszkania, dzieło nieznanymi i ukrywającymi się gospodarzy, nie może świadczyć o jej gustach. Mimo to poczuł się nieswojo wśród mężczyzn i kobiet patrzących nań z wiszących na ścianach powiększonych fotografii. Niezgrabne meble stwarzały jakąś wrogą mu atmosferę. W tej sypialni doktor czuł się obcy i zbędny.

A przecież to on właśnie wspominał tyle razy, jak głupi, ten dom, marzył o powrocie doń, widział w nim nie zwyczajne mieszkanie lecz symbol swego uczucia dla Łary! Jak uczucia takie muszą być śmieszne dla patrzącego z boku! Czy tak żyją, zachowują się i wyrażają ludzie silni i praktyczni w rodzaju Samdiewiatowa, zresztą bardzo przystojnego mężczyzny?

I dlaczego Łara miałaby dawać pierwszeństwo jemu, jego brakowi charakteru i ciemnemu, nierealnemu językowi w jakim wyrażała się jego miłość? Po co jej był ten cały kram i czy w ogóle ma ochotę być tym, czym jest w jego wyobraźni?

A czym właściwie Łara była dla niego? Och, na to pytanie Jurij Andrejewicz miał zawsze gotową odpowiedź.

Na dworze był wiosenny wieczór. Powietrze było pełne dźwięków, niby znaków wytyczających odległości. Głosy bawiących się dzieci słychać było z bliska i z daleka, jak gdyby dla podkreślenia, że cała przestrzeń, z jednego końca do drugiego, jest pełna życia. Cała ta dal — to Rosja, jego niezrównana, sławna nawet za morzami, znakomita ojczyzna, męczennica uparta, kapryśna, szalona, ubóstwiana, zawsze gotowa do wspaniałych i zgubnych wybryków, których nigdy nie można przewidzieć. Jakim słodkim darem jest egzystencja! Jak dobrze jest żyć i kochać życie! i móc powiedzieć „dziękuję” życiu i egzystencji osobiście!

Tym wszystkim jest Łara. Nie można rozmawiać z pojęciami. Łara jest przedstawicielką, słuchem i mową tych niemych pojęć.

Nieprawdą, po stokroć nieprawdą jest wszystko to, co powiedział o niej w chwili zwątpienia. Wszystko jest w niej nieskazitelne, doskonałe.

Oczy jego napełniły się łzami skruchy i zachwytu. Doktor wziął pogrzebacz i otworzył drzwiczki pieca. Przesunął czysty żar na tył, niedopalone zaś główne ku przodowi, gdzie ciąg powietrza był większy. Przez pewien czas nie zamykał drzwiczek. Czuł z przyjemnością grę ciepła i światła na twarzy i rękach. Ruchomy blask płomieni otrzeźwił go. Z nową siłą odczuwał brak Łary. Szukał jakiegoś przedmiotu, pochodzącego bezpośrednio od niej.

Wyjął z kieszeni jej zmięty list. Złożony był teraz inaczej niż wówczas gdy czytał go po raz pierwszy, i Jurij Andrejewicz teraz dopiero spostrzegł słowa napisane na odwrotnej stronie arkusza. Wygładził zmięty papier i w świetle tańczących w piecu płomieni czytał:

„O twoich bliskich pewnie już wiesz. Są w Moskwie, Tonia urodziła córkę”. Następne wiersze były wymazane, dalej zaś Łara pisała: „Przekreśliłam, bo w liście to wygląda głupio. Opowiem ustnie. Śpieszę się. Biegnę szukać konia. Nie wiem co zrobię, jeżeli go nie dostanę. Z Katią byłoby trudno...”. Reszta zdania była starta i nieczytelna.

— O konia prosiła Anfima i widocznie dostała go, skoro pojechała — rozumował spokojnie Jurij Andrejewicz. — Gdyby nie miała czystego sumienia, nie wspominałaby tego szczegółu.

Gdy piec się wypalił, doktor zasunął szyber i trochę się posilił. Po jedzeniu ogarnęła go nieprzewyciężona sennaś. Nie zdejmując ubrania położył się na kanapie i zasnął głęboko. Nie słyszał nawet ogłuszającego hałasu, jaki szczury robiły zuchwale w całym mieszkaniu. Miał, jeden po drugim, dwa przykre sny.

Znajdował się w Moskwie. Stał w pokoju przed zamkniętymi na klucz oszklonymi drzwiami, które dla pewności przyciągał do siebie za klamkę. W drzwi stukał z drugiej strony, płacząc i prosząc o wpuszczenie do środka, jego syn Szura w dzieciennym płaszczyku, marynarskich spodenkach i berecie, bardzo ładny i nieszczęśliwy. Tuż za nim widać było huczący wodospad, z którego woda bryzgała na chłopca i na drzwi. Woda spadała z pękniętej rury wodociągowej czy kanalizacyjnej. Było to w tej epoce częstym zjawiskiem. Być może jednak drzwi wychodziły istotnie na jakiś górski wąwóz z rwącym potokiem i nagromadzoną wśród skał wilgocią i mrokiem.

Ryk walących się wód napełniał chłopca nieprzytomnym strachem. Wodospad głużył jego krzyki, lecz Jurij Andrejewicz widział, że usta jego składają się do słów: „Tatusiu, tatusiu!”.

Serce krajało mu się. Chciał wziąć chłopca na ręce, przycisnąć go do piersi i uciekać z nim gdzie oczy poniosą, lecz zalewając się łzami ciągnął do siebie klamkę i nie wpuszczał go; składał go w ofierze fałszywemu poczuciu honoru i obowiązku wobec innej kobiety, która nie była matką chłopca i która lada chwila mogła wejść drugimi drzwiami do pokoju.

Jurij Andrejewicz obudził się zlany potem, ze łzami w oczach i natychmiast pomyślał:

— Mam gorączkę. Jestem chory. To nie jest tyfus, ale jakaś ciężka, niebezpieczna choroba z kryzysem, jak przy wszystkich chorobach zakaźnych. Chodzi tylko o to co weźmie górę — życie czy śmierć. Ale jak strasznie chcę spać! — i zasnął znów.

Przyśnił mu się ciemny, zimowy poranek na jednej z ludnych ulic Moskwy. Latarnie jeszcze się paliły. Sądząc z ożywionego ruchu, dzwonek tramwajów i światła latarni, rzucającego żółtawe blaski na szary uliczny śnieg, było to jeszcze przed rewolucją.

Sniło mu się długie mieszkanie z amfiladą pokoi, wychodzących na ulicę, na pierwszym, jak mu się zdawało,

piętrze, z licznymi oknami, zasłoniętymi firankami. W mieszkaniu spali w różnych pozach ubrani ludzie, i panował nieład jak w wagonie kolejowym. Na zatłuszczonych gazetach leżały resztki jedzenia, kości z pieczonych kurcząt, udka i skrzydełka. Obok na podłodze stały parami buciki krewnych i znajomych, przyjezdnych i bezdomnych. Po mieszkaniu szybko i cicho krzątała się gospodyni, Łara, w włożonym na prędce szlafroku. Za nią chodził on sam, coś jej wciąż dokuczliwie i bez potrzeby tłumacząc, lecz Łara nie miała dlań ani chwili czasu i na jego uwagi, nie zatrzymując się, odpowiadała tylko skinieniami głowy, łagodnymi, zdziwionymi spojrzeniami i wybuchami swego nieporównanego, srebrzystego śmiechu. Była to jedyna forma intymności jaka im jeszcze pozostała. Tak odległa, chłodna i powabna, wydawała mu się teraz kobieta, której wszystko poświęcił, którą postawił ponad wszystko i przez porównanie z którą poniżył wszystko pozostałe !

9

Nie on sam, lecz coś większego od niego płakało w nim rzewnymi świecącymi jak fosfor słowami. Jednocześnie płakał także on sam. Było mu żal siebie.

— Jest mi niedobrze, jestem chory — myślał Jurij Andrejewicz podczas krótkich powrotów do świadomości, między okresami snu, majaczenia i nieprzytomności. — To jednak jest jakaś forma tyfusu, nieopisana w podręcznikach i której nie studiowaliśmy na fakultecie. Trzeba by coś ugotować i zjeść, żebym nie umarł z głodu.

Przy pierwszej jednak próbie oparcia się na łokciu przekonał się że nie ma sił i nie może się ruszyć, po czym znów stracił przytomność lub zasnął.

— Ile czasu leżę tu już, ubrany ? — zastanawiał się podczas jednej z jaśniejszych chwil. — Ile godzin ? Ile dni ? Gdy się kładłem zaczynała się wiosna, a teraz na oknie znów szron tak gruby i brudny, że światło nie przenika do pokoju.

W kuchni szczury przewracały talerze, wbiegały na ścianę aż pod sufit, spadały ciężko na podłogę i obrzydliwie, płaczliwie piszczwały.

Jurij Andrejewicz zasypiał i budził się. W pewnej chwili spostrzegł, że w białych otoczkach szronu szyby napęliły się różowym światłem zorzy, która czerwieniła się w nich jak wino w kryształowych kieliszkach. — Jaka to jest zorza ? pytał — ranna czy wieczorna ?

Raz wydało mu się, że słyszy głosy ludzkie gdzieś bardzo blisko, i upadł na duchu sądząc, że są to początki obłądki. Płacząc z żalu nad sobą samym bezdźwięcznym szeptem skarżył się na niebo, które odwróciło się odeń. Czemuś oddalił mnie od oblicza Twego i wydał mroкови potępienia ?

Nagle zrozumiał, że nie śni, lecz naprawdę leży umyty, w czystej koszuli, nie na kanapie lecz w łóżku, na świeżej pościeli, i że mieszając swe włosy z jego włosami i swoje łzy z jego łzami siedzi pochylona nad nim i płacze z nim razem Łara. I z radości stracił przytomność.

10

W niedawnej malignie Jurij Andrejewicz wyrzucał niebu obojętność, niebo zaś w całej swej szerokości zniżało się teraz do jego łóżka, i dwie białe ręce kobiece, obnażone do ramion, wyciągały się ku niemu. Z radości ciemniało mu w oczach ; wpadał w stan błogości jak się wpada w omdlenie.

Przez całe życie Jurij Andrejewicz był czynny. Był zawsze czymś zajęty, krzątał się po domu, leczył, myślał, uczył się, tworzył. Jak dobrze było przestać działać, starać się, myśleć, i na pewien czas pozostawić tę pracę przyrodzie, stać się rzeczą, projektem, wytworem jej dobroczynnych, zachwycających, rozsiewających uroki rąk !

Jurij Andrejewicz poprawiał się szybko. Łara leczyła go i przywracała do życia swą troskliwością, swym łabędzio-białym czarem, głębokim, wilgotnym szeptem swych pytań i odpowiedzi.

Prowadzone półgłosem rozmowy ich, nawet najbanalniejsze, były znaczące jak dialogi Platona.

Bardziej jeszcze niż pokrewieństwo duchowe łączyła ich przepaść jaka ich dzieliła od reszty świata. Obojgu jednakowo niemiłe było wszystko to, co w człowieku współczesnym jest nieuchronnie typowe : wyuczony entuzjazm, krzykliwa przesada i śmiertelny brak polotu, podtrzymywany starannie przez niezliczonych pracowników nauki i sztuki, aby geniusz pozostawał nadal największą rzadkością.

Miłość ich była wielka. Wszyscy jednak kochają, nie spostrzegając niezwykłości tego uczucia.

Dla nich dwojga natomiast — i w tym należeli do wyjątków — chwile gdy miłość, jak tchnienie wieczności, owiewała ich ziemską egzystencję, były chwilami objawienia, odkrywania nowych prawd o sobie i życiu.

— Powinieneś koniecznie wrócić do swoich. Nie będę cię zatrzymywała ani przez jeden dzień. Widzisz jednak co się teraz dzieje. Zaledwie złączyliśmy się z Rosją sowiecką, zostaliśmy objęci jej rozprzężeniem. Syberia i Wschód służą teraz do zatykania jej dziur. Ale ty przecież nic nie wiesz. Tyle zmian zaszło w mieście podczas twojej choroby! Zapasy z naszych składów są wywożone do Moskwy. Dla Moskwy jest to kropla w morzu. Wszystkie transporty znikają jak w beczce bez dna, my zaś zostajemy bez żywności. Poczta nie chodzi, zawieszono ruch pasażerski, jadą tylko transporty zboża. W mieście znów szemranie, jak przed powstaniem Gajdy, i w odpowiedzi na przejawy niezadowolenia znów szaleje Czerwyczałka.

Została z ciebie tylko skóra i kości, dusza ledwie się w tobie kołacze. Czy mógłbyś w takim stanie puszczać się w podróż? Zwłaszcza piechotą? Nie dojdiesz! Wpierw musisz się wzmocnić, nabrać sił, a potem zobaczymy.

Nie śmiem ci radzić, ale na twoim miejscu, przed powrotem do swoich, poszłabym tu tymczasem na służbę w twoim zawodzie; to się teraz ceni. Poszłabym, na przykład, do naszego gubernialnego urzędu zdrowia, który został na dawnym miejscu, tam gdzie przedtem był zarząd sanitarny.

Pomyśl zresztą sam. Jesteś synem syberyjskiego milionera, samobójcy, żona twoja jest córką tutejszego fabrykanta i właściciela ziemskiego. Uciekłeś od partyzantów. Możesz to tłumaczyć jak chcesz, a jest to ucieczka z szeregow wojskowo-rewolucyjnych, dezercja.

W żadnym wypadku nie możesz więc pozostawać bez pracy. Moje położenie nie jest lepsze. Pójdę również do pracy w gubernialnym wydziale oświaty ludowej. Mnie też ziemia usuwa się spod nóg.

— Jak to usuwa się? A Strelnikow?

— Dlatego się właśnie usuwa, że Strelnikow. Już przedtem mówiłam ci, że ma tylu wrogów. Czerwona armia zwyciężyła. Bezpartyjnych wojskowych, którzy stali blisko centralnej władzy i za dużo wiedzą wyrzucą teraz na zbity łeb. Dobrze będzie jeżeli tylko wyrzucą, a nie stracą, aby nie zostawiać śladów. Pasza stoi wśród nich na pierwszym miejscu. Jest teraz w największym niebezpieczeństwie. Był na Dalekim Wschodzie. Słyszałam, że uciekł i ukrywa się. Mówią, że jest poszukiwany. Ale dosyć o tym. Nie lubię płakać, a czuję, że się zaraz rozpłaczę, jeżeli powiem o nim jeszcze jedno słowo.

— Kochałeś go i kochasz wciąż?

— Jestem przecież jego żoną, Jura. To prawy, szlachetny charakter. Jestem wobec niego głęboko winna. Nie zrobiłam mu wprawdzie nic złego, twierdzić tak byłoby kłamstwem. Chodzi o to, że on jest człowiekiem wielkiego wymiaru, ogromnej prawości, ja zaś jestem niczym w porównaniu z nim. Na tym polega moja wina. Ale teraz już dosyć o tym. Sama kiedyś do tego wróć, przyrzekam ci. Jaka cudna jest twoja Tonia, jak z Botticellego. Byłam przy jej połogu. Strasznie zaprzyjaźniłyśmy się. Ale o tym też będziemy mówili później. Tak więc chodźmy razem na służbę. Będziemy oboje chodzili do biura. Co miesiąc będziemy otrzymywali pensje w miliardach. Do ostatniego przewrotu były w obiegu banknoty syberyjskie. Unieważniono je dopiero teraz, zupełnie niedawno, i podczas twojej choroby byliśmy przez długi czas zupełnie bez pieniędzy. Wyobraź sobie! Trudno w to uwierzyć, ale jakoś obchodziliśmy się bez nich. Teraz dopiero do byłej izby skarbowej przywieziono cały transport papierowych pieniędzy. Mówią, że nie mniej niż czterdzieści wagonów. Wydrukowane są jak znaczki pocztowe, na wielkich arkuszach niebieskich i czerwonych, dzielących się na małe odcinki. Niebieskie są po pięć milionów, czerwone zaś po dziesięć. Kiepski druk, farby ścierają się, płowieją.

— Widziałem już te pieniądze. Wprowadzono je w Moskwie na krótko przed naszym wyjazdem.

12

— Coś ty robiła tak długo w Warykinie? Tam przecież nikogo nie ma. Co cię tam zatrzymało?

— Sprzątałam z Katią wasz dom. Obawiałam się, że pójdziesz wprost tam, i nie chciałam żebyś znalazł wasze mieszkanie w takim stanie.

— W jakim stanie? Ruina, nieporządek?

— Nieporządek, śmiecie. Wszystko posprzątałam.

— Co za wymijająca lakoniczność. Ty coś ukrywasz. Ale niech tak będzie, nie chcę tego dochodzić. Opowiedz mi o Toni. Jak nazwano dziewczynkę?

— Masza. Na pamiątkę twojej matki.

— Opowiedz mi o nich.

— Może innym razem. Mówiłam ci już, że zbiera mi się na płacz.

— A Samdewiatow, ten co ci konia pożyczył, ciekawa postać? Co o nim myślisz?

— Bardzo ciekawy.

— Anfima Jefimowicza doskonale znam. Był naszym przyjacielem i pomagał nam, kiedyśmy tu przyjechali do nowego dla nas kraju.

— Wiem. Opowiadał mi.

— Jesteście z nim pewnie w dobrych stosunkach? On i tobie stara się być użyteczny?

— Wprost obsypuje mnie dobrodziejstwami. Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez niego.

— Wyobrażam sobie. Masz z nim zapewne miłe, koleżeńskie stosunki? On cię na pewno emabluje na całego?

— I jak. Uparcie.

— A ty? Ale przepraszam. Za wiele sobie pozwalam. Jakim prawem zadaję ci takie pytania? Wybacz. Jestem niedyskretny.

— Proszę bardzo. Interesuje cię zapewne coś innego, mianowicie natura naszych stosunków. Chcesz wiedzieć, czy do naszej znajomości nie wkradło się coś więcej, coś bardziej osobistego? Oczywiście nie. Jestem mu bardzo wdzięczna, mam wobec niego ogromne zobowiązania, lecz nawet gdyby Anfim Jefimowicz ożłocił mnie, nawet gdyby oddał za mnie życie, wcale by to mnie do niego nie zbliżyło. Od urodzenia czuję niechęć do ludzi tego obcego mi typu. Ludzie przedsiębiorczy, pewni siebie, władczy, są w sprawach życiowych niezastąpieni. W sprawach sercowych natomiast kogucie, wąsate, męskie zadowolenie z siebie jest odrażające. Mam zupełnie inne pojęcia o intymności i życiu. Ale to nie wszystko. Pod względem moralnym Anfim przypomina mi innego, nierównie bardziej odpychającego człowieka, dzięki któremu stałam się tym czym jestem.

— Nie rozumiem. Czym ty jesteś? Co masz na myśli? Zechciej to objaśnić. Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie.

— Ach, Jura, czy tak można? Mówię z tobą poważnie, a ty mi prawisz komplementy jak w salonie. Pytasz czym jestem. Jestem istotą nadłamaną, ze skazą na całe życie. Przedwcześnie, występnie wcześniej zrobiono ze mnie kobietę i wtajemniczono mnie w życie od najgorszej strony. Poznałam je w fałszywym, bulwarowym świetle, tak jak je widział pewny siebie starszy pasożyt poprzedniej epoki, czerpiący z wszystkiego korzyści i mogący sobie na wszystko pozwolić.

— Domyślałam się. Przypuszczałam nawet coś podobnego. Lecz zaczekaj. Łatwo wyobrazić sobie twój ówczesny ból, tak

niestosowny dla twego wieku, twoje przerażenie niedoświadczonej dziewczyny i twoją pierwszą krzywdę. Ale to należy do przeszłości. Chcę powiedzieć, że boleć nad tym powinnaś teraz nie ty, lecz ci, którzy cię kochają, na przykład ja. To ja powinienem wyrwać sobie włosy i rozpaczać, że spóźniłem się, że nie byłem wówczas przy tobie, aby zapobiec wszystkiemu, co mogło stać się dla ciebie istotnie źródłem cierpienia. Wyda ci się to może dziwne, ale zdaje mi się, że prawdziwą, śmiertelną zazdrość mogę odczuwać tylko o kogoś stojącego niżej ode mnie, obcego. Współzawodnictwo z kimś górującym budzi we mnie zupełnie inne uczucia. Gdyby ktoś pokrewny mi duchem i bliski memu sercu pokochał tę samą kobietę co ja, miałbym w stosunku do niego uczucie smutnego braterstwa raczej niż krzywdy i urazy. Nie mógłbym oczywiście dzielić się z nim przedmiotem mego uwielbienia, lecz ustąpiłbym z uczuciem cierpienia zupełnie innej natury niż zazdrość, mniej dymiącem i krwawym. Ta sama sytuacja powstałaby przy spotkaniu z artystą, który pracując nad podobnym tematem pobiłby mnie wyższością swego talentu. Zrezygnowałbym prawdopodobnie z moich projektów, które byłyby tylko powtórzeniem jego prac, uznanych przeze mnie za lepsze. Ale odchodzę od tematu. Myślę, że nie kochałbym ciebie tak bardzo, gdybyś na nic nie mogła się skarżyć i niczego nie musiała żałować. Nie lubię sprawiedliwych, którzy nigdy nie musieli się wstydić i cofać. Cnota ich jest martwa i niewiele warta. Urok życia pozostał im nieznany.

— O tym uroku właśnie. Wydaje mi się, że poznanie jego wymaga czystości wyobraźni i świeżości wzruszenia. A tego zostałam pozbawiona. Być może wytworzyłam sobie swój własny pogląd na życie, gdybym od pierwszych kroków nie zobaczyła go cudzymi, plugawiącymi wszystko oczami. Co więcej, wmieszanie się w moje najwcześniejsze życie pewnej nędznej przeciętności zwichnęło później moje małżeństwo z człowiekiem wybitnym, który mnie bardzo kochał i dla którego miałam takie same uczucie.

— Zaczekaj. O mężu opowiesz później. Mówiłem ci, że uczucie zazdrości może budzić we mnie tylko ktoś stojący niżej. Nie jestem zazdrosny o twego męża. A tamten?

— Jaki tamten?

— Ten hulaka, który cię uwiódł, kto to taki?

— Dość znany moskiewski adwokat. Kolegował z moim ojcem, a po jego śmierci pomagał finansowo mamie, dopóki byliśmy w biedzie. Kawaler, zamożny. Oczerniając go przypisuję mu zapewne znaczenie, jakiego w rzeczywistości nie

posiadał. Bardzo pospolite zjawisko. Jeżeli chcesz, powiem jak jak się nazywa.

— Nie trzeba. Wiem. Raz już go widziałem.

— Doprawdy ?

— W hotelu, gdy truła się twoja matka, późnym wieczorem. Byliśmy jeszcze dziećmi, gimnazystami.

— Pamiętam. Przyjechaliście i staliście w ciemnym przedpokoju. Sama być może nie przypomniabym sobie tej sceny, ale ty pomogłeś mi już raz wywołać się z niepamięci. Było to, jak mi się zdaje, w Mieluziejewie.

— Był tam Komarowski.

— Czyżby ? Zresztą zupełnie możliwe. Łatwo było mnie z nim spotkać. Często bywaliśmy razem.

— Czemu zaczerwieniłaś się ?

— Bo posłyszałam nazwisko Komarowski w twoich ustach. Z niespodzianki.

— Razem ze mną był mój kolega z tej samej klasy gimnazjalnej, który już wówczas w hotelu opowiedział mi następującą historię. Poznał mianowicie w Komarowskim człowieka, którego widział już raz przypadkiem w niezwyklej okolicznościach. Chłopak ten, gimnazista, Michaił Gordon, był świadkiem samobójstwa mego ojca, przemysłowca i milionera. W zamiarze samobójczym ojciec wyskoczył z jadącego pociągu i zabił się. Ojcu towarzyszył Komarowski, jego doradca prawny. Komarowski spajał ojca i wikłał jego interesy, doprowadzając go do bankructwa i zguby. On to jest winowajcą jego samobójstwa i tego, że zostałem sierotą.

— Nie może być ! Co za niesłychany zbieg okoliczności ! Czy to może być prawda ? Więc on był i twoim złym geniuszem ? Jak to nas łączy ! W tym jest jakieś przeznaczenie !

— Oto o kogo jestem, szalenie, niepoprawnie zazdrosny.

— Co ty mówisz ? Przecież ja go nie kocham i ja nim pogardzam.

— Czy ty znasz siebie tak dokładnie ? Ludzka, a zwłaszcza kobieca natura jest tak ciemna, tak pełna sprzeczności ! Przez jakieś zazębienie twego obrzydzenia jesteś być może bardziej zależna od Komarowskiego niż od kogokolwiek bądź innego, niż od kogoś kogo kochasz z własnej woli, bez przymusu.

— To straszne, coś powiedział. I, jak zwykle, powiedziałeś to tak trafnie, że ta potworność przeciwna naturze wydaje się prawdą. Ale w takim razie to jest okropne.

— Uspokój się. Nie słuchaj mnie. Chciałem powiedzieć, że jestem zazdrosny o wszystko co jest w tobie ciemne, nieświadome, czego nie wyjaśnić, czego nie można się domyśleć.

Jestem zazdrosny o twoje przybory toaletowe, o krople potu na twojej skórze, o unoszące się w powietrzu zarazki, które mogą do ciebie przylgnąć i zatruć ci krew. I jak o to zakażenie, jestem zazdrosny o Komarowskiego, który kiedyś odbierze mi ciebie i rozłączy nas jak moja lub twoja śmierć. Wszystko to musi ci się wydawać bardzo niejasne. Nie mogę wypowiedzieć się jaśniej i zrozumialej. Kocham cię szalenie, nieprzytomnie, bez końca.

— Opowiedz mi coś więcej o mężu. W księdze przeznaczeń jesteś w jednym wierszu, jak mówi Shakespeare.

— Skąd to jest ?

— Z „Romea i Julii”.

— Mówiłam ci o nim wiele w Mieluziejewie, kiedy go poszukiwałam. I potem tu, w Jurjatinie, podczas naszych pierwszych spotkań, kiedy dowiedziałam się od ciebie, że chciał cię aresztować w swoim wagonie. Być może opowiadałam ci już, a być może mi się tylko tak wydaje, że raz widziałam go z daleka, siadającego do samochodu. Nie wyobrażasz sobie, jak go pilnowano ! Znalazłam, że się prawie nie zmienił. Ta sama piękna, uczciwa, stanowcza twarz, najuczciwsza twarz jaką kiedykolwiek widziałam na świecie. Charakter męski, całkowity brak pozy. Taki był zawsze i takim pozostał. A jednak zauważyłam pewną zmianę, która przejęła mnie lękiem. W twarzy jego pojawiło się jak gdyby coś oderwanego, odbarwiającego. Żywa twarz człowieka stała się uosobieniem jakiejś zasady, wyobrażeniem idei. Serce ścisnęło mi się przy tym spostrzeżeniu. Zrozumiałem, że jest to skutek jego oddania się siłom wysokim wprawdzie, lecz zadającym śmierć, bezlitosnym, które i jemu kiedyś nie przebaczą. Wydało mi się, że jest już naznaczony przez los, że to jest piętno skazańca. Ale miesza być może różne rzeczy. Być może powtarzam wyrażenia, w których opisywałeś mi wasze spotkanie. Tyle przecież rzeczy od ciebie pożyczam !

— Opowiedz mi teraz o waszym życiu przed rewolucją.

— W dzieciństwie już zaczęłam marzyć o czystości. Ten chłopiec był jej uosobieniem. Pochodzimy prawie z jednego podwórka. Ja, on i Galiullin. Byłam jego dziecięcą miłością. Serce jego zamierało na mój widok. Niedobrze zapewne jest, że to mówię i że o tym wiem, ale gorzej byłoby, gdybym udawała, że nic nie wiedziałam. Byłam jego dziecięcą miłością,

pasją, którą się skrywa, której dziecięca duma nie pozwala ujawnić, a która wypisana jest na twarzy i widoczna dla wszystkich. Przyjaźniliśmy się. Byliśmy od siebie w tym samym stopniu różni, w jakim ty i ja jesteśmy do siebie podobni. Wtenczas już serce moje wybrało go. Postanowiłam połączyć się z tym cudnym chłopcem, kiedy tylko dorośniemy, i w myśli byłam jego narzeczoną. Jaki on był zdolny ! Niezwykłe ! Syn prostego dróżnika czy stróża kolejowego, wyłącznie dzięki swym uzdolnieniom i wytrwałości Pasza osiągnął poziom — powinien powiedzieć najwyższy poziom — wykształcenia uniwersyteckiego w dwóch dziedzinach : w matematyce i w humanistyce. To nie żarty.

— Jeżeliście się tak kochali, co zmało wasz domowy pokój.

— Ach, jak trudno na to odpowiedzieć ! Zaraz ci to wytłumaczę. Ale czy to nie dziwne że ja, słaba kobieta, mam tłumaczyć takiemu mądrymu człowiekowi jak ty, co się stało z życiem ludzkim w Rosji i dlaczego rozpadają się rodziny, a w ich liczbie twoja i moja ? Ach, gdybyż chodziło tu o ludzi, o zgodność charakterów, o miłość lub jej brak ! Wszystkie stworzone przez człowieka i ustalone pojęcia o życiu codziennym, o domu rodzinnym, o porządku rozpadły się w proch na skutek przewrotu i przebudowy społeczeństwa. Wszystko co było uwarunkowane obyczajami leży w gruzach. Pozostała tylko wyrwana z tych warunków, nie znajdująca zastosowania, naga siła uczucia, dla którego nic się nie zmieniło, bo uczucie to za wszystkich czasów zięblo, drżało i szukało dokoła siebie czegoś podobnego, również cierpiącego i samotnego. Jesteśmy z tobą jak pierwsi ludzie, Adam i Ewa, którzy nie mieli się czym okryć w początku świata ; na końcu jego stoimy również nadzy i bezdomni. Jesteśmy z tobą ostatnim wspomnieniem rzeczy wielkich, które stworzono w ciągu kilku tysięcy lat jakie upłynęły między pierwszymi ludźmi i nami, i na pamiątkę tych znikniętych cudów kochamy się i płaczemy, trzymamy się razem i lgniemy jedno do drugiego.

14

Po przerwie Łara ciągnęła dalej, tonem znacznie spokojniejszym.

— Powiem ci jeszcze. Gdyby Strelnikow stał się znów Paszą Antipowem. Gdyby przestał szaleć i buntować się. Gdyby czas wrócił wstecz. Gdyby gdzieś daleko, na końcu świata,

jakimś cudem zaświeciło się znów okno naszego domu z lampą i książkami Paszy na stole, wróciłabym tam na kolanach. Wszystko obudziłoby się we mnie znów. Nie oparłabym się wzywającej mnie przeszłości, wierności. Poświęciłabym temu wszystko, wszystko najdroższe, nawet ciebie. I moją intymność z tobą, taką lekką, nieprzymuszoną, naturalną. Daruj mi. Chciałam powiedzieć coś innego, to nieprawda.

Łara rzuciła mu się na szyję i rozplakała, szybko jednak uspokoiła się i ocierając łzy powiedziała :

— Przecież to jest ten sam głos obowiązku, który każe tobie wracać do Toni. Boże, jacyśmy biedni. Co z nami będzie ? Co robić ?

Uspokoiła się znów i ciągnęła dalej :

— Nie odpowiadałam ci dotąd na pytanie co zniweczyło nasze szczęście. Zrozumiałam to jasno dopiero później. Opowiem ci to. Będzie to nie tylko moja historia, ale także wielu innych.

— Mów moja mądra pieśczołko.

— Pobraliśmy się przed samą wojną, dwa lata przed jej wybuchem. Gdy tylko zaczęliśmy żyć samodzielnie, według naszego gustu, i urządziliśmy nasz dom, przyszła wojna. Jestem teraz pewna, że wojna była przyczyną wszystkich późniejszych nieszczęść jakie spadły na nasze pokolenie. Pamiętam dobrze moje dzieciństwo. Zdążyłam jeszcze widzieć czasy, w których panowały pokojowe pojęcia poprzedniego stulecia. Przyjęte było ufać głosowi rozsądku. To co mówiło sumienie uważano za naturalne i ważne. Śmierć z ręki drugiego człowieka była zjawiskiem rzadkim, niezwykłym. Myślano, że zabójstwa istnieją tylko w tragediach, w powieściach kryminalnych i w kronikach gazet, lecz że w normalnym życiu ich nie ma. I nagle ten przeskok od pogodnej i umiarkowanej egzystencji do krwi i jęku, do szaleństwa i zdziczenia, i do codziennego, ulegalizowanego i zachwalanego morderstwa. Takie rzeczy nigdy zapewne nie mijają bezkarnie. Pamiętasz chyba lepiej ode mnie jak wszystko zaczęło się dezorganizować. Ruch pociągów, aprowizacja miast, życie rodzinne i podstawy moralności.

— Mów dalej. Domyślam się już tego co powiesz. Jak ty wszystko rozumiesz ! I z jaką radością cię słucham !

— Na ziemię rosyjską zeszło wówczas kłamstwo. Głównym złem i zadatkem wszystkich późniejszych nieszczęść była utrata wiary w wartość własnego zdania. Wyobrażono sobie, że czasy postępowania według własnego wyczucia moralnego minęły, że trzeba teraz śpiewać jak wszyscy i żyć według obcych, narzuconych wszystkim pojęć. Od tej chwili zaczął się wzrost potęgi frazesu, zrazu monarchistycznego potem rewolucyjnego. Zakła-

manie całego społeczeństwa ogarnęło wszystko. Lepiło się do każdej rzeczy. Wpływ jego szerzył się wszędzie. Nie ostał mu się i nasz dom. Coś zachwiało się w nim. Zamiast żywej bezpośredniości panującej zawsze w naszym domu, do rozmów naszych zaczęło przenikać coś z głupiej deklamacji, z obowiązującego mądrzenia się na obowiązujące, światowe tematy. Czy tak subtelny i wymagający w stosunku do siebie człowiek jak Pasza, tak dokładnie umiejący odróżnić rzeczy istotne od pozornych, mógł tego przenikłego do nas fałszu nie zauważyć?

I tu Pasza popełnił fatalną omyłkę, przesądającą o wszystkim co miało nastąpić później. Wziął mianowicie za nasze wewnętrzne, domowe zjawisko to, co było złem społecznym, znakiem czasu. Sztuczność tonu i urzędową sztywność naszych rozumowań wziął do siebie, przypisując ją temu, że jest człowiekiem oschłym, miernym, oderwanym od życia. Nie chcesz zapewne wierzyć, aby takie głupstwa mogły rozstrzygnąć o naszym poźyciu. Nie możesz sobie jednak wyobrazić, jak to było ważne, i ile głupstw popełnił Pasza przez to dziecinne nieporozumienie. Poszedł na wojnę, czego nikt od niego nie wymagał. Zrobił to, aby uwolnić nas od siebie, od swego domniemanego ucisku. Od tego zaczęły się jego szaleństwa. Z jakąś młodzieńczą, źle zrozumianą ambicją poczuł się obrażony przez coś, co nikogo nie może obrażać. Zaczął dąsać się na bieg wypadków, na historię. Tak zaczął się jego spór z historią, z którą i teraz jeszcze załatwia porachunki. To jest źródło jego wyzywających wybryków. Przez tę głupią ambicję idzie do pewnej zguby. O, gdybym mogła go ocalić!

— Twoja miłość jest niewiarygodnie czysta i silna! Kochaj go, kochaj. Nie jestem o niego zazdrosny, nie przeszkadzam ci go kochać.

15

Lato nadeszło i minęło niepostrzeżenie. Doktor wyzdrowiał. Tymczasowo, w oczekiwaniu projektowanego wyjazdu do Moskwy, wziął trzy posady. Szybka dewaluacja pieniędzy zmuszała go do szukania zarobków z kilku źródeł.

Wstawał przy pianiu kogutów i schodził Kupiecką ulicą, mijając kino „Gigant”, do byłej drukarni Kozaków Uralskich, noszącej nazwę „Czerwony zecer”. Na rogu Miejskiej, na drzwiach głównego zarządu witała go tabliczka ze słowami: „Biuro zażaleń”. Przecinając na ukos plac, wychodził na Małą Bujanówkę, mijał fabrykę Stanhona’a i przez podwórze szpitalne

wchodził do ambulatorium szpitala wojskowego, gdzie miał swe główne zajęcia.

Połowę tej drogi zaciemniały zwieszające się nad ulicą gałęzie drzew, wśród których stały drewniane przeważnie domki o łamanych dachach i wycinanych okiennicach. Domki te, zbudowane w zawiłym stylu, otaczały sztachety z malowanymi wrotami.

W sąsiedztwie ambulatorium, w dawnym ogrodzie kupców Goregladowych stał niewysoki, ciekawy dom w starym, rosyjskim stylu. Ściany jego były wyłożone wypukłymi, pokrytymi glazurą, ceglami, jak stare domy moskiewskich bojarów.

Dwa lub trzy razy na dekadę Jurij Andrejewicz szedł z ambulatorium na posiedzenie okręgowej komisji sanitarnej, mieszczącej się w byłym domu Lighettiego na Starej Miasskiej.

W innej, odległej dzielnicy stał dom ofiarowany na cele lecznicze przez ojca Anfima, Jefima Samdiewiatowa, którego żona zmarła wydając na świat Anfima. W domu tym znajdował się ufundowany przez Samdiewiatowa instytut ginekologiczny i położniczy. Mieściły się tam również przyspieszone kursy medyczno-chirurgiczne imienia Róży Luksemburg. Jurij Andrejewicz wykładał tam patologię ogólną i kilka przedmiotów nieobowiązkowych.

Z wszystkich tych zajęć wracał wieczorem zmordowany i głodny do domu, gdzie zastawał Łarisę Fiodorowną krzątającą się przy płycie lub balii. Przy tych prozaicznych zajęciach, nieuczesana, w roboczym ubraniu, z zakasanymi rękawami i podwiniętą spódnicą onieśmiała go prawie szlachetnością swego wdzięku bardziej niż gdyby zastał ją wyjeżdżającą na bal, podwyższoną przez obcasy, w wyciętej sukni o szerokiej, szeluszczącej spódnicy.

Łara gotowała i prała, myjąc pozostałymi po praniu mydlinami podłogi, lub, spokojniejsza, prasowała i naprawiała swoją, jego i Kati bieliznę. Skończywszy gotować, prać i sprzątać dawała lekcje Kati lub, pogrążona w podręczniku, zajmowała się własnym przeszkoleniem politycznym przed objęciem stanowiska nauczycielki w nowej, zreorganizowanej szkole.

Im bliższa stawiała mu się ta kobieta i ta dziewczynka, tym mniej Jurij Andrejewicz ośmielał się traktować je jak swoją rodzinę, tym surowiej myśli jego były kontrolowane przez poczucie obowiązku wobec swoich bliskich i świadomość, że nie dochował im wiary. W jego powściągliwości nie było jednak nic, co mogłoby urazić Łarę i Katię, przeciwnie był w niej głęboki szacunek, wykluczający nonszalcję i beczere-monialność.

Rozdwojenie to męczyło go i bolało. Jurij Andrejewicz przywykł doń jak przywyka się do niezagojonej i wciąż otwierającej się rany.

Minęły tak dwa czy trzy miesiące. Gdzieś w październiku Jurij Andrejewicz powiedział Łarisie Fiodorownie :

— Wiesz, zdaje mi się, że będę musiał rzucić posadę. Stara, wiecznie powtarzająca się historia. Zaczyna się jak najlepiej. „Jesteśmy zawsze radzi uczciwej pracy, a jeszcze więcej myślom, zwłaszcza nowym. Czy moglibyśmy ich nie cenić? Witajcie więc. Pracujcie, walczyście, szukajcie”.

W praktyce okazuje się, że przez myśli rozumieją tylko ich pozory, słowne ornamenty do wychwalania rewolucji i władzy. To jest męczące i nudne. Ja się do tego nie nadaję.

Niewątpliwie mają przy tym rację. Nie jestem na pewno po ich stronie. Trudno mi jednak pogodzić się z myślą, że oni — to bohaterowie, świetlane postacie, a ja — nędzna duszyczka, zwolennik ciemnoty i uciemnienia człowieka. Czy słyszałaś kiedy nazwisko Nikołaja Wedeniapina?

— Owszem, tak. Słyszałam przed poznaniem ciebie, a potem ty mi często o nim mówiłaś. Często wspomina go też Sima Tuncewa, która należy do jego wyznawców. Ze wstydem muszę jednak przyznać, że książek jego nie czytałam. Nie lubię książek poświęconych wyłącznie filozofii. Według mnie filozofia powinna być przyprawą do sztuki i życia. Wyłącznie zajmowanie się filozofią jest tak dziwne jak odżywianie się samym tylko chrzaniem. Ale przepraszam, przerwałam ci moimi głupimi uwagami.

— Bynajmniej. Zgadzam się z tobą. Twój sposób myślenia jest mi bardzo bliski. Ale wracam do wuja. Być może wpływ jego był dla mnie zgubny. Ale przecież to oni sami krzyczą zgodnie : Genialny diagnosta, genialny diagnosta. Istotnie rzadko myślę się w rozpoznawaniu choroby. Ale to jest właśnie znienawidzona przez nich intuicja, poznanie bezpośrednie, obejmujące cały obraz choroby.

Moim konikiem jest zagadnienie mimikry, przystosowanie zewnętrzne organizmów do barwy otoczenia. W tym strojeniu się w barwy ukrywa się zdumiewające przejście od wewnętrznego do zewnętrznego. Ośmieliłem się poruszyć to zagadnienie w moich wykładach. I zaraz zaczęło się : „Idealizm, mistyka, *Naturphilosophie* Goethego, neoschellingianizm”.

Trzeba się wycofywać. Z komisji sanitarnej i z instytutu wyjdę sam, na własną prośbę. W szpitalu zostanę dopóki mnie nie wypędzą. Nie chcę cię straszyć, ale chwilami mam wrażenie, że dziś czy jutro mnie aresztują.

— Uchowaj Boże, Jura. Do tego na szczęście jeszcze daleko. Poza tym masz rację. Ostrożność nie zaszkodzi. Zauważyłam, że instalowanie się nowej władzy odbywa się w kilku etapach. Z początku jest to triumf rozumu, krytycyzmu, walka z przesadami. Potem przychodzi drugi etap. Górę biorą ciemne siły wkręcających się oportunistów, fałszywych sympatyków. Wzrasta podejrzliwość, zaczynają się donosy, intrygi, nienawiści. Masz rację, znajdujemy się na początku tej drugiej fazy.

Przykładów nie trzeba daleko szukać. Do tutejszego rewtrybunału przeniesiono z Chodatskiego dwóch starych katorżników politycznych, dawnych robotników, Tiwierzina i Antipowa.

Obaj doskonale mnie znają, a jeden z nich jest po prostu ojcem mego męża, moim teściem. Ale właśnie dopiero po ich niedawnym przyjeździe zaczęłam drżeć o życie moje i Kati. Można się po nich wszystkiego spodziewać. Antipow nie lubi mnie. Może się zdarzyć, że któregoś pięknego dnia oni mnie i nawet Paszę zniszczą w imieniu wyższej sprawiedliwości rewolucyjnej.

Dalszy ciąg tej rozmowy odbył się w niedługi czas potem. Przeprowadzono właśnie nocną rewizję w domu numer czterdziesty ósmy przy Małej Bujanowce, obok ambulatorium, u wdowy Goregladowej. W domu tym znaleziono skład broni i wykryto kontrrewolucyjną organizację. W mieście aresztowano wiele osób. Areszty i rewizje zataczały coraz szersze kręgi. Szeptano, że część podejrzanych uciekła za rzekę. Można było słyszeć takie refleksje : — Co im to pomoże ? Rzeka rzece nie równa. Różne bywają. W Błagowieszczensku nad Amurem na przykład, na jednym brzegu władza sowiecka, na drugim — Chiny. Tam byle do rzeki wskoczyć, przepłynąć, i adieu. To jest, można powiedzieć, rzeka. Tam zupełnie inna sprawa.

— Atmosfera robi się ciężka — mówiła Łara — czasy naszego bezpieczeństwa minęły. Nas oboje na pewno aresztują. Co wówczas będzie z Katią. Jestem matką, muszę uprzedzić tę klęskę i coś wymyślić. Muszę mieć na ten wypadek jakąś gotową decyzję. Tracę głowę, gdy o tym myślę.

— Zastanówmy się. Co tu można zrobić ? Czy możemy odwrócić ten cios ? To jest przeznaczenie.

— Uciekać nie ma dokąd, ale można zejść gdzieś z oczu, na drugi plan. Wyjechać, na przykład, do Warykina. Myślę o tamtejszym domu. Jest to bardzo daleko ; dom jest całkowicie

opuszczony, ale tam nie wpadalibyśmy tak w oko jak tu. Nadchodzi zima. Wziąłabym na siebie urządzenie naszego zimowiska. Zanim by nas tam odkryto, zyskalibyśmy rok czasu. Samdewiatow pomógłby nam w utrzymywaniu stosunków z miastem. Być może zgodziłby się nas przyjąć. Co ty na to? Tam wprawdzie nie ma nikogo, pustka straszna. Tak było przynajmniej w marcu, kiedy tam jeździłam. Mówią też o wilkach. To jest straszne, ale ludzie, zwłaszcza tacy jak Antipow i Tiwierzyn, są teraz straszniejsi od wilków.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Ty sama przecież kładziesz mi wciąż do głowy, że powinienem jechać do Moskwy i radzisz nie odkładać wyjazdu. Podróżować jest obecnie łatwiej. Informowałam się na stacji. Na spekulantów patrzą teraz przez palce. Nie wszystkich jadących na gapę wysadzają w drodze. Zmęczyli się rozstrzeliwaniem i robią to jednak rzadko. Niepokoi mnie, że na listy do Moskwy nie mam odpowiedzi. Trzeba by tam pojechać i wyjaśnić co się stało z moją rodziną. Ty sama mi to wciąż mówisz. Jak więc mam rozumieć twoje słowa o Warykinie? Sama przecież nie pojedziesz w to straszliwe pustkowienie?

— Nie, bez ciebie to będzie niemożliwe.

— A wysyłasz mnie do Moskwy?

— Koniecznie musisz tam jechać.

— Posłuchaj. Wiesz co? Mam doskonały projekt. Jedźmy do Moskwy. Bierz Katię i jedź ze mną.

— Do Moskwy? Czyś ty oszalał? Z jakiej racji? Nie, muszę zostać tu. Powinnam być tu gdzieś w pobliżu. Tu rozstrzygną się losy Paszy. Muszę na to czekać i być na wszelki wypadek pod ręką.

— Pomyślmy w takim razie o Kati.

— Bywa u mnie Sima Tuncewa. Niedawno mówiliśmy o niej.

— Pamiętam. Często przecież widuję ją u ciebie.

— Dziwię ci się. Gdzie mężczyźni mają oczy? Na twoim miejscu zakochałabym się w niej od razu. Jaki wdzięk, wzrost! Jest taka zgrabna, rozumna, czytana, dobra! Ma taką jasność sądu.

— Kiedy wróciłem z niewoli, gołiła mnie jej siostra Głafira.

— Wiem. Obie mieszkają razem z najstarszą siostrą Awdotią, bibliotekarką. Bardzo porządna, pracująca rodzina. Chciałam je prosić, aby w najgorszym wypadku, gdyby nas oboje aresztowano, wzięły Katię pod swoją opiekę. Jeszcze się jednak nie zdecydowałam.

— Odłóżmy to na wypadek zupełnie beznadziejnej sytuacji. A jeśli Bóg da, to się może jeszcze odwlecze.

— O Simie mówią, że jest trochę zwariowana. Nie można powiedzieć, aby była zupełnie normalna. Ale u niej wynika to z głębokiej oryginalności. Sima jest fenomenalnie wykształcona, nie po inteligencku, ale tak jakoś na sposób ludowy. Jej poglądy są uderzająco podobne do twoich. Z lekkim sercem oddałabym jej Katię na wychowanie.

17

Doktor raz jeszcze chodził na stację, ale wrócił z niczym, nie dowiedziawszy się nic nowego. Wszystko pozostało w zawieszaniu. Przyszłość jego i Łary była pełna niewiadomych. Dzień był chłodny i ciemny jak przed pierwszym śniegiem. Nad skrzyżowaniami ulic, gdzie można było ogarnąć je wzrokiem szerzej, niebo miało wygląd zimowy.

Gdy Jurij Andrejewicz wrócił do domu zastał tam u Łary Simę. Rozmowa między nimi miała charakter wykładu, wygłaszanego przez Simę do gospodyni. Jurij Andrejewicz nie chciał im przeszkadzać. Prócz tego odczuwał potrzebę samotności. Kobiety rozmawiały w sąsiednim pokoju, do którego drzwi pozostawały na wpół otwarte. Zastaniała je portiera, przez którą słyszać było każde słowo.

— Będę teraz szyła, Simo, ale nie zwracajcie na to uwagi. Obracam się cała w słuch. Na kursach przechodziłam historię i filozofię. Wasz sposób myślenia bardzo mi odpowiada. Prócz tego słuchanie was przynosi mi wielką ulgę. W ostatnich dniach mieliśmy tyle kłopotów, że stale nie dosypialiśmy. Moim obowiązkiem matki jest zabezpieczyć Katię na wypadek gdyby spotkały nas jakieś przykrości. Trzeba na to patrzeć trzeźwo, ale nie jestem w tym bardzo mocna. Smutno mi się do tego przyznawać. Smutno mi także ze zmęczenia i niewyspania. Rozmowa z wami działa na mnie uspakajająco. Prócz tego zacznie zaraz padać śnieg, a w śnieżną pogodę jest tak przyjemnie słuchać długich i mądrych wywodów. Jeżeli spojrzeć w okno, gdy pada śnieg, wydaje się że ktoś idzie do nas przez podwórze nieprawdaż? Zaczynajcie, Sima. Słucham was.

— Na czym stanęliśmy ostatnim razem?

Jurij Andrejewicz nie dosłyszał odpowiedzi Łary i zaczął przysłuchiwać się temu co mówiła Sima.

— Można używać słów „kultura”, „epoka”, ale każdy rozumie to inaczej. Wobec niejasnego sensu tych słów, zastąpimy je przez inne.

Powiedziałabym, że człowiek składa się z dwóch części. Z Boga i pracy. Na rozwój ludzkiego ducha złożyły się oddzielne, rozłożone na przestrzeni olbrzymiego okresu czasu prace, wykonane, jedna za drugą, wysiłkiem pokoleń. Taką pracą był Egipt, taką pracą była Grecja, taką pracą było poznanie Boga u biblijnych proroków. Ostatnią z tych prac, niczym innym jeszcze nie zastąpioną i mobilizującą całe natchnienie naszych czasów, jest chrześcijaństwo.

Aby przedstawić w sposób bardziej świeży i prosty niż to się robi zazwyczaj, co chrześcijaństwo przyniosło nowego, niesłychanego, wezmę kilka urywków tekstów liturgicznych, kilka tylko i skróconych.

Większość pieśni cerkiewnych jest połączeniem stojących obok siebie obrazów ze Starego i Nowego Testamentu. Z pojęciami starego świata o gorejącym krzaku, o wyjściu Izraela z Egiptu, o młodziankach w piecu ognistym, Jonaszu w brzuchu wieloryba i tak dalej, zestawione są pojęcia o poczęciu Matki Boskiej i zmartwychwstaniu Chrystusa.

W tych nieustannych zestawieniach, starość starego świata i nowość nowego, wraz z dzielącymi je różnicami występują szczególnie wyraźnie.

Liczne strofy porównują niepokalane macierzyństwo Marii z przejściem Żydów przez Morze Czerwone. Na przykład w pieśni „W Morzu Czerwonym obraz niewiasty, która nie zaznała małżeństwa, odbił się niegdyś” mówi się: „Morze po przejściu Izraela pozostało niedrożne, bezgrzeszna po urodzeniu Emanuela pozostała niepokalana”. To znaczy, że morze po przejściu przez nie Żydów stało się znów niemożliwe do przejścia, a Dziewica, urodziwszy Chrystusa Pana, pozostała nietknięta. Jakiego rodzaju zjawiska są tu postawione obok siebie? Oba wydarzenia są nadprzyrodzone, oba uznane za cuda. W czym widziano cud w czasach najdawniejszych, pierwotnych i w czasach nowych, które po Rzymianach posunęły się daleko naprzód?

W pierwszym wypadku na rozkaz wodza narodu, patriarchy Mojżesza, na skinienie jego czarodziejskiej laski, morze rozstępuje się i daje przejście całemu narodowi, niezliczonej, z setek tysięcy złożonej rzeszy, a po przejściu ostatniego zamyka się topiąc ścigających Egipcjan. Widowisko w duchu starożytności: Żywioł posłuszny głosowi czarodzieja, wielka rzesza podobna do rzymskich wojsk w marszu, naród i wódz, zjawiska frapujące wzrok i słuch, ogłuszające.

W drugim wypadku panna, coś zwykłego, na co świat starożytny nie zwracał uwagi, rodzi tajemnie dziecko, wydaje

na świat cud życia, „życie wszystkich”, jak je potem nazywano. Urodzenie jest z punktu widzenia uczonych w piśmie nie tylko nieprawne jako nieślubne, lecz zaprzeczające także prawom natury. Panna rodzi nie wskutek konieczności, lecz cudem, z natchnienia. Natchnienie to jest punktem wyjścia Ewangelii, przeciwstawiającej wyjątek pospolitości, święto — codzienności i dążącej do stworzenia życia sprzeciwiającego się przymusowi.

Co za głęboka i znacząca przemiana! W jaki sposób dla nieba (bo należy oceniać to oczami nieba) prywatna sprawa ludzka, z punktu widzenia starożytnych błaha, mogła się stać równie ważna jak przesiedlenie całego narodu?

Coś poruszyło się w posadach świata. Skończył się Rzym, władza liczby i narzucony siłą oręża obowiązek wspólnego życia całej ludności. Narody i wodzowie zeszli w przeszłość.

Zastąpiła je jednostka, szerzenie idei wolności. Dzieje jednego ludzkiego życia stały się historią świętą i wypełniły swą treścią cały wszechświat. Jak mówi pewna pieśń śpiewana na Zwiastowanie, Adam chciał zostać Bogiem, lecz zbłądził i nie stał się nim, teraz zaś Bóg stał się człowiekiem, aby zrobić z Adama Boga (człowiekiem staje się Bóg, by zrobić Bogiem Adama).

Sima mówiła dalej:

— Zaraz wrócę do tego tematu, a tymczasem mała dygresja. Jeśli chodzi o troskę o pracujących, o ochronę matki, o walkę z wyzyskiem, nasze rewolucyjne czasy są czymś niesłychanym i zostawiają po sobie trwałe zdobycze. Jeżeli zaś chodzi o szerzoną obecnie koncepcję życia i filozofię szczęścia, jest ona tak śmiesznym przeżytkiem, że trudno wprost pojąć, aby można było o niej mówić na serio. Deklamacje o wodzach i narodach mogłyby przenieść nas wstecz do czasów Starego Testamentu, do epoki plemion pasterskich, gdyby można było cofnąć bieg historii o kilka tysięcy lat. Na szczęście jest to niemożliwe.

Teraz kilka słów o Chrystusie i Marii Magdalenie. Będę mówiła nie o opowiadaniu zawartym w Ewangelii, ale o modlitwach czytanych w Wielkim Tygodniu, zdaje się we wtorek lub środę. Wy wszystko to wiecie sami Łarisa Fiedorowna. Nie zamierzam też was pouczać i chciałabym tylko wam to i owo przypomnieć.

Pasja (*strast'*) po słowiańsku, jak doskonale wiecie, oznacza przede wszystkim cierpienie, mękę Pańską, „Pan idący dobrowolnie na męki”. W późniejszym języku słowa tego używa się w sensie złych skłonności i pożądań. „Poniżywszy pasjami godność duszy mojej, stałem się jako bydlę”. „Wypędzeni z raj u sta-

rajmy się tam wrócić powstrzymując pasje nasze'' itd. Jestem zapewne bardzo zepsuta, ale nie lubię wielkopostnych czytanek o ujarzmianiu zmysłowości i umartwianiu ciała. Wydaje mi się, że to prostackie, płaskie modlitwy, pozbawione poezji właściwej cerkiewnym tekstom, napisane przez brzuchatych, błyszczących od tłuszczu mnichów. Nie chodzi mi o to, że oni sami nie przestrzegali reguł i oszukiwali innych. Niechby nawet byli doskonali chodzi nie o nich, lecz o treść tych tekstów. Te akty skrucy przypisują nadmierne znaczenie różnym słabościom ciała, temu czy ciało to jest utuczone czy umartwione. To jest wstrętne. Coś brudnego, drugoplanowego, nieistotnego wynosi się na piedestał. Darujcie, że przeciągam tak moje wywody. Zaraz zostaniecie wynagrodzeni za cierpliwość.

Zawsze zajmowało mnie pytanie, dlaczego wspomina się historię Marii Magdaleny przed samą Wielkanocą, u progu śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Nie wiem, jaka jest tego przyczyna, ale wydaje mi się, że wspomnienie o tym czym jest życie, jest bardzo na miejscu w chwili pożegnania się z nim i w przede dniu powrotu. Posłuchajcie teraz, z jaką otwartością o nim się mówi.

Uważa się za sporne czy tekst odnosi się tu do Marii z Magdali, do Marii Egipcjanki, czy też do jakiejś jeszcze innej Marii. Mniejsza o to. Maria prosi Zbawiciela: „Odpuść dług, jako ja włosy”. To znaczy: Odpuść moją winę, jak ja rozpuszczam włosy. Jak plastycznie wyrażone jest jej pragnienie skrucy i przebaczenia! Można je dotknąć ręką.

Podobny sens ma inny cerkiewny tekst na ten sam dzień, bardziej szczegółowy, i w którym mowa jest bez wątpienia o Mari Magdalenie.

W tekście tym Maria Magdalena ze straszną wyrazistością rozpacza nad swym przeszłym życiem, nad tym, że każda noc budzi w niej na nowo zakorzenione przyzwyczajenia. „Jako noc jest we mnie niepowstrzymana wszeteczność, jako ciemność bez księżyca głos grzechu”. Prosi Chrystusa, aby przyjął jej łyzy skrucy i pozwolił obetrzeć jego przeczyste nogi włosami, którymi upadła Ewa zasłoniła się w raju. „Niech pocałuję przeczyste nogi Twoje i otrę je włosami mojej głowy, jako Ewa w raju skryła się w nie przestraszona”. I zaraz potem z ust jej wyrывa się okrzyk: „Kto zbada mnogość grzechów moich i przepaść Twoich zamysłów?” Co za skrót, co za zrównanie Boga z życiem, Boga z jednością, Boga z kobietą!

Jurij Andrejewicz przyszedł z dworca znużony. Był to jego wolny dzień, przysługujący mu raz na dekadę. W dnie te wysypiał się zwykle za wszystkie czasy. Siedział teraz na kanapie, kładąc się na niej od czasu do czasu lub wracając do na w pół leżącej pozycji. Słuchał Simy drzemiąc, ale rozważania jej sprawiały mu żywą przyjemność. — Wszystko wzięte jest od wuja Koli — myślał. Ale jaka inteligentna i utalentowana.

Wstał z kanapy i podszedł do okna wychodzącego na podwórze, podobnie jak okno sąsiedniego pokoju, w którym rozmawiała Łara z Simą.

Pogoda zaczynała się psuć. Robiło się ciemno. W podwórzu latały dwie sroki, szukając miejsca gdzie mogłyby usiąść. Wiatr z lekka rozwiewał ich piórka. Sroki usiadły zrazu na wieku śmietnika, stamtąd przeniosły się na płot, wreszcie zaczęły przechadzać się po podwórzu.

— Sroki, to na śnieg — pomyślał doktor i w tejże chwili posłyszał zza portiery :

— Sroki zapowiadają wiadomości — mówiła Sima do Łary. — Będziecie mieli gości lub dostaniecie list.

W chwilę potem ktoś pociągnął u schodów naprawiony niedawno przez Jurja Andrejewicza drut od dzwonka. Zza portiery ukazała się Łarisa Fiodorowna, która przeszła przez pokój, aby otworzyć drzwi. Z rozmowy u wejścia Jurij Andrejewicz domyślił się, że przyszła siostra Simy, Głafira Sewerynowna. — Wy po siostrę ? — spytała Łarisa Fiodorowna. — Sima jest u nas.

— Nie, nie po nią. A zresztą pójdziemy razem, jeżeli Sima wraca do domu. Co innego mnie sprowadza. List dla waszego przyjaciela. Niech mi podziękuje, że kiedyś służyłam na pocztce. List przeszedł przez niezliczone ręce i trafił wreszcie po starej znajomości do mnie. Z Moskwy. Szedł pięć miesięcy. Nie mogli znaleźć adresata. A ja go przecież znam. Golił się kiedyś u mnie.

List na wielu stronicach, zmięty, brudny, w otwartej, zbutwiełej kopercie był od Toni. Nie doszło do świadomości doktora jak list ten znalazł się w jego rękach i kiedy Łara mu go wręczyła. Gdy zaczął go czytać pamiętał jeszcze w jakim mieście i w którym domu się znajduje, lecz w miarę czytania świadomość tych spraw opuszczała go. Do pokoju weszła Sima, aby się z nim pożegnać. Doktor odpowiadał jej machinalnie, ale wyjście jej także nie doszło do jego świadomości. Stopniowo zapominał gdzie jest i co się dokoła dzieje.

„Jura — pisała Antonina Aleksandrowna — czy wiesz, że mamy córkę? Na chrzcie daliśmy jej imię Maszy, na pamiątkę twojej mamy, nieboszczki Marii Nikołajewny.

Teraz o czym innym. Kilku wybitnych działaczy społecznych, profesorów z partii kadetów²⁹ lub prawych socjalistów, jak Mielgunowa, Kiesewettera, Kurkowa i innych, a także stryja Nikołaja Aleksandrowicza Gromekę, ojca i nas wysyłają z Rosji zagranicę.

Jest to katastrofa, zwłaszcza wobec twojej nieobecności, ale trzeba się poddać losowi i dziękować Bogu za łagodną formę wygnania w takich strasznych czasach, w których mogło być z nami nierównie gorzej. Gdybyś się był odnalazł i znajdował się tu, pojechałbyś z nami. Ale gdzie ty się teraz znajdujesz? Posyłam ten list na adres Antipowej, która ci go przekaże, jeżeli cię znajdzie. Dręczy mnie pytanie czy rozszerzą potem także na ciebie, jako na członka naszej rodziny, pozwolenie na wyjazd, jeżeli losy tak zrządzą, że się odnajdziesz. Możliwe jest zresztą, że zanim się odnajdziesz warunki życia w Rosji ulegną złagodzeniu i że sam będziesz mógł wystarać się o pozwolenie na wyjazd zagranicę, i że w ten sposób znajdziemy się znów razem. Piszę to i sama nie wierzę, aby to mogło się spełnić.

Cała bieda w tym, że ja cię kocham, a ty mnie nie kochasz. Staram się znaleźć sens mego potępienia, wytłumaczyć je, znaleźć jego powody. Szukam ich, przeglądam całe nasze życie, wszystko co wiem o sobie i nie znajduję, jak to się zaczęło i co robiłam, aby ściągnąć na siebie to nieszczęście. Patrzysz na mnie jakoś podstępnie, nieżyczliwie i widzisz mnie zniekształconą, jak w krzywym zwierciadle.

A ja cię kocham. Ach, jak cię kocham! Gdybyś to sobie tylko mógł wyobrazić! Kocham w tobie wszystko co jest osobliwe, lepsze i gorsze, cechy pospolite, niezwykle przez ich połączenie, twoją uszlachetnicą przez wewnętrzną treść twarzy, która bez tego mogłaby się wydać nieładna, twoją inteligencję i talent, które zajęły miejsce nieobecnej woli. Wszystko to mi jest drogie, i nie znam nikogo, kto byłby lepszy od ciebie.

Lecz posłuchaj, co ci teraz powiem. Nawet gdybyś mi nie był tak drogi, gdybyś mi się tak nie podobał, nawet wówczas smutna tajemnica chłodu mego serca pozostałaby mi nieznana, i myślałabym, że cię kocham. Podświadomy strach przed poniżeniem i klęską, jaką jest niezdolność do miłości, nie pozwoliłby

29. Stronnictwo konstytucyjno-demokratyczne, które w dumie państwowej zajmowało miejsce środkowe między prawicą i lewicą.

mi się do tego przyznać. Ani ty, ani ja nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. Moje własne serce ukryłoby to przede mną, bo brak miłości jest niemal zabójstwem, a nie potrafiłabym zadać nikomu takiego ciosu.

Chociaż nic jeszcze ostatecznie nie postanowiliśmy, pojedziemy zapewne do Paryża. Poznam dalekie kraje, w których byłeś w dzieciństwie, i gdzie wychowywał się mój ojciec i stryj. Ojciec kłania ci się. Szura wyrósł nie tyle na przystojnego, ile na silnego chłopca. Na twoje wspomnienie wpada w nieutulony płacz. Nie mogę dalej pisać. Serce moje jest pełne łez. Żegnaj. Błogosławię cię znakiem krzyża na całą nieskończoną rozłąkę, na próby i niepewność, na całą twą długą, długą ciemną drogę. Nie obwiniam cię o nic, nie robię żadnych wyrzutów. Ułóż twe życie jak chcesz, byle ci było dobrze.

Przed odjazdem z tego straszego i fatalnego dla nas Uralu poznałam dość blisko Łarisę Fiodorownę. Dziękuję jej. Była stale przy mnie, gdy było mi ciężko, i pomagała mi podczas połogu. Muszę przyznać szczerze, że jest to dobra dusza. Aby nie kłamać, dodam, że jest moim zupełnym przeciwieństwem. Ja przyszłam na świat dla ułatwiania życia i szukania prostych dróg, ona zaś — aby komplikować i prowadzić na manowce.

Żegnaj, muszę kończyć. Czekają na mój list, i czas pakować się. O Jura, Jura, mój drogi, mój mężu, ojcie moich dzieci, co się z nami stało? My się już nigdy, nigdy nie zobaczymy. Napisałam te słowa, ale czy ty rozumiesz ich znaczenie? Czy ty to rozumiesz? Wołają mnie, jak gdyby przyszli prowadzić mnie na miejsce kaźni. Jura! Jura!"

Jurij Andrejewicz skończył czytać i podniósł suche, nieobecne, wyblakłe od cierpienia oczy. Nie widział nic, nic nie dochodziło do jego świadomości.

Za oknem padał śnieg coraz gęstszy. Wiatr znosił go ukośnie, coraz prędzej, jak gdyby się śpieszył. Jurij Andrejewicz patrzył w okno i wydawało mu się, że czyta wciąż list Toni, i że małe, suche gwiazdki śniegu — to tylko małe smugi białego papieru między małutkimi literkami, białe, białe, bez końca, bez końca.

Z ust jego wyrwał się mimowolny jęk. Jurij Andrejewicz chwycił się za pierś, czuł, że mdleje. Zrobił kilka chwiejnych kroków w kierunku kanapy i upadł na nią tracąc przytomność.

R o z d z i a ł X I V

ZNÓW W WARYKINIE

I

Zima ustaliła się. Śnieg walił wielkimi płatkami. Jurij Andrejewicz wrócił do domu ze szpitala.

— Komarowski przyjechał — głuchym, zachrypłym głosem powiedziała Łara, wychodząc na jego spotkanie. Oboje stali na przeciw siebie w przedpokoju. Łara była zmieszana, wyglądała jak pobita.

— Dokąd ? Do kogo ? Jest u nas ?

— Oczywiście nie. Był tu z rana i ma przyjść znów wieczorem. Niedługo się zjawi. Ma z tobą do pomówienia.

— Po co przyjechał ?

— Nie wszystko zrozumiałam. Mówił, że jest w drodze na Daleki Wschód i umyślnie zboczył do Jurjatina, aby nas zobaczyć. Głównie chodzi mu o ciebie i o Paszę. Mówił wiele o was obu. Twierdził, że wszyscy troje to jest ty, Patula i ja, jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i że on tylko potrafi nas ocalić, o ile będziemy go słuchali.

— Ja pójdę sobie. Nie chcę go widzieć.

Łara rozplakała się. Próbowала upaść przed nim na kolana i objąwszy za nogi przytulić do nich głowę, lecz doktor podniósł ją.

— Zostań dla mnie, błagam cię. Nie mam żadnego powodu obawiać się spotkania z nim. Ale to jest bardzo ciężkie. Uchroń mnie od spotkania w cztery oczy. Prócz tego jest to człowiek

praktyczny, bywały. Być może istotnie coś poradzi. Rozumiem twoje obrzydzenie do niego, ale spróbuj się przezwyciężyć. Proszę cię, zostań.

— Co się z tobą dzieje mój aniołku? Uspokój się. Co ty robisz? Nie klękaj. Wstań. Rozpogódź się. Odpędź od siebie te zmary. On uwikłał cię na całe życie, ale ja jestem z tobą. Jeżeli będzie trzeba, jeżeli tak każesz, zabiję go.

W pół godziny później nadszedł wieczór. Ściemniło się zupełnie. Dziury w podłodze były już od pół roku pozatykane. Gdy szczury próbowały wygryzać nowe przejścia, Jurij Andrejewicz zatykał je zawczasu. W mieszkaniu był teraz wielki, puszysty kot, nieruchomo spędzający czas na zagadkowej kontemplacji. Szczury nie opuściły wprawdzie domu, ale stały się ostrożne.

Czekając na Komarowskiego Łarisa Fiodorowna nakrajała racjonowanego chleba i postawiła na stół talerz z kilku gotowanymi ziemniakami. Gościa zamierzano przyjąć w pokoju, który już poprzednim gospodarzom służył za jadalnię. Stał w nim wielki dębowy stół i ciężki bufet z takiegoż ciemnego drzewa. Na stole paliła się przenośna lampa doktora, składająca się z knota wpuszczonego do blaszanki z olejem rycynowym.

Z grudniowej nocy Komarowski wynurzył się osypany śniegiem, który całymi płatami spadał z jego futra, czapki i kaloszy, tworząc na podłodze kałuże. Oblepione śniegiem wąsy i broda, które Komarowski dawniej golił, miały w sobie coś pajacowatego, coś z kłowna. Miał na sobie dobrze zachowaną czarną marynarkę i zaprasowane spodnie w paski. Zanim powiedział pierwsze słowo, długo przyczesał kieszonkowym grzebykiem wilgotne włosy i przyglądał mokre brwi i wąsy chusteczką do nosa. Potem ze znaczącym milczeniem wyciągnął na raz obie ręce: lewą do Łarisy Fiodorowny a prawą do Jurja Andrejewicza.

— Możemy uważać, że się znamy — zwrócił się do Jurja Andrejewicza — byłem przecież tak dobrze z waszym ojcem. Wy zapewne o tym wiecie. Zmarł na moich rękach. Wciąż wpatruję się w was, szukam podobieństwa, lecz nie, nie wdaliście się w ojca. Szeroką miał naturę. Porywczy, prędki. Sądząc z powierzchowności, wdaliście się raczej w matkę, kobietę łagodną, marzycielkę.

— Łarisa Fiodorowna prosiła mnie o wysłuchanie was. Mówiła, że macie do mnie jakiś interes. Spełniam jej prośbę. Nasza rozmowa jest więc niejako wymuszona. Z własnej ochoty nie szukałbym z wami znajomości i nie uważam też obecnego spotkania za znajomość. Przystąpmy więc do rzeczy. Czego sobie życzycie?

— Witajcie moi drodzy. Wszystko to czuję doskonale, na wylot widzę i rozumiem. Przepraszam za śmiałość, ale wy strasznie do siebie pasujecie. W najwyższym stopniu dobrana para.

— Muszę wam przerwać. Proszę nie mieszać się do spraw, które was nie dotyczą. Nie żądamy od was sympatii. Zapominacie się.

— A wy, młody człowieku, nie unosić się tak od razu. Wy jednak wdaliście się w ojca. Taki sam postrzeleniec. A więc, jeżeli pozwolicie, winszuję wam moje dzieci. Niestety nie jest to tylko konwencjonalny zwrot, jesteście naprawdę dziećmi, które nic nie wiedzą, nad niczym się nie zastanawiają. Jestem tu dopiero od dwóch dni, a wiem już o was więcej niż wy sami. Nic nie podejrzewając, chodzicie nad brzegiem przepaści. Jeżeli ktoś nie odwróci od was niebezpieczeństwa, dni waszej wolności, a może i życia są policzone.

Jest pewien komunistyczny styl. Nie wielu tylko odpowiada jego wymaganiom. Nikt jednak tak jawnie nie odbiega od tego trybu życia i myślenia, jak wy, Jurij Andrejewicz. Po co drażnić gości. Nie rozumiem. Jesteście wyzwaniem i obrazą tego nowego świata. Gdyby przynajmniej to była wasza tajemnica, ale są tu wpływowe osobistości z Moskwy, które widzą was na wylot. Oboje nie przypadacie do smaku tutejszym kapłanom Temidy. Towarzysze Antipow i Tiwierzin ostrzą zęby na Łarysę Fiodorownę i nas was.

Wy przynajmniej jesteście mężczyzną, wolnym kozakiem, czy jak się to tam nazywa. Szaleć, ryzykować własnym życiem — wasze święte prawo. Ale Łarisa Fiodorowna nie jest wolna. Jest matką. W jej rękach leży życie i los jej dziecka. Fantazjować, żyć wyobraźnią, jej nie wypada.

Straciłem cały ranek na przekonywanie jej, że powinna odnieść się bardziej serio do tutejszej sytuacji. Cóż, kiedy nie chce mnie słuchać. Użycie waszego autorytetu, wpłyniecie na Łarysę Fiodorowną, która nie ma prawa igrać z niebezpieczeństwem grożącym Kati i lekceważyć moich rad.

— Nikogo jeszcze nie przekonywałem i nie przymuszałem. Zwłaszcza osób mi bliskich. Łarisa Fiodorowna jest wolna. Może was słuchać lub nie. To jej rzecz. A zresztą nie wiem wcale, o co chodzi. To co nazywacie waszą radą jest mi całkowicie nieznane.

— Coraz więcej przypominacie mi waszego ojca. Ten sam upór. Przejdźmy więc do najważniejszego. Ponieważ jest to sprawa dość zawiła, muszę prosić o cierpliwość. Słuchajcie więc i nie przerywajcie mi.

Na samej górze przygotowują się wielkie zmiany. Nie, nie, wszystko to wiem z najlepszych źródeł, możecie mi wierzyć. Zapowiada się przejście na bardziej demokratyczny tor, z ustępstwami na rzecz praworządności, wszystko to w najbliższym czasie.

Lecz właśnie wskutek tej sytuacji instytucje karne, które mają być zniesione, będą przed samym końcem tym bardziej się srożyć i załatwiać w pośpiechu miejscowe porachunki. Wasza kolej nadeszła, Jurij Andrejewicz, nazwisko wasze jest już na liście. Nie żartuję, widziałem je sam, możecie mi wierzyć. Pomyślcie o waszym ocaleniu dopóki czas.

Wszystko to było przedmową. Przechodzę do istoty sprawy.

W prowincjach nadmorskich, na brzegach Cichego Oceanu, gromadzą się w tej chwili siły polityczne, które pozostały wierne Rządowi Tymczasowemu i rozwiązanej konstytuancie. Zjeżdżają się posłowie do Dumy, działacze społeczni, znani przedstawiciele ziemstw, przemysłowcy. Generałowie ściągają resztki armii ochotniczej.

Władze sowieckie patrzą przez palce na tworzenie się Republiki Dalekiego Wschodu. Istnienie jej jest dla nich wygodne jako twór buforowy między czerwoną Syberią i światem zewnętrznym. Rząd republiki będzie mieszany. Więcej niż połowę portfeli Moskwa zastrzegła dla komunistów, aby przy ich pomocy, kiedy to będzie potrzebne, dokonać przewrotu i opanować republikę. Zamiany te są całkowicie przejrzyste, chodzi więc tylko o wykorzystanie pozostałego jeszcze czasu.

Kiedyś przed wojną prowadziłem interesy braci Archarówów, Markułowów i innych firm handlowych w Władywostoku. Jestem tam znany. Nieoficjalny emisariusz tworzącego się rządu, na pół tajnie, na pół za błogosławieństwem władz sowieckich, przywiózł mi propozycję objęcia w Republice Dalekiego Wschodu teki ministra sprawiedliwości. Zgodziłem się i jadę. Wszystko to, jak mówiłem, odbywa się za wiedzą i milczącą zgodą rządu sowieckiego, nie tak jednak jawnie, aby można było to rozgłaszać.

Was i Łarisę Fiodorowną mogę wziąć z sobą. Stamtąd będziecie mogli już łatwo przedostać się morzem do swoich. Wiecie już oczywiście o ich wysłaniu. Głośna historia, o której cała Moskwa mówi. Łarisie Fiodorownie obiecałem odwrócić cios grożący Pawłowi Pawłowiczowi. Jako członek niezależnego i uznanego rządu, odnajdę Strelnikowa we Wschodniej Syberii i ułatwię mu przejście na terytorium naszej autonomicznej republiki. Jeżeli nie uda mu się uciec, proponuję wydanie go wzamian za jakąś osobę zatrzymaną przez Aliantów i interesującą dla centralnych władz moskiewskich.

Łarisa Fiodorowna z trudem śledziła bieg rozmowy, której sens nie zawsze był dla niej jasny. Słuchała jej zamyślona i bierna. Dopiero przy ostatnich słowach Komarowskiego ożywiła się i, lekko rumieniąc się, wtrąciła :

— Rozumiesz, Jura, jakie znaczenie te projekty mają dla ciebie i dla Paszy ?

— Jesteś zbyt łatwowierna, moja droga. Nie można brać za rzecz dokonaną czegoś, co jest zaledwie luźnym projektem. Nie twierdzę, że Wiktor Ippolitowicz wprowadza nas świadomie w błąd, ale wszystko to jest pisane widłami na wodzie ! A teraz, Wiktor Ippolitowicz, powiem wam kilka słów od siebie. Dziękuję wam za życzliwą uwagę jaką poświęciliście moim losom, ale czy myślicie, że ja dam wam nimi kierować ? Jeżeli zaś chodzi o wasze starania o Strelnikowa, Łara będzie musiała się nad tym zastanowić.

— Do czego sprowadza się całe pytanie ? Czy mamy z nim jechać czy nie. Wiesz doskonale, że bez ciebie nie pojedę.

Komarowski często zaglądał do butelki z rozwodnionym spirytusem, który Jurij Andrejewicz przyniósł z laboratorium przeżuwał kartofle i stawał się coraz bardziej pijany.

2

Było już późno. Gdy oczyszczano knot z najgromadzonego na nim kopcia, lampa, z cicha trzeszcząc, rozpałała się znów, oświetlając jaskrawo pokój, po czym wszystko pogrążyło się powoli w mrok. Gospodarzom chciało się spać, mieli też pilne sprawy do omówienia na osobności. Ale Komarowski nie wychodził. Obecność jego nużyła jak widok ciężkiego, dębowego bufetu i grudniowe, lodowate ciemności za oknem.

Komarowski nie patrzył na nich, ale gdzieś ponad ich głowy i utkwivszy w jakiś odległy punkt swe pijane, okrągłe oczy, sennym głosem mówił coś bardzo nudnego, powracając wciąż do tego samego tematu. Daleki Wschód był teraz jego ulubionym konikiem. Temat ten przeżuwał bez końca, rozwijając przed Łarą i doktorem swe poglądy na znaczenie polityczne Mongolii.

Jurij Andrejewicz i Łarisa Fiedorowna nie przypominali sobie w jakim punkcie rozmowy i z jakiego powodu Komarowski zaczął mówić o Mongolii, i ta okoliczność sprawiała, że temat ten wydawał się im jeszcze bardziej obcy i uprzykrzony.

Komarowski tymczasem **mówił :**

— Syberia, zwana słusznie nową Ameryką, skrywa w sobie nieograniczone możliwości. Jest to kolebka wielkiej przyszłości Rosji, zadatek jej demokratyzacji, zamożności i uzdrowienia politycznego. W jeszcze bardziej pociągające możliwości brzemienne jest przyszłość Mongolii. Mam na myśli Mongolię Zewnętrzną, naszą wielką wschodnią sąsiadkę. Co o niej wiecie? Ziewacie bezwstydnie i zaledwie mnie słuchacie, a tymczasem jest to kraj o powierzchni wynoszącej półtora miliona kwadratowych wiorst, o nieodkrytych jeszcze bogactwach mineralnych, kraj dziewiczy, zastygły w prehistorii, po który Chiny, Japonia i Ameryka wyciągają chciwe ręce ze szkodą dla naszych rosyjskich interesów, uznanych zresztą przez wszystkich rywali w tym odległym zakątku ziemskiego globu.

Wpływy chińskie opierają się tam na feudalno-teokratycznym zacofaniu, na lamach i chutuchtach, japońskie — na choszunach, pańszczyźnianych księżętach mongolskich. Czerwona Rosja znajduje tam sprzymierzeńca w chamdżylisie, rewolucyjnym ugrupowaniu zbuntowanych pastuchów. Osobiście chciałbym widzieć Mongolię prosperującą pod rządami swobodnie wybranego churułtaju. Dla was najciekawsze jest to, że wystarczy wam przekroczyć mongolską granicę, aby mieć przed sobą świat otwarty i być wolnym jak ptak.

Rozwlekłe rozważania na temat nie mający z ich sprawami żadnego związku irytowały Łarisę Fiedorowną, która, znużona przedłużającą się wizytą, wyciągnęła z decyzją rękę do Komarowskiego i, bez ceremonii, z jawną niechęcią powiedziała mu :

— Już późno. Czas wam iść. Ja chcę spać.

— Mam nadzieję, że gościnność nie pozwoli wam wyrzucić mnie na ulicę o tak późnej godzinie. Nie jestem pewien czy znajdę po nocy drogę w obcym, nieoświetlonym mieście.

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej i nie zasiadywać się. Nikt was nie zatrzymywał.

— Skąd ta opryskliwość? Nie spytaście mnie nawet, czy w ogóle mam tu jakieś locum?

— To mnie zupełnie nie interesuje. Wy już tam nie dacie się skrzywdzić. Jeżeli zapraszacie się na nocleg, musicie wiedzieć, że we wspólnym pokoju, gdzie śpimy razem z Katią, przenocować was nie potrafię, a w innych pokojach szczury nie dadzą wam spać.

— Nie boję się ich.

— Jak chcecie.

— Co się z tobą dzieje, mój aniołku ? Od kiedy to nie śpisz, nie jesz i chodzisz cały dzień jak zwarzona i wciąż myślisz i myślisz. Co ci nie daje spokoju ? Nie można się tak poddawać trwożnym myślom.

— Był tu znów stróż ze szpitala, Izot. On tu umizga się do praczki. Po drodze zaszedł mnie pocieszyć. Straszny sekret, powiada. Twego kryminała nie ominie. Jak nie dziś to jutro go wezmą. A potem i ciebie, biedną. Izot, mówię mu, skąd ty to wiesz ? Bądź spokojna, powiada, że to tak będzie, możesz mi wierzyć. Ci z połkanu mówili. Połkan, jak się pewnie domyślasz, w jego języku znaczy Ispołkom. Łarisa Fiodorowna i doktor roześmieli się.

— On ma zupełną rację. Niebezpieczeństwo wzrosło i stoi na progu. Musimy natychmiast zniknąć. Ale gdzie ? O wyjeździe do Moskwy nie ma mowy. To wymaga długich starań, które tylko zwróciłyby uwagę. Trzeba to zrobić ukradkiem, aby nikt nic nie spostrzegł. Wiesz co moja duszko ? Wróćmy do twego pomysłu. Musimy na pewien czas zniknąć jak pod ziemią. Zróbmy to w Warykinie. Pojedziemy tam na dwa tygodnie lub miesiąc.

— Dziękuję, kochany, dziękuję. O, jak się cieszę. Rozumiem, że wszystko w tobie musi sprzeciwiać się tej decyzji. Ale nie o twój dawny dom tu chodzi. W twoim domu życie dla ciebie byłoby niemożliwe. Widok pustych pokojów, wyrzuty, porównania. Czy ja tego nie rozumiem ? Budować własne szczęście na cudzym cierpieniu, deptać to co jest święte i drogie. Nigdy nie przyjąłabym od ciebie takiej ofiary. Ale nie o to chodzi. Wasz dom jest tak zrujnowany, że na mieszkanie nie nadaje się. Myślałam raczej o domu opuszczonym przez Mikulicynów.

— Wszystko to prawda. Dziękuję za domyślność. Ale zaczekaj chwilę. Przez cały czas chciałem cię o to zapytać. Gdzie jest Komarowski ? Czy jeszcze jest w mieście, czy też wyjechał ? Od naszej kłótni zakończonej spuszczeniem go ze schodów nic o nim więcej nie słyszałem.

— Ja też nic nie wiem. Bóg z nim. Na co on ci potrzebny ?

— Coraz bardziej przychodzę do przekonania, że powinniśmy byli ustosunkować się rozmaicie do jego propozycji. Położenia nasze są różne. Ty masz córkę i nawet gdybyś chciała zginąć razem ze mną, nie masz prawa tego zrobić.

Przejdźmy jednak do Warykina. Jechać w to dzikie pustkowie w środku surowej zimy, bez zapasów, bez sił i bez nadziei byłoby szaleństwem nad szaleństwami. Jeżeli jednak nic nam

prócz szaleństwa nie pozostało, próbujemy, serce moje, trochę poszaleć. Zrzućmy raz jeszcze pychę z serca i wyprośmy u Anfi-ma konia. Poprosimy też jego, czy nawet któregoś z podległych mu spekulantów o pożyczanie nam, oczywiście bez żadnej wiarygodnej gwarancji, mąki i ziemniaków. Namówimy go też, aby wzamian za swe dobrodziejstwo nie żądał od nas gościnności natychmiast i aby przyjechał do nas dopiero wówczas, gdy koń będzie mu potrzebny. Pobędziemy trochę sami. Jedźmy, serce moje. W ciągu tygodnia spalimy tam kupę drzewa, którego wystarczyłoby na cały rok przy sumienniejszej gospodarce.

Jeszcze raz proszę cię, przebaczyć zamęt, jaki przeziera z mych słów. Jak bardzo chciałbym mówić z tobą bez tego głupiego patosu! Nie mamy jednak wyboru. Jakkolwiek to nazwiemy, zagłada stuka do naszych drzwi. Dnie, które nam jeszcze zostały, są policzone. Zużyjemy je na odprowadziny życia, na ostatnie spotkanie przed rozstaniem. Pożegnajmy się ze wszystkim co nam było drogie, z naszymi pojęciami, z naszymi marzeniami o życiu, z tym co nam nakazywało sumienie, z nadziejami, pożegnajmy się — ty ze mną i ja z tobą. Powiedzmy sobie raz jeszcze nasze potajemne nocne zaklęcia, wielkie i ciche jak nazwa azjatyckiego oceanu. Nie jest to przypadek, że stoisz teraz u końca mego życia, w zamęcie wojen i powstań, jako mój tajny, nielegalny anioł, bo tak samo stanęłaś przy mnie już w pogodnych latach mego dzieciństwa.

Jako gimnazistka w kawowym mundurku, owej nocy, za przepierzeniem hotelowego pokoju, byłaś taka sama, jak teraz i tak samo urzekająco piękna.

Często starałem się potem, w różnych etapach życia, określić i nazwać naturę czarów, które na mnie wówczas rzuciłaś, tego gasnącego światła i zamierającego dźwięku, które przeniknęły z czasem całą moją istotę i, dzięki tobie, stały się dla mnie kluczem do zrozumienia wszystkich innych spraw tego świata.

Kiedy w szkolnym mundurku wyszłaś, jak cień, z wnęki hotelowego pokoju, we mnie, małym chłopcu, który nic o tobie nie wiedział, odezwała się na twój widok jakaś bolesna siła i zrozumiałem, że ta wątła szczupła dziewczyna naładowana jest, jak elektrycznością, całą kobiecością świata. Wystarczyło zbliżyć się do niej, lub dotknąć jej palcem, aby nastąpiło wyładowanie, zabijające na miejscu lub elektryzujące, napędlające na całe życie skarżącym się dążeniem i smutkiem. Napędlęłem się cały łzami, wszystko we mnie świeciło i płakało. Było mi śmiertelnie żal siebie samego, chłopca, i jeszcze więcej żal ciebie, dziewczyny. Wszystko dziwiło się we mnie i pytało: jeżeli tak

boleśnie jest kochać i pochłaniać ten elektryczny prąd, czy nie stokroć boleśniej jest być kobietą, wytwarzać ten prąd i budzić miłość.

Nareszcie udało mi się to wypowiedzieć. Od tego można dostać pomieszania zmysłów. I ja cały jestem w tych słowach.

Łarisa Fiodorowna leżała na brzegu łóżka, ubrana, cierpiąca. Zwinęła się w kółko i przykryła się chustką. Jurij Andrejewicz siedział obok na krześle i mówił z cicha, z długimi przerwami. Łarisa Fiodorowna podnosiła się chwilami na łokciu i opierając twarz na ręce patrzyła na Jurja Andrejewicza z otwartymi ustami. Chwilami przytulała się do jego ramienia i, nie dostrzegając własnych łez, płakała w cichym uniesieniu. Wreszcie wyciągnęła się ku niemu i radosnym szeptem powiedziała :

— Jura ! Jura ! Jakiś ty mądry ! Ty wszystko wiesz, wszystkiego się domyślasz. Jura, ty jesteś moją twierdzą, moją ucieczką, moim utwierdzeniem, niech mi Bóg przebaczy to bluźnierstwo. Jestem tak szczęśliwa ! Jedźmy, jedźmy mój drogi. Tam na miejscu powiem ci co mnie niepokoi.

Jurij Andrejewicz uznał, że jest to zapewne aluzja do jej przypuszczalnej, prawdopodobnie urojonej ciąży i powiedział :

— Wiem.

4

Z miasta wyjechali szarym, zimowym rankiem. Dzień był powszedni. Ludzie chodzili po ulicach zajęci swoimi sprawami. Często trafiali się znajomi. Na skrzyżowaniach ulic, przy przykrytych daszkami studniach, stały z wiadrami i nosidlami długie kolejki mieszkańców, nie mających własnych studzien. Doktor wstrzymywał rwącą się naprzód Sawraskę, kędzierzawą, żółtawą kobyłę Samdiewiatowa ; kierował nią ostrożnie, okrążając grupy tłoczących się gospodyń. Rozpędzone sanie ześlizgiwały się z wypukłej, oblodzonej jezdni na chodniki, uderzając skrzydłami o latarnie i słupy.

Jadąc całym pędem wyprzedzili idącego ulicą Samdiewiatowa i nie obejrzeni się nawet dla sprawdzenia czy poznał swego konia i czy za nimi czegoś nie woła. W innym miejscu wyprzedzili w ten sam sposób, nie witając się, Komarowskiego, stwierdziwszy mimochodem, że znajduje się jeszcze w Jurjatinie.

Głafira Tuncewa zawołała do nich przez całą ulicę, z przeciwnego chodnika :

— Mówili mi, że wyjechaliście wczoraj. Wierz tu ludziom. Po kartofle? — i zrobiwszy znak, że nie słyszy ich odpowiedzi, gestami życzyła im pomyślnej podróży.

Widząc Simę próbowali zatrzymać się, lecz droga w tym miejscu była spadzista i trzeba było mocno ściągać lejce, aby powstrzymać niecierpliwącego się konia. Sima była od góry do dołu obwiązana dwiema czy trzema chustkami, pod którymi wyglądała jak polano z okrągłaka. Sztywnymi krokami zbliżyła do sań, aż na środek jezdni, aby pożegnać się i życzyć szczęśliwej podróży.

— Kiedy wróciacie, będziemy musieli się rozmówić, Jurij Andrejewicz.

Wreszcie wyjechali za miasto. Jurij Andrejewicz nie poznawał drogi bo chociaż jeździł nią także zimą, pamiętał ją jednak głównie z letnich podróży.

Worki z prowizją i inne pakunki zostały wsunięte głęboko w siano i mocno przytroczone do przedniej części sań. Jurij Andrejewicz powoził bądź klęcząc na dnie sań, bądź też siedząc na ich brzegu z nogami w walonkach Samdiewiatowa zwieszonymi na zewnątrz. Sanie takie złożone z płóz i przymocowanego do nich szerokiego pudła z łubu, nazywano po miejscowemu „koszówką”.

Jakkolwiek do zachodu słońca było daleko, już wkrótce po południu, jak to bywa zimą, zaczęło się zdawać, że dzień chyli się ku końcowi. Jurij Andrejewicz zaczął niemiłosiernie popędzać Sawraskę, która pomknęła jak strzała. Koszówka, jak łódź na fali, wznosiła się i spadała na wybojach wyjeżdżonej drogi. Katia i Łara były zawinięte w krępujące ruchy futra. Przerzucane na wybojach jak tłumoki z jednego końca sań na drugi, obie krzyczały i śmiały się jak szalone. Co pewien czas doktor na umyślnie wjeżdżał jedną płożą na zaspę, przewracał na bok sanie i wysypywał Łarę i Katię w miękki śnieg. Wleczony przez kilka kroków za lejce doktor zatrzymywał Sawraskę, stawiał sanie na obie płozy i obrywał burę od Łary i Kati, które otrząsały się ze śniegu i wsiadały do sań na przemian gniewając się i śmiejąc.

— Pokażę wam miejsce, gdzie zatrzymali mnie partyzanci — przyrzekał doktor gdy oddalili się od miasta, nie spełnił jednak obietnicy, bo przejrzystość bezlistnych lasów, martwy spokój i zimowa pustynność zmieniały krajobraz do niepoznania.

— To tu! — zawołał biorąc przez omyłkę pierwszy przydrożny słup z napisem „Moreau i Wietczinkin” za następny, który stał w lesie i koło którego czekali nań partyzanci. Ten drugi słup stał nadal na dawnym miejscu w zagajniku przy

rozdrożu, z którego prowadziła droga na Sakmę, był jednak ukryty w filigranowej, czarnosrebrnej siatce szronu lepiącego się do gałęzi. Doktor nie zauważył go.

Do Warykina przyjechali jeszcze za dnia i zatrzymali się koło dawnego domu Żiwagów, który stał pierwszy przy drodze, bliżej niż dom Mikulicyna. Niedługo miało się ściemnić, weszli więc w pośpiechu jak rozbójnicy. Wewnątrz było już ciemno. Połowa panującego tam zniszczenia i pustki uszły uwagi śpieszącego się doktora. Część znanych mu mebli stała na swoim miejscu. Warykino było bezлюдne, nie było więc komu dokończyć rozpoczętego dzieła zniszczenia. Innych sprzętów domowych Jurij Andrejewicz nie znalazł. Nie był jednak przy odjeździe stąd swej rodziny i nie wiedział co zostawiono, co zaś wzięto ze sobą. Łara tymczasem mówiła :

— Trzeba się śpieszyć. Zaraz nadejdzie noc. Nie ma czasu na namyślanie się. Jeżeli mamy zostać tu, wówczas — koń do szopy, prowizje — do sieni, a my — do tego pokoju. Jestem jednak przeciwna takiej decyzji. Mówiliśmy już o tym. Tobie, a zatem i mnie, będzie tu źle. Czy to jest sypialnia? Nie, dziecinny pokój. Łóżeczko twego syna. Dla Kati będzie za małe. Z drugiej jednak strony — okna są całe, ściany i sufit bez szczelin. Prócz tego wspinały piec, który podziwiałam już podczas pierwszej wizyty. Jeżeli koniecznie chcesz zostać to — chociaż jestem temu przeciwna — wówczas zrzucamy futra i bierzmy się do roboty. Przede wszystkim do palenia w piecu. Palić, palić i palić. Przez pierwszą dobę dzień i noc bez przestanku. Ale co się z tobą dzieje, mój drogi? Nic nie mówisz.

— Zaraz, nic. Daruj mi, proszę. Wiesz, chodźmy jednak do Mikulicynow.

I pojechali dalej.

5

Dom Mikulicynow zamknięty był na kłódkę, wprawioną w uszy zasuw. Jurij Andrejewicz odbijał długo tę ostatnią i wreszcie wyrwał ją z mięsem, to jest z kawałkiem drzwi i tkwiącymi w niej śrubami. Wtargnęli do domu znów śpiesznie i, nie rozbierając się, w futrach, czapkach i walonkach poszli w głąb mieszkania.

Uderzał w nim wzorowy porządek, panujący w niektórych kątach, na przykład w gabinecie Awerkja Stiepanowicza. Musiał tam ktoś mieszkać, przy tym bardzo niedawno. Ale kto? Jeśli byli to gospodarze, lub ktoś z nich, gdzie znajdowali się obecnie

i dlatego dom był zamknięty nie na klucz, lecz na dorobioną później zasuwę i kłódkę? Mieszkając tam przez dłuższy czas, gospodarze sprzątałiby całe mieszkanie, a nie tylko poszczególne pokoje. Przybyłbym mówić coś, że to nie byli Mikulicynowie. A zatem kto? Brak odpowiedzi na to pytanie nie trwożył doktora i Łary. Nie warto było sobie łamać nad nim głowy. Czy mało było teraz opuszczonych i na pół ograbionych mieszkań, mało ukrywających się od prześladowań? — Zapewne jakiś poszukiwany przez władze biały oficer — orzekli jednomyślnie. — Jeżeli się zjawi, będziemy mieszkali razem, dogadamy się.

Jak niegdyś, Jurij Andrejewicz zatrzymał się jak wryty na progu gabinetu, uderzony jego rozmiarem i szerokością stołu koło okna. Znowu przyszło mu na myśl, że taki surowy komfort musi usposabiać do cierpliwej, twórczej pracy.

Wśród budynków gospodarskich, otaczających dom Mikulicynów znajdowała się też stajnia, oparta o ścianę szopy. Przybudówka była jednak zamknięta i Jurij Andrejewicz nie wiedział, w jakim znajduje się stanie. Aby nie tracić czasu, postanowił więc na pierwszą noc postawić konia w niezamkniętej szopie. Wyprzągł Sawraszkę i, gdy ostygła, napoił ją przyniesioną ze studni wodą. Chciał jej dać siana z sań, ale to ostatnie starło się pod jadącymi na sieczkę i nie nadawało się na karm. Na szczęście znalazło się jeszcze dość siana w kątach szerokiego poddasza szopy.

Na noc, nie rozbierając się, przykryli się futrami i spali snem słodkim, głębokim, jak dzieci po całodziennym bieganiu i swawoli.

6

Gdy następnego dnia wstali, Jurij Andrejewicz od rana już zaczął spoglądać na kusicielski stół pod oknem. Ręce jego rwały się same do papieru. Z prawa do pisania postanowił jednak skorzystać dopiero wieczorem, gdy Łara i Katia położą się spać. Na razie należało przyprowadzić do porządku dwa pokoje i pracy przy tym było po uszy.

Marząc o wieczornej robocie Jurij Andrejewicz nie miał na myśli żadnych wielkich projektów. Ogarnęła go po prostu pasja do atramentu, do pióra, do pisania.

Chciało mu się czernić papier, pisać wiersz za wierszem. Na początek ograniczyłby się do spisania jakoś dawniejszego, dotąd niezanotowanego pomysłu, byle tylko rozprostować zdętwiałe od bezruchu i drzemiące zdolności. A potem... miał na-

dzieję, że jemu i Łarze uda się zostać tu dłużej i wówczas będzie się mógł wziąć do czegoś nowego, ważkiego.

— Jesteś zajęty? Co teraz robisz?

— Palę w piecu. Bo co?

— Potrzebna mi jest balia.

— Przy takim paleniu dREW wystarczy nam zaledwie na trzy dni. Trzeba będzie zajrzeć do naszej dawnej żiwagoskiej szopy. Może tam znajdzie się trochę drzewa. Jeżeli jest go więcej, obróciwszy kilka razy przywiozę je tu. Chcesz balii. Wyobraź sobie, że ją gdzieś widziałem. Ale gdzie — nie mogę sobie przypomnieć.

— To samo i ja. Widziałam ją gdzieś i zapomniałam. Wiedocznie nie była na swoim miejscu i dlatego nie trzyma się pamięci. Bóg z nią. Grzeję dużo wody do sprzątania, a w tym co zostanie upiorę coś dla siebie i Kati. Daj i twoją bieliznę. Wieczorem, kiedy skończymy sprzątanie i rozejrzemy się w sytuacji, umyjemy się wszyscy w ciepłej wodzie.

— Zaraz przygotuję bieliznę. Dziękuję. Szafy i ciężkie meble poodsuwałam od ścian, tak jak chciałaś.

— Dobrze. Zamiast balii przepłuczę bieliznę w szafliku do naczyń. Strasznie brudny! Trzeba będzie zmyć zeń tłuszcz.

— Gdy piec się rozpali, zamknę go i wrócę do przeglądania szuflad w biurku i komodzie. Tam co krok niespodzianki. Mydło, zapalki, ołówki, papier, materiały piśmienne. Takie same niespodzianki stoją zresztą jawnie, na wierzchu. Na przykład nalana naftą lampa na stole. To nie są rzeczy Mikulicyków, wiem na pewno. Wszystko to pochodzi z jakiegoś innego źródła.

— Mamy niesłychane szczęście! Wszystko to zostawił ów tajemniczy lokator. To jak z Jules Verne'a. Ależ bo z nas niedołągi! Gadamy, a woda kipi w zbiorniku.

Doktor i Łara krzatali się, biegali tam i z powrotem, niosąc różne przedmioty i omal nie potracając Kati, która wciąż kręciła się na ich drodze. Dziewczynka włoczyła się z kąta w kąt, przeszkadzając w sprzątaniu i dając się w odpowiedzi na uwagi starszych. Skarżyła się przy tym na zimno.

— Biedne są te dzisiejsze dzieci, ofiary naszego cygańskiego życia, cierpliwi towarzysze naszej tułaczki — myślał doktor, mówiąc Kati:

— Wybacz, kochana. Nie ma czego się dąsać. To są kaprysy. Piec jest rozpalony do czerwoności.

— Piecowi może jest ciepło, ale mnie zimno.

— W takim razie bądź cierpliwa, Katiu. Wieczorem napalę jeszcze raz w piecu, a mama wykąpie cię, słyszałaś? A tymczasem masz to, łap.

I doktor sypał na podłogę stare zabawki Liweria, przyniesione z lodowatej komory, całe i połamane : cegiełki i sześciany, wagony i parowozy, ponumerowane lub pokryte rysunkami kawałki kartonu i kości do różnych gier.

— Co wy robicie, Jurij Andrejewicz, wołała Katia, obrażając się jak dorosła. — To przecie wszystko nie nasze. I to jest dla małych dzieci, a ja jestem już duża.

Ale w minutę później siedziała już wygodnie na środku dywanu i traktując wszystkie zabawki jako budulec wznosiła z nich dom dla przywiezionej z sobą z miasta lalki, Niny. Dom mający większe pozory wygody i stałości niż wszystkie cudze, wciąż zmieniające się przytulki, po których ciągała ją matka.

— Patrz na ten instynkt gospodarności, na ten niezwalczony pociąg do własnego gniazda i do porządku — mówiła Łarisa Fiedorowna obserwując z kuchni zabawę córki. — Dzieci są szczerze, bez skrępowania, nie wstydzą się prawdy, gdy my, bojąc się by nie uchodzić za zacofanych, gotowi jesteśmy zdradzić to co kochamy, chwalić to co jest odrażające i potakiwać temu co jest niezrozumiałe.

— Znalazła się balia — powiedział doktor wchodząc z ciemnej sieni. — Była istotnie nie na swoim miejscu. Stała na podłodze tam, gdzie na jesieni kapło widocznie z przeciekającego sufitu.

7

Na obiad przygotowany z góry na trzy dni, z świeżo napoczętych zapasów, Łarisa Fiedorowna podała rzeczy niesłychane : zupę kartoflaną i smażoną baraninę z ziemniakami. Zasmakowawszy w tych potrawach, Katia nie mogła się od nich oderwać, śmiała się i dokazywała, potem zaś, syta i omdlewająca z gorąca, przykryła się pledem mamy i zasnęła słodko na kanapie.

Łarisa Fiedorowna wprost od płyty, zmęczona, spocona i senna jak córka, zadowolona z wrażenia, jakie wywarły jej kucharskie umiejętności, nie śpieszyła się z uprzątnięciem stołu i siadła odpocząć. Przekonawszy się, że Katia już śpi, oparła się piersią o stół, podparła głowę ręką i zaczęła mówić :

— Mogłabym pracować nie szczczędając sił i znajdowałabym w tym zadowolenie, gdybym była pewna że to ma sens i prowadzi do jakiegoś celu. Powinieneś mi przypominać co chwila, że jesteśmy tu, aby być razem. Mów mi to wciąż, nie dawaj

oprzytomnieć, bo jeżeli spojrzeć trzeźwo co my tu właściwie robimy? Włamaliśmy się do cudzego mieszkania, gospodarujemy w nim jak szare gęsi i wciąż śpieszymy się, żeby nie widzieć, że to nie życie, ale sztuka teatralna, że to wszystko nie jest na serio ale „na niby”, jak mówią dzieci, że jest to teatr marionetek i że koń by z tego się uśmieł.

— Mój aniołku, sama przecież chciałaś tu przyjechać. Przypomnij sobie, jak długo się temu sprzeciwiałem.

— Prawda. Nie przeczę. Otóż i znów ja jestem winna. Tobie wolno wahać się, namyślać, a ja muszę być zawsze logiczna i konsekwentna. Gdyś zobaczył łóżeczko swego syna omal nie zemdlałeś z bólu. Ty masz do tego prawo, a ja nie. Obawa o Katię i o przyszłość powinna ustępować mojej miłości dla ciebie.

— Łaro, aniele mój, bądź rozsądna. Możemy zmienić zdanie i odstąpić od powziętej decyzji. Jeszcze nie jest na to za późno. Ja pierwszy radziłem ci brać poważniej projekty Komarowskiego. Mamy konia. Jeżeli chcesz, jutro możemy pojechać do Jurjatina. Komarowski jeszcze tam jest, nie wyjechał. Widzieliśmy go przecież na ulicy, przy czym, według mnie, on nas nie spostrzegł. Na pewno go jeszcze zastaniemy.

— Jeszcze nic prawie nie powiedziałam, a już w twoim głosie wyczuwam niezadowolenie. Ale powiedz sam czy nie mam racji? Taką niepewną kryjówkę można było znaleźć także w Jurjatinie. A jeżeli mieliśmy szukać ocalenia, trzeba było to robić z jakimś przemyślanym planem, jak radził ten doświadczony i trzeźwy, chociaż wstrętny człowiek. Nie wiem po prostu czy nie tu właśnie grożą nam większe niebezpieczeństwa niż gdziekolwiek indziej. Bezkresna równina otwarta dla wszystkich wiatrów. Nocą może nas zawiąć śniegiem tak, że nie potrafimy się przekopać. Albo nasz nieznany dobroczyńca, nawiedzający ten dom! Być może jest to bandyta który przyjdzie i zamorduje nas. Czy masz przynajmniej broń? Nie? No, widzisz. Przeraża mnie twoja beztroska, którą zarażasz i mnie. Mącą mi się od niej myśli.

— Czego w takim razie chcesz? Co każesz mi robić?

— Nie wiem sama co ci odpowiedzieć. Trzymaj mnie w stałym posłuszeństwie. Przypominaj mi wciąż, że jestem twoją niewolnicą, kochającą cię ślepo, bez zastrzeżeń. Och, powiem ci jeszcze, że nasi bliscy, twoi i moi, są tysiąc razy lepsi od nas. Ale to nieważne. Dar miłości, jak wszystkie inne, nawet wielki, nie może rozwinąć się bez błogosławieństwa. Z nami zaś jest tak jak gdyby nauczono nas całować się w niebie, a potem kazano urodzić się w jednym czasie na ziemi abyśmy mogli wypróbo-

wać na sobie to uzdolnienie. Dlatego jesteśmy spleceni jak wianek, nie ma dla nas strony prawej i lewej, wyższej i niższej, wszystko jest jednakowo cenne i uduchowione, wszystko jest źródłem radości. Lecz w tej dzikiej, czyhającej na nas wciąż miłości jest coś dziecinnie swawolnego, coś zakazanego. Ten niszczyielski, nieopanowany żywioł jest wrogiem domowego spokoju. Moim obowiązkiem jest obawiać się go i nie ufać mu.

I zarzuciwszy mu ramiona na szyję, dusząc łkanie zakończyła :

— Czy rozumiesz, że nasze sytuacje są różne ? Tobie skrzydła są dane, abyś ulatywał ponad obłoki, mnie zaś, kobiecie, abym przytulała się do ziemi i zasłaniała pisklę w niebezpieczeństwie.

To co mówiła Łara bardzo podobało się doktorowi, który wszakże nie dał tego po sobie poznać aby nie wpaść w sentymentalizm. Rzekł więc powściągliwie :

— Nasze koczownicze życie jest istotnie fałszywe i sztuczne. To prawda. Ale nie myśmy je wymyślili. Wszyscy biegają jak oparzeni. To leży w duchu czasu. Sam myślałem dziś z rana o czymś podobnym. Chciałbym dołożyć wszystkich starań, aby móc tu zostać dłużej. Trudno mi nawet powiedzieć, jak bardzo chciałbym się wziąć do pracy. Nie mówię tu o rolnictwie. Raz już wciągnęliśmy się w nie całą rodziną, i nawet z powodzeniem. Nie mam jednak sił na powtórzenie tego eksperymentu. Myślę o czymś innym.

Życie wraca powoli do porządku. Kiedyś, być może, zacznę znów wydawać książki.

O tym właśnie myślałem. Mógłbym, być może, umówić się z Samdiewiatowem na takich warunkach, że on utrzymywałby nas tu w ciągu pół roku, ja zaś zobowiązałbym się napisać przez ten czas jakąś pracę, na przykład podręcznik medyczny lub coś literackiego, powiedzmy tom wierszy. Lub wreszcie przetłumaczyłbym jakąś książkę o światowej sławie. Znam dobrze języki, a niedawno czytałem ogłoszenie wielkiego petersburskiego wydawnictwa, drukującego same tłumaczenia. Prace tego rodzaju będą posiadały pewną wartość wymienną i można będzie zmienić je na pieniądze. Byłbym szczęśliwy mogąc zająć się czymś w tym rodzaju.

— Dziękuję ci, żeś mi to przypomniał. Ja też myślałam dziś o czymś podobnym. Nie wierzę jednak żebyśmy mogli się tu długo utrzymać. Przeczuwam raczej, że będziemy musieli jechać gdzieś dalej. Dopóki jednak jesteśmy na tym postoju będę miała do ciebie prośbę. Poświęć mi kilka godzin czasu i w ciągu najbliższych wieczorów spisz, proszę, wszystko, coś mi w ostat-

nich czasach recytował z pamięci. Połowę tego zgubiliśmy, połowa została niespisana, obawiam się, że ją zapomnisz, i że wszystko zginie, jak już, wedle twoich własnych słów, często zdarzało się.

8

W końcu dnia wszyscy umyli się w gorącej wodzie, której pozostało wiele po praniu. Łara wykąpała Katię. Jurij Andrejewicz z błogim uczuciem czystości, siedział przy stole, obrócony plecami do pokoju w którym Łara, pachnąca, w kąpielowym płaszczu, z włosami zawiniętymi kosmatym ręcznikiem, układała do snu Katię, i zaścielała łóżko. Oczekując bliskiej chwili skupienia, Jurij Andrejewicz słyszał to niejasno przez zasłonę czujnej, lecz coraz bardziej uogólniającej myśli.

Koło godziny pierwszej w nocy, Łara, udająca dotąd, że śpi, zasnęła naprawdę. Świeża bielizna i świeżo wyprana pościel jaśniały czystością, wyprasowane, koronkowe. Nawet w ciągu ostatnich lat Łarze udawało się zawsze zdobywać krochmal.

Jurja Andrejewicza otaczała błogosławiona, szczęśliwa, słodko dysząca życiem cisza. Spokojne, żółtawe światło lampy padało na białe arkusze papieru i zapalało złociste blaski na powierzchni atramentu w kałamarzu. Za oknem siniała zimowa, mroźna noc. Jurij Andrejewicz wyszedł do sąsiedniego, chłodnego pokoju skąd lepiej było widać to co się działo zewnątrz i spojrzeć przez okno. Księżyc był w pełni i światło jego, padające na śnieżną polanę, miało gęstość białka lub klejowej farby. Mroźna noc była nieopisanie piękna. Pokój panował w duszy doktora, który wrócił do jasnego, ogrzanego pokoju i wziął się do pisania.

Doktor miał pismo szerokie i dbał o to, aby jego kaligrafia oddawała żywy ruch ręki i zachowywała własne oblicze, nie wpadając w bezduszną i mechaniczność. Przypominał sobie teraz i spisał, poprawiając stopniowo pierwotną redakcję, „Gwiazdę Wigilijną”, „Zimową noc” i wiele innych pokrewnych wierszy, które potem zgubił, i które nigdy nie zostały odnalezione.

Od dawnych, dojrzałych i zakończonych, przeszedł następnie do wierszy zaczętych i porzuconych. Wszedł w ich ton i pisał je dalej bez zamiaru doprowadzenia ich do końca. Potem wpadł w trans, zapalił się i zaczął pisać wiersze zupełnie nowe.

Po dwóch czy trzech łatwo przelanych na papier strofach i kilku dla niego samego zadziwiających porównaniach, praca

porwała go całkowicie. Jurij Andrejewicz czuł zbliżanie się tego, co nazywają natchnieniem. W chwilach takich odwraca się wzajemny stosunek sił rządzących twórczością. Na pierwszy plan wysuwa się nie człowiek poszukujący wyrazu dla stanu swej duszy, lecz język, będący jego narzędziem. Język będący źródłem i skarbnicą pojęć i piękna, zaczyna sam mówić i myśleć za człowieka, staje się cały muzyką, nie przez swą dźwięczność, lecz przez wartość i potęgę wewnętrznego nurtu. Podobna do rzeki, która samym ruchem swych wód szlifuje na dnie kamienie i obraca koła młynów, płynąca mowa według własnych praw tworzy po drodze, mimochodem, rytmy i rymy i tysiące innych, jeszcze ważniejszych form dotąd nieznanych, niebadanych, nienazwanych.

W chwilach takich Jurij Andrejewicz czuł, że główną pracę spełnia nie on, lecz coś stojącego nad nim i kierującego nim, a mianowicie: stan światowej myśli i poezji oraz przeznaczona jej przyszłość, następny krok jej historycznego rozwoju. I czuł, że jest tylko pretekstem, punktem oporu tego ruchu.

Niezadowolenie z siebie, poczucie winy i własnej nicości opuściło go. Jurij Andrejewicz odwracał się i patrzył dokoła.

Na śnieżnobiałych poduszkach widział głowy Łary i Kati. Czystość pościeli, czystość mieszkania, czystość ich rysów zlewała się w jedną całość z czystością nocy, śniegu, księżyca i gwiazd i przenikała serce doktora, pełne radości i łez, poczuciem triumfującej czystości egzystencji.

— Boże, Boże — gotów był szeptać — za co mi dałeś tak wiele? Za co dopuściłeś mnie do siebie i pozwoliłeś przebywać na twej bezcennej ziemi, pod twymi gwiazdami, u nóg tej nierozsądnej, oddanej i nieszczęśliwej istoty, na którą nie mogę się dość napatrzyć.

Była już trzecia, gdy Jurij Andrejewicz oderwał wzrok od papieru i stołu. Od skupienia, które pochłaniało go całkowicie, wracał teraz do rzeczywistości pogodny, silny, spokojny. Nagle z cizy leżącej za oknem rozległej przestrzeni dał się słyszeć smutny, żalony dźwięk.

Doktor poszedł do sąsiedniego, ciemnego pokoju, aby wyrzeć przez okno. W ciągu godzin jakie spędził na pisaniu, szyby pokryły się szronem i nic przez nie nie było widać. Jurij Andrejewicz odsunął zwinięty dywan, którym uszczelnione były wyjściowe drzwi, narzucił na ramiona futro i wyszedł na ganek.

Biały ogień, którym śnieg płonął w świetle księżyca, oślepił go. Przez chwilę nie mógł nic odróżnić, nic nie widział. W minutę później usłyszał znów daleko, przeciągle, skomlące wycie

i na skraju polany, za parowem, dostrzegł cztery cienie nie większe od małej kreski.

Wilki stały rzędem, zwrócone głowami do domu i wyły na księżyc czy też na świecące srebrnym blaskiem okna domu Mikulicyńców. Przez kilka chwil stały nieruchomo, lecz zaledwie Jurij Andrejewicz poznał w nich wilki, zawróciły i po psiemu, spuściwszy ogony, oddaliły się truchtem, jak gdyby poczuły myśl doktora. Doktor nie zdążył zauważyć w jakim kierunku się skryły.

— Nieprzyjemna nowina — pomyślał. — Tylko ich brakowało. Gdzie mogą mieć leże? Być może gdzieś blisko, kto wie czy nie w parowie? Straszno! I do tego jeszcze Sawraska Samdiewiatowa w stajni. Najpewniej ją właśnie zwęszyły.

Doktor postanowił na razie nie mówić nic Łarze, aby jej nie niepokoić. Wszedł do domu, zamknął drzwi wejściowe, potem zaś drugie drzwi, dzielące zimną część mieszkania od ogrzewanej, pozatykał w nich dziury i szczeliny i zbliżył się do stołu.

Lampa paliła się wciąż jasno i życzliwie. Doktor jednak nie miał więcej ochoty do pisania. Nie mógł się uspokoić. Nie mógł myśleć o niczym innym jak o wilkach i o innych groźących im powikłaniach. Zresztą czuł się znużony. Łara obudziła się.

— A ty wciąż palisz się i tłisz moja ty uparta świeco — szepnęła wilgotnym i przytłumionym przez sen głosem. — Siądź na minutę koło mnie, tu obok. Opowiem ci jaki miałam sen.

Doktor zgasił lampę.

9

Spędzili jeszcze jeden dzień w stanie cichego szaleństwa. W domu znalazły się dziecinne saneczki. Katia, w futerku, zarumieniona od zimna, śmiejąc się głośno zjeżdżała na ścieżkę ogródka z lodowego pagórka, który doktor usypał dla niej ze śniegu, wygładził łopatą i polał wodą. Katia z zastygłym na ustach uśmiechem, wdrapywała się wciąż na ten pagórek ciągnąc na sznurku saneczki.

Mróz był coraz cięższy, pogoda słoneczna. Śnieg przybierał w południe barwę żółtawą, potem miodową, wczesny zmierzch kładł nań wreszcie pomarańczowe cienie.

Po wczorajszym praniu i kąpieli w domu zostało wiele wilgoci. Okna pokryły się grubym szronem, po ścianach od sufitu do podłogi, spływały czarnymi strugami krople wody.

W domu było ciemno i nieprzytulnie. Jurij Andrejewicz nosił drwa i wodę, rozglądał się po domu, w którym robił coraz nowe odkrycia i pomagał Łarze, zajętej od rana gospodarstwem domowym.

Znów w samym środku jakiejś roboty ręce ich spotykały się i zatrzymywały się złączone; przenoszone właśnie ciężkie przedmioty stawiali na podłogę, zatrzymani nieprzewyciężonym napadem czułości. Wszystko wypadło im z rąk i wylatywało z głowy. Minuty składały się na godziny, robiło się późno i oboje spostrzegali z przerażeniem, że zostawili bez nadzoru Katię i zapomnieli nakarmić i napoić konia. Rzucali się wówczas na łeb i na szyję w pogoń za straconym czasem i mieli wyrzuty sumienia.

Doktora bolała głowa z niewyspania. Czuł w niej, jak po przepiciu, słodkie odurzenie; błogie znużenie ogarniało całe ciało. Niecierpliwie czekał wieczora aby wrócić do przerwanej pracy.

Połowę pracy dokonywało za niego senne zamroczenie, otulające jego myśli i wszystko co widział dokoła. Zamglone rzeczy i myśli posuwały się w kierunku ich ostatecznego, precyzyjnego wcielenia. Podobna do chaotycznych brulionów, całodzienna beczynność była niezbędnym przygotowaniem do nocnej pracy. W atmosferze znużenia i lenistwa wszystko zmieniał się i przybierało nowe oblicze.

Jurij Andrejewicz czuł, że marzenia jego o pozostaniu w Warykinie nie spełnią się, że chwila rozstania z Łarą jest bliska, nieunikniona, i że wraz z nią utraci rację bytu, a być może i życie. Smutek ranił jego serce, lecz jeszcze bardziej męczyło go oczekiwanie wieczora i chęć wypowiedzenia swego smutku w słowach wzruszających każdego do łez.

Wilki, o których myślał przez cały dzień, nie były dlań już wilkami na śniegu w księżycowej nocy, lecz stały się tematem literackim, wyobrażeniem wrogiej siły, mającej za cel zgubę doktora i Łary oraz wypędzenie ich z Warykina. Idea wrogiej siły rozwijała się, i pod wieczór osiągnęła takie napięcie, jak gdyby w Szut'mie pojawił się przedpotopowy potwór i w sąsiednim parowie czyhał straszliwych rozmiarów bajeczny smok, żądny krwi doktora i posiadania Łary.

Nadszedł wieczór. Doktor, jak poprzedniego dnia, zapalił na stole lampę. Łara i Katia położyły się trochę wcześniej spać.

Stronice napisane poprzedniej nocy tworzyły dwie grupy. Wiersze starsze, poprawione i wygładzone, przepisane były na

czysto, kaligraficznie. Nowe naszkicowane były w nieczytelnych skrótach.

Przeglądając tę bazgranię doktor doznał zwykłego w tych wypadkach rozczarowania. Poprzedniej nocy fragmenty te wzruszały go do łez i oszałamiały niespodzianą udatnością niektórych zwrotów. Teraz, w tych samych rzekomo szczęśliwych zwrotach, uderzała sztuczność ku wielkiemu zmartwieniu doktora.

Przez całe życie Jurij Andrejewicz marzył o oryginalności dyskretnej, ogładzonej, ukrytej pod pozorami najzwyklejszych, ogólnie uznanych form, przez całe życie dążył do wypracowania stylu powściągliwego, bezpretensjonalnego, pozwalającego czytelnikowi opanować treść nie spostrzegając nawet w jaki sposób ją sobie przyswoił. Przez całe życie pracował nad stylem niedostrzegalnym, niezwracającym niczyjej uwagi, i z przerażeniem stwierdzał, że jest jeszcze bardzo daleki od tego ideału.

We wczorajszych fragmentach zamierzał, przy pomocy środków najprostszych, graniczących z bełkotem i rzewnością kołysanek, znaleźć wyraz dla swego nastroju, będącego mieszaniną miłości, obawy, smutku i męstwa, przy czym nastrój ten miał udzielać się bezpośrednio, niejako poza słowami.

Przeglądając teraz te próby, Jurij Andrejewicz znalazł, że brakło im treściowego szkieletu wiążącego w całość rozpadające się strofy. Poprawiając wciąż swój brulion zaczął, w tej samej lirycznej stylizacji, opowiadać legendę św. Jerzego. Zaczął ją pisać szerokim, pięciostopowym wierszem, po chwili jednak wiersz ten zaczął go irytować właściwą mu urzędową i fałszywą śpiewnością.

Porzucił więc ten nadęty wiersz z cezurą, skracając go do czterech stóp i walcząc, jak prozaik, z wielosłownością. Pisanie stało się trudniejsze i bardziej pociągające. Praca poszła szybciej lecz zbytńia gadatliwość pojawiała się w niej nadal. Doktor zmusił się raz jeszcze do skrócenia formy. W trzystopowcu wyrazom było ciasno. W tym miejscu resztką senności opuściła piszącego, który obudził się i zapalił do pracy. Krótkość wiersza podpowiadała mu sama mieszczące się w tym rozmiarze słowa. Wspomniane zaledwie w słowach przedmioty zarysowywały się nie na żarty. Doktor usłyszał tętent konia, biegnącego po powierzchni wiersza tak samo wyraźnie jak w balladzie Chopina słychać potykanie się kłusującego wierzchowca. Jerzy Zwycięzca pędził na koniu po bezgranicznym stepie, i Jurij Andrejewicz widział zmniejszanie się jego w oddali. Pisał z gorączkowym pośpiechem, zaledwie zdążając

zapisywać słowa i zdania, które pojawiały się przed nim już gotowe, pasujące do czasu i miejsca.

Nie zauważył też wcale kiedy Łara wstała z łóżka i zbliżyła się do stołu. W spadającej do stóp nocnej koszuli wydawała się wyższa i szczuplejsza. Jurij Andrejewicz drgnął gdy niespodzianie zobaczył ją obok siebie, bladą, wystraszoną. Z wyciągniętą naprzód ręką Łara szeptała :

— Słyszysz ? Wyje pies. Nawet dwa. To straszne, to zła wróżba ! Doczekamy jakoś ranka i pojedziemy, pojedziemy koniecznie. Nie zostanę tu ani minuty dłużej.

— W godzinę później, Łarisa Fiodorowna uspokoiła się i znów zasnęła. Jurij Andrejewicz wyszedł na ganek. Wilki stały bliżej niż poprzedniej nocy i jeszcze prędzej znikły. I tym razem doktor nie zdążył zauważyć w jakim kierunku uciekły. Stały stadem i trudno je było policzyć. Zdawało się jednak, że było ich więcej niż poprzednio.

10

Nadszedł trzynasty dzień ich pobytu w Warykinie, nie różniący się zresztą od poprzednich. Poprzedniego wieczora znów wyły wilki, które znikły gdzieś w końcu tygodnia. Łarisa Fiodorowna, biorąc je wciąż za psy, znów chciała wyjeżdżać, przestraszona złą wróżbą. Po stanach równowagi występowały u niej stany przygnębienia i niepokoju, zrozumiałe zresztą u kobiety pracowitej, nieprzywykłej do całodziennych wywętrzań się i do niedopuszczalnego zbytku pieśszcot i przekomarzań się.

Wszystko powtarzało się najdokładniej i gdy Łarisa Fiodorowna, jak tyle razy przedtem, zaczęła znów przygotowywać się do wyjazdu, zdawało się, że dwóch prawie tygodni spędzonych przez nich w Warykinie w ogóle nigdy nie było.

W mieszkaniu było znów wilgotno i ciemno. Dzień był pochmurny, szary. Mróz zelżał. Z ciemnego, pokrytego niskimi chmurami nieba, można było oczekiwać śniegu w każdej chwili. Stałe niedosypianie podkopało wytrzymałość fizyczną i duchową Jurja Andrejewicza. Myśli plątały mu się, siły opuszczały go, było mu wciąż zimno. Zżymając się i rozcierając ręce chodził po nieopalonym pokoju nie wiedząc co postanowi Łarisa Fiodorowna i do czego w konsekwencji będzie się musiał wziąć.

Zamiary jej nie były jasne. Łara byłaby teraz gotowa oddać pół życia, aby móc skończyć z tą chaotyczną wolnością

i poddać się surowym nawet, lecz ustalonym raz na zawsze regułom. Chodzić do pracy, mieć obowiązki, słowem żyć rozsądnie i uczciwie.

Dzień zaczęła jak zwykle : pościeliła łóżka, posprzątała pokoje i przygotowała śniadanie dla doktora i Kati. Potem zaczęła pakować się i poprosiła doktora o zaprzęgnięcie konia. Decyzja jej była stanowcza i nieugięta.

Jurij Andrejewicz nie próbował opierać się. Wracać do miasta w chwili największego nasilenia aresztowań było zupełną niedorzecznością, lecz nie o wiele rozsądniej było siedzieć dalej bez broni, w tej strasznej zimowej pustyni, pełnej niejasnych gróźb i niebezpieczeństw.

Prócz tego siano było na ukończeniu. Doktor zebrał już jego resztki po sąsiednich stodołach. Gdyby mieli tu zostać dłużej, objechałby oczywiście dalsze okolice i postarał się o odnowienie zapasów, lecz przy krótkim i wątpliwym pobycie nie warto było podejmować takich trudów. Doktor machnął więc na wszystko ręką i poszedł zaprzęgać.

Zaprzęganie szło mu żmudnie. Uczył go tego Samdiewiatow, ale Jurij Andrejewicz zapomniał jego wskazówek. Niezgrabnymi rękami zrobił jednak wszystko co było potrzebne. Rzemieniem przywiązał długę do hołobli, zawiązując rzemień na węzeł, potem oparłszy się kolaniem o bok kobyły ściągnął mocno kleszcze chomąta ; przyprowadził konia pod ganek, przywiązał lejce do słupa i poszedł zawiadomić Łarę, że mogą jechać.

Zastał ją w stanie skrajnego wzburzenia. Była wraz z Katią ubrana do podróży, rzeczy były spakowane, ale Łarisa Fiodorowna załamywała ręce i hamując łzy siadała i wstawała. Prosiła Jurja Andrejewicza aby usiadł jeszcze na chwilę i, powtarzając często „nieprawdaż ?”, wysokim, śpiewnym i skarżącym się głosem zaczęła mówić prędko i bezładnie :

— To nie moja wina. Sama nie wiem jak to się stało. Ale czy można teraz jechać ? Niedługo się ściemni. Noc zastanie nas w drodze, akurat w twoim strasznym lesie. Nieprawdaż ? Zrobię co każesz, ale sama nie zdecyduję się na to. Coś mówi mi, żeby tego nie robić. Jestem niespokojna. Zrobisz jak chcesz. Nieprawdaż ? Czemu nic nie mówisz ? Wałkoniliśmy się przez cały ranek, nie wiem nawet na co straciliśmy pół dnia. Jutro to się nie powtórzy, będziemy rozsądniejsi, nieprawdaż ? Może zostaniemy tu jeszcze jeden dzień. Wstaniemy jutro wcześniej i o szóstej lub siódmej pojedziemy. Co o tym myślisz ? Zapalisz w piecu, popiszesz sobie wieczorem, przenocujemy tu raz jeszcze. To byłoby tak pięknie, tak wyjątkowo ! Czemu nie odpowiadasz ? Znów jestem wszystkiemu winna !

— Przesadzasz. Do zmierzchu jeszcze daleko — jest jeszcze wcześniej. Ale niech będzie tak jak chcesz. Dobrze. Zostaniemy. Uspokój się. Patrz, jak jesteś wzburzona. Rozkładajmy rzeczy, zdejmujmy futra. Katia mówi właśnie, że jest głodna. Zjemy coś. Masz rację. Dzisiejszy odjazd byłby zbyt nagły, nieprzygotowany. Tylko nie denerwuj się i nie płacz. Zaraz zapalę w piecu. Ale przedtem, ponieważ koń już stoi zaprzężony pod gankiem, pojadę po drzewo do żiwagoskiej szopy, bo tu już nie ma ani jednego polana. Nie płacz. Wróć prędko.

II

Przed szopą widniało na śniegu kilka kolistych śladów sań, pozostałych po poprzednich bytnościach Jurja Andrejewicza. U progu śnieg był wydeptany i zaśmiecony pozawczorajszą zwózką drew.

Ranne obłoki rozwiały się. Niebo oczyściło się. Znów robiło się mroźno. Warykiński park, otaczający te miejsca, zbliżył się jak gdyby do szopy, aby spojrzeć doktorowi w twarz i coś mu przypomnieć. Śnieg leżał w tym roku grubą warstwą, wyższą od progu szopy. Oddrzwia zniżyły się, szopa zdawała się zgarbiona. Z dachu jej, nad samą głową doktora zwieszał się olbrzymi grzyb nawianego śniegu. Wprost nad dachem, jak gdyby wetknięty ostrzem w śnieg, płonął szarym blaskiem sierp młodego, nowonarodzonego księżycza.

Mimo jasnego jeszcze dnia, doktor miał wrażenie, że późnym wieczorem stoi w ciemnym lesie swego życia. Tak ciemno było i smutno w jego duszy. I niemal na wysokości jego twarzy płonął przed nim młody księżyc, zwiastun rozłąki i samotności.

Jurij Andrejewicz upadał ze zmęczenia. Rzucając drwa do sań przez próg szopy, brał ich mniej na raz niż zwykle. Dotknięcie oblodzonych kłoców, nawet przez rękawice, sprawiało mu ból. Ruch nie rozgrzewał go. Coś zatrzymało się w nim i urwało. Jurij Andrejewicz przeklinał na czym świat stoi swój los i modlił się do Boga o zachowanie przy życiu jej, pięknej, smutnej, pokornej, prostodusznej. A księżyc nad szopą płonął i nie płonął, świecił i nie oświecał.

Nagle kobyła, odwracając się w stronę, z której przybyła podniosła głowę i zarżała zrazu cicho i nieśmiało, potem głośno i pewnie.

— Co się stało? — pomyślał doktor. — Z czego tak się ucieszyła? Bo przecież to nie ze strachu. Ze strachu konie nie

rzą. Czy zdurniała, aby dawać o sobie znać wilkom, jeżeli je zwietrzyła. I do tego tak wesoło. Może przeczuwa powrót do domu. Poczekaj, zaraz pojedziemy.

Załadowawszy drwa, Jurij Andrejewicz nabierał w szopie na podpałkę trochę drobnych szczap i odpadłych od okrągłaków kawałków kory, zwiniętych jak cholewy od butów. Wszystko to ułożył na rogoży, którą ściągnął sznurem, i rzucił na sanie i idąc obok nich skierował się do domu Mikulicynów.

Kobyła znów zarżała, tym razem odpowiadając na dalekie lecz wyraźne rzenie innego konia. — U kogo to może być? — zachnął się doktor. — Myśleliśmy, że w Warykinie nie ma nikogo. Widocznie myliliśmy się. Nie przychodziło mu do głowy, że w domu Mikulicynów byli goście i że rzenie dochodziło właśnie z tej strony, z ogrodu. Prowadził Sawraskę do zabudowań gospodarskich, drogą okólną, z której nie widać było frontu domu mieszkalnego, zasłoniętego przez zasy.

Nie śpiesząc się (dlaczego miał się śpieszyć?) ułożył drwa w szopie, wyprzągł konia, sanie zostawił w szopie a Sawraskę odprowadził do stojącej obok zimnej stajni. Postawił ją w prawym kącie, gdzie mniej wiało i przyniósłszy z szopy kilka wiązek siana rzucił je do żłobu.

Było mu źle na duszy gdy poszedł w kierunku domu. Przed gankiem stały szerokie chłopskie sanie z wygodnym koszem, zaprzężone w wypasionego, karego ogiera. Dokoła przechadzał się tak samo gładki i syty, nieznajomy chłopak w ciepłym kaftanie, klepiąc konia po bokach i przyglądając się jego pęcynom.

W domu słychać było głośnie rozmowę. Nie chcąc podsłuchiwać i nie mogąc zresztą odróżnić słów, Jurij Andrejewicz mimowoli zwolnił kroku i wreszcie stanął jak wryty. Nie odróżniając słów postłyszał głosy Komarowskiego, Łary i Kati. Wszyscy musieli znajdować się w pierwszym pokoju przy wejściu. Komarowski sprzeczał się z Łarą i sądząc z tonu jej odpowiedzi, ta ostatnia denerwowała się i płakała, na przemian oponując ostro i zgadzając się. Na podstawie jakichś nieuchwytnych oznak Jurij Andrejewicz wyobraził sobie, że Komarowski mówił w tej chwili właśnie o nim, mniej więcej w tym sensie, że jest człowiekiem niepewnym („sługa dwóch panów” — przywidziało się doktorowi), że nie wiadomo czy zależy mu więcej na rodzinie czy na Łarze, że w konsekwencji Łara nie może na nim polegać i nie powinna ufać mu, aby nie gonić dwóch zajęcy i usiąść potem między dwa krzesła. Jurij Andrejewicz otworzył drzwi.

W pierwszym pokoju stał istotnie Komarowski w futrze do samej ziemi. Łara trzymała Katię za kłapy futra i usiłowała zapiąć kołnierz, lecz nie trafiała haftką w pętelkę. Niecierpliwiła

się, że dziewczynka wierci się i wrywa, Katia natomiast prosiła :
— Mamo, powoli, ty mnie zadusisz. — Wszyscy stali ubrani i gotowi do odjazdu. Gdy Jurij Andrejewicz wszedł Łara i Wiktor Ippolitowicz zaczęli doń mówić jednocześnie.

— Gdzieś ty zginął ? Jesteś nam tak potrzebny !

— Witajcie, Jurij Andrejewicz ! Mimo grubiaństw, któreśmy sobie powiedzieli ostatnim razem, jestem tu znów, jak widzicie bez zaproszenia.

— Dzień dobry, Wiktor Ippolitowicz.

— Gdzieś ty tak długo był ? Wysłuchaj teraz tego co on ci powie i decyduj się za mnie i za siebie. Nie ma czasu. Musisz się śpieszyć.

— Cemu tu stoimy ? Siadajcie, Wiktor Ippolitowicz. Gdzie byłem ? Wiesz sama, że jeździłem po drzewo i musiałem zająć się koniem. Wiktor Ippolitowicz siadajcie, proszę.

— Nie jesteś zdumiony ? Cemu nie zdradzasz żadnego zdziwienia ? Żałowaliśmy, że ten człowiek wyjechał i że nie skorzystaliśmy z jego propozycji, a on tu właśnie stoi przed tobą i ty się temu nie dziwisz. Lecz bardziej jeszcze niezwykle są wiadomości, które nam przywiózł. Opowiedzcie mu to Wiktor Ippolitowicz.

— Nie wiem co ma na myśli Łarisa Fiodorowna, i powiem co następuje. Puściłem na umyślnie słuchy, że wyjechałem, w rzeczywistości zaś zatrzymałem się jeszcze na kilka dni, aby dać wam i Łarisie Fiodorownie czas na przemyślenie omówionej przez nas sprawy i na ewentualne powzięcie mniej nierozważnej decyzji.

— Dłużej odkładać jej nie można. Powstały teraz najlepsze warunki do wyjazdu. Jutro rano... niech ci to lepiej Wiktor Ippolitowicz opowie sam.

— Chwileczkę, Łara. Przepraszam, Wiktor Ippolitowicz. Cemu stoimy w futrach ? Rozbierzmy się i usiądźmy. Rozmowa jest poważna. Nie można tak na łapu capu. Darujcie mi, Wiktor Ippolitowicz. Nasze spory poruszają różne subtelności uczuć. Roztrząsać je tu byłoby śmieszne i niestosowne. Ja sam nigdy nie myślałem o wyjeździe z wami. Co innego Łarisa Fiodorowna. W tych rzadkich wypadkach gdy nasze troski można było od siebie oddzielić i gdy przypominaliśmy sobie, że nie jesteśmy jedną osobą, lecz dwiema, z których każda ma swój własny los, uważałem, że Łara, zwłaszcza ze względu na Katię, powinna z największą uwagą zastanowić się nad waszymi planami. Łara robiła to zresztą przez cały czas, wracając wciąż myślą do tych możliwości.

— Ale pod warunkiem, że i ty byś pojechał.

— Nam obojgu jednakowo trudno wyobrazić sobie nasze rozstanie, musimy jednak, być może, przewyciężyć się i ponieść tę ofiarę. Bo o moim wyjeździe nie może być mowy.

— Ale ty jeszcze nic nie wiesz. Naprzód posłuchaj. Jutro rano... Wiktor Ippolitowicz !

— Łarisa Fiodorowna ma widocznie na myśli wiadomości, które przywiozłem dziś i które jej już zakomunikowałem. Na bocznym torze w Jurjatinie stoi pod parą służbowy pociąg rządu Dalekiego Wschodu. Przyjechał wczoraj z Moskwy i jutro pojedzie dalej. Jest to pociąg naszego ministra komunikacji, złożony z międzynarodowych wagonów sypialnych.

Muszę jechać tym pociągiem. Oddano mi w nim do dyspozycji miejsca przeznaczone dla moich współpracowników. Jechałobyśmy z całym komfortem. Taka okazja więcej nie wróci. Wiem, że nie mówicie na wiatr i nie zmienicie waszych postanowień. Wiem, że jesteście niezłomni w waszych decyzjach. A jednak... próbujcie przemóc się, zróbcie to dla Łarisy Fiodorowny. Słyszeliście, że ona bez was nie pojedzie. Jedźcie więc z nami, jeżeli nie do Władywostoku do chociażby do Jurjatina, a tam zobaczymy co będzie. W tym wypadku musimy się śpieszyć. Nie mamy ani minuty do stracenia. Ja sam źle powożę i mam ze sobą furmana.

W pięcioro nie zmieścimy się w moich saniach. Jeżeli jednak się nie mylę, macie tu konia Samdiewiatowa. Mówiliście, że jeździliście nim po drzewo. Czy jest jeszcze zaprzężony ?

— Nie, wyprzągłem go.

— Zaprząćcie więc znów jak najprędzej. Mój furman wam pomoże. Zresztą do diabła z drugimi saniami. Pomieścimy się jakoś w moich. Tylko, na Boga, prędzej. Weźcie na drogę tylko rzeczy najniezbędniejsze i które są na wierzchu. Dom niech zostanie otwarty. Trzeba myśleć o życiu dziecka, a nie o dobieganiu kluczy do zamków.

— Nie rozumiem was, Wiktor Ippolitowicz. Mówicie tak, jak gdybym zgodził się z wami jechać. Jeżeli Łara tak chce, jedźcie z Bogiem. A o dom nie martwcie się. Po waszym odjeździe posprzątam go i zamknę.

— Co ty mówisz, Jura ? Po co mówisz głupstwa, w które nie wierzysz sam. „Jeżeli Łarisa Fiodorowna tak postanowiła” ! Wiesz doskonale, że bez twego udziału w podróży nie ma żadnej Łarisy Fiodorowny i żadnej decyzji. Po co więc mówić takie zdania jak : „Posprzątam dom i wszystkim się zajmę” ?

— Jesteście zatem nieubłagani. Mam w takim razie inną prośbę. Za pozwoleniem Łarisy Fiodorowny chciałbym zamienić z wami dwa słowa, jeżeli można w cztery oczy.

— Dobrze. Jeżeli tak ma być, chodźmy do kuchni. Nie masz zastrzeżeń, Łaro ?

— Strelnikow schwytany i skazany na najwyższy wymiar kary ; wyrok wykonano.

— To strasne. Czy to aby prawda ?

— Tak mi mówiono. Jestem pewien, że to prawda.

— Nie mówcie nic Łarze, ona oszaleje.

— Ja myślę ! Dlatego prosiłem was do drugiego pokoju. Po tej egzekucji ona i córka znajdują się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Pomóżcie mi je ocalić. Stanowczo nie chcecie z nami jechać ?

— Oczywiście. Już to wam powiedziałem.

— Ale ona też bez was nie pojedzie. Wprost nie wiem co robić. Musicie mi teraz pomóc w inny sposób. Wyrażcie gotowość do ustępstw, stwórzcie pozory, że będzie was można namówić. Nie wyobrażam sobie waszego pożegnania, ani tu, ani na dworcu w Juriatinie, gdybyście istotnie mieli nam towarzyszyć. Trzeba postarać się, aby ona istotnie uwierzyła, że wy też przyjedziecie. Jeżeli nie zaraz z nami, to później, kiedy dam wam nową okazję wyjazdu, z której zobowiązacie się skorzystać. Tu musicie zdobyć się na złożenie fałszywej przysięgi. Zresztą z mojej strony nie są to puste słowa. Zapewniam was uroczyście, że gdy tylko wyrażicie takie życzenie przewiozę was stąd do nas, a stamtąd — dokąd będziecie chcieli. Łarisa Fiodorowna musi wierzyć, że jedziecie z nami. Przekonajcie ją o tym, użyjcie całą waszą siłę perswazji. Udajcie, powiedzmy, że idziecie zaprzęgać konia i namówcie nas, żebyśmy jechali zaraz, nie czekając na was, bo dopędzicie nas w drodze.

— Jestem tak wstrząśnięty wiadomością o rozstrzelaniu Pawła Pawłowicza, że nie mogę wrócić do przytomności. Z trudem tylko śledzę wasze wywody. Zgadzam się z wami zupełnie. Zgodnie z naszą dzisiejszą logiką po straceniu Strelnikowa życie Łarisy Fiodorowny i Kati jest też zagrożone. Jedno z nas na pewno utraci wolność, rozłaka jest więc, tak czy inaczej nieunikniona. Istotnie więc lepiej będzie jeżeli wy nas rozłaczycie i zawieziecie je gdzieś dalej, na koniec świata. W chwili gdy wam to mówię, wszystko idzie już po waszej myśli. Ja zapewne tego nie wytrzymam i, rezygnując z dumy i egoizmu, przyjdę skruszony do was, aby z rąk waszych otrzymać i ją i ży-

cie i podróż morską do swoich i moje własne ocalenie. Ale dajcie mi możność zastanowienia się nad tym. Przywieziona przez was wiadomość wytrąciła mnie z równowagi. Ból, jaki odczuwam, nie pozwala mi jasno myśleć. Ulegając wam popełniam być może fatalną, nieodwracalną omyłkę, która będzie mnie ścigała przez całe życie, ale w tej chwili, pozbawiony sił i zamroczony bólem, nie mogę się zdobyć na nic innego, jak na potakiwanie wam i ślepe posłuszeństwo. Tak więc, dla jej dobra, powiem zaraz że idę zaprzęgać konia i że dogonię was, i zostanę tu sam jeden. Jeszcze jeden drobiazg. Noc już zbliża się, jak wy pojedziecie? Droga idzie przez las pełen wilków. Mieście się na baczności.

— Wiem. Mam ze sobą strzelbę i rewolwer. Bądźcie spokojni. Ale à propos. Wziąłem ze sobą trochę spirytusu. Dostateczną ilość. Podzielimy się, dobrze?

13

— Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem? Oddałem, wyrzekłem się, odstąpiłem. Biec za nimi, dopędzić, zawrócić. Łara! Łara!

Nie słyszą. Wiatr wieje od nich i pewnie głośno rozmawiają. Łara ma wszystkie dane na to, aby być wesołą i spokojną. Dała się oszukać i nie podejrzewa nawet, jak dalece się myli.

Sądzi prawdopodobnie, że wszystko ułożyło się jak najlepiej po jej myśli. Jej Jura, uparty fantasta, dał się wreszcie, chwała Bogu, przekonać i jedzie z nią razem do ludzi rozumniejszych niż on i ja, na miejsce bezpieczne, gdzie oboje będą pod ochroną prawa i porządku. Jeżeli nawet, aby postawić na swoim i okazać charakter, będzie się jeszcze opierał i nie pojedzie ich pociągiem. Wiktor Ippolitowicz przyśle poń drugi pociąg, i Jura przyjedzie w niedługim czasie.

Teraz jest on zapewne w stajni i nieposłusznymi, drżącymi ze wzruszenia i pośpiechu rękami zaprzęga Sawraskę, aby co tchu pędzić ich śladem i dogonić przed lasem.

Tak zapewne myśli. Nie pożegnała się nawet z nim jak trzeba. Jurij Andrejewicz machnął ręką i odwrócił się krztuszając się z bólu, jak gdyby udławił się kawałkiem jabłka.

Doktor stał na ganku w narzuconym na jedno ramię futrze. Wolną, nieprzykrytą ręką ścisnął pod samym sufitem podpierający dach słup, jak gdyby chciał go udusić. Cała jego świadomość skupiona była na jednym odległym punkcie. Droga szła tam pod górę między kilku samotnymi brzoźami. Na to otwarte miejsce padały właśnie promienie nisko już stojącego słońca.

Z minuty na minutę w tym oświetlonym pasie powinny były ukazać się pędzące sanie, niewidoczne na razie z racji wklęsłości terenu.

— Żegnaj, żegnaj — szeptał w oczekiwaniu tej chwili doktor, wyrzucając z piersi bezdźwięczne słowa w mroźne, wieczorne powietrze. — Żegnaj jedyna, ukochana, utracona na zawsze.

— Jada! Jada! — szepnął znów suchymi, zbieleatymi ustami, gdy sanie wyleciały jak strzała na pochyłość mijając jedną za drugą brzozę i zatrzymując się, o radości, przy ostatniej.

Serce jego zaczęło bić mocno, nogi ugiwały się pod nim; ze wzruszenia całe jego ciało stało się miękkie jak wojłok, jak spadające z ramienia futro. — O Boże, chcesz, zdaje się, zwrócić mi ją. Co się tam stało? Co się dzieje na tej wąskiej linii światła? Jak to objaśnić? Czemu stoją? Nie. Wszystko przepadło. Pojechali! Łara prosiła zapewne o zatrzymanie się, aby rzucić pożegnalne spojrzenie na dom, lub chciała być może sprawdzić czy Jurij Andrejewicz za nimi jedzie? Pojechali. Pojechali.

Jeżeli zdążą, jeżeli słońce przedtem nie zajdzie (bo o zmroku nie będzie ich widać), ukazać się jeszcze po raz ostatni na przeciwnym stoku parowu, na polanie, gdzie pozawczorajszej nocy stały wilki.

I ta chwila również nadeszła i minęła. Ciemnoczerwona tarcza słońca dotykała już sinawej linii zasp. Śnieg zdawał się chciwie chłonać ananasową słodycz spływającą ze słońca. Sanie ukazały się, przemknęły. — Żegnaj Łaro, do zobaczenia na tamtym świecie, żegnaj radości moja bezmierna, niewyczerpana, wieczna. — Sanie znikły. — Nigdy ciebie więcej nie zobaczę, nigdy, nigdy w życiu więcej cię nie zobaczę.

Tymczasem ściemniło się. Rozrzucone po śniegu purpurowo-brązowe plamy wykwiwały szybko i gasły. Popielata przestrzeń zanurzała się w liliowy zmrok, który ogarniał powoli koronkową kaligrafię przydrożnych brzoź, odcinającą się delikatnie na bladoróżowym tle nieba, pozbawionego teraz swej głębokości.

Cierpienie zaostrzało wrażliwość Jurja Andrejewicza, wrażenia narzucały mu się z dziesięciokrotnie zwiększoną siłą. Otaczający go krajobraz i nawet powietrze wydawały mu się czymś rzadkim, wyjątkowym. Zimowy wieczór zdawał się być współczującym świadkiem jego cierpienia. Było to tak, jak gdyby zmierzch nigdy jeszcze nie był taki, i zorza wieczorna pojawiła się po raz pierwszy, w celu pocieszenia osieroconego, samotnego człowieka, jak gdyby drzewa na otaczających pagórkach wyszły właśnie spod ziemi dla okazania mu swego współczucia.

Doktor odwrócił się od tego pięknego wieczora, jak od natrętnego tłumu współczujących, gotów szeptać dotykającym go promieniom zorzy : „Dziękuję. Nie trzeba”. Stał wciąż na ganku twarzą do zamkniętych drzwi, odwrócony plecami do świata. Coś mówiło w nim : „Zaszło moje słoneczko”. Sam nie mógł tych słów wymówić razem ; gardło ścisnęło mu się spazmatycznie.

Doktor wszedł do domu. Powstał w nim podwójny monolog : jeden suchy, pozornie rzeczowy, odnoszący się do niego samego. drugi płynny, bezbrzeżny, odnoszący się do Łary. Oto bieg jego myśli :

— Teraz do Moskwy. Pierwsza rzecz — wyżyć. Nie poddawać się bezczynności. Nie kłaść się spać. Pracować nocami aż do zamroczenia, dopóki znużenie nie zwali mnie z nóg. Jeszcze to : zaraz napalić w piecu w sypialni, aby nie marznąć nocą bez potrzeby.

Ale rozmawiał ze sobą także i tak : — Prześliczna, niezapomniana ! Dopóki pamiętają cię jeszcze mięśnie moich ramion, dopóki jesteś na moich dłoniach i ustach, pobędę jeszcze z tobą. Z łez po tobie zrobię coś godnego, trwałego. Wspomnienie o tobie spiszę w obrazach rzewnych, czułych, smutnych. Zostanę tu tak długo, dopóki tego nie zrobię. A potem też wyjadę. Opiszę cię tak. Rysy twe na papierze będą przypominały ślad najpotężniejszej i najwyższej fali, pozostawionej na brzegu przez straszną burzę, poruszającą morze aż do samej głębiny. Łamaną, krętą linią morze wyrzuca na brzeg pumeks, muszle, wodorosty, wszystko, co mogło znaleźć na swym dnie najłżejszego. Ta ciągnąca się brzegiem w nieskończoność linia jest granicą najwyższego przypływu. Tak burza życia przyniosła cię do mnie, moja duszo. Tak też opiszę cię.

Doktor wszedł do domu, zamknął za sobą drzwi i zdjął futro. Gdy wszedł do pokoju, który posprzątała tak starannie z rana, i który był znów w nieładzie, spowodowanym przez pośpiech odjazdu, gdy zobaczył zmiętą pościel i rozrzucone po krzesłach i podłodze rzeczy, padł jak mały chłopiec na kolana przed pościelą, przytulił się do twardego brzegu łóżka, wcisnął twarz w zwisającą pierzynę i zapłakał jak dziecko, lekko i gorzko. Trwało to krótko. Jurij Andrejewicz podniósł się, otarł łzy, rzucił dokoła zdziwione, roztargnione i nieobecne spojrzenie, po czym sięgnął po pozostawioną przez Komarowskiego butelkę. Odkorkował ją, nalał z niej pół szklanki, dołął wody, dosypał śniegu i z rozkoszą równą niemal goryczy niedawnych łez, zaczął pić tę mieszaninę małymi, chciwymi łykami.

Z Jurjem Andrejewiczem działo się coś niedobrego. Powoli ogarniał go obłąd. Nigdy jeszcze nie prowadził tak nieporządnego życia. Zaniedbał mieszkanie, zaniedbał się sam, żył nocami i stracił rachunek czasu, który minął od wyjazdu Łary.

Pił i pisał poświęcone jej wiersze, lecz Łara w jego wierszach i notatkach, w miarę tego jak je poprawiał i zastępował jedne wyrazy drugimi, oddalała się coraz bardziej od pierwszorzoru, od żywej matki Kati, znajdującej się wraz z tą ostatnią w podróży.

W poprawkach Jurij Andrejewicz kierował się dokładnością i siłą wyrazu, ulegał jednak także nakazom dyskrecji, niepozwalającym mu obnażać zbyt szczerze przeżyć osobistych, aby nie urazić uczestników prawdziwych, potem opisanych wrażeń. Rzeczy osobiste, gorące i dymiące jeszcze znikwały powoli z jego wierszy. To co było w nich krwawiące i chorobliwe, zmieniało się w spokojne szerokie uogólnienia, podnoszące poszczególny wypadek do rzędu spraw ogólnie zrozumiałych. Jurij Andrejewicz nie dążył sam do tego celu, ale te przemiany w jego wierszach były dlań pocieszeniem przysłanym przez Łarę z podróży, dalekim pozdrowieniem, kojącym jak pojawienie się jej we śnie, lub dotknięcie ręką czoła. Przemiana ta uszlachetniała jego wiersze i doktor odnosił się do niej życzliwie.

Prócz wierszy, oplakujących utratę Łary, Jurij Andrejewicz wykańczał dawniejsze pomysły o różnych rzeczach, o przyrodzie, o sprawach codziennych. Jak zwykle, mnóstwo myśli dotyczących życia osobistego i społecznego przychodziło mu do głowy naraz, jedne zahaczały się o drugie.

Znów przyszło mu na myśl, że wyobraża sobie bieg historii inaczej niż to ogólnie przyjęto, i że proces ten przypomina mu życie świata roślinnego. Zimą, pod śniegiem pędy liściastego zagajnika wyglądają chudo i żałośnie, jak włosy na starczej brodawce. Wiosną las zmienia się w ciągu kilku dni, podnosi się ku niebu; w jego liściastej gęstwinie można się skryć i zabłądzić. Przemiany te powoduje ruch, szybszy od powolniej rosnących zwierząt, lecz którego nigdy nie można podpatrzeć. Las jest nieruchomy; nie możemy przytapać go na zmianie miejsca. Jest zawsze nieruchomy. Tak samo nieruchome widzimy rosnące zawsze, wiecznie zmieniające się i nieuchwytne w swych przemianach życie społeczeństwa, czyli historię.

Odmawiając roli twórców historii Napoleonowi, rządzącym i wodzom, Tołstoj nie doprowadził swej myśli do końca. Myśl

jego była podobna, lecz nie została jasno dopowiedziana. Historii nikt nie robi, stawania się jej nie widać, jak nie widać jak trawa rośnie. Wojny, rewolucje, cesarze i Robespierrowie są jej fermentami, drożdżami. Rewolucje są dziełem ludzi czynu, jednostronnych fanatyków, geniuszów samoograniczenia, którzy w kilka godzin lub dni obalają stary porządek. Przewroty trwają kilka tygodni, wyjątkowo tylko kilka lat, potem zaś, przez dziesięciolecia i wieki duch samoograniczenia, który doprowadził do przewrotu czczony jest jak świętość.

Razem ze stratą Łary Jurij Andrejewicz opłakiwał także odległe lato w Mieluziejewie, gdy rewolucja była zeszłym na ziemię bogiem. Bogiem tego lata, kiedy każdy szalał po swojemu i życie każdego istniało samodzielnie i nie było tylko przykładową ilustracją słuszności i najwyższej polityki.

Przy notowaniu różnych pomysłów Jurij Andrejewicz zauważył i sprawdził, że sztuka służy zawsze pięknu, piękno zaś jest upojeniem wynikłym z władania formą, że forma wreszcie jest kluczem do wszelkiego istnienia, bo wszystko co żyje musi posiadać ją, aby istnieć. Sztuka więc, a w konsekwencji i sztuka tragiczna, jest opowieścią o radości istnienia. Te rozważania i notatki przynosiły mu tak silne uczucie upojenia tragicznego i pełnego łez, że czuł się potem znużony i bolała go głowa.

Anfim Jefimowicz przyjechał go odwiedzić. Przywiózł też wódki i opowiedział o odjeździe Antipowej z córką i Komarowskim. Anfim Jefimowicz przyjechał drezyną po szynach. Zburczał doktora za złe obchodzenie się z koniem, którego zabrał mimo prośb doktora o zostawienie Sawraski na trzy do czterech dni. Obiecał natomiast przyjechać sam w tym terminie i zabrać doktora ostatecznie z Warykina.

Pogrążony całkowicie w pisaniu Jurij Andrejewicz przypominał sobie nagle Łarę z taką ostrością widzenia, że tracił głowę z czułości i poczucia utraty. Niegdyś w dzieciństwie, w przepychu letniej przyrody, zdawało mu się, że w śpiewie ptaków słyszy głos zmarłej matki. I teraz zwodził go słuch, przywykły do głosu Łary. — Juroczka — mówił mu jej głos z sąsiedniego pokoju.

W ciągu tego tygodnia zdarzały mu się także inne słuchowe halucynacje. W końcu tygodnia mianowicie obudził go nocą niedorzeczny sen o smoku w sąsiednim parowie. Otworzył oczy, i w tejże chwili dno parowu wypełniło się ogniem i hukiem wystrzału. W dziwny sposób doktor zasnął natychmiast po tym niezwykłym wypadku i obudziwszy się z rana sądził, że wszystko to było tylko snem.

Oto co zdarzyło mu się w końcu tego okresu. Doktor usłuchał wreszcie głosu rozsądku. Powiedział sobie, że jeżeli chce koniecznie zginąć, są na to skuteczniejsze i mniej męczące metody i postanowił wyjechać gdy tylko Anfim Jefimowicz pojawi się w Warykinie.

Przed zmierzchem, jeszcze za dnia, posłyszał głośny chrzęst czyichś kroków po śniegu. Żwawym zdecydowanym krokiem ktoś spokojnie szedł w kierunku domu.

Dziwne. Kto to mógł być? Anfim Jefimowicz przyjechałby saniami. Przechodniów w opuszczonym Warykinie nie było. — Przyjechali po mnie — orzekł Jurij Andrejewicz. — Wzywają do miasta lub chcą aresztować. Ale jak mnie zawiozą? Zresztą byłoby ich dwóch. To Mikulicyn, Awerkij Stiepanowicz, ucieszył się doktor poznając go, jak mu się zdawało, po chodzie. Człowiek będący na razie zagadką, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami, na których nie znalazł oderwanej zasuw, potem pewnym krokiem znajdującego dom poszedł dalej, po gospodarsku zamykając za sobą starannie drzwi.

Wszystko to zastało doktora przy stole, zwróconego plecami do drzwi. Zanim wstał i odwrócił się, nieznajomy był już na progu i stanął jak wryty.

— Wy do kogo? — wyrwało mu się bezwiednie i brak odpowiedzi nie zdziwił go.

Nieznajomy był silnym, postawnym i przystojnym mężczyzną w krótkiej futrzanej kurtce, futrzanych spodniach i ciepłych kozłowych butach. Przez ramię miał przewieszony na rzemieniu karabin.

Niespodzianką dla doktora była tylko chwila pojawienia się nieznajomego nie zaś jego przybycie. Różne przedmioty znalezione w domu przygotowały go do tej wizyty. Przybyły był oczywiście człowiekiem, do którego należały znalezione w domu zapasy. Powierzchność jego wydała się doktorowi znajoma. Przybyły musiał być uprzedzony, że dom nie stoi pustką, bo nie zdziwił się dostatecznie obecnością doktora. Być może wiedział kogo tu zastanie, być może nawet go znał.

— Kto to jest? — Kto to jest? — szukał w pamięci Jurij Andrejewicz. — Boże, gdzie go już raz widziałem? Czy to być może? Gorący, majowy dzień, nie wiem już jakiego roku. Stacja Razwilje. Złowróżbny wagon komisarza. Jasność pojęć, prostolinijność, surowość zasad, prawość, prawość, prawość; Strelnikow.

Rozmawiali już od dawna, od kilku bitych godzin, jak rozmawiają tylko rosyjscy ludzie w Rosji i jak rozmawiali zwłaszcza wówczas i ci wyleknieni i martwiący się i ci wściekli i opętani, jakimi wszyscy byli w tych latach. Nadszedł wieczór. Zrobiło się ciemno.

Prócz nerwowej rozmowności, którą dzielił z wszystkimi innymi, do mówienia bez przerwy Strelnikow miał jeszcze inne, własne powody.

Nie mógł się dosyć nagadać i chwycił się rozmowy z doktorem, jak gdyby obawiał się samotności. Czy bał się wyrzutów sumienia i smutnych wspomnień, czy dręczyło go niezadowolenie z siebie, od którego stawał się nieznośny dla samego siebie, nienawistny, gotów umrzeć ze wstydu? Czy wreszcie powziął jakieś straszne, ostateczne postanowienie, z którym nie chciał pozostać sam na sam, i którego wykonanie odsuwał rozmową z doktorem?

Strelnikow ukrywał jakąś ważną, ciężącą mu tajemnicę, szafując tym rozrzutnie innymi wynurzeniami.

Była to choroba wieku, rewolucyjny szal epoki. W myśli wszyscy byli czymś innym niż w słowach i uczynkach. Nikt nie miał z tego powodu czystego sumienia. Każdy mógł się uważać za winnego, za tajnego przestępcę, niezdemaskowanego oszusta. Z byle powodu wpadano w szal samobiczowania się. Ludzie fantazjowali, oskarżali się nie tylko ze strachu, ale z własnej woli, pod wpływem chorobliwego popędu, w stanie metafizycznego transu, z niepohamowanej pasji do sądzenia samych siebie.

Ile takich przedśmiertnych zeznań, pisemnych i ustnych, musiał przeczytać i wysłuchać Strelnikow jako wybitny wojskowy, sprawujący często funkcje sądowe. Teraz sam opętany był szalem demaskowania się, przewartościowywania siebie, robienia ostatecznego rachunku; wszystko ukazało mu się zdeformowane, zeszpecone gorączkowym majaczeniem.

Strelnikow opowiadał beładnie, przeskakując z jednego wyznania na drugie.

— Było to pod Czitą. Zdziwiły was pewnie osobliwości, które nagromadziłem w tym domu w szafach i skrzyniach? Wszystko to pochodzi z rekwizycji, których dokonaliśmy podczas zajmowania Wschodniej Syberii przez czerwoną armię. Oczywiście sam tego tutaj nie przyniosłem. Życie psuło mnie zawsze przysyłając ludzi wiernych, oddanych. Świece i zapalki, kawa, herbata, materiały piśmienne itd. pochodzą z taborów czeskich, częściowo zaś są pochodzenia japońskiego i angielskiego.

skiego. Fantastyczne, nieprawdaż? „Nieprawdaż” było ulubionym słówkiem mojej żony, jak zapewne zauważyliście. Nie wiedziałem czy mam to wam powiedzieć od razu, ale teraz powiem. Przyszedłem zobaczyć się z nią i z córką. Za późno dowiedziałem się, że są tutaj. Spóźniłem się. Kiedy z plotek i doniesień dowiedziałem się, o waszych bliskich stosunkach i posłyszałem po raz pierwszy nazwisko „doktor Żiwago”, w jakiś niepojęty sposób, spośród tysięcy ludzi, jacy przemknęli przede mną w ciągu tych lat, przypomniałem sobie doktora tego nazwiska, przyprowadzonego do mnie na przesłuchanie.

— I żałowaliście, żeście go nie kazali rozstrzelać.

Strelnikow pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Być może nie spostrzegł nawet, że rozmówca przerwał jego monolog jakąś własną wstawką. Mówił więc dalej, zamyślony i nieobecny.

— Oczywiście byłem i jestem o was zazdrosny. Ale czy mogło być inaczej? W tej okolicy ukrywam się dopiero od kilku miesięcy, od kiedy inne moje kryjówki, daleko na wschodzie, zostały zdekonspirowane. Miałem być postawiony przed sąd wojenny na podstawie fałszywego donosu. Wynik był łatwy do przewidzenia. Nie czułem się wcale winny i powziąłem nadzieję, że kiedyś, w pomyślniejszych okolicznościach, potrafię wytłumaczyć się i obronić moje dobre imię. Postanowiłem więc nie czekać aresztowania, zniknąć zawczasu, ukrywać się, tułać, udawać pustelnika. Być może byłbym się nawet uratował. Zdradził mnie młody nicpoń, który wkradł się w moje zaufanie.

Szedłem zimą pieszo przez Syberię na zachód, ukrywałem się, głodowałem. Zakopywałem się w zaspy, nocowałem w zasypianych przez śnieg pociągach, których całe sznury stały pod zaspami na syberyjskiej magistrali.

Zetknąłem się tam z młodym włóczęgą, rzekomo niedostrzeżonym przez partyzantów podczas masowych egzekucji. Wydostał się podobno spod trupów, wyleżał się i tułał się potem po różnych kryjówkach i norach, jak ja. Tak przynajmniej opowiadał. Zepsuty wyrostek, niedorozwinięty, wypędzony za brak zdolności z ósmej klasy realnego gimnazjum.

Im więcej Strelnikow dorzucał szczegółów, tym pewniej doktor poznawał chłopca.

— Na imię Tierentij, a nazywa się Gałuzin?

— Tak.

— W takim razie wszystko o partyzantach i rozstrzelaniu prawda. Nic nie zmyślił.

— Jedynym rysem dodatnim chłopca było, że kochał matkę do szaleństwa. Ojciec jego zginął jako zakładnik. Matka była w więzieniu, i groził jej ten sam los. Gdy chłopiec się o tym

dowiedział, postanowił nie cofnąć się przed niczym, byle tylko ją ocalić. Powiatowa Czeka, której wyraził swą skruczę i ofiarował usługi, zgodziła się darować mu wszystkie grzechy wzamian za wydanie jakiejś wybitniejszej osobistości. Chłopak zdradził moją kryjówkę. Udało mi się uprzedzić jego zdradę i zniknąć na czas.

— W drodze bajecznych wysiłków, z tysiącem przygód przeszedłem Syberię i przeniosłem się tu, gdzie wszyscy znają mnie jak zły szeląg i nikt nie spodziewał się mnie spotkać nie posądzając mnie o takie zuchwalstwo. Istotnie też, długo jeszcze szukano mnie pod Czitą, gdy ukrywałem się bądź w tym domu, bądź w innej kryjówce w tej okolicy. Ale teraz przyszedł koniec. Wyśledzono mnie i tu. Ale słuchajcie. Ściemniło się. Zbliża się godzina, której bardzo nie lubię, bo od dawna już nie mogę spać. Wiecie jaka to męczarnia. Jeżeli nie spaliliście wszystkich moich świec — świetne, stearynowe, nieprawdaż? — porozmawiajmy jeszcze chwilę. Jak długo potraficie, będziemy rozmawiali, chociażby całą noc, z przepychem, przy płonących świecach.

— Świece są. Zaledwie jedna paczka napoczęta. Palilem znalezione tu naftą.

— Macie chleb?

— Nie.

— Czym w takim razie żyjecie? Zresztą głupie pytanie. Kartoflami. Wiem.

— Tak. Ziemniaków, ile dusza zapagnie. Tutejsi gospodarze byli doświadczeni i przezorni. Wiedzieli jak je się przechowuje. Wszystkie dochowały się świetnie w piwnicy. Nie zgniły i nie zmarzły.

Nagle Strelnikow zaczął mówić o rewolucji.

— Wszystko to nie dla was. Nigdy tego nie zrozumiecie. Wyrosliście w innych warunkach. Był świat przedmieść, węzłów kolejowych, koszar robotniczych. Brud, ciasnota, nędza, hańba człowieka pracującego, hańba kobiety. I była śmiejąca się, bezkarna i beczelna rozpusta maminych synków. lalusiowatych studentów i kupczyków, którzy żartami i pogardliwym zniecierpliwieniem odpowiadali na łzy i skargi pokrzywdzonych, poniżonych i uwiedzionych. Taka była olimpijskość pasożytów, którzy wyróżniali się tylko tym, że niczym się nie sfatygowali, niczego

nie szukali, niczego nie dali światu i niczego po sobie nie zostawili !

Dla nas zaś życie było wojenną wyprawą. Przenosiliśmy góry dla tych kogo kochaliśmy. I chociaż nie przynieśliśmy im nic prócz zmartwienia, nie skrzywdziliśmy ich nawet na włos, bo jak się okazało byliśmy jeszcze większymi męczennikami od nich.

Zanim jednak zacznę mówić dalej uważam za mój obowiązek was uprzedzić. Chodzi o to, jeżeli wam życie miłe, musicie stąd uciekać natychmiast. Koło oblawy dokoła mnie zwęża się, i jakikolwiek będzie jej wynik, zostaniecie wplątani w moją sprawę. Jesteście już nawet w nią wplątani przez sam fakt naszej rozmowy. Prócz tego jest dużo wilków ; musiałem się im ostrzeliwać.

— Ach, więc to wy strzelaliście ?

— Tak. Wyście oczywiście słyszeli ? Szedłem do mojej drugiej kryjówki, lecz nie dochodząc do niej z różnych znaków wywnioskowałem, że została wykryta i że tamtejsi ludzie prawdopodobnie zginęli. Nie zatrzymam się u was długo. Przenocuję i z rana pójdę. A teraz, jeżeli pozwolicie, będę mówił dalej.

Czy eleganci z Twerskiej-Jamskiej³⁰ w czapkach na bakier i spodniach z strzemiączkami, pędzący z dziewczynami w drożkach, byli tylko w Moskwie, tylko w Rosji ? Ulica, wieczorna ulica stulecia, eleganckie pojazdy i bułane konie były wszędzie. Co jednoczyło epokę, co złączyło dziewiętnasty wiek w jeden rozdział historii ? Narodziny myśli socjalistycznej. Wybuchwały rewolucje, ofiarna młodzież szła na barykady. Publicyści łamali sobie głowę nad tym, jak okiełznać bestialską bezwzględność pieniądza i obronić godność ludzką biednych. Pojawił się marksizm ; odkrył przyczynę choroby i wskazał środki lecznicze. Stał się potężną siłą stulecia, na które złożyły się Twerskaja-Jamskaja i brud i blask świętości i rozpusta i dzielnice robotnicze, i proklamacje, i barykady.

Ach, jaka ona była piękna jako dziewczynka, gimnazistka ! Nie macie o tym pojęcia. Bywała często u koleżanki w domu zamieszkałym przez pracowników kolei Brzeskiej. Tak się wówczas ta kolej nazywała, aż do ostatnich zmian nazw. Mój ojciec, obecnie członek trybunału w Jurjatinie, był majstrem w warsztatach kolejowych. Bywałem w tym domu i tam ją spotykałem. Była jeszcze dziewczynką, dzieckiem, a czujna myśl, alarm stulecia, widać już było na jej twarzy i w jej oczach, Wszystkie zagadnienia epoki, jej łyzy i krzywdy, jej porywy,

30. Ulica na której znajdowały się domy rozpusty.

duma i chęć zemsty malowały się na jej twarzy, wyrażały się w jej postawie, w której dziewczęca wstydlivość mieszała się ze śmiałością urody. W jej imieniu, jej ustami można było rzucić oskarżenie całemu stuleciu. Zgodzicie się, że to nie było co. Do tego trzeba być wyznaczonym przez los. Trzeba to posiadać z natury, mieć do tego prawo.

— Uderzająco trafnie to powiedzieliście. Widziałem ją w tym samym czasie taką samą jak ją opisaliście. Uczenica gimnazjum łączyła się w niej z bohaterką tajemniczej i wcale nie dziecinnej historii. Cień jej na ścianie zarysowywał się czujny, gotowy do samoobrony. Tak ją widziałem. Tak ją pamiętam. Sformułowaliście to z niezwykłą przenikliwością.

— Widzieliście i pamiętacie? A coście w tym celu zrobili?

— To zupełnie inna historia.

— Tak więc, widzicie, cały ten dziewiętnasty wiek, rewolucje w Paryżu, kilka pokoleń rosyjskiej emigracji, poczynając od Herzena, wszystkie wykonane i niewykonane zamachy na cara, cały ruch robotniczy świata, cały marksizm parlamentarny i uniwersytecki Europy. Cały nowy system pojęć, nowość i trafność rozumowań, ironia, cała w imię litości wypracowana jako środek pomocniczy bezlitosność, wszystko to skupiło się i uogólniło w postaci Lenina i jak personifikacja kary, spadło na stary porządek.

Obok niego wznosił się ogromny, niezatarty obraz Rosji, płonącej w oczach całego świata jak świeca pokutna za całą bierność i nieporadność ludzkości. Ale po co wam to wszystko mówię? Dla was jest to cymbał brząmiący, puste słowa.

Dla tej dziewczyny poszedłem na uniwersytet, dla niej zostałem nauczycielem i pojechałem do nieznanego mi wówczas Jurjatina. Pochłoniłem sterty książek i przyswoiłem sobie mnóstwo wiadomości. Chciałem jej być użyteczny i znajdować się przy niej, gdyby moja pomoc była jej potrzebna. Poszedłem na wojnę, aby po trzech latach małżeństwa zdobyć ją znów. Po wojnie i po powrocie z niewoli skorzystałem z tego, że uchodziłem za zabitego, pod cudzym, zmyślonym nazwiskiem, rzuciłem się cały w wir rewolucji, aby wziąć odwet za wszystkie jej cierpienia, zmyć doszczętnie wszystkie ponure wspomnienia, aby zamknąć powrót do przeszłości, i aby Twerskich-Jamskich nigdy więcej nie było. Oboje, ona i córka, były tuż obok! Ile sił zużyłem aby przemóc się, i nie wrócić do nich, nie widzieć ich! Chciałem wpierv doprowadzić do końca dzieło mego życia. Ile dałbym teraz aby móc je raz jeszcze zobaczyć. Gdy wchodziła, zdawało się, że otwiera się okno, że pokój napełnia się światłem i powietrzem.

— Wiem, jak była wam droga. Ale wybaczcie, czy macie pojęcie jak ona was bardzo kochała ?

— Przepraszam. Coście powiedzieli ?

— Mówię : czy zdajecie sobie sprawę do jakiego stopnia was kochała, więcej niż kogokolwiek na świecie ?

— Skąd wyście to wzięli ?

— Ona sama mi to mówiła.

— Ona ? Wam ?

— Tak.

— Przepraszam. Rozumiem prośba moja jest zbyt może niedyskretna i niemożliwa do spełnienia, jeżeli jednak uważacie to za możliwe, odtwórzcie proszę dokładnie, co mianowicie wam powiedziała.

— Bardzo chętnie. Mówiła że jesteście człowiekiem jedynym w swoim rodzaju, że nie widziała nikogo, kto byłby wam równy prawością, że gdyby kiedykolwiek nastęrczyła się jej możność powrotu do domu który dzieliła z wami, wróciłaby doń na kłęczkach, chociażby z końca świata.

— Przepraszam. Jeżeli nie poruszam czegoś co dla was jest nietykalne, przypomnijcie sobie, proszę, w jakich okolicznościach wam to powiedziała ?

— Sprzątała właśnie ten pokój. Potem wyszła na dwór żeby wytrześć dywan.

— Przepraszam który ? Tu są dwa.

— Ten większy.

— Dla niej samej taki dywan jest za ciężki. Pomagaliście jej ?

— Tak.

— Trzymaliście przeciwległe rogi dywanu. Ona odchylała się w tył, podnosiła ręce jak na huśtawce, i, odwracając się od lecącego kurzu, mrużyła oczy i śmiała się ? Nieprawdaż ? Tak dobrze znam jej przyzwyczajenia ! Potem zrobiliście dwa kroki ku sobie, aby złożyć ciężki dywan zrazu we dwoje, potem we czworo, a ona przez ten czas żartowała i bawiła się ? Nieprawdaż ? Nieprawdaż ?

Strelnikow i doktor wstali, podeszli do różnych okien i patrzyli przez nie w różne strony. Po chwili milczenia, Strelnikow podszedł do Jurja Andrejewicza, wziął go za ręce, które przycisnął do piersi, i z poprzednim pośpiechem mówił dalej :

— Darujcie mi, że poruszam sprawy dla was drogie i intymne. Rozumiem to, lecz jeśli można, chciałbym jeszcze o coś zapytać. Nie odchodźcie. Nie zostawiajcie mnie samego. Niedługo pójde sam. Pomyślcie tylko — sześć lat rozłąki, sześć lat straszliwej dyscypliny. Wydawało mi się, że cała wolność nie została

jeszcze zdobyta. Naprzód, myślałem, zdobędę ją, a potem będę cały należał do nich, będę miał wolne ręce. I oto cały mój gmach runął w proch. Jutro mnie złapią. Jesteście dla niej drogim, bliskim człowiekiem. Być może kiedyś ją zobaczycie. Lecz nie, o co was proszę? To szaleństwo. Schwyć mnie i nie pozwolą się tłumaczyć. Rzuć się na mnie od razu, krzykiem i obelgami zamkną mi usta. Kto wie lepiej ode mnie jak się to robi.

18

Nareszcie będzie mógł wypaść się jak należy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Jurij Andrejewicz nie zauważył jak i kiedy zasnął, gdy tylko wyciągnął się na pościeli. Strelnikow został u niego na noc. Jurij Andrejewicz położył go w sąsiednim pokoju. Gdy na krótką chwilę budził się, aby przewrócić się na drugi bok lub naciągnąć zsuwającą się kołdrę, Jurij Andrejewicz czuł dobroczynną siłę zdrowego snu i z rozkoszą zasypiał znów. W ciągu drugiej połowy nocy miał krótkie, szybko zmieniające się sny z czasów dzieciństwa, wyraźne i pełne szczegółów, które można było wziąć za rzeczywistość.

Tak więc, na przykład, akwarela mamy, przedstawiająca brzeg włoskiego morza, urwała się i brzękiem tłuczonego szkła obudziła Jurja Andrejewicza, który otworzył oczy. Nie, to nie szkło, to co innego. To na pewno Antipow, mąż Łary, Paweł Pawłowicz, nazwiskiem Strelnikow znów, jak mówił Wakch, w Szut'mie wilki straszy. Nie, bzdury. Oczywiście — obraz. Leży przecież przede mną na podłodze wśród odłamków szkła — poświadczył doktor powracając do dalszego ciągu swego snu.

Obudził się z bólem głowy od zbyt długiego snu i nie od razu zorientował się kim i gdzie jest.

Nagle przypomniał sobie: — Strelnikow przecież u mnie nocuje. — Późno już. Trzeba się ubierać. On pewnie już wstał. Jeżeli nie — to zbudzę go, przygotuję śniadanie i będziemy pili kawę.

— Paweł Pawłowicz!

Żadnej odpowiedzi. — Znaczy, że śpi. Ale też śpi twardo. — Nie śpiesząc się Jurij Andrejewicz ubrał się i poszedł do sąsiedniego pokoju. Na stole leżała wojskowa papacha Strelnikowa, ale jej właściciela nigdzie nie było. — Przechadza się widocznie — pomyślał doktor. — I bez czapki. Hartuje się.

Trzeba by dziś położyć krzyżyk na Warykinie i jechać do miasta. Ale już późno. Znow zaspałem. Każdego ranka to samo.

Jurij Andrejewicz rozpałił ogień pod płytą, wziął wiadro i poszedł do studni po wodę. O kilka kroków od ganku, ukosem w poprzek ścieżki, z głową wetkniętą w zaspę leżał Paweł Pawłowicz, który się zastrzelił. Pod jego lewą skronią śnieg zbił się w grudkę, moknącą w kałuży krwi. Małe krople krwi, które bryznęły na bok, stoczyły się po śniegu w małe czerwone kulki, podobne do zmarzłych jagód jarzębiny.

R o z d z i a ł X V

ZAKOŃCZENIE

I

Pozostaje doprowadzić do końca niezłożoną historię Jurja Andrejewicza, opowiedzieć dzieje ostatnich ośmiu czy dziesięciu lat jego życia, podczas których coraz bardziej podupadał na zdrowiu, zaniedbywał się, zapominając swe wiadomości lekarskie i tracąc nawyki pisarza ; na krótki czas tylko otrząsał się z przygnębienia, zapalał, powracał do życia czynnego, lecz po chwilowym ożywieniu wpadał znów w długotrwałą obojętność dla siebie i dla świata. Jego dawna choroba serca, którą kiedyś sam rozpoznał, lecz z której niebezpiecznego rozwoju nie zdawał sobie sprawy, zrobiła w tych latach znaczne postępy.

Do Moskwy Jurij Andrejewicz wrócił w początku NEP'u ³¹, najdłuższego i najfałszywszego okresu historii sowieckiej. Przyszedł bardziej wychudzony, zarośnięty i zdziczały niż po powrocie do Jurjatina z niewoli u partyzantów. W drodze pozbywał się stopniowo lepszych części garderoby, które wymieniał na chleb i podartą starzyznę, aby nie zostać nago. Przejadł w ten sposób w drodze swe drugie futro i marynarkowe ubranie i na ulicach Moskwy zjawił się w szarej papasze, owijaczach i w wytartym żołnierskim szynelu bez guzików, przypominającym więzienny chałat. W tym stroju nie odróżniał się niczym

31. N(owa) E(konomiczna) P(olityka), okres osłabienia rygorów gospodarczych i złagodzenia terroru, 1921-1924 r.

od niezliczonych żołnierzy, których tłumy zalegały place, bulwary i dworce stolicy.

Nie przyszedł do Moskwy sam. Szedł za nim, krok w krok, przystojny wiejski chłopiec, również ubrany po żołniersku. W tym stroju ukazali się obaj w ostatnich pozostałych jeszcze moskiewskich salonach, w których Jurij Andrejewicz spędził młodość, gdzie poznawano go i pytano czy po podróży był już w łaźni, tyfus plamisty bowiem szerzył się nadal. Tam Jurij Andrejewicz w pierwszych dniach swego pobytu dowiedział się o okolicznościach w jakich rodzina jego wyjechała z Moskwy zagranicę.

Obaj byli nieśmiali i z tej przyczyny nie składali wizyt, gdy nie było innych gości i gdy musieliby sami podtrzymywać rozmowę. Ich wysokie, postacie pojawiały się u znajomych, gdy zbierało się u nich większe towarzystwo. Siadali zwykle w jakimś kącie, nie zwracając na siebie uwagi, i spędzali wieczór w milczeniu, nie biorąc udziału w ogólnej rozmowie.

W towarzystwie młodego przyjaciela wysoki i chudy doktor w skromnej odzieży przypominał ludowych poszukiwaczy prawdy, jego stały towarzysz zaś wyglądał jak ślepo oddany mu uczeń i wyznawca. Kim był ten towarzysz ?

2

Ostatnią część drogi do Moskwy Jurij Andrejewicz odbył koleją, poprzednią zaś, nierównie dłuższą, przeszedł pieszo.

Wsie, przez które przechodził, nie wyglądały lepiej niż te, jakie widział na Syberii i na Uralu, uciekając z leśnej niewoli. Wówczas jednak wędrował przez kraj zimą, teraz zaś w końcu lata, ciepłą suchą jesienią, co bardzo ułatwiało podróż.

Połowa mijanych przezeń osiedli stała pusta jak po najściu nieprzyjaciela i pola leżały odłogiem, zboża były niezebrane. Były to istotnie skutki wojny, wojny cywilnej.

W końcu września Jurij Andrejewicz szedł przez dwa lub trzy dni drogą leżącą na wysokim, stromym brzegu rzeki. Idąc w górę rzeki, miał ją po prawej ręce. Na lewo, od drogi aż do dalekiej, zacienionej obłokami linii horyzontu, ciągnęły się niezżęte łąny. Z rzadka przerywały je lasy, w których przeważały dęby, wiazy i klony. W głębokich jarach, przecinających drogę swymi stromiznami, lasy schodziły aż do rzeki.

Na polach żyto nie trzymało się więcej w przejrzałych kłosach i sypało się z nich, ciekło na ziemię. Jurij Andrejewicz

brał je garściami do ust i mełł je z trudem zębami, odżywiając się w ten sposób, gdyż nie miał możliwości ugotowania ziarna na kaszę. Żołądek jego źle trawił ten surowy, i zaledwie z gruba przeżuty pokarm.

Nigdy przedtem Jurij Andrejewicz nie widział żyta o tak złowróźnie burej, brązowej barwie starego, ciemnego złota. Zżęte zawczasu, żyto jest nierównie jaśniejsze.

Pola o barwie płomieni zdawały się palić, nieme, zdawały się wzywać pomocy. Nad nimi rozpościerało się wielkie, spokojne, chłodne niebo, zwiastujące zbliżającą się zimę. Jak cienie po twarzy, płynęły przez nie nieustannie śniegowe, nawarstwione obłoki o czarnym ośrodku i białych brzegach.

Wszystko to znajdowało się w powolnym, miarowym ruchu. Rzeka płynęła, w przeciwnym kierunku szła droga. Kroczył nią doktor. Obłoki płynęły w tym samym kierunku. Lecz i pola nie pozostawały nieruchome. Coś budzącego wstręt roilo się na nich i kotłowało.

W nigdy nie widzianej dotąd ilości rozplenily się na nich myszy. Gdy noc zastawała doktora w polu i zmuszała do noclegu na miedzy, myszy biegały mu po twarzy, wchodziły w rękawy i nogawice. Wielkimi stadami biegały po drodze i, nadepnęte, zmieniały się w śliskie, wijące się i piszczące paskudztwo.

Straszne, kudłate, zdziczałe kundle wiejskie szły za doktorem stadem, trzymając się z daleka i zamieniając między sobą spojrzenia, jak gdyby naradzały się kiedy mają rzucić się i zagryźć go. Psy te żywiły się padliną, nie pogardzając także mysim mięsem, którego dostarczały im pola. Patrzyły z dala na doktora i szły za nim pewnym krokiem, jak gdyby czegoś odeń oczekiwały. Stroniły, rzecz dziwna, od lasów. Gdy doktor zbliżał się do jakiegoś lasu, psy zaczynały zostawać w tyle, a wreszcie zawracały z drogi i znikaly.

Lasy i pola stanowiły wówczas całkowite przeciwieństwo. Bez człowieka pola były osierocone, wyglądały jak gdyby ciążyło nad nimi przekleństwo. Pozbywszy się ludzi, lasy paradowały na swobodzie jak uwolnieni więźniowie.

Ludzie, głównie zaś dzieci wiejskie, nie pozwalają orzechom laskowym dojrzeć i zrywają je zielone, łamiąc przy tym gałęzie. Teraz lesiste zbocza pagórków i parowów pokryte były nietkniętym, szorstkim listowiem złocącej się leszczyny, trochę jak gdyby zakurzonej i ogorzałej od jesiennego słońca. Wyzierały z nich związane ozdobnie jak bukiety, po trzy i cztery orzechy zupełnie dojrzałe, gotowe wypaść ze swych łupin, lecz trzymające się ich jeszcze. Jurij Andrejewicz gryzł je i jadł w drodze bez

ustanku. Miał ich pełen worek i kieszenie. Przez tydzień orzechy były jego głównym pożywieniem.

Wydawało mu się, że widzi pola będąc ciężko chorym, w stanie gorączkowym, lasy zaś ogląda jako pogodny ozdrowieniec, że w lesie rezyduje Bóg, po polach zaś błąka się szyderczy uśmiech diabła.

3

Na tym właśnie odcinku drogi doktor zaszedł raz do spalonej doszczętnie i opuszczonej przez ludność wsi. Przed pożarem chaty tworzyły w niej wzdłuż drogi jeden szereg, po stronie przeciwległej rzece. Natomiast pas między drogą a rzeką nie był zabudowany.

We wsi ocalało kilka zaledwie chat, szerniałych i opalonych z zewnątrz. Ale i te stały puste, niezamieszkałe. Wszystkie pozostałe chaty zmienione były w kupy węgla, z których wznosiły się czarne, okopcone kominy.

Stromy brzeg rzeki pokryty był dołami kamieniołomów. Mieszkańcy wsi zajmowali się niegdyś wyrobem młyńskich kamieni. Trzy takie niewykończone kamienie leżały przed ostatnią chatą, ocalałą z pożaru i pustą jak wszystkie inne.

Jurij Andrejewicz wszedł do niej. Wieczór był cichy, lecz zaledwie doktor przestąpił próg chaty, leżące na ziemi żdźbła siana i kłaków poruszyły się jak od uderzenia wiatru. Na ścianach zakołysały się wiszące strzępy papieru. Izbę wypełnił szelest. Na wszystkie strony rozbiegały się myszy, których i tu było pełno, jak w całej okolicy.

Doktor wyszedł z chaty. Za nim nad polami zachodziło słońce, zalewające ciepłym, złotym światłem przeciwległy brzeg, którego krzaki sięgały swym błędnym odbiciem aż do połowy zwierciadła rzeki. Jurij Andrejewicz przeszedł przez drogę i siadł odpocząć na jednym z leżących na trawie młyńskich kamieni.

Zza brzegu parowu ukazała się głowa o płowych włosach. potem ramiona i ręce. Ktoś szedł w górę ścieżką z wiadrzem wody. Ujrawszy doktora zatrzymał się, zasłonięty do pól ciała brzegiem parowu.

— Chcesz, dam ci pić, dobry człowieku? Nie zaczepiaj mnie, i ja cię nie ruszę.

— Dziękuję. Dawaj wodę. Wychodź, nie bój się. Po co miałbym cię zaczepiać?

Nieznajomy wyszedł z parowu. Był to młody chłopiec, bosi, oberwany, zarośnięty.

Mimo swych przyjaznych słów, chłopiec wpił się w doktora niespokojnym, przenikliwym spojrzeniem. Z niezrozumiałych powodów zdawał się bardzo wzruszony. Postawił wiadro na ziemi i, zrobiwszy kilka szybkich kroków w kierunku doktora, zatrzymał się w pół drogi mamrocząc :

— Przecież... przecież... Ale nie, to nie może być, przywidziało mi się. Wybaczcie jednak, towarzyszu, pozwólcie spytać. Wydało mi się że was znam. Ale tak ! Ale tak ! Wujcio doktor !

— A ty sam co za jeden ?

— Nie poznajecie ?

— Nie.

— Z Moskwy w eszelonie razem jechaliśmy, w jednym wagonie. Pod konwojem na służbę pracy pędzili.

Był to Wasia Brykin, który ukląkł przed doktorem, zaczął całować go po rękach i zapłakał.

Spalona wieś były to Wieretinniki, rodzinna wieś Wasi. Matka jego już nie żyła. Podczas rozgromu i pożaru wsi Wasia ukrywał się w pieczarze kamieniołomu, i matka jego, myśląc, że wywieziono go do miasta, oszalała z rozpacz i utopiła się w tej samej rzece Peldze, na brzegu której właśnie doktor i Wasia siedzieli i rozmawiali. Siostry Wasi, Alonka i Ariszka, miały się znajdować w innym powiecie, w przytułku dla sierot. Doktor wziął Wasię ze sobą do Moskwy. W drodze Wasia opowiedział mu różne, okropne historie.

4

— To oziminy z zeszłej jesieni tak się syją. Zaledwie je zasieli, posypały się kłeski. Gdy ciocia Pałasza wyjechała. Ciocię Pałaszę pamiętacie ?

— Nie. Nie znałem jej wcale. Kto to taki ?

— Jakto nie znaliście ? Pełagieja Niłowna ! Jechała z nami. Tiagunowa. Otwarta twarz, pełna, biała.

— Ta która wciąż zaplatała i rozplatała warkocze ?

— Warkocze, warkocze ! No tak. Właśnie. Warkocze.

— Aha, przypominam sobie. Poczekaj, ja ją widziałem potem na Syberii. Na ulicy w pewnym mieście spotkałem.

— Niemożliwe ! Ciocię Pałaszę ?

— Co ty robisz, Wasia ? Czemu mi ręce szarpiesz ? Uważaj, bo urwiesz. I zaczerwieniłeś się jak panna.

— Co się z nią dzieje ? Prędzej mówcie, prędzej.

— Kiedy widziałem ją, była żywa i zdrowa. O waszych opowiadała. Mieszkała tu, mówiła, czy też gościła u waszych, jeżeli dobrze pamiętam. Ale może coś poplątałem.

— Ależ tak, ależ tak ! U nas ! Mama pokochała ją jak siostrę. Cicha była, pracowita, ręce miała zręczne. Dopóki była u nas niczego nam nie brakło. Ale wygryzli ją z Wieretinników, nie dali żyć gadaniem.

— Był tu we wsi pewien chłop, Charłam Gniłoj. Przymilał się do Poli, donosiciel beznosy, a ona na niego patrzeć nie chciała. Wściekał się za to na mnie ze złości. Złe mówił o mnie i Poli. Przez to ona wyjechała. Nie dał żyć. Z tego się wszystko zaczęło.

Niedaleko stąd popełniono straszne morderstwo. Wdowę samotną na leśnym chutorze zabito koło Bujskiego. Sama mieszkała pod lasem. W męskich butach chodziła z uszkami, na gumowych podeszwach. Bardzo zły pies łańcuchowy biegał naokoło chaty na drucie. Nazywał się Gorłan. Wdowa radziła sobie sama z uprawą ziemi i z gospodarstwem, nikt jej nie pomagał. Ale nagle przyszła zima, kiedy jej nikt nie czekał. Śnieg spadł wcześniej. Wdowa nie zdążyła wykopać kartofli. Przychodzi do Wieretinników. Pomóżcie, mówi, na spółkę albo za pieniądze.

Zgłosiłem się do kopania jej kartofli. Przychodzę na chutor, a tam już jest Charłam. Zgłosił się przede mną. Nic mi o tym nie powiedziała. Bić się nie było o co, wzięliśmy się razem do roboty. W najgorszą niepogodę kopaliśmy : deszcz, śnieg, błoto. Kopaliśmy, kopali, nać ziemniaczaną paliliśmy, w ciepłym dymie suszyliśmy bulwy. Wdowa rozliczyła się z nami uczciwie. Charłama odprawiła, a mnie okiem dała znak : zostań, albo zajdź później, mam ci coś jeszcze do powiedzenia.

Przyszedłem do niej nazajutrz. Nie chcę, mówi wszystkich kartofli na kontyngent państwu oddawać. Ty, mówi, jesteś porządny chłopiec, nie wydasz. Widzisz, że nic przed tobą nie taję. Byłabym sama wykopała dół, ale widzisz co się dzieje na dworze. Za późno się spostrzegłam. Sama nie dam rady. Wykop mi dół, nie pożałujesz. Potem osuszymy i zsypimy.

Wykopałem jej dół, jak to się robi na skrytki, u spodu szerszy, u góry węższy, jak dzbanek. Dół też wysuszyliśmy i ogrzaliśmy dymem. W najgorszą zamieć. Kartofle zsypaliśmy jak należy, ziemią przykryliśmy. Mucha nie siądzie. I oczywiście

o dole ani słowa. Nikomu. Nawet mamie ani siostrze. Ani mru-mru.

Tak minął miesiąc i nagle — napad rabunkowy na chutor. Ludzie co szli z Bujskiego opowiadali, że drzwi do chaty otwarte na roścież, że środka wszystko wyniesione, wdowy ani śladu, a pies Gorłan urwał się z łańcucha i uciekł.

Przeszło jeszcze trochę czasu. Przed Nowym Rokiem, w pierwszą zimową odwilż, w samą wilię św. Bazylego, ulewa zmyła śnieg z pagórków. Ziemia odtajała. Przybiegł Gorłan i zaczął grzebać w tym miejscu, gdzie kartofle były ukryte. Odgrzebał z wierzchu ziemię, a z dołu nogi gospodyni wyjrzały w butach z gumowymi podeszwami. Taka okropność.

W Wieretinnikach litowali się nad wdową, wspominali ją. Charłama nikt nie podejrzewał. Bo i jak go podejrzawać? Czy można sobie taką rzecz wyobrazić? Gdyby to on zabił, skąd miałby czelność w Wieretinnikach zostawać i po ulicy jak kogut chodzić? Uciekałby od nas co sił w nogach, gdzieś dalej.

Zbrodnia na chutorze ucieszyła jednych tylko kułaków wiejskich, prowodyrów. Zaczęli podburzać. Ot, mówią, na jakie sposoby ci z miasta się biorą. To ma być dla was nauka, ostrzeżenie. Nie chowaj zboża, nie zakopuj kartofli. A wy, jak głupi, o leśnych rozbójnikach gadacie, rozbójnicy się wam przywidzieli. Czysta głupota! Słuchajcie się ich tylko, tych miejskich, a nie takie rzeczy zobaczycie. Głodem zamorzą was. Chcecie żeby było dobrze, trzymajcie się nas. My ich rozumu nauczymy. Kiedy przyjdą naszą krwawicę nam odbierać, opisywać, mówcie, że żadnych nadwyżek nie ma, że i dla was samych żyta nie starczy. A w razie czego — za widły. A kto by był przeciw wsi, niech się strzeże. Rozgadali się starzy, chwalą te projekty, wiece zwołują. A Charłamowi, donosicielowi, tylko tego trzeba. Za czapkę i do miasta. I tam dalej mleć jęzorem: oto co się we wsi dzieje, a wy siedzicie i patrzycie. Trzeba komitet biedoty stworzyć. Dajcie rozkaz, a ja w jednej chwili wam wieś podzielę. I potem znikł z naszej okolicy, nikt go więcej nie widział.

To co się potem wydarzyło, zrobiło się samo. Nikt tego nie ukartowywał, nikogo obwiniać nie można. Przyszli z miasta krasnoarmiejców i lotny sąd. I zaraz do mnie. Charłam widocznie naplotkował. I za ucieczkę, i za uchylanie się od służby pracy, i za podżeganie wsi do oporu, i za zabójstwo wdowy. Wzięli mnie pod klucz. Na szczęście udało mi się wyjąć z podłogi deskę i uciec. Ukrywałem się pod ziemią, w pieczarze. Nie widziałem, że wieś się nade mną paliła, nie wiedziałem, że mama skoczyła do przerebła. Wszystko to samo się zrobiło.

Krasnoarmiejców pomieścili razem w jednej chacie, poili wódką. Upili się do nieprzytomności. Nocą od nieostrożnego obchodzenia się z ogniem zajęła się chata, a od niej inne. Swoi, gdzie zaczęło się palić, powyskakiwali z ognia, a obcy — nikt ich nie podpalał — spalili się żywcem co do jednego. Naszych pogorzalców nikt z ich starych zgłiszcz nie wypędział. Sami puciekali ze strachu przed dalszymi represjami. Znów żyłyprowodrzy podjudzali: Co dziesiątego rozstrzelają, mówili. Nikogo tu już nie zastałem. Wszystkich niby wiatr wywiał. Tułają się gdzieś po świecie.

5

Doktor i Wasia przyszli do Moskwy wiosną dwudziestego drugiego roku, w początku Nepu. Pogoda była jasna, ciepła. Odbijające się od złotych kopuł cerkwi Zbawiciela promienie światła padały na plac wybrukowany kostką, w której szczelinach rosła trawa.

Przepisy zakazujące inicjatywę prywatną zniesiono, wolny handel w skromnych rozmiarach był dozwolony. Dokonywano transakcji zamiennych w granicach handlu starzyzną. Szczupłe rozmiary tej wymiany prowadziły do spekulacji i nadużyć. Drobną krzątaliną handlujących nie prowadziła do żadnej produkcji, nie wносиła nic istotnego do ubóstwa i zaniedbania miasta. Na nieprodukcyjnym odsprzedawaniu po dziesięć razy tych samych przedmiotów robiono majątki.

Właściciele skromnych bibliotek prywatnych znosili swe książki w jakieś jedno miejsce, po czym zgłaszali w miejskim sovietie zamiar założenia spółdzielni księgarskiej, prosząc o przydzielenie im odpowiedniego pomieszczenia. Oddawano im do tymczasowego użytku lokal po zwiniętym w początku rewolucji składzie obuwia lub cieplarnię, należącą niegdyś do handlujących kwiatami ogrodników. Pod wysokimi stropami tych pomieszczeń wyprzedawano mizerne i przypadkowe księgozbiory.

Żony profesorów, które i dawniej już, mimo zakazu, wypiekały tajnie na sprzedaż białe bułki, handlowały nimi teraz jawnie w jakimś warsztacie reparacyjnym rowerów, który stał przedtem przez kilka lat pusty, pod sekwestrem. Damy te zmieniły orientację, pogodziły się z rewolucją i zamiast „tak” lub „dobrze”, mówiły „dielo”.

W Moskwie Jurij Andrejewicz powiedział:

— Będziesz się musiał, Wasia, czymś zająć.

— I ja tak myślę. Chciałbym się uczyć.

- To się rozumie.
— Marzę jeszcze o tym, aby z pamięci namalować portret mamy.
— Bardzo dobrze. Ale do tego trzeba umieć rysować. Czy próbowałaś już tego ?
— Na Apraksynym Rynku kiedy nikt nie widział, bawiłem się rysowaniem węglem.
— No cóż, z Bogiem. Spróbujemy.

Wasia nie miał większego talentu, był jednak dość zdolny do kształcenia się w sztuce stosowanej. Przez znajomych Jurij Andrejewicz umieścił go w oddziale ogólnokształcącym byłej szkoły Stroganowa, skąd Wasia przeszedł na wydział poligraficzny. Uczył się tam techniki litograficznej, drukarskiej i introligatorskiej oraz sztuki artystycznego zdobienia książek.

Doktor i Wasia stworzyli spółkę. Doktor pisał krótkie, nieprzekraczające arkusza druku książeczki na różne tematy, Wasia zaś drukował je w szkole jako prace praktyczne, zaliczane mu przy egzaminach. Książeczki te drukowane w niewielkim nakładzie, sprzedawano w nowych antykwariatach, założonych przez wspólnych znajomych.

Książeczki te zawierały filozofię Jurja Andrejewicza, jego poglądy na medycynę, określenia stanów zdrowia i choroby, myśli o transformizmie i ewolucji, o osobowości jako biologicznej podstawie organizmu, o religii i historii (zbliżone do poglądów wuja i Simy), szkice o zwiedzanych przezeń miejscach buntu Pugaczowa, wreszcie wiersze i opowiadania.

Szkice te pisane były przystępnie, najprostszym językiem, odbiegały jednak od zadań, jakie stawiają sobie popularyzatorzy, zawierały bowiem poglądy sporne, przypuszczenia dowolne, niesprawdzone, lecz zawsze żywe i oryginalne. Były cenione przez amatorów i sprzedawały się łatwo.

Był to czas powszechnej specjalizacji ; specjalizowano się w wersyfikacji, w artystycznych tłumaczeniach ; wszystkie te zagadnienia badano teoretycznie i tworzone w tym celu specjalne instytuty. W ten sposób powstały różne Pałace Myśli, Akademie Idej Artystycznych. W połowie tych instytucji Jurij Andrejewicz figurował na etacie lekarza.

Doktor i Wasia pozostawali przez dłuższy czas w przyjaźni i mieszkali razem. Zmienili niezliczoną ilość pokojów i na wpół zrujnowanych pomieszczeń, z których każde było w jakiś sposób niewygodne.

Zaraz po powrocie do Moskwy Jurij Andrejewicz odwiedził swój dawny dom przy ulicy Siwcew Wrażok, w którym, jak się

na miejscu dowiedział, rodzina jego, przejeżdżając przez Moskwę, wcale się nie zatrzymywała. Wysłanie ich z Rosji zmieniło sytuację. Zastrzeżone dla doktora i jego rodziny pokoje były zajęte przez nowych lokatorów. Pozostawione przezeń rzeczy znikły bez śladu. Od Jurja Andrejewicza odsuwano się jak od niebezpiecznego znajomego.

Markiel awansował i porzucił Siwcew Wrażok. Był teraz komendantem Młynarskiego Miasteczka, gdzie stosownie do jego rangi należało mu się mieszkanie zarządzającego. Wolał jednak mieszkać w starej stróżówce z glinianą podłogą, z własnym wodociągiem i ogromnym rosyjskim piecem na całe pomieszczenie. We wszystkich zabudowaniach Miasteczka zimą pękały rury wodociągów i centralnego ogrzewania. Tylko w stróżówce było ciepło i woda nie zamarzała.

Z czasem stosunki między doktorem i Wasią ochłodziły. Wasia rozwinął się niezwykle. Mówił teraz i myślał zupełnie inaczej niż bosy i zarośnięty chłopiec w Wieretinnikach nad rzeką Pełgą. Oczywiście, nie wymagające dowodów, prawdy głoszone przez rewolucję pociągały go coraz bardziej. Nie zawsze rozumiały dłań, obrazowy język doktora brał za wyraz myśli błędnej, skazanej na klęskę, świadomej swej słabości i z tej przyczyny wymijającej.

Doktor chodził do różnych urzędów, w których prowadził starania w dwóch kierunkach. Starał się o rehabilitację polityczną swej rodziny i legalizację ich powrotu do kraju oraz o paszport zagraniczny dla siebie i pozwolenie na wyjazd do Paryża, do żony i dzieci.

Wasia dziwił się niedołęstwu i ospałości tych starań. Jurij Andrejewicz zbyt przedwcześnie wnosił o ich niepowodzeniu i zbyt pewnie, niemal z zadowoleniem uznał ich dalsze prowadzenie za bezcelowe.

Wasia coraz częściej krytykował doktora, który nie obrażał się za słuszne uwagi. Stosunki ich jednak psuły się. Przyjaźń ich wreszcie skończyła się i przyszło do rozstania. Doktor zostawił Wasi pokój, który wspólnie zajmowali i przeniósł się do Młynarskiego Miasteczka gdzie wszechpotężny Markiel wydzielił mu część dawnego mieszkania Swientickich. Część ta znajdowała się na samym końcu domu i składała się z zepsutej łazienki Swientickiej, pokoju o jednym oknie i wychodzącej na podwórze kuchni, której podłoga i ściany pochyliły się wskutek osiadania domu. Wkrótce po przeprowadzce Jurij Andrejewicz zarzucił medycynę, zaniedbał się, przestał widywać się ze znajomymi i wpadł w nędzę.

Była to szara, zimowa niedziela. Dym z pieców zamiast wznosić się słupami ponad dachy sączył się czarnymi strużkami z lufcików, przez które, mimo zakazu, wychodziły nadal żelazne rury tymczasowych piecyków. Życie nie wracało do porządku. Mieszkańcy Młynarskiego Miasteczka chodzili brudni, niemyci, cierpieli na czyraki, marzli i przeziębiali się.

Z okazji niedzieli u Markiela Szczapowa zebrała się cała jego rodzina.

Wszyscy siedzieli za stołem, na którym niegdyś, za czasów przydziału chleba na kartki, o świcie krajano nożyczkami kupony chlebowe wszystkich lokatorów, sortowano je, liczone, zawijano w papierki lub gałganki według kategorii i niesiono do piekarni, potem zaś, po powrocie z piekarni, krajano, ważono i rozdzielano chleb między mieszkańców Miasteczka. Teraz należało to do przeszłości. Przydział żywności odbywał się inaczej, miał inną rachunkowość. Za długim stołem wszyscy jedli z apetytem, aż im się uszy trzęsły, żuli głośno, mlaskali językami.

Połowę stróżówki zajmował stojący po środku szeroki rosyjski piec, na którym spano, i z którego zwieszał się brzeg pikowanej kołdry. Przy wejściu znajdował się zlew nad którym wystawał ze ściany funkcjonujący kran z wodą. Pod ścianami stróżówki stały ławy, pod nimi zaś kufry i worki z drobnymi ruchomościami. Lewą stronę zajmował kuchenny stół, nad którym wisiała przybita do ściany półka na rondle.

W piecu paliło się. W stróżówce było gorąco. Przed piecem, z zakasnymi do łokcia rękawami, stała żona Markiela Agafja Tichonowna i długim pogrzebaczem przesuwiała w piecu garnki, zbierając je do kupy lub rozstawiając luźno, stosownie do potrzeby. Jej spocona twarz na przemian rozjaśniała się blaskiem płonącego w piecu ognia i znikała w oparach gotującej się strawy. Markielowa odsunęła na bok garnki i z głębi pieca wyciągnęła piekący się na arkuszu blachy pieróg, który jednym ruchem obróciła na drugą stronę i wsunęła znów do pieca, aby się przyrumienił. Do stróżówki wszedł Jurij Andrejewicz z dwoma wiadrami.

— Smacznego.

— Witamy. Siadaj, będziesz naszym gościem.

— Dziękuję, jestem po obiedzie.

— Znamy twoje obiady. Siadłbyś lepiej i zjadł coś ciepłego. Nie bądź taki wybredny. Są kartofle pieczone i pieróg z kaszą.

— Nie, doprawdy dziękuję. Daruj, że tak często chodzę i wyziębiam ci mieszkanie. Chcę zrobić od razu większy zapas

wody. Wyczyściłem na glanc cynkową wannę Swientickich i chciałbym napęłnić ją wodą. Jeszcze pięć, może nawet dziesięć razy zajdę, a potem długi czas nie będę dokuczał. Daruj że tak ciebie nachodzę, ale prócz ciebie nie mam do kogo iść.

— Lej wodę, nie żałuj ci jej. Syropu nie ma, ale wody ile chcesz. Bierz darmo. Wodą nie handlujemy.

Za stołem śmiano się.

Gdy Jurij Andrejewicz przyszedł po raz trzeci, po piąte i szóste wiadro, ton Markiela zmienił się i rozmowa przybrała inny obrót.

— Zięciowie pytają mnie, kim ty jesteś. A gdy mówię — nie wierzą. Bierz wodę, bierz, nie krępuj się. Tylko na podłogę nie lej, gapo. Próg już zalałeś. Jak się lód na nim zrobi nie ty go będziesz łomem rąbał. I drzwi zamykaj, zapominalski, bo ciągnie. Mówię więc zięciom kim jesteś, ale nie wierzą. Ile na ciebie pieniędzy wydali! Uczyleś się, uczyleś, i co ci z tego przyszło?

Za piątym czy szóstym razem Markiel zachmurzył się.

— No, jeszcze raz, ale potem basta. Nie przebieraj, bracie, miarki. Gdybyś nie miał tu orędowniczki w osobie Maryny, naszej najmłodszej, nie zważałbym wcale jaki z ciebie szlachetny wolnomularz i zamknąłbym drzwi na klucz. Pamiętasz Marynkę? Ta na końcu stołu, czarniutka. Ależ raka spiekła. Nie krzywdźcie go, mówi, ojczulku. Na głównym telegrafie za telegrafistkę jest nasza Maryna, zagraniczne języki rozumie. On, mówi, jest nieszczęśliwy. W ogień za ciebie skoczy, tak się nad tobą lituje. A czy to moja wina, że z ciebie nic nie wyszło? Nie trzeba było na Sybir uciekać, dom w niebezpiecznym czasie porzucać. Sameś winien. My, na przykład, cały ten głód i białą blokadę przetrzymaliśmy, nie zwątpiliśmy i jesteśmy cali. Do siebie samego miej pretensję. I Tońki nie upilnowałeś, po zagranicach się wałęsa. A zresztą to twoja sprawa. Ale pozwól spytać, na co ci tyle wody? Ślizgawkę może chcesz na podwórzu urządzić? Ech, na taką zmokłą kurę, jak ty, nie można się nawet gniewać.

Za stołem znów rozległ się śmiech. Maryna rzuciła dokoła karcące spojrzenia, zaczerwieniła się i zaczęła strofować rodzinę. Jurja Andrejewicza zastanowił jej głos, ale tajemnicy jego jeszcze nie przeniknął.

— Mycia mam wiele w domu, Markielu. Trzeba posprzątać, pomyć podłogi, wyprać to i owo.

Za stołem dziwiono się.

— Wstydziłbyś się to mówić, a tym więcej robić. Czy ty jesteś chińska praczka, czy co?

— Jurij Andrejewicz, pozwólcie, że przyślę wam córkę. Wypierze wam co trzeba, umyje, zaceruje. Nie bój się jego, córeczko. Widzisz, jaki on jest delikatny, nie to co inni. Muchy nie skrzywdzi.

— Nie trzeba, Agafja Tichonowna, nie trzeba. Nigdy się na to nie zgodzę, aby Maryna dla mnie smoliła ręce i brudziła ubranie. Nie jest moją służącą, sam sobie dam radę.

— Wam wolno się smolić, a mnie nie? Czemu jesteście tacy niezgodni, Jurij Andrejewicz? Czemu odmawiacie? A jeżeli przyjdę do was z wizytą, czy też mnie wyproście?

Maryna mogłaby zostać śpiewaczką. Miała czysty, melodyjny głos, wysoki i silny. Nawet gdy mówiła cicho, siła jej głosu przekraczała potrzebę rozmowy. Głos ten nie łączył się z Maryną, istniał jak gdyby niezależnie, zdawał się wychodzić z sąsiedniego pokoju lub jak gdyby zza jej pleców. Głos ten był jej obroną, jej aniołem stróżem. Kobiet o takim głosie nikt nie odważa się skrzywdzić lub zasmucać.

Owo niedzielne noszenie wody stało się początkiem przyjaźni doktora z Maryną, która odtąd często doń zachodziła i pomagała w gospodarstwie. Raz została na noc i nie wróciła więcej do stróżówki. Tak została trzecią, niezarejestrowaną w urzędzie stanu cywilnego, żoną Jurja Andrejewicza, który z pierwszą żoną nie miał rozvodu. Mieli też dzieci. Ojciec i matka nie bez dumy zaczęli nazywać Marynę doktorową. Markiel rzucił, że Jurij Andrejewicz nie żeni się i nie legalizuje swego związku. — Zwariowałaś? — odpowiadała mu żona. — Dopóki żyje Antonina? To dwużeństwo. — Głupia jesteś — mówił Markiel. — Na Tońkę można się nie oglądać. Jej jak gdyby wcale nie było. Żadne prawo nie stanie w jej obronie.

Jurij Andrejewicz mawiał żartem, że zbliżenie ich było romansem w dwudziestu wiadrach, jak powieść w dwudziestu rozdziałach lub listach.

Maryna wybaczała doktorowi dziwactwa w które wpadł w tym okresie, kaprysy człowieka zrezygnowanego i świadomego swego upadku, wybaczała brud i nieporządek, jaki powstawał dokoła niego. Znosiła jego zręczność, opryskliwość i niecierpliwość.

Ofiarność jej szła jeszcze dalej. Gdy z własnej winy doktor wpadał w dobrowolną nędzę. Maryna nie chcąc zostawiać go w tym stanie samego, porzucała pracę na poczcie, gdzie ją bardzo ceniono i przyjmowano znów po każdej przerwie. Podając się fantazjom Jurja Andrejewicza, chodziła z nim po podwórzach w poszukiwaniu zarobku. Piłowali razem na akord drwa dla różnych lokatorów. Wzbogaceni w początku Nepu

spekulanci oraz uczeni, artyści, bliscy kół rządowych zaczęli się w tym czasie urządzać, kupować meble. Pewnego razu Maryna i Jurij Andrejewicz stąpając w swych walonkach ostrożnie po dywanach, aby nie zostawić na nich opiłek, nosili drwa do gabinetu właściciela mieszkania, który z całkowitą pogardą nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, pogrążony w jakiejś lekturze. Umawiała się z nimi i płaciła gospodyni.

— Do czego ta świnią jest tak przykuta? — zaciekał się doktor. — Co on tak zawzięcie podkreśla ołówkiem? Przechożąc raz jeszcze z drwami, rzucił okiem przez ramię czytającego. Na stole leżały książeczki Jurja Andrejewicza w pierwszym wydaniu, drukowane przez Wasię w Wyższej Szkole Sztuk Stosowanych.

7

Maryna i doktor mieszkali na Spirydonowce, Gordon wynajmował pokój w sąsiedztwie na Małej Bronnej. Maryna i doktor mieli dwie córki, Kapkę i Kłaskę. Kapitolina czyli Kapka miała siódmy rok, niedawno urodzona Kławdia liczyła sześć miesięcy.

Początek lata był w 1929 upalny. Do niedaleko mieszkających znajomych wpadano z wizytą bez kapelusza i marynarki.

Gordon wynajmował osobliwy pokój. Niegdyś znajdował się w tym miejscu modny zakład krawiecki, zajmujący dwa pokoje, jeden nad drugim. Ogromna lustrzana szyba wystawowa, na której złotymi literami wypisane było nazwisko krawca, rozciągała się na oba piętra. Za szybą widać było z ulicy kręcone schody łączące oba piętra zakładu.

Z pomieszczenia tego zrobiono trzy pokoje. Między oba piętra wbudowano antresolę z dziwnym jak na pokój mieszkalny oknem. Okno to, pokryte resztkami złotych liter, miało metr wysokości i znajdowało się na poziomie podłogi. Z ulicy widać było między literami nogi osób znajdujących się w pokoju. Tam mieszkał Gordon. Bawili właśnie u niego Żiwago, Dudorow i Maryna z dziećmi. W odróżnieniu od dorosłych, dzieci mogły wyglądać przez okno stojąc wyprostowane. Maryna z dziećmi wkrótce wyszła. Trzej mężczyźni zostali sami.

Toczyła się między nimi jedna z tych letnich, leniwych, nieśpiesznych rozmów, jakie prowadzą z sobą koledzy szkolni nie mogący już zliczyć lat swej przyjaźni. Jak wyglądają zwykle takie rozmowy?

Kto ma dostateczny zapas słów, wystarczający na jego potrzeby, mówi i myśli naturalnie i zwięźle. W tej sytuacji znajdował się tylko Jurij Andrejewicz.

Przyjaciele jego nie znajdowali potrzebnych im wyrażen. Brakło im daru słowa. Dla uzupełnienia swego ubogiego słownika mówiąc chodzili po pokoju, zaciągali się papierosem, machali, rękami i powtarzali po kilka razy to samo. (To, bracie, jest niemożliwe ; dosłownie nieuczciwe ; tak, tak — nieuczciwe).

Nie zdawali sobie sprawy, że zbędne dramatyzowanie ich mowy nie oznacza bynajmniej popędliwości i siły charakteru, lecz, wręcz przeciwnie, jest wyrazem niedoskonałości i braków.

Gordon i Dudorow należeli do dobrego, profesorskiego towarzystwa, żyli wśród dobrych książek, dobrych myślicieli, dobrych kompozytorów, dobrej — wczoraj, dziś i zawsze — muzyki i nie wiedzieli, że posiadanie średniego smaku jest gorszą klęską niż nieposiadanie go w ogóle.

Gordon i Dudorow nie wiedzieli, że nawet wyrzuty, którymi zasypywali Żiwaga, nie były podyktowane uczuciem przyjaźni i chęcią wpłynięcia nań, lecz jedynie niezdolnością do swobodnego myślenia i do wolnego kierowania rozmową. Rozpędzona jak wóz rozmowa niosła ich tam, gdzie wcale nie życzyli sobie się znaleźć. Straciwszy nad nią panowanie, musieli wreszcie z czymś się zderzyć. Ich kazania i pouczenia rozбивały się w końcu o Jurja Andrejewicza.

Doktor widział jasno sprężyny ich patosu, niepewność współczucia i mechanizm myśli. Nie mógł jednak powiedzieć : — Drodzy przyjaciele, jakże beznadziejnie banalni jesteście wy sami, wasze środowisko, wasza sztuka i wasze autorytety ! Jedyną rzeczą żywą i malowniczą w was jest to, że żyliście w jednym czasie ze mną i znaliście mnie. — Ale czy można robić przyjaciółom takie wyznania ? Do czego by to prowadziło ? Aby nie nie martwić ich, Jurij Andrejewicz słuchał ich z pokorą.

Dudorow wrócił niedawno ze swej pierwszej zsyłki. Przywrócono mu prawa, których przez pewien czas był pozbawiony, i pozwolono wznowić wykłady na uniwersytecie. Dudorow opowiadał przyjaciółom o swych wrażeniach i stanach duszy na zesłaniu. Mówił szczerze, bez obłudy. Strach i inne względy uboczne nie grały żadnej roli w jego wyznaniach. Mówił, że argumenty oskarżenia, obchodzenie się z nim w więzieniu i po wyjściu z tego ostatniego, a zwłaszcza rozmowy w cztery oczy z sędzią śledczym przewietrzyły mu mózg, przeszkoliły go

politycznie i otworzyły mu oczy na wiele spraw, że, jako człowiek, dojrzał pod wpływem tych okoliczności.

Rozważania Dudorowa przemawiały do serca Gordona tym co było w nich banalne i oklepane. Gordon kiwał potakująco głową i aprobował Innokentja. Wzruszało go właśnie to, co w opowiadaniu przyjaciela było stereotypowe. Brał za ogólnie ludzkie, uczucia powstałe z przymusu i naśladownictwa.

Zbożne wynurzenia Innokentja leżały w duchu czasu, lecz Jurja Andrejewicza oburzało właśnie to, co w ich obłudzie było przejrzyste, zgodne z prawami natury. Człowiek pozbawiony wolności skłonny jest zawsze do idealizowania swej niewoli. Tak było w wiekach średnich, później wykorzystywali to jezuici. Jurij Andrejewicz nie znosił politycznego mistycyzmu sowieckiej inteligencji, tego co było jej najwyższym osiągnięciem lub, jak wówczas mówiono, duchowym plafonem epoki. Dla uniknięcia sporów Jurij Andrejewicz ukrywał przed przyjaciółmi swe refleksje.

Zainteresował się natomiast opowiadaniem Dudorowa o Bonifatju Orlecowie, z którym siedział w jednej celi, duchownym, stronniku patriarchy Tichona. Aresztowany miał sześćioletnią córeczkę, Krystynę. Uwięzienie i dalsze losy ukochanego ojca były dla niej wielkim ciosem. Wyrażenia jak „pracownik cerkiewny” i „pozbawiony praw obywatelskich” wydawały się jej piętnem hańby. W swym gorącym, dziecinnym sercu Krystyna postanowiła być może zmyć tę hańbę z dobrego imienia ojca. Tak wcześniej postawione sobie, tak rozległe zadania oraz ożywiający ją płomień nieugiętej decyzji sprawiały, że dziewczynka teraz już, po dziecinnemu, była gorącą entuzjastką wszystkiego, co wydawało się jej najbardziej jasne w komunizmie.

— Pójdę już — powiedział Jurij Andrejewicz — nie gniewaj się na mnie Misza. W pokoju duszno, na ulicy gorąco. Brak mi powietrza.

— Lufcik jest otwarty. Wybacz, że tak nadymiliśmy. Wciąż zapominamy, że w twojej obecności nie należy palić. Nie moja wina, że tu jest takie głupie okno. Znajdź mi jakiś inny pokój.

— Pójdę sobie Gordonku. Dość już nagadaliśmy się. Dziękuję wam, kochani koledzy, za troskę o moje zdrowie. Nie jest to z mojej strony przywidzenie, ale choroba i skleroza naczyń sercowych. Ścianki serca zużywają się, wiotczą i któregoś pięknego dnia mogą pęknąć. A ja przecież nie mam nawet czterdziestu lat, nie piję i nie hulam.

— Nie czas ci jeszcze żałobną pieśń po sobie samym śpiewać. Głupstwo. Pożyjesz jeszcze.

— Mikroskopijne formy krwotoków sercowych bardzo się w naszych rozpowszechniły. Nie wszystkie są śmiertelne. Niektórzy wyżywają. Jest to choroba najnowszych czasów. Myślę, że przyczyny jej są moralnej natury. Od większości nas wymaga się ciągłej obłudy, podniesionej do rangi systemu. Bez szkody dla zdrowia nie można co dzień wyrażać uczuć będących odwrotnością tych jakich się doznaje, bronić tego czego się nie lubi, i cieszyć się z tego, co przynosi nieszczęście. Nasz system nerwowy nie jest czczym wymysłem, ale fizycznym ciałem złożonym z włókien. Dusza mieści się w nas jak zęby w jamie ustnej. Nie można bezkarnie gwałcić jej w nieskończoność. Ciężko mi było słuchać tego opowiadania o zsyłce, Inno-kentij, o tym jak ty w tej zsyłce wyrosłeś i przeszkoliłeś się. Wyglądało to tak, jak gdyby koń opowiadał jak sam się ujeździł w maneu.

— Muszę tu ująć się za Dudorowem. Ty po prostu odwykłeś od ludzkich słów. Słowa przestały do ciebie dochodzić.

— Bardzo możliwe, Misza. Ale nie zatrzymujcie mnie. Trudno mi oddychać. Naprawdę nie przesadzam.

— Poczekaj. Wszystko to są wykrety. Nie puścimy ciebie, zanim nam nie dasz jasnej, szczerzej odpowiedzi. Czy przyznajesz, że powinieneś się zmienić, poprawić? Co myślisz w tym celu zrobić? Powinieneś uporządkować swoje stosunki z Tonią i z Maryną. Są to żywe istoty, kobiety czujące i cierpiące, nie zaś niematerialne idee, układające się w twojej głowie w dowolne kombinacje. Prócz tego wstyd, aby taki człowiek jak ty nie zajmował się niczym użytecznym. Powinieneś obudzić się ze snu i lenistwa, zorientować się w otaczającej cię rzeczywistości i bez nieusprawiedliwionej zarozumiałości, tak, tak, bez niedopuszczalnej pychy wrócić do służby i zająć się praktyką.

— Dobrze. Odpowiem wam. W ostatnich czasach często myślę w ten sposób sam i, nie wstydząc się niczego, mogę wam to i owo obiecać. Zdaje mi się, że wszystko się jakoś ułoży, przy tym w niedługim czasie. Zobaczycie. Naprawdę. Wszystko idzie ku lepszemu. Chce mi się strasznie żyć, a żyć znaczy iść naprzód, dążyć do doskonałości i osiągnąć ją.

Cieszę się Misza, że bronisz Maryny jak niegdyś broniłeś Toni. Lecz między mną a nimi nie ma żadnych rozdzźwięków. Nie prowadzę wojny ani z nimi, ani w ogóle z nikim. Kiedyś wyrzucałeś mi, że Maryna mówi do mnie „wy”, a ja jej „ty”, jak gdyby mnie samego to nie dręczyło. Ale głębokie przyczyny

tej anomalii zostały już dawno usunięte, wszystko wygładziło się i równość została ustanowiona.

Mogę zakomunikować wam drugą przyjemną wiadomość. Zacząłem dostawać znów listy z Paryża. Dzieci wyrosły i czują się swobodnie wśród francuskich rówieśników. Szura kończy tamtejszą szkołę początkową, *école primaire*, Masza ma do niej wstąpić. Ja przecież nie znam zupełnie swojej córki. Nie wiem czemu, lecz wierzę że mimo przyjęcia francuskiego obywatelstwa moja rodzina niedługo wróci i wszystko się w jakiś sposób pomyślnie ułoży.

Z różnych szczegółów wnoszę, że mój teść i Tonia wiedzą o Marynie i dziewczynkach. Sam im o tym nie pisałem. Wiadomości te dotarły do nich jakąś okreśną drogą. Aleksander Aleksandrowicz czuł się oczywiście obrażony w ojcowskich uczuciach, cierpiał za Tonię. Tym objaśniam sobie pięcioletnią prawie przerwę w naszej korespondencji. Po powrocie do Moskwy korespondowałem z nimi przez pewien czas. Nagle przestali mi odpowiadać. Wszystko się skończyło.

Teraz, od niedawna, otrzymuję stamtąd znów listy. Od wszystkich, nawet od dzieci. Ciepłe, życzliwe. Nastąpiło jakieś odprężenie. Być może zmieniło się coś u Toni, ma, daj jej to Boże, jakiegoś nowego przyjaciela. Nie wiem. Jak też czasami do nich piszę. Ale ja już naprawdę nie mogę dłużej Muszę iść, bo dostanę ataku duszności. Do widzenia.

Następnego dnia rano do Gordona przybiegła w najwyższym stopniu zatrwożona Maryna. Nie miała komu zostawić w domu dzieci, jedną ręką więc przyciskała do piersi zawiniętą w koc Kłaszę, drugą zaś ciągnęła za sobą opierającą się Kapę.

— Czy Jura jest u was, Misza? — spytała zmienionym głosem.

— Czy nie nocował w domu?

— Nie.

— Musi więc być u Innokentja.

— Byłam już tam. Innokentja nie ma, poszedł na uniwersytet. Ale sąsiedzi znają Jurę. Nikt go tam nie widział.

— Gdzie więc może być?

Maryna położyła zawiniętą Kłaszę na kanapie i wybuchła histerycznym płaczem.

Przez dwa dni Gordon i Dudorow nie opuszczali Maryny. Obawiali się zostawić ją samą. Na zmianę czuwali przy niej

i chodzili na poszukiwanie doktora. Obeszli wszystkie miejsca, w które mógł zawędrować, Młynarskie Miasteczko i Siwcew Wrażok, wszystkie Pałace Myśli i Domy Idej, w których kiedyś sprawował funkcje lekarza, odwiedzili wszystkich jego starych znajomych, o których kiedykolwiek słyszeli i których adresy można było ustalić. Poszukiwania nie dały żadnych wyników.

Milicji nie zawiadamiali, aby nie przypominać władzom człowieka, który wprawdzie był zameldowany i nie karany, lecz który — według współczesnych pojęć — nie mógł uchodzić za wzorowego obywatela. Postanowili więc nie odwoływać się do milicji, chyba tylko w ostateczności.

Na trzeci dzień Maryna, Gordon i Dudorow, otrzymali, każde o innej godzinie, listy od Jurja Andrejewicza. W listach tych doktor przeproszał ich za niepokój i strach spowodowany jego zniknięciem. Błagał ich, aby uspokoił się i zaklinał na wszystkie świętości, aby zaprzestali bezowocnych poszukiwań.

Donosił im, że chcąc jak najprędzej zmienić całkowicie tryb życia pragnie pozostać przez pewien czas w samotności, aby móc w skupieniu zająć się swymi sprawami, i gdy tylko stanie pewnymi nogami na nowej drodze i zyska pewność, że z niej więcej nie zejdzie, wyjdzie ze swej kryjówki i wróci do Maryny i dzieci.

Gordona zawiadamiał w swym liście, że przysła na jego adres pieniądze dla Maryny. Prosił, aby do dzieci wynajęto niankę i dano w ten sposób Marynie możliwość powrotu do służby na poczcie. Wyjaśniał przy tym, że nie chce posyłać jej pieniędzy wprost, bo wymieniona w przekazie suma mogłaby wystawić Marynę na niebezpieczeństwo ograbienia.

W krótkim czasie nadeszły pieniądze. Była to suma przekraczająca zwykłe możliwości doktora i jego przyjaciół. Do dzieci przyjęto niankę. Maryna wróciła znów na służbę. Przez długi czas nie mogła się uspokoić, lecz przywykła do dziwactw Jurja Andrejewicza pogodziła się wreszcie i z tym kaprysem. Mimo próśb doktora, przyjaciele i Maryna nie zaprzestali poszukiwań, przekonali się jednak, że zgodnie z jego przewidywaniami starania ich pozostały bezskuteczne.

Doktor mieszkał tymczasem o kilka kroków od nich, niemal pod nosem, w zasięgu wzroku, w samym środku terenu ich poszukiwań.

W dzień swego zniknięcia, wyszedłszy przed zapadnięciem zmroku od Gordona i idąc do swego domu na Spiridonowce Jurij Andrejewicz nie przeszedł nawet stu kroków, gdy natknął się na idącego w przeciwnym kierunku przyrodniego brata, Jewgrafa Żiwago. Jurij Andrejewicz nie widział go od przeszło trzech lat i nic o nim nie wiedział. Jewgraf, jak się okazało, bawił w Moskwie przypadkiem i niedawno dopiero przyjechał. Jak zwykle spadał z nieba i uchylał się od wszelkich pytań, odpowiadając na nie milczącym uśmiechem lub żartem. Z miejsca natomiast, zadając doktorowi dwa czy trzy pytania i odrzucając nieistotne szczegóły, zorientował się w jego smutkach i kłopotach i bez chwili zwłoki, wśród przechodniów śpieszących we wszystkich kierunkach w ciasnej uliczce, powziął praktyczny plan przyścia bratu z pomocą i wybawienia go z trudności. Zniknięcie Jurja Andrejewicza i jego pobyt w ukryciu były pomysłem Jewgrafa.

Jewgraf wynajął dla Jurja Andrejewicza pokój na ulicy zwanej jeszcze wówczas Kamergerską, obok Teatru Artystycznego. Zaopatrzywszy go w pieniądze, zaczął starania o znalezienie dlań w jakimś szpitalu dobrej posady, dającej możliwość pracy naukowej. Zajął się jego wszystkimi trudnościami życiowymi. Wreszcie dał mu słowo, że załatwi w jakiś sposób sprawę jego stosunków z rodziną w Paryżu, bądź dając mu możliwość wyjazdu, bądź też ułatwiając przyjazd rodziny do niego. Wszystkim tym Jewgraf obiecał zająć się osobiście. Nieoczekiwana pomoc brata przypięła doktorowi skrzydła do ramion. Tajemnica potęgi Jewgrafa pozostała i tym razem nieodgadniona. Jurij Andrejewicz nie próbował nawet jej zgłębiać.

10

Pokój Jurja Andrejewicza wychodził na południe. Przez dwa jego okna widać było dachy domów leżących naprzeciw teatru, nad którymi, wysoko nad Ochotnym Rjadem, stało letnie słońce, pogrążające w cień bruk ulicy.

Pokój ten był dla Jurja Andrejewicza czymś więcej niż pracownią, czymś więcej niż gabinetem. W tym okresie pochłaniającej działalności, gdy plany i pomysły nie mieściły się w nagromadzonych na stole notatkach, i gdy fragmenty projektów i wizji unosiły się po kątach w powietrzu, jak obrócone do ścian szkice w pracowni malarza, pokój doktora był salą bankietową ducha, składnicą chimer, śpichlerzem objawień.

Na szczęście pertraktacje z dyrekcją szpitala przeciągały się i termin objęcia przezeń posady odsuwał się na czas nieokreślony. Korzystając z nadarzającego się odroczenia, doktor mógł pisać.

Jurij Andrejewicz zaczął porządkować rzeczy napisane dawniej, które częściowo pamiętał, lub które Jewgraf przynosił mu nie wiadomo skąd, w własnych rękopisach doktora lub nieznanych mu przedrukach. Chaotyczność tego materiału zmuszała go do rozpraszania się ponad wrodzone w tym kierunku skłonności. W krótkim też czasie porzucił to zajęcie i od rekonstrukcji dawnych fragmentów, pociągnięty przez świeże pomysły, przeszedł do pisania rzeczy nowych.

Notował więc pomysły do artykułów, w rodzaju refleksji zapisywanych podczas pierwszego pobytu w Warykinie i fragmenty przebiegających przez myśl wierszy, z początku, z końca lub środka, bez porządku, na chybił trafił. Chwilami nie opanowywał rwącego potoku pomysłów, i początkowe litery słów i skróty jego szybkiego pisma nie nadążały za jego myślą.

Jurij Andrejewicz śpieszył się. Gdy znużenie ogarniało jego wyobraźnię i praca zatrzymywała się, popędzał ją szkicowanymi na marginesach rysunkami. Te ostatnie przedstawiały przeręby leśne i skrzyżowania ulic ze stojącym pośrodku słupem z napisem: „Moreau i Wietczinkin. Siewniki. Młocarnie”.

Tematem jego prozy i wierszy było miasto.

II

W papierach jego znaleziono później następującą notatkę:

„Gdy w dwudziestym drugim roku wróciłem do Moskwy, zastałem ją opustoszałą, na pół zrujnowaną. W takim stanie wyszła z pierwszych lat rewolucji i taką została do dziś dnia. Ludność przerzedziła się, nowych domów nie buduje się, starych nie odnawia.

Ale i w tym stanie jest nadal wielkim miastem współczesnym, jedynym źródłem natchnienia prawdziwie nowej sztuki naszych czasów.

Bezladne wyliczanie przedmiotów i pojęć, na pozór do siebie nie pasujących i postawionych obok siebie jak gdyby przez przekorę, jakie widzimy u symbolistów, u Błoka, Verhaerena i Whitmana, nie jest stylistycznym kaprysem. Jest to nowy układ wrażeń, wzięty z życia, namalowany z natury.

Obrazy pędzące szeregami w ich wierszach są jak tłumy, karety i dorożki pędzące ulicami miast z końca dziewiętnastego wieku oraz elektryczne tramwaje i podziemne kolejki początku następnego stulecia.

Pasterska prostota nie może narodzić się w tych warunkach. Jej sztuczna naiwność jest literackim fabrykatem, nienaturalnym manieryzmem, zjawiskiem książkowym, pochodzącym nie ze wsi, lecz z bibliotek akademij. Językiem żywym, odpowiadającym duchowi współczesności, jest język urbanizmu.

Mieszkam na skrzyżowaniu ożywionych ulic. Letnia, oślepiąca słońcem Moskwa, rozgrzana od asfaltu podwórek, osypując mnie odblaskami rzucanymi przez okna wyższych pięter, kręci się dokoła mnie i przyprawia mnie o zawrót głowy, żądając abym oszalał innych. W tym celu wychowała mnie i dała mi do ręki pióro artysty.

Dzień i noc szumiąca za ścianą ulica jest tak samo związana ze współczesną duszą jak rozpoczęta uwertura ze spuszczonej jeszcze, pełną mroku i tajemnic, lecz już zarumienioną światłami rampy kurtyną. Huczące bez ustanku za drzwiami i oknami miasto jest dla każdego z nas wielkim, nieprzejrzanym wstępem do życia. W tym duchu chciałbym napisać o mieście”.

W zachowanym zeszycie z wierszami Żiwaga nie ma wierszy tego rodzaju. Być może „Hamlet” należy do tej kategorii.

12

Pewnego dnia, w końcu sierpnia, Jurij Andrejewicz na rogu Gazetnej siadł do tramwaju jadącego Nikitską od uniwersytetu do Kudrinskiej. Jechał po raz pierwszy do pracy, do szpitala imienia Botkina, przemianowanego wówczas na szpital im. Sołdatienki. Była to bodaj jego pierwsza służbowa wizyta w szpitalu.

Jurij Andrejewicz nie miał szczęścia. Trafił do zepsutego wagonu, który wciąż miał jakieś trudności. Raz zatrzymał go wóz, którego koła zacięły się w szynach tramwajowych. Potem pod podłogą, to znów na dachu wagonu psuła się izolacja, następowało krótkie spięcie i coś przepalało się z trzaskiem.

Motorniczy z francuskim kluczem w ręku raz po raz schodził z przedniej platformy, szedł na tył wagonu i przycupnąwszy naprawiał coś między tylną platformą i kołami.

Nieszczęsny wagon tamował ruch na całej linii. Stał za nim cały sznur zatrzymanych przezeń tramwajów, do których dołączały się wciąż nowe. Ogon ich sięgał wstecz aż do Maneżu, przedłużając się nieustannie. Pasażerowie stojących w tyle wagonów przechodzili do pierwszego, myśląc, że zyskają w ten sposób na czasie. Ranek był upalny, i w przepelnionym tramwaju było ciasno i duszno. Nad tłumem pasażerów biegnących z jednego wagonu do drugiego, podnosiła się zwolna od strony Nikitskiej Bramy czarno-liliowa chmura. Zbliżała się burza.

Jurij Andrejewicz siedział na jednoosobowej ławeczce po lewej stronie wagonu, przyciśnięty do okna przez stojących pasażerów. Miał wciąż przed oczami lewy chodnik Nikitskiej, przy którym leży Konserwatorium. Chcąc nie chcąc, roztargnionym spojrzeniem człowieka myślącego o czym innym gapił się na jadących i idących po tej stronie ulicy.

Chodnikiem szła powoli starsza, siwa dama w jasnym, słomkowym kapeluszu ze sztucznymi rumiankami i bławatkami, w liliowym, obcisłym, staromodnym kostiumie, wachlując się trzymanym w ręku zwitkiem papierów. Zasznurowana w gorset omdlewała z gorąca, oblewała się potem i ocierała mokre brwi i usta koronkową chusteczką.

Droga jej szła równolegle do drogi tramwaju. Jurij Andrejewicz kilkakrotnie tracił ją z oczu, gdy naprawiony wagon prześcigał ją, pojawiała się jednak znów w jego polu widzenia gdy wskutek nowego uszkodzenia tramwaj zatrzymywał się i dama go dopędzała.

Jurij Andrejewicz przypominał sobie, że w szkole obliczał trwanie podróży i kolejność przybycia pociągów jadących z różną szybkością. Usiłował również przypomnieć sobie metodę rozwiązywania takich zadań, ale pamięć zawodziła go. Nie przeżywszy do końca tego zagadnienia przeszedł do jeszcze bardziej złożonych rozważań.

Zaczął myśleć o równoległych egzystencjach, posuwających się obok siebie z różną szybkością i o tym, w jakich wypadkach jedni prześcigają w życiu drugich, i kto kogo przeżywa. Wyobraził sobie możliwość pewnego rodzaju zasady względności na arenie życiowej, lecz myśli jego zaczęły się mącić, dał więc pokój tym przybliżonym rozważaniom.

Mignęła błyskawica, huknął grom. Nieszczęsny tramwaj zatrzymał się raz jeszcze na zjeździe z Kudrinskiego Placu do Zoologicznego Ogrodu. Dama w liliowym kostiumie zjawiała się znów w ramie okna, minęła tramwaj i zaczęła się oddalać. Pierwsze wielkie krople deszczu padły na chodnik, na jezdnię

i na damę. Wiatr podniósł z ulicy kurz, poruszył liście drzew, szarpnął kapelusz i podniósł spódnicę damy, po czym uciął.

Doktor poczuł nagły zawrót głowy odbierający mu wszystkie siły. Walcząc ze słabością wstał z ławki i szarpiąc w dół i w górę rzemienie ramy usiłował otworzyć okno wagonu. Rama opierała się jego wysiłkom.

Wołano doń, że rama jest przyśrubowana i okno nie otwiera się, lecz doktor, walcząc ze słabością i ogarnięty jakimś popłochem, nie brał tych krzyków do siebie i nie wnikał w ich sens. Szarpnął jeszcze trzykrotnie ramę, do góry, w dół i do siebie, i nagle poczuł nieznany, nieuleczalny ból wewnętrzny. Zrozumiał, że uszkodził coś w sobie, że zrobił coś fatalnego i że wszystko jest stracone. W tej chwili tramwaj ruszył lecz przejechawszy niewielki kawałek Priesnienskiej zatrzymał się.

Nadludzkim wysiłkiem woli, chwiejąc się i z trudem przeciskając wśród pasażerów stłoczonych w przejściu między ławkami, Jurij Andrejewicz doszedł do tylnej platformy. Stojący na niej nie chcieli go przepuścić, stawiali się. Doktorowi wydało się, że powiew powietrza odświeżył go, że być może wszystko nie jest jeszcze stracone, że czuje się lepiej.

Zaczął przeciskać się przez tylną platformę wśród obelg, szturchańców i rozjątrzenia. Nie zwracając uwagi na krzyki przedarł się przez ścisk i zszedł ze stopnia tramwaju na bruk. Zrobił krok, drugi, trzeci, upadł na bruk i nie podnosił się.

Rozległ się gwar, hałas; spierano się, dawano rady. Część pasażerów z tylnej platformy zeszła i otoczyła leżącego. Wkrótce stwierdzono, że nie oddycha i że serce jego nie działa. Do stojących dokoła zwłok podchodzili przechodnie; jedni czuli się uspokojeni, inni rozczarowani dowiadując się, że zmarły nie został przejechany i że śmierć jego nie ma nic wspólnego z tramwajem. Tłum wzrastał, zbliżyła się doń także dama w liliowym kostiumie. Postąpiła chwilę, popatrzyła na zmarłego, posłuchała rozmów i poszła. Była cudzoziemką, zrozumiała jednak, że jedni radzili wnieść zwłoki z powrotem do tramwaju i zawieźć do szpitala, drudzy zaś byli zdania, że należy zawołać milicję. Poszła nie czekając na wynik dyskusji.

Dama w liliowym kostiumie była szwajcarską obywatelką, Mademoiselle Fleury z Mieluziejewa. Była stara, prastara. Przez dwanaście lat starała się korespondencyjnie o prawo powrotu do swego kraju. Niedawno dopiero zabiegi jej zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem. Mademoiselle Fleury przyjechała do Moskwy po wizę i szła właśnie tego dnia do swego poselstwa, wachlując się zwiniętymi i związanymi wstążeczką dokumen-

tami. Poszła naprzód wyprzedzając po raz dziesiąty tramwaj i nie podejrzewając nawet, że z nim razem wyprzedziła i przeżyła doktora Żiwago.

13

Z korytarza widać było przez drzwi część pokoju ze stojącym w nim ukośnie stołem. Leżąca na stole trumna, jak z grubą wydrążoną czółno, zwracała ku drzwiom swój ostry koniec o który opierały się stopy nieboszczyka. Był to ten sam stół, przy którym Jurij Andrejewicz zwykł być pisać. Innego zresztą w pokoju nie było. Rękopisy złożono w skrzyni, na stole zaś postawiono trumnę. Poduszki wezgłowia ułożone były wysoko i ciało leżało na nich, jak na stoku wzniesienia.

Otaczało je mnóstwo kwiatów : całe krzaki rzadkiego wówczas bzu, cyklameny i cynerarie w koszykach i doniczkach. Kwiaty zasłaniały okna. Światło dzienne sączyło się przez nie skąpo na woskową twarz i ręce nieboszczyka, na drzewo i obicie trumny. Na stole leżał wzorzysty cień roślin, które jak gdyby teraz dopiero przestały się chwiać na wietrze.

Zwyczaj palenia ciał w krematoriach bardzo się w tym czasie rozpowszechnił. W nadziei na uzyskanie pensji dla dzieci, przez wzgląd na ich przyszłe traktowanie w szkole i na stanowisko służbowe Maryny, postanowiono zrezygnować z obrzędów religijnych i poprzestać na cywilnej kremacji. Odpowiednie organizacje zostały zawiadomione. Czekano na ich przedstawicieli.

Pokój wydawał się tymczasem pusty jak zwolnione mieszkanie między wyprowadzeniem się dawnych lokatorów i przybyciem nowych. Ciszę przerywały tylko uroczyste kroki i szuranie nóg osób żegnających zmarłego. Było ich niewiele, lecz więcej niż można było przewidywać. Wiadomość o śmierci człowieka prawie nieznanego obiegła je ze zdumiewającą szybkością. Znalazła się spora ilość osób, które zmarły znał w różnych okresach swego życia i które w różnych czasach stracił z oczu i zapomniał. Jego badawcza myśl i muza znalazły jeszcze większą liczbę nieznanych przyjaciół, którzy nigdy dotąd nie widzieli pociągającego ich człowieka i po raz pierwszy przyszli rzucić nań pożegnane spojrzenie.

Podczas tych godzin, gdy ogólne milczenie i brak uroczystości pogrzebowych sprawiały, że strata stawiała się bardziej dotkliwa, tylko kwiaty zastępowały śpiew i obrzędy. Nie poprzestawały na tym, że kwitły i pachniały, lecz, przyspieszając

być może rozkład trupa, pachniały chórem, darząc wszystkich swą aromatyczną siłą, jak gdyby coś celebrowały.

Można sobie łatwo wyobrazić państwo roślin jako najbliższego sąsiada państwa śmierci. W zieleniejącej ziemi, pośród drzew cmentarzy, w kielkujących na grzędach kwiatkach ukryte są, być może, dręczące nas tajemnice przeobrażeń i zagadek życia. Powstałego z grobu Jezusa Maria w pierwszej chwili nie poznała i wzięła za idącego przez cmentarz ogrodnika („A ona, mniemając, że był ogrodnik, rzekła mu...”).

14

Gdy zmarłego przywieziono do jego ostatniego mieszkania na Kamergerskiej, wstrząśnięci wiadomością o jego śmierci przyjaciele wbiegli frontowym wejściem do otwartego na roścież mieszkania. Wraz z nimi przyszła Maryna, na wpół oszalała po tej strasznej wiadomości. Przez długi czas tarzała się po podłodze i biła głową o róg długiej skrzyni z poręczą, stojącej w przedpokoju, na której położono zmarłego, czekając na zamówioną trumnę i na posprzątanie pokoju. Zalewała się łzami, szeptała i wykrzykiwała słowa, których połowa wyrwała się mimo woli z jej ust. Żaliła się głośno, jak kobiety z ludu, nie krępując się i nie zwracając na nikogo uwagi. Z trudem oderwano ją od zwłok, które należało umyć, złożyć do przyniesionej trumny i przenieść do posprzątanego pokoju, z którego wyniesiono zbyteczne meble. Tak było wczoraj. Dziś furia cierpienia ustąpiła miejsca przygnębionemu ośpieniu, lecz Maryna była wciąż niepo czytalna, nie mówiła nic i zdawała się nieobecna. Spędziła przy trumnie resztę poprzedniego dnia i całą noc, nie oddalając się. Tam młodziutka niania przynosiła jej do karmienia Kłaszę i przyprowadzała Kapę, które potem odnosiła i odprowadzała do domu.

Marynę otaczali bliscy jej ludzie, rozpaczający z nią razem, jak Dudorow i Gordon. Na ławce siadał obok niej ojciec, płaczący z cicha i hałaśliwie ucierający nos Markiel. Przychodziły płakać z nią matka i siostry.

Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, wyróżniali się w tym ludzkim potoku. Nie dawali do zrozumienia, że zmarłego łączyły z nimi stosunki bliższe niż z osobami wymienionymi wyżej. Nie współzawodniczyli w smutku z Maryną, córkami i przyjaciółmi zmarłego, oddawali im pierwszeństwo. Nie pretendowali do posiadania jakichś szczególnych, własnych praw do nieboszczy-

ka. W niepojęty sposób posiadali jednak pewne nieujawnione pełnomocnictwa, których nikt nie podawał w wątpliwość. Od samego początku mianowicie zajęli się wszystkimi sprawami, związanymi z pogrzebem i spełniali to zadanie z niewzruszonym spokojem, jak gdyby znajdowali w nim pełne zadowolenie. Ich wyższość duchowa rzucała się wszystkim w oczy i sprawiała dziwne wrażenie. Zdawało się, że mają coś wspólnego nie tylko z tym pogrzebem, lecz także z tą śmiercią, nie jako bezpośredni czy uboczni winowajcy, lecz jako osoby, które po fakcie dokonanym dały nań swą zgodę, pogodziły się z nim. Niewielu tylko znało ich lub domyślało się kim są, większość nie wiedziała o nich nic.

Kiedy ten człowiek z przenikliwymi i budzącymi ciekawość, wąskimi, kirgiskimi oczami i ta bezpretensjonalna, piękna kobieta wchodzili do pokoju, w którym stała trumna, wszyscy znajdujący się tam, nie wyłączając Maryny, bez sprzeciwu, niby na podstawie umowy, podnosili się ze stojących pod ścianami krzeseł i taboretów i opuszczali pokój, wychodząc na korytarz i do przedpokoju. Za przymkniętymi drzwiami mężczyzna i kobieta zostawali sami jak osoby powołane do spełnienia w ciszy i bez przeszkód jakichś ważnych czynności, odnoszących się do pogrzebu. Tak stało się i teraz. Oboje zostali sami, siedli pod ścianą na dwóch taboretach i zaczęli rozmawiać.

— Czego dowiedzieliście się, Jewgraf Andrejewicz ?

— Spalenie zwłok odbędzie się dziś wieczorem. Za pół godziny Związek Zawodowy Pracowników Lekarskich przyśle po zwłoki, które zostaną przewiezione do klubu Związku. Cywilna ceremonia żałobna wyznaczona została na czwartą. Żaden dokument nie był w porządku. Książeczka pracy była przedawniona, legitymacja związkowa starego typu nie była wymieniona na nową, składki zalegały od kilku lat. Wszystko to trzeba było załatwić. Stąd marudzenie i przewlekanie. Przed wyprowadzeniem zwłok — chwila ta zbliża się, trzeba się do niej przygotować — zostawię was tu samą, tak jak chcieliście. Przepraszam. Słyszycie ? Telefon. Chwileczkę.

Jewgraf Żiwago wyszedł na korytarz pełen kolegów służbowych i szkolnych doktora, sanitariuszy, drukarzy. Maryna, okrywając dzieci połamami płaszcza (dzień był chłodny i wiało ze schodów), siedziała na brzegu ławki i czekała na ponowne otwarcie drzwi, jak żona aresztowanego czekająca aż strażnik pozwoli jej widzieć się z mężem. W korytarzu było ciasno i nie wszyscy mogli w nim znaleźć miejsce. Drzwi na schody były otwarte. Wielu stało lub przechadzało się i paliło papierosy

w przedpokoju i na półpiętrze. Wielu stało także na schodach, gdzie rozmowy, w miarę zbliżania się do ulicy, toczyły się coraz głośniejsze i swobodniejsze. Wytężając wśród szmerów słuch, Jewgraf, zasłaniając ręką słuchawkę i półgłosem, jak przystało w domu żałoby, odpowiadał na pytania, dotyczące prawdopodobnie pogrzebu i śmierci doktora. Po chwili wrócił do pokoju i rozmowa potoczyła się dalej.

— Nie znikajcie, proszę, po spaleniu ciała, Łarisa Fiodorowna. Mam do was wielką prośbę. Nie wiem gdzieście się zatrzymali. Nie zostawiajcie mnie bez podania waszego adresu. W najbliższych dniach, jutro lub pojutrze, chciałbym zająć się uporządkowaniem papierów brata. Wasza pomoc będzie mi potrzebna. Wiecie zapewne o tych sprawach więcej niż ktokolwiek. Wspomnieliście przelotnie, że wczoraj przyjechaliście z Irkucka na krótki pobyt do Moskwy i że do tego mieszkania weszliście przypadkowo, nie wiedząc wcale, że mój brat mieszkał tu w ciągu ostatnich miesięcy, ani o tym co się tu stało. Nie wszystko zrozumiałem i nie proszę o wyjaśnienia, ale nie znikajcie jak długo nie znam waszego adresu. Najlepiej byłoby, gdybyśmy w ciągu dni poświęconych porządkowaniu papierów mogli znajdować się pod jednym dachem lub gdzieś niedaleko od siebie, na przykład w innej części tego domu. To będzie można załatwić. Znam administratora domu.

— Mówicie, żeście mnie nie zrozumieli. Ale co w tym niezrozumiałego? Przyjechałam do Moskwy, zostawiłam rzeczy na dworcu. Idę przez starą Moskwę, połowy jej nie poznaję, widocznie zapomniałam. Idę, idę, schodzę przez Kuźniecki Most, idę w górę Kuźnieckim Piereułkiem i nagle widzę coś strasznie znajomego — Kamergerską. Tu Antipow, mój rozstrzelany mąż wynajmował jako student ten właśnie pokój, w którym w tej chwili siedzimy. Zайдę, myślę sobie, być może dawni gospodarze jeszcze tu są. O tym, że nawet ich pamięć zaginęła, i że wszystko się tu zmieniło, dowiedziałam się dopiero wczoraj i dziś, z rozmów i z odpowiedzi na moje pytania. Zresztą po co wam to opowiadam? Byliście przecież przy tym. Byłam wstrząśnięta jak gromem: drzwi od ulicy na roścież, w pokoju pełno ludzi, trumna, a w trumnie nieboszczyk. Jaki nieboszczyk? Wchodzę, zbliżam się i myślę, że oszalałam, że śnię. Byliście tego świadkiem, nieprawdaż? Po co więc wam to opowiadam.

— Zaczekajcie, Łarisa Fiodorowna, muszę wam przerwać. Mówiłem już wam, że ani ja ani mój brat nie podejrzewaliśmy nawet, jakie dziwne rzeczy wiążą się z tym pokojem, że tu, na przykład, mieszkał Antipow. Jeszcze dziwniejszy wydaje mi się wyraz, który wymknął się wam z ust. Zaraz powiem

jaki. O Antipowie, znanym w swej wojskowo-rewolucyjnej działalności jako Strelnikow, słyszałem często i wiele w początku wojny cywilnej, niemal codziennie, i raz czy dwa widziałem go osobiście, nie przewidując, że będzie mnie kiedyś tak blisko obchodził ze względów rodzinnych. Ale przepraszam, być może nie dosłyszałem, lecz wydało mi się, że powiedzieliście „rozstrzelany Antipow”. Czy nie wiecie, że Antipow popełnił samobójstwo?

— Słyszałam taką wersję, ale nie wierzę jej. Paweł Pawłowicz nie był samobójcą.

— Jest to jednak niewątpliwa prawda. Antipow zastrzelił się w domu, z którego wy, według słów mego brata, wyjechaliście do Jurjatina, a stamtąd do Władywostoku. Stało się to w krótkim czasie po waszym wyjeździe z córką. Brat zajął się jego zwłokami, które zostały pochowane. Czy wiadomości te nigdy do was nie doszły?

— Nie. Miałam inne wiadomości. Więc to prawda, że zastrzelił się sam? Wielu to mówiło, ale nie wierzyłam im. W tym samym domu? To nie do wiary! To tak ważna dla mnie wiadomość! Nie wiecie, czy widział się przedtem z Żiwagiem? Czy rozmawiał z nim?

— Według słów Jury mieli długą rozmowę

— Czy możliwe? Chwała Bogu. Tak lepiej. (Antipowa powoli przeżegnała się). Co za uderzający, nieprzypadkowy zbieg okoliczności! Pozwolicie mi wrócić do tego raz jeszcze? Chciałabym dowiedzieć się o wszystkim dokładnie. Każdy szczegół jest mi drogi. Teraz nie jestem w stanie, nieprawdaż? Jestem zbyt wzruszona. Muszę chwilę pomilczeć, odpocząć, zebrać myśli. Nieprawdaż?

— Oczywiście. Bardzo proszę.

— Nieprawdaż?

— Rozumie się.

— Ach, omal nie zapomniałam. Chcieliście, żebym po spaleniu zwłok nie odchodziła. Dobrze, obiecuję. Nie zniknę. Wrócę z wami tu do mieszkania i zostanę tak długo jak będzie trzeba. Zajmiemy się rękopisami Jury. Pomogę wam. Być może będę wam mogła być naprawdę użyteczna. Będzie to dla mnie taka ulga! Krwią mego serca, każdym włóknom mego ciała czuję wszystkie pociągnięcia jego pióra. Poza tym i do was mam też pewną sprawę, będziecie mi też potrzebni, nieprawdaż? Jesteście, zdaje się, prawnikiem, a w każdym razie znawcą istniejących przepisów, obecnych i dawnych. Jest tak ważną rzeczą wiedzieć w każdym wypadku do jakiego urzędu należy się zwrócić. Nie wszyscy się w tym orientują. Potrzebna mi

jest wasza rada w pewnej okropnej, dręczącej mnie sprawie. Chodzi o dziecko. Ale o tym później, po powrocie z krematorium. Przez całe życie muszę kogoś poszukiwać nieprawdaż? Powiedźcie, gdyby trzeba było koniecznie znaleźć ślady dziecka oddanego obcym na wychowanie, czy istnieje jakieś ogólnozwiązkowe archiwum wszystkich przytułków dla dzieci, i czy przeprowadzono kiedyś ogólny spis lub rejestrację bezprizornych? Nie odpowiadajcie mi zaraz, błagam was. Potem, potem. Och, jak straszno, straszno! Jaka to straszna rzecz życie, nieprawdaż? Nie wiem, co będzie później gdy przyjedzie moja córka, ale na razie mogę zostać w tym mieszkaniu. Katia ma uderzające zdolności dramatyczne i muzyczne. Naśladowuje wszystkich i gra całe sceny własnego pomysłu, a prócz tego śpiewa ze słuchu całe partie operowe. Chciałabym oddać ją na jakieś kursy przygotowujące do szkoły teatralnej lub do konserwatorium, gdzie się uda, i umieścić ją w internacie. W tym celu przyjechałam na razie sama, aby to przygotować. Potem pojadę. Ale na to wszystko nie mamy teraz czasu. Potem. Tymczasem poczekam, uspokoję się, pomilczę, zbiorę myśli, spróbuję odpędzić strachy. Prócz tego przetrzymujemy okropnie na korytarzu przyjaciół Jury. Zdaje mi się, że już dwukrotnie stukano do drzwi. Słyszać tam jakiś ruch. Przyjechali widocznie z pogrzebowej organizacji. Posiedzę tu sobie i pomyślę, a wy otwórzcie drzwi i wpuście publiczność. Czas już. Ale zaczekajcie. Trzeba by koło trumny postawić małą ławkę, bo Jura leży za wysoko, nie można się doń zbliżyć. Próbowалам stawać na palcach i też nie idzie. A to będzie potrzebne Marynie Markielowni i dzieciom. Wymaga tego także obrządek. „Całujcie mnie ostatnim pocałunkiem”. Och, nie mogę, nie mogę więcej. Tak smutno. Nieprawdaż?

— Zaraz wpuszczę wszystkich, ale wprzód muszę coś powiedzieć. Powiedzieliście tyle rzeczy zagadkowych i poruszyliście tyle dręczących was najwidoczniej pytań, że nie potrafię od razu wszystkiego wyjaśnić. Chciałabym jednak, abyście wiedzieli jedno. Chętnie, z całego serca ofiarowuję wam swą pomoc we wszystkich sprawach, które wam ciążyą. I pamiętajcie: nigdy, w żadnych okolicznościach nie należy rozpaczać. W nieśczęściu obowiązkiem naszym jest mieć nadzieję i działać. Bezczylna rozpacz jest zaniedbaniem i wykroczeniem przeciw obowiązkowi. Zaraz wpuszczę wszystkich żegnających Jurę. Co do ławki macie zupełną rację. Zaraz się o nią postaram.

Antipowa nie słyszała już jego ostatnich słów. Nie widziała, jak Jewgraf Żiwago otworzył drzwi i jak tłum ludzi wypełnił pokój; nie słyszała jego pertraktacji z organizatorami pogrzebu

i głównymi uczestnikami ceremonii ; nie słyszała szmeru kroków, płaczu Maryny, chrząkania mężczyzn, kobiecych łez i szlochów.

Wir jednostajnych dźwięków kołysał się i przyprowadzał o mdłości. Musiała skupić wszystkie siły, aby nie zemdleć. Serce jej ścisnęło się, głowa bolała. Zwiesiwszy głowę, pogrzyżała się w rojenia, rozmyślenia, wspomnienia, które pochłaniały ją całkowicie. Utonęła w nich tak głęboko, że na kilka godzin poczuła się starsza o kilkadziesiąt lat, przeniosła się w jakiś przyszły okres swego życia, o którym nie było wiadomo wcale, czy go dożyje. Znalazła się jak gdyby na samym dnie swej niedoli i myślała :

— Nikogo więcej nie ma. Jeden zmarł, drugi popełnił samobójstwo. Przy życiu został tylko ten, kogo należało zabić, do którego strzelała lecz chybiła, ten człowiek obcy, nijaki, niepotrzebny, który zmienił jej życie w łańcuch jej samej nieznanych przestępstw. I gdy z ludzi bliskich, potrzebnych jej, nie zostało nikogo, ten potwór pospolitości buja sobie po bajecznych zakamarkach Azji, znanych tylko zbieraczom znaczków pocztowych. Ach, przecież to w tym pokoju rozmawiała na Boże Narodzenie w półmroku z młodzieńskim chłopcem, Paszą, przed zamierzonym strzałem do tego paskudnego straszdyła. Jura, którego w tej chwili żegnała, nie istniał jeszcze wcale w jej życiu.

Antipowa wyteżyła pamięć, aby odtworzyć ową świąteczną rozmowę z Paszą, lecz nie mogła przypomnieć sobie nic prócz palącej się na parapecie okna świecy i odtajającego oka w lodowej powłoce szyby.

Czy mogła wiedzieć, że leżący tu na stole zmarły widział także z ulicy to odtajające oko i zwrócił uwagę na świecę ? I że od tego dostrzeżonego z zewnątrz płomienia — „Świeca płonęła na stole, świeca płonęła” — w życiu jego zaczęła zaznaczać się linia przeznaczenia ?

Myśli jej rozpraszały się. — Jaka szkoda, że jednak nie grzebią po cerkiewnemu ! Obrzęd żałobny jest tak majestatyczny, tak uroczysty ! Większość zmarłych jest go niegodna. Ale Jura tak bardzo był tego wart. Tak zasługiwał, by usprawiedliwić i okupić ten „żałobny płacz tworzący pieśń Alleluja”.

Poczuła znów przypływ dumy i lekkość jakiej doznawała zawsze myśląc o Jurze i podczas krótkich chwil spędzonych z nim razem. Promieniejące zeń uczucie swobody i beztróski owiało ją znów. Wstała niecierpliwie z taboretu, na którym siedziała. Działo się z nią coś niepojętego. Chciała choćby na chwilę wyrwać się z jego pomocą na swobodę, na świeże powietrze, otrząsnąć się z oplatających ją więzów cierpienia, doznać,

jak dawniej, radości wyzwolenia. Zdawało się jej, że taką chwilą radości będzie dla niej możność i prawo opłakiwania go samotnie, bez przeszkód. Z nagłą decyzją spojrzała na tłum wzrokiem zamyślonym przez cierpienie, pełnym łez jak od piekących kropeł wpuszczonych przez okulistę. Obecni poruszyli się, zaczęli ucierać nosy, odsuwać się i wychodzić z pokoju, zostawiając ją wreszcie samą za przymkniętymi drzwiami. Idąc Antipowa szybko przeżegnała się, zbliżyła się do stołu z trumną, weszła na przyniesioną przez Jewgrafa ławkę, szerokim gestem przeżegnała trzykrotnie ciało zmarłego i pocałowała jego zimne czoło i ręce. Nie zauważyła, że ochłodłe czoło wydawało się zmniejszone jak zaciśnięta piastka; udało jej się ominąć to wrażenie. Przestała na chwilę mówić, myśleć, płakać, przywarłszy do środka trumny całym ciałem, głową, piersią, duszą i rękami wielkimi jak dusza.

15

Wstrząsnął nią powstrzymywany płacz. Dopóki mogła, walczyła z nim, lecz nagle zbrakło jej sił i łzy popłynęły na jej policzki, suknię, ręce i na trumnę, do której była przytulona.

Nie mówiła i nie myślała nic. Myśli, zbliżenia, wiadomości, oczywistości pędziły przez nią swobodnie jak obłoki po niebie, podobnie jak podczas ich nocnych rozmów. To właśnie przynosiło jej uczucie radości i wyzwolenia. Nie cerebralna, lecz gorąca, sugerowana wzajemnie wiedza, instynktowna, bezpośrednia.

I w tej chwili była przepojona taką wiedzą, ciemną, niejasną wiedzą o śmierci, wewnętrznym przygotowaniem do niej, brakiem zmieszania przed nią. Czuła się, jak gdyby żyła już dwudziestokrotnie, nieskończoną ilość razy traciła Jurja Żiwaga i w tym zakresie nagromadziła w swym sercu tyle doświadczenia, że wszystko co czuła i robiła przed tą trumną było słuszne i na miejscu.

Była to miłość swobodna, niesłychana, nie podobna do niczego! Oboje myśleli tak, jak inni śpiewają.

Nie kochali się z musu, „zaślepieni pasją”, jak się nieślusownie mówi. Kochali się dlatego, że tak chciała ziemia pod ich stopami, niebo nad ich głowami, obłoki i drzewa. Otaczającym miłość ich podobano się być może więcej niż im samym. Podobano się nieznanym przechodniom, otwierającym się podczas przechadzek dalom, pokojom, w których mieszkali lub spotykali się.

To właśnie zbliżyło ich do siebie i łączyło. Nigdy, nawet w chwilach nieprzytomnego szczęścia nie opuszczało ich najwyższe, najbardziej porywające uczucie : upojenie budową świata, świadomość ich wspólnoty z tym obrazem, poczucie, że stanowią część uroku tego widowiska.

Oboje żyli poczuciem wspólnoty z wszechświatem. Dlatego wywyższanie człowieka ponad pozostałą przyrodę, modne cackanie się z nim i jego bałwochwalczy kult, nie pociągały ich wcale. Nieszczere społecznikostwo, znajdujące swój wyraz w polityce, pozostawało dla nich niezrozumiałym, marnym wyrobem chałupniczym.

16

Zegnała się z nim prostymi, zwyczajnymi słowami, wziętymi ze swobodnej, ożywionej rozmowy, nie mieszczącymi się w ramach rzeczywistości i nie mającymi sensu, podobnie jak chóry i monologi tragedii, mowa wierszowana, muzyka i inne umowne wyrazy uczuć, tłumaczące się tylko konwencją. W danym wypadku konwencją usprawiedliwiającą sztuczność jej lekkiej, improwizowanej rozmowy, były łzy, w których pływały, kąpały się i tonęły jej potoczne, codzienne słowa.

Zdawało się że jej mokre od łez słowa same zlewały się w szybki, pieśzczotliwy szept, podobny do szelestu wiatru w mokrym, sklejonym ciepłym deszczem listowiu.

— Otóż i jesteśmy znów razem, Jura. I w jakich okolicznościach, mój Boże. Co za okropność ! Nie mogę już dłużej ! O Boże ! Beczę i beczę ! To znów coś w naszym stylu, z naszego repertuaru. Twoje odejście i mój koniec. Znów coś wielkiego, nieodwracalnego. Zagadka życia, zagadka śmierci, urok geniusza, urok nagości — to, owszem, rozumieliśmy. A drobniejsze, ziemskie sprawy w rodzaju przebudowy globu — to już, darujcie, nie nasza rzecz.

Zegnaj mój wielki. Moja dumo ! Zegnaj moja bystra, głęboka rzeko ! Tak lubiłam słuchać przez cały dzień twego chłopotania i rzucać się w twe chłodne fale.

Pamiętasz jak zegnałam się z tobą tam w śniegach ? Jakeś ty mnie oszukał ! Czyż pojechałabym bez ciebie ? Wiem, wiem, zmusiłeś się do tego dla mego domniemanego dobra. I wszystko na próżno. Boże, co ja tam przecierpiałam ! Ty przecież nic nie wiesz. Co ja zrobiłam Jura, co ja zrobiłam ! Jestem taką zbrodniarką, że nie masz pojęcia ! Ale to nie moja wina. Przeleżałam wówczas trzy miesiące w szpitalu, z czego

miesiąc bez przytomności. Od tej chwili nie ma dla mnie życia. Dusza moja jest pełna żalu i męki. Przemilczam przy tym najważniejsze. Nie mogę tego wymówić, nie mam sił. Gdy dochodzę do tego momentu mego życia, włosy jeżą mi się z przerażenia. Nie wiem nawet, czy jestem zupełnie normalna. Ale, jak widzisz, nie piję jak inne, nie wchodzę na tę drogę, bo pijana kobieta to koniec, to coś nie do pomyślenia, nieprawdaż?

Mówiła coś jeszcze, szlochała, cierpiała. Nagle zdziwiona podniosła głowę i obejrzała się. Pokój był już od dawna pełen ludzi zakłopotanych, krzątających się. Antipowa zeszła z ławki i staniając się oddaliła się od trumny, ocierając ręką oczy jak gdyby chciała wyžąć z nich resztę niewypłakanych łez i strząsnąć je na ziemię.

Do trumny podeszli mężczyźni i podnieśli ją na trzech zwiniętych w wałek ręcznikach. Zaczęło się wyprowadzanie zwłok.

Łara Fiodorowna spędziła kilka dni na Kamergerskiej. Porządkowanie papierów, o którym mówił Jewgraf Andrejewicz, rozpoczęte z jej udziałem, nie zostało doprowadzone do końca. Rozmowa o którą go prosiła, miała miejsce. Jewgraf Andrejewicz dowiedział się od niej czegoś ważnego.

Pewnego razu Łarisa Fiodorowna wyszła z domu i więcej nie wróciła. Została widocznie aresztowana na ulicy i zmarła lub znikła nie wiadomo gdzie, zapomniana pod jakimś anonimowym numerem na zaginionej później liście, w jednym z niezliczonych, ogólnych lub kobiecych obozów koncentracyjnych północy.

R o z d z i a ł X V I

EPILOG

I

Latem 1943, po przerwaniu frontu pod Kurskiem i uwolnieniu Orła, major Dudorow i Gordon, który niedawno awansował na podporucznika, wracali, każdy z osobna, do swej wspólnej jednostki. Obaj wracali z Moskwy, pierwszy z trzydniowego urlopu, drugi z podróży służbowej.

W drodze powrotnej spotkali się i zanocowali w Czerni, małym miasteczku zrujnowanym wprawdzie, lecz nie startym zupełnie z powierzchni ziemi przez cofającego się nieprzyjaciela, jak większa część osiedli tego „pasa pustynnego”.

Wśród ruin miejskich prezentujących się jako kupy pokruszonych cegieł i startego na proszek tynku, znaleźli nieuszkodzoną szopę z sianem, na którym z wieczora położyli się spać.

Nie mogąc zasnąć rozmawiali przez całą noc. O świcie, koło trzeciej, drzemiącego Dudorowa zbudziło krzatanie się Gordona. Niezręcznymi ruchami, nurkując i zapadając się w miękkim sianie jak w wodzie, podporucznik zbierał jakieś części garderoby, które związał razem, po czym równie niezgrabnie, zsunął się z góry siana na ziemię i skierował do wyjścia.

— Ty dokąd się wybierasz? Jeszcze wcześniej.

— Idę nad rzekę. Chcę sobie coś wyprać.

— Wariat. Wieczorem będziemy na miejscu, i bieliźniarka Tania wyda ci nową zmianę. Coś taki niecierpliwy?

— Nie chcę czekać. Wszystko przepocone, brudne. Ranek będzie upalny. Wypiorę, wyżmę porządnie, i na słońcu zaraz wyschnie. Wykąpię się i przebiorę.

— Nie bardzo ci to wypada. Jesteś przecież, jak by nie było, oficerem.

— Jest jeszcze wcześnie. Wszyscy śpią. Schowam się gdzieś w krzakach, i nikt nie zobaczy. A ty nie rozmawiaj, bo wybijesz się ze snu.

— Nie będę już spał. Pójdę z tobą.

Idąc w kierunku rzeki, Gordon i Dudorow mijali bielejące i już rozgrzane przez słońce ruiny. Wśród dawnych ulic, na samej spiekocie spali na ziemi spoceni, chrapiący, czerwoni z gorąca ludzie. Byli to przeważnie miejscowi, pozbawieni dachu nad głową starcy, kobiety i dzieci, oraz nieliczni pozostali w tyle krasnoarmiejcy, dopędzający swe jednostki. Gordon i Dudorow stąpali ostrożnie patrząc pod nogi, aby nie nadepnąć na śpiących.

— Mów ciszej, bo zbudzisz całe miasteczko, i do widzenia z praniem.

Obaj zniżyli głos i wrócili do swej nocnej rozmowy.

2

— Co to za rzeka ?

— Nie wiem. Nie pytałem. Pewnie Zusza.

— Nie, to nie Zusza. Jakaś inna rzeka.

— Z Krystyną to było na Zuszy.

— Tak, ale w innym miejscu, gdzieś niżej. Mówią, że cerkiew ją kanonizowała.

— Stał tam murowany budynek, który otrzymał nazwę „Stajni”. Była to kiedyś istotnie stajnia sowchozu hodującego stadninę. Imię pospolite stało się imieniem własnym, nazwą historyczną. Budynek był dawny, o grubych murach. Niemcy zrobili zeń niezdobytą fortecę. Było z niej łatwo ostrzeliwać całą okolicę, co wstrzymywało nasze natarcie. Stajnię trzeba było zdobyć. Krystyna, dokonując cudów odwagi i pomysłowości, przedostała się na pozycje niemieckie, wysadziła w powietrze Stajnię, została schwytana i powieszona.

— Cemu mówi się Krystyna Orlecowa, a nie Dudorowa ?

— Myśmy się przecież nie zdążyli pobrać. Latem czterdziestego pierwszego daliśmy sobie słowo, że pobierzemy się po skończeniu wojny. Potem koczowałem z całą armią. Moją jednostkę wciąż przesuwano z miejsca na miejsce. Z tego powodu

straciłem ją z oczu i nigdy więcej nie widziałem. O jej bohater-
skim czynie i śmierci dowiedziałem się, jak wszyscy, z gazet
i rozkazów dziennych. Mówią, że tu gdzieś mają postawić jej
pomnik. Brat nieboszczyka Jurja, generał Żiwago, objeżdża,
jak słyszałem, te miejsca i zbiera o niej wiadomości.

— Daruj, że zacząłem tę rozmowę. Musi ci być przykro.

— Mniejsza o to. Zagadaliśmy się. Nie chcę ci przeszkadzać.
Rozbieraj się, idź do wody i rób co masz robić. A ja tymcza-
sem wyciągnę się na brzegu ze źdźbłem trawy w ustach, pomy-
ślę sobie i być może zdrzemnę się.

Kilka minut później rozmowa wszczęła się na nowo.

— Gdzie tak nauczyłeś się prać ?

— Bieda nauczyła. Nie miałem szczęścia. Trafiłem do naj-
gorszego z karnych obozów. Niewielu tam wyżyło. Zacznę od
przybycia. Partię wyprowadzono z wagonu. Śnieżna pustynia.
W oddali las. Konwój i zniżone lufy karabinów, trzy owczarki.
W tymże mniej więcej czasie przypędzają inne grupy. Ustawiają
nas w ogromny wielokąt na całe pole, plecami do środka, aby
jedni nie widzieli drugich. Rozkaz : na kolana, pod karą ro-
zstrzelania nie wolno się oglądać. Potem zaczyna się nieskończona,
poniżająca, ciągnąca się przez długie godziny procedura apelu.
I wciąż na kolanach. Wreszcie wstajemy, inne partie prowadzą
gdzie indziej, a nam mówią : „To jest wasz obóz. Urządzajcie
się jak umiecie”. Śnieżne pole pod gołym niebem, po środku
słup, a na nim napis : Gułag 92 Ja N 90³² i nic więcej.

— Nam było łżej. Mieliliśmy szczęście. Była to moja druga
odsiadka, będąca skutkiem pierwszej. Ale miałem inny paragraf
niż ty i inne warunki. Po uwolnieniu, jak za pierwszym razem,
przywrócono mi prawa i pozwolono wykładać na uniwersytecie.
I na wojnę zmobilizowano mnie z pełnymi prawami majora,
nie w karnych batalionach, jak ciebie.

— Tak. Słup z liczbą Gułag 92 Ja N 90 i więcej nic.
W pierwszych dniach, podczas mrozów, gołymi rękami łama-
liśmy gałęzie na szałas. I cóż, to nie do wiary, ale powoli
urządziliśmy się sami. Pobudowaliśmy sobie ciemnice, karcery,
otoczyliśmy się częstokołem, strażnicami, wszystko sami. I za-
częliśmy rąbać las. Waliliśmy drzewa. Po ośmiu zaprzęgaliliśmy
się do sanek, zapadaliśmy się w śnieg po szyję. Długo nie wie-
dzieliśmy nic o wojnie. Ukrywano to. I nagle — propozycja.
Kto zgłosi się jako ochotnik do karnego batalionu i z nie-
skończonych bojów wyjdzie cało — będzie wolny. I potem
natarcia, natarcia, kilometry drutów kolczastych z elektrycznym

32. Gułag — Głównoje Uprawlenje Łagierej. Główny zarząd obozów.

prądem, miny, miotacze min i miesiące, miesiące huraganowego ognia. Nie darmo nazywano nas straceńcami. Śmierć kosiła nas do ostatniego. Jak ja wyżyłem? Jak ja wyżyłem? Ale wyobraź sobie, że całe to krwawe piekło było niezmaconym szczęściem w porównaniu z okropnościami obozu koncentracyjnego i bynajmniej nie z powodu ciężkich warunków, ale z zupełnie innej przyczyny.

— Zaznałeś biedy, bracie.

— W tych warunkach można było nauczyć się nie tylko prac, ale wszystkiego co chcesz.

— Dziwna rzecz. Nie tylko dla siedzących w twoim obozie, ale dla wszystkich żyjących w trzydziestych latach, nawet na wolności, nawet w pomyślnych warunkach pracy uniwersyteckiej, wśród książek, wygod i pieniędzy, wojna była burzą oczyszczającą atmosferę, powiewem świeżego powietrza, zapowiedzią wyzwolenia.

Myślę, że kolektywizacja była krokiem błędnym, nieudalnym. Nie wolno się było jednak przyznać do omyłki. Aby ukryć niepowodzenie trzeba było użyć wszystkich środków terroru w celu oduczenia ludzi od sądzenia i myślenia, zmusić ich do widzenia rzeczy nieistniejących i udowodniania zdań sprzecznych z rzeczywistością. Stąd bezprzykładne okrucieństwo jeżowszczyzny³³, ogłoszenie konstytucji, która nigdy nie miała być stosowana i wprowadzenie wyborów nie dających możliwości wybierania.

Wojna z jej rzeczywistymi okropnościami, niebezpieczeństwem i groźbą rzeczywistej śmierci była lepsza od nieludzkiego panowania fikcji, przynosiła ulgę, bo ograniczała czarną księską potęgę martwej litery.

Nie tylko ludzie w twoim położeniu, na katordze, ale wszyscy w ogóle, na tyłach i na froncie, odetchnęli swobodnie, pełną piersią i z entuzjazmem, uczuciem szczerzej radości rzucili się w ogień groźnej walki, śmiertelnej i zbawiennej.

— Wojna jest szczególnie ważnym ogniwem w łańcuchu rewolucyjnych dziesięcioleci. Wraz z nią skończyło się działanie przyczyn leżących bezpośrednio w naturze przewrotu. Zaczęły ukazywać się jego skutki uboczne, owoce owoców, skutki skutków. Nieszczęścia zahartowały charaktery, wychowały ludzi niezepsutych, skłonnych do bohaterstwa, do czynów wybitnych, zuchwałych, niesłychanych. Są to rysy bajeczne, olśniewające, które stanowią oblicze moralne pokolenia.

33. Od Jeżowa, ministra spraw wewnętrznych, który przeprowadził „wielką czystkę” 1937-1938 r.

Obserwacje te sprawiły, że mimo męczeńskiej śmierci Krystyny, moich ran, mimo naszych strat i wysokiej, krwawej ceny wojny czuję się szczęśliwy. Nimb poświęcenia okalający śmierć Orlecowej i życie każdego z nas pomogą mi znieść tę stratę.

Kiedyś ty, biedaku, znosił swoje tortury, wyszedłem na swobodę. Orlecowa wstąpiła w tym czasie na fakultet historyczny. Rodzaj jej zainteresowań sprawił, że trafiła pod moje kierownictwo. Już znacznie wcześniej, po pierwszym pobycie w obozie koncentracyjnym, zwróciłem uwagę na tę niezwykłą dziewczynę, która wówczas była jeszcze dzieckiem. Jeszcze za życia Jurja opowiadałem o niej, pamiętasz? No i teraz została moją słuchaczką.

Zwyczaj rozrabiania profesorów przez studentów wszedł właśnie wówczas w modę. Orlecowa wzięła się do tego z zapałem. Bóg jeden wie za co była tak na mnie zawzięta. Jej napaści były tak uporczywe, wojownicze i niesprawiedliwe, że inni studenci czasami protestowali i występowali w mojej obronie. Orlecowa była świetną humorystką i pod wymyślonym nazwiskiem, pod którym wszyscy mnie poznawali, przedstawiała mnie w najkomiczniejszych formach w ściennej gazecie. Nagle, zupełnie przypadkowo wyjaśniło się, że ta trwała wrogość była maską młodej miłości, silnej, skrytej i już dawnej. Z mojej strony odpowiadałem jej zawsze tym samym uczuciem.

W czterdziestym pierwszym roku spędziliśmy cudne lato w przede dniu wybuchu wojny i zaraz po jej wypowiedzeniu. Grupa studentów i studentek, a w tej liczbie i ona, zamieszkała na podmiejskim lotnisku koło Moskwy, gdzie potem rozkwatowała się moja jednostka. Nasza przyjaźń zawiązała się i rozwijała podczas wojskowego szkolenia młodzieży, tworzenia się podmiejskich oddziałów obrony krajowej, szkolenia się Krystyny na spadochroniarke i odpierania pierwszych nalotów niemieckich z dachów moskiewskich budynków. Mówiłem ci już, że wówczas obchodziliśmy nasze zaręczyny, i że wkrótce potem zostaliśmy rozdzieleni na skutek przeniesienia mojej jednostki. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Gdy w naszej sytuacji nastąpił pomyślny zwrot i Niemcy zaczęli tysiącami składać broń, po dwóch ranach i dwukrotnym pobycie w szpitalu zostałem przeniesiony z artylerii przeciwlotniczej do siódmego oddziału sztabu, gdzie szukano ludzi znających obce języki. Tam wystarałem się o przeniesienie do tegoż oddziału ciebie, gdy wreszcie udało mi się ciebie wydobyć jak z morskiego dna.

— Bieliźniarka Tania dobrze знаła Orlecową. Poznały się na froncie i były bardzo zaprzyjaźnione. Tania wiele opowiadała

o Krystynie. Zauważyłeś jak się Tania uśmiecha całą twarzą, jak Jurij? Na chwilę znika zadarty nos i wystające kości policzkowe, twarz staje się przyjemna, pociągająca. Jurij i ona należą do tego samego typu, bardzo u nas rozpowszechnionego.

— Wiem o czym mówisz. Możliwe. Nie zwróciłem na to uwagi.

— Co za barbarzyńskie, szkaradne przewisko Tańka Bezoczeredowa³⁴. To nie jest żadne nazwisko, ale coś wymyślonego, przekreślonego. Jak ty myślisz?

— Ona to sama objaśniała. Tania pochodzi z bezprizornych, jest córką nieznanых rodziców. Pewnie gdzieś w głębi Rosji, gdzie język jest jeszcze czysty, niezepsuty, nazwano ją „bezotczaja”, w tym sensie że jest bez ojca. Ulica, dla której ta nazwa była niezrozumiała i gdzie wszystko łapią ze słuchu i przekręcają, nadała jej nazwisku brzmienie bardziej aktualne i bliższe miejskiemu żargonowi.

3

W kilka dni po ich noclegu w Czerni, Gordon i Dudorow dopędzili tyłowe formacje ich armii, posuwające się za głównymi siłami. Było to w zniszczonym całkowicie miasteczku Karaczewie.

Jesień była upalna; od miesiąca panowała bez przerwy jasna i cicha pogoda. Urodzajna ziemia Bryńszczyzny, szczęśliwego zakątka między Orłem i Brianskiem opalała się pod błękitnym, gorącym niebem na czekoladowo-kawowy odcień.

Przecinająca miasteczko szosa stanowiła zarazem jego główną ulicę. Po jednej stronie ulicy leżały kupy gruzów, resztki zburzonych minami domów i potrzaskane, opalone drzewa zrównanych z ziemią sadów owocowych. Po drugiej stronie ciągnęły się pustkowia, które zapewne już przedtem były mało zabudowane, bo nie nosiły śladów wybuchów i pożarów.

Bezdomni mieszkańcy grzebali się w zgłiszczach, odkopywali z nich coś i znosili na jedno miejsce. Inni budowali ziemianki i wycinali płyty darniny, którą przykrywali dachy improwizowanych budynków.

Po przeciwnej, niezabudowanej stronie białły namioty i tłoczyły się ciężarówki i furgony wszelkiego rodzaju taborów, oderwane od dywizyjnych sztabów szpitale polowe oraz zabłąkane i poszukujące się nawzajem oddziały różnych parków

34. Bezoczeredowa — nie mająca miejsca w kolejce.

i intendentur. Tamże biwakowały, wysypiały się i wlokły się dalej na zachód uzupełnienia, chudzi, cherlawi chłopcy w szarych pilotkach, ze zwiniętymi w wałki ciężkimi szynelami, o twarzach ziemistych, zniszczonych przez pijaństwo i dyzenterię.

Na wpół spalone i wysadzone w powietrze miasteczko paliło się i nadal wylatywało w powietrze w miejscach, gdzie pozostały jeszcze miny zegarowe. Kopiący w ogrodach czując jak ziemia drży pod ich nogami, rozprostowywali zgięte plecy, opierali się na łopatach, odpoczywali i długo patrzyli w kierunku, z którego dochodził huk eksplozji.

Wytryskiwały tam zrazu fontanny i słupy, potem leniwie podnosiły się ku niebu całe warstwy szarego, czarnego, ceglatego i ognisto-dymnego gruzu, które rozkwitały jak pióropusze, rozplątywały się, rozpraszały i osiadały z powrotem na ziemi. Kopacze powracali do swej roboty.

Na niezabudowanych terenach znajdowała się otoczona krzakami polana, zacieniona całkowicie przez stare drzewa. Roślinność ta oddzielała polanę od reszty świata. Było to jakby pogrążone w chłodnym mroku, kryte podwórze.

Na polanie bieliźniarka Tania, kilku żołnierzy z jej pułku i kilku obcych, jadących w tę samą stronę i pragnących skorzystać z okazji, a także Gordon i Dudorow czekali od rana na ciężarówkę, która miała zabrać Tanię i powierzone jej mienie pułkowe. To ostatnie było złożone w skrzyniach, stojących pośrodku polany. Tania nie odstępowała od nich na krok. Pozostali również nie oddalali się, aby nie przegapić okazji.

Czekali już przeszło pięć godzin i nie mając nic do roboty, słuchali nieustannego trajkotania rozmownej i bywalej dziewczyny. Tania opowiadała im właśnie o swym spotkaniu z generał-majorem Żiwago.

— A jakże. Wczoraj. Do samego generała mnie wzywano. Do generał-majora Żiwago. Przejeżdżał tu, Krystyną interesował się. Wypytywał świadków naocznych, którzy ją znali osobiście. Wskazali mu mnie. Mówią — przyjaciółka. Kazał mnie wezwać. Wezwali, zaprowadzili. Zupełnie nie straszny. Nic nadzwyczajnego, jak wszyscy. Kosooki, czarny. Wyłożyłam mu wszystko co wiedziałam. Słuchał i mówi : dziękuję. A ty sama, powiada, skąd i co za jedna ? Ja oczywiście tudy siudy, wymiguję się. Bo czym się tu chwalić ? Bezprizorna. Sami wiecie. Poprawcze domy, włóczęgostwo. A on powiada : wał wszystko. nie krępuj się, czego się tu wstydić. Przez nieśmiałość mówię z początku to i owo, ale im dalej tym więcej. On kiwa mi głową, zrobiłam się śmielsza. A mam o czym opowiadać. Gdybyście posłyszeli nie uwierzylibyście. Powiedzielibyście, że zmyślam. Pewnie i on

tak myślał. Kiedy skończyłam, wstał, chodzić zaczął po chacie z kąta w kąt. Powiedz sama, co za przypadek, mówi. Teraz, mówi, nie mam czasu. Ale ja ciebie znajdę, bądź spokojna, i jeszcze raz zawołam. Nie spodziewałem się już, że cię kiedyś znajdę. Ja cię, mówi, tak nie zostawię. Trzeba będzie jeszcze to i owo wyjaśnić, kilka szczegółów. Być może zostanę jeszcze twoim stryjem, awansuję cię na generalską bratanicę. I na naukę cię oddam, do wyższej szkoły, do jakiej zechcesz. Jak Boga kocham, naprawdę tak mówił. Takie żarty !

W tej chwili na polanę wjechała pusta podwoda, wóz drabiniasty, jakim w Polsce i w Rosji zachodniej zwożą snopy. Parą koni w dyszlowej uprzęży powoził furman wojskowy, w dawnej terminologii zwany *furlejtem*, żołnierz taboru konnego. Wjechał na polanę, zeskoczył z wozu i zaczął wyprzęgać konie. Wszyscy, prócz Tatjany i paru żołnierzy obścąpili go prosząc, by nie wypręgał i zawiózł ich tam, gdzie mu wskażą, oczywiście nie za darmo. Żołnierz odmówił, twierdząc, że nie ma prawa rozporządzać końmi i podwodą i że musi wykonywać otrzymane rozkazy, po czym wyprowadził gdzieś konie i więcej nie wrócił. Wszyscy obecni, którzy siedzieli dotąd na ziemi, wstali i usiedli na pustej podwodzie. Tatjana wróciła do swego opowiadania, przerwanego przez pojawienie się wozu i pertraktację z furmanem.

— Coś ty opowiadała generałowi ? — zapytał Gordon. — Może powtórzysz to nam.

— Czemu nie. Mogę.

I Tania opowiedziała swą straszną historię.

4

— Mam w rzeczy samej nie mało do opowiedzenia. Mówią, że nie pochodzę z prostego ludu. Czy mi to obcy opowiedzieli, czy też ja sama to w moim sercu przechowałam, nie wiem, ale słyszałam, że mama moja, Raisa Komarowa, była żoną rosyjskiego ministra, ukrywającego się w Białej Mongolii, towarzysza Komarowa. Wydaje się jednak, że ten Komarow nie był moim rodzonym ojcem. Jestem dziewczyną niewykształconą, rosłam bez papy i mamy, jak sierota. To co mówię wyda się wam może śmieszne, ale mówię to co wiem, musicie wejść w moje położenie.

Tak. Wszystko co wam teraz opowiem odbyło się za Krużycami, na drugim końcu Syberii, za krajem Kozaków, bliżej

chińskiej granicy. Kiedyśmy zaczęli, to jest my, czerwoni, zbliżyć się do głównego miasta białych, ten właśnie Komarow, minister, wsadził mamę i całą rodzinę do specjalnego pociągu i kazał jechać. Mama była wylękniona i kroku nie śmiała zrobić bez niego.

O mnie ten Komarow nic nie wiedział. Nie wiedział, że taka jest na świecie. Mama urodziła mnie z dala od niego i umierała ze strachu, żeby nikt przed nim się nie wygadał. On strasznie nie lubił dzieci, krzyczał i tupał nogami, że z tego w domu tylko nieporządek i zamieszanie. Ja, krzyczał, tego znosić nie mogę.

Kiedy więc czerwoni byli już blisko, mama posłała po Marfę, żonę dróżnika kolejowego na stacji Nagornaja. Była to druga stacja od tego miasta. Zaraz to objaśnię. Pierwsza stacja była Nizowaja, potem przystanek Nagornaja, potem Samsonowski Pierewał. A teraz, skąd mama знаła tę staruchę? Myślę, że Marfa musiała handlować w mieście jarzynami, wozić mleko.

Zaraz opowiem dalej. Widocznie jednak czegoś tu znów nie wiem. Myślę, że mamę musiano oszukać, opowiedzieć jej coś innego niż było naprawdę. Opowiedzieli jej Bóg wie co, że wszystko to jest na krótki czas, na dwa dni, zanim się zamęt uspokoi. Nie było to tak, że mama oddała mnie w obce ręce na zawsze. Na zawsze na wychowanie. Mama nie mogła tak przecież oddać rodzzonego dziecka.

Wiadomo jak to się z dziećmi robi. Idź do cioci, ciocia da ci piernika, ciocia dobra, nie bój się. A jak ja potem płakałam, jaka rozpacz ścisnęła moje dziecięce serduszek, o tym lepiej nie mówić. Chciałam się wieszać, w dzieciństwie już omal nie zwariowałam. Byłam przecież jeszcze bardzo mała. Cioci Marfie pieniądze pewnie dali na moje utrzymanie, dużo pieniędzy.

Gospodarstwo u Marfy było bogate : krowa, koń, ptactwo, rozumie się, rozmaite, ziemi kolejowej pod ogród ile się chce i darmowe mieszkanie, stróżówka przy samym plancie. Od moich rodzinnych stron pociąg wspinał się powoli pod górę, z trudem przewyciężając pochyłość, a od was, z Rosji, jechał szybko i takiego nabierał rozpędu, że musiał hamować. Jesienią, kiedy las stawał się rzadki, było widać stację Nagornaja w dole jak na dłoni.

Stryjcia Wasyla nazywałam wiejskim obyczajem „tatko”. Był to człowiek wesoły, dobry, ale zbyt łatwowierny. Po pijanemu zwłaszcza wszystko o sobie roztrząbiał na całą okolicę. Pierwszemu lepszemu duszę swoją otwierał.

Dróznikowej nie mówiłam „mamo”. Sam język mój nie chciał tego słowa wymówić. Czy dlatego, że mamy swojej nie mogłam zapomnieć, czy z innych przyczyn, nie wiem. Ta ciocia Marfa była taka straszna. Nazywałam więc ją ciocią Marfą.

Tak przechodził czas. Minęły lata — nie pamiętam ile. Zaczęłam już z chorągiewką wybiegać do pociągu. Umiałam zaprząć konia i chodzić koło krowy. Prząść mnie ciocia Marfa nauczyła. O sprzątaniu chaty nie ma co mówić. Pozamiatać, ugotować coś, ciasto zamiesić było dla mnie głupstwem, wszystko to umiałam. O Pieti zapomniałam powiedzieć. Pietia nasz miał suche nóżki, trzy lata miał, leżał, nie chodził. Nianczyłam i Pietię. Tyle lat już minęło, a dotąd ciarki mnie przechodzą, kiedy przypominam sobie, jak ciocia Marfa patrzyła zezem na moje zdrowe nogi. Czemu to nie ty masz suche nogi, a Pietia? Jak gdybym to ja na Pietię urok rzuciła, i jak gdyby to była moja wina. Taka to czarna złość bywa na świecie.

Śłuchajcie, co wam teraz opowiem. Dotąd to było nic, teraz dopiero coś usłyszycie.

Były to czasy Nepu. Tysiąc rubli szło za kopiejkę. Wasilij Afanasjewicz sprzedał krowę, wziął za nią dwa worki pieniędzy — nazywały się kierenki, nie, przepraszam, limony — podpił sobie i poszedł całej Nagornej o swym bogactwie opowiadać.

Dzień, pamiętam, był jesienny, wiatr zrywał dach i walił z nóg. Parowozy zatrzymywały się na pochyłości, wiatru pręda nie mogły. Widzę, idzie staruszka wędrownica, wiatr szarpie ją za chustkę i za spódnice.

Idzie, jęczy, trzyma się za brzuch, prosi żeby ją wpuścić. Położyliśmy ją na ławce. Oj, krzyczy, nie mogę wytrzymać, brzuch mnie boli, śmierć moja przyszła. I na Chrystusa zaklina, żeby ją odwieźć do szpitala. Zapłacę, mówi, nie poskąpię pieniędzy. Tatko zaprzągnął Udałego, położył staruchę na wóz i powiózł do ziemskiego szpitala, piętnaście wiorst od linii kolejowej.

Nie wiem, ile czasu minęło, położyliśmy się już z ciocią Marfą spać, kiedy słyszymy — Udałoj zarżał pod oknem, i wóz zajechał na nasze podwórze. Wydało się nam, że to coś za prędko. Ciocia Marfa rozdmuchała ogień, narzuciła kaftanik i, nie czekając aż tatko do drzwi zastuka, sama odsuwa rygiel.

Odsuwa rygiel, a na progu stoi nie żaden tatko, ale obcy chłop, czarny i straszny. I mówi: — Pokaż, mówi, gdzie pieniądze za krowę. Twego męża, mówi, w lesie wykończyłem, a nad tobą, babo, zlituję się jeżeli powiesz gdzie pieniądze. A jak nie powiesz, sama rozumiesz, nie miej pretensji. I lepiej ze mną nie marudź. Nie mam czasu na ceregiele.

Oj, towarzysze drodzy, wyobraźcie sobie nasze położenie ! Drżymy, ani żywe ani umarłe, języki nam zdębiały w ustach ze strachu. Przede wszystkim Wasilja Afanasjewicza on, jak sam mówi, zabił toporem. A potem jesteśmy same w stróżówce z rozbójnikiem. Rozbójnik jest u nas w domu, to jasne.

W tej chwili pewnie ciocia Marfa rozum straciła, serce jej śmierci męża nie wytrzymało. A trzeba się trzymać, nic nie dać poznać po sobie.

Ciocia Marfa upadła mu zrazu do nóg. — Zlituj się, mówi, nie gub nas, nic nie wiem o twoich pieniądzech, nie wiem o czym mówisz, pierwszy raz o nich słyszę. — Ale nie taki on głupi, żeby się słowami od niego odczepić. I nagle myśl jej przyszła do głowy, że można go przechytryć. — No dobrze, powiada, niech tak będzie. Pod podłogą mówi, zarobek za krowę. Otworzę ci wieko, a ty leż, mówi, pod podłogę. — Ale on, nieczysta siła, chytrkości jej widzi na wylot. — Nie, mówi, ty jesteś gospodyni, tobie zręczniejsz. Leż, mówi, sama. Pod podłogę leż, czy na dach, byle pieniądze się znalazły. Tylko pamiętaj, mówi, że ze mną figlów nie ma.

A ona na to : — Bóg z tobą, nie wierzysz, boisz się ? Zeszląbym z tobą, ale za słaba jestem. Lepiej, mówi, poświęć ci z góry. Nie bój się, a dla pewności weź z sobą córkę zamiast mnie.

— Oj, towarzysze drodzy, pomyślcie tylko co się ze mną stało, kiedy to posłyszałam ! No, myślę, koniec. W oczach mi pociemniało, czuję, że padam, że nogi uginają się pode mną.

Ale łotr nie głupi, jedno oko przymrużył i krzywo śmieje się, aż zęby wyszczerzył. Nie uda ci się, nie oszukasz. Widzi że mnie jej nie żal, że nie rodzone dziecko, obce. Chwyta jedną ręką Pietię, drugą kółko od wieka i otwiera właz. — Świeć — mówi, i z Pietią po drabinie pod ziemię.

Myślę, że ciocia Marfa już wówczas była nie przy swoich zmysłach i że nic nie rozumiała. Tylko łotr zeszedł pod podłogę, wieko od włazu za nim zatrzasnęła z powrotem, klucz w zamku przekręciła i ciężki kufer zaczęła na pokrywę przesuwować, a mnie znaki robi, żebym pomogła, bo ciężki. Przesunęła i siadła sama na kufrze. Siedzi, głupia, i cieszy się. Nie zdążyła jeszcze sięść, a z dołu rozbójnik odzywa się i stuk-stuk w podłogę, jak gdyby mówił : lepiej po dobroci otwórz, bo zaraz twego Pietię wykończę. Słów przez grube deski nie słyszać, ale sens jasny i bez nich. Ryczy bandyta pod spodem gorzej od leśnych zwierząt, że słuchać straszno : — Zaraz twemu Pieti koniec zrobię. — A ona nic nie rozumie. Siedzi, śmieje się, mruga na mnie. — Gadać zdrów, siedzę na kufrze, i klucze mam w roku. —

Tłumaczę cioci Marfie i tak i siak. Krzyczę jej do ucha, z kufra próbuję zepchnąć. Trzeba otwierać piwnicę, Pietię ratować. Ale gdzie tam ! Co ja z nią mogę zrobić ?

Rozbójnik stuka i stuka. Czas mija, a ona na kufrze siedzi, oczami obraca, nie słucha.

Przeszło tak dużo czasu. Oj, Boże, Boże, wiele rzeczy w życiu widziałam, ale tego nie zapomnę. Jak długo będę żyła, słyszeć będę żałosny głosik Pieti. Krzyknęła, jęknęła pod ziemią anielska duszyczka Pieti — zagryzł go przekłęty bandyta na śmierć.

Co teraz mam robić, myślę, co mam robić z szaloną staruszką i rozbójnikiem ? A czas płynie. Zaledwie to sobie pomyślałam, kiedy Udałoj zarżał. Stał przecież cały czas zaprzężony. Zarżał Udałoj, jak gdyby chciał mi powiedzieć : — Chodź, Tania, jedźmy prędko do dobrych ludzi po pomoc. — Patrzę, świt już blisko. Niech będzie tak jak chcesz, myślę. Dziękuję ci, Udałoj, dobrze radzisz, masz rację, lećmy. Zaledwie to pomyślałam kiedy nagle słyszę niby głos jakiś z lasu : — Zaczekaj, nie śpiesz, Tania, zrobimy to inaczej. Znów nie jestem sama w lesie. Jak głos rodzzonego koguta, odezwał się gwizdek znajomego parowozu. Po gwizdku zaraz go poznałam. Parowóz ten stoi zawsze pod parą w Nagornej, nazywają go popychajką, bo towarowe pociągi popycha na rampie. A teraz jechał mieszany pociąg, każdej nocy o tej godzinie przejeżdżał. Słyszę więc, że mnie znajomy parowóz woła z dołu. Słyszę, i serce mi bije. Czyżbym, myślę, razem z ciocią Marfą rozum straciła, że zwierzęta i nawet nieme maszyny ze mną jasnym, rosyjskim językiem rozmawiają ?

Ale nie czas było myśleć, pociąg był już blisko. Chwyciłam latarnię, świtać dopiero zaczęło, i jak oparzona pobiegłam na szyny. Stałam po samym środku między szynami i macham latarnią tam i z powrotem.

Co tu dalej mówić. Zatrzymałam pociąg. Na szczęście z powodu wiatru jechał powoli, po prostu stępa. Zatrzymałam pociąg, znajomy maszynista wygląda z budki przez okno i pyta, ale wiatr znosi słowa, nie słyszę. Krzyczę do maszynisty : napad na kolejowy posterunek, zabójstwo i grabież, rozbójnik w domu, pomóżcie towarzyszu, potrzebna prędko pomoc. A kiedy to mówię, krasnoarmiejcy z ciepłuszek jeden za drugim zeskakują na plant. Pociąg był wojskowy. Krasnoarmiejcy więc wychodzą na plant, pytają o co chodzi, dziwią się, że pociąg w lesie na rampie zatrzymał się w nocy i stoi.

Dowiedziawszy się o wszystkim, wyciągnęli rozbójnika z piwnicy. Piszczął cieńszym głosem niż Pietia. — Zlitujcie się,

mówił, dobrzy ludzie, nie gubcie, więcej nie będę. Wyciągnęli go na szyny, ręce i nogi do szyn przywiązali i przez środek ciała, na żywca, przeprowadzili pociąg. Samosąd.

Do domu po ubranie nie wracałam, tak mi było straszno. Weźcie mnie, prosiłam, do pociągu. Wzięli mnie ze sobą. Potem, nie kłamiąc, pół ziemi obcej i naszej objechałam z bezprizornymi. Gdzie ja tylko nie byłam ! Po moim gorzkim dzieciństwie zaznałam swobody i szczęścia ! Co prawda, nie obeszło się to bez biedy i bez grzechu.

Ale to wszystko było później, i o tym opowiem innym razem. A wówczas urzędnik kolejowy wysiadł z pociągu, poszedł do stróżówki, zabrał mienie skarbowe i wydał polecenia, aby urządzić jakoś ciocię Marfę. Mówią, że w domu wariatów umarła obłąkana. Ale inni mówią, że poprawiła się i wyszła ze szpitala.

Po tym opowiadaniu Gordon i Dudorow przechadzali się w milczeniu po trawie. Wreszcie nadjechała ciężarówka i niezgrabnie skręciła z szosy na polankę. Gdy zaczęto ładować na nią skrzynie, Gordon zapytał :

— Rozumiesz teraz, kim jest ta bieliźniarka Tania ?

— To jasne.

— Jewgraf zajmie się nią. — I po chwili milczenia dodał :

— Tak było już kilka razy w historii. To co w pomysle było idealne, podniosłe, stawalo się grube w miarę realizacji. Tak Grecja stała się Rzymem, tak rosyjskie Oświecenie stało się Rewolucją. Weź, na przykład, słowa Błoka „My dzieci strasznych lat Rosji” i zaraz zobaczysz różnicę epok. Kiedy Błok to pisał, należało jego słowa rozumieć przenośnie, figuralnie. Dzieci nie były dziećmi, ale potomkami duchowymi, inteligencją, strachy zaś nie były straszne, lecz wieszczce, apokaliptyczne, a to są różne rzeczy. To co było wówczas przenośnią należy dziś rozumieć dosłownie ; dzieci są dzieci, strachy są straszne. Na tym polega różnica.

5

Minęło jeszcze pięć czy dziesięć lat. W cichy letni wieczór Gordon i Dudorow siedzieli znów razem przy otwartym oknie, gdzieś na wysokim piętrze, nad nieprzejrzanym obszarem wieczornej Moskwy. Przeglądali zebrane w jednym zeszytcie przez Jewgrafa utwory Jurja, które czytali już nieraz, i których połowę umieli na pamięć. Czytając zamieniali refleksje i oddawali się rozmyślaniom. Tymczasem ściemniło się, trzeba było zapalić lampę.

Leżąca przed nimi Moskwa, rodzinne miasto autora i miejsce większej części jego przygód, wydawała się im teraz nie teatrem tych wypadków, lecz główną bohaterką długiej powieści, do której końca, z zeszytem w ręku, zbliżyli się tego wieczora.

Jakkolwiek świt i wyzwolenie, których oczekiwano po wojnie, nie przyszły razem ze zwycięstwem, przeczucie wolności przenikało wszystkie lata powojenne i było ich jedyną treścią historyczną.

Siedzącym przy oknie starym przyjaciółom wydało się, że ta swoboda ducha już nadeszła, że właśnie tego wieczora przyszłość stała się dotykálną rzeczywistością na ulicach leżącego u ich stóp miasta, i że oni sami w tę przyszłość wstąpili i od tej chwili w niej się znajdują.

Pogodne, tkliwe uczucie spokoju o losy tego świętego miasta i całej ziemi, o losy żywych jeszcze uczestników tej historii i ich dzieci, przeniknęło ich jak cicha, radosna muzyka, rozplywająca się daleko dokoła. I znajdującą się w ich rękach książka zdawała się o tym wiedzieć i utwierdzać ich w tych uczuciach.

R o z d z i a ł X V I I

W I E R S Z E J U R J A Z I W A G O

1. H A M L E T

*Hałas ścichł. Wychodzę na estradę,
w drzwiach stanąłem, wsparty o futrynę.
Zastłuchany, chwytam echa blade
przyszłych zdarzeń, nadchodzących czynów.*

*Mroczna noc utkwiała we mnie oczy,
wszystko widzi, wszystko wie i liczy.
Jeśli tylko możesz, Abba Ojczy,
odejm ustom ten kielich goryczy.*

*Twoja wola dobrze mi jest znana
i tę rolę zagrać jestem zdolny.
Ale teraz idzie inny dramat
i tym razem zechciej mnie uwolnić.*

*Lecz już nie odwróci nikt wyniku
i za aktem akt się musi stawać.
Sam przechodzę w tłumie obłudników.
Życie przeżyć — jakże trudna sprawa.*

2. MARZEC

Słońce grzeje do siódmego potu,
huczy parów — oszalały pijak.
Jurna wiosna tyle ma roboty
że jak tęga dziewczka się uwija.

Śnieg na niedokrwistość zachorował,
w sinych żyłkach już się nie odnowi.
Z krowich obór dymi siła zdrowa
i zębate widły dyszą zdrowiem.

Ach, te noce, ach, te dni i noce !
Werblem kropel chwali się południe.
Każda strużka szumi i bełkoce,
coraz bardziej lód u dachów chudnie.

Stajnie, chlewy — wszystko dziś na ścieżaj !
Ptaki owies dziobią smakowicie
i w powietrzu świeży gnój uderza, —
wiosny winowajca i żywiciel !

3. WIELKI TYDZIEŃ

Jeszcze dokoła mgieł zasłony.
Tak jeszcze w świecie wcześniej
i w niebie płoną gwiazd miliony
w takiej pożodze roziskrzonej,
że ziemia chętnie by w czas ony,
pod szmer pacierzy monottonnych
spędziła święta we śnie.

Jeszcze dokoła mgieł zasłony :
tak wcześniej jest na świecie,
że w wszystkie cztery świata strony
legł jako wieczność plac uśpiony
i zanim wszędzie świt zdumiony,
przemienie tysiąclecie.

*Tak zimno ziemi obnażonej,
że nie rozumie po co
uderzać w Rezurekcji dzwony
i śpiewać późną nocą.*

*Bo Wielki Czwartek zanim minie,
nim dojdzie do Soboty,
skłębionym wirem na głębinie
rwie woda w drzew wykroty.*

*A las ubogi i obdarty
w tej Męki czas żałosny,
jakby na modlitw nocne warty
stały tłumem sosny.*

*I w mieście, w murów smutnych cieniu,
zebrane jak na wiecu,
drzewa przy cerkwi ogrodzeniu
golizną w mroku świecą.*

*I przerażeniem wzrok objęty
i zroszająca trwoga.
Płoty ogrodów rwą się w szczęty,
dygocą ziemi fundamenty :
dziś pogrzeb Pana Boga.*

*Żalobnym pieniom są przytomni
i widzą światła, rzędy gromnic,
w łzach lica rozmodlone —
a wtem procesją idzie lud
pod rozelkanym dzwonem
i brzozy u cerkiewnych wrót
już muszą zejść na stronę.*

*Przechodzi pochód w nocy owej
i zbija się w gromadę,
wnosząc z ulicy w mrok surowy
wiosnę i gwar wiosennej mowy,
i smak kadzidła, do połowy
zmieszany z nocnym czadem.*

*Zanosi mokrym śniegiem marzec,
kalekom rozsypuje w darze,
jakby ktoś wyszedł od ołtarza,*

skrzynię otworzył i nędzarzom
aż do dna skarb rozdzielił.

Nim zejdzie świt na ludzką marność,
trwa rzewny płacz w kościele.
I przez noc całą w pustkę czarną
garną się cicho ku latarniom
odgłosy Ewangelii.

Aż świat ucichnie w szczęściu niemy,
bo wiosna od zarania,
bo wnet w pogodny dzień wejdziemy
i śmierć już można będzie przemóc
wysiłkiem zmartwychwstania.

4. B I A Ł A N O C

Czas się przyśnił, tak odległy, tak inny...
Stary dom i ta noc petersburska...
Córka skromnej ziemiańskiej rodziny,
tyś na studiach. Tyś ze stepu, od Kurska.

Jesteś wdzięczna, więc masz powodzenie,
lecz ta biała noc jest teraz nasza.
Oto w oknie mrocznym przytuleni,
w dół patrzymy z twojego poddasza.

Patrz — latarnie niby ważki gazowe
wziął poranek w niepewne ramiona.
Coś ci bzdurzę w niewyraźnej mowie
i me słowa są jak dal uśpiona.

I objęła nas lękiem takim samym
tajemnicy nieodgadłej wierność,
jak to miasto, które panoramą
rozrzuciło się za Newą bezmierną.

Tam daleko, w starych uroczyszczach
w pośród nocy wiosennej, jedynej
słowik stawia najstodziej i świszczę,
ogłuszając puszczańskie dziedziny.

Głos ptaszyny się trzęsie i kląska,
oszałały od szczęścia i szlochu,
w mroczną gęstwę, po drżących gałązkach
zachwyconym się wdziera popłochem.

Wędrownicą do tych stron bosonogą
noc się skrada pod płótem widmowym
i spod okna tąż samą drogą
idzie szmer podsłuchanej rozmowy.

W słów szeleście, co dotąd nam śni się,
po ogrodach chronionych parkanem
znów gałęzie jabłonek i wisien
przystrajają się kwieciem różanym.

I po chwili drzew gromada biała
na gościńcu widmowo się ściele,
jakby raz już ostatni żegnała
białą noc, co widziała tak wiele.

5. WIOSENNE BEZDROŻE

Zachód ogniście się dopalał
i w głuchym borze grzmiały echa.
Dzikim bezdrożem na Urału
samotny człowiek wolno jechał.

Śledziona grała w końskim boku,
jeździec wierzchowca puszczał wolniej.
Wtórząc człapaniu dźwięcznych podków,
szumiała woda z górskich sztolni.

A kiedy w stępa znów przechodził
i cugle puszczał, to po skałach
nieposkromiona moc powodzi
swe grzmiące gromy przetaczała.

Głazy kruszyły się o krzemień,
ktoś w mroku śmiał się, rzewnie śpiewał,

padwały w wirów gniewne ciemnie
z korzeniem wyrwane drzewa.

A pod zachodu rudą zorzą
gdzie las się czerni tajemniczy,
jak rozszalały dzwon na pożar
wychodził z siebie śpiew słowiczy.

Gdzie iwa chusty swoje wdowie
nad wąwóz chyli, rozłożysta,
jak starodawny zbójnik-słowik
na siedmiu dębach grzmiał i świstał.

Na jaki żal, jaką pokutę
namiętny gwizd ptaszęcy płynie ?
Kogo myśliwskim grubym śrutem
rozstrzeliwuje po gęstwinie ?

Zdawało się : wybiegnie zjawą
z obozowiska zbiegłych z turmy
iść na spotkanie w gęstwie rdzawej
tutejszym partyzantom chmurnym.

Niebo i las i górskie skłony
słuchały, co ten wybuch znaczy
w jednakiej mierze połączonych
szaleństwa, szczęścia i rozpacz.

6. WYZNANIE

Powróciło życie równie dziwnie,
jak urwało się niespodziewanie.
Jak i wtedy, w tej samej godzinie,
dom ten sam i to samo mieszkanie.

I ciż ludzie i troski te same,
dotąd pożar zachodu nie wystygł, —
jak i wtedy go zmiążdżył na bramie
nagłej śmierci wieczór uroczysty.

Też kobiety w przyodziewku lichym
późną nocą buciki zdeptują.
I tak samo potem mroczne strychy
na żelaznych dachach je krzyżują.

Oto któraś udręczonym krokiem
z mroku pół-piwnicy się wynurza ;
przestąpiwszy wolno próg wysoki,
długo idzie po bruku podwórza.

Znów szykuję słowa próżnych zaklęć,
wszystko jedno już, na co czekamy.
A sąsiadka, okrążywszy zakręt,
znów nas w nocy pozostawia samych.



Nie płacz i nie czyni żadnych prób,
do ust nie podnoś ręki.
Rozerwiesz ten przyschnięty strup
wiosennej serc udręki.

Myśmy jak druty, w których prąd
przebiega — dłoń więc odejm.
Bo nie wiadomo jak i skąd
wplączemy się w przygodę.

Te lata czas odrzuci wstecz,
zapomnisz to, co było.
Kobietą być — ogromna rzecz,
i bohaterstwem — miłość.

A ja przed cudem twoich rąk,
ramion i szyi wdzięcznej
jakem przed laty kornie kląkł,
tak dotąd jeszcze klęczę.

Lecz jakby mnie nie skuwał mrok
kręgiem z ciemnego srebra,
silniejszy ku wolności ciąg
i żądza nowych zerwań.

7. LATO W MIEŚCIE

*Te rozmowy stłumione
i w pośpiechu zawziętym
włosy wzwyż podniesione,
ponad karkiem upięte.*

*Ciężki grzebień i ona,
wzrok spod włosów się mroczy,
głowa w tył odrzucona
z ciężkim żniwem warkoczy.*

*Noc w ulicach i upał
wróży burzę lub sotę,
ludzie spiesząc się, tupią,
uciekają z powrotem.*

*Krótki grzmot rozdarł ciszę,
zagrzmiał ostro i skończył,
już się z wiatrem kołysze
nadokienna zasłona.*

*Bezruch miasto przydławił,
lecz jak przedtem jest parno.
I połyski błyskawic
ciągle w niebo się garną.*

*A gdy świt wstanie w górze
i w światłości i śpiewie
zacznie suszyć kałuże
po wieczornej ulewie,*

*wonne lipy zgrzybiałe,
całe w kwieciu i rosach,
iż się dziś nie wyspały,
na świat patrzą z ukosa.*

8. W I A T R

Oto umarłem, a ty żyjesz.
A wiatr żalosnym płaczem śpiewa
i rozhuśtuje dom i drzewa.
I nie nad jedną się rozpętał,
lecz naraz w wszystkie sosny bije
i w całą dal nieogarniętą,
jak gdyby mknąc na łeb na szyję
szumiące żagle rwał okrętom.
I zrywa się, i znów i znów,
a nie z wściekłości, nie z zachcianki,
lecz by w żalości dopaść słów
dla twojej rzewnej kołysanki.

9. C H M I E L

W pośród bluszczem obwitych wiklin
przituleni trwamy w dzień słotny.
Wspólny płaszcz ramiona nam przykrył
i twą kibić me ręce oplotły.

Nie, nie tak. Te wikliny wysokie
są nie bluszczem obwite, lecz chmielem.
No, to pozwól, na całą szerokość
wspólny płaszcz pod sobą rozścielim.

10. B A B I E L A T O

Liść porzeczek — szorstki i włochaty.
W domu śmiech, że aż szyby drżą cichcem.
Tam szykują ostre marynaty,
przyprawiają i kwaszą i pichcą.

Las zarzuca ten szum, jak na kpiny,
na urwiska, na zbocza, na parów,

gdzie spalone w słońcu orzeszyny
niby ogniem polnego pożaru.

Droga idzie wqwozem opodal,
suche pniaki całe w zgniłych łatach ;
i żebraczki-jesieni nam szkoda,
gdy listowie do jaru wymiata.

A i tego, że w świecie jest prościej,
niżli chytróść uważa niewczesna,
i że w wodzie tonące zarośla
i że wszystko w naszym życiu kres ma.

Że daremnie brwi w proteście zginać,
gdy już płomień zdjął resztki nadziei,
a jesienna biała pajęczyna
lepkim kopciem do okien się klei.

Przejście z sadu przez złamany parkan
zagubiło się w brzózek gęstwinie.
W domu śmiech i wrzawa gospodarska
i z oddali takąż wrzawa płynie.

11. WESELE

Dom radością gości dzwoni,
tyle tego grania ;
będzie młodym głos harmonii
śpiewać do świtania.

Lecz za drzwiami, lecz w komorze
gadanina gwarna
ścichła ; — widać, sen ich zmorzył,
w gęsty mrok zagarnął.

A o świecie, gdy najsmaczniej
śpi się, śpi się krzepko,
znów harmonia grać jak zacznie,
rąbiąc na odsiebkę.

I rozsypał na harmonii
gracz na radość łasy
brzęk koralu, bicie w dłonie,
gwarne obertasy.

I ten śpiew — że ino, ino,
tak ci raźnie grają! —
wprost do śpiących pod pierzyną
wdał się, nie pytając.

Jedna śpiewka w szumie, świstcie,
jak śnieżycą biała,
znów pawicą posuwicie
w tańcu oszalała.

Główkę w lewo przechyliła,
kiwa rączką prawą
i puściła się, aż miło,
żwawo, żwawo, żwawo!

Tańczą, krzeszą, krzyk, aż z nagła
tupot, śmiech i hałas
gdzieś przepadło wszystko w diabły,
z wiatrem się rozwiało.

Obudziło się podwórze.
Spraw powszednich echo
już rozmowom głośno wórzy
i wybuchom śmiechu.

Siwych kłębów gęstą zgają
w niebo coraz głębiej,
z gołębników uciekając,
niosły się gołębie.

Jakby śladem za weselem,
co już znika w dali,
z życzeniami latek wielu
w pogoń je wystali.

Życie też jest tylko chwilą,
wnet się w mrok prześliźnie,
gdy z nas każdy się rozpyła
innym w darowiźnie.

Tylko tą weselną wrzawą,
gwarem natarczywym,
tylko pieśnią, tylko zjawą
i gołębiem siwym.

12. J E S I E Ń

Już odjechali domownicy,
nikt z bliskich ręki mi nie poda,
otośmy zwykli samotnicy :
ty, moje serce i przyroda.

W samotnym domu z tobą mieszkam,
bezludny stoi gąszcz dąbrowy.
Jak w owej pieśni, wszystkie ścieżki
pozarastały do połowy.

I każdy z nieciosanych bali
spogląda na nas z żalem niemym.
Myśmy do walki się nie rwali,
lecz i przed zgubą nie umkniemy.

Ja — z książką w rękę, ty — z robótką
siądziemy aż po brzask przedranny,
noc się nam wyda nazbyt krótka
dla pocałunków nieustannych.

Coraz to pyszniej, coraz czulej
sypcie się, liście, w szumnej ciszy,
aby dzisiejszym gorzkim bólem
nad żal wczorajszy się wywyższyć.

Ach, miłość, pociąg i uroda !
Rozrzućmy się w szeleście września !
Jesieni się bez reszty oddaj !
Oszalej, albo zamrzyj we śnie !

Jak las, gdy zrzuca swe listowie,
tak samo stajesz obnażona

*i z tą jesienią w szumnej zmowie
powolna słaniasz się w ramiona.*

*Tyś zguba, po cóż więc się wzdragać,
gdy życiu sensu niedostaje?
A treścią piękna jest odwaga —
i właśnie to nas łączy wzajem.*

13. B A J K A

*W czasach tajemniczych,
w starodawnym kraju
jechał konny rycerz
stepem, po rozstaju.*

*Na bój go czekali,
śpieszył się przez burzan,
a już las w oddali
mroczny się wynurzał.*

*Mysłą coraz cięższą
w serce wciąż go bodło:
— Wodopoju strzeż się,
popraw swoje siodło!*

*Jeździec nie posłuchał,
nie przeczuł, co będzie,
i na leśny kurhan
wybiegł w całym pędzie.*

*Zawrócił z kurhanu
połem, lasem, jarem,
wyminał polanę,
zabrnął w puszcze starą.*

*Potem w ścieżkę skręcił
i, nim drogę pojął,
wyszedł na zwierzęcy
ślad do wodopoju.*

Nie zgadł i nie poczuł
złego w lesie tropu
i konia ze zbocza
wywiódł na wodopój.



Wejście do pieczary
tuż nad samym brodem.
Płomień spod wiszaru
krwawił rzeczną wodę.

I w siarczanym dymie,
szaro-purpurowym
echa szły olbrzymie
w bór i na parowy.

Na zew, co zadzwonił
wśród puszczańskie głuszy,
jeździec skreślił koniem
i z pomocą ruszył.

I ujrzały oczy
przed pieczarą oną
łeb i ogon smoczy,
paszczę rozdziawioną.

Żar i dym siarczany
smok z tej paszczy miotał,
ciało pięknej panny
dusząc w ciężkich splotach

Łbem na długiej szyi,
niby końcem bicia,
ruszał i wywijał
u panny oblicza.

Był to zwyczaj stary :
brankę cudno-oką
składać na ofiarę
przed jaskinią smoka.

W starodawną porę
podły układ stanął,

że się przed potworem
tak okupywano.

Skrepowane ręce,
grozi ślepiów para.
Kona w strasznej męce,
spełnia się ofiara.

Jeździec spojrzął w niebo,
odmówił modlitwy
i kopią przed siebie
złożył się do bitwy.



Przymknięte powieki.
Górą mkną obłoki.
Wody. Brody. Rzeki.
Lata i epoki.

Jeździec w hełmie zbitym
padł, zraniony w boju.
Wierny koń kopytem
grzebie w niepokoju.

Zabitej szkaradzie
krew się toczy z gardła.
A rycerz w bezwładzie,
panna — jak umarła.

W górze siność rzewna,
światłość drga w przestworze.
Któż to jest? Królowa?
Czy księżniczka może?

Od szczęścia nadmiaru
leczą łzy strumieniem,
lub w objęciach czarów
w snu zapada cienie.

Do wierzchowca grzywy
podrywa się, zdrowy,
lub od krwi upływu
nieprzytomny znowu.

*Lecz ich serca biją.
I to on, to ona
wstają, by po chwili
upaść w snu ramiona*

*Przymknięte powieki.
Górą mkną obłoki.
Wody. Brody. Rzeki.
Lata i epoki.*

14. SIERPIEŃ

*Prawdzie obietnic swych przyświadczyć
dziś weszło słońce wczesnym ranem
i od firanki aż po tapczan
zalało pokój mój szafranem.*

*Powłokło rozpaloną ochrą
sąsiedni lasek, skraj przysiółka,
mą pościel i poduszkę mokrą,
i mur za biblioteczną półką.*

*I przypomniałem nagle, czemu
wilgotna na poduszce smuga.
Przyśniło się, że umarłemu
szliście ostatnią dać przysługę.*

*Z jesiennej ciszy spokój czerpiąc,
gromadkę szliście w lasu cieniach.
I ktoś przypomniał : szósty sierpnia
to dzień Pańskiego Przemienienia.*

*Zazwyczaj jakby jarkie słońce
dnia tego wstaje na Taborze
i od jesieni jaśniejącej
nasz wzrok oderwać się nie może.*

*Olszynką, obnażoną z liści,
w las, co na grobach bujnie wyrósł,*

w czerwono-złotej łunie szlście,
jak gdyby z miodu i z imbiru.

A niebo tu sąsiadywało
z szczytami lasu — a las ucichł.
I z dali wciąż nawoływało :
nieustający śpiew koguci.

Jak geometra, kiedy glebę
wymierza, w twarz mi patrząc prosto,
w gęstwinie śmierć stanęła, żeby
wykopać grób na miarę wzrostu.

I wszystkim jasno się przywidział
czyjś głos, spokojny wśród zamętu.
To głos mój dawny jasnowidza
dźwięczał, rozkładem nie dotknięty :

„Zegnaj, lazurze Przemienienia
i łuno, co spoglądasz w wieczność.
Nie odmów ust kobiecych tchnienia
w godzinę życia ostateczną.

Zegnajcie, lata, w wściekły przetarg
wtrącone. Oto znów w potrzebie
wyzwanie rzucasz im, kobieta !
Jam polem bitwy był dla ciebie.

Zegnajcie, skrzydła w locie proste,
uparcie mknące w wichrze Bożym,
i obraz świata, który-m dostał,
by magią słowa go przetworzyć”.

15. ZIMOWA NOC

Dęło zamiecią w czystym polu,
w skraj świata lecąc.
Płonęła świeca na mym stole,
płonęła świeca.

*Jak w locie ciem osleptych chmara
pędzi na płomień,
tak śnieg ku oknom izby starej
niósł się łakomie.*

*Zaczął na szybach szron powoli
kryształy wzniecać.
Płonęła świeca na mym stole,
płonęła świeca.*

*Na pułap, światłem jej obłany,
kładły się cienie,
nogi i dłonie skrzyżowane,
jak przeznaczenie.*

*I dwa trzewiczki opadały
na dół ze stukiem.
I płakał воск przez wieczór cały
na bezład sukien.*

*Zamieć kręciła się w półkole,
jak na łeb z pieca.
Płonęła świeca na mym stole,
płonęła świeca.*

*I z kąta chłodem wiało na nią,
ktoś z mroku patrzył.
Pokusa skrzydła, jak archanioł
wznosiła na krzyż.*

*Przez cały luty wicher dowoli
śniegi rozmiecał.
Płonęła świeca na mym stole,
płonęła świeca.*

16. R O Z DZIAŁ K A

*Na progu stanął, skamieniały,
i nie poznaje domu,*

Odeszła, jakby uciekała
z popłochu i rozgromu.

Chaos w mieszkaniu go otoczył.
Lecz klęski, której uległ,
nie mogą objąć łzawe oczy,
przyćmione ostrym bólem.

Szum w uszach spocząć nie pozwala.
Trwa w śnie, czy w niepamięci?
I w głowie wciąż o morskich falach
natrętna myśl się kręci.

Bo kiedy mrozu szklista władza
widok na świat przyprósza,
tym bardziej tępy żal się zgadza
z bezbrzeżną morską głuszą.

Bo wzrokiem każdy rys w jej twarzy
z takąż lubością łowił,
jak bliskie są zarysy plaży
morskiemu przyptýwowi.

Jak w silnej burzy zawierusze
przydrożne toną trzciny,
tak na dno same jego duszy
zapadł jej kształt jedyny.

W epoki bezlitosnej cieniach,
wśród prób i udręk niemych
wzburzona fala przeznaczenia
przyniosła ją ku niemu.

Wszystkie przeszkody wymijając
i tyle niebezpieczeństw,
ta fala niosła ją z bezkraju
pod objęcie jego pieczę.

A teraz sam na progu stoi,
gdzie ona, nie wie nawet;
rozłąka zgryzie ich oboje,
tęsknota ciało strawi.

*Stoi, spojrzeniem wkoło wodzi
przez cały dzień bez mała
i widzi : w szafach i komodzie
wszystko przewracała.*

*W tym rozgwardiaszu i nieładzie
błądzi — a w oczach piecze
i wolno znów do szuflad kładzie
porozrzucane rzeczy.*

*I pochylony nad robótką,
w której tkwi igła dotąd,
widzi ją znów na chwilę krótką
i dławi się tęsknotą.*

17. S C H A D Z K A

*Śnieg zasypuje drogi,
szyby bielmem powleka.
Chcę rozprostować nogi,
a ty za progiem czekasz.*

*W letnim paletku, sama,
bez kapelusza, blada,
stoisz zdenerwowana
i śnieg garściami zjadasz.*

*Ciemne płoty i drzewa
w mgłę uchodzą zmarznięte.
Śnieg samotną owiewa,
na rogu przykucniętą.*

*Z chusteczki woda spływa
w twój podniesiony rękaw,
kropelki blaskiem szkliwa
drżą na włosach i rękach.*

*A jasnych włosów zwitek
rozjaśnia niby świeczką*

pałto wiatrem podszyte,
twarzyczkę i chusteczkę.

W rżęsach — ten śnieg wilgotny,
w oczach — żałosne nuty,
i twój obraz samotny
z jednej bryły wykuty.

Jak gdyby ostrą stalą —
czy ja ją hartowałem? —
ktoś mi ciebie wypalił
w moim sercu zbolałym.

I w serca tego sedno
twych liczek zapadł obraz
i już mi wszystko jedno,
że ludzkość jest niedobra.

I noc ta ośnieżona...
już nie wiem, czy się liczy...
Gdzie byłem ja, gdzie ona?
Nie można rozgraniczyć.

Kto my i skąd jesteście?
Kiedy się to zdarzyło?
Więc pod uwagę weźmy,
że nigdy nas nie było.

18. GWIAZDA NARODZENIA

Wichr mroźny i burza,
step skręcał się w męce.
Zięb chwycił Dzieciątka uśpione w stajence,
w jaskini u wzgórza.

Wół nieco ogrzewał je swoim sapaniem.
Domowe zwierzęta
patrzyły, jak święta
głowina na miękkim uściła się sianie.

Strząsając z kożuchów ziarenka jęczmieni
i słomę barłogu,
w zdumieniu i z trwogą
patrzyli w dal nocną pasterze wpółsenni.

A tam było pole, cerkiewka i w jarze
srebrzyste tumany,
wóz w śnieg zakopany
i niebo gwiazd pełne nad wiejskim cmentarzem.

A obok, nim czas obiecany zadnieje,
jak skromny kaganek
w okienku zawianym
już gwiazda mrugała po drodze w Betlejem.

I rosła jak stóg, gdy rozпали się szumnie,
jak nocna pożoga
świecąca na drogach,
jak chutor w płomieniu i pożar na gumnie.

Wznosiła się stertą płonąca przed Panem,
jak wici skrzydlate
leciała nad światem,
co strwożył się wejściem tej gwiazdy nieznanej.

I znaki tajemne ścieliły się za nią
w rosnącej pożodze
i trzej astrologi
śpieszyli w zdumieniu na ogni wezwanie.

Wielbłądy stąpały i stadkiem niedużym
osiołki w uprzęży — co drugi, to mniejszy —
drobnymi kroczkami schodziły ze wzgórza.

I z mroków dziejowych jak wichr się wynurzał
czas przyszłych pokoleń, od łuny jaśniejszy.

Wstawały stulecia i tłumem szły gwarnie
marzenia i myśli, pragnienia i dziwy,
legendy i czary i twórcze porywy,
święteczne choinki, zabawy dzieciarni ;
świec odbłask złotawy, płynący na głowy,
tańcuchy i jabłka, złożone orzechy,
uciecha przy drzewku i rzewne uśmiechy...

...Wciąż srożej i gniewniej dął wichur stepowy...

Olchami szamotał zły dech zawieruchy,
lecz widok na groblę częściowo odkrywał.
Wśród czarnych gniazd szpaków i drzewnych pni suchych
jak szły brzegiem stawu gromadką skwapliwą
wielbłądy i osły, dostrzegły pastuchy.
— Hej, bracia, biegnijmy popatrzeć na dziwo! —
wołali, baranie wdzwiewając kozuchy.

Wnet gorąc ich objął, że śniegiem szli szparko.
Jaśniejąc wśród mroku przed wzrokiem gromady,
za parkan stóp bosych przywiodły ją ślady.
Sierść jeżąc, jak gdyby na płomień ogarka
warczały owczarki. Świt zbliżał się blady.

Noc mroźna jak bajka, gdy z ludźmi się zderza.
I ktoś, cały w szronem oszklonej śrzedzie,
coraz to do tłumu dołączał po drodze.
Pies każdy się lękał i zęby wyszczerzał
i biegł do pasterza i jeżył się w trwodze.

W tej samej godzinie i miejscu, jak we śnie
szło kilku aniołów, wmieszanych w gromadę.
Choć nikt ich nie dojrzał, bo szli bezcielesnie,
śnieg przejściu ich świadczył jarzącym się śladem.

Był świt. Ciemne cedry błękitem poplamił.
Tłum stał ramie w ramie i głowa przy głowie.
— A wy co za jedni? — spytała Maryja.
— My naród pastuszy i nieba posłowie,
pokłonić się przyšli-my Jemu i Tobie.
— Wejść wszyscy nie mogą! Zaczekać przed drzwiami!

Mgła szara, jak popiół, spływała na mrowie.
I jezdni i piesi czekali w rozgwarze,
klócili się, klęli kudłaci owczarze.
W słończonej przy studni zwierzęcej otarze
ryczały wielbłądy, wierzgały osłowie.

Był świt. Strącał gwiazdy, poblakły i szary,
że gasły popiołem na nieba równinie.
I z tłumu rojnego Trzech Mędrców jedynie
Maryja wpuściła do wnętrza pieczary.

On w żłobie dębowym, świetlisty trwał w półśnie,
jak promień księżyca w drążonym pniu drzewa.
By, nagi, tej nocy na zimnie nie uświerkł,
osiółek nań chuchał i wół go ogrzewał.

Stanęli, patrzyli w szarości przedrannej.
szeptali, już chcieli powoli podchodzić,
gdy nagle ktoś w mroku wystąpił przed ścianę
i mędrca od żłobka swą ręką odgrodził,
a ten wzrok obrócił: to z progu na Pannę
światliście patrzyła się gwiazda Narodzin.

19. Ś W I T

Nim powiał wicher w wojennej dobie,
tyś wszystkim był w mym życiu całym.
Lecz przez ten groźny czas o tobie
najdalszej wieści nie słyszałem.

Aż poprzez lat wzburzonych zamęt
twój nocny głos mnie znów zatrwożył
Długo czytałem twój testament
i znowu-m, jak z letargu, ożył.

Do ludzi pragnę, razem z tłumem,
wszystko bym rozniósł i rozwalił.
Utonął w świtu gwarnym szumie
i wszystkich zmusił, by klękali.

Ze schodów zbiegam, cały płonę,
jak gdybym po raz pierwszy wyszedł
na te ulice zaśnieżone,
na bruków obumarłą ciszę.

Wszędzie się budzą, światła płyną,
tramwaje huczą, gwar urasta —
i po upływie kilku minut
nie mogę poznać mego miasta.

Zamieć we wrotach siatkę wiąże
z gęstego śniegu w jednej chwili

*I wszyscy, by na czas nadążyć,
nawet śniadania nie dopili.*

*Za wszystkich czuję, za ich dzieje,
jak gdybym był w ich własnej skórze,
i, jak ten mokry śnieg, topnieję
i, jak ten ranek, czoło chmurzę.*

*Z tłumem, co biegnie w wszystkie strony,
wśród bezimiennych ludzi stoję.
Przez wszystkich jestem zwyciężony
i właśnie w tym zwycięstwo moje.*

20. C U D

*Z Betanii powoli szedł do Jeruzalem,
zawczasu trapiiony przeczuciem i żalem.*

*Kolczaste zarośla konały na skale,
nad nędzną lepianką stał dym nieruchomy,
sitowia nie drgnęły w jarzącym upale
i Morza Martwego bezwładne ogromy.*

*I gorycz swą z morską goryczą jednocząc,
z gromadą obłoków, co za nim się spieszą,
szedł pylnym gościńcem, przez wzgórza i zbocza,
by w mieście połączyć się z uczniów Swych rzeszą.*

*I w tym zamyśleniu wciąż było mu trudniej,
aż piołun rozjątrzył się smutkiem na polu.
On stał — z tych piołunem i polem po społu.
Miasteczko leżało pod znojnym południem.
Zmieszało się wszystko : pustynia padolu,
jaszczurki i upał, strumienie i studnie.*

*Szedł. Ujrzał : w pobliżu rósł suchy figowiec,
bezpłodny, jedynie gałęzie i liście.
Więc rzekł : „Oto sterczysz bez żadnej korzyści.
Dlaczego-żeś zdrętwiał i uwiądł, odpowiedz !*

Czczy jestem i pragnę, a tyżeś — kaleki
i gorsze niż z głazem jest z tobą spotkanie.
Bezpłodnyś, jak krzywda daremna, i na nic.
Więc takim jak jesteś pozostań na wieki”.

I dreszcz potępienia w konary się wtopił,
po drzewie skazanym przeleciał jak iskra,
figowiec się zajął i spłonął na popiół.

Och, gdyby gałęzie, listowie, korzenie
choć z chwili wolności zdołały skorzystać,
natura ten wyrok zdołałaby zmienić.
Lecz cud to jest Bóg — i na cud jakaż rada?
Gdy trwamy w popłochu, w rozbiciu, zwątpieniu,
zgubionych wśród zgiełku znienacka opada.

21. Z I E M I A

Nadbiegła wiosna z dali sinej
moskiewskie domy porozruszać.
Zza szafy mól za mołem prószy,
pełźnie po letnich kapeluszach —
i futra idą na spoczynek.

Powystawiane za futrynę,
doniczki dyszą kwiatów wonią —
lewkonią albo pelargonią.
W mrocznych pokojach światła gonią
i strychy pachną pajęczyną.

Ulica o wieczornej porze
z okiennicami wciąż gaworzy
i biała noc z zachodu zorzą
już się u rzeki nie rozminą.

I dobrze słyszeć w korytarzu,
jaka się w świecie sprawa waży,
i kto i o czym długo gwarzy
w przelotnej pogawędce z kwietniem.
On zna tysiące różnych zdarzeń
i tylu widział już nędzarzy,

*a zorza w niebie wciąż się jarzy —
i nikt powikłań tych nie przetnie.*

*Przestrachu z ogniem pomieszanie
tak na wolności jak w mieszkaniu,
aż wiatr w rozterce się zatracił.
Wierzbowych różg bezlistne drganie
i białych pączków dojrzewanie,
w oknie, na polu i majdanie.
i na ulicy i w warsztacie.*

*Dlaczegoż płacze dał w tumanie,
a gnój na polach tchnie goryczą?
Więc takie moje powołanie,
by iść przestrzeniom na spotkanie,
by ziemia do ostatnich granic
dziś się nie czuła samotniczo.*

*I póki wczesnej wiosny trwania
przyjaciół w domu mam od świtu.
A każdy wieczór — pożegnanie,
i uczta za testament stanie,
by umęczone miłowanie
rozgrzało ziąb ludzkiego bytu.*

22. Z Ł E D N I

*A kiedy w ostatnim tygodniu
do Jerozolimy nadchodził,
las palm ponad tłumem się podniósł
i grzmiały Hosanny w narodzie.*

*Lecz nie ma miłości w nich żywej,
dni groźniej nad głową się chylą,
ściągnęły się brwi pogardliwe —
i oto już koniec, epilog.*

*Niebiosa z ołowiu nawisły
nad gwarem bezmyślnym narodu,
a faryzeusze, jak lisy,
szukali fałszywych dowodów.*

*Na sąd, w zbiegowisku wzburzonym,
uliczne prowadzą Go męty ;
jak przedtem przez wszystkich sławiony,
tak teraz przez wszystkich wyklęty.*

*A tłuszcza, zebrana naokół,
patrzyła ciekawie ku wrotom ;
w napięciu czekali wyroku
i snuli się tam i z powrotem.*

*I szum się przelewał przez brzegi
i wieść podawano przedwcześnie.
Dzieciństwo, ucieczka i Egipt
wstawały w wspomnieniu jak we śnie.*

*Wspominał i myślą swą zaszedł
na szczyt i przystanął w tumanach,
gdzie władzą nad światem monarszą
kusiły Go usta szatana.*

*I huczną biesiadę i Kanę,
i cud nad zdumionym weselem,
i morza odmęty zdyszane,
co kornie pod stopy się ścielą.*

*I nędzną lepiankę bez dachu,
i schody do krypty cmentarza
i świecę przygasłą ze strachu,
gdy trup zmartwychwstawał Łazarza.*

23. M A G D A L E N A

I

*Zaledwie dzień kolejny ustał,
znów mnie nawiedza nocny szatan.
I znów drapieżnych wspomnień usta
krew z serca chłepcą — to zapłata
za dni szaleństwa i rozpusty,*

*gdy pieniądz mnie codziennie swatał,
a domem był zautek pusty.*

*Zanim cmentarny spokój nastał,
jedyne kilka chwil przede mną.
Lecz przedtem, cała w grzechu plastrach,
swój żywot, już zabrnąwszy w ciemność,
jako naczynie z alabastru,
tłukę i wiem, że nie daremno.*

*I gdzież bym teraz się podziała,
o, Mistrzu mój i Zbawicielu,
gdyby przez mrok i nocny hałas
dzisiaj mnie wieczność nie czekała,
jak nowy gość, wdziękami ciała
zwabiony, jeszcze jeden z wielu.*

*Lecz powiedz : czym urągowisko
i śmierć i piekło w dusznym dymie,
jeśli-m na oczach zbiegowiska,
jak gałąź z drzewem, z Tobą z bliska
w tęsknocie zrosła się olbrzymiej.*

*I kiedy stopy Twoje, Chryste,
czule opieram o kolana,
być może, z chwili tej korzystam,
by się nauczyć kształtu krzyża,
i wraz z Twym ciałem, zapłakana,
już się ku dniu pogrzebu zbliżam.*

24. M A G D A L E N A

II

*Krzętanina w domu w przeddzień święta.
Chroniąc się przed ludzkim gwarem, Chryste,
zachwycona, prawie wniebowzięta,
myrrą stopy Twe obmywam czyste.*

*Szukam — gdzież podziały się sandały? —
ani dojrzą załzawione oczy.*

Rozwiązały się, na twarz pospadały
pasma luzem puszczonych warkoczy.

Otom wparła nogi Twe w podolek,
okręciłam perłę sznurem dźwięcznym,
biję o nie zapłakany czołem,
wtulałam je we włosy, jako w ręcznik.

Całą przyszłość widzę tak dokładnie,
jakbyś ją na miejscu dłonią spętał.
Przepowiadać teraz mogę snadnie,
jasnowidztwa mocą ogarnięta.

Jutro najstraszliwszy dzień nastanie,
przerażonych nas przydusi ciemność,
ziemia zadygoce pod stopami,
jakby litowała się nade mną.

Zbrojny kondukt ku Golgocie ruszy,
tupot jeźdźców i już zgon się zbliża —
jak powietrzna trąba w zawierusze,
będzie lecieć w niebo znamię krzyża.

Do Twych stóp przebitych skroń pochylę,
jak dożyję do tej chwili, nie wiem.
Nazbyt wielu ręce rozrzuciłeś,
by ich objąć na męczeńskim drzewie.

I dla kogóż w świecie tyle siły,
którą się wywyższa Twoja postać?
Gdzież się takie życia urodziły?
Gdzież są ludzie, by tej męce sprostać?

Ale miną trzy straszliwe doby,
w tak przepastnych grążąc mnie otchłaniach,
że dorosnę za ten czas żałoby
do Twojego, Chryste, Zmartwychwstania.

25. OGRÓD GETSEMAŃSKI

*Dalekich gwiazd nieosiągalna dziwność
i w ich światłości strone drogi zbocze.
Wieczorny trop pod Górę szedł Oliwną,
a niżej Cedron lśniąco nurty toczył.*

*Gdzie las wyzwolić się oku pozwolił,
niebo stanęło w Mlecznej Drogi łunie.
Srebrzyste widma niespokojnych oliw
usiłowały w powietrze się unieść.*

*A tam był ogród, nadziei ziemi chłopskiej.
Nim minął mur i wszedł w Ogrójca ciemność,
rzekł uczniom : „Oto pełny ciężkiej troski.
Zostańcie tutaj i czuwajcie ze mną”.*

*Już wyrzekł się bez walki, bez protestów,
jako przedmiotów, pożyczonych kiedyś,
potęgi cudów i władania gestów,
i uniósł ciężar ludzkiej, zwykłej schedy*

*I wydawało się z nocy ukrycia,
że się zapada w nicość świata całość.
Był wszechświat cały zbyt mały dla życia
i tylko tutaj życie się spełniało.*

*I, patrząc w mroki, pod bezdenną nocą,
nad niekończącą się nigdzie doliną,
upraszał Ojca, słoną krwią się pocąc,
aby ten kielich śmierci Go ominął.*

*Modlitwą duch w Nim wzmógł się i odmienił,
z ogrodu wyszedł po zwątpienia chwili.
Śpiący uczniowie, udręką zmęczeni,
odpoczywali wśród przydrożnych bylin.*

*Zbudził ich : „Pan Bóg was wybrał z szeregu
żyć razem ze mną. Wy śpicie bez wstydu
Przyszła godzina Syna Człowieczego.
Sam teraz w ręce grzeszników się wyda”.*

Zaledwie wyrzekł, óma zbrojnego luda,
rabusie, nieświadomi winowajcy,
światła i miecze, a na przedzie — Judasz,
na ustach niosąc pocałunek zdrajcy.

Porywczy Piotr brzeszczotem w oczy mignął,
napastnikowi ucho odciął mieczem.
Lecz słyszy: „Nie żelazo spór rozstrzygnie,
do pochwy stał z powrotem włóż, człowiecze !

Zaliż mój Ojciec legionów skrzydlatych
nie zdołałby postawić na mej drodze ;
I nie dotknąwszy mych włosów i szaty,
wrogowie nie rozpierzchliby się w trwodze ?

Lecz księga życia już stronicą inną
otwarła się — ta strona jak sakrament.
Co napisane, wypełnić się winno.
Niech więc wypełni się do reszty. Amen !

Bacz, pochód wieków jest jako przypowieść
i może stanąć za chwilę w płomieniach.
Ażeby strasznej jej wielkości dowieść,
przyjmuję mękę i śmierć pohańbienia.

Do grobu zejde, w dniu trzecim powstanę,
i jako tratwy, które znosi rzeka,
stulecia spłyną ciężką karawaną
stawać przed sądem Boga i Człowieka”.

GŁÓWNE POSTACIE POWIEŚCI

ALEKSANDER ALEKSANDROWICZ, patrz Gromeko.

ANFIM, patrz Samdiewiatow.

ANTIPOW, Paweł Pawłowicz (Pasza, Patuła), syn robotnika kolejowego zesłanego na Syberię, student, nauczyciel gimnazjalny, potem generał czerwonej armii pod pseudonimem Strelnikowa, mąż Łarisy Fiodorowny z domu Guichard i ojciec Kati.

ANTIPOWA, Łarisa Fiodorowna (Łara), żona poprzedniego.

BEZOCZEREDOWA, Tatjana (Tania), córka Łarisy Fiodorowny Antipowej i doktora Żiwago, bezprizorna, potem bieliźniarka w taborach czerwonej armii.

BRYKIN, Wasia, syn wdowy ze wsi Wieretinniki, dezterter z armii pracy, towarzysz podróży Żiwagów, potem student i drukarz, protegowany doktora Żiwago.

DUDOROW Innokentij (Nika), syn terrorysty Dementja Dudorowa i gruzińskiej księżniczki Niny Gałaktjonowny, profesor, przyjaciel doktora Żiwago.

GALIULLIN, Osip Himazetdinowicz (Jusup), syn dozorczy, potem porucznik i generał białej armii.

GAŁUZIN, Tierentij, syn kupca Własa Pachomowicza i Olgi Niłowny (Oli), siostrzeniec Tiagunowej, dezterter z białej armii, partyzant.

GORDON, Michaił Grigorjewicz (Misza), syn adwokata, przyjaciel doktora Żiwago.

GROMEKO, Aleksander Aleksandrowicz, profesor Akademii Rolniczej, mąż Anny Iwanowny z domu Krüger i ojciec Antoniny (Toni), żony doktora Żiwago.
 GUICHARD, Amalia Karłowna, wdowa po belgijskim inżynierze, matka Rodiona, kadeta carskiej armii, i Łarisy.
 INNOKENTIJ, patrz Dudorow.
 JEWGRAF, patrz Żiwago.
 KAPA I KŁASZA, patrz Szczapowa.
 KATIA, córka Pawła i Łarisy Antipowów.
 KOŁOGRIWOW, Ławrentij Ippolitowicz, bogaty przemysłowiec, ojciec Nadi i Lipy, przyjaciółek Łarisy Fiodorowny Guichard.
 KOMAROWSKIJ, Wiktor Ippolitowicz, adwokat, potem działacz polityczny na Dalekim Wschodzie, protektor Amalii Guichard i jej córki Łarisy.
 KRUGER, Iwan Ernestowicz, przemysłowiec uralski, właściciel dóbr Warykino.
 LESNYCH, pseudonim Liwerja Awerkjewicza Mikulicyna.
 LIWERIJ, patrz Mikulicyń.
 ŁARA, patrz Antipowa.
 ŁARISA FIODOROWNA, patrz Antipowa.
 MARKIEL, patrz Szczapow.
 MISZA, patrz Gordon.
 MIKULICYN, Awerkij Stiepanowicz, b. administrator zakładów i majątków Krügera w Warykinie, mąż Agrypiny z domu Tuncow, potem Jeleny (Leny) Prokłowny, ojciec Liwerja.
 MIKULICYN, Liwerij Awerkjewicz, syn poprzedniego, przywódca partyzantów na Uralu i na Syberii.
 NIKA, patrz Dudorow.
 NIKOŁAJ NIKOŁAJEWICZ (wuj Kola), patrz Wedeniapin.
 ORLECOWA, Krystyna, córka popa Bonifatja, studentka, narzeczona Dudorowa, spadochroniarka.
 PAMFIŁ, patrz Pałych.
 PASZA, patrz Antipow.
 PAŁYCH, Pamfił, partyzant.
 RODIA, patrz Guichard.
 SASZA (Szura), syn doktora i Antoniny Żiwagów.
 SAMDIEWIATOW, Anfim Jefimowicz, pełnomocnik Ispółkomu w Jurjatinie do spraw gospodarczych, protektor i przyjaciel Żiwagów i Mikulicynow.
 STRELNIKOW, patrz Antipow.
 SZCZAPOW, Markiel, dozorca w domu Gromeków.
 SZCZAPOWA, Maryna, córka poprzedniego, ostatnia towarzysza doktora Żiwago i matka jego dwóch córek, Kapitolicy (Kapy) i Kławdii (Kłaszy).

TIAGUNOWA, Pełagieja Niłowna (Pałasza, Pola), siostra Gałuziny, przyjaciółka Wasi Brykina.

TANIA, patrz Bezoczeredowa.

TIWIERZIN, Kiprian Sawieljewicz, kolejarz, rewolucjonista, potem członek Rewtrybunału.

TONIA (Antonina), patrz Gromeko i Żiwago.

TUNCOW, siostry, Awdotja, Głafira i Serafima (Sima), szwagierki Mikulicyna i ciotki Liwerja.

WEDENIAPIN, Nikołaj Nikołajewicz (wuj Kola), były pop, pisarz i filozof, wuj doktora Żiwago.

ŻIWAGO, Jewgraf Andrejewicz (Grania), przyrodni brat doktora.

ŻIWAGO, Jurij Andrejewicz, doktor Żiwago, lekarz i pisarz, syn przemysłowca z Syberii i Marii Nikołajewny z domu Wedeniapin, mąż Antoniny (Toni) Aleksandrowny Gromeko, ojciec Saszy i Maszy.

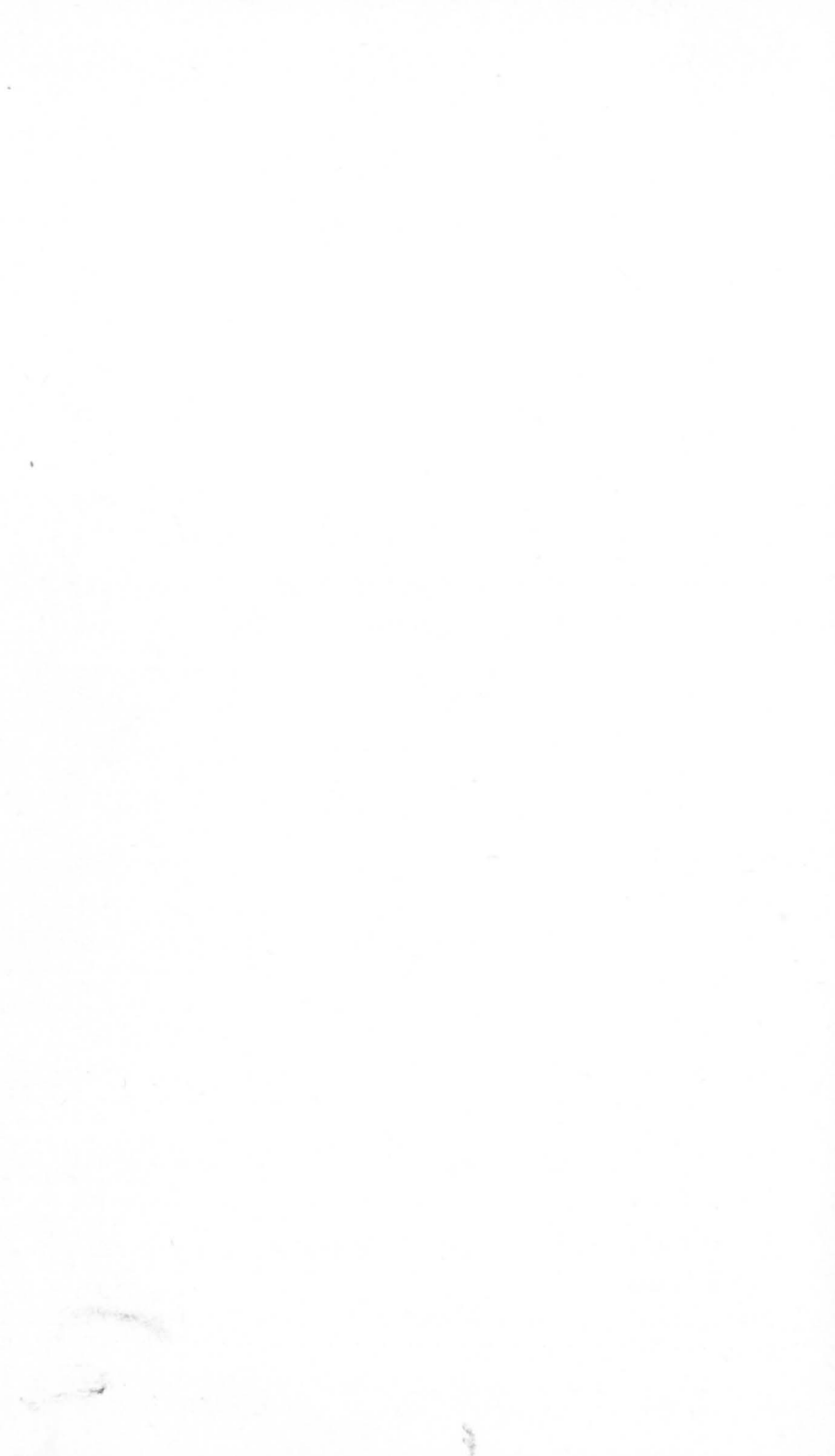
SPIS ROZDZIAŁÓW

T o m I

Rozdział	I — <i>Pośpieszny o piątej</i>	II
Rozdział	II — <i>Dziewczyna z innej sfery</i>	27
Rozdział	III — <i>Choinka u Swientickich</i>	65
Rozdział	IV — <i>Nadchodzą nieuniknione wypadki</i> ..	90
Rozdział	V — <i>Pożegnanie z przeszłością</i>	123
Rozdział	VI — <i>Postój w Moskwie</i>	154
Rozdział	VII — <i>W drodze</i>	192

T o m I I

Rozdział	VIII — <i>Przyjazd</i>	235
Rozdział	IX — <i>Warykino</i>	255
Rozdział	X — <i>Na wielkiej drodze</i>	282
Rozdział	XI — <i>Leśne wojsko</i>	302
Rozdział	XII — <i>Jarzębina w cukrze</i>	323
Rozdział	XIII — <i>Naprzeciw domu z figurami</i>	344
Rozdział	XIV — <i>Znów w Warykinie</i>	382
Rozdział	XV — <i>Zakończenie</i>	424
Rozdział	XVI — <i>Epilog</i>	458
Rozdział	XVII — <i>Wiersze Jurja Żiwago</i>	473
	<i>Główne postacie powieści</i>	505



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 26 JUIN 1959
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1959.



Odkwaszone
25-04-2003

.....